



Echa pamięci

KATHERINE WEBB

Autorka bestsellerowego *Dziedzictwa*

Katherine Webb

Echa pamięci

przełożyła
Olga Siara

Dla Pei

Wiatr był tak silny, że czuła się rozdarta między dwoma światami; zawieszona między jawą a snem tak realnym, iż granice zatarły się, a później zniknęły. Wichura targała drzewami, wyła w kominie i wdzierała się do domu. Ale wszystkie te dźwięki zagłuszało morze bijące o kamienisty brzeg; fale załamujące się o skały u podnóża klifu. Niski huk, który wręcz czuła w piersiach, gdy odbijał się echem w jej kościach z ziemi pod stopami.

Drzemała w fotelu przy dogasającym kominku. Zbyt stara i zmęczona, żeby wstać i powlec się na górę do łóżka. Teraz jednak wiatr otworzył okno ostrym podmuchem i trzaskał okiennicami na zawiasach tak mocno, że każde uderzenie mogło się okazać ostatnim. Futryna była zbutwiała, a ona od wielu lat musiała wsuwać pod okiennice złożony kawałek papieru, żeby zamknąć okno. Łomot przedarł się przez jej sen i obudził ją. Balansowała na granicy jawy, gdy zimne nocne powietrze wypełniało dom, rozlewając się u jej stóp niczym przyptyw. Musiała wstać i zamknąć okno, zanim wiatr roztrzaska szyby. Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą szare kontury pokoju. Za oknem po niebie wśród pasm chmur mknął księżyc.

Trzęsąc się z zimna, podeszła do kuchennego okna. Burza pokryła szybę warstewką soli. Kości stóp wrzynały jej się boleśnie w skórę. Po drzemce w fotelu biodra i plecy miała sztywne jak spuchnięte drewno, a rozruszanie zastałych stawów wymagało wysiłku. Wiatr wpadający przez okno targał jej włosy i przyprawiał o dreszcze, ale zamknęła oczy, żeby poczuć jego zapach, tak bliski, tak znajomy. Zapach wszystkiego, co w życiu znała, jej domu i jej więzienia; zapach niej samej. Kiedy otworzyła oczy, z gardła wydarł jej się stłumiony okrzyk.

Zobaczyła Celeste – stała na zewnątrz, na klifach, zwrócona plecami do domu, a twarzą do morza, skąpana w księżycowej poświacie. Powierzchnia kanału kłębiła się i falowała. Z białych grzbietów wzbijały się bryzgi piany, by z impetem uderzać o brzeg. Poczwała na twarzy drobne kropelki, ostre i gryzące. Skąd się tam wzięła Celeste? Po tylu latach, po tym, jak zniknęła bez śladu? Ale to była ona, bez wątpienia. Te same smukłe znajome plecy, giętki grzbiet, przechodzący

w zmysłową krągłość bioder; opuszczone wzdłuż ciała ręce z rozpostartymi palcami. „Lubię czuć, jak przemyka między nimi wiatr”. Powietrze zdawało się nieść jej słowa, szeptane z tym dziwnym, gardłowym akcentem. Długie włosy i długa, bezkształtna sukienka, falująca za nią na wietrze; materiał oblepiający uda, talię, ramiona. Nagle przed oczami stanął jej on. Szkicował Celeste, spoglądając na nią znad kartki z tą swoją przerażającą intensywnością, tym niewzruszonym skupieniem. Zamknęła oczy, mocno zaciskając powieki. To wspomnienie było równocześnie cudowne i nie do zniesienia.

Kiedy otworzyła oczy, wciąż siedziała w fotelu, skrzydła okien nadal uderzały o ścianę, wiatr nadal wpadał do środka. Czy to znaczyło, że jeszcze nie wstała? Nie podeszła do okna i nie zobaczyła Celeste? Nie wiedziała, czy tamten moment był jawą, a ten snem, czy na odwrót. Serce zabiło jej mocniej na tę myśl – że Celeste wróciła; że Celeste odkryła, co się stało i kto jest temu winny. Przypomniała sobie ostre, rozgniewane spojrzenie kobiety, wszechwiedzące, przeszywające ją na wskroś – i nagle zrozumiała. „Przecucie”. Usłyszała głos matki, poczuła przy uchu jej kwaśny oddech tak wyraźnie, że aż obejrzała się, by sprawdzić, czy Valentina naprawdę za nią stoi. Ale jej spojrzenie odwzajemnił tylko cień spowijający pokój. Matka czasem twierdziła, że ma dar widzenia przyszłości, i zawsze doszukiwała się jego oznak u swojej córki. Podsycala w niej nawet najmniejsze przebłyski intuicji. Może nadzieje Valentyny właśnie się ziściły, bo w tym momencie zrozumiała, że nadchodzi zmiana. Czuła to całą sobą. Po tych wszystkich długich latach wreszcie zbliża się zmiana. Ktoś się zbliża. Strach zamknął ją w swoich silnych objęciach.

Promienie porannego słońca wpadały do galerii przez wysokie frontowe okna i odbijały się od podłogi z oślepiającą jasnością. Późnym latem wciąż było ciepło i zapowiadał się piękny dzień, ale gdy Zach otworzył drzwi, w powietrzu poczuł kamienny chłód, którego nie było jeszcze tydzień wcześniej. Nutę wilgoci, zwiastującą jesień. Wziął głęboki oddech i na chwilę zwrócił twarz ku słońcu. Jesień. Zmiana pór roku, koniec cudownego okresu, którym się rozkoszował, koniec udawania, że wszystko może zostać tak, jak jest. Dziś jest ostatni dzień, a Elise wyjeżdża.

Rozejrzał się po ulicy. Była dopiero ósma rano i nikt nie przechadzał się po tym zakątku Bath. Galeria Gilchrist mieściła się przy wąskiej bocznej uliczce, nie więcej niż sto metrów od Great Pulteney Street, głównej arterii miasta, na tyle blisko, żeby łatwo ją było znaleźć – przynajmniej tak mu się kiedyś wydawało. I na tyle blisko, żeby ludzie zauważali jej szyld, jeśli przechodząc obok, rzucili okiem na ten zaułek. A szyld był dobrze widoczny – sprawdził to. Niestety, zaskakująco mało ludzi rozglądało się na boki, spacerując po Great Pulteney Street. „I tak jest jeszcze za wcześnie na klientów”, powiedział sobie, żeby się uspokoić. Elegancy zabiegani ludzie, którzy nieprzerwanym strumieniem płynęli główną ulicą, z pewnością szli do pracy. Nieruchome powietrze niosło stłumiony odgłos pośpiesznych kroków, który dobiegał Zacha przez czarne cienie i oślepiające plamy słońca. Na tym tle cisza przy jego drzwiach stawała się jeszcze wyraźniejsza. „Galeria nie musi mieć dużego ruchu ani przypadkowych klientów”, powiedział sobie po raz kolejny. Galeria to miejsce, które właściwi ludzie powinni wyszukać sami. Westchnął i wszedł do środka.

Zanim cztery lata wcześniej Zach przejął dzierżawę, galeria była sklepem jubilerskim. Podczas remontu spod lady i zza listew wypadały maleńkie metalowe ogniwa i zaczepy; skrawki złotego i srebrnego drutu jubilerskiego. Któregoś dnia Zach znalazł nawet kamień szlachetny, wsunięty za regał w wąską szparę między drewnem a ścianą. Spadł mu na stopę z mocnym stuknięciem, kiedy Zach zdjął półkę. Mały, błyszczący, idealnie przejrzysty kamień, który mógł być diamentem. Biorąc to za dobry znak, Zach go zatrzymał. Teraz pomyślał, że może ściągnął na siebie klątwę. Może należało odnaleźć tamtego jubilera i zwrócić mu kamień. Lokal był idealnie usytuowany. W tym miejscu ulica lekko opadała, a ogromne okna galerii wychodziły na południowy wschód, dzięki czemu łapały całe poranne słońce, ale kierowały je na podłogę, a nie na ściany, na których wisiały delikatne prace. Nawet w ciemne dni galeria wydawała się rozświetlona, a przy tym była dość duża, co pozwalało podziwiać większe obrazy z odpowiedniej odległości.

Chociaż chwilowo nie wystawiał zbyt wielu dużych prac. Przed tygodniem w końcu sprzedał pejzaż Watermana; obraz jednego ze

współczesnych miejscowych artystów. Tak długo wisiał na wystawie, że Nick Waterman zaczął się już martwić, czy kolory nie spłowieją. Ta transakcja pojawiła się w ostatnim momencie, żeby powstrzymać malarza przed przeniesieniem całej kolekcji gdzie indziej. „Całej kolekcji”, prychnął lekko Zach. Trzech miejskich panoram Bath, malowanych z różnych punktów na wzgórzach otaczających miasto, i jednego nieco ckliwego obrazka, dziewczyny spacerującej po plaży z seterem irlandzkim. Zach przyjął ten obraz do galerii tylko przez wzgląd na kolor psa, wspaniałą miedzianą czerwień, która wносиła odrobinę życia w tę statyczną scenę. Zysk z obrazu, podzielony równo między galerię i artystę, zapewnił Zachowi pieniądze na opłacenie podatku drogowego za samochód, dzięki czemu znów mógł nim jeździć. W samą porę, żeby zabrać Elise trochę dalej, na prawdziwą wycieczkę. Pojechali zobaczyć jaskinie w Cheddar, byli w Longleat, wybrali się na piknik do puszczy Savernake. Powoli obrócił się na piętach i spojrzał na pozostałe obrazy w galerii. Jego wzrok przesunął się po małych, ale przyjemnych pracach dwudziestowiecznych artystów oraz kilku współczesnych akwarelach miejscowych malarzy, by rozbłysnąć, gdy zatrzymał się na sercu kolekcji – trzech rysunkach Charlesa Aubreya.

Z rozmysłem wyeksponował je obok siebie, na najlepiej oświetlonej ścianie i idealnej wysokości. Pierwszy był niedokończony szkic ołówkiem, zatytułowany *Mitzy zrywa*. Przedstawiona postać kucała nieelegancko – plecami do artysty, z szeroko rozstawionymi kolanami, przykrytymi zwykłą spódnicą. Bluzka, niedbale wciśnięta za pasek, wysunęła się jej z tyłu i podwinęła, odsłaniając kawałek skóry. Rysunek ukazywał tylko zarys sylwetki i pośpiesznie nakreślone cienie, ale fragment pleców dziewczyny i wypukłość kręgosłupa zostały oddane tak cudownie, że Zach zawsze miał ochotę wyciągnąć dłoń, przesunąć kciukiem wzdłuż jej pleców i poczuć gładką skórę, skrywającą twarde mięśnie. Dotknąć wilgotnej warstewki potu w miejscu, w którym rozgrzało je słońce. Dziewczyna najwyraźniej przebierała zioła do wiklinowego kosza, ustawionego na ziemi między jej nogami, ale skłoniła głowę ku ramieniu, odsłaniając ucho i zarys policzka, jak gdyby czuła na sobie wzrok patrzącego i na wpeł spodziewała się tego niechcianego dotyku na plecach. Oko pozostało ukryte, za łukiem kości

policzkowej rysował się jedynie lekki ślad rzęs, a mimo to Zach czuł jej skupienie, czuł, jak świadoma jest czyjejś obecności za sobą. Jego, miłośnika sztuki, wiele lat później, czy artyści w tamtym momencie? Rysunek był podpisany i opatrzony datą – 1938.

Kolejny rysunek wykonano czarną i białą kredą na płowej kartce papieru. Był to portret Celeste, kochanki Charlesa Aubreya. Celeste – jej nazwiska nie podawały żadne źródła – pochodziła z Maroka Francuskiego. Pod masą czarnych włosów lśniła miodowa cera. Rysunek ukazywał tylko jej głowę i szyję, kończąc się na obojczykach, ale nawet na tej niewielkiej przestrzeni artysta zdołał uchwycić gniew kobiety tak doskonale, że Zach nieraz dostrzegał, jak ludzie lekko wzdrygali się, widząc Celeste po raz pierwszy, jakby spodziewali się usłyszeć reprimendę za to, że odważyli się na nią spojrzeć. Często zastanawiał się, co wprawilo ją w taką wściekłość. Z ognia w jej oczach czytał, że Aubrey stąpał po cienkim lodzie, wybierając właśnie ten moment, by ją narysować. Celeste była piękna. Wszystkie kobiety Aubreya były piękne, a nawet gdy nie miały klasycznej urody, on potrafił oddać istotę ich uroku. Ale Celeste była niezaprzeczalnie piękna, ze swoją idealnie owalną twarzą, ogromnymi migdałowymi oczami i pasmami atramentowych włosów. Z jej twarzy, z jej wzroku biły odwaga i siła. Robiła zniewalające wrażenie. Nic dziwnego, że zdołała utrzymać przy sobie Charlesa Aubreya tak długo. Dłużej niż którakolwiek z jego innych kochanek.

Na trzeci rysunek Aubreya zawsze patrzył na końcu, chcąc poświęcić mu najwięcej czasu. *Delphine, 1938*. Córka artysty, wówczas trzynastoletnia. Narysował ją od kolan w górę, znów ołówkiem. Stała w bluzce z marynarskim kołnierzem z rękami splecionymi przed sobą. Kręcone włosy miała zebrane z tyłu w kucyk. Pozowała zwrócona do artysty ukosem, spięta i sztywna, jak dziecko, któremu ktoś przed chwilą kazał się wyprostować. Portret przypominał szkolną fotografię, do której przyjmuje się niewygodną pozę; ale na ustach dziewczyny błąkał się nerwowy uśmiech. Sprawiała wrażenie oszołomionej czyjaś uwagą i zaskoczonej, że sprawia jej ona przyjemność. Promienie słońca skrzyły się w jej oczach i na jej włosach, a Aubrey kilkoma kreskami zdołał pokazać niepewność dziewczyny tak dobitnie, że wyglądała, jakby

w każdym momencie mogła wyjść z roli, zasłonić uśmiech dłonią i odwrócić nieśmiało twarz. Była zawstydzona, niepewna siebie, posłuszna; Zach kochał ją ze zdumiewającą siłą, po części miłością ojcowską, opiekuńczą, a po części – bardziej dorosłą. Twarz Delphine była wciąż twarzą dziecka, ale w jej mimice, w jej oczach odnajdywał już ślady kobiety, którą miała się stać. Była ucieleśnieniem wieku dojrzewania, nowo złożonej obietnicy, wiosny, czekającej, by rozkwitnąć w pełni. Zach godzinami wpatrywał się w jej portret, żałując, że nie mógł jej poznać.

To był cenny rysunek i gdyby zdecydował się go sprzedać, może na jakiś czas oddaliłby od siebie widmo bankructwa. Wiedział nawet, kto by go kupił, i to z marszu, gdyby tylko miał taką możliwość. Philip Hart, inny wielbiciel Aubreya. Zach przelicytował go podczas londyńskiej aukcji przed trzema laty i od tamtej pory Philip przyjeżdżał dwa lub trzy razy w roku, żeby zobaczyć rysunek i sprawdzić, czy Zach jest już gotowy na sprzedaż. Ale Zach nie był gotowy. I nie sądził, żeby miało to kiedykolwiek nastąpić. Podczas ostatniej wizyty Hart zaoferował mu siedemnaście tysięcy funtów i Zach pierwszy raz się zawahał. Chociaż bardzo mu się podobały portrety Celeste i Mitzy, które również były pozostałością po jego kurczącej się kolekcji Aubreya, nie wzięłyby za nie nawet połowy tej kwoty. Nie mógł się jednak zmusić do rozstania z Delphine. Na innych – nielicznych – szkicach była kościstym dzieckiem, postacią w tle, przyćmioną obecnością olśniewającej siostry Élodie albo wyrazistej Celeste. Ale na tym jednym rysunku była sobą; pełna życia, na progu tego wszystkiego, co miało wydarzyć się później. Cokolwiek się wydarzyło. Był to ostatni ocalały portret Delphine, jaki Aubrey narysował przed swoją katastrofalną decyzją, żeby walczyć w drugiej wojnie światowej na kontynencie europejskim.

Zach wpatrywał się w nią teraz – w jej pięknie oddane przez artystę dłonie z krótkimi, spiłowanymi paznokciami; w zagniecienia wstążki, którą miała przewiązane włosy. Wyobrażał ją sobie jako chłopczycę; zobaczył szczotkę, przesuwaną pośpiesznie i boleśnie po niesfornych splotach.

Tego ranka spacerowała wzdłuż klifów, szukając piór albo kwiatów, albo innych cennych znalezisk. Ani chłopczyca, ani

dziewczyna, której szczególnie zależy na wyglądzie. Wiatr splątał jej włosy w supły, które trzeba będzie rozczesywać wiele dni, a Celeste zbesztła ją za to, że nie schowała ich pod chustką. Élodie siedziała na krześle za ojcem, kiedy rysował jej siostrę, machała nogami w przód i w tył, nadąsana i wściekła z zazdrości. Serce Delphine niemal pękało z dumy i miłości do ojca, a gdy szkicował ze zmarszczonym czołem, żarliwie modliła się w myślach o to, żeby go nie zawieść.

Z szyby w zalanej słońcem galerii spoglądało na Zacha jego odbicie, równie wyraźne jak kreski ołówka. Kiedy się skupił, zobaczył oba obrazy jednocześnie – swoje rysy nałożone na buzię dziewczyny, jej oczy spoglądające z jego twarzy. Nie spodobał mu się efekt. Z tym zamyślnym, nostalgicznym spojrzeniem nagle wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści pięć lat – i w tej samej chwili poczuł się starszy. Nie zdążył się jeszcze uczesać i na głowie sterczały mu kosmyki; poza tym zdecydowanie powinien się ogolić. Na cienie pod oczami niewiele mógł poradzić. Kiepsko spał od wielu tygodni – odkąd dowiedział się o Elise.

Usłyszał tupanie i po chwili z mieszkania nad galerią zbiegła po schodach Elise. Uwieszona na klamce wpadła przez drzwi z rozjaśnioną twarzą, powiewając długimi pasmami brązowych włosów.

– Hej! Mówiłem ci, żebyś nie huśtała się na drzwiach! Jesteś na to za duża, Els. Wyrwiesz je z zawiasów! – zawołał Zach, biorąc ją na ręce i odsuwając od drzwi.

– Dobrze, tato – odpowiedziała Elise, ale szeroki uśmiech na twarzy dziewczynki i cień rozbawienia w jej głosie przekreśliły wszelkie ślady skruchy. – Czy możemy zjeść teraz śniadanie? Jestem głodna, jak nie wiem.

– Głodna jak nie wiesz? To poważna sprawa. Okej. Daj mi sekundę.

– Sekunda! – krzyknęła Elise, a potem z łoskotem zbiegła po pozostałych stopniach na poziom sklepu, gdzie miała dość miejsca, żeby wirować z rozrzuconymi ramionami tak szybko, że w każdym momencie mogła się potknąć i przewrócić.

Zach patrzył na nią przez chwilę i poczuł, jak ściska mu się gardło. Mieszkała z nim przez cztery tygodnie i nie miał pojęcia, jak sobie bez niej poradzi. Elise miała sześć lat. Była śmiała, zdrowa i pełna życia. Jej

brązowe oczy miały dokładnie taki sam odcień jak oczy Zacha, ale były większe i bardziej lśniące, z bielszymi białkami i w ciągłym ruchu – nieustannie rozszerzały się ze zdumienia lub oburzenia albo mrużyły ze śmiechu czy zmęczenia. U Elise brązowe oczy wyglądały pięknie. Była ubrana w fioletowe dzinsy, porwane na kolanach, i lekką zieloną bluzę, narzuconą na różową koszulkę ozdobioną zdjęciem Bliźniaka, jej ulubionego kucyka ze szkoły jeździeckiej. Elise sama zrobiła to zdjęcie. Nie wyszło najlepiej. Bliźniak uniósł nos w kierunku aparatu i stulił uszy, a flesz odbił się rażącym refleksem w jego oczach, przez co kucyk miał wydłużony łeb i zdaniem Zacha sprawiał wrażenie agresywnego, zepsutego do szpiku kości stworzenia. Ale Elise uwielbiała tę koszulkę tak samo, jak uwielbiała kucyka. Kreację dopełniała jaskrawożółta plastikowa torebka. Nic do siebie nie pasowało, ale Elise wyglądała wesoło i smakowicie jak różnokolorowa landrynka. Zach wiedział, że Ali nie spodoba się strój wybrany przez córkę, ale nie miał zamiaru kłócić się z Elise i kazać się jej przebierać ostatniego ranka, który spędzali razem.

– Odlotowy zestaw, Els! – zawołał do niej z góry.

– Dzięki! – odpowiedziała zdyszana, nie przerywając obrotów.

Zach zdał sobie sprawę, że nie spuszcza jej z oczu. Próbuje zapisać w pamięci najdrobniejsze szczegóły. Wiedział, że zanim znów ją zobaczy, zajdą w niej niezliczone subtelne zmiany. Może nawet zdąży wyrosnąć z koszulki z brzydkim szarym kucykiem albo Bliźniak jej się znudzi, chociaż to wydawało się mało prawdopodobne. Chwilowo wydawała się równie zmartwiona rozstaniem z ukochanym kucykiem, jak rozstaniem ze swoimi przyjaciółmi, ze swoją klasą. Ze swoim tatą. „Czas pokaże”, pomyślał. Wkrótce miał się przekonać, czy w przypadku jego córki sprawdzi się powiedzenie „Co z oczu, to z serca”, czy może „Rozstanie wzmacnia uczucia”. Gorąco się modlił, żeby to drugie okazało się trafne. Dopił kawę, zamknął drzwi galerii i przesunął zasuwkę, a potem objął córkę mocno, aż zapiszczała z radości.

Śniadanie zjedli przy starym sosnowym stoliku w kuchni mieszkania nad galerią, słuchając zawodzenia Miley Cyrus z odtwarzacza CD. Zach westchnął lekko, słysząc kolejny raz swoją najmniej ulubioną piosenkę przesłodzonej gwiazdki pop i z przerażeniem

uświadomił sobie, że stopniowo, wbrew własnej woli, nauczył się wszystkich słów na pamięć. Elise podrygiwała ramionami nad swoimi płatkami, jakby tańczyła na siedząco, a kiedy Zach odśpiewał falsetem jeden z wersów refrenu, zakrzuszyła się ze śmiechu, a po brodzie pociekło jej mleko.

– Cieszysz się, że wyjeżdżasz? – zapytał ostrożnie, kiedy głos Miley zastąpiła błoga cisza. Elise skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Goniła łyżką ostatnie płatki w miseczce, wyławiając je z mleka, jakby łapała kijanki. – Jutro o tej porze będziesz siedziała w samolocie, wysoko w chmurach. To będzie fajne, prawda? – naciskał, nienawidząc siebie za to, bo widział, że Elise waha się, co powinna odpowiedzieć. Wiedział, że jest podekscytowana i przestraszona i nie może się już doczekać, ale zarazem czuje smutek z powodu wyjazdu. To tworzyło wybuchową mieszankę emocji, z którymi nie umiała sobie jeszcze poradzić, ani tym bardziej ich wyrazić.

– Myślę, że powinieneś jechać z nami, tato... – powiedziała w końcu, odsuwając talerz. Oparła się na krzesło i machała nogami z zakłopotaniem.

– Och, to chyba nie najlepszy pomysł. Ale zobaczymy się w wakacje i będę cię często odwiedzał – odpowiedział odruchowo, a potem ugryzł się w język, bo przecież mogło się to okazać niemożliwe. Loty transatlantyckie nie są tanie.

– Obiecujesz? – Elise podniosła oczy i nie spuszczała z niego wzroku, jakby usłyszała brak przekonania w jego głosie.

Zachowi ścisnął się żołądek, a kiedy się odezwał, trudno mu było nadać głosowi zwyczajne brzmienie:

– Obiecuję.

Ali upierała się, że muszą wyjechać przed końcem letnich wakacji, by Elise miała kilka tygodni na aklimatyzację przed pójściem do nowej szkoły. Nowej szkoły w Hingham, niedaleko Bostonu. Zach nigdy nie był w Nowej Anglii, ale wyobrażał sobie tę kolonialną architekturę, szerokie, otwarte plaże i rzędy nieskazitelnie białych jachtów, zacumowanych wzdłuż pomostów z bielonego drewna. Właśnie na te plaże i łodzie najbardziej cieszyła się Elise. Lowell miał żaglówkę. Lowell nauczy Ali i Elise żeglować. Będą żeglować wzdłuż wybrzeża

i urządzać sobie pikniki. „Niech no tylko zobaczą jedno zdjęcie Elise koło łódki bez kamizelki ratunkowej – przemknęło Zachowi przez głowę – a zjawię się tam w mgnieniu oka, żeby zetrzeć Lowellowi z twarzy ten jego zadowolony uśmieszek”. Westchnął, łapiąc się na tej małosłownej myśli. Lowell był w porządku. Lowell nie pozwoliłby dziecku zbliżyć się do łódki bez kamizelki ratunkowej, a już na pewno nie cudzemu dziecku. Lowell nie próbował być ojcem dla Elise – rozumiał, że ma już ojca. Lowell był cholernie przyjacielski i rozsądny, tymczasem Zach rozpaczliwie szukał jakiegokolwiek powodu, żeby go znienawidzić.

Spakował rzeczy Elise do jej walizeczki na kółkach z motywem z filmu *Tupot małych stóp*. Sprawdził, czy w mieszkaniu i w galerii nie leżą żadne brokatowe spinki do włosów, książki Ahlbergów czy rozmaite plastikowe drobiazgi, które zostawiała za sobą jego córka, gdziekolwiek się pojawiała, niczym szlak z okruszków na wypadek, gdyby się kiedyś zgubiła. Wyjął płytę Miley Cyrus z odtwarzacza, a potem zgarnął resztę jej kompaktów – nagrane bajki i rymowanki, więcej kiczowatego popu i zestaw mrocznych niemieckich baśni, przysyłanych przez jakąś ciotkę Ali. Podniósł ulubioną płytę Elise – *Bajki Beatrix Potter* – i zastanawiał się, czy ich nie zatrzymać. Przez ostatni tydzień słuchali ich w samochodzie podczas wszystkich wycieczek, a Elise recytowała tekst razem z narratorem, próbując naśladować głosy, a później cały dzień powtarzała wersy z bajek. Jej głos stał się ścieżką dźwiękową ostatnich dni lata. „Daj mi trochę ryb, Hunca Munca! Kwa, powiedziała Kaczka Tekla Kałużyńska!” Przez chwilę myślał, że po wyjeździe Elise mógłby włączać tę płytę i przypominać sobie recytacje córki, ale wizja dorosłego mężczyzny, który w samotności słucha bajek, wydała mu się niewypowiedzianie tragiczna. Spakował kompakt razem z resztą.

Punktualnie o jedenastej pojawiła się Ali. Przytrzymała dzwonek o kilka sekund za długo, przez co zabrzmiał niecierpliwie i natarczywie. Zach dostrzegł jej blond włosy przez szybę w drzwiach. Nosila teraz krótkiego pazia, który lśnił w promieniach słońca. Oczy skrywała za okularami przeciwsłonecznymi. Miała na sobie bawełniany sweterek w niebiesko-białe pasy, który otulał jej smukłą sylwetkę. Otwierając

drzwi, Zach zdołał się lekko uśmiechnąć. Zauważył, że znajome ukłucie w sercu, które zwykle czuł w jej obecności, słabło z każdym spotkaniem. To, co kiedyś było bezradną miłością, cierpieniem, gniewem i rozpaczą, teraz przypominało raczej nostalgię; ledwo zauważalny ból, jak żałoba po latach. Mniej dojmujące, subtelniejsze doznanie. Czy to znaczyło, że nie był w niej już zakochany? Tak mu się wydawało. Ale jak to możliwe – jak taka miłość mogła odejść, nie zostawiając w jego wnętrzu ziejącej pustki niczym wycięty guz? Ali uśmiechnęła się nerwowo, a Zach pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. Nadstawiła go, ale nie odwzajemniła się tym samym.

– Zach. Co słyhać? – zapytała z uśmiechem, z którego znów przebijało napięcie. Zanim się odezwała, wzięła głęboki wdech i zatrzymała większość powietrza, wydymając klatkę piersiową. Zach zdał sobie sprawę, że spodziewała się kolejnej kłótni. Była na nią przygotowana.

– Wszystko dobrze, dzięki. A ty jak? Już spakowana? Wejdz, proszę. – Cofnęła się o krok i przytrzymała jej drzwi.

W galerii Ali zdjęła okulary i zlustrowała praktycznie puste ściany. Miała lekko przekrwione oczy, co świadczyło o zmęczeniu. Odwróciła się do Zacha, obrzuciła go szybkim spojrzeniem, w którym dostrzegł litość i irytację, ale powstrzymała się od wypowiedzenia na głos tego, co pomyślała.

– Wyglądasz... nieźle – oceniła.

Zach zrozumiał, że stara się być uprzejma. Co za regres – kiedyś mogli powiedzieć sobie wszystko, teraz wymieniali uprzejmości. Przez chwilę milczeli zażenowani, godząc się z tą ostateczną zmianą w ich relacji. Byli małżeństwem sześć lat, dwa lata temu się rozwiedli, a teraz znów stali się sobie obcy.

– Widzę, że nadal nie możesz się rozstać z *Delphine* – zauważyła Ali.

– Wiesz, że nigdy nie sprzedam tego rysunku.

– Czy nie tym zajmuje się galeria? Kupuje i sprzedaje...

– I wystawia. To stały eksponat – uśmiechnął się lekko Zach.

– Za te pieniądze mógłbyś wiele razy odwiedzić Elise.

– Wcześniej nie musiałem jej odwiedzać – odparował Zach ostrym

głosem.

Ali odwróciła wzrok, zakładając ręce na piersiach.

– Zach, przestań... – powiedziała.

– Nie, darujmy to sobie. Czyli jednak się nie rozmyśliłaś?

– Gdzie jest Elise? – zapytała Ali, ignorując jego pytanie.

– Na górze, ogląda jakiś głośny, tandetny program w telewizji – odpowiedział.

Ali rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Mam tylko nadzieję, że przez te wszystkie tygodnie zapewniałeś jej inne rozrywki, niż siedzenie przed...

– Och, daj spokój, Ali. Naprawdę nie musisz mnie uczyć, jak wychowywać dziecko – powiedział spokojnie, na wpół rozbawiony. Ali wzięła kolejny głęboki oddech, znów zatrzymując powietrze w płucach. – Jestem pewny, że Elise opowie ci, co porabialiśmy. Els! Mamusia przyjechała! – wołając córkę, wsunął głowę przez drzwi prowadzące na schody na górę. Bał się jej wyjazdu od wielu tygodni, odkąd Ali powiedziała mu o przeprowadzce, a mimo kłótni, rozmów i dalszych kłótni nic nie wskórał. Teraz lęk stał się niemal nie do zniesienia, a skoro przyszedł moment rozstania, chciał mieć to już za sobą. Raz, dwa i po krzyku.

Ali położyła mu dłoń na ramieniu.

– Poczekaj, nie wołaj jej jeszcze. Nie chcesz porozmawiać o... – urwała, wzruszyła ramionami i rozsunęła szeroko palce, szukając odpowiednich słów.

– No właśnie – wtrącił Zach. – Rozmawialiśmy wiele razy, ty powiedziałaś, czego chcesz, ja powiedziałem, czego chcę, a skutek jest taki, że zrobisz to, co ci się podoba, a ja równie dobrze mogę gadać do ściany. Więc po prostu to zrób, Ali – skończył, nagle wyczerpany tą sytuacją. Bolały go oczy, więc przetarł je kciukami.

– Elise i ja mamy szansę zacząć od nowa. Zacząć nowe życie... i być szczęśliwe. Będzie mogła zapomnieć o...

– O mnie?

– O tym całym... zamieszaniu. O stresie, jakim był rozwód.

– Nigdy mnie nie przekonasz, że zamieszkanie z dala ode mnie to dobry pomysł, więc nawet nie próbuj. Uważam, że to niesprawiedliwe

i nigdy nie zmienię zdania. Nie walczyłem o prawa do opieki, bo... bo nie chciałem pogarszać sprawy. Utrudniać życia jej i nam. I tak mi za to dziękujesz. Przenosisz ją prawie pięć tysięcy kilometrów stąd i robisz ze mnie faceta, który widuje ją dwa albo trzy razy w roku i przysyła jej prezenty, które nawet jej się nie podobają, bo ojciec nie ma już pojęcia, co się podoba jego córce...

– Nie chodziło o to. Nie chodziło o ciebie... – w oczach Ali zalśnił gniew, ale Zach zobaczył w nich również poczucie winy; wiedział, że decyzja nie przysłała jej łatwo. Co dziwne, wcale nie było mu lepiej z tą świadomością.

– Jak byś się czuła, Ali? Jakbyś się czuła na moim miejscu? – zapytał żarliwie. Przez jedną przerażającą sekundę miał wrażenie, że zacznie płakać. Ale nie zaczął. Wytrzymał spojrzenie Ali i zmusił ją, żeby to zrozumiała. I jakieś uczucie sprawiło, że zarumieniła się, a jej oczy rozszerzyła rozpacz. Jakie to było uczucie, tego Zach nie potrafił już odczytać.

I właśnie w tym momencie Elise zbiegła ze schodów i rzuciła się matce na szyję.

Kiedy wychodziły, Zach przytulił Elise i próbował się uśmiechać, próbował ją uspokajać, żeby nie czuła się winna. Ale potem Elise zaczęła płakać i nie udało mu się grać do końca – jego uśmiech zamienił się w grymas, a oczy zaszły łzami, więc przestał udawać, że wszystko jest w porządku. Elise łkała, przelatykając ślinę i trąc oczy zaciśniętymi piąstkami. Zach odsunął ją na odległość ramienia i wytarł jej twarz.

– Bardzo cię kocham, Els. Zobaczymy się już niedługo – powiedział, nie zostawiając miejsca na wątpliwości, na żadne „ale”. Skinęła głową, biorąc głębokie, urywane oddechy. – No dalej. Ostatni uśmiech dla taty przed wyjazdem. – Podjęła dzielną próbę, unosząc kąćki małych, okrągłych ust, mimo szlochu, jaki wstrząsał jej piersią. Zach pocałował ją i wstał. – Idźcie już – powiedział szorstko do Ali. – Idźcie.

Ali wzięła Elise za rękę i pociągnęła ją chodnikiem do miejsca, w którym zaparkowała samochód. Elise odwróciła się i machała mu z tylnego siedzenia. Machała, dopóki samochód nie zniknął za rogami w dole wzgórza. A kiedy zniknął, Zach poczuł, jak w jego wnętrzu

przeskakuje jakiś trybik. Nie umiał powiedzieć, co się zmieniło, ale wiedział, że coś bardzo ważnego. Odrętwiały, osunął się na próg galerii i siedział tam bardzo długo.

Przez kilka następnych dni Zach zachowywał pozory normalnego życia, otwierał galerię, próbował wypełnić czas różnymi sprawami, czytał katalogi aukcyjne i zamykał lokal na noc, ale przez cały czas towarzyszyło mu to samo odrętwienie. Wszystko, co robił, wydawało mu się bez sensu. Bez Elise, która go budziła, której trzeba było zrobić śniadanie, zapewnić rozrywkę, zaimponować albo zwrócić uwagę, żadne z jego pozostałych zajęć nie miało najmniejszego znaczenia. Długo myślał, że utrata Ali to najgorsze, co mogło mu się przytrafić. Teraz wiedział, że utrata Elise jest znacznie gorsza.

– Nie straciłeś jej. Zawsze będziesz jej tatą – powiedział jego przyjaciel Ian, kiedy spotkali się na curry tydzień po wyjeździe Elise.

– Nieobecnym tatą... Nie takim chciałem być ojcem – odpowiedział ponuro Zach.

Ian przez chwilę się nie odzywał. Wyraźnie nie wiedział, jak go pocieszyć, i czuł się niekomfortowo w towarzystwie załamane go przyjaciela. Zachowi było przykro z tego powodu, ale nic nie mógł na to poradzić. Nie miał już siły walczyć; nie czuł się ani dzielny, ani twardy, ani odporny. Kiedy Ian nieśmiało zasugerował, że przeprowadzka do Stanów mogłaby mu dobrze zrobić i stać się nowym początkiem również dla niego, Zach spojrzał tylko na niego pośępnie. Zapadło krępujące milczenie.

– Wybacz, Ian. Kiepskie dziś ze mnie towarzystwo, co? – przeprosił w końcu.

– Fatalne – przyznał Ian. – Dzięki Bogu, dają tu niezłe *karai*, inaczej zmyłbym się po dziesięciu minutach.

– Przepraszam. Po prostu... już za nią tęsknię.

– Wiem. Jak galeria?

– Chyli się ku upadkowi.

– Poważnie?

– Bardzo możliwe. – Zach uśmiechnął się, widząc przerażenie na twarzy Iana, którego firma organizująca niepowtarzalne przygody świetnie się rozwijała.

– Nie możesz do tego dopuścić, stary. Na pewno da się coś z tym zrobić.

– Na przykład co? Nie zmuszę ludzi do kupowania sztuki. Albo chcą kupić obraz, albo nie.

Prawdę mówiąc, powinien robić więcej. Powinien handlować mniejszymi, tańszymi obrazami i w ten sposób powiększyć ekspozycję. Powinien częściej jeździć do Londynu; dzwonić do innych handlarzy i byłych klientów, żeby przypomnieć im o swoim istnieniu. Wynająć stoisko podczas Targów Sztuki w Londynie. Robić wszystko, co zwabiłoby klientów do galerii. Zajmował się tym rok przed oficjalnym otwarciem lokalu i w pierwszym roku działalności. Teraz czuł się zmęczony na samą myśl o tych zabiegach. Miał wrażenie, że nie starczyłoby mu na to energii.

– A co z tymi obrazami Charlesa Aubreya? Na pewno mógłbyś je sprzedać. Kupić za to nowe obrazy, wnieść do galerii trochę życia... – zasugerował Ian.

– Mógłbym... mógłbym wystawić dwa z nich na aukcję – przyznał Zach. „Ale nie *Delphine*”, dodał w myślach. – Ale kiedy je sprzedam... będzie po wszystkim. Galeria straci serce. Kto wie, kiedy – jeśli kiedykolwiek – będzie mnie stać na inne jego prace? A przecież mam się specjalizować w Aubreyu. Jestem od niego ekspertem, pamiętasz?

– Tak, ale... nie ma innego wyjścia, Zach. To jest biznes. Spróbuj nie traktować tego tak osobiście.

Ian miał rację. Zach traktował to osobiście, i to bardzo. Znał twórczość Charlesa Aubreya od bardzo dawna, odkąd był małym chłopcem. Podczas każdej wizyty u dziadków, pełnej napiętego milczenia, sporo czasu spędzał obok babci przed obrazem, który wisiał w jej garderobie. Babcia powiedziała mu, że ona wyeksponowałaby go na poczesnym miejscu w salonie, ale nie zgadzał się na to dziadek. Kiedy Zach zapytał o jego powody, usłyszał w odpowiedzi: „Byłam jedną z kobiet Aubreya”. Starsza pani zawsze wypowiadała to z błyskiem w oku i zadowolonym uśmiechem na pomarszczonych wargach. Któregoś razu ojciec Zacha usłyszał jej słowa i zajrzał do pokoju z grymasem niezadowolenia. „Przestań kłaść dziecku do głowy takie bzdury”, mruknął. Kiedy zeszli na dół, ojciec Zacha wpatrywał się

w dziadka, ale staruszek zdawał się unikać jego wzroku. Był to jeden z wielu nerwowych momentów, których Zach wtedy nie rozumiał. Nauczył się kojarzyć je z wizytami u dziadków i ponurym nastrojem, w jaki ojciec wpadał na wiele dni po każdej z nich.

Reprodukcja obrazu Aubreya w garderobie jego babci przedstawiała kamieniste wzgórza i wzburzone, srebrne morze; szczyty skał rozedrgane długimi żdźbłami trawy, rozciągniętymi płasko podmuchem wiatru. Ścieżką szła kobieta, trzymając jedną dłonią kapelusz, a drugą wyciągając nieco w bok, jakby dla zachowania równowagi. Obraz wydawał się lekko impresjonistyczny, nakreślony szybkimi, impulsywnymi pociągnięciami pędzla, i przez to cała scena tętniła życiem. Patrząc nań, Zach spodziewał się usłyszeć mewy i poczuć na twarzy słoną bryzę. Niemal czuł zapach mokrych kamieni, słyszał w uszach huk wiatru. „To ja”, mówiła mu wiele razy babcia z dumą. Kiedy patrzyła na ten obraz, widać było, że spogląda w przeszłość. Jej wzrok tracił ostrość, przywoływała odległe czasy i miejsca. Ale Zachowi obraz zawsze wydawał się trochę niepokojący. Postać na szczycie klifu wyglądała na tak bezbronną. Kobieta szła sama, wyciągając dłoń, żeby utrzymać równowagę, jak gdyby wiatr nie wiał od morza, tylko od ziemi, grożąc, że zdmuchnie ją za krawędź i ciśnie do wzburzonej wody w dole. Kiedy długo patrzył na obraz, czasem czuł w kolanach tę samą gąbczastą miękkość, która dopadała go na szczycie drabiny.

Tamtego ranka naprawdę kręciło jej się w głowie i szła trochę niepewna własnych kroków, nie wiedząc, czy utrzyma się na nogach. Siła nowego uczucia, jakie ją ogarnęło, sprawiała, że wszystko inne wydawało się błahe i fałszywe. Ścieżka wzdłuż klifów do domu Aubreya miała niecałe dwa kilometry, a z każdym krokiem jej serce biło coraz szybciej i mocniej. Nie widziała go przed sobą, ustawionego z farbami olejnymi. Przystanęła na szczycie długiego wzniesienia, żeby złapać oddech. Wiatr zdawał się wdzierać wprost do jej płuc, unosząc ją niemal, jakby mógł porwać ją niczym latawiec, który zerwał się ze sznurka. Świadomość, że jest coraz bliżej niego, radość z czekającego ją spotkania. Później pokazał jej obraz, a ją przeszedł dreszcz na myśl, że patrzył na nią, kiedy o tym nie wiedziała. Widząc własne ciało, namalowane farbą nałożoną jego dłonią, poczuła w środku ból.

Do czasu, kiedy dziadek zmarł, a babcia, słaba i przestraszona, zgodziła się przeprowadzić do domu opieki, reprodukcja zdążyła tak bardzo wyblaknąć, że trafiła do kontenera na śmieci razem z wieloma rzeczami, które były zbyt stare, zużyte i zniszczone, żeby komukolwiek się przydać. „I tak nie zmieściłaby się w twoim nowym mieszkaniu”, oświadczył ostro ojciec Zacha. Babcia patrzyła na ten kontener przez okno w salonie do ostatniej chwili przed odjazdem. Oryginał wisiał w Tate, a Zach szedł go zobaczyć zawsze, kiedy był w Londynie. Za każdym razem na jego widok ogarniała go nostalgia. Przypominał mu dzieciństwo, tak jak zapach spalonych tostów, miętówek polo i dymu z cygaretek. Teraz jednak patrzył na niego z perspektywy dorosłego człowieka, z perspektywy artysty. Chociaż może nie powinien już myśleć o sobie jako o artyście. Minęło wiele lat, odkąd skończył jakąś pracę, a jeszcze więcej, odkąd namalował coś, co warto byłoby komukolwiek pokazać. Naprawdę chciał, żeby kobietą na obrazie okazała się jego babcia, i często szukał w namalowanej postaci znajomych cech. Wąskich ramion, stosunkowo dużych piersi. Drobną postać ze smugą płowych włosów. To mogła być ona. Obraz opatrzono datą 1939. Któregoś razu, kiedy stali przed reprodukcją, babcia zdradziła mu szeptem, że tamtego lata razem z dziadkiem spędzili wakacje w Dorset, niedaleko letniego domu Aubreya, i że poznali artystę podczas spaceru.

Zach dopiero znacznie później uświadomił sobie możliwe znaczenie tych zwierzeń. Nigdy nie odważył się zapytać babci wprost o tamto lato, ale poszedłby o zakład, że gdyby to zrobił, zaśmiałyby się tylko i wzruszyła lekko ramionami. W jej oczach pojawiłby się znajomy błysk, a na ustach – cień uśmiechu. Z perspektywy czasu Zach rozumiał, że patrzyła na ten obraz z wyrazem twarzy zakochanej dziewczyny, wciąż w okowach młodszej miłości, chociaż minęło ponad siedemdziesiąt lat. Dało mu to do myślenia, ale, jak na złość, ojciec Zacha nie był nawet odrobinę podobny ani do Charlesa Aubreya, ani do dziadka Zacha. Z drugiej strony przed Zakiem nikt z jego rodziny nie trzymał w ręku pędzla ani szkicownika. Żaden z jego oficjalnych przodków nie wykazywał krzty skłonności artystycznych. Kiedy miał dziesięć lat, podarował dziadkowi swój najlepszy rysunek roweru bmx.

Wiedział, że jest dobry. Myślał, że dziadek się ucieszy i będzie pod wrażeniem, ale staruszek zamiast się uśmiechnąć, zmarszczył brwi i oddał Zachowi kartkę z lekceważącym komentarzem. „Nieźle, mały”.

Minął kolejny dzień, kiedy do galerii nie zajrzał prawie nikt. Jakaś starsza pani przez dwadzieścia minut obracała metalowy stojak na pocztówki, aż w końcu postanowiła nie kupować żadnej. Darzył ten stojak szczerą nienawiścią. Pocztówki z dziełami sztuki – ostatnia deska ratunku dla każdej poważnej galerii, a jemu nawet ich nie udawało się sprzedać. Zach zauważył, że biała drucziana konstrukcja jest zakurzona. Na każdym poziomym pręcie leżały maleńkie zaspę. Starł kilka mankietem, ale szybko się poddał i zamiast tego zaczął się zastanawiać nad ostatnim pytaniem, jakie zadał mu Ian podczas niedawnego spotkania: „W takim razie co zamierzasz zrobić?”.

Ogarnęło go wtedy coś na kształt paniki, a żołądek ścisnął mu się boleśnie, bo naprawdę nie miał pojęcia. Przyszłość, która się przed nim rysowała, była zupełnie nieokreślona i nie umiał znaleźć żadnego celu, do którego mógłby dążyć; żadnego przedsięwzięcia, które wydawałoby mu się dobrym pomysłem albo na które byłoby go stać. A kiedy spoglądał wstecz, wcale nie czuł się lepiej. Jego największy życiowy sukces, najwspanialsze osiągnięcie znajdowało się teraz tysiące kilometrów od niego, w Massachusetts, gdzie zapewne nabierało amerykańskiego akcentu i zaczynało o nim zapominać.

Kiedy oglądał się za siebie, widział, że wszystko, co starał się zbudować, okazało się ulotne i obróciło w pył, zanim się zorientował. Jego kariera artystyczna, jego małżeństwo, jego galeria. Naprawdę nie umiał wyjaśnić, jak to się stało – czy przeoczył jakieś ważne sygnały, a może popełnił jakiś fundamentalny błąd w swoim podejściu do życia. Myślał, że robi wszystko tak, jak należy; myślał, że ciężko pracuje. A teraz był rozwiedziony, zupełnie jak jego rodzice. Prawie jak jego dziadkowie, którzy marzyli o rozwodzie, ale nie pozwoliły im na to konwenanse. Zach widział na własne oczy, jakim pobożowiskiem może zakończyć się rozstanie, dlatego przysięgł sobie, że sam nigdy do tego nie dopuści. Przed ślubem był pewny, że ustrzeże się tych błędów, które mieli na koncie jego rodzice. Wpatrując się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, próbował prześledzić wątki swojego życia, cofając się do

miejsz i momentów, w których coś poszło nie tak.

Słońce powoli kryło się za dachami budynków. Podłogę galerii przecinały teraz długie, głębokie cienie, pojawiające się coraz wcześniej każdego dnia. Ścieliły się na wąskich uliczkach, gdzie blade wapienne fasady budynków rozciągały się po obu stronach niczym ściany kanionu. Podczas letnich upałów zapewniały cudowne schronienie przed palącym słońcem, żarem i lepkiem tłumem ludzi. Teraz wydawały się przytłaczające, złowrogie. Zach wrócił za biurko i opadł na krzesło, nagle zziębnięty i zmęczony. Uznał, że oddałby cały swój ziemski dobytek pierwszej osobie, która powiedziała mu jasno i wyraźnie, co powinien teraz zrobić. Miał wrażenie, że nie wytrzyma ani jednego dnia dłużej uwięziony w ciszy galerii, udręczony nieobecnością córki, od dawna byłej żony i klientów. Już postanowił się upić, potwornie i zupełnie idiotycznie, kiedy w ciągu pięciu minut zdarzyły się dwie rzeczy. Najpierw znalazł nowy rysunek Charlesa Aubreya, wystawiony na sprzedaż w katalogu domu aukcyjnego Christie's, a potem odebrał telefon.

Podniósł słuchawkę zamyślony, ze wzrokiem wbitym w opis rysunku, niezbyt zainteresowany rozmową.

– Galeria Gilchrist – rzucił.

– Zach? Tu David. – Krótkie słowa, wypowiedziane przyjemnym głosem, który nic mu nie mówił.

– O, cześć, Davidzie – odparł Zach, odrywając oczy od katalogu i usiłując odnaleźć w pamięci to imię, ten głos. Ogarnęło go dręczące wrażenie, że powinien się skupić.

Po drugiej stronie słuchawki rozległo się skonsternowane chrząknięcie.

– Tu David Fellows, wydawnictwo Haverley.

– Tak, oczywiście. Co słyhać, Davidzie? – odpowiedział za szybko Zach. Poczucie winy sprawiło, że zaczęły go mrowić koniuszki palców, tak jak w szkole, kiedy nauczyciel pytał go o pracę domową, której nie odrobił.

– Wszystko dobrze, dziękuję. Słuchaj, od dawna nie mieliśmy z tobą żadnego kontaktu. Prawdę mówiąc, minęło ponad półtora roku. Wiem, że uprzedzałeś, że potrzebujesz więcej czasu na dostarczenie

rękopisu i zgodziliśmy się na to, ale przychodzi taki moment, że wydawca zaczyna się zastanawiać, czy książka w ogóle powstanie...

– Tak, słuchaj, przepraszam za to opóźnienie.... Byłem... wiesz...

– Zach, jesteś człowiekiem nauki. Książkę się pisze tak długo, aż będzie napisana, i ja doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Dzwonię do ciebie, ponieważ ktoś inny przyszedł do nas ze szkicem tekstu o Charlesie Aubreyu...

– Kto?

– Chyba będzie bardziej dyplomatycznie, jeśli tego nie zdradzę. Ale to poważna oferta, pokazał nam połowę książki i planuje dokończyć ją w ciągu czterech, pięciu miesięcy. To by się ładnie zbiegło z przyszłoroczną wystawą w Narodowej Galerii Portretu... Tak czy inaczej, góra przekazała mi, że mam cię ponaglić, mówiąc delikatnie. Chcemy wydać nową, przekrojową pozycję o Aubreyu, i chcemy, żeby ukazała się latem przyszłego roku. To znaczy, że potrzebowalibyśmy dostać od ciebie rękopis w styczniu, najpóźniej w lutym. Co ty na to?

Ze słuchawką przyciśniętą do ucha, Zach wpatrywał się w rysunek Aubreya w katalogu. Przedstawiał młodego mężczyznę zapatrzonego w dal. Chłopak miał proste, jasne włosy wpadające do oczu, delikatne rysy, ostro zaznaczony nos i podbródek. Wydawał się krzepki, odrobinę nonszalancki. Jego twarz przywodziła na myśl mecze krykieta w szkołach dla chłopców, psoty w sali sypialnej, podkradanie kanapek i uczyty o północy. *Dennis*, taki nosił tytuł, został datowany na 1937 rok. Był to trzeci portret tego młodego mężczyzny autorstwa Aubreya, z jakim zetknął się Zach, a nowy rysunek wywołał w nim jeszcze silniejsze wrażenie, że coś jest nie w porządku. Jakby usłyszał dźwięk pękniętego dzwonu, jakąś fałszywą nutę.

– Co ja na to? – powtórzył Zach, chrząkając. „Nie da rady. Wykluczone”. Od ponad sześciu miesięcy nawet nie zajrzał do swojego niedokończonego manuskryptu i całych stosów notatek.

– Tak, co ty na to? Wszystko w porządku, Zach?

– Jasne, wszystko dobrze... Po prostu... – urwał.

Zarzucił pisanie tej książki – kolejny plan, który spalił na panewce – bo zapowiadała się jak każda inna książka, którą czytał o Aubreyu. Chciał napisać o nim coś nowego jako o człowieku i artyście,

coś, co pokazałoby go z innej strony, którą mógłby znać tylko krewny, jego zaginiony wnuk. Doszedł do połowy, zanim zorientował się, że nie zna takiej strony Aubreya. Tekst był przewidywalny i schematyczny. Podziw Zacha dla Aubreya i jego prac był aż nazbyt oczywisty, ale to nie wystarczało. Zebrał całą potrzebną wiedzę, sporządził niezbędne notatki, a temat go pasjonował. Brakowało mu tylko jednego: świeżej perspektywy. Powinien po prostu przyznać się do tego Davidowi Fellowsowi i mieć całą sprawę z głowy. Niech ten drugi spec od Aubreya opublikuje swoją książkę. Zach z przerażeniem zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie będzie musiał zwrócić wydawnictwu – skromną wprawdzie – zaliczkę. Przyszło mu do głowy, że nie ma pojęcia, skąd wytrząśnie taką kwotę, i prawie wybuchnął śmiechem.

Ale jego uwagę wciąż przykuwał rysunek w otwartym katalogu. *Dennis*. Jakie uczucia rysowały się na twarzy tego młodego mężczyzny? Trudno je było odczytać. W jednym momencie wydawał się widzowi melancholijny, zaraz potem złośliwy, a jeszcze później pełen smutku i żalu. Emocje zmieniały się jak światło w wietrzny dzień, jak gdyby artysta nie potrafił ich do końca uchwycić, nie umiał pokazać nastroju portretowanego chłopaka. A przecież było to specjalnością Charlesa Aubreya, właśnie na tym polegał jego geniusz. Umiał przedstawić uczucia jak nikt inny; oddać przelotną myśl i osobowość. Nakreślić je z taką wyrazistością i wprawą, że narysowane przez niego postaci ożywały. A jeśli wyraz twarzy na portrecie był enigmatyczny, to dlatego, że tak wyglądał tego dnia model. Aubrey potrafił oddać nawet enigmatyczność.

Ale to było coś innego. Coś zupełnie innego.

Ten portret wyglądał tak, jakby artysta nie mógł odgadnąć albo uchwycić stanu ducha modela. Zachowi wydawało się niemożliwe, żeby Charles Aubrey stworzył tak niepełny rysunek, ale kreska i cieniowanie były równie charakterystyczne jak podpis... Pozostawała jeszcze kwestia daty. Data musiała być błędna.

– Zrobię to – oświadczył nagle, zaskakując sam siebie. Napięcie w jego głosie sprawiło, że odpowiedź zabrzmiała obcesowo.

– Naprawdę? – David Fellows wydawał się zaskoczony i nie do końca przekonany.

– Tak. Dostarczę wam tekst na początku przyszłego roku. Najszybciej, jak będę mógł.

– Rozumiem... to świetnie. Bardzo mnie to cieszy, Zach. Przyznaję, że sądziłem, że gdzieś utknąłeś z tą książką. Wydawałeś się taki pewny, że masz coś nowego do powiedzenia na ten temat, ale kiedy czas zaczął uciekać...

– Tak, wiem. Przepraszam. Ale skończę ją.

– W takim razie w porządku. Świetna wiadomość. Przekażę górze, że moja wiara w ciebie była w pełni uzasadniona – powiedział David, a Zach odczytał podtekst tkwiący w jego słowach. Kryła się za nimi lekka obawa, delikatne ostrzeżenie.

– Oczywiście. Jak najbardziej – potwierdził Zach, czując, jak huczy mu w głowie od nadmiaru myśli.

– No dobrze, wobec tego zabieram się do pracy. I wybacz mi tę śmiałość, ale tobie radzę to samo.

Zach odłożył słuchawkę. Zaszło mu w gardle, więc odchrząknął, przerywając ciszę w galerii, a potem wsłuchał się w myśli, wirujące mu w głowie, i znów prawie się roześmiał. Od czego miałby zacząć? Na to pytanie istniała tylko jedna, oczywista odpowiedź. Spojrzał znów na katalog, szukając na dole strony proveniencji rysunku Dennisa. „Prywatna kolekcja w Dorset”. Anonimowy sprzedawca, tak jak wcześniej. Na rynku pojawiły się już trzy portrety Dennisa z tej tajemniczej kolekcji oraz dwa rysunki Mitzy. Wszystkie w ciągu minionych sześciu lat. Wszystkie wyglądały na studia do obrazów, których nikt nigdy nie widział. A Zachowi przychodziło do głowy tylko jedno miejsce w Dorset, w którym należało zacząć poszukiwania ich właściciela. Zerwał się na nogi i ruszył na górę, żeby się spakować.

W łóżku należącym niegdyś do jej matki, wciąż zapadniętym w miejscu, w którym leżało ciało Valentyny, nachodziły ją teraz wizje. Od tej nocy, gdy zobaczyła Celeste, jej sny zaludniały postacie, które dawno odeszły, dawno zmarły. Czekały, aż zamknie oczy, a wtedy zakradały się bliżej, stąpając cicho, wynurzając się z odległych kryjówek, i obwieszczały swoją obecność śladem zapachu, wyszeptanym słowem albo charakterystycznym wyrazem twarzy. Widziała ostre spojrzenie Celeste; poplamione farbą dłonie Charlesa; pytająco uniesione brwi Delphine; słyszała tupnięcie Élodie. Zobaczyła swoją własną matkę, zionącą ogniem. A razem z nimi pojawiały się uczucia, i każde z nich zalewało ją jak fala, tak że nie mogła złapać tchu. Unosiły ją daleko od brzegu, gdzie nie dosięgała stopami dna, nie mogła odpocząć i poczuć się bezpiecznie. Walczyła, żeby nie utonąć. Zanurzona w morzu zapamiętanych twarzy i głosów, falującym i wzburzonym, budziła się ze ściśniętym żołądkiem i głową pełną wspomnień, nie wiedząc, jakie to miejsce i czas. Każda z postaci miała do niej pytania; pytania, na które tylko ona mogła udzielić odpowiedzi. Chciały usłyszeć prawdę, chciały poznać jej motyw, chciały ją ukarać.

A kiedy jej oczy przyzwyczajały się do ciemności i dostrzegała blady zarys okna i znajomych mebli, wrzawa opadała i wracały złowrogie przeczucia. Wrażenie, że ktoś się zbliża i że za sprawą tego nieznanego wszyscy, których straciła, i wszyscy, których się lękała, zaczają się na nią w najciemniejszych zakątkach jej domu, tuż poza zasięgiem jej wzroku, czekając na okazję, żeby przedstawić swoje żądania. Będą domagać się prawd, które przez kilkadziesiąt lat ukrywała przed wszystkimi, czasem nawet przed sobą. Zdała sobie sprawę, że zaczną się tego domagać coraz głośniejsze. Jej żołądek ścisnęła panika. Urosną w siłę, jeśli nie zdoła ich jakoś powstrzymać. Leżała bezsennie, nucąc cicho, żeby ich nie słyszeć, i usiłowała wyczuć, czy zbliżający się przybysz będzie jej przyjacielem czy wrogiem.

Wieś Blacknowle leżała w niecce między wzgórzami na wybrzeżu Dorset, na wschód od wsi Kimmeridge i Tyneham – osobliwej wioski widma, którą Ministerstwo Wojny zajęło w 1943 roku na poligon dla

brytyjskiej armii, nigdy nie zwracając jej mieszkańcom. Rodzice Zacha zabrali go tam, kiedy był dzieckiem, podczas długiego weekendu sierpniowego, który spędzali w okolicy. Najdokładniej pamiętał zatokę Lulworth, bo jedli tam lody – które uwielbiał, ale rzadko dostawał – a idealny półksiężyc plaży wydał mu się nierzeczywisty, jak miejsce w jakimś zupełnie innym kraju. Wsuwał gładkie białe kamyki do kieszeni, dopóki podszewka się nie rozpruła, a później płakał, kiedy matka kazała mu je wyrzucić przed wejściem do samochodu. „Jeden możesz zatrzymać”, powiedział tata, rzucając zrzędlivej żonie piorunujące spojrzenie. Z perspektywy czasu Zach zastanawiał się, jak mógł nie zauważyć, że rodzice są ze sobą tacy nieszczęśliwi. W samym Blacknowle jego ojciec spacerował krótkimi uliczkami ze spojrzeniem pełnym wyczekiwania, jakby kogoś lub czegoś tam szukał. Cokolwiek to było, pod koniec wyjazdu z jego oczu zniknęło wyczekiwanie, a zastąpiła je spokojna rezygnacja i rozczarowanie. Na twarzy jego matki też malowało się rozczarowanie, chociaż innego rodzaju.

Zach jechał tak wąską ścieżką, że zakurzone liście trybuli leśnej uderzały w lusterka boczne. Na tylnym siedzeniu leżała pośpiesznie spakowana walizka i tekturowe pudło ze wszystkimi notatkami do książki o Charlesie Aubreyu. Było ich więcej, niż pamiętał. Uchwyty kartonu wgniotły się niebezpiecznie, kiedy wyciągnął go spod łóżka. Laptop w torbie obok pudła pełen był zdjęć Elise i sposobów na skontaktowanie się z nią; to wszystko, co zabrał ze sobą. „Nie”, poprawił się z żalem. „To wszystko, co mam”. Zza kolejnego zakrętu wyłoniła się wieś, ale droga ciągnęła się dalej na południe, tam, gdzie ziemia opadała, a później zniknęła w morzu. Zach poczuł nagle, że nie chce jeszcze być na miejscu. Nie miał sprecyzowanej koncepcji co dalej i poczuł, że ogarnia go niepokój, niemal strach, dlatego przyśpieszył i przejechał przez wioskę. Prawie dwa kilometry za Blacknowle ścieżka kończyła się niewielkim, zarośniętym chwastami parkingiem. Wisiało tam spłowiałe, pomarańczowo-białe koło ratunkowe i tablica bezceremonialnie ostrzegająca przed pływami i podwodnymi skałami. Pod kruszejącą krawędzią skał kołysało się szare morze, wzburzone i niespokojne.

Zach zastanawiał się, jaki powinien być jego następny krok. Wiedział, że domu, który Charles Aubrey wynajmował na lato, już nie

ma – ktoś już próbował go odnaleźć, ale budynek spłonął w latach pięćdziesiątych. Nie zachowały się nawet fundamenty. W latach sześćdziesiątych przez miejsce, w którym stał, poprowadzono drogę gminną tworzącą ogromną pętlę na południowy zachód od wsi. Przez kilka minut wpatrywał się w białą pianę. Woda wydawała się zimna i nieprzyjazna, gdy fale rozbijały się na skalistym wybrzeżu, kipiąc nieustannym ruchem. Słyszał ich huk przez świst wiatru, omiatającego jego samochód. Ten dźwięk i szare, mdłe światło nagle zaczęły napawać go rozpaczą; zdawały się odzwierciedlać pustkę w jego wnętrzu, nieznośnie ją przy tym potęgując. Miał wrażenie, jakby przestawał istnieć, więc próbował skupić myśli, żeby zwalczyć to poczucie.

Wszystko zaczęło się właśnie w Blacknowle. Problemy w małżeństwie dziadków, chłód w relacji dziadka i ojca Zacha, przez który jego tata tak cierpiał. To w tym miejscu Aubrey rzucił swój czar na rodzinę Zacha i to miejsce nadal żyło jego pamięcią. Tu odnajdywały się rysunki, które równocześnie musiały i nie mogły być dziełem Aubreya, tu po cichu wypływały na rynek z jakiejś kryjówki. Zach otworzył drzwi samochodu. Spodziewał się uderzenia zimna; skulił ramiona, przygotowany na to, że wstrząśnie nim dreszcz, nastawiony na atak, który nie nastąpił. Bryza była ciepła i wilgotna, a teraz, gdy brzmiała mu w uszach, słyszał w niej entuzjazm i ekscytację. Wydała mu się pełna energii i życia, nie przygnębiająca. Poczuł na skórze kropelki wody i miał wrażenie, że budzi się z transu, w który nieświadomie popadł. Wciągnął głęboko powietrze, a potem zamknął samochód i podszedł do krawędzi klifu. Wąska, nierówna ścieżka prowadziła przez jasnobrązowy piasek i kamienie na plażę. Wiedziony impulsem ruszył w dół, zsuwając się po rumowisku. Przeszedł między głazami na brzeg morza, przykucnął na ogromnym, płaskim kamieniu i zanurzył palce w wodzie. Była porażająco zimna. W dzieciństwie i tak by do niej wskoczył. Nigdy nie czuł zimna, chociaż widział zdjęcia, na których chudy, w mokrych, obwisłych kąpielówkach uśmiecha się od ucha do ucha zsiniałymi wargami znad kubelka krewetek.

Pod wodą zwykle kamienie mieniły się odcieniami szarości i brązu, czerni i bieli. Piana na pobliskich falach niekiedy miała niezdrowy, żółty kolor, ale woda była przejrzysta. „Niektóre rzeczy są za duże”, pomyślał

nagle Zach. Za duże, żeby cofnąć się i zobaczyć je w całości. Mogą się wydawać straszne i przytłaczające. Trzeba podejść bliżej, przyjrzeć się każdej z nich po kolei i najpierw zająć się tym, co da się ogarnąć wzrokiem. Zacząć od czegoś małego. Dopiero potem przejść do szerszej perspektywy. Wsunął palce z powrotem do wody i dotknął płaskiego kamienia z białym paskiem biegnącym przez środek. Pomyślał, że mógłby go namalować, i zaczął przeglądać w myślach farby, żeby znaleźć idealne połączenie kolorów, które oddałoby zimno wody i nieskazitelność kamienia. Nie był pewny, czy nadal umiałby to zrobić, ale minęło wiele, wiele miesięcy, odkąd miał choćby ochotę spróbować. Uspokojony wstał i wytarł dłoń o siedzenie dżinsów. Zaburczało mu głośno w brzuchu, więc wszedł do samochodu i wrócił do Blacknowle, gdzie wcześniej zauważył zachęcająco wyglądający pub.

Pub Pod Szmuglerską Latarnią był pochylonym budynkiem ze ścianami z wapienia portlandzkiego zwieńczonymi dachem krytym dachówką. Sezon dobiegał końca i z koszy umieszczonych na zewnątrz zwisały się suche i tykowane pędy brązowych lobelii. Na szyldzie widniała dziwaczna metalowa lampka z rączką na górze i długą, zwężaną dyszą z jednej strony – przypominała raczej nieudaną konewkę. Pub stał w centrum wioski, w grupce budynków stłoczonych wokół niewielkiego skwerku i skrzyżowania. Był to jedyny lokal usługowy, jaki zauważył Zach. Wypłowiałe logo piekarni Hovis wymalowane na ścianie jednego z domków świadczyło o tym, że sklep od dawna nie działa; skrzynka na listy na innym budynku była śladem po zamkniętej poczcie.

Wewnątrz pubu panował chłód i półmrok. Unosił się w nim znajomy cierpki zapach piwa i ludzi, którego nie maskował już dym z papierosów. Jakaś starsza para jadła rybę z frytkami przy niewielkim stoliku przy kominku, mimo że palenisko było puste i wymiecione na lato. Ich whippet powiódł smętnym wzrokiem za Zakiem, kiedy ten podszedł do baru, żeby zamówić duże piwo i kilka kanapek z szynką. Barman był przyjacielski i gadatliwy. Jego głos brzmiał zbyt donośnie w cichym pomieszczeniu; whippet wzdrygnął się na jego dźwięk.

Kilka innych osób w głębi pubu jadło lunch i rozmawiało ściszymi głosami. Zachowi zrobiło się nieswojo na myśl, że miałby

sam siedzieć przy stole, więc został przy barze. Wsunął się na stołek i ściągnął sweter.

– Wygląda, jakby było zimno, ale nie jest, prawda? Dziwny dzień – zagadnął wesoło barman, podając Zachowi piwo i przyjmując od niego pieniądze.

– Trafił pan w samo sedno – zgodził się Zach.

Barman uśmiechnął się z zaciekawieniem.

Mówił z akcentem z okolic Londynu, który nie pasował do jego stroju – starej flanelowej koszuli i płóciennych spodni, wystrzępionych i sfatygowanych wokół kieszeni i brzegów. Na oko dobiegał pięćdziesiątki. Siwe kosmyki otaczające łysinę na czubku głowy sięgały kołnierzyka.

– A co sprowadza pana do Blacknowle? Urlop? Szuka pan letniego domku?

– Nie, nie. Nic podobnego. W zasadzie... przyjechałem zebrać materiały – przyznał i poczuł się dziwnie, jakby teraz, gdy inni o tym wiedzieli, musiał zacząć inaczej się zachowywać. Udawać, że wie, co robi. – O artyście, który kiedyś mieszkał w pobliżu – ciągnął.

W lustrze za barem dostrzegł, że starsza para przy kominku zamarła, słysząc te słowa. Ich ruchy stały się wolniejsze, a później całkiem ustały. Przestali przesuwac jedzenie na talerzach, przestali przeżuwać. Wymienili spojrzenie, którego znaczenia Zach nie potrafił odczytać, ale na jego widok ciarki przeszły mu po karku. Barman też rzucił okiem w ich stronę, ale zaraz potem popatrzył na Zacha i uśmiechnął się.

– Idę o zakład, że chodzi o Charlesa Aubreya.

– Tak. Słyszał pan o nim? – zdziwił się Zach.

Barman wzruszył ramionami.

– Oczywiście. To tutejsza znakomitość. Lokalny celebryta. Kiedyś stale tu przyjeżdżał, jeszcze przed wojną. Nie żebym wtedy tu mieszkał, ale słyszałem o tym; mamy tu nawet jego zdjęcie, siedzącego przed naszym lokalem z kuflem w dłoni.

Zach odstawił piwo i podszedł do ściany po drugiej stronie sali, na której wisiała fotografia Aubreya w dziwacznej ramce upstrzonej martwymi muszkami. Powiększone zdjęcie było ziarniste. Zach widział

wcześniej jego przedruk w starej biografii artysty. Przeszył go dziwny dreszcz na myśl, że jest w tym samym pubie, do którego chadzał Charles Aubrey.

Przyjrzał się fotografii dokładnie. Promienie wieczornego słońca oświetlały twarz Aubreya z boku. Był wysokim mężczyzną, szczupłym i kościstym. Siedział na drewnianej ławce, krzyżując swoje długie nogi. Jedną dłoń miał opartą na kolanie, w drugiej dzierżył kufel piwa. Mrużył oczy na słońcu, odwracając częściowo twarz od światła, co uwydatniało jego kościsty nos, wysokie kości policzkowe i szerokie czoło. Szczękę miał mocno zarysowaną, kwadratową. Nie był klasycznie przystojny, ale nie dało się oderwać od niego oczu. Wbił w obiektyw zdecydowane, przenikliwe spojrzenie, z którego nie można było odczytać jego nastroju. To była twarz, na którą nie wystarczyło spojrzeć raz – fascynująca i trochę niepokojąca; jakby mogła przerażać, wykrzywiona gniewem, a kiedy indziej zarażać radością. Zach nie rozumiał, co w nim widziały kobiety, i to najwyraźniej wszystkie kobiety, ale nawet on czuł siłę tego mężczyzny i jego dziwny magnetyzm. Zdjęcie datowane było na rok 1939 – tego lata poznali artystę jego dziadkowie. Tego samego roku wybuchła wojna. Tego samego roku udręczony rozpaczą i żalobą Charles Aubrey wstąpił do pułku piechoty Royal Hampshire, później wcielonego do Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych, które wyruszyły do Europy Kontynentalnej na spotkanie z Hitlerem. A rok później zginął w chaosie bitwy pod Dunkierką. Jego ciało pochowano pośpiesznie na pobliskim cmentarzu, a towarzysze broni przywieźli jego nieśmiertelnik do kraju.

Kiedy Zach się odwrócił, zobaczył, że starszy mężczyzna przygląda mu się z poważnym wyrazem twarzy. Oczy miał w tak bladym odcieniu błękitu, że wydawały się niemal bezbarwne. Zach uśmiechnął się i skinął głową, ale mężczyzna wbił wzrok w pusty talerz, nie odwzajemniając pozdrowienia, więc Zach wrócił do baru.

– Zastanawiam się, czy zna pan w wiosce kogoś, kto mógłby pamiętać tamte czasy? Kto mógł znać Charlesa Aubreya? – zapytał barmana.

Mówił stłumionym głosem, ale w cichym pubie każdy mógł go usłyszeć. Barman uśmiechnął się cierpko i przez chwilę nie odpowiadał.

Nie spojrział na starszą parę. Nie musiał.

– Kilka osób by się znalazło. Niech no się zastanowię.

Para za nim wstała. Starszy mężczyzna pozdrowił właściciela pubu oszczędnym gestem, unosząc sękaty palec wskazujący, a później ujął żonę za ramię i skierował ją w kierunku drzwi. Whippet podreptał za nimi z podkulonym ogonem, stukając pazurkami o posadzkę. Kiedy drzwi się zamknęły, barman odchrząknął.

– Problem polega na tym, że ci, którzy go znali, mogą nie chcieć rozmawiać. Rozumie pan, przez te wszystkie lata o Aubreya pytało mnóstwo ludzi. Wywołał tu mały skandal jak na tamte czasy, a ponieważ nie pochodził z Blacknowle, większości mieszkańców nie podoba się, że jest tak kojarzony z tym miejscem.

– Jasne. Ale minęło już ponad siedemdziesiąt lat... chyba nie mają mu tego nadal za złe, prawda?

– Zdziwiłbyś się, kolego – stwierdził rozmówca Zacha z szerokim uśmiechem. – Mieszkam tu od siedemnastu lat, a od jedenastu prowadzę ten pub. We wsi nadal mówią o mnie „nowy”. Ludzie mają tutaj długą pamięć i potrafią chować urazę tak, że to się w głowie nie mieści.

W pierwszym tygodniu po przeprowadzce moja żona zatrąbiła klaksonem na owce blokujące przejazd. Nie zauważyła, że idzie za nimi farmer. I jedno wiem na pewno – ludzie nigdy nie zapomną jej tego braku cierpliwości.

– Ludzie mają o coś pretensje do Aubreya? Ale o co? – zapytał Zach.

Barman zamrugnął szybko i wyraźnie zwlekał z odpowiedzią.

– No cóż, jeśli mojej żonie mają za złe, że trąbiła na owce, to może pan sobie wyobrazić, co myśleli o człowieku, który przyjeżdżał tylko na lato, zarabiał pieniądze, malując prowokacyjne portrety młodych dziewcząt, i żył w grzechu z kochanką z zagranicy? I to wszystko w latach trzydziestych.

– Rzeczywiście, pewnie wywołał tym sensację. Ale jego obrazy nie wydają mi się prowokacyjne.

– Może nie dziś. Ale w tamtych czasach. Przecież nigdy nie malował pospolitych wieśniaczek, prawda? – Mężczyzna zachichotał, a Zach poczuł się dotknięty w imieniu Aubreya. – No i była jeszcze ta

druga sprawa...

– Druga sprawa?

– Na pewno słyszał pan o... tragedii, do której tu doszło?

– Och, tak, oczywiście. Ale... to był przecież tragiczny wypadek, prawda? Aubrey nie ponosił za niego żadnej winy.

– Powiedzmy, że nie każdy zgodziłby się z tym poglądem.

O proszę, pański lunch. – Ponura dziewczyna przyniosła Zachowi kanapki. Uśmiechnął się przy podziękowaniu, ale w odpowiedzi zatrzepotała tylko rękami ciężkimi od tuszu. Właściciel pubu przewrócił oczami. – Moja córka, Lucy. Uwielbia pracę u swojego staruszka, prawda, Lu?

Lucy bez słowa zniknęła z powrotem w kuchni.

– Więc pana zdaniem nikt niczego mi o nim nie powie? A może... może zna pan kogoś, kto ma jakieś obrazy Aubreya i mógłby mi je pokazać?

– Niestety, nie mogę pomóc. – Właściciel pubu oparł dłoń na blacie baru, przekrzywił głowę i wyglądał, jakby mocno się nad czymś zastanawiał. – Nie, naprawdę nie wiem. Dziś chyba są warte sporo grosza, co? Nie wydaje mi się, żeby miejscowi je mieli. A nawet jeśli kiedyś tak było, to dawno je sprzedali. W rejonie Blacknowle mieszkają głównie rolnicy. Pracują na roli albo przyjmują turystów, a żadne z tych zajęć nie przynosi fortuny.

– A gdybym... myśli pan, że gdybym zaproponował, że... zapłacę za informacje, a raczej wspomnienia o Aubreyu... myśli pan, że mógłbym wtedy coś zdziałać? – rzucił Zach, a barman znów zachichotał.

– To najkrótsza droga, żeby stać się tu wyrzutkiem – powiedział dobrodusznie.

Zach westchnął i na jakiś czas skupił się na kanapkach.

– Przez wieś przewija się pewnie mnóstwo turystów i letników; w takich warunkach łatwo się do nich zrazić. Rodzice zabrali mnie tu kiedyś na wakacje – do samego Blacknowle, do Tyneham i Lulworth. Mieszkaliśmy w domku nie dalej niż pięć kilometrów stąd. Przyjeżdżali tu też moi dziadkowie, właśnie w latach trzydziestych. Babcia pamiętała spotkanie z Aubreyem. Zawsze podejrzewałem... zawsze podejrzewałem, że miała do zapamiętania coś więcej niż zwykłe

spotkanie, jeśli wie pan, co mam na myśli – powiedział Zach.

– Coś podobnego? Przypuszczam, że nie ona jedna! Osobiście nie mam nic przeciwko turystom. Jeśli o mnie chodzi, to im więcej, tym lepiej. To lato było zbyt spokojne, wszystko przez beznadziejną pogodę. Zostaje pan w okolicy, żeby zebrać te materiały? Mam tu piękny pokoik na górze, gdyby był pan zainteresowany. Rano Lucy jest ponura jak chmura gradowa, ale przyrządza świetne śniadanie.

– Dziękuję. Ale... jeszcze o tym nie myślałem. Może przejdę się na spacer podziwiać widoki, które zainspirowały artystę, ale skoro nikt nie będzie ze mną rozmawiał i nikt nie ma obrazów, które mógłbym obejrzeć, to właściwie nie ma sensu, żebym zostawał – wyjaśnił Zach.

Właściciel rozważał przez chwilę jego słowa. Wycierał szklanki wyjęte ze zmywarki, spowity kłębamii pary unoszącej się spod lady. Jego twarz lśniła od wilgoci.

– Właściwie to mógłby pan spróbować w jednym miejscu – zaczął ostrożnie.

– Tak?

Barman ściągnął wargi i myślał nad czymś jeszcze przez chwilę. Później pochylił się i odezwał tak konspiracyjnym szeptem, że Zach prawie się roześmiał.

– Gdyby na spacerze przypadkiem trafił pan na ścieżkę prowadzącą na południowy wschód od wioski w stronę Farmy Południowej, a jakieś osiemset metrów dalej skręcił w lewo, doszedłby pan do domu zwanego Strażnicą.

– I...?

– I mieszka tam ktoś, kto mógłby porozmawiać z panem o Charlesie Aubreyu. Jeśli pan to dobrze rozegra.

– A jak powinienem to rozegrać?

– Trudno powiedzieć. Czasem jest rozmowna, czasem nie. Być może warto spróbować, ale nie usłyszał pan tego ode mnie. I niech pan będzie ostrożny – mieszka sama, a niektórzy ludzie chcą ją... chronić.

– Chronić? Tę kobietę?

– Ją. Siebie. Przeszłość. Nie chciałbym, żeby się rozeszło, że pomagam nieznanemu węszyć po okolicy. Widzi pan, ona nie jest zbyt towarzyska. Dawniej zaglądaliśmy do niej, ja i inni ludzie z wioski,

żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale dała nam jasno do zrozumienia, że nie ma na to najmniejszej ochoty. Woli, żebyśmy ją zostawili w spokoju. Co pan poradzi? Musi się tam czuć samotna, ale jeśli ktoś nie chce pomocy... – Wrócił do wycierania szklanek, a Zach uśmiechnął się.

– Dzięki.

– Och, proszę mi nie dziękować. Może z tego nic nie wyjść, uprzedzam. Pościelę dla pana łóżko na piętrze, co? Bierzemy czterdzieści pięć funtów za noc.

– Przyjmujecie karty kredytowe?

– Oczywiście.

– A przy okazji, nazywam się Zach. Zach Gilchrist. – Wyciągnął dłoń, a właściciel pubu uścisnął ją z uśmiechem.

– Pete Murray. Powodzenia w Strażnicy.

Znów zapadła w drzemkę po lunchu złożonym z jajek na twardo i liści sałaty. Dwie kury zaczynały gubić pióra. Miały przerzedzone pierze i wyglądały na osłabione. Kiedy nie znalazła pod nimi żadnych jaj, wymamrotała pod nosem: „Nieście się, nieście, ptaszyny, która się nie postara, ta trafi do gara”. Powtarzany bez końca wierszyk brzmiał jak zaklęcie, a wkrótce zamiast własnego głosu słyszała głos matki.

Valentina nawiedzała ją od czasu tamtego snu na jawie, tej wizji, złego przeczucia. Jej matka nie żyła już od dawna. Ona sama myślała, że Valentina zniknęła na zawsze i wcale jej to nie smuciło – czasem dręczyła ją tylko ta niekończąca się cisza, ten bezruch. Ale ostatnio przyłapała matkę na tym, że spogląda na nią przez złote źrenice rudego kota; zerka ze spiralnego pasma skórki obranej z jabłka. Dostrzegła jej maleńkie, odwrócone do góry nogami odbicie w rozdętej kropli wody, która zawsze zwisała z kuchennego kranu. Po nocy, kiedy szalała burza, nocy, kiedy ujrzała Celeste i tknęło ją przeczucie, znalazła w palenisku stary amulet. Wiatr wytrząsnął go z komina po prawie osiemdziesięciu latach – wysuszoną bryłkę starego mięsa wielkości jajka, przetykaną zardzewiałymi szpilkami, z których część dawno wypadła. I wtedy zaczęły się jej sny. To dlatego Valentina dostała się do środka; zdziwiło ją to, bo amulet powinien odstraszać tylko złe duchy. Chociaż może nie było w tym nic dziwnego.

Będzie musiała zrobić nowy amulet, i to szybko. Ale skąd wziąć serce młodego byka, w dodatku świeże, sprzed najwyższej doby? Jak zdobyć paczkę nowych szpilek, czystych i ostrych? Bez amuletu każdego dnia w domu mogli pojawić się nieproszeni goście. Drzwi były szeroko otwarte, zwłaszcza kiedy spała.

Ocknęła się z drzemki i dostrzegła błysk jasnych włosów, odbitych w szybie okiennej. Jasnych, matowych włosów z kruczoczarnymi odrostami; kiedy mrugnęła, odbicie zniknęło.

– Dzień dobry, mamó – szepnęła, żeby okazać uprzejmość. Żeby się nie narażać.

Wstała powoli, ostrożnie prostując plecy. Światło na zewnątrz wciąż było szare, ale dość jasne, by musiała zmrużyć oczy. Miała mnóstwo do zrobienia, zanim zapadnie zmrok. Musiała oporządzić wszystkie zwierzęta, znaleźć coś do jedzenia i sklecić nowy amulet do komina. Na razie nie mogła zrobić go tak, jak trzeba, ale potrzebowała czegoś, co pozwoli jej przetrwać – na początek wystarczyłyby osłony rybich jaj. Czyli na wybrzeże? Ostatnio rzadko tam chodziła, nie miała już dość siły. Nie lubiła się pokazywać. Ale jakaś stara osłona mogła się zawieruszyć gdzieś w domu, więc postanowiła jej poszukać, bo powrót Valentyny wytrącił ją z równowagi. Wytrącała ją z równowagi myśl, że matka może zauważyć, jak szuka osłon rybich jaj i odgadnąć, do czego ich potrzebuje. Kara byłaby straszliwa.

Odwróciła się od okna, ale w tym momencie znów coś rzuciło się jej w oczy. Nie Valentina ani żadna wizja. Człowiek. Mężczyzna. Serce stanęło jej w gardle. Był młody, wysoki i szczupły. Przez chwilę ośmieliła się mieć nadzieję, że to... Ale nie. Był trochę za niski, za szeroki w ramionach. Włosy miał zbyt jasne, zbyt krótkie. Oczywiście, że nie, oczywiście, że nie. Pokręciła głową. Turysta na spacerze, to wszystko. Niewielu przechodziło obok jej domku, bo ścieżka nie była wydeptana; nie powinien tu trafić. To był teren prywatny, jej teren, a droga urywała się za domem. Patrzyła, jak nadchodzi. Uważnie przypatrywał się Strażnicy, zwalniając kroku. Zaciekawiony. Kiedy zejdzie na dół, będzie musiał zawrócić i wspiąć się pod górę. A może to jeden z tych, którzy zaglądają jej w okna? Dwadzieścia lat wcześniej nikt wtedy nie chodził, ale te czasy już minęły. Nie lubiła intruzów. Czuła się

tak, jakby tuż poza zasięgiem jej wzroku wzbierała fala ludzi, coraz większa i bardziej wzburzona, by natrzeć na nią z całą siłą. Ale ten mężczyzna nie chciał przejść obok domu. Zmierzał ku drzwiom. Nie niósł niczego w rękach; nie miał żadnej odznaki ani munduru. Nie wiedziała, czego może od niej chcieć. Dreszcz uniósł włoski na jej ramionach. A więc to on. To jego nadejście przeczuła. Valentina zatańczyła w smudze światła na ścianie imbryka z herbatą, ale ona nie umiała ocenić, czy było to ostrzeżenie, czy zwykła radość.

Zach zapukał i nasłuchiwał przy drzwiach, usiłując dosłyszeć wewnątrz cokolwiek przez szum morza i huk wiatru. Strażnica była długą, niską chałupą, z górnym piętrem wbudowanym w kryty strzechą dach. Słoma była ciemna i nierówna, głęboko zapadnięta w niektórych miejscach; wzdłuż kalenicy i wokół komina rosły spore kępki trawy i niezapominajek. Zach wiedział o strzechach tyle co nic, ale nie miał wątpliwości, że ta wymaga natychmiastowej wymiany. Kamienne ściany były pobielone. Budynek stał zwrócony na zachód na szczycie długiego zbocza, które opadało ku dolinie, gdzie Zach widział rozproszone budynki gospodarcze, oddalone o niecały kilometr. Droga do domku była sucha i kamienista, ale wyglądała tak, jakby ulewa mogła zamienić ją w błoto. Biegła od północy w kierunku jednego krańca domu, więc Zach zorientował się, że wewnątrz jest miejsce na jeden pokój. Z tyłu znajdowało się podwórko otoczone wysokim murem, a za nim rosła niewielka kępa buków i dębów, pamiątka po poprzednim stuleciu. Bryza przemykała między gałęziami drzew, szeleszcząc suchymi liśćmi i zapowiadając nadchodzącą jesień.

Zach zapukał raz jeszcze, tym razem głośniejsze. Jeśli dom stał pusty, to wrócił do punktu wyjścia i niepotrzebnie zapłacił za nocleg.

Odwrócił się i spojrzał na rozciągający się przed nim widok, wspaniały i rozległy. Niedaleko za Strażnicą rysował się klif, w tym miejscu znacznie wyższy, sięgający jakichś dziesięciu metrów. Poniżej, w dole zbocza, widział drogę, którą wcześniej jechał samochodem – prowadziła wzdłuż bruzdy doliny aż do miejsca, gdzie brzeg zanurzał się w wodzie. Ścieżka dla pieszych biegła w głąb lądu po wschodniej stronie małego parkingu, przecinając pastwisko, a później drogę do Strażnicy wyżej w kierunku wsi. Nie rozumiał, czemu wytyczono ją w ten sposób,

zamiast wzdłuż krawędzi klifu, więc wychylił się w tył, usiłując zajrzeć za tylną ścianę domu. I wtedy drzwi się uchyliły.

Twarz, która zza nich wyjrzała, była pokryta zmarszczkami i kredowobiała ze strachu. Zobaczył starą kobietę z kaskadą siwych włosów wiszących luźno wokół jej twarzy. Miała obwisłe, głęboko żłobione policzki i zgarbione plecy, więc żeby popatrzeć na Zacha, musiała lekko przekrzywić głowę. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, zrobiła krok w tył, jakby zmieniła zdanie i zamierzała zatrzaskać przed nim drzwi, ale potem zastygła w bezruchu. Orzechowozielone oczy wpatrywały się w niego z wielką podejrzliwością i nieufnością.

– Dzień dobry... przepraszam, że przeszkadzam... – urwał na wypadek, gdyby chciała się z nim przywitać, ale nie otworzyła ust. Miała szerokie usta o wąskich wargach, na których nadal widoczne było wspomnienie dawnej wypukłości i delikatny zarys górnej wargi. – Ja... nazywam się Zach Gilchrist i słyszałem... to znaczy, miałem nadzieję, że mógłbym zamienić z panią kilka słów na pewien temat? Jeśli to nie za duży problem, jeśli nie jest pani zajęta?

Po jego słowach nastąpiła długa pauza. Zachowi zaczął ciężyc uprzejmy uśmiech, w którym rozciągnął wargi, ale usiłował za wszelką cenę utrzymać go na twarzy.

Morska bryza wdarła się do domu przez uchylone drzwi, unosząc za sobą pasma siwych włosów kobiety, poruszając nimi delikatnie, jak wodorostami pod wodą.

– Zajęta? – odpowiedziała wreszcie cicho.

– Tak, jeśli jest pani teraz zajęta, mógłbym... wrócić kiedy indziej? Jeśli wolno?

– Wrócić? – powtórzyła, a wtedy Zach przestał się uśmiechać, bo przestraszył się, że kobiecie pomieszało się w głowie ze starości i nie rozumie, o co mu chodzi. Wziął uspokajający oddech i już miał się pożegnać, rozczarowany obrotem sprawy, kiedy znów się odezwała: – O czym chce pan rozmawiać? – mówiła z tak silnym dorseckim akcentem, że słowa brzęczały mu w uszach, a przy tym ciężko ją było zrozumieć przez osobliwą intonację.

Zach przypomniał sobie radę Pete'a Murraya, żeby dobrze to rozegrać. Nie miał pojęcia, co zadziała, ale instynktownie przywołał

wątek rodzinny.

– Moja babka знаła Charlesa Aubreya. Poznała go tutaj podczas letnich wakacji, jeszcze przed wojną. Charlesa Aubreya, tego artystę, wie pani? Właściwie... zawsze się zastanawiałem, czy to nie on był moim prawdziwym dziadkiem. Wydaje mi się, że mogli mieć romans. Czy pani go może pamięta? Albo ją? Może mogłaby mi pani coś o nim powiedzieć?

Kobieta stała jak posąg, ale jej usta powoli rozchyliły się i Zach usłyszał, jak bierze oddech; długi, urywany, przypominający krzyk w zwolnionym tempie.

– Czy go pamiętam? – szepnęła, a Zach już miał jej odpowiedzieć, kiedy zdał sobie sprawę, że i tak by go nie usłyszała. Zapatrzyła się w przestrzeń. – Czy go pamiętam? Wie pan, mieliśmy się pobrać – wyznała, mrugając i podnosząc na niego wzrok z leciutkim uśmiechem.

– Pobrać? Naprawdę? – zapytał Zach, usiłując dopasować tę wiadomość do tego, co wiedział o życiu Aubreya.

– O tak. Uwielbiał mnie. A ja uwielbiałam jego. Łączyła nas wielka miłość! Jak Romea i Julię. Tylko prawdziwa. Och, jakże prawdziwa – powtórzyła z naciskiem.

Zach uśmiechnął się na widok błysku w jej oczach.

– To wspaniale. Tak się cieszę, że znalazłem kogoś, kto ma o nim dobre wspomnienia... Czy zechciałaby pani opowiedzieć mi trochę więcej? O nim?

– Odrobinę mi go pan przypominał, kiedy zobaczyłam pana na drodze. Teraz już chyba nie. Raczej nie. Nie sądzę, żeby mógł pan być jego wnukiem. Nie sądzę. Nie kochał nikogo oprócz mnie...

– Być może, ale miał przecież... miał inne... kobiety – zaczął niepewnie Zach, ale od razu tego pożałował, widząc, jak jej twarz tężeje. – Czy mógłbym wejść do środka? Opowiedziałaby mi pani o nim coś więcej – zaproponował z nadzieją.

Kobieta rozważała jego propozycję; jej policzki zaróżowiły się lekko.

– Inne kobiety – mruknęła z irytacją. – Dobrze, proszę wejść. Zaparzę herbatę. Ale nie jest pan jego wnukiem. To na pewno. – Cofnęła się, żeby wpuścić go do domu, a Zach pomyślał, że nie wydaje się do

końca przekonana do własnych słów. Szybko przetrząsnął pamięć w poszukiwaniu listy kochanek Aubreya, żeby odgadnąć, którą z nich może być ta staruszka.

Za drzwiami powitał go ciemny przedpokój, z którego wchodziło się po drewnianych stopniach ze starych, popękanych desek. Dalej zobaczył więcej drzwi, na wprost i po obu stronach, a staruszka poprowadziła go w prawo, do kuchni w południowym krańcu domku, z oknami wychodzącymi na południe i zachód, na morze. Podłoga wyłożona była ogromnymi, wytartymi kamiennymi płytami. Z pobielonych niegdyś ścian odpadał spękany tynk, a sufit zapadał się nisko nad krzywymi belkami. Nie było tu mebli robionych na wymiar, tylko różne drewniane szafki, kredensy i komody, ustawione tak, by jak najlepiej wpasować się w dostępną przestrzeń. Elektryczna kuchenka miała jakieś pięćdziesiąt lat, ale wszystko było czyste i uporządkowane. Zach tkwił zakłopotany za swoją gospodynią, kiedy napełniała czajnik, nowoczesne urządzenie z lśniącym białym plastikiem, zupełnie niepasujące do reszty. Poruszała się pewnie i zdecydowanie, mimo wieku i wypukłości na plecach. Nawet wyprostowana nie byłaby wysoka i wydawała się bardzo szczupła. Miała na sobie długą, bawełnianą spódnicę w niebiesko-zielone tureckie wzory, spod której wystawały męskie skórzane buty robocze. Całości dopełniał długi, bezbarwny sweter i brudne czerwone rękawiczki bez palców. Długie siwe włosy powiewały za nią, kiedy się obracała, i nagle Zach niemal zobaczył ją w młodości – krągłość jej ciała, ruchy pełne wdzięku. Zastanawiał się, jakiego koloru była ta burza włosów.

– Właśnie się zorientowałem, że nie wiem, jak się pani nazywa – stwierdził.

Wzdrygnęła się, jakby zapomniała, że tam jest.

– Hatcher. Panna Hatcher – wyjaśniła, dziwacznie pochylając głowę w geście będącym dalekim echem ukłonu.

– Ja mam na imię Zach – powiedział, a ona rzuciła mu szybki uśmiech.

– Wiem – odpowiedziała.

– Tak, oczywiście.

Spuściła wzrok i odwróciła się w stronę kredensu, żeby wyjąć

czyste kubki, i znów dostrzegł w niej coś na kształt dziewczęcej nieśmiałości. Jakby jej dusza pozostała młoda, chociaż ciało wokół niej zwiędło. „Hatcher, Hatcher”. To nazwisko brzmiało znajomo, ale nie pamiętał dlaczego.

Z gotową herbatą przeszli do salonu po północnej stronie domu, gdzie czekały na nich wytarte, zapadnięte fotele i kanapa, ustawione wokół kominka poczerniałego od setek lat używania. W pokoju unosił się cierpki, gryzący zapach pyłu, soli, drewna i kurzu.

– Proszę, proszę siadać – powiedziała panna Hatcher ze swoim silnym akcentem.

– Dziękuję. – Zach wybrał fotel przy oknie. Na parapecie spał rudy kot, mały i chudy. Z pyszczka zwisała mu kropla śliny. Odkąd Zach wszedł do jej domu, panna Hatcher wydawała się gościnna i rozmowna. Usiadła na brzegu krzesła ze ściśniętymi kolanami, opierając na nich dłonie jak dziecko.

– W takim razie proszę pytać, panie Gilchrist. Co pana babka mówiła o moim Charlesie? Kiedy jej zdaniem mieli się poznać?

– Och, to musiało być w trzydziestym dziewiątym roku. Przyjechała do Blacknowle z moim dziadkiem na wakacje i któregoś dnia poznali Aubreya na spacerze. Siedział gdzieś na klifie i malował albo rysował. W każdym razie, babcia była nim bardzo zauroczona...

– W trzydziestym dziewiątym? Trzydziesty dziewiąty... czyli miałam szesnaście lat. Szesnaście! Wyobraża sobie pan? – powiedziała z uśmiechem, podnosząc wzrok na popękany sufit.

Zach dokonał w myślach szybkich obliczeń.

Czyli teraz miała osiemdziesiąt siedem lat. Gdy uniosła podbródek, zobaczył delikatny meszek pokrywający jej szczękę. Odparł:

– Tamtego lata pogoda ponoć nie dopisała. Babcia zawsze powtarzała, że mieli nadzieję na kąpiel w morzu, ale było na to za zimno...

– Większość dni była szara. Zima trzymała bardzo długo – śnieg leżał jeszcze w marcu, a wiało tak, jakby ktoś zostawił na wzgórzach otwarte drzwi... Prawdziwa zimnica. Zdechła nam świnia. Chorowała już wcześniej, ale dobił ją ten ziąb. Był plan, żeby zasolic całe mięso, ale tak zmarzły nam ręce od masowania martwego ciała, że skończyło się na

odmrożeniach. Palce miałam koloru maków. Och, nie ma gorszego pieczenia niż to! Nie pomagały ani obierki z pasternaku, ani gęsi tłuszcz. Po czymś takim marzyło się o gorącym lecie, nawet gdyby oznaczało suszę. Żeby tylko wyschnąć i się rozgrzać, ale nie było nam to dane. O nie. Tamtego roku słoneczne dni zdarzały się rzadko. Nawet późnym latem, kiedy nie padało, niebo było zachmurzone. Słońce wydawało się smutne, żałosne.

– Nam? A z kim pani mieszkała?

– Mając szesnaście lat? Z moją matką, oczywiście! Za kogo pan mnie ma?

– Przepraszam, nie miałem na myśli... Proszę mówić dalej. Jaki był Aubrey? – zapytał Zach, zaskoczony, że panna Hatcher pamięta takie szczegóły, jakby od tamtych wydarzeń upłynęły dwa albo trzy lata, a nie siedemdziesiąt jeden.

– Jaki był? Trudno to opisać. Był jak pierwszy ciepły dzień wiosny. Nikt nie mógł się z nim równać. Nikt nie znaczył dla mnie więcej. – Z jej twarzy zniknął uśmiech pełen zachwyty, a zastąpił go cień żalu. – Wtedy trzeci raz przyjechali spędzić tu lato. Mój Charles i jego córki. Poznałam je dwa lata wcześniej, kiedy sama właściwie byłam jeszcze dzieckiem. Bez przerwy mnie rysował, wie pan. Uwielbiał mnie rysować...

– Tak, Aubrey namalował też moją babkę... Miała ten obraz...

– Obraz? Namalował ją? Prawdziwy obraz? – Panna Hatcher przerwała mu, marszcząc nerwowo czoło.

– Tak... wisi teraz w londyńskiej galerii. Jest dosyć znany. Tytuł to *Spacerowiczka*. W oddali widać moją babcię, jak idzie wzdłuż klifu w słoneczny dzień. – Zach umilkł i przyglądał się twarzy staruszki. Jej oczy rozbłysły rozpaczą, a wargi rozchyliły się lekko, wypowiadając ciche słowa.

– Namalował ją? – wyszeptała z tak bezbrzeżnym smutkiem, że Zach nie odpowiedział. Zapadło ciężkie milczenie. – Ale... w oddali, tak pan mówi?

– Tak, jej postać na obrazie ma tylko kilka centymetrów.

– I nie szkicował jej? Nie ma żadnych szkiców z bliska?

– Nie. O ile mi wiadomo.

Pannę Hatcher najwyraźniej to uspokoiło, bo odetchnęła swobodniej.

– No cóż, mogła być jedną z wielu osób, które przypadkiem spotkał. Zawsze bardzo interesował się ludźmi, łatwo się z nim rozmawiało. Właściwie to może pamiętam pana dziadków... to możliwe. Czy pana dziadek miał czarne włosy? Kruczoczarne, czarne jak smoła?

– Tak! Miał! – Zach uśmiechnął się z zadowoleniem.

Stali razem – Charles i Celeste z córeczkami – a z nimi ta nowa para, nieznajomi, których nigdy wcześniej nie widziała. Letnicy – zawsze było ich sporo. Szła ścieżką, bo w nocy padało i na polach leżało błoto – czerwone, gliniaste błoto z półwyspu, na którym stała Strażnica, i białe, kleiste błoto z kredowych wzgórz na zachodzie. Nieznajoma kobieta miała na sobie luźne spodnie z pięknego płowego diagonalu i cienką białą bluzkę, wsuniętą do środka; a chociaż trzymała swojego towarzysza pod ramię, nie ulegało wątpliwości, że jest urzeczona Charlesem, bo pochylała się w jego kierunku tak, jakby nie mogła się powstrzymać. Ściągnana siłą przyływu. Tymczasem ona sama miała nadpruty rąbek u spódnicy, a rękawy bluzki podziurawione od krzewów jeżyn. Sól niesiona morską bryzą splątała jej włosy w dziki gąszcz, który wyglądał jak plecha morszczyków. Idąc, założyła je za uszy, zawstydzona. Nie chciała rozmawiać z tymi nieznajomymi. Trzymała się z tyłu, krążąc wokół nich i żałując, że nie słyszy, co mówią. Nieznajomy mężczyzna powiedział coś, co Charles skwitował śmiechem. Zalała ją fala gorąca, gniewu. Wtedy nieznajomy spojrzał w jej stronę. Światło zaśniło na jego włosach, a właściwie zniknęło w nich – nigdy dotąd nie widziała tak czarnych włosów. Były czarniejsze niż smoła, czarniejsze niż skrzydła wrony, bez śladu zieleni czy błękitu, którymi połyskiwały pióra ptaka. Ich oczy spotkały się, ale zaraz odwrócił wzrok, żeby skierować go znów na Aubreya i Celeste. Zignorował ją, jakby była nikim. Znów ten ogień i gniew. Ale wtedy zauważyła ją Delphine i podeszła bliżej, dając jej znaki dłonią. Chciała gdzieś razem iść. Więc nigdy nie dowiedziała się, ile czasu spędzili na rozmowie; jej Charles i ta nieznajoma, która oddawała mu się każdym najdrobniejszym gestem.

– Więc przypuszcza pan, że złamała przysięgę małżeńską? – zapytała panna Hatcher.

Zach wzruszył ramionami.

– Och, byli wtedy zaręczeni, nie mieli jeszcze ślubu. Oczywiście, i tak nie powinna była tego robić, nie powinna była zdradzić mojego dziadka. Ale to się zdarza, prawda? Życie nigdy nie jest czarno-białe.

– Zdarza, zdarza... – powtórzyła panna Hatcher, ale Zach nie był pewny, czy zgadza się z nim, czy nie. Miała smutny wyraz twarzy, więc spróbował zmienić temat.

– Może nie złamała przysięgi. Może po prostu miło go wspominała, lecz nic między nimi nie zaszło. Wiem, że niespecjalnie przypominam go z wyglądu... Poza tym podobno miał zwierzęcy magnetyzm. Ja z całą pewnością go nie mam – uśmiechnął się.

Panna Hatcher zlustrowała go od stóp do głów.

– Nie, nie ma go pan – przyznała.

Zach poczuł się lekko dotknięty.

– Ale... maluję. Więc może moja artystyczna strona...

– Czy jest pan dobrym malarzem?

Na zewnątrz wyszło słońce i nagle ją oświetliło. Promienie wydobyły cienie pod jej oczami i zapadnięte policzki. Miała twarz o lekko sercowatym kształcie, z szeroko rozstawionymi oczami i delikatnie zarysowanym podbródkiem, teraz niemal ukrytym pod obwisłą skórą. Zacha przeszył nagły dreszcz zrozumienia, fizyczne doznanie.

– Znam pani twarz – wypalił bez zastanowienia.

Starsza kobieta spojrzała na niego, a na jej ustach pojawił się ślad uśmiechu.

– Może pan powinien – przyznała.

– Dimity Hatcher? Mitzy? – zapytał zdumiony. – Nie mogę w to uwierzyć! Powiedziała pani, że bez przerwy panią rysowałem, ale nie zdawałem sobie sprawy... – pokręcił głową, osłupiały. Tym, że żyje. Tym, że ją odnalazł i że najwyraźniej nikomu innemu się to nie udało.

Uśmiechała się teraz z zadowoleniem; uniosła brodę, spróbowała wyprostować ramiona. Ale słońce schowało się znów za chmurami i wrażenie zniknęło. Wspomnienie jej niegdysiejszego piękna rozwiało się. Znów była starą, bezbarwną, zgarbioną kobietą, która z zakłopotaniem próbowała przygładzić włosy jak mała dziewczynka.

– Miło usłyszeć, że po tych wszystkich latach nie zmieniłam się tak bardzo – powiedziała.

– Tak – potwierdził Zach najbardziej przekonująco, jak potrafił. Milczał przez chwilę, usiłując uporządkować myśli. – W mojej galerii wisi pani portret! Patrzę na niego codziennie, a teraz siedzę tu z panią twarzą w twarz. To... niesamowite! – Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Który to portret?

– Nosi tytuł *Mitzy zrywa*. Widać panią od tyłu, ale zerka pani przez ramię. Nie do końca, ale prawie, i wkłada pani coś do koszyka...

– A tak, pamiętam go. – Złożyła dłonie z zadowoleniem. – Tak, oczywiście. Nigdy mi się nie podobał. To znaczy, nie rozumiałam, czemu ma służyć, w końcu nie było na nim widać mojej twarzy.

Wcale nie zrywała ziół, tylko je przebierała. Delphine zerwała je wcześniej, a wracając poprosiła Dimity o przejrzenie jej znalezisk, zanim trafią do kuchni. Mitzy szła właśnie do wioski załatwić coś dla Valentyny. Matka wpadłaby w szał i obrzuciła ją wyzwiskami, gdyby sprawunki zeszyły jej zbyt długo, dlatego Mitzy szybko przerzucała rośliny palcami, usuwając liście mleczy, które Delphine wzięła za lubczyk, wybierając gwiazdnicę spomiędzy rumianku. Przez cały poranek nie mogła się pozbyć z głowy natrętnej piosenki. Wtedy znów się jej przypomniała, więc nuciła ją pod nosem, zniecierpliwiona. „Wyszłam na spacer, szukając wytchnienia, nad samą rzekę zawiodły mnie nogi; tam usłyszałam łkania dziewczyny, że Jimmy zginie na wojnie, jej drogi...” Nagle urwała, słysząc za sobą ciche echo melodii, śpiewanej głębokim, męskim głosem – jego głosem. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł jej dreszcz jak szorstkie muśnięcie kociego języka. Zastygła w bezruchu. W ciszy, która zapadła, słyszała, jak ołówek delikatnie skrobie po kartce papieru. To było jak cień pieśczoły. Wiedziała, że nie może się poruszyć, wiedziała, że to by go zirytowało. Więc pracowała dalej, choć myślami była gdzie indziej. Zostawiała żdźbła trawy między szczypiorkiem, pozwalała liściom jaskrów uchodzić za rukiew wodną. A przez cały czas czuła go za sobą, czuła na sobie jego wzrok. Miała wrażenie, jakby rozbudził w niej wszystkie zmysły. Nagle poczuła słońce, rozlewające się żarem na jej włosach, dotyk wiatru na odsłoniętej skórze w dole pleców, w miejscu, gdzie podwinęła się jej bluzka. Na

skrawku skóry, który nagle wydał się jej całkowicie, lubieżnie obnażony. „W dłoni ścisnęła kwiaty, policzki miała różane...” – śpiewała dalej i usłyszała, że i on nuci za nią melodię, i poczuła, jak ten dźwięk wypełnia jej serce po brzegi.

– Jakiego koloru miała pani włosy? – zapytał nagle Zach. Dimity zamrugła kilka razy. Wyglądała, jakby wróciła myślami z bardzo daleka. – Przepraszam, nie chciałem pani urazić...

– Charles mówił, że są brązowe – odpowiedziała cicho. – Powiedział, że w promieniach słońca wyglądają jak polerowany metal; jakbym była pomnikiem Persefony, w który tchnięto życie.

Zach przywołał z pamięci wszystkie portrety Mitzy – a było ich bardzo wiele – i nadał ten kolor jej niesfornym włosom, naszkicowanym długimi, hojnymi pociągnięciami ołówka Aubreya. Tak. Teraz to widział, jakby ten kolor zawsze tam był i tylko czekał, aż Zach go dopasuje.

Nagle z góry dobiegł ich jakiś stłumiony dźwięk. Głuchy odgłos, jak gdyby coś spadło na podłogę, cichszy stukot, jakby odbiło się od niej, tylko raz, i skrzypnięcie deski pod ciężarem stopy.

Dimity podniosła oczy na sufit i czekała, może sądziła, że wydarzy się coś jeszcze. Zaintrygowany Zach również spojrział w górę na krokiew pokrytą sadzą, jak gdyby mógł przeniknąć ją wzrokiem.

– Co to było? – zapytał.

Dimity patrzyła na niego przez chwilę tak, jakby wcale się nie odezwał, a później wyraz jej twarzy zmienił się i pojawił się na niej strach.

– Och, nic. Zupełnie nic. Tylko... myszy – powiedziała szybko. Palcami wystającymi z czerwonych rękawiczek bawiła się włosami, nawijając nań wystrzępione końcówki. Odwróciła wzrok, przesuwając nim po ścianie.

– Myszy? – rzucił z powątpiewaniem Zach. Brzmiało mu to na coś większego.

Staruszka zastanawiała się dłuższą chwilę. Kołysała stopami raz w jedną, raz w drugą stronę – od pięt do palców i na odwrót.

– Tak. Nie ma się czym przejmować. Zwykłe myszy.

– Jest pani pewna? Mam wrażenie, że ktoś coś upuścił.

– Jestem pewna. Nie ma tam nikogo, kto mógłby coś upuścić. Ale może później to sprawdzę. No dobrze, na pana chyba już czas? Herbata wypita? – zapytała, wstając sztywno i wyciągając dłoń po kubek.

Wydawała się zaniepokojona, nieobecna. Zachowi zostało jeszcze pół kubka, ale i tak jej go oddał. Miał niebezpiecznie nadtłuczony brzег, a herbata smakowała skwaśniałym mlekiem.

– Okej, jasne. Bardzo miło było panią poznać, panno Hatcher. Dziękuję za herbatę i za rozmowę.

Prowadziła go do wyjścia, krążąc wokół niego ze spuszczoneym wzrokiem.

– Tak, tak... – odpowiedziała z roztargnieniem. Otworzyła z rozmachem drzwi, wpuszczając do domu ciepłą, świeżą bryzę i wszystkie odgłosy morza. Zach posłusznie wyszedł. Na progu wytartym wieloma krokami powstało wgłębienie, w którym zgromadziła się woda; szczeliny i rysy w kamieniu porastał mech.

– Mógłbym jeszcze panią odwiedzić? – zapytał. Zaczęła odruchowo kręcić głową. – Byłbym niezmiernie wdzięczny... Jeśli pani chce, mógłbym przynieść ze sobą rysunki Aubreya, pani portrety. Oczywiście, nie oryginały, tylko przedruki... w książkach. Mogłaby mi pani opowiedzieć o tym, jak je rysował... co robiliście tego dnia. Na przykład – rzucił na próbę.

Wydawała się rozważać jego słowa, znów bawiąc się końcówkami włosów. Potem skinęła głową.

– Tylko proszę mi przynieść serce.

– Przepraszam... co przynieść?

– Serca młodego byka, sprzed najwyższej doby. Jest mi potrzebne. I trochę szpilek. Nowych – dodała.

– Serce byka? Jak to? Prawdziwe? Po co, na Boga...

– Młodego byka, i to sprzed najwyższej doby, niech pan się upewni. – Niecierpliwie zamykała przed nim drzwi, myślami będąc już gdzie indziej.

– No dobrze. Na pewno... – Drzwi zatrzasnęły się i nagle Zach miał przed sobą tylko ich bielone deski. – Na pewno to sprawdzę – dokończył.

Odwrócił się plecami do domu i spojrzał w niebo, olśniewająco

białe i w różnych odcieniach szarości. Dimity Hatcher. Cała i zdrowa, i nadal w Blacknowle – chociaż minęło tyle lat, odkąd Aubrey ją rysował. Zach nie mógł w to uwierzyć. Mieszkała tu, ale nikt jeszcze jej nie odnalazł. Przejrzał w pamięci wszystkie książki, jakie kiedykolwiek przeczytał o Aubreyu. Większość skupiała się na jego życiu w Londynie, dorastaniu w Sussex, artystycznym stylu życia czy związku z Celeste. Kilka opisywało Blacknowle i Dimity Hatcher, ale tylko w kontekście sztuki i roli tych portretów w jego twórczości. Nie, był tego pewny. Żaden biograf nie rozmawiał bezpośrednio z Dimity o Aubreyu. Uśmiechnął się do siebie i zaczął się zastanawiać, skąd wytrzasnąć serce młodego byka i opakowanie szpilek.

Zamiast wrócić na drogę do wioski, ruszył w stronę morza i przeszedł jakieś sto metrów do krawędzi klifu. Podszedł najbliżej, jak się odważył, bo trawiasty brzeg stawał się coraz mniej stabilny i bał się, że pod stopami ma niemalże wyłącznie warstewkę darniny, zwieszoną niebezpiecznie nad zboczem. Niskie fale rozbijały się o skalne płyty, osuwające się stromo do wody w połowie klifu. Nie widział żadnej drogi w dół, a skały wyglądały groźnie – tworzyły ostre bryły, ukryte częściowo w wodzie. Kiepskie miejsce na pływanie. W chwilach ciszy między hukami fal słychać było szept morza; ciche westchnienie, kiedy woda się cofała. Spojrzał na wschód i wtedy zrozumiał, dlaczego ścieżka wiodła w głąb łądu – drzewa, które rosły za Strażnicą, wyznaczały krawędź stromego rowu. Wąwóz przecinający pola wbijał się w głąb na jakieś siedemdziesiąt metrów. Na dnie znajdowała się mała, kamienista plaża, pusta, jeśli nie liczyć drewna i śmieci wyrzuconych przez morze. Zejścia nie było – nie pozwalały na to strome ściany. Na piasku przysiadły wielkie białe mewy, żeby dać odpocząć skrzydłom; niektóre spały na jednej nodze ze schowanymi głowami. Strażnicę z dwóch stron otaczało morze. Tkwiła samotnie na swoim małym półwyspie.

Zach stał tam przez chwilę, wpatrzony w bezkres wody, i myślał o Elise. Co takiego miało w sobie morze, że dzieci tak je uwielbiały? Że dodawało dorosłym sił? Może sekretem był odległy horyzont, który pozwalał spojrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy, albo światło, które zdawało się bić zarówno z ziemi, jak i z nieba. Razem z Ali często zabierali Elise na plażę – podczas wakacji we Włoszech

i w Hiszpanii. Kiedy byli jeszcze parą, kiedy ich imiona pasowały do siebie jak ulał, wymieniane jedno po drugim. Zach i Ali. Tymczasem Elise wolała brytyjskie wybrzeże – marzyła raczej o sadzawkach w skałach niż o palącym słońcu, a wodorosty lubiła bardziej niż delikatny biały piasek. Kiedyś przez ponad pięć minut przyglądała się w nabożnym skupieniu, jak Zach w regularnych odstępach czasu polewa czareczki wodą z kubelka, aż w końcu zdołał je przekonać, że zbliża się przyływ, i zaczęły budzić się do życia. Widząc to, sapnęła z wrażenia, bo dotąd nie wierzyła, że to żywe stworzenia; były tak nieruchome i tak mocno przywarły do kamieni, że wzięła je za fragment skały. Ale żadnej nie udało im się oderwać – pod wpływem dotyku natychmiast zaciskały się mocno na kamieniach. Elise szarpała się z nimi, wbijając w nie małe, różowe paznokietki, dopóki Zach nie kazał jej przestać, żeby ich nie straszyla. Wtedy przesunęła po nich delikatnie palcami i przeprosiła je; poprosiła garstkę czareczek o wybaczenie tego, że się jej bały.

Zach zawrócił, minął domek i był już na poziomie drzwi wejściowych, kiedy jego uwagę przykuło coś w lewej części doliny. Zatrzymał się i spojrzał na farmę w dole zbocza. Na dwóch podwórkach wylanych betonem, większym i mniejszym, stało cztery czy pięć stodół i obór różnej wielkości. Kwadratowy, pomalowany na biało budynek mieszkalny stał trochę wyżej, bliżej wioski. Jego okna wychodziły na Strażnicę. Drzwi wejściowe znajdowały się dokładnie na środku między czterema przesuwными oknami; drugi identyczny rząd okien biegł na wyższym piętrze. Tym, co rzuciło mu się w oczy, był ruch niewielkiego dżipa, który wjechał na podwórze z jednego z pól. Kiedy kierowca wysiadł, żeby zamknąć za sobą bramę, Zach z pewnym zaskoczeniem zauważył, że to kobieta. Niska i szczupła, a więc o dziwnej sylwetce jak na farmerkę. Szybkim krokiem podeszła do bramy i zatrzasnęła ją, a kiedy wiatr ucichł, Zach usłyszał głuchy brzęk metalu, który doszedł go ułamek sekundy po tym, jak zobaczył zetknięcie się skrzydeł. Kobieta odwróciła się energicznie, a Zach dostrzegł gęste, ciemne, kręcone włosy ścięte do ramion, przewiązane jaskrawą chustką. Już miała wsiąść z powrotem do dżipa, kiedy coś ją zatrzymało. Nagle spojrzała w górę, na Strażnicę, a Zach, który stał przecież bez ruchu, poczuł, że zamiera przyłapanym na obserwowaniu nieznajomej. Jak nieproszony gość. Miał

ochotę odwrócić się ze wstydem, ale powstrzymało go to, że i ona zamarła. Stali tak, oddaleni o kilkaset metrów, wpatrzeni w siebie nawzajem, a Zach był pewien, że wyczuwa jej zaskoczenie. Może zdziwiło ją, że ktoś zapuścił się do Strażnicy. Stali tak sekundę lub dwie, a później kobieta wsiadła do jeepa i trzasnęła drzwiami. Odgłos zapalnego silnika zginął w huku wiatru, ale kiedy odjeżdżała w kierunku domu, zobaczył w oknie bladą plamę jej twarzy, gdy odwróciła się, żeby jeszcze raz na niego spojrzeć.

Przez resztę popołudnia Zach spacerował ścieżką wzdłuż klifu na zachód, zatopiony w myślach. Musiał wrócić do swoich notatek, zmienić plan książki. Mógł nadać jej inną formę, skupić się na czymś innym. Mógł poświęcić ją w całości ostatnim latom życia artysty – okresowi, który spędził w Blacknowle. Zdaniem większości krytyków, Aubrey zmarł u szczytu artystycznych możliwości; obrazy tworzone w Blacknowle i portrety na zamówienie, które malował w swoim londyńskim studio w tamtym czasie, należały do jego najlepszych prac. O jego wychowaniu, edukacji, wczesnej karierze i kochankach powiedziano już wszystko. Ale nikt dotąd nie odnalazł Dimity Hatcher. Policzył szybko w myślach. Od razu przyszło mu do głowy dwadzieścia pięć rysunków dorastającej Mitzy, które powstały w latach trzydziestych. Pojawiła się też na trzech dużych obrazach olejnych – raz jako młoda Berberyjka na pustyni, raz wśród ruin w gęstym lesie, kapryśna i stylizowana na szekspirowskiego Puka, i raz jako ona sama, idąca plażą z opartym na biodrze koszykiem pełnym czegoś ciemnego. Zach zawsze się zastanawiał, co było w środku. Z dreszczem podekscytowania uświadomił sobie, że teraz może ją o to zapytać. Mimo podeszłego wieku Dimity zdumiewająco dokładnie pamiętała tamten czas. Może – nie, na pewno – będzie pamiętała Dennisa. Amorficznego młodego mężczyznę, którego wyrazu twarzy nie umiał uchwycić artysta.

Kiedy Zach wrócił do pubu Pod Szmuglerską Latarnią, Pete Murray zaprowadził go do pokoju, schylając głowę, żeby nie uderzyć nią w belki na korytarzu na piętrze. Pokój leżał po drugiej stronie budynku, daleko od baru. Stało w nim małe podwójne łóżko okryte patchworkową narzutą, a w wystroju dominowały motywy marynistyczne – modele łodzi na półce z zasuszonymi rozgwiazdami, bladoniebieskie ściany

i zasłony w koniki morskie.

Jakąs godzinę później Zach jadł zapiekankę rybną przy stoliku skierowanym w stronę baru, spowity cichym gwarem rozmów sporej grupki miejscowych klientów. Kilka osób skinęło mu głową albo uśmiechnęło się do niego, ale nikt nie próbował nawiązać z nim rozmowy. Z pewnością brali go za zwykłego wczasowicza, którym nie warto zwracać sobie głowy.

Przez pub przewijali się ludzie z psami, którzy wychylali szybki kufel w ramach wieczornego spaceru, a Zach z rozbawieniem obserwował, jak zwierzęta krążą wokół siebie i obwąchują się, podczas gdy właściciele robią to samo – na ludzki sposób. Czuł się ociężały i ospały, co było skutkiem ubocznym zmęczenia i dużej dawki świeżego powietrza. Jego mięśnie rozprostowały się i rozluźniły, a od wypitego piwa kręciło mu się w głowie, ale nie miał wrażenia, jakby rzucał się w oczy albo był niemile widziany w pubie. Przynajmniej do chwili, kiedy drzwi znów otworzyły się ze skrzypnięciem, a do pubu weszła energicznym krokiem niska i szczupła kobieta. Jej sylwetka w opiętych dżinsach ginęła pod luźnymi fałdami ogromnej koszuli w szkocką kratę. Na stopach miała rozchodzone skórzane buty z czubkami białymi od pyłu. Ciemne loki przytrzymała zielononiebieska chustka o brudnych, postrzępionych krawędziach. Natychmiast rozpoznał w niej kierowcę dżipa na farmie i na jej widok aż podskoczył, jakby znów przyłapała go na czymś, czego nie powinien robić.

Ruszała się równie szybko i zdecydowanie jak na podwórzu w dolinie, zwalniając dopiero przy barze, gdzie przywitało ją kilka osób. Uśmiechnęła się i uścisnęła im dłonie, co zdziwiło Zacha, ale wydało mu się miłą odmianą – że kobieta wita się uściskiem dłoni, a nie pocałunkiem w policzek, jak jego znajome ze świata sztuki.

– To co zwykle? – zapytał Pete i chociaż uśmiechnął się do niej, Zach zauważył, że wygląda na lekko zakłopotanego, niemal zdenerwowanego. Kobieta odwzajemniła uśmiech, a Zach dostrzegł wyraz jej twarzy w lustrze za barem – uniesione brwi, nieco kpiące wygięcie ust.

– To co zwykle – odpowiedziała.

Zach złapał się na tym, że wyteża słuch, żeby usłyszeć jej głos.

Pete postawił przed nią kieliszek whisky, który wypła jednym haustem w czasie, gdy nalewał jej kufel ciemnego ale. Zach widział, że przygląda się uważnie barmanowi, który rzucił jej szybkie spojrzenie. Stawiając przed nią kufel, przechylił głowę na bok i wyglądał, jakby chciał się odezwać, ale kobieta podniosła dłoń.

– Daruj sobie, Pete. Poważnie. Miałam paskudny dzień i przyszedłam tylko na jednego, okej?

– Okej, okej. Tylko spokojnie! Przecież nic nie mówię.

– Nie musisz – mruknęła.

Wzięła kufel i pochyliła głowę, żeby napić się, nie rozlewając piwa. W tym samym momencie podniosła oczy, a ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Zach wzdrygnął się i uciekł wzrokiem. Kiedy znów popatrzył w lustro, wciąż go obserwowwała, a on znów szybko przeniósł wzrok na coś innego. Spojrzał na swoje dłonie, na okrągły, mokry ślad po piwie na stole, na swój telefon, który nie miał zasięgu, ani jednej kreski. A potem podniósł oczy, bo stała przy jego stole.

– Był pan dzisiaj w Strażnicy – powiedziała bez ogródek.

– Poznała mnie pani? – zapytał, usiłując ukryć zadowolenie.

– Nic trudnego. W tych ubraniach pasuje pan tu jak pięść do nosa. – Jej głos był szorstki, lekko chropawy; słowa rzucała tak samo raptownie i obcesowo, jak się poruszała. Zach popatrzył na swoje ciemne dżinsy i skórzane buty, zastanawiając się, dlaczego tak rzucają się w oczy. – Zgubił się pan, co? Szukał pan ścieżki na wybrzeże?

– Nie, tylko... – urwał, niepewny, czy powinien się przyznać, co naprawdę tam robił. – Odwiedzałem kogoś.

– Czego pan od niej chce? – zapytała ostro kobieta.

– Czy... to pani sprawa? – odpowiedział ostrożnie Zach.

Kobieta uniosła lekko podbródek, jakby szykowała się do walki. Zach prawie się uśmiechnął, widząc jej bojowe nastawienie, a później coś go tknęło – miał wrażenie, że skądś ją zna.

– Nazywam się Zach Gilchrist – powiedział, wyciągając rękę. – Czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy?

Patrzyła na jego dłoń podejrzliwie i odczekała chwilę, zanim uścisnęła ją krótkim szarpnięciem.

– Hannah Brock. I nie, nigdzie się nie spotkaliśmy. Jestem

najbliższą sąsiadką panny Hatcher i troszczyć się o nią. Dbam o to, żeby nikt jej nie... niepokoił.

– Dlaczego ktoś miałby ją niepokoić? – zapytał Zach, zastanawiając się, czy Hannah zna powód sławy Dimity Hatcher.

– No właśnie, dlaczego? – odpowiedziała pytaniem, unosząc brew.

Oczy miała równie ciemne jak włosy, a twarz wąską i smagłą od słońca. Trudno było ocenić jej wiek; świeże powietrze naznaczyło kąciki jej oczu i ust delikatnymi zmarszczkami, ale emanowała irytującą wręcz energią. Niewielka dłoń, którą uściśniła przelotnie jego rękę, była twarda i sucha. Zach zgadywał, że kobieta dobiega czterdziestki.

– Nie sądzę, żebym ją zaniepokoił. Wydawała się szczęśliwa. Poczęstowała mnie herbatą – powiedział z szelmowskim uśmiechem.

– Herbatą? – powtórzyła Hannah z powątpiewaniem.

– Herbatą – potwierdził Zach.

Zmierzyła go wzrokiem i poczuł, że wrogość powoli ustępuje ciekawości.

– Proszę, proszę – odparła wreszcie. – Spotkał pana zaszczyt.

– Naprawdę?

– Minęło prawie sześć miesięcy, zanim ja doczekałam się od niej filiżanki herbaty, i to dopiero po tym, jak... Zresztą, nieważne. A po co chciał się pan z nią zobaczyć?

– Jest pani jej najbliższą sąsiadką. Czyli teraz... wyciąga pani ze mnie sąsiedzkie plotki? – zapytał Zach.

Obserwowała go bacznie przez chwilę, a potem zdobyła się na lekki uśmiech.

– Panna Hatcher jest... kimś wyjątkowym. Zastanawiam się, czy pan wie dlaczego.

– A pani? – odparował Zach.

– No dobrze, w ten sposób do niczego nie dojdziemy – westchnęła Hannah. – Chciałam tylko panu powiedzieć, że mam na nią oko. I nie pozwolę, żeby ktoś ją... napastował. Jasne? – Obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku grupy po drugiej stronie baru.

– Zaprosiła mnie do siebie ponownie. Poprosiła nawet, żebym coś dla niej załatwił! – zawołał za nią Zach.

Hannah obejrzała się przez ramię, a tym razem na jej twarzy

malowało się zdumienie, nie wrogość. Przewróciła z niecierpliwością oczami i odwróciła głowę, a wtedy Zach zachichotał.

Po wyjściu młodego, wysokiego mężczyzny Dimity przez długi czas stała u stóp schodów, nasłuchując. Teraz na górze panowała cisza, nie licząc zwykłych odgłosów Strażnicy – myszy buszujących w strzesze, wiatru w sercu komina, kropli uderzających dźwięcznie o jakąś metalową powierzchnię. Ale wcześniej rozległ się jakiś hałas, słyszeli go oboje. Pierwszy od dawna. Kiedy ją dobiegł, serce podskoczyło jej w piersi. Teraz niepewna, oszołomiona, ruszyła w górę po schodach. Z tyłu, w lustrze w korytarzu Valentina pogroziła jej palcem i pokiwała szyderczo głową. Dimity zignorowała ją, ale kiedy wspięła się na najwyższy stopień, serce waliło jej boleśnie.

Na piętrze panował mrok i pachniało wilgocią, bo deszcz w końcu utorował sobie drogę przez strzechę i wsiąkał w tynk na suficie. Miejsce przecieku wyznaczały koncentryczne kręgi koloru herbaty. Z lewej strony znajdowała się jej sypialnia. Drzwi były otwarte, a przez okno wychodzące na morze do środka wpadało niebieskawe światło. Z prawej – kolejne drzwi, zamknięte. Znów stanęła bez ruchu, wyęzając słuch. Miała wrażenie, że ktoś przygląda się jej z góry; że odbija się w licznych oczach obojętnych pajaków. Powoli podeszła do zamkniętych drzwi, ostrożnie przycisnęła dłoń do drewna. Z gardła wyrwała jej się nieproszona, nerwowa piosenka. „W dłoni ścisnęła kwiaty, policzki miała różane...”

– Jesteś tam? – zapytała, wydobywając z siebie tylko chrapliwy dźwięk, a słowa zabrzmiały fałszywie w jej uszach.

Pajaki nadal ją obserwowały. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, niczego. Odczekała jeszcze chwilę, niepewna. Cisza za drzwiami była jak zimna, ciemna studnia, a wionący z niej smutek zdawał się ją pochłaniać. Walczyła z nim, odpychała go od siebie. Znów pozwoliła sobie uwierzyć. Rudy kot wyszedł z sypialni i stanął za nią, ocierając się o jej łydki, a w jego mruczeniu usłyszała chichot Valentyny.

Valentina Hatcher – kobieta, która twierdziła, że jej przodkami byli rumuńscy Cyganie, którzy zjeździli Europę wzdłuż i wszerz, uzdrawiając chorych i przepowiadając przyszłość. Dziwne, że w takim razie farbowała włosy na blond. Potem, pozostawione naturalne, nie były już

lśniące i kruczoczarne. Miały smutny mysi kolor. Ten zapach był jednym z pierwszych wspomnień Dimity – gryzący smród domowego utleniacza wypełniający dom. Valentina farbowała włosy w cynowej balii z wodą stawianą na stole kuchennym wyłożonym szmatami, które miały chronić blat. Dimity krzątała się w okolicy drzwi, zafascynowana całą procedurą, ale próbowała pozostać niezauważona, bo gdyby matka ją przyłapała – otworzyła jedno zmrużone oko i dostrzegła córkę – zażądałaby jej pomocy.

– Podaj mi ten ręcznik! Nie ten, drugi! Zetrzyj mi to z szyi! – szczełała jak terier.

Dimity stawała na krześle i chwiejąc się, ścierała gęstą, trującą ciecz ze skóry matki. Nienawidziła tego i jeśli ubrudziła sobie palce mazią, płakała, jeszcze zanim zaczęły ją szczytać.

Efekt był naprawdę wspaniały, przynajmniej przez jakiś czas. Włosy wyglądały jak syrenie pukle, lśniły niczym złote monety. Valentina siadała na dworze, żeby je wysuszyć, z twarzą uniesioną ku słońcu, wystawiając się na bryzę. Podciągała spódnicę na mocne kolana, żeby słońce grzało ją w nogi, kiedy paliła papierosa.

– Val Hatcher, jeśli będziesz tak siedzieć, sprowadzisz statki na skały – powiedział kiedyś Marty Coulson, krocząc ścieżką na swoich pałakowatych nogach, z tweedowym kaszkietem naciągniętym aż na uszy.

Dimity nie podobał się jego uśmiech. Marty Coulson zawsze się uśmiechał, kiedy przychodził do Strażnicy. Ale w wiosce odwracał od niej wzrok, jakby jej nie widział. Wtedy nie było mu do śmiechu.

– Jesteś za wcześnie – rzuciła Val z irytacją.

Marty zatrzymał się przed drzwiami i wzruszył niezgrabnie ramionami. Kobieta zgasila papierosa i wstała, otrzepując trawę z siedzenia.

– Mitzy, idź do wsi. Kup na podwieczorek ciasto od pani Boyle. – Utkwiła nieprzyjemny wzrok w Martym Coulsonie, aż ten w końcu sięgnął do kieszeni, wyciągnął szylinga i dał go Dimity.

Lubiła chodzić do Blacknowle. Wyrwać się ze Strażnicy, choćby na chwilę, i zobaczyć kogoś innego niż jej matka.

Niemal od razu, jak jej córka nauczyła się chodzić, Valentina

wysyłała ją samą do wioski; Mity na pewno biegała tam już jako pięcioletnia sześciolatka. Dostawała jakieś proste zadanie: kupić herbatę albo dostarczyć komuś tajemniczą paczuszkę, owiniętą szczelnie w papier. Amulet albo zaklęcie. Nową miotłę do wbudowania w nadproże na szczęście; wyschniętą skórę królika, którą należało potrzeć kurczakom, a później zakopać, żeby się ich pozbyć. Ludzie nie lubili widzieć jej przed drzwiami, nie chcieli, żeby się wydało, że kupili coś od Valentyny. Brali to, co przyniosła, i szybko ją odpędzali, rozglądając się po ulicy. Ale nie mogli się powstrzymać. Jeśli marzyli o szczęściu, dziecku albo o tym, żeby pozbyć się dziecka; jeśli czekali na cud lub na katastrofę, szukali pomocy nie tylko w modlitwie, lecz także u Valentyny.

„Pokorne cielęta”, szydziła Valentina, kiedy pojawiali się w jej chatce albo, częściej, wsuwali kartkę ze swoją prośbą pod drzwi i uciekali. „Mam nadzieję, że zadki zaswędzą ich od potu, kiedy w niedzielę będą się podlizywać pastorowi”. Metodą prób i błędów Dimity poznała wszystkie trasy wiodące przez ścieżki, drogi i pola. Wiedziała, kto mieszka w wiosce i jak się nazywa; od kogo dostanie pół pensa za fatygę, a kto zatrzaśnie jej drzwi przed nosem.

Dopóki była mała, Valentina towarzyszyła jej podczas trudniejszych wypraw i razem wyszukiwały, zrywały i zdobywały rozmaite składniki. Pokazała córce, z którego strumienia brać rukiew wodną do toników na siłę i trawienie – nie można jej zbierać w potoku płynącym przez pastwisko, bo na roślinach zostają pasożyty. Wyjaśniła, jak odróżnić dziki pasternak od szaleju. Szalej trzeba było wykopywać w rękawiczkach, ścierać ostrożnie jego korzenie i mieszać je z łojem i melasą, żeby ulepić kulki trutki na szczury, która sprzedawała się przez cały rok. Czasem robiły całe kubły tych kulek, kiedy gdzieś pojawiła się plaga gryzoni, tak jak kiedyś u pana Brocka na Farmie Południowej. Kupił dwa pełne wiadra – prawie cały zapas. Dimity niosła jedno, a Valentina drugie, ślizgając się w dół zbocza ze Strażnicy. Uchwyty wrzynały im się w dłonie, a krawędzie kubłów kaleczyły łydki. „Ma pan problem, co?” – zapytała Valentina gospodarza, kiedy weszły na podwórze. Przywołał je bliżej z wyrazem niepokoju na twarzy. Uchylił wieko blaszanego koryta, żeby pokazać im mrowie brązowych stworzeń uciekających od światła. „Wczoraj w nocy zagryzły mi owcę, zanim ją

znalazłem”. Dimity poczuła na skórze ciarki, jakby oblaży ją mrówki. Miejscowy terier biegał rozgorączkowany wokół nich, warcząc zajadle. Christopher Brock, syn farmera, zatłukł jednego szczura kijem, kiedy one rozrzuciły po podwórzu kulki trucizny. Dimity słyszała trzask kości gryzonia.

Za domem trzymały kurczaki i świnię, ale czasem Valentina potrzebowała jaj mew albo kaczek. Musiały znaleźć drewno na podpałkę i wykopać, a potem wysuszyć korzenie kolcolistu – najlepszy opał do kuchni – które paliły się czystym, mocnym płomieniem. Zbierały grzyby i dzikie jabłka albo wyjmowały króliki z sideł zastawionych przez kogoś innego. Dimity nienawidziła ich kraść. Trzęsły jej się ręce i często kaleczyła się ostrym drutem. Zazwyczaj wnyki były umazane krwią zwierzęcia, więc zastanawiała się, czy ta krew dostanie się do jej żył, czyniąc ją w jakiejś części królikiem. Valentina trzepała ją w ucho za nieuwagę, wpychała królika do płóciennego worka i ruszała dalej. Dimity miała nadzieję, że jej matka lubiła te wyprawy, bo spędzały wspólnie czas, a przekazywanie wiedzy sprawiało jej przyjemność. Ale gdy tylko Valentina nauczyła ją wszystkiego, co sama wiedziała, przestała towarzyszyć córce. Dziewczyna miała wrażenie, że matka wyszkoliła ją tylko po to, żeby przekazać jej obowiązki.

Szybko nauczyła się rozpoznawać, kiedy matka potrzebuje czegoś natychmiast, a kiedy po prostu chce, żeby Dimity zeszła jej z drogi. W tym drugim wypadku córka Valentyny wypuszczała się daleko i błąkała po polach, zatopiona w myślach. Na zachód od Strażnicy wzdłuż wybrzeża biegła długa, szeroka plaża, zwykle kamienista, ze splachetkiem piasku, który zostawiał odpływ. Spędzała tam całe godziny, wpatrując się w skalne sadzawki. Miała złapać kilka krewetek na zupę, zebrać małże albo mech irlandzki – Valentina używała jego fioletowych liści w galaretkach i kremie ze zsiadłego mleka. Dimity wszędzie zabierała ze sobą bawełnianą torbę albo koszyk, żeby mieć gdzie schować swoje znaleziska.

Któregoś dnia ostra krawędź kamienia wyrwała dziurę w sznurkowej podeszwie jej buta. Położyła go na powierzchni wody, obserwując, jak kołysze się i podryguje. Sprawdziła, ile muszli może włożyć do środka, zanim but zacznie tonąć. Nagle usłyszała nad sobą

głosy. Podniosła głowę w momencie, gdy pierwszy kamyk wpadł do sadzawki, wzbijając krople chłodnej wody, które poczuła na policzku. Dzieci z wioski, na klifie. Głównie chłopcy, ale stały wśród nich też siostry Crane z wyrazem podekscytowania i radości na swoich upiornych, identycznych twarzach. Po kamyku spadł patyk, który trafił ją w rękę. Poderwała się i chwilę później była już za skałami u podnóża klifu, w miejscu, w którym z góry nie było jej widać. Słyszała śmiech i skandowane wyzwiska; widziała kolejne pociski, rzucone blisko miejsca, gdzie ją ostatnio widzieli. Odeszła plażą, bezpieczna pod osłoną klifu. „Głupia Dimity! – krzyczeli za nią. – Głupia, głupia, jest taka głupia!”

Dimity знаła wiele innych przejść z plaży na górę; nie musiała iść główną drogą, na której mogli na nią czekać, jeśli im się nudziło. Gdy dotarła do miejsca, w którym piasek ustępował żwirowi, zorientowała się, że zostawiła buty. Jeden na kamieniu, drugi w sadzawce z ładunkiem muszelek. Musiała wrócić po nie później; i wróciła, kiedy Valentina zbeształa ją za to, że je zgubiła, i wymierzyła jej siarczasty policzek, który wydał się Dimity niesprawiedliwą karą. Ale zapomniała, jak blisko brzegu je zdjęła – buty uniósł wzbierający przypływ. Długie minuty lustrowała powierzchnię morza w nadziei, że dryfują gdzieś w pobliżu. Przypuszczała, że nie dostanie nowych, przynajmniej przez jakiś czas, chociaż w tym tygodniu jej matka znalazła pieniądze na nową szminkę i pończochy. I miała rację. Na szczęście było ciepło i sucho. Ale któregoś dnia w lewej pięcie utkwił jej cierń kolcolistu. Nie chciał wyjść i kulała przez tydzień, aż w końcu Valentina unieruchomiła ją, rozgrzała skaleczone miejsce parą z czajnika i ścisnęła je, ignorując skowyt Dimity, dopóki kolec nie wyszedł razem ze strużką żółtej mazi.

Szkoła przypominała powolne tortury. Znajdowała się w następnej wsi, czterdzieści pięć minut drogi od domu, w budynku, w którym zawsze panował przeciąg. Dimity siadała z tyłu i próbowała się skupić wśród nieustannych spojrzeń i szeptów. Dzieci rzucały jej liściki z wulgarnymi rysunkami i wyzwiskami. Nawet najbiedniejsi uczniowie, nawet ci, których ojcowie byli zawsze pijani albo bili ich matki, albo stracili pracę i przez cały dzień spali pod żywo płotem jak ojciec Danny’ego Shawa, nawet oni patrzyli z góry na Dimity Hatcher. Kiedy

przylapywała ich na tym nauczycielka, ganiła winnych i na pozór zachęcała Dimity do nauki, ale dziewczynka widziała, że kobieta zawsze patrzy na nią z cieniem obrzydzenia i ściągniętą twarzą – jakby uczenie Dimity wykraczało poza zakres jej obowiązków; jakby trudno jej było to znieść.

W porze powrotu do domu Dimity nigdy nie wiedziała, jaką obrać strategię – marzyła, żeby jak najszybciej uciec ze szkoły, ale nie chciała iść do Blacknowle przed resztą dzieci, odprowadzana ich śmiechem, zniewagami i wybrykami. Czasem czekała w ukryciu, aż wszyscy pójdą, pilnując, żeby zawsze dzielili ich od niej jeden zakręt drogi. Nie bała się ich, po prostu miała ich dość. Czuła do nich taką samą niechęć, jak oni do niej. „Nie dotykaj tego! Dimity tego dotknęła! Zostawiła na tym swoje pchły!” Każda obelga, każde wyzwisko z ich strony było jak strzałka wczepiona głęboko w jej skórę i trudna do strząśnięcia. Idąc za nimi, starała się nic nie czuć, uważała, żeby nigdy nie widzieli jej łez. Pod tym względem przypominali sforę psów – prowokowała ich każda oznaka słabości. Słyszała ich rozmowy, niesione bryzą; przysłuchiwała się ich zabawom i żartom, zastanawiając się, jak by to było należeć do ich grupy chociaż przez jeden dzień, chociaż przez chwilę. Tylko po to, żeby się przekonać, jakie to uczucie.

Czasem wracała razem z Wilfem.

Wilfem Coulsonem, chudym, mizernym chłopakiem, późnym dzieckiem uśmiechniętego Marty’ego Coulsona i jego znękaney żony Lany, która w wieku czterdziestu czterech lat miała ośmioro dzieci i myślała, że na tym koniec, kiedy począł się Wilf.

Stale ciekło mu z nosa, a na lewym nozdrzu zawsze miał strupek. Dimity dawała mu chusteczkę nasączoną olejkiem z rozmarynu, żeby go wytarł, ale zawsze kręcił przecząco głową, bo matka stanowczo zakazała mu czegokolwiek od niej przyjmować.

– Dlaczego? Twój tata czasem do nas przychodzi. Więc nie możemy aż tak przeszkadzać twojej mamie – powiedziała kiedyś.

Wilf wzruszył chudymi ramionami.

– Ale jej się to nie podoba. Mama mówi, że nie wolno nam o was nawet rozmawiać.

– To głupie. A ten olejek jest całkowicie bezpieczny. Zrobiłam go

sama, z naszych krzewów za domem.

– Przestań mówić, że moja mama jest głupia. Chyba chodzi jej o to, że nie masz taty – wyjaśnił Wilf.

Był listopad, na zaoranych polach leżało błoto. Ślizgali się na ścieżce, która wiodła między wielkimi zakolami na drodze. Bładoszary muł przylepiał im się do butów, więc szli pokracznie na szeroko rozstawionych nogach. Tego dnia niebo miało taki sam kolor jak błoto.

– Mam tatę, ale zginął na morzu – odparła Dimity.

Tak powiedziała Valentina, zmęczona jej nieustannymi pytaniami. Siedziała na progu, patrząc na horyzont przez zmrużone powieki, i paliła papierosa. „Dasz temu wreszcie spokój? Nie ma go i to ci powinno wystarczyć. Zginął na morzu, jeśli o mnie chodzi”.

– Czyli był marynarzem? – zapytał Wilf.

– Nie wiem. Możliwe. Albo rybakiem. Po prostu zaginął i któregoś dnia się znajdzie, a wtedy podniesie Maggie i Mary Crane za kołnierzyki i potrząśnie nimi jak parą szczurów!

Przez resztę dnia po głowie chodziła jej piosenka *Bobby Shaftoe*. Nuciała ją cicho: „Bobby Shaftoe wypłynął w morze...”. Musiało minąć kilka lat, zanim zrozumiała, że jeśli ktoś zginął na morzu, to znaczy, że umarł, czyli nigdy nie wróci.

Pewnego burzowego dnia, kiedy wiatr chesał morze w wysokie, wściekłe fale, a ona patrząc, jak biją o brzeg, wyobrażała sobie, jak wszyscy marynarze i rybacy, którzy utonęli od początku świata, opadają w głębinę niczym jesienne liście niesione wiatrem, a ich starte kości zamieniają się w piasek. Wybrzeże, na którym mieszkała, było zdradliwe, rozbijało się tu wiele statków. Rok wcześniej pojechała z Wilfem i jego braćmi autobusem, żeby obejrzeć wrak Madeleine Tristan, trzymasztowego szkunera, który zwiąło do zatoki Chesil. Leżał bokiem na plaży, otoczony tłumem turystów i miejscowych. Dimity i Wolf razem z innymi dziećmi wspięli się po obłuzowanych linach na pomost i pokład i bawili się w piratów. To był najlepszy plac zabaw, jaki widzieli, dlatego wracali na statek wiele razy, dopóki nie załęgły się tam ruchliwe szczury o długich ogonach. Obok Madeleine Tristan na plaży stał ogromny, łuszczący się żelazny kocioł z innego statku, Prevezy. Wrak przy wraku, warstwa za warstwą zatopionych statków,

zatonionych ludzi.

Świadomość, że jej ojciec nigdy nie zapuka do drzwi Strażnicy, nie ujmie się za nią i nie potrząśnie bliźniaczkami Crane jak parą szczurów, długo smuciła Dimity. Taki sam smutek czuła, gdy pani Coulson dowiedziała się, że jej synowie zabrali Dimity Hatcher na wyprawę do wraku Madeleine Tristan. Kobieta stała z założonymi rękami, podczas gdy Marty wymierzał każdemu z nich razy pasem w pośladki. Ukryta w krzakach czarnej porzeczeki Dimity słyszała trzask skórzanego pasa na ciele, jęki i krzyki chłopców. Przygryzała wargę tak długo, aż zaczęła krwawić, ale nie odeszła, dopóki lanie nie dobiegło końca.

Kiedy Dimity miała dwanaście lat, Valentina oznajmiła, że dziewczynka nie będzie się już uczyć, bo to strata czasu i jest potrzebna w domu. Wtedy z zaskoczeniem odkryła, że tęskni za szkołą. Tęskniła nawet za dziećmi, chociaż większości nienawidziła. Tęskniła za widokiem ich nowych ołówków i ubrań, tęskniła za ich opowieściami. Tęskniła za powrotami z Wilfem. Nie brakowało jej jednak nauki. Na co mogła jej się przydać matematyka albo wiedza, gdzie leży kontynent afrykański? Po co miała patrzeć, jak kobieta o końskiej twarzy i piersiach sięgających talii uczy dzieci robić ciasto, skoro sama piekła, odkąd była dość duża, żeby stanąć na stołku i dosięgnąć blatu? Ważniejsze było to, czego uczyła ją Valentina. Reszta dzieci chodziła do szkoły przynajmniej do czternastego roku życia. Tak nakazywało prawo, ale kiedy Dimity przestała przychodzić na lekcje, nikt nie zainterweniował. Dimity sądziła, że dyrektor pofatyguje się do Strażnicy i zażąda jej powrotu, ale nie zrobił tego. Wyglądała go jakiś czas, ale niezbyt długo.

To Dimity pierwsza znalazła drogę z urwiska obok Strażnicy na wąską plażę poniżej. W zasadzie sama ją wytyczyła, a serce waliło jej przy tym tak mocno, że nie mogła opanować drżenia kolan. Matka kazała jej wyjść z domu i znaleźć sobie jakieś zajęcie. To znaczyło, że ma nie wracać przez wiele godzin. Ostrożnie zsunęła się za krawędź z palcami wczepionymi w szorstkie źdźbła trawy, szukając stopami kamienia, który utrzymałby jej ciężar i nie zsunął się ani nie przechylił. Gdyby się obluzował, straciłaby oparcie pod nogami i poleciała w dół, na brzeg pełen resztek wyrzuconych przez morze. Podeszwy jej butów

ślizgały się trochę na warstwie żwiru, ale później złapała równowagę. Kamień ani drgnął. Z tego miejsca zobaczyła długą, wąską, zygzakowatą drózkę prowadzącą najpierw w prawo, a później w lewo, na sam dół. Ruszyła. Czasami odległości między stabilnie wyglądającymi kamieniami były bardzo duże i musiała sięgnąć daleko albo przeskakiwać, co było przerażające. Skoczyć i dobrowolnie opuścić bezpieczne miejsce, narazić się na upadek.

Ale udało jej się, znalazła drogę na plażę, a później wiele godzin budowała lepsze stopnie z kamieni, które mogła unieść; obracała je, dopóki nie przestały się chybotać, dopóki nie mogła być ich pewna. Słońce świeciło jasno, owiewał ją delikatny wietrzyk. Był wspaniały majowy dzień. W połowie klifu znalazła gniazdo mewy trójpalczastej. Rodzice na czas polowania nad morzem opuścili grube, puchate piskłę. Patrzyło na nią pogodzone ze swoim losem, kołysząc niezgrabną główką. Wiedziała, że nie może go dotknąć, chociaż miała na to ochotę. Przycupnęła za skałami niedaleko gniazda i leżała całkiem nieruchomo, obserwując, jak mewy przylatują i odlatują na swoich skrzydłach o atramentowych brzegach, z dziobami pełnymi rybnej papki dla pisklęcia. Zauważyła, że w jej domu było odwrotnie. To ona zwykle przynosiła jedzenie Valentinie.

Została tam bardzo długo, dopóki mama mewa nie usadowiła się w gnieździe, a słońce nie zaczęło chylić się ku zachodowi. Drzemała w promieniach złotego słońca, ukryta przed wiatrem. Swędziała ją skóra, lepka i szorstka od pokrywającej ją soli, i czuła się ociężała ze zmęczenia, ale dobrze jej było w towarzystwie ptaków, które gwizdały i szeptały do siebie. Podobał się jej połysk ich mokrych dziobów i nóg, kiedy leciały znad wody, i to, że zawsze szybko wracały, żeby sprawdzić, jak się miewa ich piskłę; że muskały mu piórka i przesuwały w lepsze miejsce w ciasnym gnieździe.

Zastanawiała się, kiedy Valentina wyjdzie zobaczyć, co się z nią dzieje. Uznała, że już niedługo. Kiedy matka zerknęła na zegar kuchenny i kazała jej zająć się sobą, było po lunchu, około drugiej. Teraz dochodziła pewnie ósma, skoro słońce zeszło tak nisko. Valentina musiała się martwić o córkę. Żaden z ich gości nie zostawał tak długo – najwyżej parę godzin. Patrzyła, jak powieki mewy powoli opadają.

Postanowiła zaczekać na matkę, ale po zachodzie słońca na skałach zrobiło się zimno i niewygodnie, a poza tym nie miałyby odwagi przejść nową ścieżką po ciemku. Dlatego wstała najciszej, jak potrafiła – mama mewa i tak wydała ostrzegawczy okrzyk – i na czworakach wspięła się na górę. „Wróciłam!” – zawołała, wpadając przez drzwi, licząc nawet na reprimendę matki, byle tylko poczuć, że za nią tęskniła. Ale Strażnica była pogrążona w ciemnościach, a Valentina spała w fotelu w rozchylonym szlafroku, ukazującym zwisającą bezwładnie nogę. Miała rozmazaną szminkę, a w dłoni ścisnęła pustą butelkę.

Dimity zjadła na kolację czerstwy chleb i bekon. Jej matka nadal chrapała w fotelu, więc wykraǳła się ze Strażnicy i poszła przed dom Coulsonów. Pod osłoną mroku siedziała chwilę w krzakach czarnej porzeczki, wdychając zapach moczu ich kota, zaglądając im w okna z bezpiecznej odległości. Kiedy zobaczyła Wilfa, pomachała mu i pokazała, żeby do niej wyszedł, ale chyba jej nie zauważył. Światła w domu gasły jedno po drugim, a noc otuliła Dimity, zziębniętą i samotną jak zimowe niebo.

Zach siedział sam w cichym, ciemnym pubie, rozświetlonym tylko upiorną poświatą jego laptopa. Pete Murray życzliwie podał mu hasło do swojego internetu bezprzewodowego, który najlepiej odbierał w barze. Dochodziła pierwsza nad ranem. Ali powinna była już zadzwonić, żeby mógł opowiedzieć córce bajkę na dobranoc. Z każdą kolejną minutą był coraz bardziej zdenerwowany. Czuł tę samą dziwną treść jak w chwili, gdy przynieśli Elise do domu ze szpitala. Wydawało mu się wtedy, że wszystkie oczy są skierowane na niego, że wszyscy tylko czekają, aż coś spieprzy. Teraz bez ściągawki w postaci książki nie mógł sobie przypomnieć żadnej bajki. Przez te wszystkie lata czytał jej ulubione historie mnóstwo razy, więc myślał, że wryły mu się w pamięć. Ale może czytał je otępiały nudą, a słowa płynęły z jego oczu do ust z pominięciem mózgu. Wtedy jeszcze wierzył, że tak będzie już zawsze, nawet mu się nie śniło, że wszystko może się zmienić z dnia na dzień, a on nie będzie w stanie tego powstrzymać.

Minęło siedem minut. Wziął krótki, nerwowy oddech i zatrzymał powietrze w płucach, nagle ledwo żywy ze zmęczenia. Z głową w dłoniach zaczął myśleć o Dimity Hatcher. O tym, jakie to nieprawdopodobne, że był pierwszym miłośnikiem sztuki Aubreya, który ją odnalazł, chociaż nawet się nie starał. To musiała być ta nowa perspektywa, której potrzebowała jego książka.

Kiedy wreszcie rozległ się dzwonek, wydał mu się potwornie głośny w głębokiej ciszy lokalu.

Zach rzucił się niezdarnie, żeby odebrać połączenie, i chwilę później na ekranie pojawiła się Ali. Włosy miała zebrane w zgrabny kucyk, a ubrana była w obcisłe dżinsy i dopasowaną białą koszulę. Wyglądała ślicznie i elegancko. Wciąż świeciło tam słońce, które wpadało przez okno, okrywając ją złotym blaskiem. Zach miał wrażenie, że ogląda jakiś inny świat. W rogu ekranu zobaczył siebie – bladą zjawę w snopie światła z komputera, z worami pod oczami i dziurawym kołnierzykiem. Gdyby nie czuł się tak paskudnie, zacząłby się śmiać.

– Zach, co słyhać? Wyglądasz... gdzie ty właściwie jesteś? – powiedziała Ali, biorąc kubek parującego płynu z czyjejś dłoni, która

mignęła przed kamerą.

Czyli Lowell był tuż obok, w tym samym pokoju, i skakał wokół niej. A przy okazji podsłuchiwał. Żadnej prywatności z żoną, nawet podczas rozmowy.

Byłą żoną.

– Jestem w Dorset, w pubie. Jest pierwsza w nocy, miałem długi dzień. Jak się czujesz? Jak wam się tam układa?

– Och, wspaniale. Naprawdę zaczynamy się zadomawiać. Elise... świetnie się tu czuje. Co robisz w Dorset? W pubie? Po ciemku?

– Siedzę po ciemku, bo... nie mogłem znaleźć włącznika światła. Nie śmieję się ze mnie. A wszyscy poszli już spać. Jestem w pubie, bo musiałem się gdzieś zatrzymać, a przyjechałem do Dorset, żeby dokończyć książkę.

– Jaką książkę? – zmarszczyła brwi z roztargnieniem, równocześnie dmuchając na parujący napój i biorąc ostrożny łyk z kubka. Nie powinien oczekiwać od niej większego zainteresowania, ale jak zwykle ubodła go jej obojętność.

– Nieważne. To bez znaczenia.

– Mówisz o książce o Aubreyu? Wreszcie ją dokończysz? To świetnie, Zach. Najwyższy czas! – uśmiechnęła się.

Skinął głową, usiłując nadać twarzy wyraz determinacji. To zadanie nadal rysowało się przed nim jak pionowa ściana klifu do zdobycia, niezależnie od spotkania z Dimity Hatcher.

– Czyli jesteś w Blacknowle? Chcesz przy okazji poszukać informacji na temat swojego dziadka?

– Nie wiem... może. Raczej nie. – Zach pokręcił głową. To, co chciał odnaleźć, to, czego potrzebował, było zbyt nieokreślone, zbyt ulotne, żeby wyrazić to słowami. – No dobrze, a gdzie Elise? Jest gotowa na swoją bajkę?

– Posłuchaj, Zach, naprawdę mi przykro. Cały dzień spędziliśmy poza domem i ledwo trzymała się na nogach. Poszła spać godzinę temu. A ja dopiero sobie przypomniałam, żeby do ciebie zadzwonić. Przykro mi.

Zach poczuł, jak jego napięcie ustępuje fali rozczarowania.

– I tak to się zaczyna... – powiedział z wysiłkiem, czując bolesne

ukłucie w sercu.

– Hej, to nie tak. Była śpiąca, co miałam zrobić?

– Wysłać mi smsa, żebyś wszedł do sieci godzinę wcześniej?

– No tak, ale nie pomyślałam o tym. Już cię przeprosiłam. Ja też nie opowiedziałam jej bajki, wiesz? Zasnęła, jak tylko przyłożyła głowę do poduszki.

– Tak, ale ty kładziesz ją spać, całujesz na dobranoc i spędzasz z nią cały dzień. Tak czy nie? – Miał w nosie, że jego wyrzuty brzmią dziecinnie.

– Słuchaj, ja też jestem zmęczona. Nie chcę się kłócić.

Zaparła się ramionami o oparcie krzesła. Zerknęła poza ekran, rzucając błagalne, poirytowane spojrzenie Lowellowi, rzecz jasna, ukrytemu, niewidocznemu świadkowi rozmowy. Zach był wdzięczny, że tamten przynajmniej nie patrzy na ekran i nie widzi, jak kiepsko prezentuje się jej były mąż. Westchnął.

– W porządku. W takim razie jutro wieczorem. Bajka, nie kłótnia.

– Jutro idzie spać do koleżanki... Może w niedzielę?

– Okej. O tej samej porze. Tylko proszę... – nie był pewny, o co chce prosić. Albo błagać. Znów ogarnęło go potworne zmęczenie. Zacisnął powieki i tarł je palcami, dopóki przed oczami nie zaczęły mu tańczyć czerwone punkciki.

– Niedziela wieczór. Obiecuję – powiedziała Ali, kiwając uspokajająco głową, jakby chciała udobruchać dziecko.

– Dobranoc, Ali. – Rozłączył się, zanim zdążyła odpowiedzieć, ale ten żalony gest nie przyniósł mu żadnej satysfakcji. Wyłączył komputer i potykając się w ciemności, powlókł się do swojego pokoju.

Ali zawsze kontrolowała sytuację, od samego początku. Teraz to rozumiał, chociaż wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, zaślepiony miłością i nieuzasadnionym optymizmem. Kiedy się oświadczył, poprosiła o czterdzieści osiem godzin na podjęcie decyzji. Stres oczekiwania na odpowiedź był niemal nie do zniesienia. Wiedział, że Ali musi powiedzieć „tak”, bo kochał ją z całych sił – bo kochali się nawzajem – ale równocześnie dręczyło go podejrzenie, że może powiedzieć „nie”. Kiedy w końcu przyjęła oświadczyzny, był zbyt szczęśliwy, żeby się zastanawiać, co oznaczała tak długa zwłoka, ale

teraz wiedział, że naprawdę miała wątpliwości, naprawdę potrzebowała tyle czasu na rozważenie wszystkich za i przeciw, żeby zdecydować, czy to jest warte ryzyka.

Przysiągł sobie, że wynagrodzi jej to zaufanie, tę brawurę. Przysiągł sobie, że da jej szczęście, będzie idealnym mężem i ojcem, ale potem pojawiła się Elise, a wraz z nią tysiące drobnych uwag, tysiące kwaśnych spojrzeń, które miały mu uświadomić, że sobie nie radzi. „Daj mi ją”, słyszał ciągle, kiedy nie potrafił uśpić córki albo wsunąć jej rączek w rękawy swetra, albo uspokoić jej, kiedy płakała. „Daj mi ją”, wypowiedane z tłumionym rozdrażnieniem.

Mniej więcej w tym samym czasie zaczęli rozmawiać o wyprowadzce z Londynu do West Country, żeby sprawdzić, czy tam galeria Zacha radziłaby sobie lepiej. Przez rok oboje konsekwentnie przedstawiali ten plan jako krok naprzód, nowy, lepszy etap ich życia, a nie ucieczkę, regres, ostatnią szansę. Tylko raz czy dwa, gdy pośrednik oprowadzał ich po rozczarowująco małych mieszkankach, przyłapał żonę na tym, że spogląda na niego z czymś na kształt pogardy w oczach, przelotnej, bo znikającej z kolejnym mrugnięciem, ale na tyle widocznej, by go zmrozić. Ali nie podobało się w Bath. Tęskniła za swoją kancelarią adwokacką w Londynie i za ich życiem towarzyskim w stolicy, a kiedy przez malejące dochody Zacha musiała wrócić na etat, żeby mogli się utrzymać, praca wydała jej się ogłupiająca i nudna. Zach podejrzewał, że Ali postanowiła odejść na długo przed tym, jak wreszcie go zostawiła. Przypuszczał, że podjęła decyzję spokojnie i racjonalnie i wybrała odpowiedni moment z taką samą rozwagą, z jaką wcześniej postanowiła wyjść za niego za mąż.

Z samego rana pojechał samochodem do Swanage, jednego z dwóch pobliskich miasteczek, w których spodziewał się znaleźć rzeźnika. Ranek był pogodny. Słońce grzało, chociaż wydawało się bledsze niż zaledwie tydzień wcześniej. Odchodzące lato rozrzedzało je, z wolna odbierając mu siły. Zakurzone krzaki kolcolistów przy drodze były raczej szare niż zielone; same łodygi i zwiędłe żółte kwiatki. Swanage ciągnęło się wzdłuż piaszczystej plaży i portu. Na ulicach wciąż roilo się od późnych wczasowiczów, ale teraz, po rozpoczęciu roku szkolnego, kolorowe sklepiki wydawały się opustoszałe bez dzieci.

Zach znalazł sklep mięsny, najwidoczniej cieszący się popularnością, bo zapas mięsa szybko zniknął z chłodziarki, zostawiając w powietrzu wyraźny zapach krwi.

– Z kiedy te serca? – zapytał, gdy przyszła jego kolej.

– Och, wszystko mamy świeżutkie, proszę pana – odpowiedział młody mężczyzna za ladą.

– Nie, to znaczy, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale potrzebuję... – urwał, czując się głupio. – Potrzebuję serca młodego byka sprzed najwyżej doby.

– Rozumiem – odparł rzeźnik z uśmiechem, a jeśli miał zamiar zapytać o powód, to ugryzł się w język. – No cóż, wszystkie serca w naszym sklepie pochodzą od młodych byków, o to nie musi się pan martwić. A co do tej doby... widzi pan, te przyszły do nas wczoraj rano, czyli ubój był pewnie dzień wcześniej. Więc to będzie raczej trzydzieści sześć godzin niż dwadzieścia cztery. Ale proszę mi wierzyć, są całkowicie świeże. Nie sędzę, żeby wyczuł pan różnicę. Może pan je powąchać, jeśli pan chce. – Chwycił jedno serce dłonią w rękawicze i ścisnął je kilka razy, a potem wyciągnął rękę w kierunku Zacha.

– Nie, nie ma potrzeby, wierzę panu na słowo – powiedział Zach, wzdrygając się z obrzydzenia.

Serce mieściło się idealnie w dłoni rzeźnika. Nagle ogarnęła go pewność, że Dimity Hatcher nie zamierza wykorzystać serca w celach kulinarnych, a jeśli nie chodziło o jedzenie to... o co? Po co jej wnętrzności zwierząt?

Przełknął ślinę.

– Dostajecie czasem serca sprzed mniej niż doby? – zapytał, zdając sobie sprawę, że zaczyna brzmieć dziwnie. Ale młody mężczyzna uśmiechnął się życzliwie. Może był przyzwyczajony do bardziej osobliwych zamówień.

– Hm... pomyślmy. Pewnie najlepszy byłby wtorek. Mogę dla pana jedno odłożyć, jeśli pan sobie życzy? Jeżeli przyjdzie pan z samego rana, to od uboju nie minie jeszcze doba.

– Wtorek? Nie zamierzałem tak długo czekać. – Zach patrzył na serce w dłoni rzeźnika. – Wezmę to. Ma pan rację, na pewno się nada, nawet jeśli trochę przekroczyło limit czasowy.

Rzeźnik zapakował jego zakup z cieniem uśmiechu na ustach. Zach uznał, że nie ma już nic do stracenia, więc równie dobrze może zapytać o kolejną dziwną rzecz:

– Czy jest tu gdzieś w pobliżu pasmanteria? Jakies miejsce, gdzie dostanę szpilki?

Dzięki wskazówkom rzeźnika znalazł sklep i po chwili dezorientacji w obliczu szerokiej gamy szpilek do wyboru zdecydował się na pudełko zwykłych, staroświeckich pręcików. Stalowych, bez plastikowych główek, w normalnym rozmiarze. Wychodząc z pasmanterii, spostrzegł mały sklep papirniczy po drugiej stronie ulicy. Przystanął. Miał tremę przed malowaniem i rysowaniem; bał się, że efekty jego pracy okażą się równie nijakie i rozczarowujące jak poprzednio. Przerazenie ogarniało go na myśl, że nie był to tylko spadek formy albo brak weny – na myśl, że naprawdę stracił talent. Od ostatniej próby minął ponad rok. Wszedł do sklepu tylko po to, żeby przejrzeć asortyment, ale wyszedł z dwoma dużymi szkicownikami, kilkoma kawałkami kredy i butelkami tuszu, garścią ołówków, pudełkiem akwarel i paletą oraz dwoma pędzlami, jednym cienkim, a drugim grubości jego małego palca. Nie planował wydać tak dużo pieniędzy, ale z tym podstawowym wyposażeniem czuł się tak, jakby odnalazł starych przyjaciół. Jakby odnowił znajomość z dzieciństwa. W drodze powrotnej do Blacknowle towarzyszyło mu poczucie, że czeka na niego prezent do rozpakowania.

Ale pierwszy prezent nie był dla niego, tylko dla Dimity Hatcher. Zaparkował przy pubie i na piechotę ruszył w kierunku jej domu, nie wierząc, że jego samochód da sobie radę na poślubionej koleinami kamienistej drodze. Kiedy dotarł do Strażnicy, spojrzął w dół wzgórza na Farmę Południową, szukając ciemnowłosej postaci o szybkich, precyzyjnych ruchach. Dziwne, że jej sposób poruszania się zdążył tak mocno wryć mu się w pamięć. Ale nie dostrzegł tam żywej duszy, nie licząc gromadki beżowych owiec na dużym pastwisku za domem, więc zapukał głośno do Strażnicy.

Tak jak poprzednio, Dimity Hatcher wyjrzała nieufnie przez uchylone drzwi, jakby nie spotkali się nigdy wcześniej. Pod Zakiem ugięły się nogi. Znow miała rozpuszczone włosy, które zwisały jej wokół

twarży. Ubrana była w luźną niebieską sukienkę, przypominającą kaftan, i te same czerwone rękawiczki bez palców.

– Panno Hatcher, to ja, Zach. Odwiedziłem już panią, pamięta pani? Umówiliśmy się, że wrócę i przyniosę kilka rzeczy... a przy okazji porozmawiamy trochę dłużej o Charlesie Aubreyu?

– Oczywiście, że pamiętam. To było wczoraj – odpowiedziała po krótkiej przerwie.

– Świetnie. Tak, rzeczywiście. – Zach uśmiechnął się.

– Przyniósł pan to, o co prosiłam? – spytała.

Zach poszukał w torbie szczelnie zapakowanego serca i po chwili podał kobiecie papierową paczuszkę.

– Zawinałem je w gazetę, żeby było w chłodzie, zanim tu dojadę.

– Dobrze, dobrze. Nie może się zepsuć – powiedziała niemal do siebie, a potem rozpakowała serce, mamrocząc pod nosem.

Wydawała z siebie ciche dźwięki, które mogły składać się na jakąś melodię. Rozwinęła papier i powąchała serce, ale nie szybko i ostrożnie, jak zrobiłby to Zach – wzięła długi, głęboki wdech. Wąchała je jak konieser, jak kiper badający wino. Zach przestępował niespokojnie z nogi na nogę, zakłopotany swoim kłamstwem. Dimity dźgnęła serce palcem wskazującym i obserwowała, jak mięsień powoli wraca do właściwego sobie kształtu, wypełniając dołeczek, który w nim pozostawiła. Potem wcisnęła papierowe zawiniątko z powrotem w dłoń Zacha i pokręciła głową, bez irytacji, ale z czymś w rodzaju rozczarowania.

– Najwyżej sprzed doby – uściśliła i zamknęła drzwi.

Oniemiały Zach zapukał ponownie, ale Dimity wyraźnie nie miała zamiaru mu otworzyć.

Klnąc na siebie, podszedł do okna i przytknął twarz do szyby, osłaniając ją po obu stronach dłońmi przed światłem. Zdawał sobie sprawę, że w ten sposób raczej nic nie wskóra.

– Panno Hatcher? Dimity? Przyniosłem szpilki, o które pani prosiła i mogę zdobyć... świeższe serce, we wtorek, tak powiedział rzeźnik. Wrócę z nim we wtorek, dobrze? A może weźmie pani teraz chociaż szpilki? Panno Hatcher?

Wyteżył wzrok i był pewien, że dostrzegł w ciemnym wnętrzu jakiś ruch. Chwytając się ostatniej deski ratunku, wyciągnął z torby

„Burlington Magazine”, otworzył go na rysunku Dimity i Delphine i przycisnął kartkę do szyby.

– Chciałem panią zapytać o ten rysunek, Dimity. Czy pamięta pani, kiedy powstał i w co się wtedy bawiłyście? I jaka była Delphine, córka Aubreya?

Pomyślał o portrecie Delphine w jego galerii i o długich godzinach, jakie spędził, wpatrując się w jej twarz. Znow przeszył go dreszcz niedowierzania, że ma do czynienia z osobą, która widziała tę cudowną dziewczynę we własnej osobie. Dotykała jej skóry, trzymała ją za rękę. Ale ze środka nie dobiegały żadne dźwięki, a ruch ustał.

Zach opuścił dłonie i odsunął się od okna, pokonany. W szybie był tylko czarnym odbiciem, zarysem postaci, za którą lśniły morze i niebo.

Minął domek i zszedł na szczyt klifu. Usiadł tam po turecku i spod przymrużonych powiek patrzył na ocean. Wirująca nad tonią bryza wygładzała jej powierzchnię, by po chwili pokryć ją zmarszczkami, a morze na zmianę matowiało i płonęło światłem. Przecinały je ogromne fale, które zdawały się wzbierać spod jego powierzchni; długie smugi, będące być może śladem łodzi, które zniknęły już z pola widzenia, albo ostrzeżeniem przed niewidocznym prądem cofającym. Zach wzdrygnął się na myśl o potędze morza, jego przemożnej, nieodpartej sile. Poczł lekkie mrowienie pod powiekami i naszała go ochota, żeby spróbować namalować tę olśniewającą scenę, którą miał przed sobą, ale w tym samym momencie przed oczami mignęła mu blada postać. Na plaży pojawiła się Hannah Brock.

Nie mógł zrozumieć, którędy zeszła na dół, bo na pewno nie minęła Strażnicy, a nie wydawało mu się, żeby istniała jakaś inna droga do tej małej zatoczki. Ale jakoś się tam znalazła i teraz na jego oczach zsunęła dzinsy i koszulę i w spłowiałym czerwonym bikini podeszła na skraj morza. Jej włosy, tym razem nieprzewiązane zieloną chustką, powiewały na wietrze. Wkrótce stała po kostki w wodzie. Zach widział, jak rozprostowuje palce, rozpościera je szeroko, a potem zaciska dłonie. Musiało być zimno. Uśmiechnął się lekko. Hannah oparła pięści na wąskich biodrach i patrzyła w morze, zupełnie jak on chwilę wcześniej. Tak długi i płaski horyzont zawsze przyciąga wzrok; nie sposób mu się oprzeć. Zach przykucnął nisko i w tej pozycji odsunął się od krawędzi

klifu najdalej, jak mógł, nie tracąc jej z oczu. „Gdyby znów przyłapała mnie na podglądaniu, to byłby koniec – napomniał sam siebie poważnie. – Nie byłoby już odwrotu”. Zaskoczyła go ta myśl – to byłby koniec czego?

Po pewnym czasie Hannah odwróciła się w prawo i ruszyła plażą na skraj zatoki. Jej skóra była blada, ale Zach wiedział, że sam skrywa pod ubraniem bledsze ciało. Szczupła sylwetka kobiety zdawała się zredukowana do niezbędnego minimum. Miała płaskie piersi i chude ramiona; tylko wcięcie w talii ustrzegło ją przed chłopcym wyglądem. Ale równocześnie była zaprzeczeniem kruchości. Każdy cal jej ciała emanował energią i gotowością. Być może do walki. Przypomniał sobie wyzwanie w jej oczach, kiedy rozmawiali w pubie. „Czego pan od niej chce?” Wspięła się na skały na drugim krańcu plaży i szła nimi aż do miejsca, w którym wrzynały się w morze. Wyglądało na to, że dotarła do czegoś na kształt cypla, ale szła dalej jeszcze jakieś piętnaście metrów, brodząc w wodzie sięgającej kolan. Zafascynowany Zach nie odrywał od niej wzroku. Pod wodą musiała biec skalna półka, dość płaska i szeroka, żeby zapewniać nogom oparcie, nawet jeśli woda nie pozwalała jej dokładnie zobaczyć. Na końcu Hannah zatrzymała się, wyprężyła ciało i zanurkowała jednym gładkim ruchem.

Nie wypływała przez dłuższą chwilę. Zachowi stanęły przed oczami straszliwe wizje podwodnych skał i prądu podpowierzchniowego, ale przecież musiała doskonale znać tę plażę i morze. Wynurzyła się daleko na wschód od miejsca, w którym wskoczyła do wody, praktycznie naprzeciwko Zacha usadowionego na klifie. Strząsnęła włosy z twarzy, przez moment utrzymywała się na powierzchni, a później znów z pluskiem zniknęła w morzu. Pływała przez jakieś piętnaście minut, na zmianę zanurzając się i odpoczywając spokojnie na plecach, a Zach przestał się martwić, że go zauważy, nie zanosilo się na to.

Kiedy wyszła z wody, barki miała uniesione i spięte. Widział, że zimno jej na wietrze. Miał ochotę zejść na plażę i spotkać się z nią, właśnie w tym momencie – kiedy z włosów i brody ciekła jej woda, a całe ciało pokrywała gęsia skórka. Smakowałyby solą. Ubrała się szybko, niedbale i energicznie wciągając ubrania na mokrą skórę,

a potem zniknęła mu z oczu. Była zbyt blisko klifu, żeby mógł zobaczyć, którądy idzie.

Długo siedział na skraju skał. Dimity widziała go z okna w kuchni, do którego podchodziła co parę minut, żeby sprawdzić, czy wciąż tam jest. Formalnie ten teren należał do niej; formalnie wkroczył na teren prywatny. Valentina by tego nie zniosła – natychmiast wybiegłaby z domu, aby przegonić intruza spojrzeniem rozpalonym wściekłością i krzykiem, który niósł się na kilometr, kiedy tego chciała. Dimity przez chwilę stała niezdecydowana przy oknie, zastanawiając się, czy mimo wszystko powinna go była wpuścić, czy powinna to zrobić teraz. Ale tak bardzo liczyła, że zrobi dziś amulet do komina, marzyła, że wreszcie powstrzyma niechcianych gości. A przy okazji może pozbędzie się tego, którzy już wrócił i wdarł się do środka. Znowu wyjrzała przez okno. Przelotne podobieństwo do Charlesa, które zauważyła w pierwszym momencie, całkiem zniknęło. Dłonie i głowa tego mężczyzny były nieruchome, zamiast się kręcić, zerkać, śmigać jak u Charlesa. Nie miał ani śladu jego ognia, jego energii. Młody mężczyzna na klifach wyglądał raczej na lunatyka i trochę się obawiała, że może się potknąć, przewrócić i spaść do morza.

Po głowie chodziła jej prosta piosenka, słyszała ją wciąż od nowa. Kołysanka z dzieciństwa, od której nie mogła się uwolnić. „Żeglarz wyruszył w morze, morze, morze, sprawdzić, co tam znaleźć może, może, może, ale wszystko, co tam znaleźć może, może, może, to głębokiego morza morza dno...” Najpierw myślała, że ducha tej piosenki wywołało kapanie z kranu kuchennego; miarowy odgłos kropel na nadtłuczonej porcelanie. Stała w kuchni i zamknęła oczy, a otaczające ją zapachy natychmiast się nasiliły – woń czerstwego chleba i skisłego mleka, swąd płyty kuchennej, mdlący smrodek tłustych odpadków, kryjących się w szafkach i szparach w podłodze od stu lat. Wspomnienie perfum Valentyny, fiołkowej wody toaletowej, którą muskała się za uszami przed przyjściem gościa. Dimity wydawało się, że gdyby otworzyła oczy, mogłaby ją zobaczyć. Przyłapać ją, jak stoi z uśmiechem tuż obok córki. „Mity, moja kochana, poczekaj tylko, a zbijesz kiedyś majątek”. Układa Dimity długie brązowe włosy na plecach, z półprzymkniętymi powiekami, zamroczona i serdeczna po

winie, które czuć w jej oddechu.

Dimity stała z zamkniętymi oczami, zaciskając mocno zęby, żeby nie poczuć zapachu fiołków na języku. Piosenka sama wyrywała jej się z gardła, ale bliżej temu było do skandowania niż śpiewania. „Może może może, morze morze morze”, szybki rytm, któremu nie można się było oprzeć. Słyszała w nim odgłos klaskania w ręce, skóry uderzającej o skórę, jędrną skórę młodych dłoni. Ten obraz, który mężczyzna przytknął do szyby. Zobaczyła tylko fragment, przez chwilę, z daleka, ale od razu go rozpoznała. Wtedy pierwszy raz go spotkała, wtedy pierwszy raz ją rysował – rysował ją, jeszcze zanim poczuła jego obecność, zanim go zobaczyła. Zamienił ją w postać na kartce; wchłonął ją, a później odtworzył i stała się jego własnością. Tak się poczuła, kiedy zobaczyła ten rysunek. Jak jego własność.

Dom nazywał się Littlecombe. Stał w zarośniętym ogrodzie na wschodnim krańcu Blacknowle, wzdłuż podjazdu, który wiódł dalej w kierunku morza. Był niczym echo Strażnicy, jej lustrzane odbicie, choć nie do końca – Littlecombe znajdowało się bliżej wioski, jeszcze na jej terenie, na granicy. Nie było aż tak odcięte od świata, ale wciąż odrębne. Dało się stąd przejść przez pastwiska na klify, tak samo jak ze Strażnicy, a potem wejść na biegnącą na zachód ścieżkę do Tyneham. Niewielki strumyk za domem tworzył miniaturowy kanion, z którego woda spływała do morza, po ulewnym deszczu rozpryskując się na ścianie klifu brązowym błotem. To było jedno z najlepszych miejsc do zbierania rukwi wodnej i łapania raków, a ponieważ dom stał pusty od trzech lat, Dimity uznała, że ma do tego prawo.

Wcześniej mieszkał tam starszy mężczyzna zwany Fitchem. Podobno spędził tam całe życie. Wszyscy nazywali go po prostu Fitch. Co wieczór, nie licząc niedziel, włókł się do pubu Pod Szmuglerską Latarnią, na zmianę zanosząc się kaszlem i zaciągając cienkim papierosem bez filtra. Dym wyźłobił w jego twarzy głębokie, ciemne zmarszczki, a prawą dłoń miał zaciśniętą jak szpon, z niewielką przerwą między palcem wskazującym a kciukiem, żeby móc w każdej chwili chwycić następnego szluga.

Kiedy pewnej soboty nie pojawił się w pubie, mieszkańcy Blacknowle wiedzieli, co to oznacza. Poszli do Littlecombe

z przygotowanymi noszami i znaleźli go w fotelu, sztywnego i zimnego, ze sfatygowanym petem zwisającym spomiędzy warg. Dimity mogła im powiedzieć, że nie żyje, ale nie wolno jej było wchodzić do pubu, a ludzie zwykle nie odzywali się do niej, jeśli nie musieli. Dlatego trochę ze strachu, a trochę na przekór nie powiedziała nikomu o tym, co wiedziała. Że kiedy rano przyszła łowić ryby w strumyku za domem, czarne okna przywitały ją krzykiem, a dom ział pustką, od której ścierpła jej skóra. Wcześniej czuła obecność żywej istoty wśród ścian. Jego śmierć była jak dziwny zapach w powietrzu albo nagła cisza po hałasie, z którego nie zdawało się wcześniej sprawy.

Littlecombe stał pusty przez trzy lata. Dom odziedziczył daleki kuzyn Fitcha, który nie chciał mieć z nim nic do czynienia. Kilka obluzowanych dachówek roztrzaskało się w kwietnikach, niszcząc bujne dmuchawce. Oset urósł tak wysoko, że sięgał parapetów okien na parterze, a w zimie pękła rura wodociągowa, pokrywając jedną ze ścian lśniąącym pasmem lodu. Był to kwadratowy dom z cegły, z trzema pokojami na piętrze i trzema na parterze. Wiktoriański, praktyczny, niepozbawiony uroku, ale z pewnością niezbyt ładny. Któregoś ranka Dimity szła tam przez pola wokół Farmy Południowej, gdy nagle stanęła w pół drogi. Cienka smuga dymu z komina unosiła się w krystalicznie czyste powietrze. Wczesnym latem poranki były jeszcze chłodne. Dimity poczuła, jakby padł na nią snop światła, więc rozstawiła szeroko nogi, gotowa odwrócić się i rzucić do ucieczki. We wsi nie mówiło się o nowych właścicielach – wiedziała, bo słuchała plotek, kręcąc się przy sklepie albo przystanku autobusowym. Nowym właścicielom mogło się nie spodobać, że przychodzi nad strumień. Mogli uznać, że kradnie. Mogli mieć psa i poszczuć ją nim, tak jak matka Wilfa Coulsona, kiedy któregoś dnia zapukała do drzwi jego domu ze ściśniętym gardłem, zdumiona własną śmiałością, żeby zapytać, czy nie wyjdzie się pobawić.

Już miała zawrócić, kiedy zobaczyła, że ktoś jej się przygląda. A nie był to rozgniewany mężczyzna ani zdenerwowana kobieta z psem, tylko mała dziewczynka. Młodsza od Dimity, jedenasto- albo dwunastoletnia, średniego wzrostu, szczupła, o kościstych ramionach. Miała jasnobrązowe, skórzane buty, białe skarpetki podciągnięte aż do kolan i kanarkowy sweter. Stała przy rozklekotanej furtce do małego

ogródka przed Littlecombe. Przez chwilę przyglądały się sobie nawzajem. A potem dziewczynka wyszła z ogródka i ruszyła w jej kierunku.

Kiedy podeszła bliżej, Dimity zobaczyła brązowe oczy o szczerym spojrzeniu i niesforne kosmyki, wymykające się ze lśniących brązowych warkoczy. Stała z bijącym sercem, czekając na to, co usłyszy, ale po długim milczeniu dziewczynka uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

– Nazywam się Delphine Madeleine Anne Aubrey, ale możesz mówić na mnie po prostu Delphine. A ty?

Miała gładką i chłodną dłoń z wyszorowanymi do czysta paznokciami. Dimity wyszła z domu o świcie, żeby sprawdzić wnyki, sprzątnąć obornik z kurnika i zebrać warzywa, więc jej paznokcie były brudne, z ciemną obwódką z ziemi.

Ziemi i nie tylko. Ostrożnie uściśnęła dłoń Delphine.

– Mitzy – wykrztusiła.

– Bardzo mi miło, Mitzy. Mieszkasz na tej farmie? – zapytała Delphine, wskazując za nią na Farmę Południową w dole wzgórza. Dimity pokręciła głową. – To w takim razie gdzie mieszkasz? My spędzamy tu lato. Jest jeszcze moja siostra, ale nie zobaczysz jej na nogach tak wcześnie. To leniwy śpioch.

– Lato? – spytała Dimity ze zdumieniem.

Oczarowała ją ta dziewczynka, jej spokojny, przyjazny sposób mówienia. „Nieznajomi”, pomyślała. Przybysze z bardzo, bardzo daleka, którzy jeszcze nie wiedzieli, że Hatcherów się nienawidzi. Nigdy nie słyszała o ludziach, którzy przyjeżdżali spędzić gdzieś lato – jak jaskółki albo jerzyki. Zastanawiała się, gdzie zimują, ale uznała, że takie pytanie mogłoby wydać się nieuprzejme.

– Masz taki śmieszny akcent! To znaczy fajnie śmieszny, mi się podoba. W ogóle to mam dwanaście lat. A ty? – spytała Delphine.

– Czternaście.

– Rany, ale ci dobrze! Nie mogę się doczekać, aż będę miała czternaście. Mama mówi, że jak skończę czternaście lat, będę mogła przekłuć sobie uszy, chociaż tata uważa, że to jeszcze za wcześnie i powinnyśmy się cieszyć dzieciństwem, zamiast próbować jak najszybciej dorosnąć. Ale to głupie, prawda? Przecież dzieciom prawie

nic nie wolno.

– Tak – przyznała Dimity, wciąż nie do końca pewna, jak zareagować na tak nieskrywaną serdeczność. Delphine założyła ręce na piersiach i obrzuciła nową koleżankę baczny spojrzeniem.

– Co włożysz do swojego koszyka? Nic w nim nie ma, a bez sensu byłoby nieść pusty koszyk, gdybyś nie planowała włożyć czegoś do środka – zauważyła.

Więc Dimity zaprowadziła ją za dom, z którego dobiegały odgłosy krzątania, szczęk garnków i naczyń oraz zapach świeżego chleba. Pokazała jej strumyk i rukiew, i które kamienie podnieść, żeby znaleźć schowane pod spodem raki. Na początku Delphine nie chciała ubłocić sobie butów ani zmoczyć rąk. Zanurzała palce w wodzie tylko na chwilę, by pośpiesznie wytrzeć je w spódnicę fartuszka, ale z czasem nabrała odwagi. Pisnęła i uskoczyła w tył, kiedy Dimity podniosła dużego raka, który wymachiwał szczypcami, rozgniewany na cały świat. Próbowwała ją uspokoić, że nic jej nie grozi, ale Delphine nie chciała podejść bliżej, dopóki Dimity nie wrzuciła raka do strumienia, daleko od miejsca, w którym stały. Patrzyła za nim z żalem.

– To przez te wszystkie nogi! Są obrzydliwe! Fuj! Nie wiem, jak możesz je jeść! – zawołała Delphine.

– Przecież to tak, jak zjeść kraba albo krewetki – odpowiedziała Dimity. – Moja matka chciała, żebym złapała kilka na później. Robi z nich zupę na obiad.

– O nie! Nie będziesz miała kłopotów przez to, że go wypuściłaś?

– Nie zawsze je znajduję, nie ma ich zbyt dużo. Powiem jej po prostu, że dziś żadnego nie było. – Dimity wzruszyła ramionami z udawaną bez troską.

Wnyki też były puste. Będzie musiała znaleźć coś innego, albo liczyć na to, że ktoś ich odwiedzi i przyniesie ze sobą bekon albo królika; inaczej w zupie nie będzie nic oprócz kaszy jęczmiennej i warzyw. Na myśl o tak lichym posiłku głośno zaburczało jej w brzuchu. Delphine zerknęła na nią i zaśmiała się.

– Nie jadłaś śniadania? Chodź, zjemy coś w domu.

Ale Dimity nie chciała wejść do środka; czuła się tak obco, że trudno jej było nawet przejść przez niewielką furtkę do ogródka.

Delphine przekrzywiła pytająco głowę, ale nie domagała się od niej wyjaśnień. Wbiegła do domu i wróciła z dwiema grubymi kromkami chleba posmarowanymi miodem. Dimity pochłonęła swoją w kilka sekund. Potem siedziały na wilgotnej trawie, a promienie porannego słońca tańczyły na ich lepkich palcach. Delphine starła błoto z butów liściem szczawiu i spojrzała na lśniąca połąć morza.

– Wiesz, że morze jest niebieskie tylko dlatego, że odbija kolor nieba? I tak naprawdę wcale nie jest niebieskie? – zapytała. Dimity przytaknęła. To brzmiało rozsądnie, chociaż nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Przypomniała sobie morze podczas sztormu, równie szare i kredowobiałe jak chmury. – Morze Śródziemne jest zupełnie innego koloru, czyli w takim razie niebo musi mieć tam inny odcień błękitu. Dziwne, przecież wszędzie świeci to samo słońce i w ogóle. Ale to pewnie przez powietrze albo coś w tym rodzaju. Jak myślisz, czy to, co jest pod wodą, też wpływa na kolor nieba? Chodzi mi o to, co leży na dnie – dociekała Delphine.

Dimity zastanawiała się nad tym przez chwilę. Nigdy nie słyszała o Morzu Śródziemnym i nie chciała zdradzić się z tym nową przyjaciółce.

– Wątpię – odrzekła w końcu. – Przecież nawet bardzo blisko brzegu jest już tak głęboko, że nie widać dna.

– Głębokiego morza, morza dna – powiedziała Delphine. – Masz siano we włosach – dodała, wyciągając źdźbło z czupryny Dimity. Potem podparła się i podniosła. – Wstawaj. Zaśpiewamy wyklaskiwanke.

Nauczyła ją piosenki o dnie głębokiego morza, a Dimity, która nigdy wcześniej nie bawiła się w wyklaskiwanie, stale się myliła. W skupieniu usiłowała nadażyć za rytmem, ale dłonie Delphine poruszały się coraz szybciej i Dimity w końcu uznała, że nie jest to taka dobra zabawa, jak uważała jej nowa koleżanka. Ale nie poddawała się, żeby sprawić przyjemność tej dziwnej, gadatliwej dziewczynce. W pewnym momencie poczuła na sobie ciężar czyjegoś wzroku. Najpierw sądziła, że tylko jej się wydaje, że to ze strachu, iż pierwsza zgubi rytm i się pomyli, ale po mniej więcej dwudziestu minutach z domu wyszedł mężczyzna z dużą, płaską książką w rękach.

Był wysoki i szczupły, ubrany w dopasowane szare spodnie i najdziwacznější koszulę, jaką Dimity kiedykolwiek widziała na mężczyźnie – długą i luźną, rozchyloną na szyi, by odsłonić skrawek owłosionej i opalonej klatki piersiowej. Przypominała bluzki, które mleczarki wkładały do dojenia krów, ale była skrojona z gorszego materiału, jakiegoś ciężkiego lnu. Włosy miał brązowe z głębokim czerwonym połyskiem, gęste i falujące. Rozdzielone przedziałkiem na środku głowy opadały mu na uszy, a z tyłu sięgały kołnierzyka. Dimity natychmiast przestała klaskać, cofnęła się o kilka kroków i spuściła wzrok w oczekiwaniu na atak. Spodziewała się, że mężczyzna zacznie krzyczeć i każe jej odejść. Tak przywykła do takiego traktowania, że kiedy na niego zerknęła, w jej oczach płonęła złość. Mężczyzna wzdrygnął się lekko, a potem uśmiechnął.

– Delphine, kto to jest?

– To Mitzy. Mieszka... tu niedaleko. To mój tata – powiedziała Delphine, chwytając Dimity za rękę i przyciągając ją bliżej mężczyzny.

Wyciągnął do niej dłoń. Żaden dorosły nigdy wcześniej tego nie zrobił. Oszołomiona Mitzy przyjęła ją i poczuła, jak mocno zaciska się na jej ręce. Duża, szorstka dłoń o suchej, poplamionej farbą skórze, z wystającymi kostkami i krótko spiłowanymi paznokciami. Trzymał jej palce chwilę dłużej, niż była w stanie to znieść, więc wyrwała dłoń, znów spoglądając mu w twarz. W jego oczach połyskiwało słońce, nadając im głęboki, lśniący odcień młodych kasztanów.

– Charles Aubrey – przedstawił się nieco ochryple niskim, kojącym głosem.

– Idziesz rysować? – zapytała Delphine.

Pokręcił głową.

– Już skończyłem. Narysowałem was, jak się bawicie. Chcecie zobaczyć? – I chociaż to Delphine przytaknęła i pochyliła się nad szkicownikiem w jego dłoniach, Dimity miała wrażenie, że tak naprawdę zwracał się do niej.

Rysunek był skreślony lekko, delikatnie; tło naszkicowane niedbale – ledwie zarys ziemi i nieba. Stopy i nogi dziewczynek ginęły w wysokiej trawie, zarysowanej szybkimi, nierównymi kreskami. Ale ich twarze, ich dłonie i oczy tchnęły życiem. Delphine uśmiechnęła się

szeroko, wyraźnie zadowolona.

– Według mnie jest świetny, tatusiu – powiedziała poważnym, dorosłym głosem.

– Mitzy, a ty jak myślisz? Podoba ci się? – zapytał, obracając rysunek do góry nogami, żeby mogła mu się przyjrzeć.

Dimity poczuła się nieswojo, a może nawet źle, nie miała pewności. Powietrze zdawało się zbyt szybko wypełniać jej płuca, nie mogła ich do końca opróżnić. Nie odważyła się odezwać; nie wiedziała, jaka odpowiedź byłaby właściwa. Delphine najwyraźniej nie widziała w tym nic niestosownego, była przecież jego córką. Ten mężczyzna uchwycił kształt ciała Dimity pod jej ubraniem; pokazał słońce odbite na jej podbródku i policzku, przeświecające spomiędzy jej włosów. Żeby oddać to tak dokładnie, musiał się jej dokładnie przyjrzeć. Dokładniej niż ktokolwiek inny – przywykła do tego, że dla mieszkańców Blacknowle jest niewidzialna. Poczowała się potwornie obnażona. Krew napłynęła jej do twarzy i nagle, bez ostrzeżenia, jej oczy wypełniły się łzami.

– Och, nie martw się! Nic się nie stało, Mitzy... naprawdę. Tato, powinienes ją najpierw zapytać! – orzekła Delphine.

Nie mogąc tego znieść, Dimity odwróciła się szybko i zeszła z boczem do Strażnicy. Zastanawiała się, jak Valentina zareagowałaby na wieść, że jej córkę narysował jakiś obcy mężczyzna, i chociaż to nie była jej wina, oczami wyobraźni wyraźnie zobaczyła szyderczy uśmiech matki.

– Przyjdź jeszcze, Mitzy! Tata przeprasza! – zawołała za nią Delphine.

Mężczyzna też się odezwał:

– Zapytaj rodziców, czy pozwolą ci dla mnie pozować!

Dimity nie odpowiedziała żadnemu z nich. Do domu dotarła dokładnie w chwili, gdy drzwi otworzyły się, a gość został zaproszony do środka. Nie zobaczyła, kim był, więc nie wiedziała, ile czasu zostanie, dlatego obeszła Strażnicę i usiadła w chlewie ze starą maciorą imieniem Molly, znosząc jej smród dla ciepła i przyjemnego towarzystwa zwierzęcia. Zastanawiała się, co musiałaby robić, pozując dla ojca Delphine. Myślała nad tym długo, ale każda odpowiedź, która

przychodziła jej do głowy, budziła w niej niepokój. Potarła ze złością powieki, spuchnięte i swędzące od łez, i poczuła niespodziewane ukłucie żalu na myśl o tym, że już tam nie wróci i nie spotka się więcej z Delphine.

Brama Farmy Południowej kiedyś była biała, ale większość farby odprysła, ukazując stare, matowe drewno. Skrzydła zwisały nisko z zawiasów, opadając na długą trawę. Dzień był wietrzny, a bryza chłodniejsza niż wcześniej. Wchodząc na podwórze, Zach wsunął dłonie do kieszeni. Znak u szczytu ścieżki informował o jajkach na sprzedaż i chociaż Zach tak naprawdę ich nie potrzebował, uznał to za dobry pretekst do niezapowiedzianej wizyty. Chciał znów zobaczyć nieprzystępną Hannah Brock, która interesowała go nie tylko dlatego, że знаła Dimity Hatcher. Podwórko było ciche i opuszczone. Rozważał, czy nie zapukać do drzwi domu mieszkalnego, ale ten wyglądał mało zachęcająco, jakby był zamknięty na cztery spusty. Po obu stronach wylanego betonem podwórza stały budynki gospodarcze, więc Zach skierował się do najbliższego z nich, niskiej konstrukcji z kruszącymi kamiennymi ścianami i dachem z blachy falistej. Z ciemnego wnętrza słyszał chrzęst słomy, a kiedy podszedł bliżej, powitały go spojrzenia czarnych oczu sześciu jasnobrązowych owiec, które prychały z zaciekawione. W powietrzu unosił się słodki, gryzący zapach.

Następna, dużo większa stodoła kryła w sobie potężny stos beli siana i staroświecką maszynę rolniczą z przerażającymi szpikulcami, kołami i różnymi ruchomymi elementami. Była zardzewiała i przystrojona girlandami pajęczyn. Przez dziurę w dachu świstał wiatr, a pod jasną plamą widocznego nieba na skrawku spleśniałej słomy rosły pokrzywy i gwiazdnice. Huk wiatru maskował ciszę, która nagle zaczęła działać Zachowi na nerwy. Nawet dalekie beczenie owcy nie zmieniło faktu, że farma sprawiała wrażenie wymarłej i zapomnianej, niczym wspomnienie czasu, który dawno minął.

– Pomóc?

Zach aż podskoczył na dźwięk męskiego głosu za sobą.

– Jezu! Okropnie mnie pan wystraszył! – zawołał.

Uśmiechnął się, ale stojący za nim mężczyzna nie odpowiedział tym samym. Mierzył Zacha spokojnym, badawczym spojrzeniem, które

kazało mu mieć się na baczności.

– To teren prywatny – rzucił, gestem dając do zrozumienia, że ma na myśli stodołę.

Był średniego wzrostu, niższy od Zacha, ale mocniej zbudowany, szeroki w barach. Twarz miał ściągniętą, policzki lekko zapadnięte. Mimo to Zach uznał, że jest od niego trochę młodszy, pewnie tuż po trzydziestce. Spod prostej czarnej grzywki patrzyły nań czarne oczy. Nawet gdyby nie mówił z mocnym gardłowym akcentem, Zach wzięłby go za obcokrajowca – skórę miał ciemną, pochodził pewnie z rejonu Morza Śródziemnego.

– Tak, wiem – przepraszam. Nie chciałem... Przyjechałem po jajka. Jajka na sprzedaż – powiedział Zach, usiłując odzyskać panowanie nad sobą w obliczu tak otwarcie wyrażonych podejrzeń.

Mężczyzna przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, a potem skinął głową, odwrócił się i odszedł. Zach założył, że powinien udać się za nim. Przeszli przez nierówne betonowe podwórze do niskiego, kamiennego budynku z drewnianymi drzwiami, czarnymi ze starości i od farby bitumicznej. Wewnątrz powitała ich wyszorowana do czysta brukowana podłoga i zaimprovizowana lada – stół na kozłach z metalową kasetką i grubą księgą. Leżała tam również duża kartonowa wytlaczanka, w której tkwiło pięć jaj. Mężczyzna rzucił na nią okiem z poirytowaną miną.

– Jest więcej. Jeszcze niezbrane. Ile? – zapytał.

– Poproszę sześć – uściślił Zach. Ciemnooki mężczyzna spojrzał na niego z kamienną twarzą, a Zach musiał powstrzymać uśmiech. – Właściwie wystarczy pięć – ustąpił, ale mężczyzna wzruszył ramionami.

– Przyniosę. Moment.

Zostawił Zacha samego w niewielkim pomieszczeniu, które kiedyś musiało być stajnią. Kiedy słońce wyjrzało na chwilę zza chmur, pobielone ściany załśniły jasnością. Wisiały na nich małe obrazki o wymiarach najwyżej trzydzieści centymetrów na dwadzieścia. Pejzaże i rysunki owiec, wykonane węglem na różnokolorowych kartkach. Proste sosnowe ramki opatrzone były nalepkami z niewygórowanymi cenami – sześćdziesiąt funtów za największą pracę, sylwetki owiec na horyzoncie na tle nieba rozświetlonego różowym brzaskiem. Wszystkie były dobre.

„Miejscowy artysta”, ocenił Zach. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że lepsze wzięcie miałyby w małej galerii w Swanage niż tutaj, w sklepie na farmie, w którym było pięć jajek i jeden klient, czyli on.

Stał i przyglądał się pracom, zastanawiając się, kim może być ten ciemnowłosy mężczyzna. Mężem Hannah Brock? Jej chłopakiem? Czy po prostu pracownikiem na farmie? Ta ostatnia opcja wydała mu się mało prawdopodobna – farma wyglądała, jakby ledwo zapewniała utrzymanie jednej osobie, a co dopiero pracownikowi. W tej sytuacji zostawał tylko mąż albo chłopak, a Zach zdał sobie sprawę, że mu się to nie podoba. Usłyszał za sobą kroki, więc odwrócił się, spodziewając się powrotu mężczyzny, ale do stajni weszła Hannah Brock. Na jego widok zatrzymała się raptownie, a on uśmiechnął się najniewinniej, jak potrafił.

– Dzień dobry – zagadnął. – I znów się spotykamy.

– Coś podobnego – odpowiedziała oschle. Przeszła za stolik i otworzyła księgę, zerkając na nią z rozkojarzonym wyrazem twarzy. – Czym mogę służyć?

– Nie, nie. Pani... to znaczy... ten człowiek, który tu był...

– Ilir?

– Właśnie, Ilir. Poszedł przynieść mi więcej jajek. A właściwie jedno jajko więcej, jeśli mam być dokładny. – Wskazał na pięć jaj w wytłaczance.

– Jajka? – Spojrzała na niego z uśmiechem. – Nie zatrzymał się pan czasem w pubie?

– Tak. Są dla... Są dla Dimity. – Odwzajemnił uśmiech i uważnie śledził jej reakcję.

– Mitzy ma pół tuzina własnych kur za domem. Wszystkie pięknie się niosą, o ile mi wiadomo.

– No tak. – Zach wzruszył ramionami. Hannah patrzyła na niego, ale nie wyglądała, jakby zamierzała się odezwać. Zachowi trudno było znieść tę ciszę. – Mitzy. Czyli wie pani, kim ona jest? – zapytał.

– Aż pana roznosi, więc zgaduję, że pan również wie – zauważyła Hannah.

– Specjalizuję się w Charlesie Aubreyu. To znaczy, specjalizuję w tym sensie, że... chodzi mi o to, że dużo o nim wiem. O jego pracy i jego życiu...

– W porównaniu do Mitzy nie ma pan o niczym pojęcia – sprostowała cicho Hannah, kręcąc głową. I zaraz się skrzywiła, jakby pożałowała tych słów.

– No właśnie. To znaczy... To niesamowite, że jeszcze nikt nie przyjechał, żeby przeprowadzić z nią wywiad... Musi mieć przecież o nim tyle do powiedzenia... I o tych wszystkich rysunkach...

– Wywiad? – przerwała mu Hannah. – Jak to, wywiad? Po co ten wywiad?

– Do... no dobrze, do książki. Piszę książkę... o Charlesie Aubreyu. – Na te słowa Hannah uniosła sceptycznie brwi. – Ma się ukazać na otwarciu jego retrospektywy w National Portrait Gallery latem przyszłego roku – powiedział nieco wyzywającym tonem.

– I powiedział pan o tym Mitzy, a ona zgodziła się panu pomóc?

– W zasadzie to chyba nie wspominałem o książce. Powiedziałem, że interesuję się Aubreyem, a ona wydawała się bardzo chętna, żeby mi o nim opowiedzieć... – urwał, gdy Hannah posłała mu mordercze spojrzenie.

– Wybiera się pan tam niedługo, prawda? Ja też. I jeśli nie powie jej pan do tej pory o książce, sama to zrobię. Jasne? To wszystko zmienia i dobrze pan o tym wie.

– Oczywiście, że jej powiem. Od początku zamierzałem. Chyba wyrobiła sobie pani na mój temat błędne zdanie. Nie jestem jakimś... – machnął ręką w powietrzu, szukając właściwego słowa.

– Szpiclem? – podrzuciła usługnie Hannah. Skrzyżowała ramiona, stając w agresywnej pozie podkreślonej kolejnym rozbłyskiem słońca, które wlało się przez okno i roziskrzyło jej ciemne loki głębokim odcieniem czerwieni.

– Słusznie. Nie jestem szpiclem ani jakimś sępem, który chce ją przechytryć. Jestem autentycznym wielbicielem Aubreya. Chcę tylko pokazać jego życie i sztukę z nowej perspektywy...

– Może wcale nie powinien pan poznawać tej perspektywy. Wspomnienia Mitzy należą do niej. Nie ma żadnego powodu, żeby się nimi z panem dzieliła po tym, co wycierpiała...

– Co wycierpiała? O czym pani mówi?

– Ona... – Hannah zamilkła, jakby w trakcie mówienia zmieniła

zdanie. – Po prostu go kochała, okej? Nadal nie może się pogodzić z jego śmiercią...

– Po ponad siedemdziesięciu latach?

– Tak, po ponad siedemdziesięciu latach! Jeśli już panu o nim mówiła, na pewno zauważył pan, jak... świeże są jej wspomnienia czasu, który spędzili razem. Bardzo łatwo ją zdenerwować.

– Nie chcę jej denerwować, a jej wspomnienia należą do niej, to oczywiste. Ale jeśli postanowi się nimi ze mną podzielić, to nie widzę nic złego w tym, co robię. A Aubrey jest postacią publiczną. To jeden z naszych największych współczesnych artystów – jego prace wiszą w galeriach w całym kraju... ludzie mają prawo wiedzieć...

– Wcale nie. Nie wszystko mają prawo wiedzieć. Nienawidzę takiego podejścia... – mruknęła Hannah.

– Dlaczego tak się pani tym przejmuję? Powiem jej, że pracuję nad książką o nim, obiecuję. A jeśli nadal będzie chciała ze mną rozmawiać, to chyba nie powinno to pani przeszkadzać, prawda? – zapytał.

Hannah zdawała się nad tym zastanawiać. Zamknęła księgę, chociaż nie wpisała w niej nic nowego. Za Zakiem pojawił się Ilir z plastikowym wiadrem pełnym jajek. Włożył do pudełka pięć jaj z wytlaczanki i jedno z wiadra.

– Jeszcze ciepłe – powiedział, zamykając przez chwilę dłoń na jednym z jajek.

– Dziękuję – odparł Zach.

– Funt siedemdziesiąt pięć – podsumował Ilir.

Zaskoczony Zach podniósł wzrok, a Hannah zachnęła się.

– Są ekologiczne, z wolnego wybiegu. Nie mają certyfikatu, ale to tylko kwestia tej pieprzonej papierologii... Pracuję nad tym. Ale są ekologiczne – zapewniła.

– Na pewno świetnie smakują – powiedział Zach, zastanawiając się, co z nimi zrobi. Pewnie da je Pete'owi do wykorzystania w kuchni w pubie. – Podobają mi się rysunki owiec – rzucił, odwracając się przed odejściem. – Miejscowy artysta?

– Bardzo miejscowy. Chce pan któryś kupić? – odpowiedziała lakonicznie.

– To pani? Są naprawdę dobre. Może następnym razem. –

Wzruszył przepraszająco ramionami, żałując, że nie stać go, żeby wydać sześćdziesiąt funtów na jedną z prac. – Ja też maluję. I rysuję. Właściwie powinienem użyć czasu przeszłego. Mam teraz galerię w Bath. Chwilowo zamkniętą. Bo jestem... tutaj.

Obejrzał się na nich. Ilir kręcił się obok Hannah, przekładając świeże jajka do wytłaczanki, jedno po drugim. Hannah obserwowała Zacha z – jak już się zdążył zorientować – typowym dla siebie niewzruszonym milczeniem.

– No dobrze, to będę się zbierał... – bąknął Zach. – Widzę, że jesteście zajęci... Okej. Do widzenia. Dzięki za jajka. Cześć.

Odwrócił się, a w tym samym momencie przez twarz Hannah przemknął uśmiech równie przelotny jak przejaśnienia na niebie tego dnia.

We wtorek Zach był w sklepie mięsnym z samego rana, jeszcze przed otwarciem. Kupił świeżutkie serce i ruszył prosto do Strażnicy. Nie przyszło mu do głowy, że Dimity może jeszcze spać, dopóki nie zapukał do drzwi i nie było już za późno na odwrót. Kiedy otworzyła, wyciągnął do niej dłoń z zawiniątkiem.

– Rzeźnik powiedział, że ten młody byk został zarżnięty wczoraj po południu. Nie dostałbym świeższego, chyba że pojechałbym prosto do ubojni i złapał je, kiedy wypadło mu z piersi – zapewnił z uśmiechem.

Dimity wzięła od niego paczuszkę, rozwinęła ją i ujęła serce w dłoń. Zacha przeszył lekki dreszcz, kiedy zauważył, że ubrudziła sobie rękawiczki krwią, a na jednej z żył zwisających z serca widniał ciemny skrzep. Poczul w nozdrzach mdlący zapach żelaza. Starał się nie oddychać zbyt głęboko. Dimity sprawdziła to serce tak samo jak poprzednie, a potem rzuciła Zachowi ledwo zauważalny zadowolony uśmiech. Odwróciła się zamasyście, powiewając długimi włosami i spódnicą, i zniknęła w domu, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Zach zajrzał do przedpokoju.

– Panno Hatcher?

– Szpilki? – Jej głos dobiegał z kuchni.

Zach wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Tutaj – powiedział, wręczając jej pudełeczko, które przyjęła bez

słowa.

Siedziała przy małym stoliku w kuchni. Wydawała się bez reszty pochłonięta sercem i tym, co planowała z nim zrobić, więc zafascynowany Zach osunął się cicho na krzesło naprzeciw niej. Jednym wprawnym ruchem nacięła serce z boku nożykiem, który wyglądał na ostry jak brzytwa. Czubkami palców usunęła ze środka zakrzepłą krew, a potem otworzyła pudełko ze szpilkami, pokrywając je rdzawymi odciskami linii papilarnych. Pod każdym paznokciem miała ciemnoczerwony półksiężyc. Nucąc pod nosem, przebiła szpilką ściankę serca od wewnątrz, wbijając pręcik tak głęboko, by główka gładko do niej przylegała. Zach wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany, lecz nie śmiał o nic pytać. Słowa piosenki, którą nuciła, były w większości niezrozumiałe, słyszał głównie niewyraźne pomruki i przeciągnięte samogłoski. Przynurzył się bliżej, żeby je rozszyfrować.

„Pobłogosław ten dom i zachowaj go od złego... pobłogosław ten dom... zachowaj strzechę, zachowaj kamienie...”

Skończyła, kiedy zabrakło jej szpilek. Wyjęła igłę i nić z kieszeni fartucha i szybko zaszyła wcześniejsze nacięcie, ugniatając serce tak, by odzyskało pierwotny kształt mimo pancerza ze szpilek. Wyglądało teraz jak potworna surrealistyczna wariacja na temat jeża; przypominało coś, co Zach mógłby stworzyć podczas studiów na uniwersytecie Goldsmith's, kiedy usiłował zdusić swoją naturalną potrzebę rysowania i malowania na rzecz sztuki figuratywnej. Wolał wtedy szokować, być awangardowy.

– Do czego to służy? – spytał niepewnie.

Zaskoczona Dimity podniosła oczy. Najwyraźniej zapomniała, że jej towarzyszy. Przez chwilę przygryzała wewnątrz policzka, a potem pochyliła się ku niemu.

– Odpędza różne paskudztwa – szepnęła i spojrzała za niego, jakby coś przykuło jej wzrok. Zach obejrzał się przez ramię. Z lustra w korytarzu patrzyło na niego jego własne odbicie.

– Paskudztwa?

– Te, których się nie chce. – Podniosła się, a potem chwilę mu się przyglądała. – Dobrze długie ręce – orzekła. – No dalej, pomóż mi.

Zach posłusznie wstał i poszedł za nią do dużego pokoju. Zgodnie

ze wskazówkami Dimity ukucnął w palenisku kominka i ostrożnie wstał, równocześnie odnotowując w myślach, że tego poranka sprawy przybrały dość nieoczekiwany obrót. Ocierał się ramionami o kamień pokryty sadzą, a kiedy zadarł głowę, na twarz posypał mu się deszcz czarnego pyłu. Klnąc, wytarł oczy dłońmi, a wtedy przekonał się, że palce też ma brudne. Jego nozdrza wypełnił cierpki zapach popiołu, a niebo nad jego głową było małym, oślepiającym kwadratem. „Jak to się stało, że stoję w kominie?”, zapytał sam siebie ze zdezorientowanym uśmiechem, rozglądając się w otaczających go ciemnościach.

– Pomacaj palcami nad głową. Najwyżej jak możesz. Jest tam specjalny gwóźdź na to serce. Znalazłeś?! – zawołała Dimity z salonu.

Patrząc w dół, Zach widział jej stopy w brzydkich skórzanych butach, przesuwane się nerwowo w przód i w tył. Wyciągnął rękę i zbadał kamienie palcami, zsypując sobie na włosy jeszcze więcej sadzy. Spróbował ją strząsnąć i szukał dalej, dopóki nie musnął palcami ostrej krawędzi zardzewiałego gwoździa.

– Mam!

– W takim razie weź to. Bierz. – Wsunęła dłoń do kominka i podała mu serce, przypominające poduszczkę na szpilki. Zwisało jej z palca na pętelce z nitki, którą je zszyła. – Zawieś je na gwoździu, ale musisz wtedy śpiewać fragment piosenki.

– Jakiej piosenki? – zapytał Zach, ostrożnie podnosząc serce jak najdalej od siebie. Niestety na wysokości jego głowy komin się zwęzał i serce otarło mu się o policzek. Poczuł na twarzy dotyk zimnego metalu, który zostawił za sobą cienką smugę. Wstrząsnął nim dreszcz. – Jakiej piosenki? – powtórzył ze złością.

– Pobłogosław ten dom i zachowaj go od złego... – zaśpiewała z dołu drżącym głosem, cienkim i wysokim.

– Pobłogosław ten dom... – fałszując, powtórzył Zach.

Zawiesił serce na gwoździu, a nagły podmuch powietrza uniósł jego słowa jak dym szepczący mu gniewnie do uszu. Wydostał się na zewnątrz najszybciej, jak potrafił, i stanął przy kominku, na próżno usiłując otrzepać włosy i ubranie brudnymi rękami. Kiedy spojrzał na Dimity, zasłaniała usta splecionymi ciasno dłońmi. Miała roziskrzony wzrok. Z cichym, radosnym okrzykiem zarzuciła mu ręce na szyję, a on

stał w jej objęciach, zdjęty niemym zdumieniem.

Kiedy go uwolniła, cofnęła się o krok. Sprawiała wrażenie zawstydzonej. Spuściła wzrok na swoje brudne palce, którymi bawiła się nitką z fartucha. Nie przeszkadzało jej, że są pokryte krwią. Jakby była do tego przyzwyczajona. Zach znów potarł o siebie brudne dłonie.

– Czy mógłbym skorzystać z łazienki, żeby doprowadzić się do porządku? – zapytał.

Wciąż na niego nie patrząc, Dimity skinęła głową i wskazała na korytarz.

– Dalej, z tyłu domu – wyjaśniła cicho.

Zach minął schody i otworzył drzwi ze spuchniętego drewna. Przed oczami stanęła mu wizja pęczniejącego od wilgoci i kruszejącego z wiekiem drewnianego szkieletu domu. Na próbę nacisnął kciukiem jedną z grubych belek biegnących przez ścianę. Była twarda jak stal.

Za drzwiami znajdował się mały składzik, drugie wejście do budynku i łazienka. Sufit, zapadający się od tylnej ściany domu, biegł tak nisko, że Zach muskał o niego włosami. Było tu znacznie zimniej, a Zach zdał sobie sprawę, że łazienkę dostawiono do domu w pośpiechu. Była niepozorną dobudówką, która zapewne miała zastąpić stary wychodek w ogródku. Wyjrzał przez szybę w drzwiach zewnętrznych. Podwórko było zacienione i pozbawione roślin. Tylko udeptana, omszała ziemia i spękane płyty chodnikowe, pokryte zielonymi porostami. Tu i ówdzie stały stare szopy i budynki gospodarcze, zamknięte, tajemnicze. Jednym z nich był rzeczywiście kurnik. Zobaczył w nim sześć brązowych kur, które grzebały w ziemi i czyściły sobie pióra. Za podwórkiem drzewa wyznaczające krawędź wąwozu kołysały konarami na wietrze. Zach wyszorował ręce najdokładniej, jak zdołał w maleńkiej umywalce, i usiłował wyrzucić z pamięci szept wiatru w kominie, który przez chwilę brzmiał jak ludzki głos.

Dimity przygotowywała herbatę i nucąc z zadowoleniem, rozstawiała filiżanki i spodeczki. Wyszczerbiony kubek poszedł w odstawkę i Zach uznał, że najwyraźniej zyskał w jej oczach. Zaprowadziła go do salonu, radosna i stanowcza jak dziecko, które bawi się w dom. Ostatecznie filiżanka, którą przed nim postawiła, nie miała uszka, ale jego gospodyni najwyraźniej tego nie zauważyła, więc

zachował to dla siebie. Na jej ustach błąkał się uśmiech, który rozświetlał jej twarz i przygasał z kolejnymi niewypowiedzianymi myślami. Zach uznał, że to dobry moment na jego wyznanie.

– Panno Hatcher...

– Och, mów mi Dimity. Dostyc już tego „panno Hatcher to” i „panno Hatcher tamto” – przerwała mu wesoło.

– Dimity – poprawił się – poznałem twoją sąsiadkę, Hannah Brock. Miła osoba.

– Miła, tak. Hannah to dobra dziewczyna. Dobra sąsiadka. Widzisz, znam ją, odkąd była dzieckiem. Ta rodzina... to porządni ludzie, zawsze tak było. Ale trzymają się na uboczu. O ile mi wiadomo, Brockowie zajmują Farmę Południową już od stu lat. Jak ona się boi, że ją straci! Bidulka. Zawsze tak ciężko pracuje i nic jej z tego nie przychodzi. Zupełnie jakby ktoś rzucił na to miejsce klątwę, ale to niemożliwe. Nie, nie wiem, kto mógłby to zrobić... – urwała i zapatrzona w przestrzeń, zdawała się zastanawiać, kto mógł rzucić klątwę na farmę Hannah.

– Wydaje mi się, że poznałem też jej... męża. Poszedłem tam wczoraj po kilka jajek. Taki ciemnowłosy mężczyzna.

– Jej męża? Nie, nie. To nie mógł być on. Jej mąż nie żyje. Umarł i leży na dnie morza. – Pokręciła ze smutkiem głową. – Tak wielu ich tam leży. A wśród nich mój ojciec.

– Utonął? Jest wdową? – zapytał Zach.

– Tak, wdową. Od jakichś siedmiu lat. Utonął, zmarł, zginął na morzu. Swoją drogą, nigdy go nie lubiłam. Zachowywał się, jakby pozjadał wszystkie rozumy. Nie rozumiał życia na wsi. Ale był uczciwy i mimo wszystko miał dobre serce, jak sądzę. – Rozejrzała się szybko po pokoju, jakby spodziewała się, że mściwy duch mężczyzny usłyszał, jak go oczernia.

Zach próbował wyobrazić sobie Hannah w roli wdowy. Zupełnie do niej nie pasowała. Wdowy były stare i zapłakane albo bogate i aroganckie.

– Ja też byłem żonaty. Rozwiedliśmy się. A w zasadzie to ona mnie zostawiła. Ali. Mam córkę, nazywa się Elise. Ma teraz sześć lat. Chcesz zobaczyć jej zdjęcie? – Zdziwiona Dimity skinęła lekko głową, więc

Zach wyjął fotografię córki z portfela.

Rozchichotana Elise ścisnęła na niej patyk z wielką chmurą waty cukrowej. Była tak podekscytowana, że nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu. Później rozboleła ją głowa od nadmiaru cukru. Zaczęła zachowywać się nieznośnie i zepsuła im cały dzień. Ale na zdjęciu miała roziskrzona oczy i lśniące włosy. Biła od niej prosta radość z tego, że dostała coś pysznego do jedzenia.

– Czy twoja córeczka jest szczęśliwa? Matka jest dla niej dobra? – zapytała Dimity, a Zach ze zdumieniem zauważył, że jej twarz przybrała wyraz smutku, a głos stał się schrypnięty.

– Tak, Ali zawsze świetnie sobie z nią radziła. Uwielbia Elise.

– A ty?

– Ja też ją uwielbiam. Jest cudownym dzieckiem. Staram się być dobrym ojcem, ale czas pokaże, czy mi się to uda.

– Dlaczego twoja żona odeszła?

– Przestała mnie kochać. Chyba od tego się zaczęło; a później nagle zaczęła zauważać wszystkie moje wady.

– Mnie nie wydajesz się taki zły.

– Ali ma chyba... wysokie standardy. Teraz poznała kogoś, kto spełnia je lepiej niż ja. – Zach uśmiechnął się przelotnie. – To zabawne... Wiesz, co się mówi o pierwszym wrażeniu? Myślę, że na tym polegał nasz problem. Mój i Ali. Poznaliśmy się na wystawie rysunku dwudziestego wieku, której byłem kuratorem. Opowiadałem Ali ze szczegółami, na czym polega wielkość każdej z wystawionych prac, każdego z artystów. Pewnie wydałem jej się poważny, spostrzegawczy i pełen pasji... Uznała, że odniosę sukces i daleko zajdę. Myślę, że z jej perspektywy później staczałem się tylko po równi pochyłej.

Dimity przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

– Miłość wypełnia, a później opuszcza serca ludzi... serca innych ludzi. Jak przyływ i odpływ. Nigdy tego nie rozumiałam. Moje się nie zmieniło. Wypełniło się i pozostało pełne. Pozostaje pełne nawet teraz... nawet teraz – powtórzyła z mocą.

– Z moim było tak samo, jeszcze długo po jej odejściu. Wydawało mi się, że świat się kończy. – Zach uśmiechnął się smutno. – Nagle wszystko, co robiłem albo co starałem się zrobić, straciło sens.

Rozumiesz?

– Tak. Tak, rozumiem. – Dimity skinęła głową z przejęciem.

– Ale z czasem to uczucie... jakby przygasło. – Zach wzruszył ramionami. – Nie można bez końca żałować, że sprawy nie ułożyły się inaczej. Żałować, że nie jest się kimś innym. W końcu trzeba zostawić ten żal za sobą.

– I udało ci się?

– Zostawić go za sobą? Nie jestem pewny. Staram się, ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. I trochę dlatego tu jestem... w Blacknowle. Właściwie miałem ci o tym powiedzieć już wcześniej. Piszę książkę o Charlesie Aubreyu. – Słyszając to, Dimity podniosła wzrok, a jej źrenice rozszerzył strach. – Nie zamierzam... Nie trafi do niej nic bez twojej zgody, obiecuję. Chcę tylko napisać o nim prawdę...

– Prawdę? Prawdę? O czym ty mówisz? – Dimity z trudem podniosła się ze swojego krzesła i stanęła przed Zakiem, przestępując z nogi na nogę. Nagle wydawała się przerażona.

– Zaraz, chwileczkę. Posłuchaj. Nie chcę zerować na twoich wspomnieniach. Naprawdę. I nawet jeśli będziemy rozmawiać i opowiesz mi o tym, co pamiętasz, ale nie będziesz chciała, żebym to zapisywał albo nagrywał, to nie będę, obiecuję – przekonywał ją gorąco.

– W takim razie po co ci to? Czego ode mnie chcesz? – zapytała. Zach zastanowił się nad odpowiedzią.

– Po prostu... Po prostu chcę go poznać. Mam wrażenie, że nikomu się to tak naprawdę nie udało. Znamy Aubreya artystę, wiemy to, o czym wiedzieli wszyscy. Ale ty, Dimity, znałaś go naprawdę. Znałaś i kochałaś. Nawet jeśli nie zapiszę nic z tego, co mi powiesz, to i tak pomożesz mi samemu. Proszę. Możesz opowiedzieć mi o prawdziwym Charlesie.

W ciszy, która zapadła po jego słowach, Dimity skrecała w palcach końcówki włosów, a potem usiadła na swoim miejscu.

– Znałam go lepiej niż ktokolwiek inny – powiedziała w końcu.

– Oczywiście – przyznał Zach z ulgą.

– Pokażesz mi ten rysunek? Ten, który przytknąłeś wcześniej do szyby? – Zarumieniła się, jakby wstydziła się, że go zignorowała, kiedy zachował się tak arogancko przed jej domem.

Zach uśmiechnął się.

– Przepraszam za tamten dzień. Tak bardzo chciałem z tobą porozmawiać, że zapomniałem o dobrych manierach. Oto on. Należy do kolekcjonera, który mieszka w Newcastle, ale wypożyczył go galerii na tę wystawę. – Wyciągnął magazyn i podał go Dimity.

Wpatrywała się w rysunek ze skupieniem, przesuwając palcami po lśniącym papierze. Westchnęła cicho.

– Delphine... – szepnęła.

– Pamiętasz ją? – zapytał Zach z przejęciem, a Dimity rzuciła mu miazdzące spojrzenie. – No tak, przepraszam.

– Cudowna dziewczyna. Była moją pierwszą przyjaciółką.

Pierwszą prawdziwą przyjaciółką. Kiedy tu przyjechali, byli straszliwymi mieszcuchami! Delphine bała się ubłocić sobie buty. Ale później się zmieniła. Chyba pragnęła być bardziej jak ja – bardziej dzika. Chciała nauczyć się gotować i rozpoznawać zioła. A mnie ciągnęło, by być bardziej jak ona – życzliwa i otwarta. Wszyscy w rodzinie tak ją kochali. I wiedziała mnóstwo rzeczy! Uważałam ją za najmądrzejszą osobę, jaką znam. Nawet później, kiedy pojechała do szkoły z internatem i zaczęła się interesować modą i chłopcami, i chodzeniem do kina... nadal pozostałyśmy bliskimi przyjaciółkami. Pisywała do mnie czasem zimą, kiedy ich tu nie było. W tych listach opowiadała mi o nauczycielach i chłopakach albo o swojej kłótni z którąś koleżanką... Po wszystkim naprawdę za nią tęskniłam. Naprawdę tęskniłam.

– Po wszystkim? Wiesz, co się stało z Delphine? W pewnym momencie straciliśmy ją z oczu, chociaż nigdy nie było o niej wiele wiadomo. Aubrey bardzo chronił swoją rodzinę. I w żadnej z książek nie ma choćby wzmianki, co się z nią działo po tym, jak zginął na wojnie...

Zach umilkł, widząc wyraz twarzy Dimity. Zapatrzyła się w coś, co dostrzegała tylko ona, a jej usta poruszały się lekko, jak gdyby słowa, które trzymała w środku, były zbyt słabe, żeby wydostać się na zewnątrz. Przez chwilę wyglądała, jakby widziała coś potwornego.

– Dimity? Wiesz, co się z nią stało? – naciskał delikatnie Zach.

– Delphine... ona... Nie – odpowiedziała wreszcie. – Nie wiem. – Powiedziała to drżącym głosem, ale potem zamrugowała i przeniosła wzrok z powrotem na magazyn, a jej twarz znów rozświetlił nikły uśmiech.

Zach nie mógł się oprzeć wrażeniu, że skłamała.

– Mogę? – Wziął od niej magazyn i otworzył go kilka stron dalej, na pierwszym portrecie Dennisa, który pojawił się na sprzedaż jakieś sześć lat wcześniej. – A ten rysunek? Z daty wynikałoby, że powstał tu, w Blacknowle. Znałaś tego mężczyznę, Dennisa? Pamiętasz go w ogóle?

Oddał staruszce folder. Przyjęła go niechętnie i tylko rzuciła okiem na portret. Na jej policzkach wykwitły czerwone plamy, które zaczęły schodzić w dół, zajmując całą szyję. Rumieniec będący oznaką poczucia winy, złości albo wstydu... Zach nie umiał tego rozstrzygnąć. Wzięła szybki, płytki wdech, a potem jeszcze jeden.

– Nie – powiedziała znów, odsuwając od siebie magazyn, jakby nie mogła nań patrzeć.

Słyszał jej oddech, przyśpieszony i słaby, gdy lekko drżącymi palcami kartkowała magazyn, żeby znaleźć swój portret z Delphine.

– Nie, nie znałam go.

Nie chcąc zniechęcać Dimity do dalszej rozmowy, Zach pozwolił jej wrócić do tamtego rysunku i nie pytał więcej o Dennisa ani o dalsze losy Delphine. Uświadomił sobie, że Delphine, dziewczyna, w której portret wpatrywał się od tak dawna, interesowała go tak samo jak jej ojciec, ale rozumiał, że będzie musiał z tym poczekać i działać ostrożnie. Na razie cieszył się, że może siedzieć obok Dimity i słuchać, jak opowiada o pierwszym spotkaniu z rodziną Aubreyów. Opisała mu dom, który wynajęli latem 1937 roku, i przyznała, że starała się utrzymać znajomość z nimi w tajemnicy przed swoją matką tak długo, jak to możliwe.

– Myślisz, że twoja matka byłaby nimi zgorszona? Wiem, że niektórym we wsi ich układ rodzinny wydawał się niemoralny... – wtrącił, ale natychmiast pożałował, że się odezwał.

Kiedy jej przerwał, Dimity zmarszczyła brwi i przez chwilę w milczeniu trawiła jego słowa. Najwyraźniej mylił się w którymś punkcie. Ostatecznie zignorowała jego pytanie i ciągnęła swoją opowieść.

Drugi raz spotkała ich cztery dni później. Czowała się rozdarta – chciała wrócić i zobaczyć się z Delphine, ale dręczył ją graniczący ze strachem niepokój. Bała się, że ich nie zrozumie, że zachowa się

w niewłaściwy sposób, i martwiła się, co powie Valentina, jeśli kiedykolwiek dowie się o rysunku. Miała wrażenie, że ten szkic odebrał jej jakąś część duszy, która już na zawsze została uwięziona na tamtej kartce papieru. W czternastym roku życia ciało Dimity nie przypominało już ciała dziecka. Miała piersi, coraz większe i cały czas obolałe. Valentina szczypała je niekiedy z szerokim uśmiechem, rozbawiona nimi z jakiegoś powodu, a wtedy w podbrzuszu Dimity rozlewał się dziwny ból. Biodra poszerzyły jej się tak nagle, że na jej skórze wykwitły różowe ślady, które później zbladły, zostawiając po sobie ledwo widoczne srebrne prążki. Chodziła teraz wolniej, rozkołysanym krokiem, a ci, którzy dawniej odwracali oczy, kiedy szła przez wieś, teraz śledzili ją wzrokiem. Chwilami Dimity wydawało się to jeszcze gorsze. Nie chciała czuć na sobie takich samych spojrzeń, jakimi ich goście obrzucali niekiedy jej matkę, kiedy przychodzili do Strażnicy z przylizanymi włosami i pośpiesznie nałożonymi, źle zawiązanymi butami. Które wkrótce mieli zrzucić.

Szła na szeroką plażę, ciągnącą się wzdłuż wybrzeża, na zachód od Blacknowle. Wybrała dłuższą drogę przez pola, bo na ścieżce nad klifem wałęsała się grupka chłopców. Nadal ją wyzywali i rzucali za nią różnymi rzeczami, ale teraz wykonywali też sugestywne gesty. Łapali ją i próbowali podciągnąć jej bluzkę albo spódnicę; rozpinali spodnie i wymachiwali penisami, czasem zwiotczalymi, a czasem wyprężonymi jak palec wymierzony w nią oskarżycielsko. Wciąż była wyższa od większości z nich, miała tyle samo siły i biegała równie szybko. Czuła jednak, że przyjdzie czas, kiedy to się zmieni, i wiedziona instynktem unikała ich jeszcze bardziej niż wcześniej.

Tym razem był z nimi Wilf Coulson. Zobaczył ją z daleka, ale nie pomachał do niej, nie zawołał jej ani nie uprzedził kolegów. Wciąż był chudy jak patyk, wciąż miał sylwetkę chłopca, a nie mężczyzny, i wciąż dokuczały mu zatoki. Na jej widok wcisnął kościste dłonie do kieszeni i odwrócił się; specjalnie nie patrzył za nią, żeby nikt jej nie zauważył. Szybko zmieniła trasę i zeszła im z oczu, postanawiając, że przy następnym spotkaniu wynagrodzi go za tę lojalność. Stale przygotowywała nowe mieszanki na jego problemy z nosem i specyfiki, od których miał szybciej urosnąć, ale teraz najczęściej chciał od niej

całusa.

Trwał odpływ – było tuż po pełni, która cofnęła morze daleko od brzegu, odsłaniając wąski łuk ciemnobrązowego piasku. Z wiadrem zawieszonym w zgięciu ramienia Dimity szła boso wzdłuż linii wody, stąpając najdelikatniej i najostrożniej, jak potrafiła, żeby nie spłoszyć swoich ofiar. Był ciepły, jasny dzień. Jej stopy w płytkiej wodzie wydawały się lśniąco białe; przyjemnie było iść po piasku pofałdowanym przez fale. Nie słyszała nic oprócz krzyków mew krążących nad jej głową i cichego plusku powodowanego przez własne ostrożne kroki; woda lśniła złotem. Rozgrzany słońcem piasek pachniał szklistą czystością. Otworki, których szukała, miały nie więcej niż dwa centymetry średnicy. Gdyby okładniczki wyczuły drżenie jej stóp, zakopałyby się głębiej, pryskając pogardliwie wodą, i nie mogłyby ich złapać. W prawej dłoni Dimity ścisnęła stary nóż o cienkim ostrzu i haczykowatym czubku. Kiedy dostrzegła otworek, ostrożnie stawiała stopy po obu jego stronach, a potem kucała i błyskawicznie wbijała nóż w piasek, żeby skręcając nadgarstek, wyciągnąć mięczaka z kryjówki, zanim zdoła uciec. Stworzonka zwisały smutno ze swoich muszelek, bulgocząc i skręcając ciała w poszukiwaniu czegoś, czego mogłyby się chwycić i wpełznąć w bezpieczne miejsce. Miała ich już dziesięć w kubelku, kiedy usłyszała nadchodzących ludzi. Wiedziała, że koniec z polowaniem.

Cztery postaci, dwie duże i dwie mniejsze, szły w jej stronę z drugiego końca plaży. Dzieci piszczały z radości i biegały wokół rodziców. Ich stopy uderzały mocno o ziemię, rozbryzgując wodę wysoko na sukienki. Dimity wyraźnie czuła to dudnienie, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła charakterystyczne obłoczki piasku i wody, świadczące o ucieczce okładniczek. W przyplýwie irytacji podniosła wzrok i wtedy przypomniała sobie, że Delphine powiedziała, że ma siostrę. Zrozumiała, kim są intruzi. Irytację zastąpiło zmieszanie, od którego zapłonęły jej policzki. Nie mogła zawrócić, nie miała gdzie się ukryć. W tym momencie Delphine rozpoznała ją i wybiegła jej na spotkanie, wyprzedzając pozostałych. Równie szczęśliwa co zawstydzona Dimity uniosła rękę na powitanie.

– Cześć, Mitzy! Tak myślałam, że to ty. Jak się masz? Co robisz? –

zawołała zdyszana dziewczynka, zatrzymując się przed nią z głośnym pluskiem.

Mokre ślady na jej sukience sięgały wysoko nad kolana. To była jasnoniebieska sukienka w żółte kwiatki z elegancko obszytym kołnierzykiem; na wierzch zarzucony był sweterek ze ślicznymi perłowymi guziczkami. Dimity patrzyła na nie z zazdrością, zadowolona, że tym razem ma dobry powód, żeby być boso.

– Łapałam okładniczki. Tylko że... one mieszkają w piasku i uciekają, jeśli usłyszą, jak ktoś się zbliża, więc teraz już żadnej nie znajdę – wyjaśniła, pokazując wiaderko, w którym leżało dziesięć bezradnych mięczaków.

– Myślisz, że cię usłyszały? O nie! – Delphine zakryła usta dłonią, gdy zrozumiała, co się stało. – To przez nas, prawda? Poprzednim razem wyrzuciłaś przeze mnie raka, a teraz spłoszyliśmy ci małże! – Zastanawiała się nad czymś przez chwilę, przygryzając wargę w konsternacji.

– Nic się nie stało – zaproponowała Dimity, zawstydzona jej troską. – Mam ich tu całkiem sporo...

– Musisz przyjść do nas na lunch. To jedyne możliwe rozwiązanie. I to najlepsze! Poczekaj, zapytam rodziców!

– Ale ja nie mogę...

Lecz Delphine już się odwróciła w stronę rodziny i zawołała:

– Mitzy może przyjść na lunch, prawda?! Tak hałasowaliśmy, że spłoszyliśmy jej małże!

Pierwsza podeszła do nich jej siostra. Młodsza o kilka lat od Delphine, miała drobniejszą sylwetkę i inną karnację. Ciemnobrązową skórę, ciemnobrązowe włosy i takie same brwi, które nadawały jej twarzy poważny wyraz. Wyglądała na podejrzliwą z natury. Jej przenikliwe czarne oczy zlustrowały Dimity z pewnością siebie nieelicującą z jej wiekiem.

– To ciebie narysował tatuś – orzekła. – Delphine mówiła, że nie znałaś zabawy w wyklaskiwanie. Jak to możliwe? To w co się bawia w twojej szkole?

– Widziałam, jak inne dzieci w to grają, po prostu sama nigdy... – Dimity wzruszyła ramionami.

Dziewczynka, która musiała być Élodie, uniosła pogardliwie brwi.

– Nie mogłaś się tego nauczyć? To łatwe – rzuciła.

– Cicho bądź, Élodie! – zawołała Delphine, szturchając siostrę z niezadowoleniem.

Teraz podeszli do nich również rodzice dziewczynek, a Dimity, chcąc oszczędzić sobie zakłopotania, spojrzała na kobietę zamiast na mężczyznę. Z jej ust wyrwał się cichy okrzyk. Matka Delphine i Élodie była najpiękniejszą kobietą, jaką widziała w życiu. Piękniejszą od kobiety z plakatu Ovaltine, przyklejonego w oknie sklepu. Piękniejszą od Lupe Velez na pocztówce, która krążyła kiedyś wśród chłopców we wsi – Dimity widziała ją podczas jej krótkiego pobytu w kieszeni Wilfa.

– To nasza mama, Celeste – powiedziała Delphine z uśmiechem.

Reakcja Dimity wyraźnie sprawiła jej przyjemność.

Celeste miała owalną twarz z delikatnie zarysowanym podbródkiem, pełne usta o idealnym łuku i opadające jej na ramiona czarne włosy, proste i gęste. Złocista, jasnobrązowa skóra była nieskazitelna, ale największe wrażenie robiły jej oczy. Mimo ciemnych włosów i oprawy gęstych, czarnych jak sadza rzęs, oczy miała błękitnozielone, duże i żywe, w kształcie migdałów. Zdawały się lśnić swoim własnym nieziemskim światłem, jaśniejszym nawet od słońca na letnim niebie. Dimity zapatrzyła się na nią.

– Bardzo mi miło, Mitzy. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by się tak nazywał. Czy to jakieś miejscowe imię? – Celeste mówiła niskim głosem z akcentem, jakiego Dimity wcześniej nie słyszała i nie umiała umiejscowić.

– Dimity. To zdrobnienie od Dimity – wykrztusiła, wciąż przerażona i zafascynowana tą kobietą.

– Dimity? Głupie imię – oceniła Élodie, wyraźnie zdumiona, że ktoś inny znalazł się w centrum uwagi.

– Élodie! Gdzie twoje maniery! – napomniał córkę Charles Aubrey, odzywając się po raz pierwszy.

Urażona dziewczynka skrzywiła się, co dało Dimity satysfakcję.

– Podobało mi się, jak Charles narysował cię razem z moją Delphine. Tak ładnie wyglądałyście przy wspólnej zabawie. Oczywiście, zapraszamy cię na lunch. Mam nadzieję, że przyjdiesz? Chcemy ci

jakoś wynagrodzić to, że Charles nie zapytał cię o zgodę – wyjaśniła Celeste.

Rzuciła Aubreyowi lekko karcące spojrzenie, ale on tylko się uśmiechnął.

– Ależ Celeste, gdybym zapytał o zgodę, umknęłaby mi ta chwila – wytłumaczył.

– Są gorsze rzeczy, kochany. No dobrze. Chodźmy dalej i dajmy dziewczynie polować. Wiesz, jak do nas trafić, prawda? Przyjdź w południe, to zjemy razem. Nalegam.

Wsunęła rękę pod ramię Charlesa i odeszli, zanim Dimity odzyskała panowanie nad sobą na tyle, żeby się odezwać. Może Valentina będzie miała gościa, pomyślała rozpaczliwie, albo wpadnie w jeden z tych nastrojów, które koi alkoholem, a potem przesypia całe popołudnie. Może uda jej się wymknąć, unikając pytań matki, jeśli będzie miała szczęście.

– Do zobaczenia, Mitzy. – Delphine pomachała jej, a Élodie zadarła wysoko głowę i odeszła, stąpając teraz delikatnie, jakby chciała okazać swoją wyższość przez godne zachowanie.

Dimity zbyt późno zdała sobie sprawę, że łapiąc małże, zmoczyła i ubrudziła piaskiem bluzkę, która przywarła jej do brzucha. Zbyt późno przypomniała sobie, że rano nie wyszczotkowała włosów. Poruszona przeczesła je teraz palcami, wpatrując się w kroczące plażą postaci. Celeste miała wiotkie ramiona i wąską talię nad szerokimi biodrami; przywodziła na myśl falującą głęboką toń – poruszała się płynnie, wdzięcznie. Jej piękno wzbudzało w Dimity jakieś nienazwane uczucie, a kiedy tak stała, podziwiając ją i usiłując doprowadzić się do porządku, artysta obejrzał się. Rzucił jej długie, nieśpieszne spojrzenie przez ramię, nie ukradkowe zerknięcie. Był zbyt daleko, by mogła odgadnąć, co miało oznaczać.

Dimity została nad morzem jeszcze jakiś czas. Nie było sensu szukać odlewniczek, wszystkie zagrzebały się głęboko w piasku, ale nie chciała też iść za oddalającą się rodziną. Odeszła kawałek, zadarła wyżej spódnicę i usiadła w miejscu, w którym piasek był dość suchy. Osłoniła oczy dłonią przed oślepiającym światłem i patrzyła za Delphine i pozostałymi. Kiedy skręcili i zaczęli się wspinać pod górę, ich postacie

były już małeńkie. Artysta położył Celeste rękę na plecach, żeby ją poprowadzić, a później wyciągnął dłoń do Élodie i podtrzymał ją, gdy szukali przejścia między skałami. Nie widziała jeszcze takiego ojca. Był dobry i silny, zupełnie inny niż tata Wilfa Coulsona i inni ojcowie z wioski, często rozgniewani i w złym humorze. Właśnie taki byłby jej własny ojciec. Próbowwała sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby miała tyle lat co Élodie, a mężczyzna taki jak Charles Aubrey wyciągnąłby do niej dłoń, chcąc pomóc jej na stromym przejściu.

Zbliżało się południe, ale do Strażnicy nie zawitali żadni goście. Dimity zrobiła co w jej mocy, żeby rozczesać włosy – było to prawie niemożliwe bez uprzedniego wyplukania z nich soli. Włożyła czystą bluzkę i próbowała zejść matce z drogi. Valentina stała w kuchni nad parą królików świeżo obdartych ze skóry. Czyściła spody ich futer gwałtownymi pociągnięciami noża, przygotowując je do suszenia. Miała czerwoną, spoconą twarz, a mokre kosmyki wpadały jej do oczu. Kiedy coś ją pochłaniało, pracowała z przerażającą zapalczywością, a w jej oczach tańczyły gniewne ogniki. To był zły moment na to, żeby zawracać jej głowę, przebywać w pobliżu czy prosić o cokolwiek. Dimity wyjrzała zza ościeżnicy dokładnie w chwili, gdy Valentina przerwała pracę i wyprostowała się, żeby rozciągnąć plecy i wsunąć włosy za uszy. W kuchni śmierdziało śmiercią. Valentina spiorunowała córkę wzrokiem.

– Lepiej dla ciebie, żebyś zrobiła, o co prosiłam, a nie snuła się bez celu przez cały ranek. Skończ kopać te ziemniaki albo przysięgam, że zaraz obedrę ze skóry i ciebie – wycedziła przez zęby.

– Wykopałam, mamó. Wszystko zrobione.

Valentina bez słowa wróciła do czyszczenia skór, a Dimity nie wiedziała, czy powinna wyjść, czy wymyślić jakiś użyteczny pretekst. Ostatecznie po prostu wymknęła się z domu, bo Valentina była zajęta myślami, które nie miały z nią nic wspólnego.

Drzwi do Littlecombe stały otwarte na oścież. Podchodząc bliżej, Dimity zauważyła, że tylne wyjście po drugiej stronie korytarza też nie jest zamknięte. W domu szalał przeciąg, tworząc ruchomy tunel, który zdawał się wsysać ją do środka, kiedy przystanąła z wahaniem na progu. Nadal nie była pewna, czy naprawdę została zaproszona na lunch.

Z kuchni dobiegały głosy i śmiech, a kiedy zapukała, w korytarzu pojawiła się uroczą twarz Celeste, rozjaśniona uśmiechem.

– Chodź, chodź! – zawołała. Wycierała właśnie dłonie w ściereczkę, a podmuch wiatru zasłonił jej twarz włosami. Odgarnęła je ze śmiechem. – Uwielbiam, kiedy powietrze pędzi przez dom. Wy, Anglicy, macie w domach taką duchotę! Nie znoszę tego.

Niepewna, czy to był wyrzut pod jej adresem, Dimity weszła za Celeste do kuchni. Stół nakryty był na pięć osób i stała na nim otwarta butelka wina. Dimity nigdy wcześniej nie miała do czynienia z winem – takim nalanym z butelki do kieliszka. Jej matka piła wino, jeśli jakiś gość przyniósł je ze sobą – a to zdarzało się rzadko. Stanowczo wołała cydr, który robiły z jabłek z sękatego drzewa za domkiem. Obierało się je bez trudu, tak były soczyste. Od początku sierpnia aż do końca września Dimity walczyła o nie z osami, odpędzając pijane, wojownicze owady, które chwiejnie latały od jednego smakowitego owocu do drugiego.

Pomyślała o Strażnicy, o jej ciężkiej strzesze, grubych ścianach i małych oknach. Tu wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Światło zalewało wnętrze przez szerokie pionowe okna, a ściany pokryto świeżą warstwą białej farby – nie były pożółkłe ze starości ani od brudu. Na podłodze leżały czerwone gliniane kafle, a dół ścian wyłożono boazerią pomalowaną na jasnozielony kolor. Dimity pierwszy raz była w cudzym domu. Dobrze знаła tylne wejścia domów w wiosce i ich progi; umiała z daleka rozpoznać zarys ich dachów. Ale nigdy wcześniej nie została zaproszona do środka.

Élodie postanowiła odegrać rolę gospodyni. Usadziła Dimity i skomplementowała jej bluzkę, a później krzątała się wokół niej i podała szklankę wody, niemal nie okazując przy tym pogardy. Letnia sukienka Delphine była ściśle przewiązana fartuszkami. Dziewczyna stała na małym stołeczku przy kuchence, mieszając w garnku, z którego unosiła się para i przyjemny zapach. Odwróciła się i uśmiechnęła do Dimity.

– Chodź, spróbuj, sama ją gotowałam! To grochowa z szynką.

– Moja mała kuchareczka. Świetnie ci idzie – pochwaliła ją Celeste, obejmując ramieniem biodra córki i mocno ją przytulając.

Dimity posłusznie wypila zupę z łyżki. Pomyślała, że byłaby dużo

smaczniejsza, gdyby dodać do niej świeżych liści laurowych i wykorzystać wodę, w której gotowała się szynka. Ale uśmiechnęła się tylko i przyznała, że zupa jest smaczna.

– Ja też umiem gotować, wiesz? – wtrąciła Élodie. – Niedawno zrobiłam krakersy serowe. Tatuś powiedział, że nigdy w życiu nie jadł lepszych.

– Tak, tak. Były wspaniałe. Mam szczęście, że moje córki są takie utalentowane – rzuciła uspokajająco Celeste. Odgarnęła Élodie czarne włosy z czoła i złożyła na nim całusa. – A teraz przestań się popisywać i przynieś talerze na zupę. – Powiedziała to łagodnie, ale Élodie skrzywiła się, wykonując polecenie.

Dimity sączyła wodę, przycupnięta na brzegu krzesła. Męczyło ją poczucie, że powinna im jakoś pomóc, ale kiedy spróbowała, długie, eleganckie ręce Celeste odepchnęły ją z powrotem na krzesło.

– Siedź spokojnie. Jesteś naszym gościem! Masz tylko jeść i dobrze się bawić – powiedziała z naciskiem.

Słyszając jej silny akcent, Dimity chciała zapytać, skąd pochodzi. Może z jakiegoś dalekiego miejsca, na przykład z Kornwalii, czy nawet Szkocji.

Charles przyszedł do domu w chwili, kiedy na stole pojawiła się zupa. Był potargany, miał zaróżowione policzki i spalony grzbiet nosa. Odłożył swoją płócienną torbę i zamyślony osunął się na krzesło. Celeste i Delphine wymieniły spojrzenia, których znaczenia Dimity nie potrafiła odczytać. Kiedy podniósł na nie wzrok, przez chwilę wyglądał tak, jakby nie wiedział, kim są. Zapadła cisza. Ale zaraz potem mrugnął i uśmiechnął się.

– Prawdziwa rewia piękności – mruknął. – Czegóż więcej mógłby pragnąć mężczyzna po powrocie do domu? – Jego córki uśmiechnęły się, ale Celeste jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego bacznie z wyrazem skupienia na twarzy.

– No właśnie, czegóż? – powiedziała cicho, a później wzięła łyżkę wazową i zaczęła rozlewać zupę.

Na widok Dimity oczy Aubreya rozblęły.

– O! Mity. Jak miło, że do nas dołączyłaś. Mam nadzieję, że rodzice wytrzymają bez ciebie kilka godzin? – Dimity skinęła głową,

zastanawiając się, czy powinna sprostować, że ma tylko matkę.

– Mój ojciec zginął na morzu – wyrwało jej się.

Potwornie zawstydzona patrzyła, jak twarz Celeste się zachmurza.

– Biedactwo! To wielka tragedia dla kogoś w tak młodym wieku!

Na pewno straszliwie za nim tęsknicie, ty i twoja biedna matka – powiedziała, pochylając się ku Dimity.

Chwyliła ją za ramię i wbiła w nią swoje niesamowite oczy.

Dimity nie spodziewała się takiej reakcji. „O ile mi wiadomo, zginął na morzu”, pomyślała. I skinęła głową bez słowa. Zachowała dla siebie, że Valentina wpada we wściekłość na każdą wzmiankę o jej ojcu.

– Jak sobie radzi twoja matka? Och, kobiecie samotnie wychowującej dziecko musi być ciężko na takiej prowincji. Nic dziwnego, że zawsze jesteś taka... – ugryzła się w język. – No dobrze. W takim razie opowiedz nam o swojej matce. Jak ma na imię?

– Valentina – odpowiedziała Dimity sztywno. To był ostatni temat, na który miała ochotę rozmawiać. Nie przychodziło jej do głowy nic więcej, co mogłaby powiedzieć o swojej matce. Zapadła długa, znacząca cisza, a Dimity z nerwów zaschło w gardle. Poczuli, że balansuje na krawędzi katastrofy. – Jest Cyganką. Pochodzi z cygańskiej rodziny z bardzo, bardzo daleka. Robi lekarstwa i amulety z ziół oraz różnych innych składników i wszystkiego mnie uczy. Ludzie we wsi udają, że jej nie wierzą, ale prędzej czy później wszyscy przychodzą, żeby coś kupić albo o coś zapytać. Moja matka jest naprawdę wyjątkowa – mówiła, a chociaż ani razu nie skłamała, miała wrażenie, że kłamstwo oplata ją niczym gęsta pajęczyna. Pomyślała, jak wspaniałe byłoby, gdyby prawdziwa Valentina odpowiadała temu opisowi.

– Zielarka – powiedział Charles, wpatrując się w nią. Czuli dotkliwie, że wpadające przez okno słońce oświetla jej twarz i nie ma gdzie uciec przed jego spojrzeniem. – To fascynujące... Nigdy nie poznałem prawdziwej zielarki. Muszę zajść do was któregoś dnia i się przedstawić.

– O nie! Proszę! – krzyknęła Dimity, zanim zdążyła się powstrzymać.

– A dlaczego nie, u licha? – zapytał z uśmiechem. Dimity nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc siedziała zrozpaczona ze wzrokiem

wbitym w swój talerz i aż podskoczyła, kiedy poczuła na przedramieniu jego grube, silne palce. Zacisnęły się na nim, a Dimity przeszył dreszcz. – Nie martw się, Mitzy – rzekł cicho. – Mało co mnie szokuje.

– Co to znaczy, tatusiu? – zapytała szybko zaciekawiona Élodie i wyglądała na lekko zawiedzioną, kiedy Charles ją zignorował.

Po zakupie Celeste wyjęła z piekarnika okrągły placek i rozkroiła go, ukazując mieloną jagnięcinę i całe migdały. Ciasto było słodkie, cienkie i kruche. Dimity nigdy w życiu nie jadła nic lepszego, a kiedy to powiedziała, Celeste zaśmiała się.

– Może ty i twój naród jesteście mistrzami ziół, ale my jesteśmy mistrzami przypraw. To bastela. Czujesz w niej cynamon, mielone ziarna kolendry, gałkę muszkatołową i imbir. To bardzo marokańskie danie. Bardzo charakterystyczne dla mojego kraju – oznajmiła z dumą.

Ukroiła następny kawałek i wyciągnęła rękę po talerz Dimity.

– Gdzie jest Mor... Mok... pani kraj? – zapytała i aż podskoczyła, kiedy Élodie parsknęła śmiechem, prawie krztusząc się kęsem, który miała w ustach.

– Niech to będzie dla ciebie nauczka – skarcił ją łagodnie Charles.

– Nie wiesz, gdzie leży Maroko? My byliśmy tam trzy razy! Jest cudowne! – zawołała Élodie. Celeste uśmiechnęła się czule do córki.

– Dobrze, że jesteś dumna ze swoich korzeni, Élodie – powiedziała. – Maroko leży w Afryce Północnej. To kraj, w którym rozkwita pustynia. Najpiękniejsze miejsce na ziemi. Moja matka pochodzi z ludu Berberów, z gór Atlasu Wysokiego, gdzie powietrze jest tak czyste, że widzisz całe niebo. Mój ojciec jest Francuzem, zarządcą rządu kolonialnego w Fezie.

– Czy wszystkie Berberyjki są takie piękne jak pani? – zapytała potulnie Dimity, usiłując zapamiętać wszystkie nieznane nazwy, które już zaczęły się zacierać w jej pamięci.

Celeste roześmiała się, a Charles do niej dołączył. Delphine uśmiechnęła się ustami pełnymi basteli.

– Jakaś ty kochana – powiedziała ciepło Celeste. – Od dawna nie słyszałam tak szczerego komplementu. – Rzuciła wyzywające spojrzenie Charlesowi, a potem wyciągnęła rękę po jego talerz.

W tym momencie Dimity zauważyła, że kobieta nie nosi na palcu

obrączki ślubnej, podobnie jak ojciec Delphine. Przełknęła ślinę, ale nic nie powiedziała. Próbowała wyobrazić sobie góry z opowieści Celeste, w miejscu, gdzie ludzie olśniewali niebo swoim pięknem.

Po lunchu Delphine została zwolniona z obowiązku zmywania, bo pomagała przy gotowaniu, więc chwyciła Dimity, która jękając się, dziękowała właśnie za zaproszenie, i wyciągnęła przyjaciółkę na dwór. W ogrodzie Dimity odetchnęła głęboko. Chociaż oczarował ją ten dom, jedzenie i ludzie, którzy ją ugościli, oszołomiły ją te wszystkie doznania i teraz, kiedy wysoko nad głową znów zobaczyła chmury, miała wrażenie, jakby zrzuciła z siebie jakiś ogromny ciężar. Delphine pokazała jej grządkę z warzywami, na której rosło kilka rachitycznych rzodkiewek i sałat.

– Zobacz! Następne bobki! Króliki wyjadają wszystko, co wyhoduję! – lamentowała.

Dimity skinęła głową, kucając obok niej, żeby przyjrzeć się śladom.

– Musisz zrobić z drutu ogrodzenie, żeby nie mogły tu wchodzić – orzekła. – Albo zastawić na nie sidła.

– Och, biedne króliczki! Nie mogłabym zrobić im krzywdy... Dlaczego nie chcesz, żeby tatuś poznał twoją mamę? – zapytała z ciekawością.

Dimity podniosła dwa królicze bobki i obracając je w dłoni, zastanawiała się, co odpowiedzieć.

– W porządku – powiedziała w końcu Delphine. – Nie musisz mi mówić. – Wstała i położyła ręce na biodrach. – Chodź. Znajdziemy jakiegoś raka w zamian za tego, którego wtedy wypuściłaś, i za tchórzliwe małże, które ci się wymknęły!

Tym razem Delphine nie bała się już dotknąć raka. Pozwoliła, żeby kropla wody z czubka jej palca skapnęła mu na czarne oko, kiedy usiłował się bronić, wyginając odnóża i podwijając ogon. Ale mimo wszystko nie mogła znieść myśli, że Dimity zabierze go ze sobą. Spodobało jej się, jak machnął do niej szczypcami i dała mu na imię Lawrence. Zdezorientowana Dimity wypuściła go do strumyka i zamiast tego pokazała Delphine, jak odróżnić rukiew wodną od knieci błotnej. Wokół rosło jej mnóstwo, można więc ją było wykorzystać, tym bardziej

że króliki przetrzebiły grządkę sałaty.

Szczupła dziewczynka była pojętną uczennicą, więc po kilku dniach lekcje odbywały się coraz dalej od Littlecombe, na łąkach wzdłuż klifów i polach ciągnących się aż po lasy. Zawsze omijały jednak wieś i trzymały się z daleka od Strażnicy. Wkrótce Delphine pod okiem Mitzy wzbogacała zapasy kuchenne Celeste o dziki fenkuł, komosę białą, majeranek, korzenie chrzanu oraz kwiaty lipy. Na widok tych ostatnich Celeste krzyknęła z zachwytu. Przyłożyła kwiaty do nosa i wzięła głęboki oddech. „Ach! *Tilleul!*”, westchnęła z wdzięcznością, nastawiając wodę w czajniku.

Któregoś ranka na trawniku przed Littlecombe Dimity zastała Élodie z rękami opuszczonymi sztywno wzdłuż boków i wyrazem przerażenia na twarzy, bo wokół jej nóg latał ogromny trzmiel z żółtym pyłkiem na czarnym futerku. Delphine stała obok z założonymi rękami.

– Élodie, bąk ci nic nie robi. Nie ma żądła! Żądła tylko pszczoły! – zawołała Dimity.

– Mówiłam jej, ale mi nie wierzy – wyjaśniła cierpliwie Delphine. – Jak na niego powiedziałaś?

– Bąk. Tak się nazywają, prawda? – wzruszyła ramionami Dimity.

– Nie w Londynie ani w Sussex. Powiedz nam, jak się mówi w Dorset na różne rzeczy.

Wszystkie trzy odwróciły się, żeby popatrzeć na trzmiela, który zostawił Élodie w spokoju, wzbił się wyżej i odleciał z niskim brzęczeniem. Élodie z cichym okrzykiem ulgi rzuciła się w ramiona siostry i mocno do niej przytuliła.

– No widzisz, Élodie. Jesteś już bezpieczna – powiedziała Delphine, klepiąc ją po plecach.

Przez następną godzinę świetnie się razem bawiły – Dimity nazywała różne rzeczy wokół nich, a dwie młodsze dziewczynki podskakiwały z radości, słysząc nieznanne dotąd słowa. Kreci kopczyk zamiast kretowiska; mrówcze gniazdo zamiast mrowiska, bobowiec zamiast kolcolista, a także kartofel zamiast ziemniaka.

Pewnego dnia odwiedziły Farmę Południową, a Dimity nieśmiało przedstawiła Delphine żonie farmera, pani Brock, która była dla niej życzliwsza niż większość mieszkańców wsi i czasem częstowała ją

lemoniadą albo kromką chleba, jeśli nie miała zbyt dużo pracy. Brockowie byli po pięćdziesiątce, mieli siwe włosy i twarze porane zmarszczkami. Przez całe życie pracowali na roli, więc ich dłonie były brązowe i pomarszczone, a paznokcie brudne i zrogowaciałe jak u zwierzęcia. Mieli dwójkę dorosłych dzieci – córkę, która wyszła już za mąż i wyprowadziła się z domu, i syna, Christophera, który pracował na farmie z ojcem. To on zabijał szczury kijem, a jego terier nie odstępował go ani na krok. Christopher był wysokim, cichym młodym mężczyzną z rudą czupryną i łagodnym, uważnym spojrzeniem. Wszedł do kuchni w chwili, kiedy Delphine opowiadała pani Brock o swojej marokańskiej matce i znanym ojcu. Dimity podziwiała jej śmiałość i to, że nie ukrywała niczego na swój temat, a kiedy zerknęła na Christophera, z jego twarzy również wyczytała podziw – a może po prostu ciekawość. Jakby zetknął się z tajemnicą, którą kiedyś będzie musiał rozwikłać.

Kiedy zbliżały się do Littlecombe albo bawiły nieopodal, Dimity często czuła na sobie czyjeś spojrzenie. Czasem udawało jej się dostrzec odległą postać na klifach, kiedy razem z Delphine były na plaży; albo cień w oknie domu, jeśli siedziały w ogrodzie.

Któregoś dnia stała w strumyku z podwiniętymi rękawami i podciągniętą spódnicą. Tym razem nie szukały ziół, tylko bawiły się z Élodie. Musiały zająć czymś młodszą dziewczynkę, bo Celeste miała migrenę. Dimity podniosła wzrok i zobaczyła go w drzwiach. Palił papierosa i obserwował ją spod półprzymkniętych powiek. Był tak zatopiony w myślach, że nawet nie dał po sobie poznać, czy wie, że został przyłapany na gorącym uczynku. Dimity zarumieniła się i szybko uciekła wzrokiem, ale zobaczyła, że jej przyjaciółka też go zauważyła. Delphine przekrzywiła głowę w bok i przez chwilę przyglądała się przyjaciółce.

– Chciałby cię znów narysować. Słyszałam, jak mówi o tym mamusi, ale ona uważa, że nie może tego zrobić bez twojej zgody i że na pewno musiałby zapytać najpierw twoją mamę. Mówi, że jesteś autentycznie rustykalna. Sama słyszałam – powiedziała cicho.

– Co to znaczy? – zapytała Dimity.

Delphine wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale tatuś rysuje tylko ładne rzeczy, więc na pewno nic

złego.

– Nie rozumiem, co w niej takiego wyjątkowego – poskarżyła się siostrze Élodie. – Nie wiem, dlaczego tatuś w ogóle chce ją rysować.

– Nie bądź niemiła, Élodie. Według mnie Mitzy jest śliczna. Mamusia była zła, bo tata powinien pracować nad ważnym obrazem. Ma namalować portret jakiegoś słynnego poety na okładkę jego nowego tomiku. Ale zostało już mało czasu, a tatuś nie ma teraz do tego głowy, bo woli rysować ciebie – wyjaśniła Delphine przyjaciółce.

Élodie nadała się, a Delphine wzięła patyk i przesuwiała nim w wodzie to w jedną, to w drugą stronę. Dimity trawiła te informacje w ciszy.

– Naprawdę uważasz, że jestem śliczna? – zapytała wreszcie.

– Oczywiście. Masz świetne włosy. Wyglądają jak grzywa lwa! – zawołała Delphine, a Dimity uśmiechnęła się.

– Ty też jesteś ładna – odpowiedziała uprzejmie.

– Kiedy dorosnę, będę taka piękna jak mamusia – oświadczyła Élodie.

– Nikt nie jest taki piękny jak mamusia – sprostowała cierpliwie Delphine.

– Ale ja będę. Sama mi to powiedziała.

– Widzisz, jakie masz szczęście? Co, mała paskudo? – Delphine połaskotała siostrę pod żebrami i przez krótką chwilę obie piszczały i wiły się w uścisku, by później skręcać się ze śmiechu.

Podczas ich przepychanek Dimity zerknęła w kierunku domu, gdzie wciąż stał ojciec dziewczynek, smukły i czujny. Zamyślony, wypuszczał z ust błękitny dym papierosowy. Po pewnym czasie odkryła, że jego wzrok nie przeszkadza jej tak jak wcześniej. Miał nieodgadniony wyraz twarzy, nie umiała niczego wyczytać z układu jej płaszczyzn i załamań. „Rysuje tylko ładne rzeczy”. Poczowała, jak jej plecy prostują się, twarz rozluźnia, a z policzków znika rumieniec. „Ładna” i „śliczna”, dwa słowa, którymi nikt jej dotąd nie nazwał, teraz użyte w odstępie kilku sekund. Miała nadzieję, że oba odzwierciedlają prawdę, a wszystkie wyzwiska, którymi wcześniej ją obrzucano, były kłamstwem. Ta myśl sprawiła, że krew zaczęła szybciej krążyć jej w żyłach. Nagle miała ochotę się uśmiechnąć, chociaż nie było do tego

żadnego powodu, bo jej zanurzone w strumieniu stopy drętwiały, a w domu czekała Valentina z ciętym językiem.

– Może by mi to tak nie przeszkadzało... Gdyby znów mnie narysował – powiedziała w końcu.

Delphine posłała jej zachęcający uśmiech.

– Naprawdę nie przeszkadzałoby ci to?

– Naprawdę. Przecież jest bardzo dobrym i znanym artystą, prawda? Tak mi powiedziałaś. Więc chyba... chyba powinnam czuć się wyróżniona.

– Przekażę mu to. Bardzo się ucieszy.

– Powinnaś czuć się zaszczycona, że chce cię narysować – poprawiła ją Élodie.

Ale Delphine tylko przewróciła oczami, więc Dimity zignorowała jej komentarz.

Dwa dni później zdarzyło się to, czego Dimity obawiała się najbardziej. Właśnie przebierała się do śniadania w swojej sypialni na piętrze. Zdążyła już nakarmić świnię i kurczaki, zebrać jaja i opróżnić nocniki do wychodka. W pokoju było małe okienko wychodzące na północ, na ścieżkę. Upinając włosy w węzeł z tyłu głowy i zabezpieczając go spinkami, zobaczyła nadchodzącego Charlesa Aubreya. Był ubrany w swoje dopasowane ciemne spodnie i niebieską koszulę z kamizelką, zapiętą dla ochrony przed porannym chłodem. Dimity przytknęła twarz do szyby i wykręciła szyję, żeby widzieć, jak podchodzi do drzwi. Serce waliło jej jak oszałałe. Co miała na sobie Valentina? Zastanawiała się nad tym gorączkowo w nadziei, że nie był to wciąż przezroczysty zielony szlafroczek, który rozchyłał się niebezpiecznie, ukazując zarys jej ciała, jego wypukłości i zagłębienia. Myślała o tym, żeby zbiec na dół i pierwsza otworzyć mu drzwi, a potem odprawić go pod jakimś pretekstem. Stół kuchenny był zarzucony martwymi żabami. Wyobraziła to sobie i przerażona zamknęła oczy. Martwe żaby z rozciętymi brzuskami i wnętrznościami przełożonymi do miski; małe ciała odrzucone na bok, ich zamglone, niewidzące oczy i bezładne błoniaste kończyny. Valentina dostała zamówienia na dwa amulety – jeden miał przełamać klątwę, drugi chronić nowo narodzone dziecko. Różowoszare trzewia trafią potem do szklanych słoików

zapięczętowanych woskiem, z gałązkami rozmarynu owiniętymi wokół wieczek, jakby to mogło zatuszować kryjącą się w środku śmierć.

Za późno. Dimity usłyszała pukanie, a chwilę później kroki matki przy drzwiach. Przez podłogę docierały do niej ich stłumione głosy – jego głęboki pomruk, delikatny jak szum wiatru, i niski, twardy, wyzywający ton Valentyny. Dimity podkrađła się do drzwi swojej sypialni i uchyliła je najciszej, jak potrafiła. Zdążyła usłyszeć trzask zamykanych drzwi wejściowych i kroki dwóch osób przechodzących do salonu. Zza zamkniętych drzwi pokoju nie miała szans podsłuchać ich rozmowy. Strażnica miała grube kamienne ściany, które od wieków pochłaniały słowa, zatrzymując je dla siebie. Jakieś pięć minut później usłyszała, jak Aubrey wychodzi. Odczekała tak długo, jak mogła wytrzymać, a potem zeszła na dół z niepokojem wypisanym na twarzy.

Valentina siedziała przy stole kuchennym z papierosem w dłoni. Drugą ręką przebierała w żabich wnętrznościach, ciskając je do miski.

– No proszę – zaczęła ostro. – Teraz już wiem, gdzie się podziewałaś, zamiast pomagać mi w domu. Prowadzałaś się z jakimiś wytwornymi nieznajomymi.

Dimity wiedziała, że nie ma sensu się bronić. To rozjuszyłoby Valentinę jeszcze bardziej. Ostrożnie odsunęła od stołu krzesło naprzeciwko matki i opadła na nie. Valentina miała na sobie zielony szlafroczek, ale przynajmniej przewiązany starym fartuchem, poplamionym i wymazanym krwią. Brudnym, ale nieprześwitującym. Potargane żółte włosy związała kawałkiem sznurka, a na powiekach wciąż miała resztki zielonego cienia z poprzedniego wieczoru.

– A ja, naiwna, myślałam, że szukasz dla nas czegoś do jedzenia. Zastanawiałam się, dlaczego wszystko zabiera ci tyle czasu. Teraz już wiem! – Ostatnie słowa zamieniły się we wrzask.

– Szukałam, mamó! Przysięgam! Tylko że pomagała mi Delphine. Ona uczy się o ziołach i pomaga mi je zbierać... To córka pana Aubreya...

– Och, już ja ją znam, znam ich wszystkich. Opowiedział mi o tym, chociaż wcale o to nie prosiłam. Zaglądał w każdy kąt, ciekawski jak kot. Aż musiałam zamknąć drzwi do salonu, bo nie mogłam już znieść tego wścibskiego spojrzenia! Nie powinien był tu przychodzić, a ty nie

powinnaś mu była na to pozwolić.

– Nie pozwoliłam, mamó. Przysięgam, że nigdy mu na to nie pozwoliłam!

– Widzę, że wszystko jesteś gotowa przysiąc. Teraz to rozumiem. Już nigdy nie będę wiedziała, czy mówisz mi prawdę, co? Zamknij się! – warknęła, kiedy Dimity spróbowała się odezwać.

Minutę siedziały w milczeniu. Dimity wbiła wzrok w dłonie, słuchając, jak krew huczy jej w uszach. Valentina zaciągała się mocno swoim papierosem, a potem zaatakowała jak wąż, chwytając Dimity za nadgarstek szybkim ruchem. Rozciągnęła jej rękę na blacie, obracając ją delikatną stroną do góry. Rozżarzony papieros trzymała o centymetr nad skórą córki.

– Nie, mamó! Nie rób tego! Przepraszam, już przepraszałam! – krzyknęła Dimity. – Proszę, nie!

– O czym jeszcze mi nie powiedziałaś? Coś ty tam z nimi wyczyniała? – zapytała Valentina ze zmrużonymi podejrzliwie oczami. Jej piersi kołysały się pod fartuchem, gdy Dimity usiłowała wyrwać ramię z żelaznego uchwytu. – Przestań się szarpać albo odetnę ci tę cholerną rękę! – wrzasnęła Valentina.

Dimity znieruchomiała, czując, jak jej ciało wiotczeje ze strachu, a serce podchodzi wysoko do gardła. Matka raczej nie posunęłaby się tak daleko, ale nie mogła być tego do końca pewna. Na czoło wystąpił jej pot, chłodny i śliski. Rozżarzony popiół oderwał się od papierosa, spadł na jej skórę i dymiąc, zatopił się w niej. Na rękę od razu zrobił się pęcherz, biały bąbelek w jaskrawoczerwonej obwódce.

Mimo to Dimity ani drgnęła, zbyt przerażona, żeby się ruszyć, chociaż ból był niemal nie do zniesienia. Oczy zaszyły jej łzami i musiała kilka razy przełknąć ślinę, zanim zdołała się odezwać.

– Było tak, jak powiedziałam, mamó... – zapewniała gorączkowo. – Bawiłam się z tą dziewczynką, uczyłam ją rozpoznawania roślin. To wszystko.

Valentina przez chwilę piorunowała ją wzrokiem, a później rozluźniła palce.

– Bawiłaś się? Nie jesteś już małym dzieckiem, Mitzy. To nie czas na zabawę. No dobrze – stwierdziła, wsuwając papieros z powrotem

między wargi. – Może twoje kłamstwa wyjdą ci jednak na dobre. On chce cię narysować. Uważa się za artystę. Więc powiedziałam mu, że będzie musiał zapłacić za ten przywilej. – Ta myśl wyraźnie poprawiła jej nastrój, bo po chwili wstała i przeciągnęła się, wyrzucając ręce za głowę. Później ruszyła na górę, po drodze mierzwiąc Dimity włosy. – Dokończ te amulety, ja idę odpocząć – powiedziała.

Dopiero kiedy wyszła z pokoju, Dimity odważyła się zdmuchnąć popiół ze skóry. Czuła w piersiach taki ucisk, że z trudem wzięła wdech. Odwróciła pęcherz do światła i patrzyła, jak lśni. Czekwała, nie chcąc zakłócić snu matki swoim płaczem. A potem wstała i poszła poszukać maści z oczaru wirginijskiego, żeby posmarować nią oparzenie.

– A jak zareagowała twoja matka, kiedy Aubrey przyszedł zapytać, czy może cię narysować? Pewnie nie każdy byłby zachwycony taką propozycją. Zwłaszcza że miałaś tylko, zaraz, czternaście lat, tak?

Siedzący naprzeciwko młody człowiek wciąż mówił, zadawał kolejne pytania. Często pochylał się do przodu z dłońmi splecionymi między kolanami. Drażniła ją ta nadgorliwość. Ale twarz miał sympatyczną, nawet bardzo.

Swędziało ją lewe ramię, więc masowała je kciukiem, wciskając opuszek w wiotkie ciało, dopóki nie natrafiła na odstający od skóry strupek. Gładką warstwę stwardniałego naskórka, dokładnie tej samej wielkości i kształtu co pęcherz, który zastąpiła. Wtedy raz po raz niechcący zrywała strupek i gubiła plastry naklejane przez Delphine. „Smażyłam wątróbkę i prysnął na mnie tłuszcz”, tak mówiła. Rana pod spodem była głęboka i zaogniona.

W pokoju panowała przejmująca cisza i nagle zorientowała się, że na odpowiedź czeka nie tylko jej młody gość.

– Och – zaczęła, ale musiała przerwać, żeby odchrząknąć. – Ucieszyła się, rzecz jasna. Moja matka interesowała się kulturą. I była niezależna. Nie przejmowała się plotkami o Charlesie i jego rodzinie, które krążyły we wsi. Była szczęśliwa, że taki znany artysta narysuje jej córkę.

– Rozumiem. Musiała być bardzo tolerancyjna...

– No cóż, kiedy człowiek sam jest kimś w rodzaju wyrzutka, ciągnie go do ludzi, którzy jadą na tym samym wózku. Tak było i z nią.

– Oczywiście, rozumiem. Powiedz mi, czy Charles podarował ci któryś z twoich portretów? Albo jakieś inne prace? Jako prezent albo podziękowanie za to, że mu pozowałam?

– Pozowałam? O nie, rzadko kiedy pozowałam. Nie chciałam takich rysunków, przynajmniej na ogół. On po prostu czekał i patrzył, a kiedy uznał, że wszystko jest tak, jak należy, zaczynał pracować. Czasem nawet o tym nie wiedziałam. A czasem wiedziałam. Bywało, że prosił, żebym się nie ruszała. „Mity, nie ruszaj się. Zostań dokładnie tak, jak jesteś”, mówił.

Kiedyś przeciągała się, wstając po wielu godzinach łuskania grochu, żeby obejrzeć zachód słońca. Myślała o powrocie do domu, o tym, jak bardzo nie ma ochoty tam iść. Po dniu spędzonym w Littlecombe w miłym towarzystwie, wśród śmiechu i zapachu czystości, Strażnica wydawała się ciemna, zatechła i odstręczająca. A to był jej dom. „Nie ruszaj się, Mity”. Więc stała przez ponad pół godziny z rękami założonymi za głowę, na włosach, czując, jak odpływa z nich krew. Najpierw zaczęły ją mrowić, później zdrętwiały, a na koniec miała wrażenie, jakby były z kamienia i nie należały już do niej. Ale nie pozwoliła, żeby drgnął choć jeden mięsień, nim ruch ołówka na papierze nie ustanie. Cisza zawsze oznaczała koniec pracy – jego ręka jeszcze przez jakiś czas przesuwiała się nad kartką, nie dotykając jej ołówkiem – badała efekt, niczym trzecie oko. Potem wreszcie i ona nieruchomiała, Charles marszczył brwi i było po wszystkim. Dimity za każdym razem przebiegał wtedy chłodny dreszcz – czuła w środku zimną, nieprzyjemną pewność, że coś cudownego dobiegło końca, i pragnienie, żeby rozpoczęło się na nowo. Jeszcze nie przeczuwała, co się wydarzy; nie była gotowa na przemoc, która czekała, żeby się rozlać.

Zach siedział przed laptopem, obłożony notatkami, papierami i katalogami, kiedy nagle, po prawie dwudziestu czterech godzinach uświadomił sobie, jak świetnie Dimity Hatcher zbyła jego pytanie o to, czy Aubrey podarował jej jakieś swoje prace. Zaintrygowała go jej reakcja na portret Dennisa – zarumieniła się i miał wrażenie, że szybko odwróciła wzrok. Otworzył dwa magazyny i najnowszy katalog domu aukcyjnego Christie's na stronach z wizerunkami Dennisa i położył je obok siebie.

Siedział przy ciemnym, lepkiem stoliku w małej salce pubu Pod Szmuglerską Latarnią. Wypił do lunchu dwa duże bittery, co okazało się błędem. Czuł się teraz rozgrzany i nieco ospały. Słońce tworzyło złotą smugę za zakurzoną oknem. Miał nadzieję, że alkohol pozwoli mu zebrać myśli, odnaleźć jakiś abstrakcyjny porządek w tonach notatek i stworzyć nowy plan, błyskotliwy i pełen polotu. Zamiast tego nie mógł przestać myśleć o swoim ojcu i dziadku, i o tym, że panująca między nimi cisza zdawała się czasem wypełniać cały pokój, cały dom. Stawała się tak przytłaczająca i namacalna, że Zach zaczynał się wiercić na krześle. Nie potrafił usiedzieć w miejscu, więc w końcu odsyłano go do jego pokoju albo do ogrodu. Pamiętał, że dziadek stale coś krytykował, wszędzie znajdował powód do niezadowolenia, a tata brał sobie do serca każdy jego komentarz. Problem z naprawą samochodu; niewłaściwie przelane wino; gorsza cenzurka Zacha. W dzieciństwie wiele razy widział, jak mama posyła ojcu wściekłe spojrzenie. „Dlaczego nigdy mu się nie postawisz?” Wtedy to jego ojciec zaczynał się niespokojnie kręcić w miejscu.

– Pete mnie tu przysłał, bo twoja smutna mina odstrasza mu klientów. – Przy jego stoliku stanęła Hannah Brock z kuflem piwa w ręku i nonszalancką miną.

Zaskoczony Zach wyprostował się na krześle. Zupełnie stracił rezon. Hannah upiła łyk piwa i wskazała na otaczający go stos papierów i dokumentów.

– Co to? Twoja książka? – Zabębniła palcami o leżący najbliżej katalog, a Zach zauważył wyraźne pasemko brudu pod każdym z jej

paznokci.

– Może kiedyś. Jeśli uda mi się to wszystko jakoś ogarnąć.

– Mogę się przysiąc?

– Jasne.

– Przecież powstało już mnóstwo książek o Charlesie Aubreyu. Nie możesz po prostu któreś przepisać? – Rzuciła mu drapieżny uśmiech.

– Och, tę fazę mam już za sobą. Wiele lat temu, kiedy zacząłem nad tym pracować, przeczytałem je wszystkie, a później całą jego korespondencję. Potem objechałem wszystkie ważne miejsca w jego życiu, żeby zobaczyć, gdzie się urodził, dorastał, uczył, mieszkał, pracował i tak dalej, i tak dalej. A na koniec zrozumiałem, że moja książka... moja książka, która miała być nowatorska, doniosła i przełomowa...

– Niczym się nie różni od pozostałych?

– No właśnie.

– A czemu chcesz ją dokończyć właśnie tutaj? – zapytała.

– Uznałem, że to będzie najlepsze miejsce – wyjaśnił. Spojrzał na nią z zaciekawieniem. – Nagle wydajesz się tym bardzo zainteresowana jak na osobę, która wcześniej nie miała dla mnie ani chwili.

Hannah uśmiechnęła się i upiła kolejny łyk piwa. Jej kufel był już w połowie pusty.

– No cóż, doszłam do wniosku, że nie możesz być taki zły. Dimity nieźle zna się na ludziach, a ty jakoś ją do siebie przekonałeś. Może wcześniej byłam trochę...

– Nieprzyjemna i obcesowa? – uśmiechnął się.

– Podejrzliwa. Ale, sam rozumiesz, przez to miejsce przewija się mnóstwo ludzi. Urlopowicze, działkowicze. Maniakalni fani Aubreya. – Zerknęła na Zacha. – To trudne dla ludzi, którzy tu mieszkają. Poświęcasz czas i energię na to, żeby poznać przyjezdnych i sprawić, żeby czuli się mile widziani, a potem oni wyjeżdżają. Po pewnym czasie przestajesz zwracać sobie tym głowę.

– Dimity powiedziała, że twoja rodzina mieszka tu od pokoleń.

– Zgadza się. Moi pradziadkowie kupili farmę na początku minionego wieku – wyjaśniła Hannah. – Co jeszcze o mnie mówiła?

Zach zwlekał chwilę z odpowiedzią.

– Że... jakiś czas temu straciłaś męża. – Spojrzał na nią, ale na jej twarzy malował się niewzruszony spokój. – I że bardzo ciężko pracujesz, żeby utrzymać farmę.

– O tak, to na pewno.

– Ale nie dziś? – znów się uśmiechnął, a ona dopiła piwo.

– Wiesz, są takie dni, że wszystkie owce beztrząsco obżerają się trawą, twoja lista spraw do załatwienia nie ma końca, a kasy nie widać spod pajęczyn, i tak naprawdę człowiek nie ma innego wyjścia niż zalać się w porze lunchu. – Wstała i wskazała brodą na jego kufel opróżniony dopiero w jednej trzeciej. – Jeszcze jedno?

Kiedy stała przy barze, Zach przyglądał się zdjęciom Dennisa, zastanawiając się nad nagłą zmianą w jej zachowaniu. Może nie było w tym żadnego drugiego dna – miał taką nadzieję.

Dennis. Trzej młodzi mężczyźni, wszyscy trzej podobni do siebie, wszyscy trzej uroczy, pełni dobroci i dziecięcej wręcz niewinności, jakby artysta próbował udowodnić, że ma przed oczami osobę, która nigdy w życiu nie dopuściła się żadnej niegodziwości. Nigdy się nad nikim nie znęcała, nigdy nie wykorzystwała niczyjej słabości. Nigdy nie postąpiła samolubnie ani nieuczciwie z pożądania, zazdrości czy chciwości. Ale Zach nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś było z nimi nie tak. Dostrzegał minimalne, subtelne różnice, fizyczne lub emocjonalne, między tymi twarzami. Jakby należały do trzech różnych mężczyzn, a nie jednego. Albo patrzył na trzech różnych mężczyzn o imieniu Dennis, sportretowanych przez Aubreya, albo na jednego mężczyznę, sportretowanego trzy razy przez kogoś innego niż Aubrey. Żadna z tych opcji nie miała większego sensu. Skonsternowany przeczesał włosy palcami, nie wiedząc, co o tym myśleć. Zaczął się zastanawiać, czy nie przechodzi jakiegoś załamania nerwowego. Nikt oprócz niego nie wątpił w autentyczność tych rysunków.

Zach sprawdził informacje na pierwszej stronie katalogu Christie's. Do aukcji zostało jeszcze osiem dni, wystawa odbyła się dwa dni wcześniej. Ze studiów na Goldsmiths znał członka zespołu sztuk pięknych w tym domu aukcyjnym, Paula Gibbonsa. Kolejny artysta, który zarzucił próby utrzymania się ze sprzedaży własnych prac po to, żeby utrzymywać się ze sprzedaży prac innych ludzi. Zach próbował już

dowiedzieć się od Paula, kto sprzedał najnowsze rysunki Aubreya, ale kolega oświadczył mu bez ogródek, że warunkiem transakcji była anonimowość. Teraz wysłał Paulowi szybkiego e-maila z pytaniem, czy mógłby skontaktować go z którymś z nabywców portretów Dennisa. Wiedział, że to strzał w ciemno, ale istniała szansa, że kiedy zobaczy rysunek na własne oczy, wpadnie na nowy trop.

– Kto to? – zapytała Hannah, zerkając na katalog. Usiadła z powrotem przy stoliku i podała Zachowi kolejne piwo, chociaż go nie zamówił. – Do dna – rzuciła.

– Tego nie wie nikt – odparł Zach i upił kilka łyków ze swojego kufła. Nagle doszedł do wniosku, że równie dobrze może się upić w porze lunchu z tą hardą, energiczną kobietą, która pachniała owcami, ale pływała w czerwonym bikini. – Ma na imię Dennis. Nie znamy jego nazwiska i nie ma o nim ani jednej wzmianki ani w listach Aubreya, ani w żadnej z jego biografii.

– A to dziwne?

– O tak. Aubrey był wybredny, miał swoje obsesje. Zakochiwał się w czymś, w jakimś miejscu, osobie albo idei, a potem malował i rysował to bez końca, dopóki nie wykorzystał tego do cna, z artystycznego punktu widzenia. A potem...

– Rzucał w kąt?

– Przerzucał się na coś nowego. Ale w okresie zauroczenia pisał o swojej inspiracji w listach, a czasem w swoim zeszycie. Opisywał w korespondencji z przyjaciółmi, innymi artystami albo agentem. Posłuchaj, co napisał o Dimity. Właściwie muszę jej to pokazać. Myślę, że będzie zadowolona. Posłuchaj. – Przez chwilę przetrząsał notatki, dopóki nie znalazł strony, której szukał, zaznaczonej różową zakładką. – To list do jednego z mecenasów Aubreya, sir Henry'ego Idesa.

„Znalazłem tu w Dorset cudowną dziewczynę. Jest na wpół dzika i przez całe swoje młode życie nigdy nie opuściła tego miejsca. Jej jedynym układem odniesienia jest ta wieś i wybrzeże w promieniu kilku kilometrów od domu, w którym się wychowała. Jest nieskalana w każdym znaczeniu tego słowa, a ta niewinność bije od niej niczym światło. Rzadki okaz, w życiu nie widziałem nic piękniejszego.

Przyciąga wzrok tak jak wspaniały krajobraz albo promień słońca, który

prześwieca przez chmury. Załączam szkic. Planuję duże płótno z tą dziewczyną. Będzie ucieleśniać istotę natury albo angielską ludowość w najczystszej postaci”. – Zach spojrział znad kartki, a Hannah uniosła brew.

– Według mnie nie powinieneś tego pokazywać Dimity.

– Dlaczego?

– Zdenerwujesz ją. Ma swoje własne wspomnienia i... przekonania na temat tego, co zaszło między nią a Charlesem. Nie sądzę, żeby była zadowolona z tak rzeczowego opisu.

– Przecież... pisze, że nigdy nie widział nic piękniejszego od niej.

– Ale to nie znaczy, że był w niej zakochany, prawda?

– Twoim zdaniem nie był?

– Nie wiem. Skąd miałabym wiedzieć? Może był. Mówię tylko, że z listu to nie wynika. Ja bym jej go nie pokazywała, ale decyzja należy do ciebie – oznajmiła.

– Jak dla mnie list mówi o miłości. Ale chyba o innym rodzaju miłości... Wzniecała w nim... iskrę kreatywności. Była jego muzą, przynajmniej przez pewien czas. Przez długi czas. Za to Dennis... nie ma o nim żadnej wzmianki. A kiedy pokazałem Dimity jeden z tych portretów, stwierdziła, że nigdy nie widziała tego mężczyzny i nie wie, kim jest. Po prostu wydaje mi się to... bardzo dziwne.

– Słuchaj, Aubrey spędzał tu tylko dwa, trzy miesiące w roku. Może poznał tego mężczyznę w ciągu pozostałych dziesięciu, gdzieś indziej... – urwała, bo Zach pokręcił głową.

– Popatrz na daty. Lipiec 1937, a potem luty i sierpień 1939. Wiemy, że w lipcu 1937 roku Aubrey był tutaj, w lutym 1939 roku bawił w Londynie, a sierpień tego samego roku spędził tu i w Maroku. Czy to znaczy, że ów Dennis podróżował razem z nim? Z Blacknowle czy z Londynu? Gdyby Aubrey znał go na tyle dobrze, żeby zabrać go ze sobą na wakacje, to przecież musiałby kiedyś o nim wspomnieć? Ale to nie jedyna dziwna sprawa. Wszystkie trzy portrety pochodzą z anonimowej kolekcji w Dorset. I od tego samego sprzedawcy. Ale moim zdaniem... moim zdaniem nie narysował ich Charles Aubrey. Coś mi w nich nie pasuje.

Przysunął je w stronę Hannah, ale ledwo na nie spojrzała. Między

jej brwiami pojawiła się mała zmarszczka. Odepchnęła katalogi od siebie.

– Jakże to ma znaczenie?

– Jakże to ma znaczenie? – powtórzył Zach głośniejszym głosem, niż zamierzał. Uświadomił sobie, że jest trochę pijany. – O ogromne – odpowiedział ciszej. – Jak Dimity mogła go nie znać? Czy nie powinna wiedzieć, kim jest ten Dennis i czy te rysunki powstały tu, w Blacknowle, skreślone ręką Aubreya? Twierdzi, że spędzała z nim i jego rodziną każdą wolną chwilę...

– Ale to nie znaczy, że była z nimi przez cały czas, ani że wiedziała o wszystkim, co robi Charles. Była jeszcze dzieckiem, prawda?

– Tak, ale...

– A jeśli ich autorem nie był Charles Aubrey, to kto? Twoim zdaniem to falsyfikaty? – zapytała bez troski.

– Być może. A jednak... a jednak, te charakterystyczne cienie, ta kreska... – umilkł, oszołomiony.

Hannah zdawała się intensywnie nad czymś zastanawiać. Bębniła palcami o jeden z katalogów, zdradzając tym impulsywnym *staccato* swoje wzburzenie. Potem przestała i złożyła dłoń w luźną pięść, gdy Zach znów się odezwał:

– Sądzę – zaczął, wciąż pogrążony w myślach – że przed aukcją te portrety znajdowały się tu, w Blacknowle. I uważam, że może być ich więcej.

– Śmiała teoria. Rozumiem, że masz na myśli Dimity? Twierdzisz, że Mitzy Hatcher ma dość talentu, żeby sprzedawać własne rysunki jako prace Aubreya?

– Może i nie. W takim razie Aubrey musiał jej podarować te portrety... albo sama je zabrała. To tłumaczyłoby, dlaczego czasem udziela tak wymijających odpowiedzi...

– Daj spokój, Zach. Mitzy? Ta przygarbiona staruszka? Czy ona żyje jak ktoś, kto ukrywa bezcenne dzieła sztuki?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale gdyby naprawdę potrzebowała pieniędzy, mogłaby kilka sprzedać... oczywiście niechętnie. Woląaby zachować wszystko, co jej się z nim kojarzy.

– I co, od czasu do czasu wymyka się chyłkiem, wiezie je do

Londynu i zgarnia tysiące funtów?

– No wiesz... – urwał zbity z tropu Zach. – Kiedy ujmiesz to w ten sposób, moja teoria nie brzmi zbyt prawdopodobnie. Ale mogła zadzwonić do domu aukcyjnego i poprosić, żeby przysłali po nie kuriera, albo coś w tym rodzaju.

– Nie brzmi zbyt prawdopodobnie, bo jest zupełnie nieprawdopodobna. Ona nie ma nawet telefonu, Zach. Tu w okolicy jest mnóstwo wielkich rezydencji, a w każdej z nich masz znacznie większą szansę znaleźć taką kolekcję sztuki. Skąd w ogóle pomysł, że obrazy są w Blacknowle?

– To tylko... takie przeczucie.

– A może zaklinanie rzeczywistości?

– Może – przyznał Zach z przygnębieniem.

– Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? – spytała.

– Co?

– Myślę, że chwilowo powinieneś przestać się tym katować i skupić się na najlepszym trunku, jakim uraczy cię Szmuglerska Latarnia. – Podniosła kufel w geście toastu, a potem dopiła piwo.

Zach uśmiechnął się do niej półprzytomnie.

– Co to w ogóle jest ta szmuglerska latarnia? – chciał wiedzieć.

Hannah odwróciła się na krześle i wskazała palcem zardzewiały metalowy przedmiot na jednej z wysokich półek, między pływakami z zielonego szkła a starymi sieciami rybackimi. Zach rozpoznał w nim zniekształconą konewkę z szyldu przed pubem.

– To latarnia dla przemytników – wyjaśniła. – W środku jest mała lampka naftowa, ale światło widać tylko wtedy, kiedy stoisz dokładnie na wprost dyszy. Daje pojedynczy snop światła, idealny do nadawania sygnałów i sprowadzania statków na brzeg...

– Rozumiem, czyli to taki osiemnastowieczny laser.

– Zgadza się. No dobrze, a teraz opowiedz mi coś o wielkim świecie. Rzadko się stąd ruszam – rzuciła Hannah z uśmiechem.

Rozmawiali trochę o galerii i o Elise, ostrożnie poruszając temat straconych małżonków, chociaż nie udało się mu skłonić Hannah do zwierzeń o mężu. Powiedziała tylko, że miał na imię Toby, a potem umilkła, jakby sam dźwięk tego słowa odbierał jej mowę. Zach

zastanawiał się, czy odnaleziono jego ciało, czy zginął na morzu, porwany przez fale jak tyłu przed nim. Kolejna myśl zmroziła mu krew w żyłach – że to jego Hannah szukała w wodzie. Pamiętał, jak nurkowała, raz po raz, na zmianę zanurzając się i wynurzając. Czuł, że miałyby na to dość determinacji. Dość siły, żeby po wielu latach wciąż szukać kogoś, kogo odebrały jej fale.

– Pływasz zimą? To znaczy, w morzu? – spytał.

– Grunt to trzymać się tematu. Tak. Pływam przez cały rok. To dobrze robi, oczyszcza głowę z różnych bzdur. – Spojrzała na niego z zaciekawieniem. – Zimą korzystam z pianki, jeśli próbujesz to sobie wyobrazić – dodała oschle.

– Nie! Wcale sobie tego nie wyobrażałem. Tylko... Swoją drogą, dobry pomysł z tą pianką. Inaczej musi być lodowato.

– Jaja by ci ścierpły – rzuciła ponuro, a potem uśmiechnęła się. – Na szczęście ja nie muszę się tym martwić.

Wybuchnęli pijackim śmiechem.

– Hannah, widziałaś, żeby kiedyś ktoś był w domu Dimity? Słyszałem jakieś dziwne odgłosy z góry – powiedział Zach.

Natychmiast przestała się śmiać. Zamilkła jak nożem uciął. Przez chwilę bez słowa wpatrywała się w swój kufel. Zach cofnął się w pamięci o kilka zdań, próbując odgadnąć, czym ją uraził.

– Nie. Nie. O ile wiem, nikt inny jej nie odwiedza – odpowiedziała Hannah. Zapadła krępująca cisza, a potem kobieta podniosła się chwiejnie. – Powinam już wracać. Sprawy do załatwienia, rozumiesz. Na farmie.

– Po tyłu piwach nic nie załatwisz. Zostań i dokończ przynajmniej ten kufel. Nie musimy rozmawiać o... – urwał, bo Hannah odwróciła się i zaczęła odchodzić.

Obejrzała się za siebie, a jej delikatna twarz przybrała poważny wyraz. Spojrzała na niego całkowicie trzeźwym wzrokiem, a Zach poczuł się głupio.

– Jeśli chcesz, przyjdź któregoś dnia na farmę. Oprowadzę cię. Oczywiście, jeżeli cię to interesuje. – Wzruszyła ramieniem i odeszła, zostawiając po sobie niedopite piwo i puste krzesło.

Zach poczuł nagłą, niespodziewaną tęsknotę. Pete podszedł do

stolika i zebrał puste kufle.

– Jesteś błąd jak ściana – pokręcił głową z niedowierzaniem. – Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby próbować przepić Hannah Brock. Coś ty jej powiedział, że tak uciekła? Zwykle po dwóch piwach siedzi tu do zamknięcia.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem – odpowiedział zdumiony Zach.

Coś ścisnęło Dimity za gardło, nie pozwalając jej złapać oddechu, i choć raz nie była to Valentina. Tej nocy śniła o chwili, w której Charles Aubrey i jego rodzina opuścili Blacknowle pod koniec tego pierwszego lata. Wiedziała, że wyjadą, Delphine jej o tym mówiła, ale i tak nie była na to przygotowana. Wyobrażała sobie, że pójdzie z nimi na dożynki. Po mszy na skwerze we wsi odbywał się wielki festyn, grała orkiestra, powiewały chorągiewki, a mieszkańcy wspólnie śpiewali i bawili się. Wszędzie unosił się cudowny aromat szarlotki. Rok wcześniej dostała kawałek od Wilfa Coulsona – przyniósł jej ciasto za namiot, gdzie chowała się, odurzona mocnym, ekscytującym zapachem płótna i tego jednego dnia roku, kiedy działo się coś innego, coś wyjątkowego. Dimity zawsze marzyła o tym, żeby przejść po skwerze tak jak wszyscy inni; kupić girlandę z chmielu i zagrać w różne gry – kręgle, siłacza, rzucanie do celu – zamiast obserwować festyn z ukrycia.

Valentina nigdy nie chodziła na dożynki; nie miała na to ochoty. Szydowała z tego święta, wykrzywiając pogardliwie usta. „Nie potrzebuję na nich patrzeć, jak kręcą się na jakiejś cholernej karuzeli, wszyscy tacy porządni i uczciwi”. Co roku wysyłała tam Dimity z tacą zawieszoną na sznurku wokół szyi. Miała krążyć po skwerze, sprzedając bukieciki, amulety i toniki. Słynny cygański balsam piękności Valentyny, który usuwał wszelkie oznaki starości – lepka miksturę o aromacie dzikiego bzu zrobioną ze smalcu i kremu nawilżającego, z ekstraktem korzenia szczawiu wodnego o właściwościach regeneracyjnych; albo jej balsam romski, tajemniczy specyfik z tłuszczu ze świńskich nerek, opiłków końskich kopyt, rojnika i kory czarnego bzu, który leczył wszelkie wypryski, pęcherze i siniaki. Dzieci z wioski chodziły za nią krok w krok, przezywały ją i obrzucały łajnem, wiedząc, że nie może ich dogonić ani z nimi walczyć, dopóki niesie przed sobą ciężką tacę. Ale Aubreyowie nie bali się mieszkańców Blacknowle, chociaż ludzie we

wsi gadali, że Celeste jest kochanką, a nie żoną Charlesa; chociaż zadzierali nosa i udawali, że nie pochwalają takiego związku. Mimo wszystko akceptowali Aubreyów i zachowywali się wobec nich uprzejmie. Nie umieli się powstrzymać. Charles był zbyt czarujący, a Celeste zbyt piękna; a ich córki tak szczęśliwe i pewne siebie, że nawet nie zauważały krzywych spojrzeń żony właściciela pubu.

Dimity skubała właśnie dwa gołębie, kiedy usłyszała to, czego nie chciała za nic usłyszeć. Wrywała pióra pojedynczo, wolno przebierając palcami, żeby nie skończyć, zanim ołówek Charlesa nie zatrzyma się na papierze. Siedziała po turecku, twarzą do niego, trzymając martwe ptaki na kolanach. Związała wcześniej włosy, ale wiedziała, że i tak zaplątały się w nie małe piórka. Widziała jedno kątem oka, tuż nad brwiami. Maleńkie szare piórko, drżące w nieruchomym powietrzu. Kiedy na nie spoglądała, mogła też zerknąć na Charlesa. Na początku przerażała ją intensywność jego spojrzenia. Czasem miał tak surowy wyraz twarzy, że wyglądał, jakby chciał ją za coś zbesztać. Później zdała sobie sprawę, że on nawet nie zauważa jej wzroku, więc pozwalała swoim oczom dłużej błąkać się po jego twarzy, zafascynowana tym widokiem. Grzbiet jego nosa znaczyła głęboka bruzda, a w miarę jak słońce obniżało się na zachód, ów nos rzucał coraz większy, ciemny, szpiczasty cień na policzek. Pod krawędzią kości policzkowej znajdowało się niewielkie wgłębienie, przechodzące stromą linią w długą, kanciastą szczękę. Przyglądając mu się w taki sposób, poznała jego twarz równie dobrze, a może nawet lepiej niż swoją, lepiej niż twarz Delphine, niż twarz Valentyny. Rzadko miała okazję i przyzwolenie, by wpatrywać się w kogoś tak długo.

Tego dnia wpadła w pewnego rodzaju trans, bo słońce przesunęło się bokiem do nich, skradając się cicho, powoli, aż dotarło do prawego oka Charlesa, rozświetlając jego tęczę odcieniami brązu i złota. Lśniła jak klejnot albo metal szlachetny. Za jego plecami majaczyła srebrna plama morza, a krótka darni, na której siedziała, była miękka i sprężysta. Niebo tworzyło rozległą jasnoniebieską kopułę, którą mewy przetykały swoją bielą jak stokrotki przełamując zieleni łąki. Palce Dimity znieruchomiały. Przestała skubać pióra – chciała, żeby świat stanął w miejscu, by czas się zatrzymał dokładnie w tym momencie, kiedy

siedzi nieruchoma i rozgrzana słońcem, czując na sobie spojrzenie topazowych oczu Charlesa; kiedy Delphine przekopuje za nią swoją grządkę, a Celeste gotuje z Élodie coś, czego zapach unosi się w owiewającym ich powietrzu. Coś pikantnego i pysznego, coś, czego Dimity będzie mogła z nimi spróbować.

Ale ostatecznie stało się inaczej. Zamiast tego dostała kawałek do domu i dwa szylingi dla Valentyny – opłatę za pozowanie Charlesowi. Celeste wyszła z plackiem owiniętym w szorstki brązowy papier. Znów miała na sobie jedną ze swoich długich sukni, bladobeżową z długimi, rozszerzonymi rękawami, przewiązaną w talii plecionym sznurkiem. Posłała Dimity swój szeroki, uroczy uśmiech, a potem wszystko zepsuła.

– Mitzy, pora na ciebie.

Podeszła do Charlesa od tyłu, muskając dłonią jego ramię i zostawiając ją tam. Dimity zamrugła.

– Czyli... czyli nie mogę zostać na kolacji? – zapytała.

Charles przetarł oczy ręką, jakby on też dopiero przebudził się ze snu. „A było tak idealnie”, pomyślała Dimity ze smutkiem. „Tak idealnie”.

– Jutro wyjeżdżamy do Londynu, więc myślę, że dziś zjemy kolację tylko w rodzinnym gronie, we czwórkę. To nasz ostatni wieczór. – Uśmiech Celeste przygasł, kiedy zobaczyła rozczarowanie na twarzy dziewczyny.

– Jutro... wyjeżdżacie? – spytała. „Tylko w rodzinnym gronie”. – Nie chcę, żebyście wyjeżdżali! – dodała głośniejszym i gwałtowniejszym głosem, niż zamierzała. Wzięła głęboki oddech i poczuła ukłucie bólu w klatce piersiowej.

– Ale musimy. Dziewczynki niedługo wracają do szkoły. Delphine! Chodź, pożegnasz się z Mitzy! – Celeste zawołała najstarszą córkę, która wstała, wytarła dłonie o siedzenie spodni i podeszła bliżej.

Dimity podniosła się sztywno z ziemi. Miała przyśpieszony oddech i pierwszy raz od wielu tygodni nie wiedziała, jak się przy nich zachować. Nie mogąc podnieść oczu, wbiła wzrok w trawę i zobaczyła, że ta upstrzona jest króliczymi bobkami.

– Nie może zostać na kolacji? W końcu to nasz ostatni wieczór – Delphine spojrzała na matkę, mrużąc oczy na słońcu.

– Obawiam się, że nie, właśnie dlatego, że to nasz ostatni wieczór. Pożegnaj się. – Charles wręczył jej monety i musnął jej ramię kostkami dłoni. – Dziękuję, Mitzy – powiedział z lekkim uśmiechem.

Celeste wcisnęła jej w ręce paczkę z plackiem, a Dimity poczuła jego ciepło przez papier.

Miała ochotę cisnąć nim w kobietę. Cisnąć pieniędzmi w Charlesa i cisnąć przekleństwem w Delphine. Czuła, jak wzbiera w niej jakieś uczucie, nabierając coraz większej mocy. Nie wiedziała, co to, czuła tylko, że nie może temu zaufać, więc obróciła się na pięcie w pół zdania Delphine i uciekła.

Długo nie wracała do domu. Siedziała w gęstym żywopłocie ciągnącym się wzdłuż ścieżki do Strażnicy nawet wtedy, gdy ucichły piskliwe trele kosów, a słońce zaszło za wniesienie. Jakaś niewidzialna pięść zacisnęła się jej wokół gardła, a w żołądku czuła coś ciężkiego jak kamień. Przerazało ją, że następnego ranka obudzi się ze świadomością, że już ich nie ma. Nie zapytała nawet, czy wrócą za rok, nie śmiała o to zapytać, obawiając się, że odpowiedź brzmi: „Nie”. Z nimi, w ich obecności, nawet przy marudnej Élodie, wszystko stawało się łatwiejsze do zniesienia. Długo płakała, bo gdy zostawili ją samą, poczuła się trochę jak w szkole, kiedy śmiały się z niej inne dzieci, albo na drodze, kiedy rzucali w nią kamieniami. Jakby kryła się w ciemnościach, czekając, aż ktoś ją zauważy. Jak w każdej z tych sytuacji, tylko gorzej. W końcu wstała, podeszła do drzwi Strażnicy i weszła do domu. Miała ze sobą placek i oskubane gołębice, żeby udobruchać Valentine, nie wspominając już o pieniądzach, więc matka nie zrugowała jej bardziej niż zwykle. Po wszystkim złapała nawet córkę za ramiona, wpiła palce w jej skórę i obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

– Masz we włosach pióra, ptaszyno – powiedziała, klepiąc Dimity po policzku, co było dla niej gestem najbliższym pieszczocie.

Z jakiegoś powodu to jeszcze pogorszyło sprawę i idąc po grzebień, Dimity znów miała oczy pełne gorących łez.

Następnego dnia po lunchu zaprawionym alkoholem Zach obudził się, myśląc o Hannah. Przypomniał sobie jej ruchliwą, impulsywną twarz i to, co się na niej malowało, kiedy zapytał o hałasy na piętrze Strażnicy. Wypił dwa kubki kawy, jeden po drugim, i postanowił skorzystać z jej

propozycji, że oprowadzi go po farmie. Wychodząc, pod wpływem impulsu złapał torbę z przyborami malarskimi. Był zadowolony, że je kupił, ale dotąd nie miał śmiałości ich użyć. W nocy padało na tyle mocno, że obudził go odgłos kropli bębniących o szybę. Szybko ubłocił sobie buty, bo szedł przez pola, zamiast ruszyć prosto w stronę Farmy Południowej. Na twarzy i w płucach czuł przyjemne, chłodne powietrze, które porządkowało myśli i dodawało krokom sprężystości.

Wspiął się na strome wzgórze i wszedł do zagajnika na szczycie. Odwrócił się i podziwiał rozległą panoramę wybrzeża. Rozmazany kolaż zieleni, żółci i szarości, ostro odcinający się na kontrastującym tle morza. Blacknowle w dole wyglądało na domki dla lalek; Strażnica była tylko białą plamką; Farma Południowa zniknęła za wzniesieniem. Przysiadł na twardym pniu powalonego buku i wyciągnął szkicownik. „Po prostu postaw pierwszą kreskę. Po prostu zacznij”. Dawniej rysowanie rozjaśniało mu w głowie. Niespokojne myśli zniknęły, a on widział wyraźnie, co powinien zrobić. Jego własny talent dodawał mu pewności siebie, wiedział, że robi coś, w czym jest świetny. W Goldsmiths nauczyciele zawsze namawiali go, żeby więcej rysował i malował, żeby wykorzystywał swoje umiejętności, zamiast się przeciw nim buntować. Ale wtedy za bardzo przejmował się pozorami, by pójść za ich radą.

Narysował kreskę. Horyzont. Odłożył ołówek. Jak to możliwe, że nawet z tym sobie nie poradził? Horyzont to kreska – prosta, oświetlona słońcem, nieruchoma. Jego kreska była prosta, delikatna. A mimo to nieudana. Wpatrywał się w nią, próbując zrozumieć, na czym polega błąd, i w końcu uznał, że umieścił ją za wysoko na kartce. Kompozycji brakowałoby równowagi – ziemia, woda i niebo powinny zajmować tyle samo miejsca, tworząc miły dla oka tercet, w którym kolejne warstwy nakładają się na siebie w przyjemnym, naturalnym rytmie. Tymczasem jego horyzont tłamsił niebo, odarł je z przestrzeni i rozmachu. Jednym pociągnięciem ołówek zepsuł cały rysunek. Zamknął szkicownik z odrazą i ruszył w kierunku Farmy Południowej.

Zobaczył Hannah na jednym z pól obok ścieżki. Wyszła właśnie z jeepa i otworzyła bagażnik. Wokół niej tłoczyły się owce o futrze w kolorze cappuccino. Wyraźnie czekały na to, co im przywiozła.

Wszystkie miały cienkie, prążkowane rogi wygięte do tyłu, którymi stuknęły o siebie w zwartej gromadzie. Zach pomachał do niej, a Hannah przywołała go szerokim gestem, więc przeszedł przez ogrodzenie i podszedł do niej, omijając po drodze kopczyki świeżych owczych bobków. Wyjmowała z jeepa wiązki siana i wrzucała je do żłobów. Z tylnego siedzenia stado obserwował roziskrzonym wzrokiem szaro-biały border collie z uszami postawionymi na sztorc.

– Dzień dobry. Czy to dobry moment na obiecane zwiedzanie farmy? – zapytał, kiedy znalazł się obok niej.

– Jasne. Tylko je nakarmię, a potem jestem twoja.

Hannah rzuciła mu szybkie, badawcze spojrzenie, które lekko zbiło go z tropu. Pierwszy raz od dawna poczuł się niepewnie. A potem uśmiechnęła się do niego:

– Jak tam samopoczucie dziś rano?

– Fatalnie, możesz być z siebie dumna – odparł.

– To nie moja wina. Przecież nie wmusiłabym w ciebie alkoholu wbrew twojej woli. Jestem tylko małą, bezradną kobietą – rzuciła kokieteryjnie.

– Mam wrażenie, że bez trudu namawiasz ludzi do różnych rzeczy, kiedy tego chcesz.

– Och, to zależy od osoby. I od tego, czego od niej chcę – odpowiedziała z lekkim wzruszeniem ramion.

Przerwali na chwilę rozmowę, bo wróciła do jeepa po więcej siana.

– Myślałem, że owce potrzebują siana tylko zimą? – zapytał Zach.

– Zimą też. Ale o tej porze roku nie rośnie już zbyt dużo trawy, a dla tych pań nadchodzi pora jagnienia, więc muszą się dobrze odżywiać.

Hannah miała siano we włosach i na swetrze. Jej obcisłe szare dżinsy pokrywały brudne smugi.

– Wydawało mi się, że jagnięta rodzą się wiosną.

– Zwykle tak, chyba że poda się owcom hormony, żeby przesunąć ich cykl rozrodczy. Ale te dziewczynki to portlandy. Stara, rzadka rasa, jagnią się, kiedy chcesz. W ten sposób mam ekologiczną jagnięcinę na wiosnę, kiedy wszyscy z jakiegoś powodu spodziewają się, że młode owieczki będą brykać w polach jaskrów, a jednocześnie chcą przyrządzić

pieczeń wielkanocną z mięsa sześciomiesięcznych jagniąt – wyjaśniła.

Zach pomógł jej postawić jeden ze żłobów, który przewrócił się na bok, brudząc sobie przy tym dłonie błotem i owczym łajnem.

– Fuj – jęknął bez zastanowienia, trzymając przed sobą rozpostartą dłoń i zastanawiając się, w co ją wytrzeć.

Hannah zerknęła na niego i uśmiechnęła się szeroko.

– Widzę, że świetnie odnajdujesz się na wsi – podsumowała. – Założę się, że nawet nie zauważasz, kiedy masz ręce w farbie.

– Farba nie wychodzi owcom z tyłka – zauważył Zach.

– Och, to tylko na wpół strawiona trawa. W farbie są znacznie gorsze chemikalia. Masz, weź to. – Podała mu wiązkę siana z bagażnika, a Zach z wdzięcznością wytarł w nie ręce. – Wskakuj do środka. Ten nagły przypadek wymaga mydła i ciepłej wody. – Wsiadli do samochodu, a Hannah wrzuciła bieg i ruszyła z poślizgiem. Koła przez chwilę boksowały w błocie. – Tak to się zaczyna. Pora błota i zimnej wody – mruknęła. – Nienawidzę zimy.

– Przecież dopiero wrzesień.

– Wiem. Ale później będzie już tylko gorzej.

– Czyli twoja farma jest ekologiczna? – zapytał Zach.

– Tak. A przynajmniej będzie, jeśli uda mi się przebrnąć przez proces weryfikacji i certyfikacji.

– Przeciąga się?

– Niesamowicie. Wszystko musi być ekologiczne, przetestowane i zatwierdzone – od zabiegów weterynaryjnych, którym poddawane są owce, przez siano, aż po obróbkę skór po uboju. Kosztuje mnie to setki funtów rocznie – samo członkostwo we właściwych organizacjach i właściwe kontrole we właściwym momencie. Ale na wiosnę powinnam mieć już w chłodni jagnięcinę gotową do wysyłki, wygarbowane skóry na sprzedaż i stronę internetową, dzięki której można naprawdę coś zamówić, zamiast tylko oglądać ładne zdjęcia portlandów. – Urwała i wyskoczyła z jeepa, żeby zamknąć za nimi bramę. Przeszli kredową ścieżką, ślizgając się po gładkiej, mokrej od deszczu powierzchni. – Albo zbankrutuję i zamieszkam w jakiejś zatoczce w przyczepie kempingowej – dokończyła z wymuszoną wesołością.

– Więc po co ci ten cały ekologiczny bajzel? Nie lepiej hodować

po prostu mnóstwo owiec najtaniej, jak się da?

– To nie działa. Mój ojciec robił to przez całe życie. Nawet gdybym obcięła koszty hodowli do minimum, musiałabym sprzedawać mięso tak tanio, że nie dałoby się z tego utrzymać. Poza tym mam za mało ziemi na duże stado. I za mało ludzi, żeby rozkręcić działalność na dużą skalę. Jedyne, co mi zostało, to znaleźć dla siebie jakąś niszę. Robić coś innego, wyrobić sobie markę w tej jednej dziedzinie.

– I ta marka to ekologiczne mięso owiec portlandzkich?

– Tak jest. I to nie tylko wiosenne, ale i starsze. Plus wyśmienita baranina. Chude mięso o pełnym smaku. I runo delikatniejsze niż pupcia niemowlęcia. Ale... – Przekrzywiła głowę. Chociaż mówiła lekkim tonem, w jej oczach pojawił się niepokój.

– Ale?

– Muszę przetrwać zimę do pory uboju pierwszych jagniąt. I muszę zdobyć ten cholerny certyfikat, z czym użerałam się wczoraj.

– Czyli tak naprawdę to jest dopiero początek całego przedsięwzięcia.

– Początek albo koniec, zależy, ile optymizmu jestem w stanie z siebie wykrzesać danego dnia – rzuciła z przelotnym uśmiechem. – Razem z Tobym próbowaliśmy hodować stare stado. Przez pięć lat ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Ostatnie owce sprzedałam w tym roku, kiedy zmarł. Chwilę mi zajęło, zanim się z tym wszystkim ogarnęłam.

– Z tego, co mówisz, masz to już za sobą.

– Tak, bo pojawił się Ilir. Bez sensu trzymać na farmie mężczyznę, jeśli nie ma na niej żadnych zwierząt i można tylko siedzieć i patrzeć, jak wszystko obraca się w ruinę. Przy nim dostałam kopa do pracy i właśnie tego było mi trzeba.

– Oczywiście. Mężczyzna powinien czuć się pożyteczny – przyznał Zach cicho, czując ukłucie nieuzasadnionej wrogości wobec Ilira.

Rozkołysany jeep wtoczył się na betonowe podwórko. Tym razem Zach zdążył wysiąść i zamknąć bramę, uprzedzając Hannah. Silnik zawył i umilkł przed budynkiem mieszkalnym. Hannah otworzyła przed nim drzwi, zapierając się o nie ramieniem i kopiąc w dolny róg.

– Pierwsze drzwi po prawej to łazienka. Jedno słowo o bałaganie,

a dostaniesz w zęby, nie żartuję – ostrzegła.

W domu panował chaos. Nie był to zwykły bałagan, nie wystarczyło przejechać odkurzaczem, żeby się go pozbyć. Prawdziwy chaos. Zach szukał miejsca dla stóp między stosami porzuconych szmat, kawałkami sznurka i kabli, źdźbłami słomy, pustymi butelkami po mleku i dziwnymi narzędziami, których przeznaczenia nie potrafił odgadnąć. Dostrzegł plastikowy kojec dla psa, obgryziony w jakiś dziwny kształt; w środku leżał szary od sierści koc. Stos drewna przy jednej ze ścian otaczał szeroki krąg trocin i martwych stonóg na podłodze, a kiedy przerażony Zach podniósł wzrok, zobaczył na wysokim suficie ciemne pajęczyny, zwisające niczym makabryczny baldachim. W łazience na umywalce obok kurków leżały popękane i na wpół rozpuszczone resztki kilku kostek mydła, ale udało mu się ułamać kawałek paznokciami. Woda była gorąca. Szybko umył ręce, a potem zajrzał do następnego pomieszczenia.

Znalazł się w kuchni śmierdzącej owcami i psem tak samo jak wnętrze jeepa. Na kuchence spał pręgowany kot, a każdy skrawek blatu zastawiony był talerzami, garnkami i różnymi opakowaniami. Obok czajnika stała butelka mleka z żółtą skorupką na krawędzi, którą zajęta była mucha. Duży dębowy stół pokrywały faktury, wydruki, księgi podatkowe i stare gazety. Zach patrzył na brudne naczynia przez dłuższą chwilę, zanim zrozumiał, co spodziewa się zobaczyć i co faktycznie widzi – wszystko występowało parami. Dwa kieliszki po winie z czerwonymi smugami na dnie, dwa kubki po kawie, dwa talerze z resztkami po czymś, co wyglądało na kotlety schabowe. Dowody na to, że Ilir mieszkał razem z Hannah. Ze schodów na drugim końcu pomieszczenia nagle dobiegł go odgłos kroków. Zachowi szybciej zabiło serce. Natychmiast odwrócił się, szybko wycofał korytarzem i wyszedł na podwórze.

Hannah oglądała coś na masce samochodu. Na jego widok wzdrygnęła się tak samo jak on chwilę wcześniej. Przeglądała jego szkicownik. Teraz zamknęła go z wyzywającym spojrzeniem, wysuwając podbródek, jakby nie zamierzała się wstydzić tego, że ją przyłapał.

– Znalazłeś wszystko, czego potrzebowałeś? – spytała.

Zach założył ręce na piersiach i uśmiechnął się, zerkając na swój szkicownik na masce.

– Tak, dzięki. Piękny dom.

– Dziękuję. Wychowałam się w tym domu.

– Musisz mieć niesamowity układ odpornościowy – rzucił, powstrzymując śmiech.

– Ostrożnie. Ostrzegałam cię. – Hannah zacisnęła na chwilę pięści, ale na jej twarzy malowało się rozbawienie. Wskazała na jego szkicownik. – Nie planowałam grzebać w twoich rzeczach. Po prostu nie chciałam, żebyś zapomniał torby z samochodu. I, no wiesz... ciekawość koleżanki po fachu i tak dalej... Ale nie obawiaj się, nie mam wrażenia, jakbym zajrzała w głąb twojej duszy – dodała.

Pomyślał o jedynym rysunku, który zaczął jak dotąd – nieudanej próbie z tego poranka.

– Chciałem narysować widok ze szczytu wzgórza – przyznał.

– I to wszystko, co zdołałeś?

– Chyba... chyba straciłem talent – powiedział.

Popatrzyła na niego przenikliwie spod powiek zmrużonych na słońcu, które nagle wyszło zza chmur.

– Ach tak? – mruknęła nie bez sympatii. Zach wytrzymał jej spojrzenie, ale nie miał pojęcia, jak jej to zwięźle wytłumaczyć. – Wiesz co, moim zdaniem zawsze warto pamiętać, dlaczego rysujesz to, co rysujesz. Na przykład, dlaczego wszedłeś na wzgórze i próbowałeś narysować ten widok?

– Hmm... właściwie to nie wiem. Bo był piękny?

– Naprawdę? Postanowiłeś go narysować dlatego, że jest piękny, czy dlatego, że wydawało ci się, że powinien być piękny? Że powinieneś chcieć go narysować?

– Nie jestem pewny.

– Zastanów się nad tym następnym razem. Odpowiedź może cię zaskoczyć.

– Nie jestem pewny, czy jeszcze wiem, co chcę rysować.

– To może zastanów się też nad tym, dlaczego. Albo raczej dla kogo. Pomyśl, dla kogo to rysujesz. Może to ci pomoże – zaproponowała.

– Dlaczego wczoraj tak nagle uciekłaś? – zapytał, sam zaskoczony swoją odwagą.

Hannah oddała mu szkicownik z ostrożnym uśmiechem.

– Nie uciekłam.

– Przestań. Wiesz, że uciekłaś. Po tym, jak zapytałem, czy widziałaś jeszcze kogoś w Strażnicy.

– Nie, nie, po prostu musiałam się zbierać, to wszystko. Naprawdę. W Strażnicy nie ma nikogo oprócz Dimity. Wiem to na sto procent.

– Byłaś na piętrze?

– Hej, myślałam, że przyszedłeś obejrzeć farmę, a nie wypytywać mnie o sąsiadów.

Zaczęła się odwracać, ale Zach wyciągnął dłoń i złapał ją za ramię. Opuścił ją natychmiast, zaskoczony tym, jak szczupła jest jej ręka pod materiałem koszuli. Szczupła i ciepła.

– Przestań – poprosił. – Byłem pewny, że słyszę, jak ktoś się rusza na górze.

Hannah potrzebowała chwili namysłu.

– Byłam na górze. Nie ma tam żywej duszy – stwierdziła. – To jak, oprowadzić cię po farmie czy nie?

Przez moment wpatrywała się w niego surowo z wysoko uniesionymi brwiami, ale z jakiegoś powodu nawet jej najsurowsze spojrzenie wywoływało uśmiech na jego twarzy.

Zima była czasem obolałych dłoni i zmarzniętych, odrętwiałych stóp. Dimity miała ciepłe buty ze starej, sztywnej skóry zniszczonej zimową pogodą. Były na nią za duże. Zostawił je w Strażnicy jeden z gości Valentyny, który musiał salwować się ucieczką tylnym wyjściem, podczas gdy jego żona waliła pięścią w drzwi wejściowe tak mocno, że huk odbijał się echem po całym domu. Nigdy nie wrócił po swoje buty, więc teraz należały do Dimity. Niestety, jej skarpetki były przetarte na palcach i na pięcie, a cerowanie wystarczało najwyżej na kilka dni. Dlatego przy każdym kroku czuła na stopach szorstkie wnętrza butów, od którego robiły jej się pęcherze, a potem nagniotki. Kiedy spotykała się z Wilfem w stodole Bartona, rzucała się w rozrzucone siano, ściągała buty i rozcierała sobie palce dłońmi, rozgrzewając je i rozmasowując najlepiej, jak potrafiła.

– Ja mogę to zrobić, jeśli chcesz. Mam cieplejsze dłonie – zaproponował Wilf któregoś dnia, kiedy na zewnątrz deszcz spływał z nieba prostymi, szarymi strugami.

W taką pogodę Barton trzymał bydło w stodole. Jego pola trudno było osuszyć, więc podczas ulewy zamieniały się w grzęzawisko, którym nie dało się przejść. Ciepło z sierści krów parowało aż na strych, razem ze słodkim fetorem ich łajna. Kiedy zagrzebała się w sianie, było jej ciepło nawet wtedy, kiedy miała wrażenie, że słońce już na zawsze pozostanie blade i słabe.

– Łaskoczesz mnie – odparła Dimity, wyszarpując stopy z jego kościstych dłoni.

Oboje mieli po piętnaście lat, a Wilf zdawał się rosnąć na jej oczach. Nadal był chudy, ale miał teraz szersze, bardziej kanciaste barki; jego twarz stała się bardziej pociągła i poważna, spojrzenie bardziej ponure. Kiedy mówił, głos załamywał mu się od delikatnego tenoru po szorstki, schrypnięty pisk.

– Daj, spróbuję – nalegał.

Ujął mocno jej stopy, a Dimity wstydziła się swoich cienkich, mokrych skarpetek i zapachu brudu, który wydzielały – pamiątki po poprzednim właścicielu butów. Wilf umieścił jej zmarznięte stopy między dłońmi i przez jeden cudowny moment czuła, jak zalewa je ciepło jego rąk. Zamknęła na sekundę oczy, wsłuchana w deszcz bębniący na blaszanym dachu oraz odgłosy krów pod nimi. W tym miejscu nikt nie mógł ich zobaczyć ani usłyszeć. Ani skrzywdzić.

Kiedy otworzyła oczy, Wilf patrzył na nią w dziwny sposób. Wpatrywał się w nią tak coraz częściej – skupiony i poważny, z lekko rozchylonymi ustami. Równocześnie bezbronny i niebezpieczny. Materiał spodni napinał mu się na wypukłości między nogami. Dimity skrzywiła się i znów wyszarpnęła stopę.

– Co by powiedziała twoja matka, gdyby cię tu ze mną przyłapała? – zapytała gniewnie.

Wilf zmarszczył brwi i spojrzał na wejście do stodoły, jakby spodziewał się, że pani Coulson pojawi się na ubłoconym progu między kałużami koloru herbaty, przemoczona do suchej nitki, z miną posępną jak zawsze.

– Dostałbym po uszach, to na pewno. Chociaż jestem od niej wyższy o pół głowy – odpowiedział ze smutkiem. – Moja mama z tygodnia na tydzień robi się coraz bardziej wściekła.

– Moja to samo. W zeszłym tygodniu dostałam pasem za to, że jajka były brudne, kiedy przyniosłam je do domu, chociaż padał grad, który mógłby je wszystkie potłuc, zanim zdążyłabym je wyczyścić.

– Szkoda, że nie mogą się zaprzyjaźnić. Albo przynajmniej spotkać się i dać sobie nawzajem po uszach zamiast nam.

– Jak myślisz, kto by wygrał? – spytała Dimity, przekręcając się na bok z uśmiechem.

– Moja mama w razie potrzeby nie zawaha się użyć kija. Powinnaś zobaczyć tyłek Briana, kiedy go nakryła, jak wyciągał jej pieniądze z portmonetki!

– Valentina użyje wszystkiego, co wpadnie jej w ręce – powiedziała Dimity poważnie. Wizja walki dwóch kobiet przestała ją bawić. – Naprawdę uważam, że zabiłaby człowieka, gdyby naszedł ją w nieodpowiednim momencie. – Wilf roześmiał się i rzucił w nią garścią siana, którą Dimity szybko odgarnęła. – Mówię serio! Zrobiłaby to.

– Gdyby podniosła na ciebie rękę, już ja bym jej powiedział do słuchu. Naprawdę! – Teraz to Wilf musiał ją przekonywać, a Dimity się roześmiała.

– Nie powiedziałaś, bo ona podnosi na mnie rękę, i to regularnie jak w zegarku, o czym dobrze wiesz. Ale nie mam ci tego za złe, Wilfie Coulsonie. Gdybym mogła raz na zawsze zejść jej z drogi, zrobiłabym to. I zrobię, jak będę dorosła. – Przewróciła się z powrotem na plecy, podniosła źdźbło siana i zaczęła wiązać na nim supełki, uważając, żeby go przy tym nie złamać.

– A wyszłabyś za męża, Mitzy? Żeby się od niej uwolnić? Mogłabyś, już niedługo. Gdybyś chciała. Wtedy już nigdy nie musiałabyś do niej wracać. – Głos Wilfa drżał od udawanej bez troski.

– Za męża? Może. – Dimity zacisnęła supeł mocniej nagłym szarpnięciem palców, a potem odrzuciła na bok złamane źdźbło. Przyszłość, która stanęła jej przed oczami, raziała ją jak piorun. Zdawała się ją dławić. Żołądek ścisnął się jej boleśnie i zrozumiała, że się boi. Była przerażona. Przełknęła ślinę, starając się nic po sobie nie pokazać. –

To zależy, czy spotkam kogoś, za kogo warto wyjść, prawda? – rzuciła lekko.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Wilf poprawiał sobie spodnie w pasie, wtykając do środka koszulę, którą miał pod swetrem.

– Ja bym się z tobą ożenił – szepnął tak cicho, że jego słowa prawie zginęły w szumie deszczu.

– Co?

– Powiedziałem, że ja bym się z tobą ożenił. Gdybyś tylko chciała. Mama przekonałaby się do ciebie, gdyby poznała cię bliżej. Gdybyś nie mieszkała już w Strażnicy.

– Zamknij się, Wilf, przestań gadać głupoty – powiedziała Dimity, żeby ukryć zmieszanie.

Lepiej to wyśmiać, lepiej nie brać tego na poważnie, na wypadek, gdyby się okazało, że to jakieś żarty. Zwykła sztuczka. Wprawdzie nie spodziewała się tego po Wilfie, ale nie mogła mieć pewności. Serce waliło jej tak głośno, że cieszyła się, iż zagłuszają je grzmoty na zewnątrz.

– Nie gadam głupot. Naprawdę – wymamrotał Wilf, wpatrzony wciąż w swoje ubrania i dłonie. Później wbił wzrok w drugi kraniec stodoły, jakby w kamiennej ścianie wymazanej krowim łajnem mógł wyczytać jakieś wielkie mądrości.

Żadne z nich nie odezwało się już, i żadne nie potrafiło odgadnąć myśli drugiego. W końcu ciepło stodoły i szum deszczu uspiły Dimity, a kiedy się obudziła, Wilf leżał z głową na jej ramieniu i dłonią ułożoną lekko na jej brzuchu. Miał zamknięte oczy, ale w jakiś sposób wyczuła, że nie śpi.

Zima była długa, a późny śnieg przyniesiony przez srogie północne wiatry zabił pierwsze zielone pędy, które odważyły się wykiełkować. Dimity nabawiła się tak poważnych odmrożeń, że ból był trudny do zniesienia; by je wyleczyć, musiała moczyć stopy w misce moczu, trzęsąc się z obrzydzenia. W uszach czuła kłujące pieczenie od lodowatego powietrza.

Poza dwoma mężczyznami, których Valentina nazywała swoimi żywicielami, odwiedzało ich niewielu gości, więc dostawały mniej jedzenia i monet. Dimity nie zarabiała już pozowaniem i trudniej było jej

znaleźć coś na swoich wyprawach. Jadły jajka smażone na starym tłuszczu, który smakował goryczą i spalenizną, na kawałkach chleba pieczonego przez Valentineę.

Miała talent do wyrabiania ciasta. Zdaniem Dimity sekret polegał na tym, że matka wkładała w to całą swoją złość.

Obie były zmęczone i miały ziemistą, spękaną cerę. Kiedy Dimity roznosiła mieszkańcom Blacknowle lekarstwa na przeziębienie, wracała do domu z wargami spierzchniętymi od wiatru i czerwonymi dłońmi wykręconymi od zimna jak szpony.

Te ospałe, zimowe dni Valentina spędzała w łóżku, roztargniona i niespokojna. Kiedyś późnym wieczorem w Strażnicy rozległo się pukanie, ale nie chciała zejść na dół. Dimity w końcu uchyliła drzwi, bo mężczyzna nie odchodził. Nie rozpoznała go. Miał ciemną, dziobatą i pomarszczoną twarz pokrytą czarnym szczeciniastym zarostem. Spojrzał na nią zażawionymi szarymi oczami.

– A może ty? Nadałabyś się. Słyszałem, że to właściwe miejsce – powiedział szorstkim, piskliwym głosem, kiedy Dimity wyjaśniła, że Valentina nikogo nie przyjmuje.

Wpatrywała się weń zmrożona nagłym lękiem.

– Nie, proszę pana. Nie dziś – odpowiedziała cicho.

Ale on popchnął drzwi, chwycił ją w pasie i napał na nią całym ciałem. Poczowała, jak w plecy wrzyna jej się framuga. Mężczyzna wepchnął jej dłoń między nogi.

– Nie dziś, powiadasz? Droczysz się ze mną, dziewucho... No dalej, niedaleko pada jabłko od jabłoni – wychrypiał jej w twarz, a Dimity krzyknęła ze strachu i zaskoczenia. Z ust cuchnęło mu rybą i piwem.

– Mamo! – wrzasnęła w panice. – Mamo! – A wtedy, wbrew wszystkiemu, na schodach pojawiła się Valentina. Twarz miała zaspaną, ale w jej oczach płonęła taka wściekłość, że mężczyzna wypuścił Dimity i już się wycofywał, kiedy natarła na niego, miotając ciosy i obelgi, których nie powstydziliby się żeglarz. Nieznajomy uciekł, mamrocząc wściekle pod nosem przez całą drogę.

Później położyły się razem w łóżku Valentyny. Dimity zwykle nie wolno było wchodzić do jej pokoju, w którym lampy były przesłonięte

płachtami materiału, a wzrok gości przyciągała różowa pluszowa kapa, jednak tej nocy leżały obok siebie, a Valentina przytuliła się do córki. Nie głaskała jej po włosach, nie śpiewała, nie odzywała się. Ale kiedy zobaczyła, że Dimity trzęsą się ręce, chwyciła jedną z nich mocno i nie rozluźniła uścisku nawet przez sen. Wnętrze dłoni miała twarde i gładkie jak skóra butów. Dimity nie mogła zasnąć przez wiele godzin. Serce waliło jej jak oszalałe. Dotyk tego mężczyzny wstrząsnął nią do głębi. Valentina też nigdy dotąd jej nie przytulała, ale to było przyjemne. Podobało jej się ciepło, które tworzyło się między ich ciałami, chociaż temu poczuciu bezpieczeństwa towarzyszyła świadomość, że może w każdej chwili zniknąć. I zniknęło, następnego ranka. Valentina obudziła ją ostrym klepnięciem w udo. „Wynoś się z mojego łóżka, ty beзуżyteczny leniu. Idź zrobić śniadanie”.

A potem pewnego cudownego dnia w połowie kwietnia pojawiła się wiosna niesiona bryzą słodką jak smak dojrzałych truskawek. Ulga była tak ogromna, że Dimity roześmiała się w głos, stojąc samotnie na ścieżce wzdłuż klifu. Wraciła właśnie z Lulworth z torbą pełną szprotek i butelką octu jabłkowego, z którym miała je przyrządzić. Morze lśniło życiem, a ziemia spoglądała na nie z góry niczym wielkie, zaspane zwierzę, które z wolna wybudza się z głębokiego snu. Dimity zdawało się, że słyszy, jak w drzewach i trawie zaczynają krążyć soki, jakby nabrały potężny haust powietrza w przygotowaniu na letni rozkwit. Za to w mężczyznach z Blacknowle i pobliskich farm zaczęła szybciej krążyć krew i częściej pukali do drzwi Strażnicy, więc jej mieszkanki opływały w dostatek.

Ale wcześniej to nie jedzenia ani ciepła brakowało Dimity najbardziej. Nawet wyczekiwany dotyk słońca na skórze nie mógł wypełnić pustki po wyjeździe Aubreyów. Dimity tęskniła za latem, bo tęskniła za nimi. Tęskniła za ich wesołymi pogawędkami i serdecznością; za tym, jak ich wzajemna miłość ogarniała wszystko wokół; za światem, do którego ją zaprosili, którego stała się częścią. Chciała ich zobaczyć, żeby przestać być niewidzialna.

Dimity mrugnęła i zanuciła cicho jakąś melodię, a Zach otrząsnął się z zadumy. Tak długo wpatrywała się w milczeniu w rysunek, że jego myśli się rozpiezły. Uwagę Zacha przyciągnęły pojedyncze ziarenka piasku, lśniąca na podłodze w promieniach słońca; szum morza, dobiegający z komina z lekkim głuchym pogłosem; wielka pajęczycza o cienkich odnóżach otoczona młodymi pajęczkami, zastygłymi bez ruchu między belkami nad jego głową. Staruszka trzymała w dłoni kolorową odbitkę, którą Zach wydrukował na komputerze Pete'a Murraya – reprodukcję ogromnego obrazu olejnego, na którym Mitzy stoi wśród omszałych ruin, pokryta cętkami światła w taki sposób, że wydaje się być częścią lasu, częścią ziemi, niczym jakaś mityczna postać, która zlewa się z otaczającą ją roślinnością. Nad głową dziewczyny znajdował się gargulec, zniekształcony i niewyraźny, ale mający jej rysy twarzy. Wyglądał jak kamienne echo pięknej postaci stojącej poniżej. Usta Dimity znów poruszyły się, tym razem niemal formując słowa, więc Zach odchrząknął.

– Dimity? Dobrze się czujesz?

– Zrobił tyle szkiców w tej kapliczce. To kaplica Świętego Gabriela, ta nawiedzona. Nie mógł się zdecydować, jak powinnam stać, żeby było najlepiej. Przez trzy tygodnie chodziliśmy tam i z powrotem, tam i z powrotem. Pewnie wydeptaliśmy szerszą ścieżkę na wzgórzu. Któregoś dnia poczułam się potwornie zmęczona. Stałam nieruchomo i czułam, jak burczy mi w brzuchu, bo nie miałam czasu zjeść śniadania – Charles powiedział, że chce uchwycić światło o brzasku. Nagle zaczęło mi się kręcić w głowie i huczeć w uszach, a potem zrobiło mi się ciemno przed oczami. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, leżałam na ziemi, a on tulił mnie w ramionach, mój Charles, jakbym była jakimś cennym skarbem...

– Zemdlałaś?

– Padłam jak długa. Zapewne najpierw zirytowało go, że się poruszyłam, a dopiero później zrozumiał, że zasłabłam – zaśmiała się krótko i odchyliła na krześle, składając dłonie i unosząc je wyżej.

Kartka z reprodukcją zatrzepotała jak skrzydło.

Zach uśmiechnął się, przewracając strony w notatniku trzymanym na kolanach.

– To było w 1938, prawda? Na rok zanim poszedł na wojnę.

– Tak. Chyba nigdy nie byłam szczęśliwsza... – głos Dimity przeszedł w szept, a później całkiem ucichł. Jej oczy, nieruchome i spokojne, zalśniły przelotnym blaskiem. Wypuściła odbitkę z rąk i przesunęła dłoń na końcówkę swojego długiego warkocza. Wygładzała kosmyki i nawijała je na palce. – Charles też był szczęśliwy. Pamiętam to. Rok później błagałam go, żeby nie wyjeżdżał... Chciałam, żebyśmy już zawsze byli tacy szczęśliwi...

– To musiało być bardzo trudne... zwłaszcza tak krótko po śmierci w rodzinie, i to w tak tragicznych okolicznościach. Przeżył ogromny wstrząs – powiedział Zach.

Dimity przez chwilę milczała, ale tym razem nie oddała się wspomnieniom. Zach widział na twarzy kobiety gonitwę myśli. Otworzyła lekko usta, rozchylając cienkie wargi, i przygryzła koniuszek języka. Trzymała go między zębami, dopóki nie znalazła właściwych słów.

– To było... coś potwornego. Dla Charlesa. Dla nas wszystkich. Bo widzisz, on zamierzał od nich odejść. Odejść od niej, żeby być ze mną. Ale po tym, co się wydarzyło, czuł się bardzo winny. Sam rozumiesz.

– Chyba nikt nie obwiniął go za to, co się stało?

– Niektórzy owszem. Niektórzy tak. W końcu był dojrzałym mężczyzną, a ja – młodą dziewczyną. Młodą ciałem, ale miałam starą duszę... Zawsze tak uważałam; nawet będąc dzieckiem, nigdy się nim nie czułam. Myślę, że pozostajemy dziećmi tylko wtedy, gdy pozwolą nam na to inni, a mnie nikt na to nie pozwolił. Ludzie gadali, wiesz, że grzech rodzi grzech. „Co człowiek sieje, to i żąć będzie”. Słyszałam, jak któregoś wieczoru pani Lamb mówi to do Charlesa w pubie, kiedy ją mijają. Jak gdyby ściągał na siebie nieszczęście przez to, że mnie kocha. Ściągał na siebie karę. Ale on przecież nigdy nie wziął ślubu z Celeste... Swoją miłością do mnie nie złamał danej jej przysięgi.

– Nie sądziłem, że Charles Aubrey brał sobie do serca opinie innych ludzi. Zwykle się tym nie przejmował. Mam na myśli konwencje społeczne.

Dimity zmarszczyła brwi i spojrzała na swoje palce, w których przesuwiała kosmyki włosów. Zach widział, jak bierze długi oddech, jakby chciała się uspokoić.

– Rzeczywiście. Był naprawdę wolnym człowiekiem. Słuchał tylko własnego serca.

– A mimo to... Zawsze zdumiewała mnie jego decyzja, żeby pójść na wojnę – wyznał Zach. – W końcu był pacyfistą z przekonania, a poza tym miał pewne obowiązki. Ludzi, którzy go potrzebowali – ciebie i Delphine... Wiesz, dlaczego się zaciągnął? Wyjaśnił ci to kiedykolwiek?

Dimity wyglądała, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć, i chociaż przez chwilę wydawało się, że się odezwie, milczenie przedłużało się coraz bardziej. Na jej twarzy pojawił się niepokój i niema rozpacz dziecka wywołanego do tablicy, które słyszy, że nie może wrócić do ławki, zanim nie rozwiąże równania.

– Poszedł na wojnę dlatego, że... – W kącikach jej oczu zalśniły łzy. Zaskoczony Zach milczał. – Nie wiem, dlaczego! Nigdy tego nie rozumiałam. Zrobiłabym wszystko, żeby go zatrzymać przy sobie, wszystko, o co by poprosił. A wszystko, co robiłam, robiłam dla niego. Wszystko. Nawet... Nawet... – pokręciła głową. – Ale kiedy się zaciągnął do wojska, był w Londynie. Pojechał na wojnę z Londynu, a nie stąd, więc nie mogłam go powstrzymać. A poza tym... nigdy jej nie powiedziałam!

– Komu, Dimity?

– Delphine! Nigdy jej nie powiedziałam, że... że to nie jej wina!

– O czym ty mówisz? Dimity, nic nie rozumiem... czy to wina Delphine, że Charles poszedł na wojnę?

– Nie! Nie, tylko... – urwała, bo szloch zdławił jej słowa.

Zach wyciągnął ręce i ujął jej dłonie.

– Dimity, tak mi przykro... Nie chciałem cię zdenerwować, naprawdę. Wybacz mi, proszę.

Ścisnęła dłonie kobiety, żeby odwrócić jej uwagę od smutnych myśli, ale ona wciąż patrzyła na podłogę, a łzy spływały brudami po jej twarzy i ściekały po brodzie. Cicho zawodząc, kołysała się lekko w przód i w tył. W jej głosie pobrzmiwała taka rozpacz, że Zachowi

trudno to było znieść.

– Dimity, nie płacz, proszę. Proszę. Przepraszam. Posłuchaj, nie rozumiem tego, co powiedziałaś o Delphine i o wojnie. Mogłabyś mi to wyjaśnić?

Szloch Dimity powoli ustawał, aż w końcu się uspokoiła.

– Nie – wychrypiała. – Nic już nie powiem. Nie... nie mogę. Nie mogę mówić o jego śmierci. I nie mogę mówić o... o Delphine. – Odwróciła do niego twarz pełną emocji. Nie tylko żalu, z czego nagle zdał sobie sprawę. Zamrugał, zaskoczony tym, co zobaczył. To nie był tylko zwykły żal. Miał nieodparte wrażenie, że na jej twarzy malowało się poczucie winy. – Proszę, idź już. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Dobrze, pójdę. I nie będziemy już rozmawiać o wojnie. Obiecuję – zapewnił Zach, chociaż miał pewność, że Dimity wie znacznie więcej o tym, co wydarzyło się ostatniego lata Charlesa Aubreya, niż była gotowa mu powiedzieć. – Pójdę, jeśli jesteś pewna, że dobrze się czujesz. Następnym razem nie będę o nic pytał. Teraz to ja będę odpowiadał na twoje pytania, co ty na to? Możesz pytać o wszystko, co chcesz, o mnie i moją rodzinę, a ja postaram się na wszystko odpowiedzieć. W porządku? – Dimity podniosła wzrok, wycierając łzy.

Wciąż oszołomiona, lecz coraz spokojniejsza, w końcu skinęła głową, a Zach przed odejściem ponownie uścisnął jej dłonie i pochylił się nad nią, żeby złożyć pocałunek na jej wilgotnym policzku.

Na zewnątrz szalała bryza, niosąc ze sobą pylistą woń kwiatów kolcolistu. Zach wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Dopiero wtedy zrozumiał, jaki był spięty, jak bardzo zmartwiły go łzy Dimity. Przetarł twarz dłonią i pokręcił głową. Powinien postępować z nią ostrożniej, z większym wyczuciem, zamiast rzucać pytania na chybił trafił. W końcu rozmawiali o jej życiu i jej stracie, a nie tylko o jakiejś postaci, której nigdy nie miał okazji poznać, nawet jeśli w ich żyłach płynęła ta sama krew. Zastanawiał się, czy może znów poruszyć temat Dennisa – kim był ten mężczyzna i gdzie znajdowała się kolekcja, z której pochodziły jego portrety. Zerknął na zegarek i zdziwił się, że jest tak późno. Był umówiony z Hannah, więc ruszył na plażę poniżej Farmy Południowej.

Kiedy dotarł na miejsce, Hannah już na niego czekała. Stała boso na płyciźnie w dzinsach z podwiniętymi nogawkami. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego, składając ręce na piersiach, żeby się ogrzać.

– Planowałam popływać, a teraz nie mogę się zdecydować, czy mam na to ochotę, czy nie. Ale skoro już tu jesteś, to możesz dotrzymać mi towarzystwa – zaproponowała.

– Sam nie wiem. Nie jest zbyt ciepło, prawda?

– W takie dni morze wydaje się cieplejsze. Zaufaj mi.

– Nie mam ręcznika.

– Wielkie mi mecyje. – Rzuciła mu wyzywające spojrzenie, a Zach nagle poczuł, że poddaje go jakiemuś testowi.

– W porządku. Ostatnich kilka godzin spędziłem w Strażnicy. Chętnie zmyję z siebie to miejsce.

– Naprawdę? A co się stało?

– Nic wielkiego. Po prostu... tyle tam skrywanych wspomnień. A nie wszystkie są przyjemne. – Miał wrażenie, że z każdego kąta tego domu wyziera lodowata rozpacz. – Rozmowa z Dimity bywa dość intensywnym przeżyciem.

– Rzeczywiście. Masz rację – przyznała Hannah.

Odwrócili się i chwilę szli obok siebie wzdłuż brzegu.

– I jak ci się podoba nasz mały zakątek Dorset? Nie tęsknisz za wielkim światem w Bath? – zapytała Hannah, odgarniając z twarzy niesforne kosmyki, z którymi igrał wiatr.

– Podoba mi się. To odprężające, kiedy wokół nie ma zbyt dużo ludzi, tylko natura.

– Coś takiego? A ja cię miałam raczej za miłośnika kultury. – Zerknęła na niego, a on posłał jej uśmiech.

– I słusznie. Ale po wyjeździe z Londynu chyba zacząłem zostawiać to życie za sobą. Mam wrażenie, że Londyn to już... przeszłość. Tam studiowałem, tam wziąłem ślub. Nie chciałbym znów tam mieszkać. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Czujesz się tak czasem? Że nie chcesz wracać do miejsc dawniej ważnych w twoim życiu?

– Raczej nie. Wszystkie ważne dla mnie miejsca są tutaj.

– Pewnie wtedy jest trochę inaczej. I nigdy nie chciałaś stąd

wyjechać, zostawić wsi, w której się wychowałaś, i spróbować czegoś zupełnie innego, gdzieś indziej?

– Nie. – Umilkła na chwilę. – Wiem, że dziś żyje się inaczej, że moje podejście może się wydawać nudne. Ale niektórzy przychodzą na świat z silnymi korzeniami. A poza tym w każdym miejscu i tak jesteś nadal sobą. Tak naprawdę nie da się zacząć nowego życia ani nic w tym rodzaju. Zabierasz stare życie ze sobą. Nie ma innego wyjścia.

– A ja wciąż próbuję to zrobić. Zacząć od nowa.

– I co, udało ci się kiedyś? Udało ci się cokolwiek zmienić?

– Nie, raczej nie – uśmiechnął się z żalem. – Może jesteś po prostu bardziej niż większość ludzi zadowolona z tego, kim jesteś?

– Albo się z tym pogodziłam – odpowiedziała, odwzajemniając uśmiech.

– Mimo wszystko musisz mieć naprawdę mocne korzenie, skoro nie myślałaś o wyjeździe nawet po tym, jak... jak straciłaś męża. Straciłaś Toby'ego.

Hannah nie odzywała się przez jakiś czas. Odwróciła głowę, żeby popatrzeć na morze.

– Toby nie był z Blacknowle. Pojawił się w moim życiu na osiem lat... a potem z niego zniknął. Ta farma i dom to jedyne, co trzymało mnie przy życiu po jego śmierci. Gdybym wtedy wyjechała... straciłabym też siebie. – Doszli do drugiego krańca plaży, a Hannah zatrzymała się. Wzięła głęboki oddech, a potem jednym zgrabnym ruchem ściągnęła bluzkę przez głowę. Zach odwrócił taktownie wzrok, ale zdążył zauważyć piegi rozsiane na skórze między jej piersiami. – A ty co, będziesz pływał w ubraniu? – Odwróciła się do niego w swoim bikini z rękami opartymi na biodrach.

Zach poczuł się jak podglądacz. Był zakłopotany, że ma prawo oglądać ją w takim stroju na zewnątrz, skoro nie mógłby patrzeć na nią w bieliźnie w domu. Ściągnął bluzę i dzinsy. Hannah zlustrowała go wzrokiem od białych stóp aż po ramiona, tak śmiało i otwarcie, że prawie się zarumienił.

– Kto ostatni ten frajer – uśmiechnęła się przelotnie, odwróciła i zręcznie przeszła między kamykami do wody. Po trzech krokach była już zanurzona po kolana, a wtedy rzuciła się naprzód, zanurzając głowę

pod falą, i zaczęła płynąć.

Zach ruszył za nią, klnąc pod nosem, kiedy poczuł na kostkach lodowaty uścisk morza. Zimno niemal parzyło jego skórę, ale niedaleko zobaczył Hannah z przylepionymi do głowy włosami i skórą połyskującą jak u foki, i ten widok popchnął go do działania. Nabrał dużo powietrza i zanurkował, czując, jak wszystkie mięśnie kurczą mu się w zetknięciu z wodą. Wynurzył się, dysząc ciężko.

– Jezus Maria! Jaka lodowa! – Ale już kiedy to mówił, woda wydała mu się mniej nieprzyjemna, bardziej znośna. Przestał wymachiwać rękami i zaczął płynąć, zataczając niewielkie koła, dopóki nie zauważył Hannah.

– I jak, nie było tak źle, co? – rzuciła.

Od dawna nie pływał w angielskim morzu, zupełnie innym od ciepłych mórz w wakacyjnych kurortach, z wodą przejrzystą jak w basenie i piaszczystym, płaskim dnem. Żadnych zagrożeń, żadnych niespodzianek. Ostrożnie postawił stopy, czując na podszwach kamienie i skórzasty dotyk wodorostów. Wyobraził sobie kraby i jeżowce z ich szpiczastymi czułkami. Poderwał stopy do góry, zerkając na dno, ale w dole widział tylko rozmazaną bladość swoich nóg i nic więcej.

– Wypłyn trochę dalej. Dno robi się bardziej piaszczyste. Widzisz to miejsce, gdzie załamuje się woda? Lepiej je omijaj, jest tam trochę ostrych kamieni. Chodź – wyrzucając z siebie nieprzerwany strumień wskazówek, Hannah unosiła się na plecach, a Zach nabrał powietrza, zanurzył się i ruszył w jej stronę.

Płynęli obok siebie przez jakiś czas, zostawiając za sobą brzeg. Wpadli w kojący, medytacyjny rytm. Co kilka pociągnięć ramionami Hannah nurkowała, a Zach patrzył, jak w ślad za nią znika pod powierzchnią wody chmura jej włosów. W pewnym momencie wynurzyła się za blisko niego, oślepią słoną wodą w oczach. Zderzyli się, a Hannah odwróciła się na plecy. Przez chwilę czuł na torsie dotyk jej umięśnionego ciała, skóry ocierającej się o skórę, delikatną, przelotną pieśczętę.

– Ilir nie chce z tobą pływać? – zapytał Zach.

– Nie, straszny z niego mięczak. Boi się prądów.

– Tu są prądy?

– Teraz już za późno, żeby się tym martwić! Trzymaj się mnie, a nic ci się nie stanie. Odpływ jeszcze się nie zaczął.

Prawdopodobieństwo, że morze wciągnie cię dalej, jest naprawdę... nie aż tak wielkie. – Hannah uśmiechnęła się, więc Zach uznał, że żartuje. – Okej. Teraz uważaj, możemy wejść tu na skałę. To świetne miejsce do nurkowania i opalania, a przy okazji możesz oszukiwać turystów, że potrafisz chodzić po wodzie. – Ostrożnie podciągnęła się wyżej i w pozycji, w której widział ją wcześniej, stanęła na fragmencie płaskiej skały leżącej prawie pół metra pod powierzchnią morza, skierowanej w stronę zatoki. – Nawet podczas odpływu końcówka tego pirsu zostaje zakryta, a na końcu woda jest dość głęboka, żeby przecisnęła się tędy mała łódka – dodała. – Kilkaset lat temu pływali tędy przemycnicy.

– A co przemycali?

– Och, wszystko. Wino, brandy, tytoń. Przyprawy. Tkaniny. Wszystko, co łatwo było przewieźć i wymienić na lądzie. Jak myślisz, dlaczego domek Dimity nazywa się Strażnica?

– Rozumiem.

Szukając oparcia dla palców, Zach poczuł na stopach ukłucia pancerzyków pąkli. Wspiął się na skałę i usiadł obok Hannah. Na osuszonych fragmentach skóry bryza wydawała się chłodniejsza. Słońce migotało na powierzchni morza, odbijając się w ich oczach i kroplach wody na ich skórze.

– Czyli tak naprawdę właśnie po to przyjechałeś do Blacknowle? Żeby spróbować zacząć od nowa? – zapytała Hannah. Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej i objęła je ramionami.

– Nie do końca. To znaczy, teraz mam Elise. Chciałbym ją mieć na co dzień, jak wcześniej. Żałuję, że mieszka tysiące kilometrów stąd, ale jestem jej ojcem i za nic bym z tego nie zrezygnował. A w pewnym sensie mam ją na co dzień. Myślę o niej bez przerwy. Chyba przyjechałem tu dlatego, że... chciałem się dowiedzieć, kim właściwie jestem. A moja rodzina jest związana z tym miejscem od wielu pokoleń.

– Tak? – rzuciła Hannah.

Zach uśmiechnął się, widząc niedowierzanie na jej twarzy.

– Tak. Widzisz, istnieje duże prawdopodobieństwo, że Charles

Aubrey był moim dziadkiem. – Hannah zamrugła, a między jej brwiami pojawiła się małe zmarszczka.

– Twoim dziadkiem? – powtórzyła.

– Babcia zawsze utrzymywała, że była jedną z kobiet Aubreya.

Przyjechali tu na wakacje w 1939 roku. Na miejscu poznali Aubreya.

Umieścił ją nawet na jednym z obrazów. A wiesz, jaką opinię ma Charles Aubrey. Podobno był jednym z tych mężczyzn, którzy głaskali po głowie każde dziecko na ulicy na wypadek, gdyby było jego.

– Wnuk Charlesa Aubreya. – Hannah pokręciła lekko głową, a potem ją odchyliła i roześmiała się.

– Co w tym takiego śmiesznego?

– Och, nic. Po prostu życie się czasem dziwnie układa – powiedziała tylko, ucinając temat. Przez chwilę zastanawiała się nad czymś z brodą opartą na złożonych ramionach. Jej wąskie uda pokryła gęsia skórka. – Kochasz jeszcze Ali? – zapytała w końcu.

– Nie. Kocham... jej wspomnienie. Kocham to, jak było na początku. A ty, kochasz jeszcze Toby'ego?

– Oczywiście – wzruszyła ramionami. – Ale teraz jest inaczej. – Zaciśnęła wargi i odwróciła do niego twarz. – Zupełnie inaczej. – Potrząsnęła głową. – Boże, jestem taka przyzwyczajona do tego, żeby nie wspominać o nim przy Ilirze, że trudno mi nawet wypowiedzieć jego imię!

– Rozumiem... – odpowiedział Zach z ciężkim westchnięciem. – To dla niego trudny temat?

– Tak, ale z innego powodu niż myślisz.

– Skąd wiesz, o czym myślę?

– Ilir zawsze mówi – u niego tak jest – że o zmarłych nie powinno się rozmawiać. Że nie należy tego robić. To jakaś nienaruszalna zasada w jego stronach.

– U niego? – spytał Zach.

Hannah przez chwilę milczała, jakby zastanawiała się, czy mówić dalej.

– Ilir jest Romem – wyjaśniła.

– Czyli Cyganem?

– Jak wolisz – rzuciła obojętnie. – Nie cieszą się zbyt dobrą opinią

w tym kraju.

– A skąd pochodzi? Zastanowił mnie jego akcent.

Hannah zmrużyła bursztynowe oczy i znów wyglądała tak, jakby nie miała ochoty mu odpowiedzieć.

– Z Kosowa – rzuciła krótko. – Ilir i Toby przyjaźnili się w dzieciństwie. A właściwie nie w dzieciństwie, byli nastolatkami. Poznali się w Mitrowicy, gdzie ojciec Toby’ego robił interesy przed wojną. Mieli wtedy jakieś trzynaście lat. Dwanaście albo trzynaście. Przyjechał mi pomóc, kiedy usłyszał o śmierci Toby’ego.

– I został?

– Jak widać. Przynajmniej jak na razie. To prawdziwa ironia losu – jedyny człowiek, z którym mogłabym wspominać Toby’ego, nie chce o nim rozmawiać.

Przez jakiś czas spoglądała w kierunku farmy, a Zach miał wrażenie, że widzi więź, jaka ją łączy z tym miejscem. Wyobraził sobie nitki niesione wiatrem, lustrzane odbicie podwodnych prądów morskich. Serce zamarło mu w piersi.

– Płyniemy? Trochę tu za zimno – powiedział.

– Mówiłam ci, że woda jest cieplejsza, niż się wydaje, prawda? – triumfowała Hannah, podnosząc się. – Chodź, zanurkujemy.

– Nie za płytko tutaj?

– Ależ ty się martwisz! – Spojrzała na niego z góry i posłała mu uśmiech. Zach stanął obok niej. Sięgała mu zaledwie do ramion, więc musiała zadrzeć głowę, żeby zajrzeć mu w twarz. Patrzyła na niego przez chwilę tym lustrującym spojrzeniem, do którego zaczynał się przyzwyczajać. – Przyjdź potem do domu. Jeśli chcesz – zaproponowała, mierząc go wzrokiem.

– Po co? – zapytał Zach.

Hannah wzruszyła ramieniem i zanurkowała.

Dimity obserwowała parę siedzącą na skalnym występie. Sprawiali wrażenie, jakby znali się od lat. Patrzyła na nich z okna w kuchni, czując niepokojące mrowienie w brzuchu. Zacisnęła na nim dłonie, próbując pozbyć się tego uczucia, przez które przestępowała z nogi na nogę i odwracała za siebie; przez które chodziła tam i z powrotem po pokoju. „O czym tak rozmawiali?”, zastanawiała się. Ten chłopak stale miał

jakieś pytania, a kiedy mu na nie odpowiedziała, wymyślał kolejne. Był po prostu nienasycony. Jak studnia, do której mogła przelać wszystkie swoje historie, i która i tak nigdy się nie zapełni. „Kocha, lubi, szanuje”, zaśpiewała cicho, wpatrując się w nich. Zaczęła pracować nad amuletem dla Hannah. Wbijiała szpilki w małe korki i powoli przeciskała je przez szyjkę szklanej butelki. Jeśli Hannah postawi amulet na kominku albo nad drzwiami wejściowymi, będzie bezpieczna. Zaczęła nad nim pracować, bo przyszło jej do głowy, że ktoś naprawdę mógł rzucić klątwę na Hannah albo na jej farmę. Teraz pomyślała, że amulet zamknie jej też usta. Nie pozwoli, żeby ten ciekawski chłopak wyciągnął z niej zwierzenia tak jak z Dimity. „Nie chce, nie dba, żartuje”. Hannah wiedziała o różnych rzeczach, o złych rzeczach. Znała sekrety, których nie wolno jej było wyjawiać. Bo koniec końców Dimity nie mogła zrobić wszystkiego sama; czasem musiała prosić o pomoc. Potrzebowała młodych rąk, pełnych siły, z której odarła ją starość.

Kiedy zobaczyła go na plaży z dziewczyną, najpierw się ucieszyła. Wydawało jej się, że do siebie pasują – mimo różnicy wzrostu, mimo różnych kolorów dusz. Dusza Hannah zawsze była czerwona, a u niego widziała błękit, zielen i szarość. Kolory przenikały się, niepewne, który powinien zwyciężyć. Ale chwilę później przestała się cieszyć i ogarnął ją niepokój, a potem strach. „W myśli, w mowie, w sercu...” Przez chwilę niemal żałowała, że nie ma przy niej Valentyny. Kogoś, kto usłyszałby jej myśli, nawet jeśli nie mógłby pomóc. Valentina nigdy nie pomagała, nie miała w sobie ani krzty współczucia. Jej serce było z drewna i z kamienia, z twardych minerałów. Dimity przypomniawszy sobie, co powiedziała wcześniej Zachowi, kiedy słowa i uczucia wezbrały w niej i nie mogła ich dłużej w sobie zatrzymać. To, co zdradziła, i to, czego dzięki Bogu nie wyjawiała, chociaż przez chwilę miała na końcu języka. Prawdę można podzielić i podać w połowie albo w mniejszych porcjach. W końcu powiedzieć, że niebo nie jest zielone, to nie to samo, co stwierdzić, że jest niebieskie. Za każdym razem mówi się prawdę, ale to jednak nie to samo.

Dimity potarła palec serdeczny lewej dłoni tuż przy kostce, jakby poczuła na nim stwardniałą skórę w załamaniu między palcem a wnętrzem dłoni. „Z tamtą na ślubnym kobiercu...” Nuciała melodię,

mamrotała słowa, nie zdając sobie sprawy, że zmienia tekst. Patrzyła, jak Hannah wstaje i skacze z powrotem do wody; patrzyła, jak mężczyzna robi to samo. Dać się prowadzić – to był jego styl. Nie wiedział, dokąd zmierza, więc z radością przyjmował wskazówki od innych. Jeśli będzie ostrożna, zaprowadzi go tam, gdzie będzie chciała, tak żeby wydawało mu się, że sam tego chce.

Ale musi być ostrożna. „Uważaj, Mitzy. Nie utrudniaj sobie życia”, zabrzmiało wypowiedziane dawno temu ostrzeżenie Valentyny. Złowrogie i pełne pogardy.

Lepiej wcale z nim nie rozmawiać, chociaż tak lubiła wypowiadać te słowa: „Charles”, „miłość”, „oddanie”. Ale oprócz nich na usta cisnęły się nieodparcie kolejne. „Celeste”. „Élodie”. „Delphine”... „Dziwka”. Dlatego lepiej było nic nie mówić, ale czuła smutek na myśl, że Zach już nie wróci. Że będzie stał przed domem, pukając do drzwi, żeby pokazać jej rysunki, które napęłniały jej duszę radosną melodią. Były jak okna, ukazujące świat, który kochała, świat, w którym żyła; krystalicznie czyste, przejrzyste okna. „Ale uważaj, uważaj”.

Para zniknęła za klifem. Dimity odwróciła się od okna, bez zastanowienia weszła po schodach na górę i stanęła przed drzwiami po prawej. Zamkniętymi drzwiami. Położyła dłoń na drewnianej płycie, jak wiele razy wcześniej.

Poczuła przyływ nadziei i strachu. Zdawało jej się, że słyszy, jak coś rusza się w środku. Kolejny raz, odkąd zaczął ją odwiedzać Zach Gilchrist. Odkąd z kominka wypadł amulet, a dom stanął dla wszystkich otworem. Wstrzymując oddech, przyłożyła ucho do drzwi. Stara skóra na policzku przykleiła się do drewna. Uniosła dłoń, położyła ją na gałce i zacisnęła na niej palce. Mogła ją przekręcić i wejść do pokoju. Wydawało jej się, że wie, co w nim zobaczy, ale nie była pewna... nie do końca. I nie wiedziała, czy chce to zobaczyć. Deski w drzwiach miały sęki, które układały się w obraz twarzy. Sądziła, że to twarz Valentyny, ale mogła też należeć do Hannah – szeroko rozstawione oczy, rozchylone wargi, z których dobiegały słowa: „Dimity, coś ty zrobiła? Coś ty zrobiła?”.

Hannah wiedziała różne rzeczy; tamtej nocy widziała je na własne oczy. Serce Dimity waliło tak mocno, że wyraźnie słyszała, jak

trzepocze pod jej żebrami. Była wstrząśnięta, widząc strach, a właściwie przerażenie, od którego twarz dziewczyny wykrzywiła się w ostry grymas, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Przełykając ślinę, Dimity wypuściła kławkę z dłoni i cofnęła się o krok.

Na farmie Hannah zniknęła w pomieszczeniu, które mogło być pralnią. Ubrania i ścierki wprost wylewały się z kilku koszy na podłogę, a obok stały rzędy pustych opakowań po mydle. Wyszła z krzykliwym ręcznikiem plażowym w różnokolorowe pasy. Zach wziął go od niej i wytarł sobie włosy. Reszta jego ciała wyschła, kiedy wspinał się z plaży doliną, ale bokserki wciąż miał przemoczone i zimne. Mokry materiał przylepił mu się do skóry. Poprawił je ukradkiem pod dżinsami, ale Hannah zauważyła ten ruch i uśmiechnęła się.

– Masz tam jakiś problem? – zapytała.

– Trochę piasku, trochę wodorostów. Wytrzymam.

– Kawy?

– A nadaje się do picia?

– Raczej tak – Hannah zmierzyła go wyniośle wzrokiem. –

Wrzątek zabija zarazki.

Poszła do kuchni, z wycuciem manewrując między stosami śmieci na korytarzu. Nie ulegało wątpliwości, że stały tam od dawna. Szary collie, który pojawił się na skraju podwórka i przyszedł za nimi do domu, ułożył się na posłaniu i przyglądał im się ze smutkiem.

– A mówiąc poważnie... masz takie uporządkowane podwórko... – Zach rozejrzał się po kuchni i uniósł do góry dłoń, oszołomiony otaczającym go chaosem. – Jak możesz tu cokolwiek znaleźć?

– Podwórko jest ważne, dlatego je sprzątam. A przekonałam się, że to, czego potrzebuję, w końcu samo wpada mi w ręce. – Potoczyła wzrokiem po pomieszczeniu, jakby pierwszy raz naprawdę zauważyła, jak wygląda. Kąciki jej ust drgnęły, a potem opadły. – Moja mama pedantycznie dbała o porządek. Byłaby przerażona, gdyby teraz zobaczyła swój dom. Zwłaszcza kuchnię. To była taka kuchnia, w której na stole studziła się blacha świeżych babeczek, kiedy wracałam ze szkoły. – Zach nie odezwał się. – Ale... Tobie był bałaganiarzem. Kiedy pierwszy raz zabrał mnie do swojego pokoju w akademiku, przeżyłam szok. Sam był schludny, może nawet odrobinę za schludny. Za to jego

pokój wyglądał tak, jakby eksplodowała w nim bomba. Śmierdział spleśniałym chlebem i starymi skarpetami. Musiałam otworzyć szeroko okno i wychylić się, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, bo nawet burza hormonów nic nie pomogła. A kiedy umarł... kiedy umarł, uznałam, że w ten sposób uczczę jego pamięć. Tym bałaganem. Że pozwolę, żeby postawił na swoim, skoro oszedł i zostawił mnie samą. – Wzruszyła ramionami ze smutkiem. – Ale prawdę mówiąc, w pewnym momencie sprzątanie nie wchodzi już w grę. Człowiek przestaje zauważać bałagan.

– Mógłbym ci pomóc, jeśli chcesz... To znaczy, gdybyś któregoś dnia postanowiła urządzić generalne porządki.

– Któregoś dnia? – Pokręciła głową. – To zajęłoby z miesiąc.

– Ale... – zaczął Zach, lecz nie wiedział, jak dokończyć.

Hannah podniosła dwa kubki i ostentacyjnie opłukała jeden z nich w gorącej wodzie. Rzuciła Zachowi prowokacyjne spojrzenie, więc starał się nie zwracać uwagi na to, że nie miała płynu do zmywania, a gąbka, którą przetarła naczynie, była brudna i poplamiona. Ale Hannah przerwała pracę, popatrzyła na nią przez chwilę, a potem wyrzuciła ją i dokończyła zmywanie palcami.

– Przestań – zażądała.

– O co ci chodzi?

– Przestań mnie obserwować, przez ciebie zauważam bałagan.

A nie mam czasu go ogarnąć.

– Przepraszam. Nie chciałem.

Hannah postawiła kubki obok czajnika i na moment położyła dłonie na blacie, opierając się całym ciężarem na sztywnych, wyprostowanych rękach. Bikini odcisnęło się mokrym echem na jej bluzce i spodniach, a z końcówek włosów zwisały jej kropelki wody, jak koraliki. Czajnik zaczął cicho mruczeć, ale wyłączyła go szybkim, zdecydowanym ruchem.

– Chodź – rzuciła nagle, wyciągając do niego rękę. – Zrzucimy te mokre ciuchy.

Zabrała go na górę do dużej sypialni z oknami wychodzącymi na morze. Popołudniowe światło zalewało pokój, wpadając przez dwa ogromne pionowe okna i rozgrzewając martwe muchy rozsiane na

parapecie. Jeśli kiedyś wisiały tu zasłony, teraz już ich nie było. Łóżko miało wysokie mosiężne wezglowie; zmięta kołdra leżała w połowie na podłodze. Przez ściany pomalowane bladoniebieską farbą biegły zygzakowate pęknięcia. Hannah zamknęła drzwi za Zakiem i stojąc twarzą do niego, ściągnęła koszulę i czerwoną, mokrą górę od bikini. Wbiła w niego wyzywające spojrzenie.

Jasny ślad po kostiumie kontrastował z letnią opalenizną na jej skórze, podkreślając małe piersi, na których odznaczały się ciemne sutki. Zach podszedł bliżej, położył Hannah dłonie w talii i przesunął je wzdłuż jej kręgosłupa aż do miejsca, w którym skórę napinały twarde obojczyki. Pocałował ją i poczuł na języku smak soli. Morze zostawiło ślad na jej ustach, policzkach i brodzie. Zimne krople spadały z jej włosów na jego ręce, kiedy otoczył ją ramionami; poczuł, jak jej ciało tężeje, wtulając się w niego mocniej. Ogarnęło go pożądanie, dławiące i nieodparte. Przyciskał ją do siebie, dopóki nie zabrakło jej tchu, a jej usta nie nabrały nowej miękkości. Kiedy otworzył oczy, jej wzrok nie był już badawczy, tylko spokojny i nagły. To spojrzenie potrafił odczytać, bez żadnych wątpliwości. Nie rozluźniając uścisku ani na moment, wyprostował się i podniósł ją tak, że nie dosięgała stopami podłogi. Odwrócił się w kierunku łóżka i opadli na nie razem. Dotyk jej ciała, sposób, w jaki się poruszała, jej smak, jej zapach zawładnęły jego zmysłami, sprawiając, że świat przestał się liczyć. Przez chwilę istnieli tylko oni dwoje, spleceni ze sobą, a wszystko inne było nieważne.

Kiedy Zach się obudził, leżał na materacu z rękami i nogami rozrzuconymi jak rozgwiazda. Pościel lekko zalatywała owcami. Czuł w ciele ciepłą ociężałość, ale myśli miał jasne. Podniósł wzrok i zobaczył ją na tle okna. Stała tam naga, skubiąc skórę na kciuku. Skorzystał z tej okazji, żeby się jej przyjrzeć, wiedząc, że może to zrobić tylko wtedy, gdy ona nie zdaje sobie z tego sprawy. Jej duże palce u stóp unosiły się lekko na końcach. Nie malowała paznokci. Na prawym biodrze, w miejscu, w którym rysowała się kość, widniał maleńki, ciemny tatuaż – konik morski. Jej pośladki opadały lekko, załamując skórę pojedynczą, zgrabną linią. Mógł policzyć jej zebra, usiane piegami. Suche już włosy tworzyły dziką, splątaną czuprynę. Szeroko rozstawione oczy były zapatrzone w morze. Znów uderzyło go dziwne

wrażenie, że ją zna, że kiedyś już ją widział. Wszystko to wydawało mu się nieodparcie znajome, nawet sposób, w jaki stała tam, zatopiona w myślach. Zach zastanawiał się, czy nie rozpoznaje jej na jakimś innym poziomie niż zwykła fizyczność i układ rysów twarzy. Czy nie chodzi o jakiś instynkt, głębszą potrzebę. Poczuł, jak coś w nim pęka; to było małe, bolesne ukłucie, równocześnie nowe i dobrze mu znane. Wywołało w nim mieszane uczucia i powitał je z czymś na kształt niespokojnej radości.

– Cześć – mruknął.

Hannah przestała żuć skórkę i spojrzała na niego przez ramię.

– Wróciłeś do żywych? – spytała.

– Długo spałem?

– Och, jakieś pół godziny. Ale nie nazwałabym tego snem. Raczej śpiączką.

– Wybacz. Wzięłaś mnie z zaskoczenia. Chodź tu.

Przez chwilę ignorowała jego polecenie, ale potem podeszła do łóżka i usiadła po turecku bez śladu zakłopotania.

– Nie martwisz się, że ktoś cię zobaczy? – zapytał z uśmiechem.

– Nie ma tam nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć. A zasłony kiedyś zajęły się ogniem. – Pociągnęła nosem, a później odwróciła się, żeby wyrzucić przez okno. – Wiatr zwiął je na świeczkę. Dlatego je zdjęłam i jakoś nigdy nie założyłam nowych. A poza tym dzięki temu łatwiej mi rano wstać. Światło wpada do środka.

Zach usiłował nie wyobrażać sobie sypialni Hannah w świetle świec; nie chciał się zastanawiać, dla kogo był przeznaczony ten romantyczny gest. Wyciągnął dłoń i przesunął palcami po jej ręce, a potem chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Najpierw zmarszczyła brwi i opierała mu się, ale w końcu uległa i położyła się obok, skulona, nie dotykając go.

– Hannah, a Ilir? – spytał z wahaniem.

– To znaczy?

– Nie będzie mu to przeszkadzać? Że ze sobą śpimy?

– Nie, nie będzie mu to przeszkadzać. To nie jego sprawa.

– Czyli wy nie jesteście... wiesz. Parą?

– Słuchaj, przecież nie zaciągnęłabym cię do łóżka w biały dzień,

gdybyśmy byli z Ilirem parą, prawda?

– Cóż, sam nie wiem... – przyznał z rozbrajającą szczerością Zach.

– Nie, Ilir nie jest moim... kochankiem. Nigdy nim nie był. W jego oczach jestem rodziną. To mój przyjaciel i... współpracownik, w pewnym sensie. – Spojrzała na niego otwarcie. Pod lekkim tonem kryło się coś poważniejszego. – Nie ma nikogo innego.

– Dzięki Bogu – Zach odetchnął z ulgą. – Nie chciałbym z nim się bić. Wygląda na... ostrego zawodnika.

– Chyba nie będzie takiej potrzeby – zaśmiała się Hannah.

– Dobrze mi. Z tym. Kiedy jestem z tobą. Mam wrażenie, jakbym znał cię od dawna. Rozumiesz? – zapytał.

– Nie rozumiem. – Hannah odwróciła twarz do sufitu. – Nie śpieszmy się z niczym, Zach.

– Nie, oczywiście, że nie. Chodzi mi tylko o to, że... że się cieszę. Cieszę się, że cię poznałem – wyjaśnił.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

– Ja też się cieszę, że cię poznałam, Zach. Masz niezły tyłek.

– Zapewniam cię, że to tylko jedna z moich wielu zalet – rzucił, zakładając ręce za głowę i przeciągając się z ostentacyjnym zadowoleniem. Hannah dźgnęła go mocno palcem pod żebrami. – Au! A to za co? – zawołał ze śmiechem.

– Żebyś za bardzo nie napęczniał z dumy – uśmiechnęła się.

Zach złapał ją za ręce, zanim zdołała go znów zaatakować, przytulił i pocałował.

– Zrobiłem ci siniaki – zauważył, dotykając opuszkami palców jej obojczyka w miejscu, gdzie wykwitł czerwony znak.

– Przeżyję.

Splótł palce lewej ręki z jej prawą dłonią i przyciągnął ją, żeby ucałować jej kostki. Przesunął kciukiem po wnętrzu jej dłoni i wzdłuż jej kciuka, na którym wyczuł zgrubienie.

– Co to? – Odsunął dłoń Hannah od twarzy, żeby zobaczyć ranę wyraźniej. Przez opuszek jej kciuka biegła gruba, prosta blizna. Srebrzystobiała, wypukła. – Jak to się stało? Wygląda na głęboką – ocenił.

– To było... – Hannah urwała, marszcząc lekko brwi. Wysunęła

dłoń spomiędzy jego palców i przytrzymała ją na wysokości oczu. – To było tej nocy, kiedy zmarł Toby. Przytrzasnęłam sobie kciuk drzwiami od samochodu. Mocno. Prawie rozłupałam go na pół. Ale nawet tego nie zauważyłam, dopóki ktoś mi o tym nie powiedział następnego dnia. Wcześniej tego nie czułam. W ogóle nic nie czułam.

– Jezu. Biedactwo.

– Ja? – Pokręciła głową. – To nie ja tonęłam.

– Hannah, przepraszam. Nie chciałem...

– Nie, nie, wszystko w porządku, Zach. Właściwie to mam ochotę o nim opowiedzieć. Wiem, że to brzmi dziwnie, może to dla ciebie za dużo. Ale upłynęło tyle czasu, odkąd o nim komuś mówiłam. Pewnie nie chcesz o nim słuchać. O tamtej nocy. – Spojrzała na niego przeciągle ciemnymi oczami o rozszerzonych źrenicach, z twarzą ukrytą w mroku.

– Opowiedz – poprosił.

Hannah nabrała wolno powietrza.

To była jedna z tych nocy, kiedy wyje wiatr i leje deszcz. Kiedy niebo wypłuka z siebie kryształki lodu, które ranią ci oczy i wargi; kiedy brakuje ci powietrza, żeby się odezwać albo wziąć oddech. Kiedy jest tak ciemno, że światło cię oszalał, zamiast wskazywać ci drogę. Taka ulewa wciśnie się w każdą szparę w twoim dachu i każdy szew w twoim ubraniu; znajdzie każdą obłuzowaną dachówkę, każdy słaby punkt, każdą szczelinę. Toby był ochotnikiem w załodze ratunkowej, chociaż dorastał w Kensal Rise. Realizował marzenie z dzieciństwa, żeby okiełznywać szalejące fale i pojawiać się jak anioł stróż przed ludźmi, którzy czekają już tylko, aż pochłonie ich morze. Realizował je przez trzy lata po ukończeniu kursu ratownictwa. Uwielbiał to – uwielbiał pomagać, uwielbiał czuć adrenalinę, uwielbiał być tak potrzebny. Tamtej nocy, swojej ostatniej nocy, wychodząc, odwrócił się w progu sypialni i posłał jej uśmiech, a Hannah ubrała się i poszła za nim. Nogi same poprowadziły ją na wybrzeże, gdzie fale pieniały się wściekle wokół skał, bo w jego uśmiechu było zbyt dużo podniecenia, satysfakcji, a ona wierzyła, że los lubi karać tych, którzy lekceważą niebezpieczeństwo.

Z miejsca, w którym stała, nie było nic widać. Łódź, która potrzebowała pomocy – luksusowy jacht w drodze powrotnej z St Ives – znajdowała się o pięć mil od brzegu na zachód, za Lulworth. Wsiadła do

jeepa i pojechała na złamanie karku do tamtej zatoki, przytrzasnęła sobie dłoń drzwiami, ale nic nie poczuła. Ze ścieżki nad zatoką Lulworth widok wcale nie był lepszy, ale czekała, chociaż wokół niej szalała zawierucha, od której huczało jej w uszach; chociaż lodowate krople parzyły jej twarz, dopóki całkiem nie odrętwiała, ze strachu albo z zimna. W końcu przemarzła tak bardzo, że zaczęła się martwić, czy jej serce to wytrzyma. Wróciła na farmę i czekała w kuchni. Czekala na wiadomość, która musiała nadejść; była o tym przekonana. Noc zdawała się nie mieć końca. Czuła, jak żołądek zaciska się jej w twarde, ciasny supeł. Podniosła słuchawkę telefonu, ale sztorm zerwał linie telefoniczne. Komórki nie odbierał. Ale i tak zaczęła żałobę, jeszcze zanim usłyszała, co się wydarzyło, bo już wiedziała, że straciła męża. Jedna z lin na jachcie odwiązała się i uderzyła go w głowę z niesamowitą siłą. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zmiotło go z pokładu i wpadł w czarną, wzburzoną toń. I zniknął. Pochłonęły go dziesięciometrowe fale i głębokie morskie doliny; woda zamknęła się nad nim i już go nie wypuściła.

– Parę z jachtu uratowano. Przemarli i najedli się strachu, ale poza tym nic im się nie stało. A Toby zniknął. Tak to określił Gareth, jego najbliższy przyjaciel z łodzi. Po prostu zniknął.

– Odnaleziono go?

– Tak – przełknęła ślinę. – Mniej więcej tydzień później, wyrzuconego na brzeg jakieś dwadzieścia kilometrów od tego miejsca. To, co z niego zostało, mówiąc dokładniej.

– Musiał być odważny, skoro to robił – powiedział Zach.

Hannah westchnęła i przysunęła się trochę bliżej.

– Wcale nie. Odważny jest ten, kto mierzy się ze swoim strachem. A Toby się nie bał. Nie jestem pewna, czy w takim razie był bohaterem, czy po prostu cholernym idiotą. Najpewniej jednym i drugim. – Pozwoliła, by jej głowa opadała do przodu, dopóki nie zetknęli się czołami. – To przyjemne, mówić o nim. Po tym, jak tak długo o nim nie mówiłam. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wypowiedziałam głośno jego imię.

– Nie do końca wiem, co zrobić z tą informacją – przyznał szczerze Zach.

Hannah uśmiechnęła się przelotnie i wzruszyła ramionami.

– Nie musisz z nią nic robić. To nie miał być prezent ani ciężar. Po prostu chciałam sprawdzić, jakie to uczucie. Powiedzieć to wszystko na głos.

– Cieszę się, że mi powiedziałaś.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Jeśli to ci pomaga... jeśli dzięki temu czujesz się lepiej.

– Nie jestem pewna, czy „lepiej” to właściwe słowo... chyba jest mi teraz lżej. Dziękuję.

Chwilę leżeli w milczeniu. Potem Hannah pocałowała go, rozchylając lekko usta, zapraszając go znów do środka. Zach zamknął ją w ramionach i wciągnął na siebie w mocnym uścisku.

Wracał z Farmy Południowej zaprzątnięty myślami o Hannah i nowymi wspomnieniami jej smaku i zapachu. Schylając się w drzwiach pubu, wpadł na starszego mężczyznę, który właśnie wychodził.

– Bardzo przepraszam – powiedział, wyciągając ręce, by przytrzymać staruszka, który lekko się zachwiał, zanim odzyskał równowagę.

Z gardła mężczyzny wydobyło się coś w rodzaju schrypniętego chrząknięcia, które Zach uznał za przyjęcie swoich przeprosin i miał zamiar odejść, ale coś go powstrzymało. Gdy ich oczy się spotkały, twarz starszego człowieka przybrała osobliwy wyraz. Zach zatrzymał się. Mężczyzna był chudy i wątły, o twarzy przeciętej głębokimi zmarszczkami, twarzy pełnej pólcieni i bruzd. Miał załzawione oczy i zaczerwieniony, naznaczony nitkami popękanych naczynek koniuszek nosa. Ze spojrzenia, które rzucił Zachowi, wynikało, że go poznaje i darzy nieufnością graniczącą wręcz z niechęcią.

– Jeszcze się nie znamy – powiedział szybko Zach, żeby zatrzymać odchodzącego staruszka. Wyciągnął rękę. – Nazywam się Zach Gilchrist. Zatrzymałem się na jakiś czas tu, w pubie, bo zbieram materiały o życiu Charlesa Aubreya... – Starszy mężczyzna nie uściśnął jego dłoni i nie przedstawił się. Uśmiech Zacha przygasł. – Bardzo chciałbym porozmawiać z kimś, kto mieszkał we wsi w tamtym okresie... czyli pod koniec lat trzydziestych...

– Wiem, kim pan jest. I czego pan chce. Widziałem pana – odpowiedział wreszcie mężczyzna głosem, w którym akcent z Dorset słychać było równie wyraźnie jak u Dimity. – Sądziłem, że już pan wyjechał – dodał lekko oskarżycielskim tonem.

Miał w sobie coś znajomego i nagle Zach przypomniał sobie, kim jest – to był ten sam staruszek, który jadł w pubie lunch z żoną jego pierwszego dnia w Blacknowle. Staruszek, który wstał i wyszedł, kiedy Zach zaczął pytać o Aubreya.

– Długo pan tu mieszka, sir? – zagadnął.

Staruszek mrugnął i skinął głową.

– Przez całe życie. Tu się urodziłem i mam prawo tu być.

– A ja nie?

– A cóż dobrego może z tego wyniknąć?

– Dobrego? Hm... książka, którą planuję napisać, naprawdę rozślawiłaby Blacknowle. Zamierzam po prostu pokazać, jak istotny dla życia i twórczości Aubreya był czas, który tu spędził...

– I co dobrego nam z tego przyjdzie? – naciskał jego rozmówca.

– Och, wie pan... na pewno nic złego, tak mi się przynajmniej wydaje.

– Tak się panu wydaje, bo nic pan nie wie, ot co. Nic pan nie wie.

Staruszek pociągnął nosem i wyjął z kieszeni spłóviałą zieloną chusteczkę.

– Ale zaczynam się dowiadywać... To znaczy, staram się czegoś dowiedzieć. Proszę mi wierzyć, przyjechałem tu w jak najlepszych zamiarach. Badam życie artysty. Nie chciałbym nikogo urazić. – Urwał i zastanawiał się przez chwilę. – Nie ma pan przypadkiem na imię Dennis?

Staruszek zawahał się, jakby nie był pewny, czy odpowiedzieć na to pytanie, a potem pokręcił głową.

– Nie znam żadnego Dennisa. Nie ma tu nikogo takiego – rzekł z mimowolną iskrą ciekawości w głosie. – A cóż ten Dennis ma wspólnego z całą sprawą?

– Och, chętnie się z panem spotkam i opowiem o moich badaniach, jeśli zgodzi się pan porozmawiać o swoim życiu w latach trzydziestych... – uśmiechnął się Zach. Mężczyzna zawahał się, ssąc

dolną wargę. – Odbyłem już kilka bardzo ciekawych rozmów z Dimity Hatcher – dodał Zach w nadziei, że go przekona, ale to nazwisko wywarło odwrotny efekt.

Twarz staruszka zastygła w wyrazie nieprzejednania.

– Nie mam panu nic do powiedzenia o Dimity Hatcher! – warknął, a w jego oczach nagle pojawiło się cierpienie, niemalże lęk.

Zach zamrugał, zdeorientowany.

– No dobrze. W końcu tak naprawdę interesuje mnie Aubrey...

Ale zanim jeszcze skończył mówić, zdał sobie sprawę, że to nieprawda. Od pierwszego spotkania z Dimity jej życie ciekawiło go coraz bardziej, a jego ciekawość rosła z każdą rozmową, za każdym razem, kiedy nie chciała o czymś mówić, kiedy coś zbijało ją z tropu. I kiedy kłamała.

– Czy mogę się chociaż dowiedzieć, jak się pan nazywa? – zapytał. Staruszek znów się zawahał.

– Wilfred Coulson – przedstawił się.

– No cóż, panie Coulson, gdyby pan zmienił zdanie, wie pan, gdzie można mnie znaleźć. Byłbym ogromnie wdzięczny za wszelką pomoc, nawet jeśli te wspomnienia wydają się panu mało istotne. Wszelkie anegdoty lub cokolwiek innego. Dimity opowiedziała mi już o swoim związku miłosnym z Charlesem Aubreyem... – rzucił Zach, stawiając wszystko na jedną kartę. Chciał wywołać jakąś reakcję. I udało mu się.

– Związku miłosnym? Nie. – Oczy Wilfa Coulsona zapłonęły ogniem. – To nie była miłość.

– Naprawdę? Ależ... Dimity wydaje się o tym przekonana.

– Przekonania Dimity nie zawsze odpowiadają prawdzie – mruknął starszy mężczyzna.

– A co pana zdaniem ich łączyło, jeśli nie miłość?

Wilf Coulson tylko zmarszczył brwi, wpatrzony w ciemne wnętrze pubu ponad ramieniem Zacha. Przez jego twarz przemknęła fala smutku.

– To nie była miłość – powtórzył, a potem odwrócił się i odszedł chwiejnym krokiem.

Był wczesny wieczór, ale Zachowi burczało w brzuchu, więc zamówił kolację i usiadł na swoim stałym już miejscu – tapicerowanej ławie pod oknem z widokiem na zachód, na serce wioski. Czekał, aż

jego komputer się uruchomi, kiedy pub wypełnił głośny męski śmiech. Do sali weszło czterech mężczyzn. Zach nie zwracał na nich uwagi, dopóki Pete Murray nie zapał rąk na barze w stanowczym geście.

– Gareth, wiesz, że cię nie obsłużę, więc po co się tu pokazujesz? – zapytał.

– Co? Nadal mam zakaz wstępu? Cholera, przecież minęło już tyle miesięcy! – zawołał szczupły mężczyzna z lśniącymi oczami w wyniszczonej twarzy, z której nie dało się odczytać wieku. Równie dobrze mógł mieć dwadzieścia, co czterdzieści lat. Patrzył na barmana z głęboką nieufnością i frustracją.

Za nim stał zwalisty, wysoki i brodaty mężczyzna w spłowiałym różowym swetrze, który wyglądał dziwnie ujmująco na jego barczystej sylwetce. Zach siedział tak blisko, że widział na materiale warstwę brudu. Cała czwórka roztaczała wokół siebie lekki zapach ryb i niepranych ubrań.

– Zakaz to zakaz, dopóki go nie cofnę.

– To jak, cofniesz go czy nie? – szczupły mężczyzna wychylił się groźnie w stronę baru.

Potężny wielbiciel bladego różu wyglądał zza niego z brwiami opuszczonymi tak nisko, że prawie przesłaniały mu oczy.

– Masz zakaz wstępu – oświadczył Pete Murray, a Zach podziwiał jego opanowanie. – Idźcie gdzieś indziej.

Rozmowy przy barze ucichły i przez chwilę w pubie panowała napięta atmosfera, bo czterej mężczyźni tkwili nieruchomo na swoich miejscach. Ale potem chudzielec wbił ręce do kieszeni i odwrócił się, zaciskając z wściekłością kanciastą szczękę.

– Na co się, kurwa, gapicie? – burknął do dwóch kobiet w średnim wieku, mijając ich stolik.

Wymieniły zdumione spojrzenia znad szprycerów.

– Panie wybaczą. Może jeszcze jedna kolejka, na koszt firmy? – zaproponował właściciel pubu po wyjściu hałaśliwej grupy.

– Co to za jedni? – zapytał Zach, kiedy chwilę później Pete przyniósł mu jedzenie.

Mężczyzna westchnął.

– Są raczej nieszkodliwi. Tak mi się przynajmniej wydaje. Grubas

i chudzielec to James i Gareth Horne'owie. Bracia, rybacy, jeden i drugi. Dwóch pozostałych nie znam, pewnie jacyś ich kumple. Ale bracia Horne... wiesz, w każdej wsi są jacyś narwańcy. Jak byli mali, malowali graffiti, wączali klej, upijali się i niszczyli budkę telefoniczną. Praca na łodzi trochę ich uspokoiła, ale później zaczęli się ponoć bawić mocniejszymi narkotykami, a wiosną przyłapałem Garetha na dilerce... Młokosom na zapleczu sprzedawał towar. Pozbyli się go i uciekli przed przyjazdem policji, ale jeśli o mnie chodzi, mają dożywotni zakaz wstępu.

– Uroczy ludzie.

– Radzę omijać ich szerokim łukiem – podsumował Pete.

Kiedy Zachowi udało się w końcu zalogować do skrzynki pocztowej, znalazł tam wiadomość od Paula Gibbonsa z domu aukcyjnego w Londynie. Otworzył ją natychmiast. Po krótkim wstępie Paul pisał, że jeden z poprzednich portretów Dennisa kupiła niejaka pani Annie Langton, stara przyjaciółka jego rodziny, która z chęcią się z nim spotka i pokaże mu obraz; Paul załączył jej dane kontaktowe. Zach spojrzął na zegarek. Była dopiero siódma wieczorem, więc mógł zadzwonić jeszcze dziś. Jak zwykle nie miał zasięgu w komórce, wrzucił więc kilka monet do automatu w pubie i od razu połączył się z Annie Langton. Z głosu wydawała się starszą, lecz rozsądną i bardzo dobrze sytuowaną osobą; umówił się, że odwiedzi ją w najbliższy czwartek. Mieszkała w Surrey, więc Zach zapytał o kod pocztowy, żeby wyznaczyć trasę dojazdu w internecie. Podróż miała mu zająć dobre dwie i pół godziny, więc liczył, że będzie warta tego czasu. Wiedział, że jest tam coś do odkrycia. Tak podpowiadała mu intuicja; miał niewytłumaczalne, ale wyraźne poczucie, że coś jest nie w porządku, jakby wszedł do znajomego pokoju, w którym ktoś przestawił meble. Modlił się, żeby znalazł to, czego szuka, w portrecie Dennisa u Annie Langton.

Dimity stała i patrzyła. Przed Littlecombe był zaparkowany samochód; nieskazitelnie niebieski z łagodnymi czarnymi łukami nad przednimi kołami i lśniącą metalową kratownicą z przodu. Wyglądał zupełnie inaczej niż zdezelowane, ubłocone auta przejeżdżające zwykle z terkotem przez Blacknowle albo szerokie, niezgrabne autobusy, które kursowały na wschód i zachód górną drogą, zostawiając za sobą kłęby czarnego dymu. Ten samochód był jak z bajki albo z jakiegoś filmu w kinie, do którego Wilf chodził czasem podczas wizyt u wujka w Wareham; wracał pełen historii o niezwykle bogatych mężczyznach i eleganckich kobietach w jedwabnych sukniach, którzy żyli w tak czystym i cudownym świecie, że nikt tam nie przeklinał ani nie chorował. Dimity zajrzała do środka przez okno. Siedzenia były z ciemnobrązowej skóry przeszytej równymi szwami. Marzyła, żeby przesunąć po nich dłońmi, przytknąć do nich nos i wciągnąć do płuc ich zapach. Pod lewym rogiem przedniego zderzaka utkwiało kilka łodyżek trybuli leśnej, więc schyliła się, żeby je wyciągnąć, wycierając plamy z zielonego soku opuszkami palców. Z wygiętego lustrzanego metalu patrzyło na nią jej zniekształcone odbicie. Błysk orzechowych oczu i potarganych złotawobrazowych włosów; brudna twarz i strupek na wardze, ślad po paznokciu Valentyny, którym matka drasnęła ją, gdy Dimity uchylała się przed jej ciosem.

– Prawdziwe cacko, prawda? – usłyszała obok siebie.

Od razu rozpoznała ten głos i wstrzymała oddech. Charles.

Odwróciła się i odeszła od samochodu.

– Nie robiłam nic złego! Tylko patrzyłam – sapnęła.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

– Nic się nie stało, Mitzy! Możesz go oglądać. Jeśli chcesz, zabiorę cię kiedyś na przejażdżkę. – Podeszedł do niej i pocałował ją przelotnie w policzek. – Dobrze wyglądasz. Miło cię znowu widzieć. – Powiedział to spokojnie, jakby nie rozumiał, że przez dziesięć długich miesięcy marzyła tylko o tym, żeby go jeszcze raz zobaczyć. Charles przeniósł wzrok na samochód z wyrazem poczucia winy i zachwytu na twarzy. Dimity nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Jego pocałunek parzył

jej skórę. Dotknęła policzka, jakby wypalił na nim ślad. – Nie powinienem tak uwielbiać tego samochodu. To tylko maszyna. Ale z drugiej strony czy maszyna, która wyszła spod ręki człowieka, nie może być czymś pięknym? – Mówił właściwie do siebie, w uniesieniu muskając palcami dach pojazdu.

– To najpiękniejszy samochód, jaki kiedykolwiek widziałam – zdołała wykrztusić Dimity.

Charles uśmiechnął się, rzucając jej badawcze spojrzenie.

– Podoba ci się, co? Jest nowiutki. Mój przyjaciel rozpędził swój niemal do stu kilometrów na godzinę. Stu! To Austin Ten, nowy model Cambridge. Moc efektywna dwadzieścia jeden, czterocyldrowy, dolnozaworowy silnik... – urwał, widząc jej nierozumiejący wzrok. – Nieważne. Cieszę się, że ci się podoba. Nie byłem pewny, czy w ogóle jest mi potrzebny samochód. Właściwie to był pomysł Celeste, ale teraz, kiedy go mam, nie pamiętam, jak radziłem sobie bez niego. To takie staroświeckie i krótkowzroczne, polegać na pociągach i taksówkach. Samochód sprawia, że świat staje przed tobą otworem. Możesz pojechać wszędzie, kiedy tylko chcesz. – Zamilkł i spojrzał na nią, ale Dimity nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć o jego samochodzie. Widziała, że czeka, aż się odezwie, i czuła, jak rozpacz ściska jej gardło, a na policzki wpełza rumieniec. – No dobrze, niedługo zabiorę cię na przejażdżkę, obiecuję. Zmykaj do domu, Delphine nie może się ciebie doczekać.

Posłuchiwała go, chociaż trudno jej było odejść od Charlesa i cudownego błękitnego samochodu. Z domu dobiegały podniesione głosy. Zapukała, ale wiedziała, że nikt jej nie usłyszał. Zajrzała ostrożnie do kuchni dokładnie w chwili, gdy Élodie, znacznie wyższa niż rok wcześniej, tupnęła nogą. Ręce miała sztywno wyprostowane wzdłuż ciała, a pięści zaciśnięte. Czarne, podcięte do ramion włosy kołysały się wokół jej twarzy, kiedy krzyczała.

– Mam osiem lat i będę nosić, co mi się podoba! – oświadczyła głośnym, piskliwym tonem.

Celeste odwróciła się od zlewu i położyła ręce na biodrach.

– Masz osiem lat i będziesz robić, co ci każę. *Laisse moi tranquille!* To twoja najlepsza sukienka i twoje najlepsze buty. Jesteśmy w Dorset, nad morzem. Zdejmij je i znajdź bardziej odpowiednie

ubranie.

Niebieskie oczy Celeste były jeszcze piękniejsze, niż pamiętała Dimity. Rozpalone złością, zdawały się lśnić.

– Nienawidzę wszystkich moich ubrań! Są paskudne!

– *C'est ton problème*. Idź się przebrać.

– Nie pójdę! – wrzasnęła Élodie.

Celeste utkwiała w niej spojrzenie, które Dimity zmroziłoby krew w żyłach, chociaż była przyzwyczajona do nieoczekiwanych ataków Valentyny. Ręce Élodie powoli się rozluźniły. Rozchyliła lekko usta, a jej twarz zalał palący rumieniec. Odwróciła się, żeby wybiec z pokoju, i wpadła prosto na Dimity.

– Och, świetnie! Znowu tu jesteś. Co za niesamowite szczęście! – powiedziała, przepychając się obok niej.

– *Merde*. Co za dziecko, o wszystko trzeba z nią walczyć – westchnęła Celeste, przeczesując dłonią gęste włosy. – Jest do mnie zbyt podobna. Uparta jak osioł i tak samo nieposłuszna. Mitzy! Chodź się przywitać. – Rozłożyła szeroko ramiona, a Dimity podeszła do niej i znalazła się w przelotnym, zaskakującym uścisku. Delphine wstała od stołu z szerokim uśmiechem. – Jak się masz? Jak ty urosłaś! Jesteś jeszcze ładniejsza niż wcześniej – oceniła Celeste, odsuwając ją na odległość wyciągniętej ręki.

Jak to możliwe? Dimity pomyślała o długiej, ostrej zimie; o odmrożeniach na palcach u stóp, o spękanych na wietrze policzkach i o tym, ile czasu minęło, zanim ona i Valentina mogły się najeść do syta.

Podeksytowana Delphine kręciła się obok matki, a gdy tylko Celeste wypuściła Dimity z objęć, podeszła, żeby przytulić przyjaciółkę. Dimity poczuła przypływ szczęścia i czegoś, co przypominało ulgę; miały ją tak silne uczucia, że przez chwilę myślała, że się rozpłacze. Ich serdeczność była jak język, którego prawie nie znała; jakby w potoku niezrozumiałych, dezorientujących dźwięków tylko czasem słyszała kilka wyraźnych słów.

Szybko przetarła oczy palcami, a Delphine, widząc jej wzruszenie, roześmiała się z radości.

– Jak wspaniale cię zobaczyć! Muszę ci tyle opowiedzieć! –

zawołała.

– Mitzy, jadłaś coś? – zapytała Celeste.

– Tak, dziękuję.

– Ale założę się, że zjadłabyś coś jeszcze, prawda? – powiedziała Delphine, wsuwając rękę pod ramię przyjaciółki.

Dimity przestąpiła z nogi na nogę. Nie chciała odpowiedzieć na to pytanie, chociaż w kuchni jak zwykle unosił się wspaniały zapach. Celeste uśmiechnęła się.

– Nie krępuj się, Mitzy. Jeśli chcesz się poczęstować, wystarczy poprosić – zapewniła.

– Tak. Poproszę.

Celeste ukroiła dwa grube kawałki żółtego ciasta i zawinęła je w chusteczkę.

– Ja też trochę zjem, wreszcie przestało mi być niedobrze po podróży. Tatuś tak szybko prowadzi ten nowy samochód, że na tylnym siedzeniu rzuca nami na wszystkie strony! Raz wjechaliśmy nawet w żywopłot, po tym, jak zza rogu naprzeciwko wyjechał traktor. Szkoda, że nie słyszałaś wrzasku Élodie!

– Widziałam trybulę pod metalem z przodu – przyznała Dimity, a Celeste uśmiechnęła się.

– Aha, czyli Charles przedstawił ci swoją nową pupilkę, zanim pozwolił ci się z nami przywitać? Wcale mnie to nie zaskakuje. Obawiam się, że kocha tę maszynę bardziej niż którąkolwiek z nas – powiedziała.

– Tak naprawdę to nie. Nas kocha bardziej – wyjaśniła Delphine, trącając Dimity w ramię, bo dziewczyna wzięła te słowa poważnie.

– Nie. Jest jak dziecko z nową zabawką. Ale niedługo urok nowości minie – zawyrokowała Celeste.

– Chodźmy na plażę! Mam straszną ochotę pobrodzić w morzu. Myślałam o tym przez cały czas w szkole. Każą nam nosić takie paskudne, drapiące skarpetki, nawet kiedy świeci słońce – Delphine pociągnęła Dimity w stronę drzwi.

– Weźcie ze sobą Élodie! – zawołała za nimi Celeste.

– No dobra... – westchnęła Delphine i przechyliła się przez barierkę schodów, żeby krzyknąć na piętro: – Élodie!

Wyszły z domu i szły przez ogród, a Dimity obejrzała się w poszukiwaniu Charlesa. Samochód lśnił na podjeździe, ale jego właściciel zniknął bez śladu. Niechętnie odwróciła wzrok.

To i następne popołudnie spędziły na rozmowach o wszystkim, co się wydarzyło przez te dziesięć miesięcy od wyjazdu Delphine i jej rodziny z Dorset. Włóczyły się po polach i między żywopłotami, zbierając zioła i wyglądając gniazd z pisklętami, a żeby obłaskawić Élodie, plotły dla niej długie naszyjniki ze stokrotek i wianki z maków. Siedziały na plaży na linii przyływu, która odgraniczała piasek od kamyków muszlami koloru sepii i delikatnymi, zasuszonymi kuleczkami ikry. Patrzyły, jak Élodie robi gwiazdy, i oceniały każdą z nich w skali od jednego do dziesięciu, aż zdyszana, zarumieniona dziewczynka była tak zmęczona i oszołomiona, że wołała zająć się czymś po cichu – rysować na piasku, zbierać szkło morskie albo przebijać pęcherzyki na morskaczynach.

Delphine najbardziej interesował temat Wilfa Coulsona, chociaż Dimity celowo mówiła o nim niewiele.

– Czyli co, jest twoim chłopakiem? – zapytała ściszym głosem.

Zerknęła na swoją młodszą siostrę, ciemną sylwetkę na tle połyskującego słońcem morza, która zataczała patykiem coraz większe kręgi na piasku.

– Nie! Nie jest! – zaprzeczyła Dimity.

– Przecież powiedziałaś, że pozwalasz mu się całować?

– Pozwalam. Nie za często, raz na jakiś czas. Jeśli był dla mnie miły. Tak naprawdę tylko się przyjaźnimy, ale wiesz, jacy są chłopcy.

– Myślisz, że wyjdiesz za niego za mąż?

Dimity zaśmiała się lekko i przez chwilę próbowała udawać, że ma wiele innych propozycji, wielu adoratorów. I mnóstwo czasu do namysłu.

– Wątpię. Jest trochę za chudy, a jego matka szczerze mnie nienawidzi. Nie sądzę, żeby przyznał się nawet swojemu ojcu, że czasem się ze mną spotyka. Może kiedyś sama mu powiem. W końcu nierzadko zachodzi do mojej matki. – Dimity pożałowała tych słów tuż po tym, jak je wypowiedziała.

– A po co?

– Och, no wiesz. Kupić lekarstwa i takie tam. I żeby mu powróżyła – zmyślała na poczekaniu, rumieniąc się od kłamstwa.

– Ja wiem, za kogo wyjdę za mąż – zdradziła Delphine, leżąc z rękami założonymi za głowę. – Za Tyrone’a Powera.

– Chodzi z tobą do szkoły? – spytała Dimity, a Delphine wybuchnęła śmiechem.

– Ty głuptasie! Do mojej szkoły nie chodzą chłopcy. Za Tyrone’a Powera! Nie widziałaś filmu *Lloyd’s of London*? Tyron jest po prostu cudowny... to najcudowniejszy mężczyzna w historii świata.

– Aha, czyli jest gwiazdą filmową? A jak zamierzasz go poznać?

– Nie mam pojęcia. To nieistotne. Ale poznam go, a potem wyjdę za niego za mąż albo umrę w samotności – oznajmiła Delphine z cichą stanowczością. Przez chwilę milczały, rozważając jej słowa, wsłuchane w skrobanie patyka Élodie na piasku i nieustanny szum niespokojnego morza. – Mitzy? Jakie to uczucie? Całować się z chłopakiem? – spytała w końcu Delphine.

Dimity zastanawiała się dłuższą chwilę.

– Właściwie to nie wiem. Na początku wydawało mi się to obrzydliwe, jakby pies wpychał ci w twarz mokry nos. Ale później jest już chyba w porządku. To znaczy, jest przyjemnie.

– Jak przyjemnie? Tak jak kiedy ktoś rozczesuje ci włosy?

– Nie wiem – przyznała Dimity bezradnie. – Zawsze sama rozczesuję sobie włosy.

– A ja umiem zapleść warkocz z pięciu pasm, a nie tylko z trzech – zawołała Élodie, która przechodziła akurat obok starszych dziewczynek.

– To prawda, umie. Élodie bardzo ładnie czesze – pochwaliła ją Delphine.

– Mogę cię później uczesać – zaproponowała Élodie i zamilkła raptownie. Najwyraźniej ten nagły przejaw wspaniałomyślności zdumiał ją tak samo jak Dimity. – Jeśli chcesz. – Wzruszyła ramionami.

– Chciałabym. Dziękuję – odpowiedziała Dimity. Élodie zerknęła na nią i uśmiechnęła się, błyskając małymi, białymi ząbkami. Jej uśmiech był równie piękny i równie rzadki jak widok zawilca gajowego.

Kilka dni później Charles zabrał Dimity na obiecaną przejażdżkę samochodem. Austin Ten wyjechał z podjazdu przy Littlecombe z taką

prędkością, że Dimity złapała jedną dłonią za klamkę, a drugą trzymała się brzegu siedzenia. Wnętrze samochodu wypełniał zapach ropy i rozgrzanej skóry, tak mocny i intensywny, że niemal czuła jego smak na języku. Siedzenie było gorące, przez materiał spódnicy czuła na tyłach nóg jego ciepło, a później wilgoć potu.

– I naprawdę jeszcze nigdy nie jechałaś samochodem? – zapytał Charles, opuszczając szybę i pokazując gestem, żeby zrobiła to samo.

– Tylko autobusem, raz czy dwa, a czasem przyczepą za traktorem na wykopki albo zbiórkę kukurydzy przed żniwami – wyjaśniła, nagle zaniepokojona.

Charles zaśmiał się.

– Przyczepą za traktorem? To się chyba nie liczy. No dobrze, trzymaj się mocno. Pojedziemy na drogę do Wareham, żebyśmy mógł ją porządnie rozpędzić.

Dimity ledwo go słyszała przez ryk silnika i huk powietrza, wpadającego przez otwarte okna. Kiedy pędzili między rzędami domków w Blacknowle, przed sklepem zobaczyła Wilfa i kilku chłopaków ze wsi. Uniosła wyniośle brodę, gdy samochód przemknął obok nich, zadowolona, że patrzą za nią, zelektryzowani tym widokiem. Na błękitnym lakierze odbijało się słońce, a wiatr igrał z kosmykami jej włosów. Wilf uniósł ukradkiem palce, ale chociaż ich oczy spotkały się na chwilę, Dimity celowo odwróciła wzrok.

– To twoi przyjaciele? – zapytał Charles.

– Nie, właściwie to nie – odpowiedziała Dimity.

Charles zatrąbił na nich kilka razy klaksonem, a potem spojrzął na nią wesoło. Dimity nie mogła powstrzymać śmiechu – czuła, jak wzbiera w niej niczym kipiący wrzątek, który miesza jej w głowie i domaga się ujścia, niemożliwy do opanowania. Na głównej drodze Charles skręcił w lewo na Dorchester i wrzucił wyższy bieg. Silnik szarpnął, a potem pomknęli naprzód, nabierając coraz większej prędkości, aż w końcu Dimity uznała, że szybciej się już nie da. Pobocza stały się soczyście zieloną plamą, cały krajobraz zamienił się w rzekę, płynącą za ich oknami. Tylko niebo i odległe blade morze wyglądały tak, jak zawsze, więc Dimity wpatrywała się w nie, kiedy pędzili drogą, mijając ospały autobus i inne, wolniejsze samochody. Powietrze wpadające przez okno

było ciepłe, ale i tak chłodziło skórę w upale. Uniosła ręce i związała włosy w luźny węzeł, przytrzymując je tak, żeby osuszyć spocony kark. Kątem oka zauważyła, że Charles przygląda jej się intensywnie, dzieląc uwagę między nią a drogę.

– Mitzy, nie ruszaj się – powiedział, ale jego słowa prawie zginęły w hałasie.

– Słucham?! – odrzyknęła.

– Nieważne. I tak nie ma się tu gdzie zatrzymać. Zrobisz to dla mnie później? Upniesz włosy do góry w taki sam sposób? Dokładnie taki sam? Będziesz pamiętać, jak to zrobiłaś? – dopytywał się.

– Oczywiście.

– Grzeczna dziewczynka.

Dimity stanęła przed oczami Valentina. Przygryzła wargę, myśląc o matce i o tym, jak ubrać w słowa to, co musiała teraz powiedzieć. Wieść o powrocie Aubreyów dotarła do Strażnicy z falą ukradkowych gości, tak jak drewno i śmieci niesione prądami wody. Dimity nie mogła utrzymać tego w sekrecie.

– Moja matka powie... – zaczęła, ale Charles przerwał jej machnięciem ręki.

– Nie martw się. Valentina Hatcher dostanie pieniądze, przeciągniemy ją na naszą stronę – zapewnił, a Dimity rozluźniła się. Odetchnęła z ulgą, że nie musi o nic prosić.

Kiedy dojechali do Dorchester, przemknęli przez miasteczko i wrócili tą samą drogą, jadąc na wschód z równie zawrotną prędkością jak poprzednio. Dimity rozpostarła palce na wietrze, bawiąc się tym doznaniem, pozwalając, by powietrze odchyłało jej dłoń w nadgarstku i zaciskało ją w pięść, albo trzymając ją sztywno, płasko.

– Teraz już rozumiem – powiedziała niemal do siebie.

– Co rozumiesz? – zapytał Charles i pochylił się ku niej, żeby lepiej ją słyszeć.

– Jak latają ptaki. I dlaczego tak to kochają – wyjaśniła, nie odrywając oczu od swoich palców, które przecinały powietrze.

Czuła, że artysta ją obserwuje, i pozwoliła mu na to. Nie odwzajemniła jego spojrzenia, nie chciała, żeby pomyślał, że jego wzrok ją drażni. Patrzyła na swoją rozpostartą dłoń, na opuszki swoich palców,

rozświetlone słońcem; wdychała ostry zapach samochodu, czuła, jak świat przepływa z hukiem obok niej, i miała wrażenie, że znalazła się w całkiem nowym miejscu, pełnym zdumiewających rzeczy, których nigdy wcześniej nie zaznała.

W miejscu, w którym potrafi latać.

Charles zamierzał namalować istotę angielskiej kultury ludowej. Opowiedział im o tym któregoś dnia przy lunchu, kiedy Dimity napychała buzię serem żółtym i korniszonami, nałożonymi na kawałki twardego chleba, który upiekła Delphine. Trudno go było pogryźć, ale zgodnie z sugestią Dimity dziewczynka dodała do ciasta świeżego rozmarynu, więc chleb smakował równie wspaniale, jak pachniał.

– We Francji namalowałem cygańskie wesele. To jeden z najlepszych obrazów w mojej karierze – powiedział artysta bez śladu dumy czy skromności. – W jakiś sposób udało mi się uchwycić ich prostolinijność, związek tych ludzi z miejscem, w którym mieszkają. Ich oczy – to znaczy oczy ich duszy – były skupione na tu i teraz. Czuli swoje korzenie, sięgające w głąb ziemi i w przeszłość, mimo że niektórzy z nich nie mieli pojęcia, kim byli ich ojcowie albo ojcowie ich ojców. Nigdy nie wybiegali myślą zbyt daleko, nigdy nie planowali na zapas. To właśnie klucz do szczęścia. Zrozumieć, gdzie jesteś i co masz już teraz, i czuć za to wdzięczność.

Przerwał, żeby ugryźć kolejny kęs chleba. Celeste nabrała wolno powietrza i uśmiechnęła się lekko, kiedy podniósł wzrok. Dimity odniosła wrażenie, że Marokanka słyszała już tę przemowę. Jego córki miały zamglone, nieobecne spojrzenia. Albo też już to słyszały, albo nie interesowały ich poglądy ojca. Zdała sobie sprawę, że mówił to tylko do niej.

– Weźmy na przykład Dimity – ciągnął, a słysząc swoje imię, dziewczynka aż podskoczyła. – Tu się urodziła i wychowała. To jej miejsce, to jej krajanie, i jestem przekonany, że nawet nie przyszłoby jej do głowy stąd wyjeżdżać. Nie marzyłaby o tym, co nieznane. Prawda, Mitzy?

Jego oczy były skupione na niej. Patrzył na nią przeciągle, zniewalająco. Dimity zaczęła kręcić głową, a potem zorientowała się, że czeka, aż się z nim zgodzi, więc przytaknęła. Charles stuknął palcem

w blat stołu w geście aprobaty, a Dimity uśmiechnęła się. Tymczasem Celeste rzuciła jej badawcze spojrzenie.

– Łatwo dać się zwieść pozorom, snuć domysły i na ich podstawie wyrobić sobie opinię. Ale skąd wiadomo, że jest prawdziwa? Skąd wiesz, że szczęście tych Cyganów nie było tylko wytworem twojej wyobraźni, a potem twojej dłoni, kiedy ich malowałeś? – powiedziała do Charlesa, wysuwając wojowniczo podbródek.

– Było prawdziwe. Malowałem tylko to, co miałem przed sobą – stwierdził stanowczo Charles, ale Celeste mu przerwała.

– To, co widziałeś przed sobą. To, co twoim zdaniem widziałeś. A przecież zawsze pozostaje kwestia... – machnęła ręką w powietrzu, szukając właściwego słowa – percepcji.

Spojrzenia Charlesa i Celeste skrzyżowały się, a Mitzy zobaczyła w nich coś, czego nie potrafiła odczytać. Charlesowi zadrżał mięsień w kąciку ust, a Celeste wyglądała na spiętą i rozgniewaną.

– Nie zaczynaj od nowa – poprosił z niewzruszonym spokojem. – Już ci mówiłem, że nic się nie wydarzyło. Masz zbyt bujną wyobraźnię.

Cisza przy stole stała się krępująca, a kiedy Celeste znów się odezwała, ton jej głosu był ostrzejszy niż słowa.

– Ja tylko włączyłam się do dyskusji, *mon cher*. Czy nie lepiej zapytać Dimity o zdanie, zamiast mówić jej, co myśli? To jak, Mitzy? Chciałabyś tu mieszkać zawsze? A może wolałabyś spróbować zamieszkać gdzieś indziej? Czy masz silne korzenie, które wiążą cię z tym miejscem?

Dimity znów przypomniwała sobie długą zimę – fale mgły morskiej spowijające niebo jak niskie chmury, przez które cały świat zdawał się kurczyć do kawałka strudzonej ziemi pod jej stopami; cieniutką warstewkę lodu na gnojowniku obok farmy Bartonów, która pękła, gdy na niej stanęła, i obryzgała jej buty brudną wodą; uziemionych rybaków, którzy nie mogąc łowić, ścinałi trzciny na strzechy, równe rzędy ich sylwetek, ramiona kołyszące się w przód i w tył, świst i chrzęst kos w głębokiej ciszy. Dni, kiedy świat wydawał się wymarły, a Dimity krążyła między wsią a Strażnicą, owinięta ciasno swoim płóciennym płaszczem, w ogrodniczkach z mokrymi nogawkami i starym, przemoczonym filcowym kapeluszu, słysząc nad głową popiskiwanie

i szum skrzydeł niewidocznych w mroku łabędzi. Marzyła o tym, żeby odlecieć razem z nimi; marzyła, by uwolnić się od tego przenikliwego zimna, od świadomości, że każdy kolejny dzień przyniesie to samo. O tak, z tym miejscem wiązały ją silne korzenie. Równie silne jak korzenie skarłowaciałych sosen rosnących wzdłuż wybrzeża, które odchylały pnie i gałęzie jak najdalej od morza i jego bezlitosnych wiatrów. Korzenie, które nie pozwalały się jej uwolnić – tak jak tym drzewom, niezależnie od tego, jak mocno się wyginały; jak desperacko walczyły. Korzenie, od których nigdy nie chciała się uwolnić, dopóki w jej życiu nie pojawił się Charles Aubrey i jego rodzina, dopóki nie dali jej poczuć, jaki jest świat poza Blackknowle, poza Dorset. Pragnienie, żeby go zobaczyć, rosło w niej z każdym dniem; pulsowało jak chory ząb i było równie trudne do zignorowania.

Zdała sobie sprawę, że Charles i Celeste czekają na jej odpowiedź, więc znalazła taką, która będzie prawdziwa, choć niejednoznaczna.

– Moje korzenie są tutaj i sięgają bardzo głęboko – rzekła.

Charles skinął znów głową i zerknął na Celeste, ale ona przyglądała się Dimity trochę dłużej, jakby czytała z jej twarzy niewypowiedziany sens tych słów. Ale nawet jeśli go rzeczywiście wyczytała, nie odezwała się więcej; wyciągnęła rękę po pusty talerz Élodie, a córka podała jej go w milczeniu.

– To gdzie idziemy, Mitzy? Jakie miejsce najlepiej oddaje ducha tych terenów? Wybierzemy się tam i narysuję cię w otoczeniu pradawnej magii – zaproponował Charles.

Dimity poczuła przypływ dumy, bo konsultował się z nią, jakby była ekspertem. Ale chwilę później uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jakie miejsce wybrać, i nie do końca rozumie, co artysta ma na myśli, mówiąc o „pradawnej magii”. Zastanawiała się gorączkowo nad odpowiedzią.

– Kaplica Świętego Gabriela – rzuciła szybko.

Ruiny w zagajniku na wzgórzu, w których podobno straszycie. Chłopcy ze wsi urządzali tam sobie sprawdziany odwagi – chodziło o to, żeby spędzić samotnie noc w kaplicy, bez ogniska, bez żadnego źródła światła, wśród wilgotnych zielonych kamieni, słuchając straszliwych głosów niesionych wiatrem.

– Czy to daleko?

– Niedaleko. Jakąś godzinę spacerem – wyjaśniła.

– Pójdziemy tam po południu. Chciałbym zobaczyć to miejsce, poczuć jego atmosferę. – Z jego twarzy była teraz jakaś energia, wielki entuzjazm. – Czy twoja matka poradzi sobie dziś bez ciebie?

– Gdyby dostawała za to monety, radziłaby sobie beze mnie codziennie... – mruknęła Dimity, a potem poczuła się głupio, że to powiedziała. Przypomniała sobie wyidealizowaną wizję Valentyny, jaką przedstawiła im minionego lata, i że tylko Charles poznał jej matkę. Tylko on wiedział, że opis Dimity był prawdziwy najwyżej w połowie. – To znaczy... chciałam powiedzieć... – plątała się, ale Celeste wyciągnęła rękę i poklepała ją po dłoni.

– Tylko głupiec przyjąłby monety w zamian za coś bezcennego – uśmiechnęła się, a potem przeniosła wzrok na Charlesa, a jej uśmiech przygasł. – Mówiłeś, że po południu zabierzesz dziewczynki do Dorchester. Kupić im nowe sandały.

– Nie ma pośpiechu, prawda? Pojedziemy jutro, co wy na to? – rzucił w stronę córek, kiwając głową.

– To samo mówiłeś wczoraj – Delphine zaprotestowała lekko. – W moich szoruję już palcami po ziemi.

– Jutro, obiecuję. Dziś jest idealne światło. Delikatniejsze niż wcześniej. – Wydawał się mówić do siebie, zapatrzony w blat stołu.

Dimity spojrzała na Celeste, czując na sobie jej wzrok. Kobieta patrzyła na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Kiedy ich oczy spotkały się, Celeste uśmiechnęła się i wróciła do zbierania naczyń, ale Dimity nie dała się zwieść. Celeste wyglądała na zmartwioną. Prawie przestraszona.

Przez trzy tygodnie utrzymywała się piękna pogoda. Codziennie świeciło słońce i wiał lekki wiatr. Charles zawiózł wszystkich na Golden Cap, najwyższy klif na wybrzeżu Dorset. Ze śladami potu na ubraniach wspinali się przez lasy i pola, taszcząc ciężkie koszyki z jedzeniem. Na szczycie powitało ich świeższe powietrze i wspaniały widok, który zaparł im dech w piersiach.

– Widzę stąd Francję! – krzyknęła Élodie, osłaniając oczy dłońmi.

– Wcale nie, głuptasie – zachichotała Delphine.

– W takim razie co to jest? – zapytała jej siostra, wskazując jakiś

kształt w oddali.

Delphine zmrużyła oczy.

– Chmura – zawyrokowała.

– Dziś nie ma chmur. Taką podjęłam decyzję – oznajmiła Celeste, rozkładając na ziemi pasiasty koc i rozpakowując jedzenie.

– Aha! Czyli to musi być Francja – triumfowała Élodie.

– *Vive la France*. Chodźcie na lunch – uśmiechnęła się Celeste. – Dimity, siadaj z nami. Kanapka z szynką czy z jajkiem?

Po pikniku Charles rozparł się wygodnie, przykrył twarz kapeluszem i zasnął. Celeste przestała walczyć z muchami i osami, które przyleciały, żeby posilić się resztkami ich posiłku. Położyła się z głową na brzuchu Charlesa i zamknęła oczy.

– Och, uwielbiam słońce – wymruczała.

Spędzili tam całe popołudnie. Dziewczynki patrzyły, jak senne pszczoły słaniają się nad kwiatami rosnącymi wśród kolcolistów i wrzosów; wyglądały na morzu statków; machały i wołały do innych spacerowiczów i urlopowiczów, którzy pojawiali się na wzgórzu – starszych par z psami, młodych mężczyzn i kobiet ze splecionymi dłońmi, rodzin z pulchnymi dziećmi, zarumienionymi z wysiłku po wspinaczce. Wszyscy pozdrawiali je skinieniem głowy i uśmiechem, a Dimity zrozumiała, że oni nie wiedzą. Ci nieznajomi nie wiedzą, że jej nazwisko nie brzmi Aubrey; nic nie mogło zdradzić, że nie należy do tej rodziny. Dlatego na to popołudnie stała się jedną z nich. Pasowała do nich. Nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, a raz musiała odwrócić twarz od Delphine, bo zaczęły ją piec oczy i bała się, że wybuchnie płaczem.

W końcu cienie wydłużyły się, więc spakowali swoje kosze i zeszli ze wzgórza. Pokonali samochodem krótką trasę do Charmouth i mniej więcej godzinę bez powodzenia szukali skamieniałości, a później usiedli na herbatę i babeczki w małej kafejce przy skalistym wybrzeżu. Po całym dniu na słońcu skóra Dimity była sucha i napięta. Aubreyowie rozmawiali ze sobą cicho. Widziała, że ich też ogarnęło to samo przyjemne zmęczenie. Celeste nawet nie upomniała Élodie, kiedy córka nałożyła sobie na babeczkę tyle śmietany i dżemu, że całość nie zmieściła jej się w ustach i na bluzkę skapnęła jej wielka porcja kremu.

Zaskoczona tym brakiem reakcji Élodie sama zwróciła na to uwagę mamy.

– Mamusiu, ubrudziłam bluzkę – powiedziała niewyraźnie z ustami pełnymi ciasta.

– To nie było zbyt mądre, prawda? – rzuciła Celeste, nadal zapatrzona w mewę dryfującą w oddali na wietrze.

Delphine i Dimity wymieniły spojrzenia i wybuchły śmiechem, po czym nałożyły sobie na babeczki tyle samo dodatków co Élodie. Żołądek podszedł Dimity do gardła. Nie była przyzwyczajona do tak sycącego jedzenia, ale ciastka za bardzo jej smakowały, żeby mogła im się oprzeć.

– Mamusiu, mogę iść popływać? – zapytała Élodie po chwili przyjemnej ciszy.

– Możesz. Pod warunkiem, że któraś ze starszych dziewczynek pójdzie z tobą – odpowiedziała Celeste.

– Na mnie nie patrz, wiesz, że nie lubię pływać, kiedy na dnie są kamienie zamiast piasku – ostrzegła Delphine.

– Mitzy, a ty? Proszę, proszę, proszę? – błagała Élodie.

– Nie mogę, Élodie. Przykro mi.

– Oczywiście, że możesz! Czemu nie?

– Bo ja... – zawstydzona Dimity poruszyła się niespokojnie na krześle. – Nie umiem pływać.

– Oczywiście, że umiesz! Każdy umie pływać – stwierdziła Élodie.

– Ja nie umiem – powtórzyła Dimity.

– Czy to prawda? – zapytał Charles, który nie odzywał się od przynajmniej pół godziny. Dimity przytaknęła, zwieszając głowę. – Mieszkasz całe życie nad morzem, a nie nauczyłaś się pływać? – ciągnął z niedowierzaniem.

– Nigdy nie musiałam umieć pływać – usprawiedliwiła się Dimity.

– Ale kiedyś ta umiejętność może ci być potrzebna, a wtedy na naukę będzie już za późno. Nie, tak nie może być – oświadczył Charles, kręcąc głową.

Jeszcze w tym samym tygodniu nauczył ją pływać. Dimity nie miała kostiumu kąpielowego, więc pływała w szortach i podkoszulce, zataczając z pluskiem małe kółka wokół Charlesa, który utrzymywał ją na powierzchni jedną dłonią, przyciśniętą do jej brzucha. Na początku

miała wrażenie, że nigdy się tego nie nauczy. Wydawało jej się to niemożliwe, bo wciąż zachłystywała się i krztusiła słoną wodą, która piekła w gardle, kiedy ją połknęła. Ale w końcu przestała czuć, że morze próbuje ją zabić. Przestała z nim walczyć i nauczyła się rozluźniać, rozciągać ciało i pozwalać, żeby woda obmywała jej brodę; rozpychać ją rękami i nogami i miarowo oddychać. Delphine pływała wokół nich, zachęcając Dimity do nauki i napominając Élodie, żeby się nie śmiała z ich koleżanki. I wreszcie się udało. Było późne popołudnie, a żółte słońce wisiało nisko nad wodą, rozpalając ją jak ogień, tańczący na jej powierzchni. Nacisk dłoni Charlesa stawał się coraz delikatniejszy, aż w końcu całkiem znikł, a Dimity nie zaczęła tonąć. Poczuli się bezbronni bez jego dotyku, niepewni bez jego wsparcia, ale płynęła wzdłuż brzegu, wolno, lecz wytrwale, odgarniając wodę rękami i nogami jakieś dziesięć metrów, zanim stanęła na dnie. Odwróciła się do Charlesa z zachwyconym uśmiechem i zobaczyła, że on też się do niej śmieje.

– Świetnie ci poszło! Wspaniale, Mitzy! Niczym prawdziwa syrena! – zawołał.

Mokre, ciemne włosy przylegały mu płasko do czaszki, a klatka piersiowa lśniła w miejscach, gdzie kropelki wody odbijały promienie słońca. Wyglądał, jakby biła od niego słoneczna poświata. Dimity patrzyła jak urzeczona; ten widok był tak cudowny, że niemal sprawiał jej ból, ale nie mogła oderwać od niego oczu.

– Hurra! – krzyknęła Delphine, klaszcząc w dłonie. – Udało ci się!

– Możemy już iść na podwieczorek? – zapytała Élodie.

Dimity wróciła z nimi do Littlecombe, zmęczona, ale szczęśliwa. Włosy zwisały jej słonymi strąkami na plecach, a pod paznokciami miała piasek, ale jeszcze nigdy nie czuła się tak wspaniale. Stół był już zastawiony na pięć osób. Pięć, nie cztery. Nikt nawet nie pytał, czy Dimity zostanie na kolację. Celeste przygotowała pikantnego kurczaka z ryżem i gotowaną na parze cukinią z ogródka. Przy jedzeniu toczyła się ożywiona rozmowa o lekcjach pływania i pierwszym sukcesie Dimity. Ona i Delphine dostały odrobinę białego wina rozcieńczonego wodą, po którym zaczęły chichotać i dostały wypieków, a później przysnęły z głowami opartymi na dłoniach.

O dziesiątej na zewnątrz było już zupełnie ciemno, a przez okna

wpadały do domu jedwabiste ćmy, żeby zatańczyć ze światłem. Élodie spała wtulona w Celeste, otoczona jej ramieniem.

– No dobrze. Cała trójka do łóżek – zarządziła Celeste. – Sami posprzątam po kolacji.

– Ale jest jeszcze wcześniej – zaprotestowała bez przekonania Delphine, tłumiąc ziewanie.

Celeste uśmiechnęła się.

– Właśnie o tym mówię – podsumowała. – No już. Na górę.

Élodie mruknęła z niezadowoleniem, kiedy Celeste wstała i podniosła ją z ławy.

– W takim razie pójdę już – powiedziała Dimity.

Wstała z ociąganiem i uświadomiła sobie, jak bardzo nie chce wracać do domu.

– Jest całkiem ciemno, a ty nie masz latarki. Prześpij się dziś u nas, twojej mamie nie będzie to przeszkadzać – zaproponowała Celeste.

Wszyscy już wiedzieli, że Valentinie niewiele przeszkadzało, dopóki dostawała swoje pieniądze.

– To znaczy... że mogę zostać? – spytała Dimity.

– Oczywiście. Jest późno. Możesz spać z Delphine. Myk, myk, dziecko. Przecież ty się słaniasz na nogach! Lepiej zostań, bo jeszcze po ciemku spadniesz z klifu do morza. – Celeste z uśmiechem zagoniła je na górę.

Dimity posłuchała, po części szczęśliwa, a po części zaniepokojona, co rano powie Valentina. Delphine i Dimity leżały obok siebie przy zgaszonym świetle, pod namiotem z koców, rozmawiając i śmiejąc się najciszej, jak potrafiły. Ale Delphine szybko zasnęła. Przez cichy szmer jej oddechu Dimity słuchała Charlesa i Celeste na dole; szcękę mytych i odkładanych na miejsce naczyń i prowadzonej stłumionymi głosami rozmowy. Od czasu do czasu podłoga wibrowała ciepłym, głębokim śmiechem Charlesa. Dimity zamknęła oczy, ale chociaż była ledwie żywa ze zmęczenia, sen długo nie nadchodził. Rozpraszały ją emocje zbyt silne, żeby pomieścić je w środku, emocje, których nie potrafiła do końca nazwać, bo nie była do nich przyzwyczajona. Położyła sobie dłoń na brzuchu w miejscu, w którym przez cały tydzień kładł swoją dłoń Charles, żeby pomóc jej utrzymać się

na wodzie. W tym dotyku zawierały się wszystkie jej uczucia, wszystkie cudowne doznania z całego lata. Było w nim bezpieczeństwo, była w nim opieka. Były w nim akceptacja, poczucie bliskości i miłość. Chwilę później miała wrażenie, że czuje na brzuchu nie swoją, tylko jego rękę, i uśmiechnęła się w ciemnościach, odpływając w sen.

W następnym tygodniu Charles pojechał samochodem do Londynu. „Wstępne rozmowy o zleceniu”, wyjaśniła jej Celeste, ale Dimity nie miała pojęcia, co to znaczy. Próbowwała nie okazywać rozczarowania jego wyjazdem. Bez niego i bez samochodu były skazane na Blacknowle bardziej niż kiedykolwiek, ale w piątek Celeste zabrała je autobusem do Swanage na zakupy. W pierwszym momencie Dimity wcale nie ucieszyła się na tę podróż. Dla niej zakupy oznaczały tylko, że musi przynieść ze sklepu ryby i ziemniaki na kolację, a czasem trochę ciasta albo herbatników, jeśli ich gość był wyjątkowo szczodry. Że musi porównać ceny towarów i jak najlepiej wykorzystać tych kilka monet, które ma przy sobie, chociaż w domu i tak usłyszy, że źle wybrała. Tymczasem Celeste i jej córki rozumiały zakupy zupełnie inaczej. Krążyły między sklepami, przymierzając buty, kapelusze i okulary przeciwsłoneczne. Kupiły lody i lizaki, a później zjadły na lunch rybę z frytkami zawiniętą w gazetę – gorący, tłusty, przepyszny posiłek. Élodie dostała nową bluzkę z bladoniebieskiego materiału w małe różowe wisienki. Delphine wybrała książkę i zawadiacką czapkę marynarską. Celeste kupiła sobie piękną chustkę w kolorze szkarłatu, którą przewiązała włosy.

– Jak wyglądam? – zapytała z uśmiechem.

– Jak gwiazda filmowa – odpowiedziała Élodie ustami brudnymi od mięty i cukru.

Dimity z radością towarzyszyła im w zakupach, ale w pewnym momencie Celeste zauważyła jej puste ręce i spojrzała na nią z zakłopotaniem graniczącym z gniewem.

– Mitzy! Ależ jestem bezmyślna. Chodź, dziecko. Ty też dostaniesz coś nowego – powiedziała.

– Och, nie. Nic mi nie trzeba, naprawdę – oponowała Dimity.

W kieszeni miała jednego szylinga. Za mało na bluzkę, książkę czy chustkę.

– Nalegam. Żadna z moich dziewczynek nie wróci dziś do domu z pustymi rękami! To będzie prezent ode mnie. No chodź. Wybierz sobie coś. Na co masz ochotę?

Na początku Dimity czuła się bardzo dziwnie. Przez piętnaście lat ani razu nie dostała prezentu od własnej matki, a to nie były nawet jej urodziny ani gwiazdka. Zrobiło jej się nieswojo, że ma wydać czyjeś pieniądze na coś tylko dla siebie, i nie wiedziała, co powinna wybrać. Élodie i Delphine poddawały jej różne pomysły, pokazując bluzki, chusteczki do nosa i bransoletki z koralików. Ostatecznie oszołomiona Dimity zdecydowała się na tubkę kremu do rąk perfumowanego olejkiem różanym. Wiedziała, że musi to być coś, co łatwo jej będzie ukryć przed Valentiną. Celeste skinęła głową z aprobatą, płacąc za krem.

– To świetna rzecz, Dimity. I bardzo dojrzały wybór – oceniła.

Dimity uśmiechnęła się i dziękowała jej tak długo, aż usłyszała, że ma przestać. Wróciły autobusem w sam raz na podwieczorek. Celeste rozmawiała z córkami, a Dimity obserwowała ją ukradkiem, myśląc o tym, jaka piękna i życzliwa jest ta marokańska kobieta, która nazwała Mitzy jedną ze swoich dziewczynek. Uświadomiła sobie z nową mocą, jak inaczej mogłoby wyglądać jej życie, gdyby miała matkę przypominającą bardziej Celeste niż Valentinę Hatcher.

Wiele dni później, kiedy Charles wrócił z Londynu, Dimity szła do Littlecombe przez wieś z wysoko podniesioną głową. Minęła mężczyzn siedzących z kuflami piwa na drewnianych ławkach przed pubem. Zignorowała ich syki, unosząc pogardliwie brew, i śmiało zaszła do domu od strony podjazdu. Tam zatrzymały ją podniesione głosy. Najpierw usłyszała Celeste, więc uznała, że kobieta krzyczy na Élodie, ale później dobiegł ją też głos Charlesa. Ten dźwięk wzbudził w niej niepokój. Wolno zakradła się bliżej, przywierając do bocznej ściany domu pod osłoną ganku, żeby lepiej słyszeć ich słowa.

– Celeste, uspokój się, na litość boską! – zażądał Charles głosem ściśniętym od gniewu.

– Nie ma mowy! Czy za każdym razem, kiedy jedziesz do Londynu, musimy przerabiać to samo? Za każdym razem, Charlesie? Jeżeli tak, to lepiej powiedz mi o tym od razu, bo ja nie zamierzam tkwić tu, na końcu świata, podczas gdy ty się zabawiasz. Nie ma mowy!

– Ile razy mam powtarzać? Rysowałem ją. Nic więcej.

– Och, to brzmi tak rozsądnie! Tylko dlaczego ja ci nie wierzę?

Dlaczego uważam, że kłamiesz? Kim ona jest, ta blada mimoza? Córka twojego mecenasa? Czy jakąś dziwką, która ma ci zastąpić twoją dziwkę z *Maroc*?

– Dosyć! Nie zrobiłem nic złego i nie zamierzam tego wysłuchiwać. Koniec z tym, Celeste!

– Obiecałeś mi!

– I dotrzymałem słowa!

– Słowo mężczyzny. Długie lata nauczyły kobiety, ile jest warte.

– Nie jestem pierwszym lepszym mężczyzną, Celeste. Jestem twoim mężczyzną.

– Moim, kiedy jesteś przy mnie, ale kiedy mnie nie ma...?

– Więc co proponujesz? Mam nie odstępować cię ani na krok? Pytać cię o zdanie, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję?

– Jeśli chodzi o decyzję, żeby pieprzyć się z tą dziewczyną, to owszem, to właśnie proponuję.

– Już ci mówiłem, nie była moją kochanką! To Constance Mory, żona człowieka, którego poznałem w galerii. Ma niezwykle rysy... Chciałem ją narysować, to wszystko. Nie możesz toczyć piany z ust za każdym razem, kiedy narysuję twarz jakiejś kobiety. Portret to nie to samo co zdrada.

– Może nie zawsze. Ale mogę się opierać wyłącznie na własnym doświadczeniu – rzuciła Celeste ochryple.

– To przeszłość, *chérie*. Przecież rysowałem Mitzy Hatcher wiele razy, a o nic mnie nie podejrzewasz, prawda?

– Och, Mitzy jest dzieckiem! Nawet ty nie upadłbyś tak nisko. Ale właśnie tak okazujesz miłość kobiecie, Charlesie. Tyle wiem. Tak okazujesz kobiecie miłość. Rysujesz jej twarz.

Serce Dimity ścisnęło się, a jej krew zatętniła jakimś palącym uczuciem, które pomknęło do opuszków jej palców, wprawiając je w drżenie. „Tak okazujesz kobiecie miłość. Rysujesz jej twarz”. Nie pamiętała nawet, ile razy Charles Aubrey rysował jej twarz. Wiele, bardzo wiele razy. Mięśnie dziewczyny aż trzęsły się od tego oszalałego pulsu, więc przestąpiła z nogi na nogę najciszej jak potrafiła.

– Kocham tylko ciebie, Celeste. Ta miłość wypełnia moje serce – zapewnił Charles.

– Ale moja twarz nie pojawia się już na twoich rysunkach. I to od wielu miesięcy – głos Celeste brzmiał smutno. – Jesteś do mnie tak przyzwyczajony, że już mnie nie widzisz. Taka jest prawda. Dlatego zostawiasz mnie tu, znudzoną i zapomnianą, a sam wyjeżdżasz się zabawić. Bez ciebie czuję się tu jak na wygnaniu, Charlesie! Nie rozumiesz?

– Nie jesteś sama, Celeste. Masz dziewczynki... Poza tym myślałem, że nienawidzisz Londynu latem?

– Bardziej nienawidzę, kiedy mnie zostawiasz, Charlesie! Nienawidzę czekać na ciebie, kiedy widzisz się z innymi kobietami, kiedy rysujesz inne kobiety...

– Przecież już ci mówiłem, to... – Charles przerwał, bo na zewnątrz rozległ się głośny trzask. Przerażona Dimity spojrzała w dół, na pęknięty kawałek glinianego garnka pod swoim butem. Nie miała czasu uciec ani się schować, więc zwiesiła głowę, nie wiedząc, co zrobić. – Mitzy! – Zza rogu ganku wyłoniła się twarz Charlesa. – Wszystko w porządku? – Osłupiała Dimity skinęła głową, czując na policzkach piekący rumieniec. – Dziewczynki są nad strumieniem – dodał.

Znów skinęła głową i szybko się odwróciła, ale zamiast poszukać Delphine i Élodie, uciekła z Littlecombe.

Pod koniec sierpnia nad Blacknowle nadciągnęła mgła morską niczym potężna fala spiętrzona ponad klifami i sięgająca osiemset metrów w głąb lądu. W powietrzu dało się niemal dostrzec kropelki wilgoci, duże, choć odrobinę za małe, żeby spaść w postaci deszczu. Latem było to rzadkie, ale nie nadzwyczajne, i przez pierwsze dwa dni Élodie i Delphine były zachwycone. Zarzucały sobie na ramiona koce i bawiły się w rozbójników albo w morderstwo w ciemności – grę, którą przemianowały teraz na morderstwo we mgle. Ganiały się we trzy po ogrodzie i pastwiskach biegnących wzdłuż klifów, strasząc się nawzajem i piszcząc ze strachu pomieszanego z radością. Élodie poprosiła Dimity, żeby opowiedziała jej historię o duchach, a potem z rozszerzonymi oczami słuchała o armii zatopionych Wikingów, którzy wypłynęli z Wareham, żeby zaatakować Saksonów w Exeter, ale po drodze

zaskoczyła ich burza w zatoce Swanage. „Co roku od niemal tysiąca lat w rocznicę swojej śmierci błakają się po plaży i klifach, odkrztuszając wodę i wodorosty. Szukają swoich koni i zatopionego skarbu, i ludzi, żeby rozplątać im brzuchy mieczem!” Élodie słuchała jak urzeczona, ściskając spódnicę Dimity w pięściach, z ustami otwartymi z przerażenia i ciekawości. Włosy dziewczynek zwisały smętnie w wilgotnym powietrzu, a słowa padające z ich ust przypominały kamyki rzucone zbyt lekko, by mogły dotrzeć do celu.

Mgła działała jak peleryna, która zamienia świat w tajemnicze, nieznane miejsce, ale już trzeciego dnia pojawiły się niepokojące sygnały. Élodie zmarkotniała, a Delphine zrobiła się cicha i zamyślona. Dziewczynki spędzały coraz więcej czasu w domu, wsłuchane w terkot radia. Delphine leżała na kanapie, czytając książkę albo magazyn „Lady’s Companion”, a Élodie rysowała przy stole, marszcząc w skupieniu brwi, i wyrzucała kolejne rysunki, niezadowolona z efektów swojej pracy. Kiedy Dimity zapukała do drzwi Littlecombe, otworzyła jej Celeste. Wyglądała na zadowoloną, że ją widzi, a na jej twarzy malowało się napięcie i zniecierpliwienie, jakby musiała zbyt długo czekać na coś ważnego.

– Ile potrwa ten... *brouillard*? Jak to się mówi? – spytała.

– Mgła?

– Tak. Mgła. Nie wiem, jak wy to znosicie. Oszaleć można. To jest jak śmierć, nie uważasz? Jakbyśmy umarli. – Mówiła ściszym, poważnym głosem.

– Na pewno niedługo przejdzie, pani Aubrey. Właściwie już powinna się rozwiać. Zwykle tylko zimą utrzymuje się cały tydzień.

Celeste uśmiechnęła się przelotnie.

– Pani Aubrey? Och, dziecko, przecież wiesz, że nią nie jestem. Jestem po prostu Celeste, to wszystko. – Machnęła nerwowo ręką. – A on i tak chodzi malować! Co to będzie za obraz? Biel na tle bieli? – mruknęła. Podeszła do okna i wyglądała przez nie z założonymi rękami. – Jakie to nudne – rzuciła w przestrzeń.

Powietrze w domu było stęchłe i nieświeże. Dimity nie dziwiło, że dziewczynki wydają się półprzytomne i zmęczone. Zastanawiała się, czy nie namówić ich do wyjścia na zewnątrz, ale w tym samym momencie

Celeste podeszła do stołu i zdjęła atlas z wysokiej półki.

– Chodź, Dimity, opowiem ci o pewnym miejscu, które tętni życiem, dla odmiany. Słyszałaś o Maroku, zanim mnie poznałaś? – zapytała.

– Nie, nie słyszałam – przyznała Dimity.

Nie wstydziła się mówić takich rzeczy Celeste. Ta kobieta nigdy z niej nie szydziła ani nie wydawała żadnych sądów na temat jej poziomu wiedzy. Spojrzała na skomplikowany rysunek na otwartej stronie. Szukała znajomego mysiego kształtu Wielkiej Brytanii, który pamiętała ze szkoły; wiedziała, że musi go znaleźć, żeby zorientować się, gdzie na świecie leży kraj, w którym urodziła się Celeste. Zerknęła na nią z ukosa. Trudno jej było uwierzyć, że ktoś mógł przyjechać z tak daleka, i to właśnie do Blacknowle.

– Jak poznałaś pana Aubreya? – zapytała Dimity.

– Przyjechał do Maroka. Do Fezu, w którym się wychowałam i mieszkałam z moją rodziną. Kiedyś to było wspaniałe, kwitnące miasto, ośrodek handlu i nauki. Teraz podupadło, chociaż Francuzi zbudowali nam lepsze drogi. Ale myślę, że Charlesowi spodobało się właśnie takie. W stanie rozkładu. Upadku. Z budynkami, które nikną w oczach i jakby... zlewają się ze sobą. Któregoś dnia zobaczył mnie na rynku. Przyszłam na bazar na starym mieście, żeby zamówić nowy materac. Czy to nie dowód na to, jak działa przeznaczenie? Jaka to potężna siła? Że właśnie tego ranka, kiedy Charles siedział ze szkieletnikiem przed stoiskiem z materacami, jakiś robotnik przypadkowo wylał farbę na łóżko mojej matki? Hm? Tak zdecydował los. Charles przyjechał do Maroka, żeby odnaleźć siebie, ale zamiast tego odnalazł mnie.

– Tak – powiedziała Dimity.

Czy w takim razie to los zdecydował, że za Littlecombe rosła rukiew wodna, że Dimity chodziła ją tam zrywać i że tak wielki artysta jak Charles Aubrey wybrał właśnie ten dom na urlop i właśnie to miejsce ze wszystkich miejsc na świecie? Przyjechał właśnie tu, do Dimity. Tu, gdzie od zawsze na niego czekała. Przeszył ją dreszcz, kiedy odniosła słowa „los” i „przeznaczenie” do tej sytuacji, do swojego życia, do swojego spotkania z Charlesem. Uznała, że idealnie do niej pasują,

i oszołomiła ją ta myśl.

Celeste westchnęła i przesunęła palcami po mapie Maroka, wielkich połaciach pustyni, bliźniaczych łańcuchach gór, przecinających je od południa. Stuknęła paznokciem.

– Tubkal – powiedziała. – Najwyższa góra. Moja matka wychowała się w jej cieniu, pod jej osłoną. Wioska była wbudowana w skały u stóp tej góry, a wiatr kołyszący sosny był jak jej oddech. Mama mawia, że kto mieszka u podnóża gór, zawsze trafi do domu. Zbyt wiele czasu minęło, odkąd ją odwiedziłam, odkąd odwiedziłam Fez. Marzę, żeby znowu ich zobaczyć! – Celeste przycisnęła dłoń do książki i na chwilę zamknęła oczy, jakby czuła przez papier bicie serca rodzinnego miasta.

Dimity zastanawiała się, czy czułaby taką tęsknotę za domem, gdyby kiedykolwiek wyjechała z Blacknowle. Czy pokochałaby je, gdyby znalazła się daleko od niego; jakby odległość mogła nadać mu jakiś czar, urok, którego teraz było pozbawione. Obawa, że może nigdy nie opuścić Blacknowle, tkwiła w niej głęboko i codziennie odbierała jej siły, po trochu, jak pasożyt.

– Minęło zbyt wiele czasu. Kiedy myślę o Fezie, o tym, jaki jest piękny, to nie mogę się nadziwić, że postanowiliśmy być tu. – Celeste rozejrzała się po kuchni. – W Blacknowle – dodała znudzonym głosem.

Dimity poczuła nagle ukłucie niepokoju, a w jej głowie rozległ się cichy sygnał ostrzegawczy.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do kuchni wszedł Charles spowity obłokiem mgły. Na włosach i na ubraniu skrzyły mu się kropelki wody, ale był uśmiechnięty.

– Moje panie. Jak się miewacie? – zaczął wesoło.

– Nudzi nam się i mamy zły humor – odpowiedziała Delphine, a chociaż jej ton był żartobliwy, Dimity usłyszała w nim ostrzeżenie dla ojca.

Charles przeniósł spojrzenie z córki na Celeste i odnotował jej znużoną minę.

– No cóż, może to was rozchmurzy. – Podniósł białą kopertę. – Spotkałem we wsi listonosza. Zobaczcie, dostaliśmy list z Francji!

– O! Czyli nie wszyscy o nas zapomnieli?! – krzyknęła Celeste,

wyrywając mu przesyłkę z rąk.

– Od kogo ten list? Co w nim jest? – dopytywała Élodie, kiedy jej matka rozrywała kopertę.

– Bądź cicho, chcę go przeczytać w spokoju. – Celeste stanęła przy oknie, żeby mieć lepsze światło, i zmarszczyła brwi. – To od Paula i Emilii... Są w Paryżu – powiedziała, przebiegając list wzrokiem. – Wynajęli ogromny apartament nad Sekwaną i zapraszają nas w odwiedziny! – Popatrzyła na Charlesa z twarzą pełną nadziei, a Dimity poczuła, jak z jej płuc uchodzi całe powietrze.

– Paryż! – krzyknęła podekscytowana Élodie.

– Szkoła zaczyna się już za dwa tygodnie... – zauważył Charles, odbierając list z rąk Celeste.

– Och, ale pojedźmy tam. Będzie tak wspaniale! – zawołała Delphine, chwytając ojca za rękę i ściskając ją mocno.

Dimity popatrzyła na nią z przerażeniem.

– Ale... mgła niedługo się rozwieje, jestem tego pewna... – powiedziała. Jednak wszyscy zachowywali się tak, jakby jej nie słyszeli.

– No i? – zapytała Charlesa Celeste, unosząc splecione dłonie do ust. Wpatrywała się w niego oczami rozszerzonymi z podekscytowania. Mężczyzna uśmiechnął się do niej i wzruszył ramieniem.

– W takim razie Paryż! – zdecydował.

Dziewczynki wydały okrzyk radości, a Celeste zarzuciła Charlesowi ręce na szyję i pocałowała go. Dimity stała, jakby nogi wrosły jej w ziemię. Zrobiło się jej słabo. Miała wrażenie, że tonie, a nikt tego nie widzi. Instykt podpowiadał jej, że na tę wycieczkę nie będzie zaproszona.

– Ale... – powtórzyła, lecz jej słowa zginęły we wrzawie podekscytowanych głosów.

Dwa dni później mgła się roziała; zniknęła wraz ze wschodem słońca. Dimity wspięła się ścieżką na klif i stała tam, wpatrzona w morze. Czowała, jak jej oczy znów przyzwyczajają się do rozległej przestrzeni po wielu dniach, kiedy widoczność ograniczała się do odległości na wyciągnięcie ręki. Kolory wydawały się jaskrawe, radosne – cytrynowe słońce, błękit nad głową, zieleń i złoto pól kwitnących kolcolistem, odbite i skrzące się w morskiej wodzie. Ale

było już za późno. Wyjechali. Littlecombe stało puste, a Dimity czuła, jak łamie jej się serce. Ale nie płakała. Chciała płakać – czuła w duszy ciężar niczym mokry piasek – ale kiedy próbowała, kiedy poddawała się tej emocji, łzy nie chciały płynąć. Pod agonią porzucenia kryło się coś jeszcze. niesprawiedliwość złamanej obietnicy, gorzka uraza, wywołana ich bezceremonialnym okrucieństwem. I złość, przez którą jej oczy pozostały suche, bo życie, które miała wieść bez nich, było dużo gorsze, odkąd pokazali jej, jak inaczej mogłoby wyglądać. Słońce świeciło jasno, ale dla Dimity zaczęła się już zima.

Zach spędził dwa spokojne dni, porządkując notatki, które zrobił od przyjazdu do Blacknowle, i szukając powiązań między tym, co wiedział już wcześniej, a tym, czego dowiedział się od Dimity. Znalazł wiele korelacji, ale jedynym dowodem na sporo informacji, które mu przekazała, były tylko jej słowa. Przykładem był jej romans z Charlesem Aubreyem. Jeśli odegrała w jego życiu tak ważną rolę, jak sobie przypisywała, to czemu nie było żadnej wzmianki o tej relacji w jego korespondencji? Jak to możliwe, że nie знаła losów jego rodziny i nie wiedziała, dlaczego nagle postanowił pójść na wojnę? Jakim cudem nie miała pojęcia, kim był Dennis, skoro znaczyła dla Charlesa tak wiele, że planował zostawić dla niej rodzinę? Aubrey potrafił genialnie uchwycić charakter i wyraz twarzy swoich modeli, tymczasem w przypadku Dennisa nie udało mu się ani jedno, ani drugie. Może nie lubił tego Dennisa albo z jakiegoś powodu nie chciał oddać jego natury na rysunku. Może nawet geniusze miewali gorsze dni, a Aubrey narysował trzy tak podobne portrety, bo wiedział, że nie poradził sobie z tym tematem. Z drugiej strony, może ich autorem wcale nie był Aubrey.

Zach przypomniał sobie Dimity Hatcher w brudnych czerwonych mitenkach, jej zmienne nastroje, dziwne zwyczaje i krew z serca młodego byka pod jej paznokciami. To, jak zerknęła na sufit, kiedy oboje usłyszeli hałas na górze. Nie zrobiła tego z przyzwyczajenia, w jej oczach kryło się zaskoczenie i ekscytacja. Niemal strach. Pomyślał o Hannah, która nie chciała o tym rozmawiać, a potem stwierdziła, że na piętrze w Strażnicy nie ma żywej duszy. Żywej duszy. A może dusza zmarłego? Potwór z nocnych koszmarów? Zach nie chciał wytrącić Dimity z równowagi, zadając jej pytania, na które już raz odmówiła

odpowiedzi, ale równocześnie czuł palącą potrzebę wyjaśnienia tej sprawy. Nie dawała mu spokoju. Pamiętał, jak się zarumieniła, jak rozbiegany stał się jej wzrok, kiedy pokazał jej zdjęcia Dennisa. Tyle godzin wpatrywał się w portret Delphine w swojej galerii w Bath; tyle czasu rozmyślał o niej, usiłując odgadnąć, co się z nią stało. A teraz poznał Dimity Hatcher, która ją znała i przyjaźniła się z nią, i rozpląkała się przy pytaniu o jej los. Dimity Hatcher, której przysiągł, że nie będzie jej więcej pytał o starszą córkę Charlesa Aubreya.

Zach z westchnieniem zostawił swoje notatki i pytania, zamknął zeszyt i ruszył zdecydowanym krokiem do samochodu. Minęły dwa dni, odkąd widział się z Hannah, ale bez esemesów i telefonów, niemożliwych przez brak zasięgu w komórce, miał wrażenie, że upłynęło więcej czasu. Liczył na to, że przyjdzie znaleźć go w pubie, ale nie zrobiła tego. Najpierw pojechał do Wareham, do tamtejszego małego supermarketu, a potem na farmę, gdzie zaparkował na wybetonowanym dziedzińcu przed domem. Nikt nie odpowiedział na pukanie do drzwi, więc zszedł na plażę.

Hannah stała z założonymi rękami na krańcu podwodnej półki skalnej w dzinsach podwiniętych do kolan i luźnej niebieskiej koszuli, wydętej za nią na wietrze jak żagiel. Mocno wiało; bryza pokryła powierzchnię morza tysiącami drobnych zmarszczek, wzbijając sól w powietrze. Zach zawołał ją, ale nie usłyszała go przez wiatr. Postawił torby, które miał ze sobą, i nie spuszczać jej z oczu usiadł na kamieniu, żeby ściągnąć buty i skarpetki. Chciał narysować zdecydowaną linię jej kręgosłupa, pojedynczą postać, otoczoną przez wzburzone morze, które zdawało się tylko czekać, aż potknie się i straci oparcie pod stopami. Wydawała się równocześnie niezłomna i bezbronna. Zastanowił się, dla kogo miałby być ten rysunek, i natychmiast zrozumiał, że wyłącznie dla niego, po to, żeby utrwalić w pamięci prostą radość z tego, że ją widzi. Przyszło mu do głowy, że z tego samego powodu rysował swoje kobiety Aubrey, i uśmiechnął się na myśl o tym, jak zareagowałyby Hannah, gdyby nazwał ją „swoją kobietą”. Postawił kilka niepewnych kroków na skalnej półce. Trudno mu było zaufać ścieżce, której nie widział. Rozłożył ramiona na wypadek, gdyby się potknął, i poczuł, jak wiatr przeciska mu się między palcami.

– Hannah! – zawołał jeszcze raz, ale znów go nie usłyszała albo była zbyt zatopiona w myślach, żeby zwrócić uwagę na jego głos.

Zach podszedł do niej bliżej, przeklinając, kiedy zahaczył palcem o mały, ukryty stopień. Nadal wpatrywała się w morze, więc Zach przystanął i zrobił to samo. Zastanawiał się, czy wciąż wyglądała Toby'ego, czy to na niego ciągle czekała. Jej postawa świadczyła o tym, że będzie czekać tak długo, jak będzie trzeba. Miał ochotę chwycić ją mocno i odwrócić do siebie, żeby przerwać to czuwanie. Nagle dostrzegł błysk światła. Zobaczył małą łódź, typową łódź rybacką, która powoli przemieszczała się ze wschodu na zachód jakieś sto pięćdziesiąt metrów od brzegu. Zach z trudem ją dojrzał, ale teraz widział, że poruszała się w dziwnie wolnym tempie, a jakaś postać na pokładzie zdawała się lustrować wybrzeże z takim samym skupieniem, z jakim Hannah lustrowała morze. Znów błysnęło światło – słońce odbite przelotnie w szkłe. Czyżby w lornetce?

– Ten rybak chyba ma na ciebie oko – powiedział, stając tuż za Hannah.

Podskoczyła i odwróciła się do niego ze stłumionym okrzykiem, a potem wymierzyła mu policzek – lekki, ale nie do końca żartobliwy.

– Cholera jasna, Zach! Nigdy mnie tak nie zachodź!

– Wołałem cię kilka razy.

– A ja, jak widać, nic nie słyszałam – wyjaśniła, a jej twarz złagodniała.

– Przepraszam – powiedział Zach.

Przesunął palcami po jej przedramieniu i wziął ją za rękę. Hannah spojrzała znów na łódź, która w końcu zaczęła znikać za wybrzeżem. Czy w takim razie obserwowała rybaków i wcale nie czekała na Toby'ego? Zach zmrużył oczy i zobaczył na pokładzie przebłysk bladego różu. Ten kolor wydał mu się znajomy, ale nie wiedział dlaczego.

– Znasz tę łódź? To znaczy ludzi, którzy nią płyną? – zapytał.

Hannah szybko przeniosła wzrok na niego.

– Nie – odpowiedziała krótko. – Nie znam. – Wyrwała rękę z jego uścisku, na pozór po to, żeby odgarnąć włosy z twarzy i założyć je za ucho.

– Przywiozłem rzeczy na piknik. Kupiłem grill i w ogóle. Jesteś głodna?

– Umieram z głodu – przyznała z uśmiechem.

Zach wyciągnął do niej rękę i ucieszył się, kiedy wzięła go pod ramię w drodze na plażę.

Rozstawili mały grill na płaskich kamieniach, za linią przyływu znaczoną muszlami i pancerzykami. Kiedy Zach go rozpalił, zaczął lekko załatywać naftą, a Hannah pokręciła głową.

– Powinam się wstydzić – stwierdziła.

– Dlaczego?

– Mogłam nam zbudować porządny grill. W którejś stodole mam nawet ruszt i specjalne sztućce.

– To nic, ja zajmę się tym, a ty możesz przygotować tam ognisko. Na później.

– Później?

– To maleństwo nie ogrzeje nas po zachodzie słońca – powiedział Zach.

– W porządku. Podaj mi wino, włożę je do lodówki. – Hannah uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę po butelkę, a potem zaniósła ją na brzeg i zakopała aż po szyjkę w drobnym żwirze na skraju wody. Została tam, zbierając drewno wyrzucone przez morze.

Zapał przyjemny wieczór, a wiatr osłabł. Drobne fale z cichym szmerem uderzały o kamyki. Niebo nabrało barwy bladej cytryny; łagodne światło obdarzało wszystko wokół przyjemną poświatą. Zach poczekał, aż płomień pod grillem zgasną, a potem przyrządził na nim krewetki i udka kurczaka. Jedli je gorące, gdy tylko były gotowe, parząc sobie palce i wargi. Na brodach lśnił im sok z cytryny i tłuszcz z kurczaka, a wszystko popijali winem z papierowych kubków.

Drewno wyrzucone na brzeg nadało płomieniom ogniska kolor bladej zieleni, niemal niewidocznej w słońcu, lecz niezwyklej i pięknej na tle ciemniejszego nieba. Zach patrzył na iskry, które wirowały w górę, by rozpląnąć się w powietrzu. Teraz, kiedy w żyłach krążyło mu wino i miał pełny żołądek, świat nagle wydał mu się bardzo spokojny – jakby czas zwolnił albo jakby tu, w Blacknowle, reszta świata liczyła się mniej aniżeli wszędzie indziej. Hannah wyglądała piękniej niż

kiedykolwiek w blasku ognia, który rozświetlał jej włosy i nie tyle wygładzał rysy, co miękko się po nich prześlizgiwał. Patrzyła w ogień, opierając podbródek na kolanach. Zach miał wrażenie, że widzi w niej odbicie własnego spokoju.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłem... – zaczął.

– Czego? – Odwróciła do niego twarz i położyła głowę. Ponad jej ramieniem wyłonił się skrawek srebrnego księżyca.

– Nie urządziłem pikniku na plaży, romantycznego pikniku na plaży. To jedna z tych rzeczy, które zawsze chciałem zrobić, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrałem.

– Czy lista marzeń do zrealizowania przed śmiercią nie powinna mieć więcej rozmachu? Zwykle ludzie marzą o tym, żeby skoczyć ze spadochronem albo nauczyć się grać na fagocie.

– To lepsze od gry na fagocie.

– Skąd wiesz? – uśmiechnęła się do niego, a potem odsunęła od ognia i usiadła przy nim, opierając się o gładką stronę dużego głazu. – Czyli twoja żona nie lubi zabaw na świeżym powietrzu, co?

– Była żona. Nie, zdecydowanie nie. Chyba miała jakieś kalosze, ale służyły tylko do tego, żeby przejść od drzwi do drzwi i nie poślizgnąć się na mokrym chodniku. Nigdy nie widziały błota.

– A twoje kalosze widziały?

– Ja... nawet nie mam kaloszy. Proszę, nie rzucaj mnie z tego powodu – powiedział Zach z uśmiechem.

Hannah zachichotała.

– Tak sądziłam.

– Ale myślę, że bym się w tym odnalazł. W życiu na wsi i tak dalej. Tu jest tak pięknie. To musi dobrze działać na człowieka.

– Przyjedź w styczniu, kiedy leje deszcz, to pogadamy.

– Może w styczniu jeszcze tu będę – powiedział Zach.

Hannah długo nie odpowiadała, a potem wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie jedno słowo.

– Może. – Podniosła muszlę czareczki i obróciła ją w palcach. – My często jedliśmy kolację na plaży.

– Kto? Ty i Toby?

– Cała rodzina. Mama i tata, a czasem nawet moja babcia, kiedy

byłam małą dziewczynką.

– Mieszkała z wami?

– Tak. Była taka jak ty, urodziła się w mieście. Ale po ślubie zakochała się w tym miejscu, w wybrzeżu. Tyle że to była spokojna miłość. Chyba należała do tych ludzi, którzy nad morzem popadają w melancholię. Zmarła, kiedy byłam jeszcze nieopierzoną nastolatką, więc nigdy nie miałam szansy jej o to zapytać.

– Też nie zapytałem dziadków o mnóstwo rzeczy. Ważnych rzeczy. Dziadek nie żyje, więc już go nie przycisnę.

– Oczywiście, zgorzkniały dziadek, który zaniedbywał rodzinę, dręczony plotkami o podbojach Charlesa Aubreya – zakpiła Hannah.

– Nie kupujesz tej historii, co?

– Że jesteś jednym z nieślubnych wnuków Charlesa Aubreya? – Uniosła drwiąco brew. Zach uśmiechnął się. – Kto wie? – Odrzuciła muszlę daleko od siebie i osunęła się w jego otwarte ramiona.

Zach pocałował ją w czubek głowy, czując jej sprężyste loki na skórze. Włosy Hannah pachniały morzem i owczą wełną, a ten zapach wywołał w nim niemal bolesne ukłucie czułości.

Zostali na plaży, dopóki nie zrobiło się całkiem ciemno, rozmawiając o różnych drobiazgach, z których składało się ich życie, i o poważnych sprawach, które wyróciły je do góry nogami. Hannah była w połowie historii o swoich problemach z nowym stadem, od epidemii świerzbu aż po barana, który nie chciał się trykać, kiedy nagle urwała.

– Przepraszam. Zanudzam cię na śmierć.

– Nie, mów dalej... Chcę wiedzieć wszystko – zapewnił ją.

– Jak to? – Hannah odsunęła się od niego lekko, żeby widzieć jego twarz.

– Po prostu, chcę wiedzieć o tobie wszystko – uśmiechnął się Zach.

– Nigdy nie wiemy wszystkiego o drugim człowieku – powiedziała poważnie.

– Nie. Pewnie wtedy życie stałoby się nudne. W końcu nie mielibyśmy już przed sobą żadnych tajemnic.

– A ty uwielbiasz tajemnice, prawda?

– Chyba wszyscy je uwielbiają?

– A jednak próbujesz odkryć prawdę, jak to ująłeś, o czasie, który spędził tu Aubrey. O czasie spędzonym z Dimity. Czy to nie będzie koniec tajemnic?

– Pewnie tak – przyznał, zdumiony, że Hannah o tym wspomina. – Ale to co innego. Nie mówiłem o Charlesie Aubreyu. Mówiłem o tobie, Hannah, i o... – przerwał raptownie i spojrzał na zegarek. – O cholera! – Podniósł się niezgrabnie.

– Co się stało?

– Dziś sobota. O jedenastej miałem spotkać się na Skypie z Elise.

– Jest już za piętnaście. Nie zdążysz do pubu na czas, nie ma szans. – Hannah wstała i wytarła ręce o siedzenie dżinsów.

– Muszę spróbować. Muszę iść. Przepraszam, Hannah...

– Nie ma za co. Pójdę z tobą – powiedziała po prostu, odwracając się do ogniska, żeby zdusić płomień stopami.

– Naprawdę?

– Chyba że nie chcesz?

– Oczywiście, że chcę. Dzięki.

Pub był praktycznie pusty. Kiedy Zach uruchamiał laptopa, Hannah podeszła do baru przywitać się z Petem Murrayem, który gawędził z jedynym klientem, przycupniętym na wysokim stołku. Nie zdążyli na ostatnie zamówienia, ale Peter mimo wszystko nalał Hannah wódki i postawił przed nią kieliszek.

– Słuchaj, Hannah – usłyszał Zach – jeśli chodzi o twój rachunek... Naprawdę muszę cię prosić, żebyś go uregulowała.

Hannah pociągnęła łyk alkoholu.

– Już niedługo, obiecuję – odparła.

– To samo mówiłaś dwa tygodnie temu. Wiesz, że jestem cierpliwy, ale masz do zapłacenia ponad trzy stówy...

– Potrzebuję jeszcze kilku dni. Czekam na pieniądze, uwierz mi. Jak tylko przyjdą, ureguluję rachunek. Daję ci słowo. Jeszcze tylko kilka dni.

– No dobrze. Ale nie dłużej. Sama rozumiesz, nie ty jedna prowadzisz tu biznes...

– Dzięki, Pete. Jesteś niezastąpiony – uśmiechnęła się do niego, a potem przechyliła kieliszek, wznosząc toast, i opróżniła go.

Hannah zachowała taktowną odległość, gdy Zach, z początku trochę zakłopotany, opowiadał Elise o wszystkim, co się u niego wydarzyło, i słuchał o tym, co wydarzyło się u niej – również o pierwszym kęsie ciasta z dyni. Potem opowiedział jej bajkę na dobranoc, mimo że dla niej było jeszcze za wcześnie na sen. Naśladował głosy i urozmaicał opowieść efektami dźwiękowymi, wiedząc, że zwraca na siebie uwagę. Ale Elise śmiała się do rozpuku, a dopóki ona była zadowolona, nie przejmował się, że ktoś weźmie go za idiotę.

Po wszystkim uśmiechnął się nieśmiało do Hannah, kiedy zbliżała się do jego stolika.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie przepraszaj. Wydaje się urocza. Chociaż nie znam się specjalnie na dzieciach.

– Och, uwierz mi, ja też nie. Przez tych sześć lat nauczyłem się tyle samo co ona.

– No dobrze, powinnam się już zbierać. Jutro czeka mnie potwornie wczesna pobudka, o świcie przyjeżdżają uroczy ludzie z komitetu do spraw certyfikacji sprawdzić, czy farma jest ekologiczna.

– Oj – jęknął rozczarowany Zach. – Ważna sprawa.

– Ważny dzień. – Skinęła głową. – Chcesz najpierw pokazać mi swój pokój? – zapytała.

Zach nie odpowiedział, tylko zerknął na Pete’a Murraya, który stał za rogiem baru najbliżej ich stolika, wycierając całkiem suchą szklankę. Miał nieobecny wyraz twarzy, całą uwagę skupiał na podsłuchiwaniu ich rozmowy.

– Tędy, proszę – powiedział Zach. Zaprowadził ją korytarzem na schody, a potem obejrzał się przez ramię. – No dobrze, mamy przechłapanie. Coś mi się wydaje, że kiedy Pete o czymś wie, to wie o tym cała wieś.

– No to co?

– Sam nie wiem. Odniosłem wrażenie, że nie lubisz, kiedy inni ludzie wiedzą za dużo o twoich sprawach.

– Ale co oni naprawdę wiedzą? Nie przejmuję się, co o mnie pomyślą, jeśli o to ci chodzi. Jesteś całkiem przystojny. Schludny. Nie najstarszy. Dlaczego miałabym kryć się z tym, że cię poderwałam? –

zapytała.

Zadowolony Zach wzruszył ramionami.

– No cóż, jeśli tak to widzisz... – Otworzył drzwi do swojego pokoiku i skrzywił się, czując zatęchłe powietrze. W środku pachniało owcami i lipowym odświeżaczem ustawionym na szafce. Hannah zamknęła za nimi drzwi.

– Przytulnie tu – oceniła, siadając na patchworkowej kapie.

– Czyli mówisz, że to ty poderwałaś mnie? – zapytał Zach.

Hannah wsunęła mu palce za pasek i wciągnęła go na łóżko.

– Nie udawaj, że było na odwrót. Nawet przed samym sobą.

– Gdzieżbym śmiał.

Kochali się niemal bez gry wstępnej, pośpiesznie i gorączkowo. Ogarnęło ich niecierpliwe zapamiętanie, aż w końcu Hannah skrzyżowała stopy na plecach Zacha, wyginając całe ciało w łuk. W kącikach oczu zatańczyły mu czarne punkciki, a kiedy jeszcze próbował złapać oddech, Hannah wysunęła się z jego ciężkich objęć i wciągnęła z powrotem dzinsy.

– Naprawdę muszę już iść. – Zebrała włosy w koński ogon.

– Jeszcze chwilę. Zostań trochę. Zostań na noc.

– Naprawdę nie mogę, Zach. Jutro od samego rana muszę być na nogach. I to w dobrej formie.

– Czyli wpadłaś tylko na szybki numer – Zach przeczesał włosy palcami i uśmiechnął się do niej.

– Nie ma za co. – Hannah zerknęła na niego, a potem pochyliła się i pocałowała go w usta. – Do zobaczenia. I dzięki, właśnie tego było mi trzeba – uśmiechnęła się do niego figlarnie i zostawiła go tam, w rozchełstanej koszuli z urwanymi nitkami w miejscu dwóch guzików.

– Nawet nie zapytała mnie o zdanie – mruknął do siebie.

Zastanawiał się przez chwilę i doszedł do wniosku, że jego potrzeby były bardzo zbliżone.

Następnego popołudnia Zach wybrał się do Dimity. Nie był pewny, czy zgodzi się mu pozować. Chciał spróbować uchwycić ślad młodzieńczego piękna, które wciąż kryło się w jej pomarszczonej twarzy, i wyraz jej oczu, zapatrzonych w inne miejsca, inny czas. Z drugiej strony była przyzwyczajona do talentu Aubreya, więc reakcja

na jego rysunek mogłaby zdusić tę iskrę kreatywności, którą pielęgnował w sobie z takim wysiłkiem. Spojrzał w dół z boku na zabudowania Blacknowle wyłaniające się zza wzgórza, zakończone brzydkim szeregowcem z lat sześćdziesiątych. Jego wzrok przykuł przeblask koloru za płotem najbliższego domu. Tym razem natychmiast go rozpoznał. Blady róż. Zza ogrodzenia widział głowę i ramiona potężnego mężczyzny, wysokiego i krzepkiego, z grubym karkiem i szerokimi barkami. Miał długie, brązowe włosy ściągnięte z tyłu głowy i rozczochraną brodę skrywającą podwójny podbródek. James Horne, jeden z braci, którzy cieszyli się tak złą sławą w Blacknowle. Rozmawiał z kimś ukrytym za płotem i najwyraźniej chodziło o coś poważnego. Twarz mężczyzny wykrzywiała złość, a przy niektórych słowach dźgał powietrze palcem. Mimo to wcale nie było go słychać. To była kłótnia prowadzona szeptem.

Zach wiedział, że nie powinien na to patrzeć, w końcu James Horne mógł spojrzeć w górę i go zauważyć. Niemądrze byłoby przerywać tę rozmowę, więc przeszedł obok najszybciej, jak potrafił, próbując sprawiać wrażenie, jakby bez reszty pochłaniał go asfalt na drodze. James Horne był potężny i nie wydawał się sympatyczny. W tym samym momencie kłótnia dobiegła końca, a mężczyzna w bladym swetrze odwrócił się, odprowadzając wzrokiem swojego rozmówcę, niewidocznego za ogrodzeniem. Zach patrzył prosto przed siebie, mijając dom w drodze na ścieżkę do Strażnicy. Kiedy odszedł na bezpieczną odległość, zerknął przez ramię i zaskoczony zobaczył Hannah idącą szybkim krokiem w przeciwnym kierunku, z pięściami zaciśniętymi gniewnie przy bokach. Zach zawrócił i podbiegł, żeby ją dogonić.

– Hannah, zaczekaj!

Odwróciła się. Wyraz jej twarzy zszokował Zacha. Wyglądała na wściekłą i przestraszoną. Na jego widok zamrugła, ale chociaż jej usta drgnęły, nie była w stanie wykrzesać z siebie uśmiechu.

– Zach! Co ty tu robisz?

– Szedłem właśnie do Dimity. Wszystko w porządku? Co się tu stało?

– Tak, wszystko dobrze. Po prostu... Wracasz do pubu?

– Nie. Idę do Dimity, już ci mówiłem... Ale mogę wrócić z tobą, jeśli...

– Dobrze. Chodźmy.

– Okej. To był James Horne, prawda?

– Kto?

– Facet, z którym rozmawiałaś. To był James Horne.

– Widzę, że poznałeś już wszystkich w okolicy – mruknęła, idąc obok niego szybkim krokiem.

– Kilka dni temu był w pubie, trochę dał się Pete'owi we znaki. A właściwie jego brat. I wydawało mi się, że widziałem go na tej łodzi rybackiej, na którą patrzyłaś wtedy z nabrzeża – powiedział Zach.

Hannah skrzywiła się, ale nie spojrzała na niego.

– Może i widziałeś. W końcu jest rybakiem.

– Wyglądało, jakbyście przed chwilą się kłócili. – Zach musiał przyspieszyć, żeby wytrzymać tempo, jakie narzuciła Hannah. Kobieta zignorowała jego komentarz. – Hannah, zaczekaj! – Złapał ją za ramię i zmusił, żeby się zatrzymała. – Na pewno wszystko w porządku? Czy on... czy on ci groził? Jesteś mu winna pieniądze albo coś takiego?

– Nie, nie jestem, do jasnej cholery! A gdyby tak było, to raczej nie przyszedłabym do niego do domu, prawda?

– W porządku! Przepraszam.

– Po prostu... zapomnij o tym, Zach. To nic takiego. – Ruszyła dalej.

– Przecież widzę, że coś się stało... – zaczął Zach, ale umilkł pod jej spojrzeniem. – W porządku, okej. Próbowałem ci pomóc, to wszystko.

– Jeśli chcesz mi pomóc, to postaw mi kufel piwa i nie martw się Jamesem Hornem.

– Załatwione! Jak poszedł audyt dziś rano?

Hannah wreszcie zwolniła. Doszli już prawie Pod Szmuglerską Latarnię i zatrzymała się, żeby spojrzeć na morze i na swoją farmę. Na policzkach miała rumieńce, a jej nozdrza wydymały się lekko, kiedy uspokajała oddech. Przez chwilę wydawała się zatopiona w myślach, ale potem posłała mu zadowolony uśmiech.

– Dobrze – powiedziała i weszli do środka.

Przy piwie opowiedziała mu o przebiegu inspekcji, ale Zach chwilami nie mógł się do końca skupić na jej słowach. Zastanawiał się, co łączy ją z Jamesem Hornem i dlaczego nie chciała o tym mówić; szukał w myślach powodów, dla których mogli się pokłócić. Przypomniał sobie, jak czekała na końcu skalnego występu, kiedy łódź Horne'a – bo teraz miał pewność, że to była jego łódź – wolno przemierzała zatokę. Przed oczami stanął mu tamten błysk światła, jakby ktoś na pokładzie podniósł lornetkę. Jakby Hannah pełniła rolę znacznika, jakby pokazywała, gdzie kończy się ta zanurzona platforma. Martwiły go te myśli, ale nie mógł się ich pozbyć. Czuł, jak rodzą się w nim silne, paskudne podejrzenia.

Dopiero kilka godzin później Zach złożył zaplanowaną wizytę w Strażnicy. Tak jak obiecał, nie zadał Dimity żadnego pytania o Aubreyów. Zamiast tego rozmawiali o jego przeszłości, karierze i rodzinie, więc nie mogli uniknąć tematu jego pochodzenia. Pytając o babcię Zacha, Dimity przybrała powściągliwy, niemal tajemniczy ton.

– Twoja babka spędzała tu urlop latem 1939 roku, prawda? Widzisz, tamtego lata Charles i ja wreszcie się zesłiśmy. Nie sądzisz, że wiedziałabym, gdyby w jego życiu była inna kobieta? – Chwyciła nitkę wystającą z rękawiczki między kciuk a palec wskazujący.

– Tak, pewnie masz rację – zapewnił ją Zach, chociaż pomyślał, że taki mężczyzna jak Charles Aubrey pewnie bez trudu potrafił wmówić kobiecie, że nie spotyka się z żadną inną.

– Jaki był twój dziadek? Był silnym mężczyzną?

– Tak, chyba tak.

– Dość silnym, żeby zatrzymać przy sobie kobietę?

Zach przywołał w pamięci obraz dziadka, który po niedzielnym lunchu przez wiele godzin siedział z gazetą na kolanach i nie pozwalał nikomu na nią spojrzeć, dopóki nie rozwiązał krzyżówki, mimo że oczy mu się zamykały, a głowa opadała sennie. Próbował sobie przypomnieć jakąś sytuację, w której dziadkowie okazali sobie czułość i ciepło, ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej uświadamiał sobie, jak rzadko przebywali nawet w tym samym pokoju. Kiedy dziadek siedział w salonie, babcia była w kuchni. Kiedy wychodził do ogrodu, ona szła do garderoby, popatrzeć na obraz Aubreya. Przy obiedzie siedzieli po

przeciwnych stronach stołu długiego na dwa metry. Ale przecież nie mogło tak być zawsze? Chyba potrzebowali sześćdziesięciu lat małżeństwa, żeby tak się od siebie oddalić?

– Powiedz mi coś – jego rozmyślania przerwał głos Dimity. – Skoro twój dziadek naprawdę sądził, że jego żona miała romans z moim Charlesem, to dlaczego się z nią ożenił?

– Och, chyba dlatego, że była w ciąży. Musieli przyspieszyć ślub.

– W takim razie musiał uważać to dziecko za swoje.

– Na początku tak. Pewnie sądził, że jest jego. Chyba że postanowił zachować się... honorowo.

– Czy takim był człowiekiem? Honorowym? Tacy mężczyźni to rzadkość. Prawdziwa rzadkość.

– Nie, to chyba nie ten typ... ale mógł to zrobić w imię zasad moralnych, rozumiesz.

– Czyli chciał ją ukarać? – zapytała Dimity.

– No cóż, nie do końca...

– Ale właśnie taki byłby efekt. Gdyby o wszystkim wiedział, i gdyby ona wiedziała, że on wie. Nie było lepszego sposobu, by do końca życia przypominać jej o tym każdego dnia, by ją tym torturować, niż ożenić się z nią.

– No cóż, jeśli to był jego plan, to nie wypalił. Nigdy nie ukrywała, ile radości sprawiają jej te skandaliczne plotki.

– Och, widzisz, taki był Charles. Jeżeli... – Dimity urwała. Twarz kobiety przeszył grymas bólu, a głos uwiązł jej w gardle. – Jeżeli go kochała, to była z tego dumna, nie wstydziła się swojego uczucia. – Na moment zwiesiła głowę, masując wnętrze jednej dłoni kciukiem drugiej. – Więc... może tak było. Może jednak go kochała.

– Ale jestem pewny... – Zach ujął jedną z niespokojnych dłoni Dimity i uścisnął ją. – Jestem pewny, że to nie umniejszyło jego miłości do ciebie. Nawet jeśli go kochała... mogło to być nieodwzajemnione uczucie. Mógł mieć ją za nic – powiedział, chociaż poczuł się nielojalny, mówiąc tak o babci, którą kochał.

Uderzyły go słowa, że Aubrey należał do mężczyzn, którzy budzili w kobietach dumę. Spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz Ali była dumna z niego – dumna, że jest jego kobietą, jego żoną – ale

zamiast tego zobaczył w myślach jej rozczarowaną twarz. Pamiętał, jak wolno wypuszczała powietrze przez nos, kiedy opowiadał jej o jakimś niefortunnym zdarzeniu albo niewykorzystanej szansie; pamiętał zmarszczkę między jej brwiami, kiedy na niego patrzyła. Nagle ze zdumieniem uświadomił sobie, że ten sam wyraz twarzy widział u matki, zanim odeszła. Kiedy dziadek krytykował jego ojca za jakąś błahostkę; kiedy we trójkę spacerowali po okolicach Blacknowle, a tata bez powodzenia szukał odpowiedzi na swoje pytania. Czy w takim razie miał to we krwi? Czy przy takich mężczyznach jak Aubrey mężczyźni pokroju Gilchristów zawsze wydawali się gorsi? Zacha dręczyła myśl, że nieuchronnie rozczaruje wszystkie kobiety w swoim życiu, w tym także Hannah.

– Nie przyniosłeś dziś żadnych portretów? – zapytała Dimity, kiedy Zach zaczął się zbierać do wyjścia. – Moich portretów? – W jej oczach pojawiło się wyczekiwanie.

– Przyniosłem, ale myślałem, że tym razem nie chcesz o tym rozmawiać.

– Och, obrazy chcę oglądać zawsze. Czuję się wtedy, jakby znów był obok mnie.

Zach przetrząsnął torbę i wyjął z niej najświeższy komplet wydruków. Kilka rysunków i jeden duży obraz olejny z tłumem postaci stojących w pyle podnoszącym się z ziemi. Za nimi rozciągały się niebiesko-czerwone góry ponad przestronną połacią zieleni, bieli i turkusów. Ludzie ubrani byli w luźne szaty, a część kobiet miała zasłonięte twarze, w których błyskały tylko oczy. W rogu stała kobieta z włosami spiętrzonymi niedbale na głowie i wieloma sznurami paciorków na szyi, spokojna i nonszalancka, zwrócona przodem do widza. Nie zasłaniała twarzy, a jej oczy były mocno obrysowane kredką, niemal kocie. Miała na sobie błękitny kaftan, wydęty na ciepłym wietrze, który widz niemal czuł na własnym ciele. Materiał przywierał do jej ud i bioder, podkreślając ich kształt. To nie była Mitzy, którą Zach znał z wcześniejszych szkiców, ani Mitzy, która stała przed nim teraz, tylko jej baśniowa wersja; wizja ze snów; pustynna księżniczka, której twarz przykuwa wzrok w tłumie ludzi niczym samotny kwiat na polu trawy. Obraz nosił tytuł *Berberijski rynek*. Osiem lat wcześniej został

sprzedany w Nowym Jorku za najwyższą cenę ze wszystkich dzieł Aubreya. Łatwo było zrozumieć dlaczego. Ten obraz był jak okno do innego świata. Zach podał Dimity wydruk. Wzięła go do ręki z lekkim okrzykiem, a potem uniosła kartkę do twarzy i odetchnęła głęboko, jakby chciała poczuć zapach pustyni.

– Maroko – powiedziała z błogim uśmiechem.

– Tak – potwierdził Zach. – Mam więcej twoich portretów z Maroka, jeśli chciałabyś je obejrzeć... Nie masz ich? W książkach albo w formie reprodukcji? Własnych egzemplarzy?

Dimity pokręciła głową.

– Uważałam, że nie wypada mi podziwiać samej siebie. Pewnie wydawało mi się to próżne. A poza tym to nigdy nie jest to samo co prawdziwy obraz i świadomość, że twoje ręce dotykają miejsc, których wcześniej dotykał on... Nie widziałam tego obrazu, odkąd powstał. Nigdy też nie zobaczyłam ukończonej wersji.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Charles... – Jakiś cień zmaćił jej radość. – Charles pojechał dokończyć go do Londynu, kiedy moja część była już gotowa. Miał tam inne... sprawy do załatwienia. – Przyjrzała się uważnie swojemu portretowi i znów się uśmiechnęła. – Wiesz, to był pierwszy raz... – zdradziła konspiracyjnym szeptem.

– Tak?

– Wtedy pierwszy raz... byliśmy razem. To znaczy jak mąż i żona. Tak, jak było nam pisane. Pierwszy raz zrozumieliśmy, jacy jesteśmy zakochani... Nigdy tam nie wróciłam. Do *Maroc*. Niektóre wspomnienia są zbyt cenne, żeby narażać je na ryzyko, rozumiesz? Chcę, żeby na zawsze pozostały takie, jak widzę je teraz, w mojej głowie.

– Tak, rozumiem. – Zacha zaskoczyła jej francuska wymowa *Maroc*. – Ile czasu tam spędziliście?

– Cztery tygodnie. Najszczęśliwsze cztery tygodnie mojego życia – powiedziała.

Dimity zamknęła oczy, bo otaczało ją tak oślepiające światło, że wszystko wokół żarzyło się czerwienią. To było jej pierwsze wrażenie, kiedy zobaczyła pustynię, pierwsze, co zapamiętała. To i zapach, a nawet smak powietrza. Zupełnie innego powietrza niż w Dorset; inaczej

muskało wewnątrz jej gardła i nosa; inaczej wypełniało jej płuca i mierzwiło włosy. Czowała, jak upał pali jej skórę, chociaż siedziała w domu, przy swoim kuchennym stole, wciskając dłonie w blat pokryty lepkiem linoleum. Szukała właściwych słów. Słów, którymi zdołałaby opisać to wszystko, co tam zobaczyła, poczuła i posmakowała; które tchnęłyby życie w jej wspomnienia. Powoli nabrała powietrza, a z piętra dobiegło ją echo gniewnych słów Valentyny: „Maroko? A gdzie do cholery jest Maroko?”. Zobaczyła oczy matki, przekrwione i oszołomione, kiedy usiłowała obliczyć, ile warta jest taka podróż. „I jak, u licha, do tego doszło?” Dimity zastanawiała się, czy to jej matka przeklęła tę podróż? Czy to zazdrość i mściwość Valentyny sprawiły, że najszcześniejsze cztery tygodnie jej życia były zarazem najsmutniejsze?

Dimity czekała.

Czekała na powrót Charlesa Aubreya i jego rodziny, a przez to czekanie zima wydawała jej się dłuższa niż kiedykolwiek. Spędziła ją w samotności. Wilf coraz częściej pracował z ojcem i braćmi, dlatego rzadko miał czas na spotkania. Kiedy się spotykali, był czuły i oddany jak wcześniej, ale przyjmowała go rozdrażniona i nieobecna, więc często odchodził sfrustrowany. Dimity włóczyła się po klifie i plaży, buszowała w żywopłotach. Zbierała całe kosze gładkich, białych pieczarek łąkowych i sprzedawała je za kilka pensów, chodząc od drzwi do drzwi. Wałęsała się po wsi, spragniona towarzystwa innych ludzi, ale teraz jeszcze wyraźniej dostrzegała zimne, lekceważące spojrzenia mieszkańców Blacknowle. Nikt nie zwracał na nią takiej uwagi jak Charles.

Przyjechali później niż zwykle, dopiero na początku lipca. Przez ostatnie dwa tygodnie czerwca Dimity zachodziła do Littlecombe cztery razy dziennie. Strach i niepokój ciążyły jej w żołądku jak kamień, nie mogła jeść ani skupić myśli. Valentina obrzucała ją przekleństwami. Któregoś dnia, kiedy Dimity wygotowała wodę w garnku z ziemniakami, tak mocno popchnęła córkę na ścianę, że rozbiła jej głowę. Potrząsała ją za ramiona. Wmuszała w nią odwar z kory dębu, żeby nabrała apetytu – obojczyki Mitzy sterczały ostro ponad żebrami, a policzki straciły kolor i kształt.

– Przed tą zimą nie wyglądałaś na swoje lata. Lepiej zatrzymać świeżość, niż ją utracić. Żaden mężczyzna cię nie zechce, jeśli zbyt szybko pożegnasz się z młodością. – Valentina z grymasem niezadowolenia przytknęła kubek gorzkiego odwaru do niechętnych ust córki. – Ostatnio pyta o ciebie Marty Coulson. I co ty na to? – rzuciła szorstko. Miała na tyle przyzwoitości, żeby odwrócić wzrok, kiedy Dimity zrozumiała, o czym mowa, a jej oczy rozszerzyło przerażenie. Mitzy zakrztusiła się, ale nie mogła wydusić z siebie słowa. Valentina ciągnęła ostro: – Wszyscy musimy zapłacić za swoje miejsce na tym świecie, Mitzy. Nie urodziłaś się z tą twarzą na darmo, a jeśli ten twój artysta nie zjawi się w tym roku... Sama rozumiesz, że będziesz musiała

znaleźć jakiś inny sposób, żeby nią zarabiać, prawda?

Tego ranka, kiedy wreszcie przyjechali, było ciepło i jasno. Dimity siedziała na bramie pastwiska na zachód od Littlecombe, gdy zauważyła nad ścieżką kredowobiały obłok – chmurę pyłu, zwiastującą czyjś przyjazd. Kiedy niebieski samochód stanął przed domem, ogarnęła ją tak obezwładniająca ulga, że osunęła się z bramy i uklękła na zakurzonej ziemi. Zalała ją fala radości, więc nie była zaskoczona, czując łzy na policzkach. Ocierając je brudnymi rękami, ruszyła w stronę domu. Zobaczyła, jak Élodie i Delphine wybiegają przez bramę ogrodową w kierunku plaży z jeszcze jedną dziewczynką, której nie знаła. Élodie była dużo wyższa, a Delphine miała znacznie dłuższe włosy.

Dimity widziała w tym dowód na to, ile zobaczyły i przeżyły od czasu ostatniej wizyty, podczas gdy ona pozostała taka sama, niezmieniona. Poczekała, aż ich smukłe sylwetki znikną w dole zbocza, a potem podeszła do otwartych drzwi kuchennych. Krew huczała jej w uszach tak mocno, że prawie nic nie słyszała.

W tym momencie z domu wyszła Celeste, a na jej widok zatrzymała się w miejscu. Zaciśnęła usta i przez chwilę Dimity miała wrażenie, że widzi w oczach Marokanki błysk rozdrażnienia, a później pewnej rezygnacji, zanim kobieta uśmiechnęła się do niej.

– Mitzy. A woda nie zdążyła się nawet zagotować – powiedziała, ujmując Dimity za ramiona, i pocałowała ją w oba policzki. – Jak się miewasz? Jak twoja matka?

– Przyjechaliście tak późno – wymamrotała Dimity w odpowiedzi, a Celeste rzuciła jej lekko zdziwione spojrzenie.

– Och, zastanawialiśmy się, czy w ogóle przyjeżdżać w tym roku. Planowaliśmy wynająć zamiast tego dom we Włoszech albo w Szkocji. Ale dziewczynki chciały mieć plażę, a Charles tak ciężko pracował, że w końcu było za późno, żeby zorganizować coś innego, więc... oto jesteśmy. – Nie zaprosiła Dimity do środka, nie zaproponowała jej herbaty. – Pewnie nie zostaniemy na całe lato. Wszystko zależy od pogody. – Z samochodu wysiadł objuczony torbami Charles, a Dimity odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

– Mitzy! Jak się miewasz, kochanie? Już przyszedł do Delphine? – Mijając ją, przystanął, żeby ucałować ją przelotnie w policzek, a potem

ruszył na piętro z bagażami.

Dimity zamknęła oczy i przycisnęła dłoń do miejsca, którego dotknął wargami. Od jego pocałunku ścisnęło ją w dołku z przyjemności. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Celeste przygląda jej się bacznie. Przez twarz kobiety przemknęło jakieś uczucie, jakieś niejasne podejrzenie. Dimity spłonęła rumieńcem i chociaż gorączkowo szukała tematu do rozmowy, miała pustkę w głowie.

– No cóż – odezwała się w końcu Celeste. – Dziewczynki poszły na plażę. Delphine zaprosiła przyjaciółkę na ten tydzień. Może do nich pobegniesz?

Dimity posłuchała jej, chociaż od razu stało się jasne, że tym razem będzie inaczej, skoro do ich trójki dołączyła przyjaciółka Delphine. Nazywała się Mary. Miała jasne włosy uczesane w bardzo dorosłą fryzurę i błękitne oczy, które zalśniły rozbawieniem na widok znoszonych ubrań Dimity i jej bosych stóp. Mary patrzyła na nią tak samo jak dzieci we wsi, więc mimo życzliwego powitania Delphine, Dimity od razu poczuła się niemile widziana. Mary była ubrana w bluzkę z delikatnego malinowego jedwabiu, który trzepotał na wietrze. Nosiła błyszczącą biżuterię, a usta miała umalowane szminką.

– Cześć, Mitzy! – zawołała Élodie, robiąc wokół nich gwiazdy na piasku. – Zobacz, jaką Mary ma bransoletkę, widziałaś kiedyś coś piękniejszego?

Mary wyciągnęła rękę z wyniosłym uśmiechem, a Dimity przyznała, że bransoletka jest bardzo ładna. Złapała spojrzenie Delphine i zobaczyła, jak na policzki przyjaciółki wstępuje rumieniec, zobaczyła, jak wierci się z zakłopotaniem. Przy Mary nie chciała być dziewczyną, która szuka ziół w żywopłotach i uczy się gwary z Dorset. Przy Mary chciała być dziewczyną, która wyjdzie za mąż za gwiazdę filmową. Dimity skłamała, że ma coś do zrobienia, i ruszyła do domu. Odwracając się, usłyszała, jak jasnowłosa koleżanka mówi wyraźnie zarozumiałym tonem:

– Ojej, myślicie, że ją wystraszyłam? Może nigdy nie widziała bransoletki z zawieszkami?

– Nieładnie tak mówić – napomniała ją Delphine, ale niezbyt ostro.

– Tatuś powiedział, że ona przez całe życie nigdy nie wyjechała

z tej wsi. Wyobrażasz sobie, jakie to musi być nudne? – powiedziała Élodie.

– Przestań się popisywać, Élodie! – krzyknęła Delphine, a Dimity uciekła, żeby nie słyszeć już nic więcej.

Dziewczynki trzymały się od siebie z daleka przez cały tydzień i chociaż Dimity płonęła z niecierpliwości i marzyła o wizycie w Littlecombe, powstrzymywał ją strach i gniew po chłodnym powitaniu ze strony Celeste; poza tym Delphine była zajęta. Ale widywała ich grupkę na plaży i we wsi, a kilka razy na Farmie Południowej, gdzie flirtowały z Christopherem Brockiem, synem farmera. Mary kręciła włosy na palcu i mizdrzyła się do niego jak głupia, ale to Delphine umiała zawrócić mu w głowie jednym słowem albo spojrzeniem. Za każdym razem, kiedy się do niego odezwała, zwieszał głowę z nieśmiałym uśmiechem, a raz Dimity stała dość blisko, żeby zauważyć, jak się rumieni. Przyjaciółka Delphine roześmiała się wtedy głośno, starając się ukryć, jak jej przykro, ale Dimity uśmiechnęła się w duchu, widząc, jak Mary musi przełknąć tę gorzką pigułkę.

Po ośmiu dniach Dimity zaczęła rozważać kolejną wizytę; wiedziała, że Mary prawdopodobnie już wyjechała. Któregoś popołudnia stała w wychodku, otoczona słodkim, gryzącym odorem i bzyczeniem owadów. Rwała gazetę na kawałki, które wieszała na haczyku, i układała gałązki bzu, mające odstraszać muchy. Nagle usłyszała, jak Valentina woła ją przez tylne drzwi. Tęskniła za łazienką w Littlecombe z rezerwuarem wysoko na ścianie, mosiężnym łańcuszkiem spłuczki i miękkimi rolkami papieru toaletowego, bez deski z szorstkiego drewna i śmierdzącej gnojówki. Tam nie trzeba było sprawdzać, czy pod pokrywą na nieuważnych gości nie czają się tłuste, brązowe pająki. Valentina znów ją zawołała.

– Słucham, mamó?! – odkrzyknęła Dimity, zatraskując za sobą drzwi wychodka, i przeszła przez zagracone podwórko. Ku jej zaskoczeniu, zza rogu domku wyłoniły się Élodie i Delphine, rozglądające się wokół ciekawie. Dimity stanęła jak wryta. – Co wy tu robicie? – zapytała przerażona.

Dziewczynki zatrzymały się, a Delphine posłała jej niepewny uśmiech.

– Przyszliśmy po ciebie... – wyjaśniła. – Bo... tak długo cię nie było. To znaczy, u nas w domu. Pomyślałam sobie, że może poszłybyśmy znów razem po zioła?

Dimity zdziwiła jej odpowiedź, bo obie wiedziały, dlaczego ich nie odwiedzała. Okazało się, że była przyjaciółką na czarną godzinę, dobrą wtedy, gdy nie znalazł się nikt lepszy. Poczuli ukłucie złości na Delphine.

– Mam za dużo pracy. Wiesz, dla mnie to nie są wakacje. Muszę pomagać mamie i wykonywać swoje obowiązki tak jak zawsze.

– No jasne. Ale...

– Pewnie teraz trochę wam się nudzi, skoro wyjechała wasza koleżanka Mary – dodała.

– O tak. Strasznie – przyznała Élodie.

Dimity popatrzyła na młodszą dziewczynkę, na jej ładną, nadąsaną buzię. Nie było w niej ani śladu urazy czy szyderstwa. Po prostu stwierdziła fakt, bo nie zrozumiała intencji Dimity. Delphine zarumieniła się. Wyraźnie było jej przykro.

– Nie chciałam tak cię zostawić! Naprawdę. Ale z Mary było mi trudno, bo musiałam się nią zajmować. Była moim gościem i naprawdę chciała mieć nas tylko dla siebie. Chyba to rozumiesz, prawda? – powiedziała. Dimity poczuła, że jej złość słabnie, ale nie była jeszcze gotowa wybaczyć przyjaciółce. – To był tylko tydzień – ciągnęła Delphine. – Już pojechała do domu, a my mamy jeszcze całe lato.

Dimity rozważała te przeprosiny i nie była pewna, jak na nie zareagować. Pierwszy raz w życiu ktoś ją przeprosił. Élodie westchnęła i wsunęła dłonie do kieszeni, kołyszając niecierpliwie biodrami.

– Nie możemy wejść na podwieczorek? – zapytała. – Czy twoja mama coś zrobiła? Wyglądała, jakby miała zły humor.

– Taka już jest – odpowiedziała krótko Dimity.

W którymś momencie w ciągu minionych dwóch lat przestała udawać, że Valentina jest ciepłą, troskliwą matką. Nie miała ochoty im wyjaśniać, jak absurdalny był pomysł, że mogłaby zaprosić je do domu, posadzić przy stole w Strażnicy i poczęstować podwieczorkiem, który przygotowała Valentina. To była czysta fikcja.

– To wasza ubikacja? – zapytała Delphine, żeby przerwać

przedłużającą się ciszę. Powiedziała to wesołym, zaciekawionym głosem, a Dimity poczuła, jak wzbiera w niej fala gorąca. Fala upokorzenia i złości.

– Tak – wykrztusiła z trudem. „Latem śmierdzi, a w zimie można w niej zamarznąć, są tam pająki i muchy, a gazeta zostawia na skórze ślady farby drukarskiej, kiedy się nią podetrzesz, i nie ma spłuczki ani czystej wody, która zabrałaby ze sobą wszystkie nieczystości – wszystkie tu leżą i parują, a każdy może je zobaczyć. Tak wygląda mój cholerny wychodek. Tak wygląda moje cholerne życie. Dla mnie to nie są wakacje”. Ale nie wypowiedziała tych słów na głos.

– Och, nie chciałam... – policzki Delphine znów się zaróżowiły; rozejrzała się z lekkim uśmiechem, zbита z tropu. – W porządku – powiedziała wreszcie. – Widać, że jesteś dziś bardzo zajęta. To może jutro? Poszukamy razem ziół?

– Nie jestem ci już do tego potrzebna. Znasz rośliny wystarczająco dobrze.

– Ale we trójkę jest dużo zabawniej.

– Ja wcale tak nie uważam – zaznaczyła Élodie.

– Właśnie, że uważasz. – Delphine szturchnęła siostrę i spojrzała na nią groźnie.

Élodie przewróciła lekko oczami.

– Mitzy, proszę, chodź z nami – wydukała posłusznie. – Naprawdę. Sprawiałabyś nam ogromną przyjemność.

– Może. Jeśli uda mi się wyrwać – powiedziała Dimity.

– Będę czekała na ciebie w domu, dobrze? Chodź, Élodie.

Siostry odeszły przez podwórko.

Do rana gniew Dimity stopniał i z radością uciekła od Valentyny, żeby odwiedzić Aubreyów. Ona i Delphine jeszcze przez chwilę czuły się skrepowane swoim towarzystwem, ale później uśmiechnęły się do siebie i znów wszystko było jak dawniej. Pływały w morzu, chociaż woda była zimniejsza niż zazwyczaj, zbierały zioła i chodziły do sklepu we wsi po cukierki. To właśnie w tym tygodniu dwie rzeczy zaczęły niepokoić Dimity. Po pierwsze, zobaczyła, jak Charles i Celeste rozmawiają z parą turystów we wsi. Widziała, jak rozmawiają, i jak ta obca kobieta obnosi się ze swoim zainteresowaniem Charlesem jak

z jaskrawoczerwoną wstążką, żeby wszyscy je dostrzegli. A po drugie, zdała sobie sprawę, że Charles widział ją kilka razy tego lata, ale jak dotąd nie chciał jej narysować. Valentina pytała już o pieniądze, ale Dimity chodziło o coś innego. Tęskniła za jego niezmaconą uwagą, za uczuciem, jakie w niej wzbudzał, kiedy się jej przyglądał, kiedy ją szkicował. Nigdy nie czuła się bardziej rzeczywista, bardziej żywa. Na myśl, że z jakiegoś powodu już tak nie będzie, żołądek ścisnęła jej panika. Instynktownie wiedziała jednak, że nie może go o to pytać. Nie powinna pytać.

Gdy tylko znalazła się w jednym pokoju z Charlesem Aubreyem, śledziła go wzrokiem i stawiała mu na drodze, próbując przybrać ładną pozycję. Targała sobie włosy, przygryzała wargi i szczypała się w policzki jak Valentina przed przyjściem gościa. I chociaż Charles zdawał się tego nie zauważać, kilka razy przyłapała Celeste na tym samym badawczym spojrzeniu co pierwszego dnia, a wtedy musiała szybko odwracać głowę, żeby się przed nią nie zdradzić. Ale najczęściej Charles wychodził z domu, sam, zanim Dimity zdążyła pojawić się w Littlecombe.

Któregoś dnia zdesperowana wstała przed świtem i czekała na podjeździe, żeby złapać go, zanim zniknie. Czekala w trawie mokrej od rosy, czując ją na bosych, zziębniętych stopach, a jej serce biło tylko dla niego. Wyszedł, ubrany do malowania, nim słońce wzniosło się choćby o centymetr ponad horyzont, a wtedy stanęła przed nim z uśmiechem.

– Mitzy! – w jego ścisłym głosie słychać było uśmiech, nutę radości, a Dimity zaszumiało w głowie ze szczęścia. – Witaj, kochanie. Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała, kiwając głową z zapamiętaniem.

– No proszę. A one jeszcze nawet nie wstały. Wszystkie śpią jak susły. Na twoim miejscu dałbym Delphine jeszcze jakąś dobrą godzinę, zanim zapukasz do drzwi. Mówiła mi, że niedługo znów wybieracie się po zioła, czy to prawda? – Dimity mogła tylko przytaknąć, bo nie była w stanie wykrztusić ani słowa. – Świetnie. W takim razie bawcie się dobrze. *À bientôt*. – Ruszył wzdłuż podjazdu, zapalając papierosa; stawiał długie, ospałe kroki.

Dimity usłyszała za sobą szcęk zasuwki i ciche skrzypnięcie

otwieranych drzwi. Odwróciła się i zobaczyła na ścieżce Celeste. Szła do niej, wciąż ubrana w koszulę nocną. Jej długie, czarne włosy opadały na szmaragdowozielony szal, który narzuciła na ramiona. Nie miała makijażu, ale w promieniach porannego słońca wyglądała jednocześnie wspaniale i przerażająco, jak prawdziwa królowa elfów. Na twarzy kobiety malował się smutek i zdecydowanie, ale Dimity znów uderzyło jej piękno. Zrobiła krok w tył, a wtedy Celeste uniosła dłonie, żeby ją uspokoić.

– Mitzy, zaczekaj, proszę. Chciałabym z tobą porozmawiać – powiedziała łagodnym tonem.

– Ja tylko... – Dimity nie dokończyła. Nie miało znaczenia, jaką poda wymówkę. Celeste przejrzałaby jej kłamstwo.

– Posłuchaj mnie, Dimity... Wiem, jak się czujesz, uwierz mi, dobrze to wiem. Kiedy skupia na tobie uwagę, masz wrażenie, jakby świeciło słońce, prawda? Ale kiedy przeniesie ją na coś innego... wtedy wydaje ci się, że słońce zgasło. Świat staje się zimny i ciemny. Przez dwa lata malował i rysował mnie tak jak ciebie. A ja zakochałam się w nim i nigdy nie przestałam go kochać. Wierzę, że nadal mnie kocha, nadal chce ze mną być i bardzo kocha nasze córeczki. Jesteśmy rodziną, Dimity, a rodzina to świętość. Słyszysz, co do ciebie mówię? On już o tobie zapomniał. Nie ma cię w jego sztuce ani w jego myślach. A ty musisz zapomnieć o nim. Bo kiedy jego emocje mijają, nie da się tego odzyskać. Mówię ci to tylko dla twojego dobra. Los... los przeznaczył cię komuś innemu, nie Charlesowi. Rozumiesz? – Celeste owinęła się ściślej szalem, a Dimity dostrzegła gęsią skórkę na jej ramionach. Nic nie odpowiedziała. Celeste pokręciła lekko głową. – Jesteś jeszcze taka młoda, Mitzy, jesteś jeszcze tylko dzieckiem...

– Nie jestem dzieckiem! – zawołała Dimity ze wzrokiem wbitym w stopy.

Krew wrzała jej w żyłach, bo każde słowo Marokanki budziło w niej sprzeciw.

– W takim razie powiem ci coś jak kobieta, a ty wysłuchaj mnie jak kobieta i usłysz prawdę w tym, co mówię. Takie jest życie, taka jest miłość. Czasem łamie ci serce i umierasz przez nią, głęboko w środku. – Zacisnęła dłoń w pięść i przycisnęła ją mocno do piersi. – Ale to mija,

a potem znów jesteś sobą. Ale dopiero wtedy, kiedy spojrzysz prawdzie w oczy i zrozumiesz, co się stało. Musisz zapomnieć o tym, czego nie możesz mieć. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale musisz. Przyjdź później i baw się z moimi córkami. Z moją Delphine, która cię kocha. Ale teraz odejdz, jeśli chcesz. Współczuję ci, Mitzy. Szczerze ci współczuję. Nie byłaś na to gotowa, teraz to widzę. – Celeste jeszcze przez chwilę patrzyła na Dimity smutnym, poważnym wzrokiem, a potem odwróciła się w stronę domu.

Ale Dimity nie mogła wrócić i spotkać się z Delphine, ani tego dnia, ani następnego. Nie mogła, bo bała się, że Celeste powiedziała prawdę i Charles już nigdy nie będzie chciał jej rysować. Kiedy o tym myślała, ogarniało ją dziwne drżenie, jakby stała na szczycie klifu w wietrzny dzień, a ziemia zaczęła jej się usuwać spod nóg. Nagle rozumiała, że mogą zniknąć. Zniknąć z jej życia z taką samą łatwością, z jaką się w nim pojawili, i zostawić ją bez żadnych szans na ratunek. Byli jak olśniewające światło, które rzucało cień na wszystko wokół, a najjaśniejszym blaskiem lśnił Charles.

Kiedy trzeciego dnia zdejmowała pranie, jej wzrok przykuła bluzka Valentyny. To była jedna z jej ulubionych bluzek, którą często wkładała na pierwsze spotkanie z nowym gościem – uszyta z półprzezroczystej, bladoniebieskiej etaminy, z marszczeniem w talii i na rękawach, dopasowana w biuście. Miała szeroki, nisko wycięty dekolt z żabotem, a z przodu brakowało tylko jednego drewnianego guzika. Kiedy Valentina ją wkładała, z trudem mieściła w staniku piersi, które kołysały się niebezpiecznie przy każdym jej ruchu. Dimity ostrożnie zwinęła bluzkę i wsunęła ją za spódnicę. Matka nie mogła jej przyłapać na tym, że ją pożyczła; wołała nawet nie myśleć, jakie byłyby konsekwencje.

Przed wyjściem z domu rozczesała włosy z bezlitosną zajadłością, chociaż przy każdym szarpnięciu łzy stawały jej w oczach, a potem spiętrzyła je na czubku głowy i upięła spinkami, pozwalając, by kilka niesfornych kosmyków muskało jej szyję. Pod osłoną żywopłotu za Strażnicą włożyła bluzkę Valentyny. Była szczuplejsza od matki, miała węższą talię i mniej obfity biust, ale bluzka dobrze leżała. Nie mogła sprawdzić w lustrze, jak wygląda, ale kiedy spojrzała w dół na swoje piersi w szerokim dekolcie, wiedziała, że nie patrzy już na ciało dziecka.

Usiadła wśród kwiatów koniczyny z koszykiem fasoli do łuskania i zabrała się do pracy. To było tylko przeczucie, ale wiedziała, że Charles często tędy spaceruje. Niedługo potem zobaczyła wysoką postać zmierzającą w jej stronę. Serce zatrzepotało jej jak oszalałe. Wyprostowała plecy, ściągając barki i układając bluzkę tak, by je odsłonić i ukazać prostą linię obojczyków oraz delikatną krągłość ramion. Czuła na skórze ciepło słońca. Próbowwała utrzymać spokojny wyraz twarzy, ale trudno było nie mrużyć oczu w oślepiającym świetle. W końcu musiała mrugnąć, zmarszczyć brwi i przymknąć powieki. Zasznurowała wargi, zmartwiona tym atakiem jasności, zdenerwowana, bo gdyby podniosła wzrok, jej plan, żeby Charles ją zaskoczył, spaliłby na panewce. Podmuch wiatru przesunął kosmyki włosów na jej karku i przeszedł ją dreszcz. I wtedy usłyszała słowa, które pragnęła usłyszeć od niemal roku. Zamknęła oczy z rozkoszy.

– Mitzy, nie ruszaj się. Zostań dokładnie tak, jak jesteś – powiedział Charles.

Więc nie ruszała się, chociaż rozpierało ją szczęście i w środku cała drżała, jakby miała zaraz wybuchnąć śmiechem. „Mitzy, nie ruszaj się”.

To był szybki szkic, tylko niedociągnięte kreski i zarys przestrzeni; oszczędny, niedokładny. Mimo to Charles jakimś sposobem uchwycił na kartce blask słońca i nawet grymas Dimity krył w sobie cień jej zachwytu. Skończył bez zbędnych gestów; ruch jego dłoni i ołówek powoli zamierał, aż w końcu zmarszczył brwi i zrobił szybki, mocny wydech przez nos. Potem podniósł wzrok, uśmiechnął się i odwrócił szkicownik, żeby pokazać Dimity efekt swojej pracy. To, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersiach. Poczowała, jak oblewa się gorącym rumieńcem. Jej nadzieje spełniły się – na rysunku rzeczywiście zobaczyła kobietę, a nie dziecko. Nie była jednak przygotowana na to, jak piękna będzie ta młoda kobieta z gładką, rozświetloną słońcem skórą i twarzą pełną sekretnych myśli. Dimity spojrzała na Charlesa ze zdumieniem.

W Strażnicy w korytarzu wisiało lustro, stare zwierciadło ze srebrzystą taflą pokrytą ze starości czarnymi cętkami. Miało dziesięć centymetrów średnicy, a Dimity pamiętała z niego swoją dawną twarz.

Wypełniała okrągłe szkło, nieco bezkształtna i niewyraźna. Wyglądała w nim jak niewolnik pod pokładem statku, który usiłuje coś zobaczyć przez iluminator. Dobrze znała białka swoich oczu. Na tym rysunku był ktoś zupełnie inny. Charles nie narysował jej z krwią pod paznokciami, zgarbionej, żeby nikt nie zwracał na nią uwagi. Nie narysował dziecka, które chowa się w żywopłocie. Zobaczył to, co kryło się w jej wnętrzu, i pokazał na rysunku. Z rozdziawionymi ustami spoglądała raz na kartkę, raz na niego. Zdziwiony jej reakcją Charles wziął od niej szkicownik.

– Nie podoba ci się? – zapytał, przyglądając się rysunkowi ze zmarszczonymi brwiami. Ale potem zacisnął wargi w zadumie, unosząc jeden z kącików ust, jakby zrozumiał, co się zmieniło. – Biedne brzydkie kaczątko, atakowane, poszturchiwane i wyśmiewane – powiedział cicho. Uśmiechnął się. Dimity nie rozumiała, o czym mówił. Usłyszała tylko słowa „brzydkie”, „biedne” i ogarnęła ją rozpacz. – Och, nie, nie! Moja kochana Mitzy! Chodziło mi o to, że... morał tej historii jest taki: „To nieważne, że urodziłeś się wśród kaczek, jeśli wyklułeś się z łabędziego jaja...”. To chciałem powiedzieć, Mitzy. Że nowy łabędź okazał się najpiękniejszy ze wszystkich.

– Opowie mi pan tę historię? – zapytała, nie mogąc złapać tchu.

– Och, to tylko niemądra bajka dla dzieci. Élodie ci ją przeczyta, to jedna z jej ulubionych. – Charles machnął lekceważąco dłonią. – Chodź... Ten szkic to dobry początek, ale nic więcej.

– Początek czego, panie Aubrey? – zapytała Dimity.

Charles wstał, wziął swoją torbę i składane krzeselko i ruszył w stronę strumienia.

– Mojego nowego obrazu, rzecz jasna. Wiem już dokładnie, co robić dalej. Zainspirowałaś mnie, Mitzy! – Dimity pobiegła za nim, podciągając bluzkę na ramionach; oszołomiona, rozpromieniona, radosna.

To popołudnie spędziła na plaży z Élodie i Delphine, a Élodie, skacząc z piskiem przez zimne fale, opowiedziała jej po kawałku historię brzydkiego kaczątko. Dimity uśmiechnęła się szeroko na myśl, że właśnie tak widział ją Charles.

– Wszyscy znają tę bajkę, Mitzy – wyjaśniła cierpliwie Élodie, obserwując spienioną wodę, obmywającą jej kościste kolana.

Delphine pływała wolno tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Teraz roześmiała się i mrugnęła do Dimity, która brodziła w podwiniętych spodniach wokół kamieni na płyciźnie, wrzucając do kubelka małże i jadalne wodorosty.

– A teraz znam ją i ja, Élodie. I to dzięki tobie – powiedziała Dimity wielkodusznie, bo szczęście sprawiło, że czuła się wielkoduszna.

– Dlaczego zapytałaś o nią właśnie teraz? – chciała wiedzieć najmłodsza dziewczynka.

– Och, bez powodu. Ktoś przy mnie o niej wspomniał, to wszystko – skłamała łatwo Dimity. Była spokojna i miała wrażenie, że jaśniej z radości. „Tak okazujesz kobiecie miłość, Charlesie – rysujesz jej twarz”. Kiedy wróciły do Littlecombe późnym popołudniem, podwieczorek nie był jeszcze gotowy – część rzeczy leżała już na kuchennym stole, ale Celeste siedziała sztywno na ławie, trzymając w dłoni kartkę papieru, której przyglądała się z napiętym wyrazem twarzy.

– Mamusiu, co się stało? Nic ci nie jest? – zapytała Delphine, siadając obok niej.

Celeste przełknęła ślinę i spojrzała na nie ze zmarszczonymi brwiami, jakby ich nie poznawała. Ale zaraz potem uśmiechnęła się lekko i odłożyła kartkę na blat. Był na niej ostatni szkic Charlesa, portret Dimity. Mitzy poczuła, że serce zabiło jej mocniej, głośniejszym, niczym dzwon.

– Tak, kochanie. Wszystko w porządku. Po prostu sprzątałam przed podwieczorkiem i znalazłam ten rysunek waszego ojca. Spójrzcie tylko na naszą Dimity, spójrzcie, jaka z niej piękność! – zawołała Celeste, ale jej słowa, chociaż miłe, zabrzmiały oschle.

– O rany, zobacz, Mitzy! Naprawdę ślicznie wyglądasz – pochwaliła przyjaciółkę Delphine.

– Czyli chce, żebyś mu pozowała do kolejnego obrazu? Tak powiedział? – dopytywała Celeste.

– Chyba coś o tym mówił – odpowiedziała Dimity i chociaż się tego wstydziła, chwilami miała ochotę wykrzyknąć na całe gardło, że Celeste się pomyliła, a Charles nadal chce ją rysować; że wcale o niej nie zapomniał i nie przestał się nią interesować.

Celeste wzięła głęboki oddech i wstała z ławy.

– Dziwne, że tak mu się odmieniło. Myślałam, że następna będzie ta turystka ze skórą jak mleko.

– Jaka turystka, mamusiu? – spytała Élodie, otwierając paczkę herbatników i przesypując je na talerz. Celeste na chwilę przyłożyła sobie rękę do czoła, a potem zsunęła ją, żeby zakryć sobie usta. Miała zmarszczone czoło. – Mamusiu?

– Nic, nic, Élodie. Już nieważne. – Celeste oparła ręce na biodrach i zlustrowała całą trójkę od stóp do głów. – No proszę! A cóż to za stado brudasów! Widzę, że poszłyście pływać, a to znaczy, że będziecie głodne. *Alors*, idźcie się przebrać, a ja dokończę podwieczorek. *Allez, allez!* – Wygoniła je z pokoju, usiłując pokryć zdenerwowanie sztuczną wesołością, ale Dimity zauważyła, że Celeste wciąż zerka na nią nieufnie, ale też unika jej spojrzenia.

Dimity próbowała zatrzymać bladoniebieską bluzkę, ale kiedy wspomniała Valentinie, że może porwał ją wiatr, kobieta wpadła w furię. Dziewczyna musiała udać przed matką, że znalazła bluzkę na jednym z drzew za podwórkiem, ale nie usłyszała za to podziękowania. Valentina skrzywiła się tylko i napomniała ją, żeby dokładniej przypinała pranie klamerkami.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile posiłków zapewniła ci ta bluzka przez te wszystkie lata – powiedziała.

Dimity podała ją matce ze ściśniętym sercem. Sama zawdzięczała tej bluzce dużo więcej. Dzięki niej odzyskała Charlesa; dzięki niej nie chwiała się już na skraju klifu. Przez kilka następnych dni wypełniała swoje obowiązki z nową energią, chodziła rozkołysanym krokiem, machała koszykiem i nuciała pod nosem.

Któregoś popołudnia zobaczyła we wsi Charlesa. Siedział przed pubem z turystą o włosach czarniejszych niż smoła. Pili ciemne ale i rozmawiali, a Dimity, jak zwykle omijając pub szerokim łukiem, zastanawiała się, o czym. Zastanawiała się, czy opowiedziałby o niej temu przyjeźdnemu – o swojej muzie i o obrazie, który zamierza namalować.

Kiedy mijała skrzynkę pocztową na skwerze, z zamyślenia wyrwał ją dotyk czyjejs dłoni. Eleganckie palce Celeste oplotły ciasno

nadgarstek Dimity. Marokanka kuciała za skrzynką, jakby bawiła się w chowanego, a jej uroczą twarz wykrzywiały niepokój i złość. Dimity cofnęła się instynktownie.

– Zaczekaj, Mitzy. Widzisz tego mężczyznę, tego, z którym rozmawia Charles? – szepnęła Celeste.

Przyciągnęła Dimity bliżej, żeby mogła z nią rozmawiać, nie opuszczając swojej kryjówki.

– Tak, Celeste. Widzę go – odpowiedziała Dimity nerwowo.

– To mąż tej bladej Angielki. Widziałaś ją? Wiesz, o kim mówię?

– Tak.

„O tamtej kobiecie z wielkim biustem, która mimo skromnego ubrania zachowywała się jak suka w rui”, dopowiedziała w myślach Dimity.

– Widziałaś ją kiedyś z Charlesem? Sam na sam. Może byli razem na spacerze albo po prostu rozmawiali... Widziałaś ich?

– Nie, chyba nie.

– Chyba nie czy nie? – naciskała Celeste. Jej paznokcie wbijały się w skórę Dimity, która nie śmiała jednak cofnąć ręki, zupełnie jak przy Valentinie.

– Nie widziałam. Jestem pewna, że nie widziałam ich razem – zapewniła.

Celeste jeszcze chwilę wpatrywała się w dwóch mężczyzn, a potem wbiła wzrok w Dimity. Jej uścisk zniknął tak samo nagle, jak się pojawił.

– Dobrze. To dobrze. Jeśli zobaczysz ich kiedyś razem, musisz mi powiedzieć – zażądała Celeste. Zachowywała się tak dziwnie, że Dimity zaschło w gardle ze zdenerwowania i już miała odmówić, kiedy powstrzymał ją wyraz oczu Celeste. Pod jej gniewem kryło się coś przypominającego panikę. Jakiś rozpaczliwy niepokój. Dimity przytaknęła pośpiesznie. – Grzeczna dziewczynka. Grzeczna Mitzy. – Celeste odwróciła się, ale zanim odeszła, zatrzymała się jeszcze na moment, żeby dodać: – Nie mów o tym dziewczynkom. Błagam.

Na kolejną wizytę w Littlecombe Dimity upięła wysoko włosy w nadziei na spotkanie z Charlesem, ale rozczarowała ją wiadomość, że wyszedł. Dzień był pochmurny, dlatego zgodziła się zostać w domu

i nauczyć Delphine i Élodie robić dżem truskawkowy. Delphine zobaczyła, że koleżanka po wejściu rozgląda się po pokoju, bo na podjeździe stał samochód, i rzuciła jej lekko krytyczne spojrzenie.

– Taty nie ma. Miałaś dziś dla niego pozować? – zapytała ostrożnie.

– Nie, nie – odpowiedziała szybko Dimity. – Miałam tylko nadzieję, że... Widzisz, matka już mnie pytała. O... dodatkowe pieniądze. – Wypowiedziała to kłamstwo ściszym głosem i ze wstydem zobaczyła, jak konsternację na twarzy przyjaciółki zastępuje współczucie.

– Tak, oczywiście. Jak mogłam zapomnieć... – szepnęła Delphine. – Może zamiast tego weźmiesz kilka słoików dżemu, kiedy już go zrobimy. Czy to pomoże?

– Tak, dziękuję. – Uśmiechnęły się do siebie i zaczęły obrywać szypułki z intensywnie czerwonych owoców. Delphine spytała o Wilfa, a Dimity udzieliła jej długiej, kokieteryjnej odpowiedzi, chociaż w rzeczywistości prawie o nim nie myślała od powrotu Aubreyów, nie mówiąc już o spotkaniach. Wkrótce w całej kuchni unosił się zapach truskawek. Celeste zeszła na dół, wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się. Wyglądała na zmęczoną, a w kącikach jej ust pojawiły się surowe zmarszczki, których Dimity wcześniej nie widziała.

– Dziewczynki, cóż to za wspaniałe perfumy – powiedziała. – Będą nam przypominać, że mimo pochmurnego nieba trwa lato. – Rzeczywiście, tego lata pogoda była ponura, ale Dimity nie zwracała na to uwagi. – No dobrze, słońce czy chmury, ja muszę wyjść na powietrze. Gdybyście mnie potrzebowały, będę w ogrodzie.

Dwie godziny później, kiedy dżem był już w słoikach, a Élodie szorowała w zlewie garnki, zanurzona po łokcie w mydlinach, Dimity podeszła ostrożnie do tylnych drzwi z kubkiem pełnym herbaty dla Celeste. Przez szparę w ościeżnicy mignęło jej coś błękitnego, więc przystanęła, rozpoznając kolor charakterystycznej lnianej tuniki Charlesa, pokrytej kolorowymi śladami palców. Przemawiał łagodnym, spokojnym głosem, jakby zbyt ostry ton mógł zranić Celeste, zadać jej ból.

– Celeste, wiesz przecież, że w tej chwili to niemożliwe... Właśnie

zacząłem nowy obraz. Mityzy musi mi do niego pozować, a poza tym potrzebujemy pieniędzy...

– Przecież tam też możesz pracować, dobrze o tym wiem. Pomyśl tylko, ile zrobiłeś podczas pierwszej wizyty!

– Tak, ale wtedy to ty mnie inspirowałaś – powiedział Charles. Przez wąską szparę Dimity dostrzegła błysk jego uśmiechu.

– A teraz cię nie inspiruję?

– Nie to miałem na myśli.

– Możemy zostawić dzieci z twoimi rodzicami. Jestem pewna, że zajęliby się dziewczynkami, gdybyś im wyjaśnił...

– Sama wiesz, że to nieprawda. Znasz zdanie mojej matki o naszej... sytuacji.

– Ale gdybyś jej powiedział... gdybyś wytłumaczył, że musimy wyjechać. Że ja muszę wyjechać. I że musimy być razem, Charlesie. *Mon cher*. Jak mąż i żona, tak jak na początku. Odnaleźć nasze światło, naszą miłość, nasze życie, bo teraz wszystko między nami zgasło...

– Delphine i Élodie są najwspanialszym wyrazem tej miłości, Celeste, dlaczego mielibyśmy je zostawić? Świetnie się tam czują, przecież wiesz...

– A może zostawimy je z Mityzy! To rozsądna dziewczyna. Ile ona ma teraz lat? Szesnaście? Mogłaby się nimi zająć, wiem o tym. Mogłaby zamieszkać z nimi w naszym domu... – w głosie Celeste pojawiła się nadzieja.

– Wykluczone. – Odpowiedź Charlesa była beznamiętna i stanowcza. – Jej matka na pewno znalazłaby jakiś sposób, żeby w tym uczestniczyć, a Dimity sama jest jeszcze dzieckiem.

„Nie”, pomyślała Dimity, wstrzymując oddech, wspięta na czubki palców. „Jestem łabędziem”. Nie chciał wyjechać z Celeste. Wolał zostać w Blacknowle, razem z nią. Ogarnął ją płomień radości.

– Charlesie, proszę cię. Czuję, jak coś we mnie umiera. Po prostu nie mogę tu dłużej zostać. I czuję, jak coś umiera między nami... Oddalamy się od siebie coraz bardziej. Muszę wrócić do domu. Muszę być tam, gdzie moje miejsce. I muszę być z tobą, tak jak podczas naszego miesiąca miodowego, jak wtedy, kiedy się poznaliśmy i na świecie nie istniało nic oprócz nas. Tylko ty i ja, i nikt więcej... Żadnych

podejrzeń, żadnych zdrad. – Wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Charlesa tak mocno, że zbieleły jej palce.

Zapadło długie, pełne napięcia milczenie.

– Gdybyś poznała matkę Dimity... nie przyszłoby ci do głowy, żeby zostawić z nią nasze dzieci...

– Ale Dimity mogłaby mieszkać z nimi tutaj, hojnie byśmy jej za to zapłacili! To zawsze przekonywało jej matkę, prawda?

– Hojnie byśmy jej za to zapłacili, i za kolejną podróż, a ja przez cały ten czas nie zarobiłbym nic, bo bez Mitzy nie mogę pracować...

– *Mon dieu!* – wyrzuciła z siebie gniewnie Celeste. – Kiedyś na świecie było nieco więcej do malowania niż jedna Mitzy Hatcher!

– Już dobrze, Celeste, uspokój się...

– Nie! Zawsze jedziemy tam, gdzie powiesz, zawsze podporządkowujemy nasze życie tobie i twojej pracy. Zostawiłam wszystko, żeby z tobą być, Charlesie, w zamian prosząc o tak niewiele, a teraz, kiedy jest coś, co możesz zrobić, żeby mnie uszczęśliwić... Dlaczego zawsze muszę o to walczyć i błagać? – Pokręciła głową z niedowierzaniem, a potem jej oczy zapłonęły ogniem. – To ta kobieta, prawda? To ona cię tu trzyma!

– Jaka kobieta? O czym ty mówisz?

– Ta, która mieszka nad pubem. Turystka z narzeczoną, na którego nie zwraca uwagi... Ta, która musi się dotykać za każdym razem, kiedy cię zobaczy... Nie udawaj, że nie wiesz!

– Przecież... ja prawie jej nie znam! Spotkałem ją tylko dwa razy! Coś sobie ubzdurałaś, Celeste...

– Nieprawda! I oświadczam ci, Charlesie Aubreyu, albo jedziemy do Maroka, jak najdalej od tego paskudnego, ponurego miejsca, albo zabieram tam dziewczynki i więcej nas nie zobaczysz. – Nie odzywali się przez dłuższą chwilę.

Dimity wstrzymała oddech.

– W porządku – powiedział w końcu Charles, a Dimity zmroziło. – Pojedziemy wszyscy – zdecydował.

– Jak to? Nie... – zaprotestowała Celeste. – Tylko my dwoje, Charlesie. Musimy spędzić trochę czasu sami...

– Ale to niemożliwe. Więc pojedziemy wszyscy.

Dimity nie mogła dłużej wytrzymać w bezruchu, więc ruszyła przez korytarz. Tupała najgłośniej jak potrafiła, nie wylewając przy tym herbaty, żeby uprzedzić ich o swoim nadejściu. Kiedy wyszła na zewnątrz, przywołała na usta desperacki uśmiech.

– Proszę, Celeste. Przyniosłam ci herbatę – powiedziała, usiłując powstrzymać drżenie głosu.

– Mitzy! Jedziemy do Maroka! Co ty na to? Cała nasza piątka. Celeste odwiedzi rodzinę, a ja namaluję cię jako dziewczynę z haremu albo berberyjską księżniczkę... Nigdy nie widziałas niczego podobnego, uwierz mi. Będiesz zachwycona. Zgadzasz się? – Charles stał z rękami na biodrach, uparcie nie spuszczać z niej wzroku, jakby czuł na sobie złowrogie spojrzenie Celeste i nie miał odwagi się z nim zmierzyć.

– Chcecie... chcecie, żebym pojechała z wami do Maroka? Naprawdę? – szepnęła Dimity, spoglądając to na niego, to na Celeste. – Ja... bardzo bym chciała... – odpowiedziała. – Zabierzecie mnie ze sobą? Obiecujecie?

– Oczywiście. Jestem pewny, że będziesz nam dużą pomocą w podróży. Możesz zająć się dziewczynkami, a wtedy Celeste i ja będziemy mieli trochę czasu, żeby odpocząć i побыć razem. – Charles uśmiechnął się dzielnie i wreszcie ośmielił się spojrzeć na Celeste. Obserwowała go z rozchyłonymi ze zdumienia ustami, ale nic nie mówiła.

– Och, dziękuję! Bardzo dziękuję! – zawołała Dimity, prawie nie mogąc w to uwierzyć. Uśmiechała się tak szeroko, że zaczęło jej to sprawiać ból. Wyjeżdżali, ale tym razem ona jechała razem z nimi, razem z nim. Zostawi za sobą Blacknowle i wyruszy dalej, niż wydawało jej się to możliwe. Nie miało znaczenia, że Celeste jej tam nie chce. Liczyło się tylko to, że Charles ją zaprosił. W tym momencie kochała go całym sercem.

– Już dobrze – powiedział Charles z zakłopotaniem. – Wracaj do domu i powiedz dziewczynkom. Czy znajdzie się dla mnie trochę herbaty w tym dzbanku?

– Zaraz przyniosę. – Dimity weszła do pachnącego truskawkami wnętrza, a w ostatnim momencie usłyszała, jak Celeste mówi głosem lodowatym ze złości:

– Charlesie. Jak mogłeś?

Słoma łaskotała Zacha w plecy, a ostry zapach zwierząt drażnił mu nozdrza przez gęste włosy Hannah, która opierała głowę w zagłębieniu między jego ramieniem a karkiem. Zamknął na chwilę oczy, rozkoszując się tym, jak nos i podbródek kobiety wpijają mu się w ciało. Jej ciepły oddech stopniowo uspokajał się i wracał do zwykłego rytmu. Zza beli słomy, przy której siedział, rozległo się nagle głośne, głębokie beczenie. Hannah natychmiast podniosła głowę i otworzyła oczy.

– Nic jej nie jest? – zapytał Zach.

Hannah wyprostowała plecy, żeby sprawdzić, co się dzieje, a Zach poczuł chłodne powietrze na wilgotnej, wrażliwej skórze, gdy ich ciała oderwały się od siebie.

– Chyba tak. Pewnie zaczyna ją już trochę boleć, bidulkę. Ale powinnam do niej zajrzeć. – Zeszła z Zacha i wstała, wsuwając spodnie z powrotem na biodra i zapinając suwak. Na jednym kolanie miała owcze łajno. Obeszła belę i ukucnęła obok jagniącej się owcy. Portlandka miała przyśpieszony oddech, który rozszerzał jej nozdrza i wstrząsał całym ciałem. Hannah zajrzała jej pod ogon i delikatnie wsunęła palce do środka, żeby wymacać jagnię. – Wyczuwam kopyta i nozdrza.

– To dobrze?

– Tak, dobrze. Nozdrza oznaczają ułożenie główkowe, czyli zwykły poród. Pośladkowy byłby trudniejszy.

– Cieszę się. Wiesz... nigdy wcześniej tego nie robiłem. To znaczy, nie uprawiałem seksu w stodole pełnej owiec – powiedział Zach, ubierając się i strzepując ze skóry ostre kawałki sieczki.

Hannah spojrzała na niego z przelotnym uśmiechem.

– Och, zawsze to jakieś urozmaicenie, kiedy człowiek godzinami czuwa przy nich w okresie jagnienia. Rzuć mi tamtą szmatkę, co?

Złapała ją zwinnie i otarła ręce, a potem usiadła przy nim na beli siana. Zach ujął dłoń Hannah i splótł z nią palce. Zetknął opuszki ich kciuków i poczuł twardą bliznę na jej skórze.

Stodoła była pełna owiec o sierści w kolorze cappuccino. Niektóre leżały z młodymi, skulonymi sennie obok nich, inne pokładały się, zdyszane, jak ta, do której podeszła przed chwilą Hannah, a pozostałe

przeżuwały słomę, jakby nie miały z tym wszystkim nic wspólnego. Dochodziła trzecia nad ranem. Niebo rozświetlał księżyc w pełni, zalewając wszystko srebrzystą poświatą. Zach wyjrzał przez drzwi na wzgórze, gdzie na horyzoncie rysował się niski kształt Strażnicy. W kuchni na dole paliło się światło. Zastanawiał się, czy Dimity jeszcze nie śpi, czy tylko zapomniała je zgasić.

– Nie powinnaś oznaczyć ich tą zieloną farbą? Albo ponumerować je jakoś, żeby wiedzieć, które są czyje? – Wskazał na owce, które już urodziły. Wszystkie miały na zadach duże plamy szmaragdowozielonej farby.

– Jestem pewna, że owce się w tym orientują. A niedługo i tak przejdą kolczykowanie. Ta zielona farba to mocna rzecz, nie da się jej zmyć. Średnio się sprawdza na ekologicznym runie. Malujemy nią brzuch barana, żeby wiedzieć, które owce trykał.

– Czy jagnienie zawsze idzie tak łatwo? – zapytał.

– Pamiętaj, że to mój pierwszy sezon z tym stadem. Mam nadzieję, że dalej będą rodzić bez problemów, bo nie stać mnie teraz na weterynarza. – Hannah wzruszyła ramionami.

Zach myślał o tym przez chwilę.

– A co z twoimi... twoimi obrazami? Nie chcę cię urazić, ale tu, u ciebie, nie cieszą się chyba zbyt dużym zainteresowaniem. Może wystawisz je w lokalnej galerii albo sklepie z pamiątkami? Dobrze by się sprzedawały, jestem tego pewny.

– Mogłabym to zrobić. Tylko... sama nie wiem. Jakoś nie przemawia do mnie ten pomysł.

– Jako pomysł? Że jesteś utalentowaną artystką, która może dorobić sprzedażą swoich prac? Co ci się w tym nie podoba?

– Nie chcę być artystką. Chcę być hodowczynią ekologicznych owiec.

– Przecież jedno nie musi wykluczać drugiego, prawda?

– Raczej musi. Gdyby obrazy dobrze się sprzedawały, musiałabym dostarczyć następne... to równia pochyła. W końcu zaczęłabym malować stokrotki na konewkach i otworzyłabym sklep z pamiątkami zamiast prowadzić farmę. – Wzdrygnęła się, a Zach zaśmiał się cicho.

– Przecież i tak rysujesz. Masz gotowe prace; nie zaszkodzi

pokazać ich gdzieś, gdzie łatwiej się sprzedadzą. Mógłbym się tym zająć, jeśli chcesz? – zaproponował.

Hannah spojrzała na niego spokojnie.

– Nie, nie trzeba. Ale zastanowię się nad tym – powiedziała. – A ty? Założę się, że chciałeś zostać artystą. Dlaczego otworzyłeś galerię?

– Dlatego, że nikt nie kupował moich prac, a miałem na utrzymaniu żonę i dziecko. Chociaż w zasadzie to Ali utrzymywała siebie, mnie i Elise. Jest prawniczką, i to świetną.

– Idę o zakład, że wspaniale się z tym czułeś.

– To moja wina, że nie odniosłem sukcesu. Miałem swoją szansę, ale ją zmarnowałem.

Na myśl o tym Zach uśmiechnął się z żalem i pokręcił głową. Był wtedy taki pewny siebie, taki cholernie arogancki.

Tego roku ukończył studia na Goldsmiths, a jego wystawa dyplomowa zebrała świetne opinie kadry i kolegów z roku. Doceniła ją też dziennikarka, która pisała artykuł o młodych artystach zasługujących na uwagę. „Zach Gilchrist – głosił ów tekst – łączy klasyczne spojrzenie z nowatorskim, niemal surrealistycznym podejściem do tematu i znaczenia”. Krążyły plotki, że Simon d’Angelico, jeden z najbardziej wpływowych kolekcjonerów brytyjskiej sztuki współczesnej, może przyjść na wystawę. Prawdziwe, autentyczne pogłoski, których nie wymyślił sam Zach. Tyle nadziei, tyle obietnic. Zach dał się im porwać i zapomniał, że nie wyszedł jeszcze poza krąg sugestii i możliwości, nie osiągnął nic konkretnego. Że wciąż był tylko świeżo upieczonym absolwentem, że jeszcze się nie sprawdził – i może nie mieć na to szansy. Wydawało mu się, że już odniósł sukces, więc kiedy niejaka Lauren Holt, właścicielka małej galerii niedaleko Vyner Street w City, która zakładała stajnię nowych artystów, przyszła porozmawiać z nim o wystawieniu jego pracy dyplomowej i dwóch innych obrazów, nie potraktował jej poważnie. Nigdy nie słyszał o niej ani o jej galerii i to wystarczyło, żeby podjął decyzję. Chociaż musiała być już po pięćdziesiątce, włosy miała ufarbowane na jaskrawą czerwień, która gryzła się z jej zielonym cieniem do powiek. Zach uznał, że próbuje wyglądać awangardowo, i skreślił ją jako ekscentryczną amatorkę. Jej galeria działała dopiero od sześciu miesięcy i równie dobrze mogła być

miejszem, w którym sprzedaje się pocztówki z reprodukcjami na obrotowym stojaku. Dlatego odmówił jej bezceremonialnie, przeświadczony, że pisane są mu większe rzeczy.

Dziewięć miesięcy później Lauren Holt urządziła w swojej galerii wernisaż, który odbił się szerokim echem w prasie i tych kręgach świata sztuki, w których Zach rozpaczliwie próbował zaistnieć. Simon d'Angelico jednak nie przyszedł na jego wystawę dyplomową, a o Zachu nie wspomniano już w żadnych artykułach ani recenzjach. Odwiedził galerię Lauren i obszedł ją z rosnącą konsternacją, podziwiając jakość wystawionych prac, idealne oświetlenie, gwar rozmów. Zobaczył imponujące prace artystów, o których słyszał, omawiane przez ludzi, którzy liczyli się w branży. Lauren Holt weszła przez tylne drzwi w białej ścianie, ubrana cała na czarno. Jej rude włosy lśniły w świetle lamp. Zach próbował się schować za drucianą rzeźbą, ale pochwyciła jego spojrzenie i posłała mu krzywy uśmiezek, bardziej smutny niż triumfalny. Zach wymknął się chyłkiem. Było mu za bardzo wstyd, żeby zapytać, czy byłaby nim jeszcze zainteresowana. Wtedy miał największą szansę wystawić swoje obrazy we wpływowej galerii. Pod względem zawodowym później było już tylko gorzej.

– Dlaczego nie zapytałeś jej, czy mimo wszystko nie wystawiłaby twoich prac? Galeria była jeszcze stosunkowo młoda... Gdybyś się przed nią przyznał do błędu, może pochlebiłbyś jej na tyle, że zgodziłaby się wziąć chociaż jeden obraz, twoją pracę dyplomową, która jej się podobała – zastanawiała się Hannah, kiedy szli przez słomę do kolejnej owcy, której z zadu wystawały już przednie nogi jagnięcia powleczone lśniąca, szarą błoną.

– Nie mogłem. To było zbyt upokarzające...

– Czyli nawet wtedy nie byłeś w stanie przełknąć dumy?

– Chyba tak.

– Mężczyźni! – Hannah przewróciła oczami. – Nigdy się nie zatrzymacie, żeby zapytać o drogę.

– Pewnie liczyłem, że zdarzy się jeszcze jakiś cud. Ale się nie zdarzył. Miałem swoją szansę i ją zmarnowałem.

– Przestań, ja tego nie kupuję. – Chwyciła jagnię za śliskie kończyny, a kiedy zobaczyła, że owca prze, zaczęła za nie ciągnąć i nie

przestawała, dopóki całe zwierzę nie wydostało się na zewnątrz, pokryte warstwą wydzieliny. Owca stęknęła ciężko. – Świetnie! Grzeczna owieczka – powiedziała Hannah, wycierając śluz z pyska i nosa młodego. Zakołysała jagniątkiem kilka razy, aż kichnęło i sapnęło, kręcąc lekko główką. Położyła je na słomie obok oszołomionej matki i wytarła dłonie w siedzenie dżinsów.

Zach skrzywił się. Jagnienie było bardziej krwawe, niż to sobie wyobrażał.

– Co masz na myśli?

– Co ma być, to będzie, jak mawiał mój stary dziadek. Talent się przebiję. Gdybyś miał odnieść sukces jako zawodowy artysta, to byś go odniósł – wyjaśniła. – Najwyraźniej tak miało być.

– Hm. Nie jestem pewny, czy wolę to podejście. Nie uważasz, że jesteśmy kowalami swojego losu, że sami odpowiadamy za to, co nas spotyka?

– Czyli co, chcesz mi powiedzieć, że przez te wszystkie lata po prostu za mało się starałeś? I dlatego nie jesteś słynnym artystą, twoja galeria bankrutuje, a ty nie jesteś w stanie dokończyć książki?

– Nie, chyba nie. Przynajmniej... miałem wrażenie, że się staram. Nawet jak o tym myślę, robię się zmęczony.

– No widzisz. Przestań się zadręczać jedną straconą szansą na wystawę.

– Czyli twoim zdaniem od początku byłem skazany na porażkę?

– Dokładnie tak. I co, od razu lepiej, prawda? – uśmiechnęła się do niego, szturchając go lekko w ramię.

– O tak. Dużo lepiej – odpowiedział z uśmiechem.

Hannah westchnęła lekko i podeszła bliżej. Złapała go za koszulę i zadarła głowę, żeby go pocałować.

– Rozchmurz się. Nadal mi się podobasz, chociaż taki z ciebie nieudacznik – zapewniła.

Po długiej nocy w stodole Zach obudził się w porze lunchu, głodny jak wilk. O drugiej po południu zasiadł do posiłku złożonego z szynki, jajek i frytek wśród amatorów piwa i ludzi, którzy wyszli na spacer z psem, ale schronili się w pubie przed ulewą. Odwrócił się, żeby popatrzeć przez okno na deszcz, i zobaczył Hannah. Czekwała na

przystanku autobusowym w swojej za dużej kraciastej koszuli, ale bez kurtki; dzinsy miała wepchnięte w kalosze, a na włosy wcisnęła stary woskowany kapelusz. Zach uniósł się lekko i wyciągnął rękę, żeby zapukać w szybę i zwrócić jej uwagę, ale zdał sobie sprawę, że Hannah stoi za daleko i nie usłyszy go przez deszcz. Odchylił się na krzesło, zastanawiając się, dlaczego właściwie czeka na przystanku autobusowym w deszczu, skoro mogłaby pojechać tam, dokąd się wybiera, samochodem. A gdyby miała jakieś problemy z jeepem, był pewien, że bez najmniejszych skrępułów poprosiłaby go o podwiezienie. Zmarszczył brwi i wsparł podbródek o oparcie krzesła, obserwując ją. Stała wyprostowana jak struna, z rękami głęboko w kieszeniach. Ramiona miała sztywno uniesione, a im dłużej Zach jej się przyglądał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że wygląda na wyjątkowo niespokojną, wręcz rozdrażnioną. Chwilę później podjechał autobus, młócąc wycieraczkami. Wsiadły z niego dwie starsze panie, owinięte w płaszcze przeciwdeszczowe z przezroczystego plastiku. Hannah nie wsiadła.

Jakieś dwie minuty później zerknęła na zegarek, ale w tym samym momencie przed przystankiem zatrzymała się furgonetka marki Toyota, obryzgując jej buty błotnistą wodą z rynsztoka. Hannah podeszła do samochodu i nachyliła się do otwartego okna. Zach nie spuszczał jej z oka. W furgonetce siedzieli dwaj mężczyźni, ale nie widział ich wyraźnie. Rozmawiali z Hannah najwyżej dziesięć sekund, a potem kobieta sięgnęła do tylnej kieszeni i podała im pomiętą kopertę. Zach widział błysk bieli przez przednią szybę, kiedy mężczyzna na fotelu pasażera otworzył ją i przesunął w środku palcami. „Pieniądze”, pomyślał Zach. Na pewno. Hannah skinęła głową, a furgonetka odjechała. Patrzyła za nią z rękami znów wciśniętymi do kieszeni, dopóki samochód nie zniknął za rogiem obok pubu. Zach zobaczył za oknem rękaw mężczyzny na fotelu pasażera. Rękaw znoszonego, blad różowego swetra. Zobaczył potężną postać i niechlujną brodę. James Horne. Hannah stała tam jeszcze przez chwilę ze spuszczoną głową. Z jej sztywnej sylwetki wciąż biło napięcie. A potem przeszła przez ulicę do pubu.

Podeszła prosto do baru i z szerokim uśmiechem wręczyła

Pete'owi Murrayowi swoją kartę płatniczą.

– Jak to, wszystko? – zapytał właściciel pubu tonem zdradzającym zaskoczenie.

– Człowieku małej wiary. Mówiłam ci, że potrzebuję tylko kilku dni.

– Wiem. Po prostu... myślałem, że to potrwa trochę dłużej – Pete wzruszył ramionami.

– Bierz, co twoje. A wieczorem przyjdę otworzyć nowy rachunek. – Nie rozglądając się po pubie, czekała oparta o bar, aż Pete zrealizuje jej płatność.

Zach nabrał powietrza, żeby ją zawołać, ale coś go powstrzymało. Może to, że nie odwróciła się, żeby go poszukać, albo że wbiła wzrok w matę na barze i niecierpliwie stuknęła podstawką pod kufel w mosiężny kran do piwa. A może fala pytań, która wezbrała w jego umyśle. Wiedział, że na żadne mu nie odpowie, więc nie chciał ich zadawać, a nie mógłby rozmawiać z nią w tym momencie i nie zapytać, dlaczego dała pieniądze komuś takiemu jak James Horne i skąd nagle je wzięła. Mimo to kiedy odwróciła się, żeby odejść, zerwał się z miejsca i ruszył za nią, zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi. Kamienny wyraz jej twarzy, kiedy złapał ją za ramię, powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Spojrzała na niego nieufnie, zaciskając wargi w stanowczą kreskę, ale w jej twarzy zobaczył przede wszystkim żal. Pytania zamarały mu na ustach i ogarnęło go uczucie przypominające strach. Nagle poczuł, że może ją stracić.

– Hannah – zaczął, biorąc głęboki oddech. – Nieważne, co się dzieje... możesz mi zaufać. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Jej oczy rozszerzyły się i przez chwilę wydawała się samotna i przestraszona. Potem jej determinacja wróciła i pokręciła przecząco głową.

– Tym razem nie mogę. Przykro mi, Zach.

Następnego dnia był czwartek, więc Zach zostawił za sobą wybrzeże, kierując się na autostradę do Surrey. Był umówiony z Annie Langton, kobietą, która kupiła jeden z niedawno odnalezionych portretów Dennisa.

Poprzedniej nocy niewiele spał. Rozmyślał o Hannah i zastanawiał

się, jakie może mieć kłopoty. Czy była w tak rozpaczliwym położeniu, że wzięła pożyczkę od Jamesa Horne'a? Ich wcześniejsza kłótnia mogła dotyczyć jej zwrotu, a poprzedniego dnia Zach zobaczył z pubu, jak Hannah reguluje dług. Ta wersja wydarzeń nie wydawała mu się jednak do końca prawdopodobna. Kto zwracałby legalną pożyczkę przy drodze, wręczając komuś kopertę wypchaną gotówką? I kto w ogóle pożyczyłby pieniądze od człowieka pokroju Jamesa Horne'a? Zach nie wierzył ani przez chwilę, że Hannah zwróciłaby się do niego o pomoc. Ale w takim razie dała mu pieniądze za coś innego, a Zach wolał sobie nie wyobrażać, o co mogło chodzić. I nie chciał myśleć o tym, skąd nagle wzięła gotówkę, którą włożyła do tej koperty.

Był tak zmęczony i zaaferowany tymi pytaniami, że o spotkaniu z panią Langton przypomniał mu alarm w telefonie. Uświadomił sobie ze zdumieniem, że przez ponad tydzień nie poświęcił ani chwili książce, którą ponoć pisał. Miał mnóstwo materiałów i stos fiszek, na których próbował nakreślić kształt poszczególnych rozdziałów, opatrując je odnośnikami do odpowiednich notatek. Teraz zaczął się jednak liczyć z tym, że tekst w ogóle nie powstanie. Nie chciał już pisać tej książki, którą zaczął. Od dawna wiedział, że nie jest doskonała, ale teraz uświadomił sobie coś gorszego. Była niepotrzebna.

Chciał pisać o człowieku, nie o artyście. Chciał pisać o Blacknowle i o ludziach, którzy tu mieszkali, o ich reakcjach na obecność wielkiego artysty w swoim gronie. Chciał pisać o Dimity Hatcher i o najnowszych pracach, sprzedanych z tajemniczej kolekcji w Dorset. Chciał odkryć, kim był Dennis i gdzie dożyła swoich dni Delphine po tym, jak jej ojciec zginął na wojnie. Chciał się dowiedzieć, co robiła Celeste przez resztę życia. Ale jedyną osobą, która mogła rozwiązać te zagadki, była Dimity, a przecież nie mógł jej zmusić, żeby o tym mówiła. Historie, które już mu opowiedziała, były fantastyczne, ożywione miłością do Charlesa Aubreya. Ale nie wystarczyłoby ich na książkę. Wyobraził sobie, że wraca do galerii po to, żeby ją oficjalnie zamknąć i opuścić, albo otworzyć na nowo i spróbować jeszcze raz. Na myśl o tym przeszedł go dreszcz przerażenia. Przypomniał sobie druciany stojak z pocztówkami, na którym osadza się kurz, podczas gdy reprodukcje blakną w słońcu. Nagle zdał sobie sprawę, że jeśli tam wróci, czeka go taki sam los.

Pokryje się kurzem i całkiem wyblaknie; i już nigdy nie zobaczy Hannah.

Annie Langton mieszkała na skraju Guildford w rozległym domu z czerwonej cegły. Frontowa ściana ginęła w pnączach róż, które zrzucały ostatnie żółte płatki na żwirowy podjazd. Całość wyglądała dość staroświecko, ale Zach wiedział, że w tej okolicy taki dom oznacza duże pieniądze. Czarno-biały kot owinał mu się wokół nóg, kiedy zapukał do drzwi. Otworzyła pani Langton, niska i energiczna kobieta w dopasowanych sztruksach i płowej koszuli. Siwe włosy miała ostrzyżone na gładkiego pazia. Znad haczykowatego nosa patrzyły nań bystre, niebieskie oczy.

– Pan Gilchrist, jak mniemam – przywitała go rzeczowym uściskiem dłoni.

– Pani Langton, miło mi. Bardzo dziękuję, że zgodziła się pani pokazać mi swój rysunek.

– Zapraszam do środka. Może zaparzę kawy? – Zaprowadziła go do nieskazitelnie czystego salonu pełnego wyściełanych sof i ciężkich, luksusowych tkanin. – Proszę usiąść. Za sekundkę wracam.

Wyszła z pokoju, a Zach zaczął się przyglądać obrazom na ścianach. Miała kilka innych pięknych prac z dwudziestego wieku, w tym szkic, który wyglądał na dzieło Henry'ego Moore'a, projekt jednej z jego zmysłowych rzeźb z brązu. Ale wzrok Zacha przykuł inny rysunek, bo nawet z drugiego końca przestronnego salonu poznał, że to Aubrey. Podszedł bliżej, żeby go obejrzeć, i uśmiechnął się z zachwytem. *Mitzy, 1939*. Pamiętał go – cudowny szkic Mitzy z odsłoniętymi ramionami skąpanej w słońcu. Pojawił się na aukcji jakieś jedenaście lat temu, ale Zach nawet go nie licytował. Wiedział, że nie będzie go na niego stać, bo mimo niedbałego wykonania był to jej najpiękniejszy portret. Miała na sobie nisko wyciętą bluzkę chłopkę, która ukazywała dumny zarys jej piersi. Słoneczna chwila sprzed siedemdziesięciu lat – piękna młoda dziewczyna z roziskrzonymi oczami. Widząc tę młodą twarz, tylko człowiek bez serca nie miałby ochoty zamknąć jej w dłoniach i obsypać pocałunkami. Jej górna warga była lekko wydęta, nabrzmiała, jakby w geście niemego zaproszenia.

– Śliczna, prawda? – powiedziała Annie Langton, kiedy pojawiła

się za nim z dzbankiem kawy i filiżankami na tacy. Uśmiechnęła się z dumą, patrząc na swoją własność. – Zdecydowanie za niego przepłaciłam. Mój mąż John jeszcze żył i prawie dostał ataku serca. Ale musiałam ją mieć. Jest niesamowita, przyzna pan.

– Owszem. Byłem tamtego dnia na aukcji. Nie mogłem się powstrzymać, chociaż wiedziałem, że to będzie tortura patrzeć, jak ktoś inny kupuje ten portret, i wiedzieć, że już nigdy go nie zobaczę.

– To tylko świadczy o tym, że niczego na tym świecie nie można być pewnym. Śmietanka i cukier?

– Dziękuję, tylko śmietanka.

Korciło go, żeby przyznać się pani Langton, że odnalazł Dimity, że ona wciąż żyje i że poznał ją osobiście, ale ugryzł się w język. Zdradzi to dopiero w książce, jeżeli w ogóle ją skończy.

– No cóż, oświadczyłam wtedy Johnowi, że to tylko pieniądze. Tymczasem, jak to powiedział ktoś mądrzejszy ode mnie, piękno jest wieczne. – Zapatrzyła się na portret Mitzy, a jej twarz przybrała wyraz osobliwej tęsknoty, który wydał się Zachowi znajomy.

– Czy nie była pani przypadkiem... jedną z kobiet Aubreya? – zapytał z uśmiechem.

Annie Langton utkwiała w nim surowe spojrzenie.

– Młody człowieku, moim rodzicom jeszcze się o mnie nie śniło, kiedy Charles Aubrey poszedł na wojnę.

– Oczywiście. Proszę mi wybaczyć.

– Nic się nie stało – machnęła szybko ręką. – Podejrzewam, że dla kogoś tak młodego jak pan wszyscy ludzie po pięćdziesiątce wyglądają podobnie.

– Nie jestem taki znowu młody – zaoponował Zach.

– Czyli po prostu nietaktowny? – Minę miała wciąż poważną, ale w jej oczach rozbłysła figlarna iskierka, więc Zach uśmiechnął się nieśmiało. Zmieniła temat z cieniem rozbawienia na twarzy. – Z tego, co mówił Paul Gibbons, zrozumiałam, że jest pan szczególnie zainteresowany portretami Dennisa. Czy w takim razie wie pan, kim był?

– Nie. Trochę liczyłem na to, że dowiem się tego od pani.

– Ach, zatem zagadka pozostaje nierozwiązana. Niestety, obawiam się, że nie mam pojęcia. Zbadałam temat, chociaż nie twierdzę, że wiem

o Aubreyu tyle co taki ekspert jak pan. Nigdzie nie znalazłam o nim żadnej wzmianki.

– Ja też nie.

– Ojej, mam nadzieję, że nie przyjechał pan aż tutaj, żeby sprawdzić moją wiedzę na ten temat?

– Nie, nie. Mam pewną... teorię na temat portretów Dennisa. Liczyłem na to, że kiedy zobaczę należący do pani rysunek na własne oczy, będę mógł ją zweryfikować.

– Doprawdy? – Sączyła kawę, nie spuszczać z niego przenikliwego spojrzenia.

Zach zrozumiał, że raczej nie ma sensu ukrywać swoich podejrzeń.

– Bardzo mnie martwi, że Aubrey nigdzie nie wspomina o Dennisie. Wydaje mi się to wręcz nieprawdopodobne, zważywszy na rzekome daty powstania portretów. Jeśli są prawdziwe, to Dennis prawie na pewno musiał w którymś momencie pojawić się w Blacknowle. Ale byłem w Blacknowle i rozmawiałem z kilkoma osobami, które mieszkały we wsi w tamtym czasie. Nikt o nim nie słyszał.

– Powiedział pan „rzekome daty”. Czy mam rozumieć, że pana zdaniem te portrety nie są autentyczne?

– Wiem, że... nikt nie chce tego słuchać. Ale czy nie dziwi pani, że te portrety, jedyne znane portrety Dennisa, zostały wystawione na sprzedaż w ostatnich latach? I najwyraźniej należały do jednego właściciela? I że są do siebie niezwykle podobne, a jednak nie takie same?

– Przyznaję. To bardzo dziwne. Ale wystarczy raz spojrzeć na kreskę, żeby wiedzieć, że wyszły spod ręki Charlesa Aubreya. Może pokłócił się z tym Dennisem, kimkolwiek on był. Może sam przed śmiercią wymazał go ze swojego życia. A może był niezadowolony z tych prac i dlatego je ukrył. Może dlatego nigdy nie trafiły na rynek. Aż do teraz.

– To możliwe. Po prostu nie do końca w to wierzę.

– No dobrze, wobec tego przedstawię panu mojego Dennisa. Może on pomoże panu rozstrzygnąć ten dylemat.

Poprowadziła go korytarzem do ogromnego gabinetu, w którym poczesne miejsce zajmowało lśniące orzechowe biurko. Wzdłuż ścian

ciągnęła się biblioteczka, a w każdym wolnym miejscu wisiał obraz. Zach od razu zauważył *Dennisa* i szedł już w jego kierunku, kiedy pani Langton mu go wskazała. Oczywiście, znał dobrze ten obraz, bo przyglądał mu się wiele razy w katalogu aukcyjnym. Teraz przypatrzył mu się na nowo, czując, jak z każdą sekundą ogarnia go coraz większe rozczarowanie. Patrząc na rysunek, nie odkrył niczego nowego. Zdawał sobie sprawę, że pani Langton bacznie go obserwuje, i uznał, że dla zachowania pozorów powinien udać bardziej zainteresowanego, niż był w rzeczywistości.

– Czy przeszkadzałoby pani, gdybym podszedł z nim do okna, żeby zobaczyć go w świetle dziennym?

– Oczywiście, że nie. Proszę.

Obraz był oprawiony w ciężką drewnianą ramę. Zach ścisnął ją kurczowo, zdejmując portret ze ściany. Przy oknie obrócił rysunek tak, żeby światło padało na papier. Studiował pociągnięcia ołówka, podpis, niejednoznaczny wyraz twarzy modela. Patrzył na nie, czekając na jakieś olśnienie, ale się nie doczekał. Mimo wszystko nie mógł się pozbyć wrażenia, że portret nie jest do końca tym, za co uchodzi.

– Wiem, że to żadne arcydzieło, ale przypadł mi do gustu ten rysunek. A cena była okazjna – powiedziała Annie Langton, kiedy cisza zaczęła się przedłużać. – Chce pan zostać z nim chwilę sam? – zapytała.

– Nie, nie ma takiej potrzeby – odpowiedział Zach.

– Znalazł pan to, czego pan szukał? Tak szybko?

– Nie do końca, niestety. Nie dowiedziała się pani przypadkiem, do kogo należał?

– Nie, a pytałam. Tak jak wszyscy byłem ciekawa, skąd na rynku nagle pojawiły się te nowe prace. Zwykle można poznać nazwisko sprzedawcy, ale nie tym razem. Pełna anonimowość – uniosła z żalem brwi.

– Czy kiedy go pani kupiła, był w tej ramie?

– Och, skądże. Z domu aukcyjnego przyjechał nieoprawiony, tylko zawinięty w jakieś brudne gazety, jeśli da pan wiarę. Nienajlepsze rozwiązanie w wypadku rysunku. Na szczęście farba drukarska odbiła się odrobinę tylko z tyłu portretu, a nie na froncie.

– W gazety? W takim razie ten, kto go sprzedał, nie traktował go

z nabożnym szacunkiem. Pamięta pani, jaka to była gazeta?

– Chyba „The Times”, ale nie jestem pewna. Nie zdradzała tożsamości właściciela – była datowana na jakiś miesiąc przed sprzedażą. Nadal ją mam, jeśli chciałby pan rzucić okiem?

– Zachowała ją pani? Tak, chętnie. – Zach modlił się w duchu, żeby wyrwane strony pochodziły z jakiejś lokalnej gazety, a nie ogólnokrajowego dziennika.

– No cóż, w mojej ocenie takie rzeczy stają się elementem proweniencji obrazu, nawet jeżeli wydają się nieodpowiednie. – Pani Langton podeszła do dużej komody i schyliła się, żeby wysunąć dolną szufladę. Wyjęła z niej lekko spłaszczony rulon gazety. – Proszę bardzo, chociaż obawiam się, że niewiele to panu pomoże.

To był „The Times”. Rozczarowany Zach rozwinął zwój, spojrzął na datę i rzucił okiem na nazwiska dziennikarzy. Nie wiedział, czego właściwie szukał, ale istniała szansa, że były właściciel obrazu zostawił jakiś trop, pozwalający odgadnąć jego tożsamość. Odwrócił gazetę i przyjrzał się drugiej stronie, a jego uwagę przykuło coś w prawym dolnym rogu. Na papierze widniało kilka kolorowych smug, plam z atramentu w intensywnym szmaragdowym kolorze. Wyglądały na odciski palców. Zach zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć, gdzie widział ostatnio ten kolor, gdy nagle dostrzegł coś jeszcze i poczuł ciarki na plecach.

– Wszystko w porządku, panie Gilchrist? Trochę pan pobladł.

Dłoń Annie Langton leżała na jego ramieniu, ale jej głos zdawał się dobiegać z daleka. Zach prawie go nie słyszał, tak mocno huczała mu krew w uszach. Nie mógł opanować drżenia dłoni, w których wciąż ścisnął gazetę. W rogu, na samym brzegu strony, widniał odcisk kciuka w tym samym kolorze szmaragdowej zieleni, którym znaczone były pokryte owce ze stada Hannah. Odcisk kciuka, przez który biegła ostra, ukośna linia blizny, wyraźna i charakterystyczna.

Na statku do Tangeru Dimity cierpiała na chorobę morską.

– Myślałam, że twój ojciec był rybakiem? – rzuciła Élodie. Stała na pokładzie parowca, gdzie wiatr rozwiewał jej włosy wokół twarzy i porywał jej słowa.

– Ale ja nie jestem – zauważyła Mitzzy, przechylona przez poręcz, bo znów chwyciły ją torsje. W jej żołądku nic już nie zostało, więc wytarła tylko z brody strużkę śliny. – Nigdy wcześniej nie byłam na morzu.

– Możemy ci jakoś pomóc, Mitzzy? Może przynieść ci szklanek wody? – zapytała Delphine.

– Najlepszy byłby imbir, jeśli tu mają, albo mięta – wychrypiała przez obolałe, zdarte gardło.

Tak mocno kręciło jej się w głowie, że nie śmiała puścić balustrady. Poszukała wzrokiem Charlesa i zobaczyła go na ławce na górnym pokładzie. Szkicował dwóch małych chłopców, którzy bawili się modelami samolotów. Była trochę zadowolona, że nie widzi, jak wymiotuje, a trochę zazdrosna o tych malców. Celeste znosiła podróż niemal tak samo źle jak ona, ale spędzała ją w swojej zaciemnionej kabinie. Dimity żałowała, że nie umie zachować takiego spokoju i godności w obliczu cierpienia. W głowie słyszała huk, bo krew tętniła jej w skroniach tak, jakby nagle podwoiła objętość. Jedyne, co mogła zrobić, to utkwic wzrok w horyzoncie i trzymać się barierki na zawietrznej burcie. Delphine wróciła z kambuza z gałązką mięty i pytaniem, czy powinna ją zagotować, ale Dimity wyrwała przyjaciółce zdobycz i zaczęła żuć surowe liście w rozpaczliwej nadziei, że ukoją skurcze jej żołądka. Mięta maskowała przynajmniej nieprzyjemny posmak w ustach. Élodie obserwowała ją zde gustowana, ale ze śladem współczucia.

– Na miejscu zobaczysz, że było warto, naprawdę – oświadczyła z przekonaniem.

Po jakimś czasie zmęczona Dimity zeszła pod pokład i zasnęła na ławce pod oknem. Nie miała pojęcia, która była godzina, kiedy obudziła ją Delphine. Dziewczynka potrząsała ją za ramiona z twarzą rozjaśnioną

podekscytowaniem.

– Chodź, zobacz! – wołała, ciągnąc Dimity za rękę, dopóki ta nie stanęła chwiejnie na nogi.

Delphine zaprowadziła ją na pokład, gdzie przy barierce stali już Charles, Celeste i Élodie. Wychodząc na oślepiające słońce, Dimity instynktownie zamknęła oczy. Czerwone płomienie raziły ją nawet przez zaciśnięte powieki. Kiedy zdołała je unieść, wzdrygnęła się, uderzona wszechogarniającą falą światła.

– Zobacz! Jesteśmy na miejscu. To Maroko! – powiedziała Delphine, przyciągając ją bliżej balustrady. Gdy Dimity wreszcie przejrzała jasność, wydała stłumiony okrzyk zachwytu.

Ponad powierzchnią wody za łukiem portowych zabudowań piętrzył się Tanger, a bił od niego taki blask, że trudno było na niego patrzeć. Dimity zobaczyła stłoczone białe domki, przypominające rozsypane klocki, a między nimi palmy i strzeliste wieże. Jaskraworóżowe kwiaty pięły się gdzieniegdzie po ścianach lub zwieszały z balkonów. Miasto zdawało się lśnić nad roziskrzoną, turkusową wodą. Port wypełniały statki wszelkich kształtów i rozmiarów, od maleńkich łódeczek rybackich w każdym kolorze pod słońcem aż po potężne parowce towarowe i statki pasażerskie takie jak ten, którym płynęła. Ciemnoskórzy mężczyźni o surowych twarzach kłócili się i dobijali targu w doku, ładując i wyładowując towary. Kolejni – jeden o skórze koloru melasy w wydętej zielonej szacie i drugi, biały, w eleganckim lnianym garniturze – toczyli zajadły spór. Dimity chłonęła to z buzią rozdziawioną ze zdumienia. Ich głosy były dla niej dziwnym bełkotem, równie niezrozumiałym jak widok, który się przed nią rozciągał. Tak jak powiedziała kiedyś Delphine, morze miało tu inny odcień błękitu niż w Anglii, podobnie jak niebo. Smukłe wieżyczki wyglądały osobliwie, niczym nie z tego świata. Wydawały jej się zbyt wysokie i delikatne, żeby przetrwać burzę. W powietrzu czuła nie tylko zapach morza, ale też żaru i kurzu, przypraw, których nie potrafiła nazwać, i kwiatów, których nigdy wcześniej nie widziała. Oszołomiona, odwróciła się, żeby spojrzeć na Delphine, i zobaczyła utkwione w niej cztery pary oczu i uśmiechy wywołane jej zdumioną miną.

Élodie roześmiała się.

– Szkoda, że nie możesz się zobaczyć, Mitzy. Mówiłam, że będzie warto, prawda? – triumfowała.

Dimity przytaknęła bez słowa. Celeste poklepała ją lekko po zaciśniętej na balustradzie dłoni.

– Biedna Mitzy! Pewnie nie wiesz, co o tym wszystkim myśleć. Po prostu oddychaj tą atmosferą, zanurz się w niej, a wkrótce ją pokochasz. To właśnie Maroko, mój dom. Kraj cudów i piękna, ale też okrucieństwa i biedy. Krajobraz mojego serca – powiedziała, odwracając się znów, żeby podziwiać widoki. Słońce nie raniło oczu Celeste; połyskiwało na jej włosach, ożywiając ich czerń.

– Chodźcie – rzekł Charles. – Pora zejść na ląd i znaleźć coś do jedzenia. Kiedy wasze żołądki się uspokoją, będziecie umierały z głodu, moje panie.

– Jak ci się podoba? – zapytała Delphine, biorąc Dimity za rękę. Ścisnęła ją mocno, kiedy schodziły ze statku.

Dimity szukała słów, które wyraziłyby jej uczucia. Że cały ten żar, światło i kolory rozpierały ją w środku, napełniając jej duszę radością. Że nie mogła do końca uwierzyć, że takie miejsce naprawdę istnieje.

– To jest... to jest... jak sen. To chyba jakiś zupełnie inny świat – odpowiedziała schrypniętym głosem, czując pulsowanie krwi w głowie.

– Masz rację – zgodziła się Delphine z uśmiechem. – To zupełnie inny świat.

Zostali w Tangerze tylko jedną noc. Dimity źle spała. Leżała, wdychając obce powietrze i nieznanome zapachy, od których kręciło jej się w głowie, półprzytomna, odurzona tymi wrażeniami. Wszystko było inne i dziwaczne, jak w baśniowej krainie. Budziła się wiele razy z wrażeniem, że ziemia, na której się znalazła, jest wydrążona w środku, niestabilna. Jakby ta pusta skorupa mogła się pod nią załamać i posłać ją w nicość. Po pewnym czasie zrozumiała, dlaczego tak się czuje.

Brakowało jej huku morza; w Blacknowle zawsze czuła pod stopami jego echo, słyszała bicie ogromnego serca. Bez niego czuła się zwiewna jak duch, jak latawiec, który zerwał się ze sznurka. W jednym ze snów to jej własne, ciężkie serce przestało bić, a przebudzenie było niczym ponowne narodziny w nowej skórze.

Wynajęli samochód z szoferem na długą podróż do Fezu,

spowalnianą jeszcze przez piasek, który zasypał drogę w niektórych miejscach. Pojazd kołysał się lekko na wietrze. Inni spali, ale Dimity wyglądała przez okno, wciąż zdumiona tym, jak ogromne, dzikie i inne było wszystko wokół niej. Bezchmurne niebo wydawało się surowe i bezlitosne. W ostrym słońcu ziemia lśniła żarem; jak okiem sięgnąć widać było tylko brązowy pył, skały i spalone rośliny. Dimity zdawało się, że daleko przed nimi widzi na szosie obłok kurzu, unoszący się za innym pojazdem, ale nie była tego pewna.

Późnym popołudniem, gdy nawet najmniejsze kamienie i zarośla rzucały już długie cienie, wyrosło przed nimi miasto, płózące się nisko na rozległej równinie. Na początku Dimity myślała, że jest nie większe od Wareham, ale im bliżej podjeżdżali, tym dalej zdawało się rozciągać. Wszyscy się obudzili, a Celeste wyjaśniła, że niewielka grupka budynków, którą Dimity wzięła za całe miasto, to w rzeczywistości jedynie dzielnica kolonialna, w której mieszkają Francuzi i inni Europejczycy.

– Bo uważamy, że jesteśmy zbyt wyjątkowi, żeby mieszkać wśród Arabów i Berberów – dodała łagodnie Delphine.

– Bo jesteśmy na tyle roztropni, żeby zachować do nich pełen szacunek dystans – poprawił ją Charles.

– Za tymi budynkami znajduje się Fez el-Jdid. Nowy Fez. – Celeste wskazała miasto, w którym na zacienionej stronie ulic paliły się już latarnie.

– Naprawdę jest nowy? Myślałam, że to stare miasto – powiedziała Dimity.

– Nowy jest tylko w porównaniu ze starym. I tak ma kilkaset lat, Mitzy. Ale starsza część, Fez el-Bali, to najstarsze miasto w Maroku, którego nie zbudowali Rzymianie ani inny starożytny lud. Oto i ono. Zobacz!

Celeste szerokim gestem wskazała widok, który odsłonił się przed nimi, kiedy samochód stanął na skraju doliny. Poniżej rozlewało się miasto, w którym dachy były rozmieszczone tak ciasno i chaotycznie, że biegu żadnej z ulic nie dało się prześledzić na więcej niż kilka metrów.

Wysiedli z samochodu. Stanęli obok siebie w szeregu i patrzyli na miasto.

Z południa owiewał ich spokojny wiatr, który wydawał się jeszcze gorętszy niż stojące powietrze, niczym oddech jakiegoś ogromnego zwierzęcia. Celeste odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się.

– Wiatr wieje dziś od pustyni. Czujesz ten żar, Mity? Czujecie, dziewczynki? To pustylny wiatr, *arifi*, spragniony wiatr. Czuć jego siłę. W taki dzień jak dziś słońce pustyni zabiłoby człowieka równie szybko jak nóż wbity w serce. Wysysa z krwi całą energię. Sama to czułam. Pokusa, żeby się położyć, jest ogromna, a potem przestajesz istnieć. Znikasz, zamieniasz się w kolejne ziarenko w oceanie Sahary.

– Celeste, straszysz je – napomniał ją Charles, ale Celeste uniosła wyzywająco podbródek.

– Może powinny się bać. To nie jest przyjemne miejsce. Należy mu się szacunek.

Dimity wyprostowała plecy, usiłując otrząsnąć się ze znużenia długą podróżą, żeby nie zasnąć i nie obrócić się w garstkę piachu. Wszyscy poczuli to samo, senną bryzę niosącą strach. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał i słychać było tylko cichy jęk wiatru i brzęczenie much.

Nagle rozległ się męski śpiew.

Dimity nigdy nie słyszała podobnej pieśni. Wysoki, cienki głos wyśpiewywał strumień słów, łagodnych, ale głęboko poruszających, bogatych w znaczenia, których nigdy by nie pojęła. Z miasta nie dobiegały odgłosy samochodów i ruchu ulicznego, a jedynie szczekanie psów, turkot kół, a od czasu do czasu ryk muła albo meczenie kozy; cichy szmer życia w dużym skupisku.

– Dlaczego ten mężczyzna śpiewa? I o czym? – zapytała Dimity, nie wiedząc, do kogo właściwie się zwraca. Mówiła ściszym głosem, nie mogąc oderwać oczu od labiryntu rozciągającego się poniżej.

– To muezin, taki duchowny, który wzywa wiernych na modlitwę.

– Jak dzwony kościelne w domu?

– Tak – przyznał ze śmiechem Charles. – Właśnie tak.

– Ta piosenka podoba mi się bardziej niż dzwony – oceniła Dimity.

– Ale nie wiesz, o czym śpiewa, jakie wypowiada słowa – zauważyła Celeste poważnym tonem.

– W piosence to nie ma takiego znaczenia. Piosenka to tylko

w połowie słowa, druga połowa to muzyka. A muzykę rozumiem. – Zerknęła na Charlesa i zobaczyła, że przygląda jej się z zadumą.

– Dobrze, Mitzy – pochwalił ją. – Bardzo dobrze.

Dimity zarumieniała się z radości.

– Dziewczynki, wiecie, że fundamenty Fez el-Bali położono w miejscu obozu Berberów?

– Tak, mamusiu. Już nam o tym mówiłaś – przypomniała Élodie. Celeste otoczyła córki ramionami i uśmiechnęła się.

– No cóż, niektóre historie warto opowiedzieć więcej niż raz.

W waszych żyłach płynie krew Berberów. Macie to miasto we krwi.

– I jak, Mitzy? Co o tym myślisz? – zapytał Charles, a Dimity poczuła, że wszystkie oczy zwracają się na nią w oczekiwaniu na jej opinię albo błyskotliwy komentarz.

– Nic o tym nie myślę... – wyszeptała i zobaczyła rozczerowanie na twarzach Charlesa i Celeste. Przełknęła ślinę i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co powiedzieć, ale miała mętlik w głowie. – Nie mogę się skupić. Za dużo tu... wszystkiego – wyjaśniła.

Charles uśmiechnął się i poklepał ją pocieszająco po ramieniu.

– Spokojnie. Na pewno jesteś zmęczona. Chodźcie. Wracamy do samochodu i jedziemy do naszego pensjonatu – zarządził.

– Nie zatrzymamy się u twojej rodziny, Celeste? – zapytała Dimity, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Delphine rzuciła jej znaczące spojrzenie, a Celeste zmarszczyła lekko brwi.

– Nie – odpowiedziała krótko.

Przed bramą miasta musieli wysiąść z samochodu, bo ulice były zbyt wąskie, żeby nimi przejechać. Ostatnie kilkaset metrów do miejsca, w którym nocowali, pokonali pieszo. Riad, który miał im posłużyć za pensjonat, miał wysokie, rzeźbione drzwi, ale podobnie jak inne budynki na wąskiej ulicy wyglądał na zrujnowany. Dimity czuła lekkie rozczerowanie, dopóki nie przeszli przez bramę na wyłożony kafelkami dziedziniec z marmurową fontanną pośrodku. Otaczały ją kamienne ławy wyściełane spłowiałymi matami i poduszkami. Filary podtrzymujące wyższe piętra domu porastały bujne róże. Dziewczynki równocześnie spojrzały z zachwytem w górę. Wspaniale było wejść do

budynku i zobaczyć nad sobą połąć bezchmurnego, bladozielonego nieba. Świeciła na nim jedna gwiazda, pojedynczy, lśniący punkcik. Podłogę pokrywała misterna niebiesko-biała mozaika, a ściany były po części wyłożone płytkami, a po części otynkowane i pomalowane. Liczne niedoskonałości, takie jak wyszczerbione kafelki, pęknięcia i puste miejsca po obluźowanych i zagubionych płytkach, tylko pogłębiały magiczną atmosferę tego miejsca.

– W Dorset tak nie budują, prawda? – powiedziała Celeste na ucho Dimity, która bez słowa pokręciła głową.

Usiedli na dziedzińcu, dokąd przyniesiono im tacę z bardzo słodką miętową herbatą. Służący biegł tam i z powrotem po schodach, wnosząc ich bagaże z wózka ręcznego po kilka walizek naraz. Dimity patrzyła na chłopca, na jego kręcone czarne włosy i skórę koloru kawy. Kiedy zobaczyła go z jej małą, sfatygowaną torbą z materiału, poczuła dziwny ucisk w żołądku. Jeszcze nikt niczego za nią nie niósł, a co dopiero służący. Ktoś, kogo mogła o coś poprosić, kto miałby obowiązek spełnić jej życzenie. Wykręcała szyję, żeby nie tracić go z oczu najdłużej, jak to możliwe, dopóki nie zniknął na klatce schodowej. Delphine, która siedziała obok niej, dała jej kuksańca w zębra i rzuciła kolejne znaczące spojrzenie.

– Przyznaję, niczego sobie – szepnęła. – Ale nie może się równać z Tyronem Powerem.

Ich stłumiony śmiech potoczył się po dziedzińcu, odbijając się od kruszejącego różowego tynku.

Dimity, Delphine i Élodie miały dzielić sypialnię z nisko sklepionym sufitem. Zwisiała z niego lampa w żelaznej osłonie w geometryczne wzory, pokrywająca pokój świetlistą mozaiką. Podłoga była chłodna i wyłożona płytkami, a na ścianach łuszczyła się farba w kolorze ochry. Za łóżka miały im służyć niskie, twarde materace z małymi podglówkami zamiast poduszek i cienkimi kocami złożonymi w nogach. Wysokie okna zabezpieczone kamienną balustradą wychodziły na sąsiedni budynek. Z prawej strony w dole wzgórza widać było resztę miasta.

Niebo przybrało odcień aksamitnej czerni; skrzyło się na nim więcej gwiazd, niż Dimity widziała w życiu.

– Wygląda jak inne niebo, prawda? – zapytała Delphine, przysuwając się niej. Za nimi Élodie stawiała na rękach przy ścianie, pozwalając, by spuszczone nogawki piżamy odsłoniły jej chude łydki. – Trudno uwierzyć, że ten sam księżyc i te same gwiazdy świecą nad Anglią.

– W Blacknowle latem zdarzają się noce, kiedy widać tyle samo gwiazd albo prawie tyle samo. Ale niebo nigdy nie jest takie czarne, a gwiazdy nigdy nie świecą tak jasno – powiedziała Dimity. – Czy nocą nie robi się chłodniej?

– Tak, nad ranem, a na pustyni jest bardzo zimno. Ale tu, w mieście, ciepło utrzymuje się jeszcze długo po zachodzie słońca. Budynki je zatrzymują – wyjaśniła Delphine.

Dimity patrzyła w dół na wąskie uliczki i niemal widziała zalegające tam gorące powietrze, tłuste i ociążałe jak przekarmiony pies. Nagle ogarnęło ją takie zmęczenie, że zachwiała się i musiała oprzeć się na balustradzie, żeby nie upaść.

– Dobrze się czujesz? Może piłaś za mało wody?

– Nie... nie wiem.

– Tu trzeba bardzo dużo pić, nawet kiedy nie czujesz pragnienia. Inaczej zemdlejesz od upału. Przyniosę ci wody.

– Przynieś i mi, Delphine! – zawołała Élodie, nadal do góry nogami, za wychodzącą z pokoju siostrą.

Dziewczynki nie spały do późna. Élodie i Dimity słuchały z zapartym tchem dramatycznych opowieści Delphine o porywaczach białych ludzi w Maroku. Mężczyźni, którzy wpadli w ich ręce, do śmierci pracowali przy budowie pałaców, dróg i całych miast, a kobiety musiały wziąć ślub z grubymi, brzydkimi sułtanami, a później do końca życia mieszkać w haremie, którego nigdy nie mogły opuszczać. W końcu dwie młodsze dziewczynki zmorzył sen, ale Dimity mimo zmęczenia nie mogła zasnąć na długo po tym, jak w całym domu zapadła cisza. Stała przy oknie, zaciskając dłonie na ciepłej kamiennej balustradzie, i oddychała głęboko, próbując rozpoznać zapachy, niesione gorącym, ciężkim powietrzem.

Czuła róże i jaśmin; żywiczną woń cyprysów, które pachniały podobnie jak targane morskim wiatrem sosny w Dorset. Bryza przywiała

też intensywny ziołowy aromat, przywodzący na myśl szałwię albo rozmaryn, oraz odór rozgrzanych skór zwierząt, obornika i ludzkich nieczystości – fetor wychodka, słodki i znajomy, który podnosił się od czasu do czasu. Czowała również ostry, skórzany, mięsisty zapach, którego nie umiała zidentyfikować; miał metaliczną nutę, zupełnie jak krew, i wzbudził w niej niepokój; towarzyszył mu gryzący aromat przypraw, które kojarzyła z posiłkami u Aubreyów, z bastelą przyrządzaną często przez Celeste. Lecz wśród tych wszystkich nowych zapachów uderzył ją pewien brak – nieobecność słonego oddechu morza. Na myśl o Littlecombe i Blacknowle Dimity wzdrygnęła się lekko. Zauważyła, że wydają jej się bardzo odległe, nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie, jak gdyby całe jej życie do tego momentu było tylko snem, który teraz szybko zacierał się w jej pamięci, jak wszystkie sny po przebudzeniu. To było całkiem nowe życie, w którym nie prześladował jej już puls morza; w którym nie musiała żyć w jego rytmie. W tym życiu mogła być wolna i swobodna, inna i nieznana. Zacisnęła kurczowo palce na kamieniu tak szczęśliwa, że nie była pewna, czy uda jej się to znieść.

Rano po śniadaniu Celeste przygotowała córki na wizytę w domu jej rodziców, który stał poza murami Fez el-Bali, wśród bardziej przestronnych ulic Fez el-Jdid. Wyszczotkowała dziewczynkom włosy i upięła je szybkimi ruchami nerwowych palców, a potem poprawiła im spódniczki i bluzki. Dimity spojrzała na własny strój – miała na sobie tę samą znoszoną filcową spódnicę, którą nosiła często w domu – i wygładziła ją z zakłopotaniem.

– Czy mogę iść tak ubrana? – zapytała zaniepokojona, a Celeste przez chwilę patrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami, a potem w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Och, Mitzy! Przykro mi, ale na tę wizytę muszę pójść tylko z córkami. Nie widziałam rodziców już ponad rok... A po tak długim czasie na pierwszym spotkaniu powinniśmy być sami. Rozumiesz? – Stała przed Dimity, położyła jej ręce na ramionach i popatrzyła na nią. Dimity skinęła głową, czując, jak ściska ją w gardle. – Grzeczna dziewczynka. Charles wyszedł na spacer, ale po powrocie na pewno będzie chciał zacząć pracować nad jakimiś szkicami. Wrócimy... No cóż. Nie jestem pewna kiedy. To zależy... Tak czy inaczej, zobaczymy

się później. – Poprowadziła młodsze dziewczynki w kierunku drzwi, a przechodząc obok Dimity, obie posłały jej uśmiech, Delphine przepraszający, a Élodie niewzruszony. Celeste obejrzała się na nią z korytarza. – Nie możesz tu nosić tych wełnianych ubrań. Będzie ci za gorąco. Kiedy wrócimy, znajdę ci coś lżejszego – skinęła głową na potwierdzenie tej obietnicy, a potem odeszła.

Dimity została sama. Objęła się mocno ramionami, walcząc z falą niepokoju. Sparaliżowana niepewnością nie wiedziała, czy zostać w pokoju, czy z niego wyjść. Nie wiedziała, jak powinna się zachować, jakie obowiązują tu reguły. Zakradła się na palcach do schodów i spojrzała w dół na dziedziniec, na którym szemrała fontanna. Chłopiec z kręconymi włosami zamiatał podłogę miotłą ze sztywnego włosia. Słyszała echo ściszonych głosów, strumień płynnych, niezrozumiałych dźwięków, których sens jej umykał. Obeszła taras, na który wychodziła ich sypialnia, podziwiając ozdobne kafelki i rzeźbienia na drewnianych drzwiach. Obejrzała dziedziniec z każdej możliwej strony, a potem patrzyła na niebo, błękitne i bezchmurne. Nigdy nie widziała tak pięknego budynku, nie była w środku, a tym bardziej nie mieszkała w żadnym podobnym miejscu. W końcu zebrała się na odwagę, żeby zejść po schodach, ale na dole zobaczyła, że drzwi wejściowe są zamknięte. Upewniwszy się, że droga jest wolna, podeszła do nich i chwyciła za klamkę, usiłując je otworzyć, ale ani drgnęły. Nagle obok niej pojawił się służący, który odezwał się, błyskając uderzająco białymi zębami na tle ciemnej twarzy. Dimity cofnęła się, uderzając plecami o drzwi. Chłopiec uśmiechnął się i znów coś powiedział. Tym razem jego słowa brzmiały niemal znajomo, jak francuski, którego używali czasem Charles i Celeste. Ale chociaż rozróżniała wyrazy, nadal nie rozumiała ich znaczenia. Odsunęła się powoli od służącego, a potem odwróciła i uciekła na piętro.

Wiele godzin później leżała na swoim niskim materacu, wpatrując się w sufit. Chwilami zapadała w drzemkę, śniąc urywany sen, że zabłądziła na tym rozległym, suchym pustkowiu, którym jechali dzień wcześniej. Czuła, jak wiatr obraca ją w piasek i unosi, ziarenko po ziarenku. Obudziły ją kroki na korytarzu i nagłe pukanie do drzwi. Zanim zdążyła odpowiedzieć, do pokoju zajrzał Charles. Opalił się na

policzkach i grzbiecie nosa, a włosy miał spocone i potargane. Dimity podniosła się chwiejnie, odgarniając włosy z twarzy i usiłując się skoncentrować. Nie była pewna, czy kręci jej się w głowie dlatego, że za szybko wstała, czy z wrażenia, że go widzi.

– Mitzy! Co ty tu robisz sama?

– One poszły do rodziny Celeste, ale ja nie mogłam iść z nimi, bo nie jestem rodziną – odpowiedziała, przecierając zaspane oczy.

Charles zmarszczył brwi.

– Nie powinna cię była tak zostawić, to nieładnie. Chodź. Jesteś głodna? Miałem zamiar pójść coś zjeść, a potem wybrać się mułem do grobowców Marynidów nad miastem. Chciałabyś pojechać ze mną?

– Tak – odpowiedziała szybko, a potem zaczęła się zastanawiać, jak zachowa przyzwoitość, siedząc na mule w filcowej spódnicy.

Szła za Charlesem zakurzonymi ulicami do serca Starego Fezu, niemal biegnąc, żeby dotrzymać mu kroku. Torowała sobie drogę w tłumie ludzi poruszających się jak ospałe węże we wszystkich kierunkach. Ich ubrania były kredowoszare, płowe albo brązowe, w kolorach pustyni – jakby piasek, skały i skruszały tynk stały się już ich częścią. Wielu handlarzy prezentowało swoje towary na hakach przed sklepami, przez co na ulicy robiło się jeszcze ciaśniej. Dimity widziała wielkie metalowe talerze i słoiki, bele materiału, ogromne pęki suszonych ziół, rozmaite wyroby ze skóry, latarnie, kosze, części maszyn i narzędzia o niewiadomym przeznaczeniu.

– Nie wejdziemy zbyt głęboko w miasto. Niedaleko stąd jest mała knajpka, w której możemy coś zjeść, a człowiek z domu obok wynajmie nam muły na resztę dnia! – zawołał Charles przez ramię.

Dimity uniosła głowę, słysząc trzepot skrzydeł; z dachu zerwało się stado śnieżnobiałych gołębi. Odprowadzały je wzrokiem dwie wysokie kobiety z balkonu nad ulicą, kobiety o skórze czarnej jak smoła, na której ich ozdoby w uszach i na szyi połyskiwały jak płomienie ognia. Dimity wpatrywała się w nie, dopóki nie wpadła na kobietę idącą z naprzeciwka. Miała zasłoniętą twarz i szarą szatę, która zakrywała ją od stóp do głów; jej rąbka trzymały się dzieci ubrane w jedwabne kaftany w różnych odcieniach indygo, zielonkawej żółci i przydymionej czerwieni, piękne i delikatne jak skrzydła motyla. Kobieta wymamrotała

coś gniewnie, a dzieci zachichotały i uśmiechnęły się, mijając Dimity. Skręcili w stromą wybrukowaną uliczkę. Charles odwrócił głowę, żeby ją uprzedzić:

– Uważaj, gdzie stawiasz stopy, niedaleko jest rzeźnik. – Dimity ze zdziwieniem spojrzała w dół i zobaczyła rzekę jasnoczerwonej krwi, która spływała środkiem alejki, pieniąc się i falując na bruku. Szybko przeszła na bok; pojedyncze białe piórko minęło ją jak miniaturowa łódeczka w tym złowrogim potoku.

– Z ilu zwierząt pochodzi ta krew? – zapytała.

– Z wielu, bardzo wielu. Ale to nie jest czysta krew, tylko woda z krwią. Rzeźnicy wylewają całe kubły ze sklepów – wyjaśnił Charles. Zerknął na nią przelotnie. – Na takiej łowczyni jak ty ten widok chyba nie robi wrażenia?

– Nie, panie Aubrey – odpowiedziała, kręcąc głową, mimo że czuła w kolanach dziwną miękkość. Podobało jej się, że nazwał ją łowczynią.

Zapach krwi był ostry i intensywny. Ostrożnie cofnęła się o kolejny krok od czerwonego strumyka, ale zahaczyła o coś piętą i potknęła się. Zobaczyła pod stopami oko i odskoczyła z obrzydzeniem. Leżały tam setki wpatrzonych w nią, nieruchomych kozich oczu. Obok wznosił się stos obciętych głów kóz z czerwonymi śladami na szyjach; widziała proste ząbki za odciągniętymi wargami. Staruszek stojący za tą obrzydliwą stertą zaczął się z niej śmiać. Dimity pobiegła za Charlesem, czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Miejsce, w którym zjedli lunch, nie było prawdziwą restauracją, tylko wnęką w ścianie, odgrodzoną drewnianymi parawanami, w której starsza kobieta przyrządzała podpłomyki na rozgrzanej, aż dymiącej od ciepła blasze. Napelniła je jajecznicą z oliwkami, zręcznie złożyła i podała zawiniątka Charlesowi. Usiedli na starym progu naprzeciwko sklepiku i zjedli je, parząc wargi gorącym chlebem. Musieli oganiać się od tłustych much w metalicznym niebieskim kolorze, które latały wokół z głośnym bzyczeniem. Chociaż o to nie prosili, jakiś chłopiec przyniósł im dwie szklanki herbaty. Charles wytarł palce w spodnie, a potem wziął je od niego i wręczył mu w zamian monetę. Zachowywał się całkowicie swobodnie, jakby był przyzwyczajony do tego sposobu życia, który Dimity wydawał się tak obcy. Starła się nie okazywać zdziwienia

i ignorować obcesowy, zaciekawiony wzrok mijających ich Arabów. Charles rzucił jej przelotny uśmiech, jakby właśnie dostrzegł ich zainteresowanie.

– Nie odchodź sama, dobrze, Mitzy? To dość bezpieczne miejsce, ale łatwo się zgubić w starym mieście. Sam zabłądziłem podczas pierwszej wizyty. Błąkałem się cztery godziny, zanim znalazłem drogę do wyjścia! W końcu upatrzyłem sobie jednego muła i po prostu szedłem za nim. Na szczęście zaprowadził mnie do którejś z bram i stamtąd już trafiłem. Najlepiej, żebyś trzymała się blisko mnie.

– Dobrze. Obiecuję – zapewniła.

Charles ugryzł kolejny kęs i przez chwilę przeżuwał go zamyślony.

– Rodzi mi się w głowie nowy obraz. Nie widzę go jeszcze do końca, ale wydaje mi się, że chodzi o pustynię, nie o miasto... zobaczymy. Skoro tu przyjechałaś, musisz zobaczyć miejscowe garbarnie. Są naprawdę fascynujące. Ale nie pójdziemy tam od razu po lunchu. Zapach jest zbyt intensywny – powiedział z uśmiechem.

Dimity skinęła głową. Była gotowa na wszystko, co zaproponuje Charles.

Ich muły miały na grzbietach niewykończone siodła z różowawej skóry. Unosił się z nich mięsisty zapach, który mieszał się z odorem zwierząt. Charles dłuższą chwilę targował się po francusku z właścicielem zwierząt, by ostatecznie wręczyć mu kilka monet z miną człowieka, który wie, że przepłaca. Dopiero gdy na nie wsiedli i ujechali kawałek, mrugnął do Dimity i zdradził jej szeptem, że dostali muły po okazyjnej cenie. Dimity nie miała wyboru – żeby dosiąść swojego muła, musiała podkasać spódnicę wokół bioder. Teraz pociła się pod kocem, który dostała, żeby się przysłonić. Przewiązała się nim w pasie jak ogromnym fartuchem, a szorstki materiał drażnił jej kolana. Już po kilkuset metrach siodło zaczęło boleśnie wbijać się jej w pośladki, ale jej muł podążał za mułem Charlesa posłusznie i w milczeniu, więc postanowiła zrobić to samo.

Jechali przez około godzinę w popołudniowej spiekocie, wciąż pod górę, na skaliste wzgórze na północ od miasta. Dimity widziała przed sobą kanciaste ruiny budynków zwieńczone blankami i uznała, że właśnie tam zmierzają. Z trudem utrzymywała się w siodle; pot spływał

jej wzdłuż kręgosłupa i paliła ją spieczona słońcem twarz. Charles chronił głowę kapeluszem z szerokim rondem, a Dimity żałowała, że nie ma podobnego. Włosy przylepiły jej się do czaszki i karku; marzyła o tym, żeby zanurkować do morza z kei w Tangerze i poczuć, jak chłodna turkusowa woda zamyka się nad jej głową. Przez długi czas słyszała tylko stukot kopyt mułów na kamieniach, skrzypienie siodeł i jęk wiatru. Potem, przed szczytem, rozciągnęło się przed nimi pole kozich skór ułożonych na ziemi, żeby wysuszyło je palące słońce. Zabarwione na intensywne odcienie czerwieni, błękitu i zieleni leżały na kamienistym gruncie jak płatki, które opadły z jakiegoś ogromnego kwiatu. Dimity wpatrywała się w nie, zdumiona kolorami, a jej muł stąpał między nimi.

Kiedy w końcu zatrzymali się przed wysokimi ruinami kamiennego grobowca, Charles zsiadł i upił długi łyk z butelki z wodą, a potem podał ją Dimity.

– A niech to, spaliłaś sobie twarz! Nie masz kapelusza? – zapytał. Dimity pokręciła obolałą głową, ale nie przejmowała się swoją twarzą, bo kiedy piła z tej samej butelki, było tak, jakby jej usta dotykały jego ust. – Trudno, założysz mój w drodze powrotnej. Chodź, usiądź na chwilę w cieniu.

Dopiero kiedy Dimity ześlizgnęła się sztywno ze swojego muła i usiadła tyłem do walącego się budynku, zrozumiała, dlaczego Charles zaproponował tę nieprzyjemną wyprawę w upale. W dole widzieli stąd cały Fez, otoczony równiną i skalistymi wzgórzami. Słońce kryło się powoli na zachodzie, więc pejzaż skąpany był w pomarańczowym blasku, a mury miasta zdawały się płonąć ogniem. Dimity wydała stłumiony okrzyk zachwytu, a Charles uśmiechnął się i odwrócił, żeby popatrzeć na miasto.

– Teraz rozumiesz, dlaczego starożytni królowie chcieli, żeby ten widok towarzyszył im na zawsze, prawda? – zapytał cicho.

Dimity kiwnęła głową. W medynie, gdzie ciemność wydawała się najgłębsza, zaczęły się zapalać światła. Połyskiwały jak spadające gwiazdy.

– Przez te wszystkie lata w Blacknowle nawet mi się nie śniło, że na świecie jest takie miejsce. To niesprawiedliwe, że istniało przez cały

ten czas, a ja nic o nim nie wiedziałam.

– Na świecie jest milion innych miejsc, Mitzy. Im więcej podróżujesz, tym lepiej rozumiesz, jak jest ogromny.

– Zabierze mnie pan w te miejsca, panie Aubrey? Zabierze mnie pan ze sobą, kiedy pan tam pojedzie? – Już chwilę po tym, jak wypowiedziała te słowa, nie mogła uwierzyć, że się na to odważyła.

Charles długo się nie odzywał, a Dimity poczuła, jak serce ścisną jej się w oczekiwaniu na nieuniknioną odmowę.

– Zrobię dla ciebie, co w mojej mocy, Mitzy. Kto wie, jaka czeka nas przyszłość? – powiedział w końcu.

Dimity zerknęła na niego; patrzył na miasto, a jego światła odbijały mu się w oczach. Miał skupione, nieobecne spojrzenie, jakby próbował zobaczyć tę przyszłość ukrytą przed nimi obojgiem. Mrugnęła, a jej serce zalała ulga. „Zrobię dla ciebie, co w mojej mocy, Mitzy”. Nagle te słowa zabrzmiały tak, jakby obiecał jej cały świat. „Dla ciebie, Mitzy”. Siedzieli tam długo, a niebo nad ich głowami stopniowo blakło, zastępując turkus bladym różem. Smugi nielicznych chmur lśniły srebrem i złotem wysoko nad nimi. Otoczył ich niebiański zapach; Dimity obejrzała się przez ramię i zobaczyła jaśmin, pnący się po ruinach ściany grobowca. Wychylał się nad nimi niczym altana ślubna, nasycając powietrze swym aromatem.

O zmroku, kiedy spragnieni i pokryci pyłem ulic wrócili do riadu, zastali na dziedzińcu Celeste i dziewczynki. Celeste i Élodie leżały przytulone na niskiej kanapie, a Delphine siedziała na krawędzi fontanny, nachylona nad nią, żeby śledzić nieustanny ruch wody. Słyszając głos Charlesa, Celeste podniosła wzrok, a Dimity ze zdumieniem zauważyła jej czerwone, opuchnięte oczy i twarz naznaczoną smugami słonych łez.

– Kochanie! Nic ci nie jest? Co się stało? – zapytał Charles, podchodząc do kanapy i kucając przed nią.

Dimity nie spodobały się jego słowa i gesty. Została w tyle, ominęła ich i usiadła obok Delphine, nadal wpatrzona w wodę. Przechodząc obok Celeste, poczuła na sobie spojrzenie kobiety. Nie musiała widzieć jej twarzy, żeby wiedzieć, co się na niej maluje. Ta sama niechęć co w kuchni w Littlecombe, kiedy zastała ją z nowym

portretem Dimity w dłoni.

– Powiem ci później. Gdzieś ty się podziewał? Martwiłyśmy się – głos Celeste był ochrypły.

– Przy grobowcach. Mówiłem ci, że chcę zobaczyć ten widok...

– I zabrałeś ze sobą Mitzy? Przecież ustaliliśmy, że jutro pojedziemy tam razem! Delphine tak o tym marzyła...

– Możemy pojechać jeszcze raz. Albo możesz sama zabrać dziewczynki, kiedy tylko chcesz. I oczywiście, że zabrałem Mitzy. Siedziała tu sama przez cały poranek.

– Mitzy na pewno potrafi znieść chwilę samotności – rzuciła Celeste z niebezpieczną nutą w głosie.

Dimity nie śmiała na nią spojrzeć. Zauważyła, że palce Delphine, które zataczały leniwe kręgi w wodzie, teraz znieruchomiały.

– Uznałem, że to nie byłoby w porządku – wyjaśnił ostrożnie Charles.

– Może nasze córki też chciałyby spędzić z tobą trochę czasu, Charlesie.

– Zabrałaś nasze córki do swojej rodziny. Czy świat miał przestać się kręcić i czekać z zapartym tchem na wasz powrót? – rzucił zimno Charles.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Dimity zaryzykowała i podniosła wzrok. Charles i Celeste patrzyli na siebie z wściekłością. Élodie, nadal wtulona w matkę, wyglądała na zdenerwowaną i nieszczęśliwą.

– Dziewczynki. Idźcie na górę do swojego pokoju – poleciła im Celeste.

Wszystkie trzy posłuchały bez słowa protestu.

Z dziedzińca dobiegało echo ich rozmowy. Dimity próbowała ukryć, jak bardzo chce ją usłyszeć, ale Élodie nie dała się zwieść – zaczęła nucić fałszywie jakąś piosenkę o żabie, zagłuszając słowa swoich rodziców. Ich kłótnia przypominała wzburzone morze, od cichych uwag po głośne wyrzuty, od szeptu aż po gniewny krzyk Celeste. Delphine wychyliła się przez balkon, jakby chciała się znaleźć jak najdalej od tego miejsca. Dimity podeszła do niej, bo i tak nie słyszała, o co się spierają. Przyjaciółka posłała jej lekki, zatroskany

uśmiech.

– Czasem im się to zdarza. Ale później zawsze znów się kochają – powiedziała.

– O co się kłóć? Twoja mama wyglądała, jakby wcześniej płakała.

– Zdenerwowała się w domu *grand-mère et grand-père*.

– Dlaczego?

– Widzisz... jej mama bardzo się ucieszyła, że ją widzi. Zjadłyśmy razem cudowny lunch. Jest Berberyjką, ale oczywiście już o tym wiesz. Ale potem do domu wrócił jej tata, a wtedy...

– Delphine! Nie musisz jej mówić wszystkiego! – burknęła Élodie, przerywając śpiew.

W ciszy po jej słowach dał się słyszeć podniesiony głos Charlesa:

– Zachowujesz się irracjonalnie. Jak zawsze po wizycie u rodziców!

– Dla ciebie zrezygnowałam z całego życia! – krzyknęła Celeste.

– Przecież dałem ci wszystko, o czym marzyłeś! – odparował Charles.

Élodie szybko podjęła przerwana piosenkę.

– Co zrobił jej ojciec? – spytała Dimity.

– Dziadek... wiesz, pochodzi z Francji i jest już stary. Mamusia mówi, że urodził się w innych czasach, a to znaczy, że ma staroświeckie poglądy. Nie chce jej widzieć ani z nią rozmawiać, i z nami też nie, dlatego, że...

– Dlatego, że nie mają ślubu?

– Tak.

Obie dziewczynki przez chwilę patrzyły w milczeniu na rozproszone światła miasta, słuchając Élodie. Zmęczona śpiewaniem dziewczynka myliła słowa, więc jej piosenka przestała mieć sens. Tymczasem głosy, które starała się zagłuszyć, ucichły. Élodie umilkła i wszystkie trzy wyczekiwały jakichkolwiek odgłosów, ale nic nie usłyszały. Pół minuty później Delphine wypuściła wstrzymywane powietrze i rozluźniła ramiona.

– No dobrze. Już po wszystkim – orzekła z cichą ulgą.

– Dlaczego się nie pobrali? – zapytała Dimity.

– O Boże, Mitzy, ale ty jesteś wścibska! – jęknęła Élodie, a chociaż

tym razem miała rację, Dimity i tak chciała poznać odpowiedź.

– Przez tatę. On nie może, bo...

– Delphine! Wiesz, że mamy nikomu nie mówić! – krzyknęła Élodie.

– Ja was nie wydam – zapewniła Dimity, ale Delphine przygryzła wargę i pokręciła głową.

– Nie mogę ci powiedzieć, ale ma ważny powód. Mamie zazwyczaj to nie przeszkadza. Teraz jest zła o to, jak traktuje ją jej ojciec. On nawet... on nawet nie wpuszcza jej do domu. Kiedy ją dziś zobaczył, wpadł we wściekłość. Ale widać po nim, że jemu też jest ciężko. To było okropne. Natychmiast zażądał, żeby pokazała mu dłoń. Zobaczył, że nie ma na palcu obrączki, i to wystarczyło. Powiedział, że ma wyjść. Biedna mamusia! Bardzo kocha swojego tatę – opowiadała z cichą rozpaczą Delphine, ale Dimity prawie jej nie słyszała.

Miała zamęt w głowie; próbowała połączyć ze sobą wszystkie informacje. Przypomniała sobie spojrzenie Celeste na dziedzińcu i słowa Élodie, która nie pozwoliła siostrze wyjaśnić sytuacji. Zaczęła rozumieć, dlaczego Charles nie chce się ożenić z Celeste, a odpowiedź, która przyszła jej do głowy, rozpała jej serce radością – tak jak wschód słońca rozpała niebo.

Następnego dnia Celeste zawołała Dimity do swojego pokoju i otworzyła płócienną torbę leżącą na łóżku. W środku było mnóstwo ubrań.

– Kiedy dorastałam, należały do mnie. Pomyślałam, że będą na ciebie pasować. Przyniosłam je wczoraj z domu rodziców... Będzie ci w nich wygodniej. – Wyciągnęła kilka rzeczy i podała je Dimity. Nie miała już opuchniętych oczu, ale na jej twarzy, otoczonej potarganymi włosami, wciąż rysował się smutek. – To jak? Chcesz je nosić czy nie?

– Tak, Celeste. Dziękuję – odpowiedziała potulnie Dimity, zwijając w dłoniach ubrania, które podała jej Marokanka. Były uszyte z lekkiej, delikatnej bawełny.

– No to nie stój jak kołek! Idź je przymierzyć! – warknęła Celeste. W jej oczach zalśniła złość, ale później znów wypełnił je smutek. – Przepraszam, Mitzy. Nie gniewam się na ciebie... To nie twoja wina, że... że tu jesteś. Jestem zła na... mężczyzn. Na mężczyzn w moim

życiu! Wymyślają różne reguły, żeby potem smagać nas batem. Idź już, idź. Przymierz ubrania. Najpierw wkłada się spodnie, a na wierzch długą tunikę. – Odprawiła Dimity machnięciem dłoni i pochyliła się znów nad płócienną torbą, wyciągając kolejne ubrania i układając je na łóżku.

W pokoju Dimity włożyła z pomocą Delphine luźne spodnie ze sznurkiem w pasie i mankietami zapinanymi w kostkach na guziki, lekki podkoszulek i długą, rozchyloną tunikę z rozszerzonymi rękawami, którą przewiązała wokół żeber szeroką wstęgą. Przypominało to szaty, w których Celeste często chodziła w Blacknowle, ale na własnym ciele strój wydał jej się dziwny i niezwykły. Zrobiła obrót i patrzyła, jak długi materiał wiruje wokół niej. Miał odcień głębokiego fioletu, a dekolt zdobił haft. W porównaniu z ciężkim filcem jej spódnicy to ubranie było tak lekkie, że prawie go nie czuła. Nigdy nie miała na sobie nic piękniejszego. Wsunęła stopy w swoje buty, a Delphine wybuchnęła śmiechem.

– Wyglądam głupio? – spytała Dimity.

– Wyglądasz ślicznie, ale... nie możesz nosić do tego tych starych, ciężkich buciorów! Nie pasują. Proszę, możesz pożyczyć moje sandały, dopóki nie masz własnych. Teraz wyglądasz jak prawdziwa Marokanka. Prawda, Élodie? – Delphine spojrzała na młodszą siostrę, która mierzyła je gniewnym spojrzeniem. Dimity uznała, że w takim razie musi jej być naprawdę dobrze w nowym stroju.

– Ale wcale nie jest Marokanką. Już my jesteśmy bardziej marokańskie od niej! Ja też chcę nosić kaftan. Idę powiedzieć mamie! – Élodie tupnęła nogą i wybiegła z pokoju.

– Nie bądź dzieckiem, Élodie! – zawołała za nią Delphine, a potem popatrzyła na Dimity i obie się roześmiały. – Ten chłopak, który tu mieszka, padnie z zachwytu na twój widok – stwierdziła Delphine.

Ale Dimity nie dbała o niego. Spojrzała w dół na kolorowy materiał, który spowijał jej ciało, i chciała wiedzieć, co pomyśli Charles.

Speszona, ale dumna z siebie Dimity zeszła z dziewczynkami na dół. Charles i Celeste czekali na jednej z kanap na dziedzińcu.

– I co? Jak wam się podoba nasza marokańska Mitzy? – zapytała Delphine, popychając lekko koleżankę, żeby obróciła się wokół własnej osi. Dimity wygładziła nerwowo jaskrawy materiał, tak by przylegał do

konturów jej ciała. Umiała poznać, że podoba się Charlesowi. Najpierw lekko rozszerzył oczy, a potem zmrużył je w zadumie. Kiedy przechylił głowę w bok, wiedziała, że jest niemal gotowy zacząć rysować albo malować. Celeste patrzyła na nią spokojnie. Dimity nie była pewna, jak odczytać jej wyraz twarzy, ale kiedy podeszła i usiadła obok niej, zauważyła, że ciało kobiety jest napięte i leciutko drży. Na jej nozdrzach widniały małe, blade półksiężyce, bo nawet one były nieruchome, sztywne, rozdęte.

– Ile masz teraz lat, Mitzy? – zapytała cicho.

– Zimą skończyłam chyba szesnaście.

– Chyba?

– Mama nigdy... Mama nigdy nie była do końca pewna, w którym roku się urodziłam, ale sama to jakoś obliczyłam.

– W takim razie jesteś już prawdziwą kobietą i możesz wyjść za mąż – skomentowała Celeste, wciąż trwając w tym nienaturalnym bezruchu, który napawał Dimity coraz większym niepokojem. Poczowała ulgę, kiedy Élodie zaczęła narzekać, że jest głodna, i wyruszyli, by zjeść gdzieś lunch.

W następnych tygodniach Charles wiele razy szkicował Dimity, jakby jej widok w marokańskim przebraniu wystarczył, żeby wizje w jego głowie połączyły się w całość. Eteryicznymi akwarelami, po które rzadko sięgał, namalował ją obok jednej z bram miasta, siedzącą przy studni, która ponoć mogła uzdrowić każdą kobietę z bólu pleców. Szkicował ją olejami, kiedy czerpała wodę z miejskiej fontanny zdobionej kafelkami i kiedy piła ze złożonych dłoni, podwinąwszy rozszerzane rękawy kaftana, żeby ich nie zamoczyć. Przed grobowcem Marynidów, gdzie pojechali ponownie z Celeste i dziewczynkami, narysował ją ukrytą za rozpadającą się budowlą na tle wspaniałej panoramy, która rozciągała się z tego punktu. A za każdym razem, kiedy mu pozowała, Dimity czuła na sobie każde pociągnięcie pióra, pędzla i grafitu, jakby to nie jego oczy, a dłonie nieustannie przesuwwały się po jej ciele. Drżała pod tym dotykiem, czując, jak jej skóra cierpnie i równocześnie płonie przy każdym wyobrażonym muśnięciu jego palców. Dwa czy trzy razy musiał ją poprosić, żeby otworzyła oczy, gdy nieświadomie przymknęła je, skupiając całą uwagę na rozkoszy, która ją

rozpierała.

A Celeste, kiedy to zauważała, patrzyła na Dimity poważnie i badawczo, jakby czytała jej w myślach i podejrzewała, dlaczego zamyka oczy. Kiedy Charles opowiadał im o planowanym obrazie, scenie na berberyjskim rynku z młodą dziewczyną symbolizującą wszelkie możliwe piękno na tej jałowej ziemi, Celeste zaproponowała, żeby wybrał modelkę spośród dwóch prawdziwych berberyjskich dziewcząt i jednej berberyjskiej pani domu. Dimity zaniepokoiła się, ale Charles wzruszył tylko ramionami i rzucił z roztargnieniem:

– Widzę na nim Mitzy. Jest w odpowiednim wieku, będzie do tego idealna.

„Idealna, idealna”... – dźwięczało jej w uszach.

– Delphine jest młodsza o niecałe dwa lata i ma tyle samo wzrostu – zauważyła Celeste.

– Ale Delphine nie ma tego, co Mitzy... – urwał zakłopotany.

– Czego? – zapytała Celeste, a w jej głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta.

– Nieważne.

– Czego, Charlesie? Powiedz. Wyjaśnij mi, co cię w niej tak fascynuje, że na każdym obrazie umieszczasz jej twarz zamiast twarzy twoich córek albo twojej kochanki? – Celeste pochyliła się nad nim, wpatrując mu się w oczy.

Dimity była zadowolona, że Delphine i Élodie stoją daleko od nich i nie słyszą tej rozmowy. Płonęły jej policzki. Spuściła pokornie wzrok, nie chcąc zwracać na siebie uwagi Celeste.

– Nic, Celeste. Chodzi tylko o jej wiek, a poza tym nie powinienem chyba malować własnego dziecka jako symbolu rozkwitającego piękna...

– Rozumiem. Czyli ja nie jestem dla ciebie dość młoda, a Delphine – dość piękna. Brak ci lojalności, ale szczerości nie można ci odmówić – warknęła Celeste, podnosząc się i wbijając w Charlesa bezlitosne spojrzenie.

Dimity zerknęła na nią ukradkiem, ale kiedy roziskrzzone oczy Marokanki spoczęły na niej, natychmiast odwróciła wzrok. Zapadła przerażająca cisza. Potem Celeste odeszła bez słowa, a ogarnięta ulgą

Dimity zaczęła rozkoszować się słowami Charlesa o jej urodzie.

Przez dziesięć dni chodzili razem na wycieczki w przerwach między przyływami twórczego zapachu Charlesa. Dimity zauważyła, że Celeste trzyma się blisko swoich córek, zamiast iść obok niej albo Charlesa, i była z tego zadowolona. Zwiedzili el-Attarine, rozległy, kryty strzechą suk w centrum miasta. Ten, kto umiał rozeznąć się w gąszczu stłoczonych sklepów, mógł tam znaleźć każdy towar pod słońcem. Wspięli się po schodach jednego z domów, wynagradzając mieszkającego w nim staruszka kilkoma monetami, i weszli na dach, żeby zobaczyć kadzie do garbowania i farbowania skór; rzędy białych glinianych dołów wypełnionych śmierdzącymi skórami i środkami garbarskimi; barwniki we wszystkich kolorach tęczy. Patrzyli, jak ludzie lepia, malują i wypalają niebieskie i białe naczynia oraz kafelki; a raz, niechcący, zobaczyli, jak rzeźnik wiesza małą, brązową kózkę za tylne nogi i podrzyna wierzgającemu zwierzęciu gardło. Z innego miejsca oglądali zielonkawą wieżę Meczetu Al-Karawijjin, wyłożone mozaiką budynki uniwersyteckie i otaczające je dziedzińce, na które nie mieli wstępu niewierni.

– Co by się stało, gdyby do środka wszedł chrześcijanin? – zapytała Dimity, pełna podziwu dla piękna i przepychu tego miejsca.

– Myślę, że lepiej tego nie sprawdzać – odpowiedział Charles.

– Jest taki piękny i wspaniały... ale w mieście stoi wiele ładnych budynków, które popadają w ruinę i nikt o to nie dba – zauważyła Delphine.

Celeste położyła dłoń na ramieniu córki.

– Marokańczycy są nomadami. Tak Berberzy, jak i Arabowie. Wprawdzie dziś budujemy sobie domy z kamienia i cegły, ale wciąż traktujemy je jak namioty. Jak coś tymczasowego, nietrwałego – wyjaśniła.

– No cóż, zaniedbywanie budynków to najlepszy sposób, żeby okazały się nietrwałe – powiedział Charles, uśmiechając się do Celeste, żeby pokazać, że żartuje. Nie odpowiedziała tym samym, więc i jego uśmiech zbladł.

Tej nocy przy kolacji rozmawiali o końcu podróży i powrocie do Blacknowle przed upływem lata. Celeste wbiła w Charlesa spokojne,

bezlitosne spojrzenie.

– Mogłabym tu zostać na zawsze. Ale jak zwykle jesteśmy na twoje zawołanie. Bo to dla nas wybrałam – powiedziała beznamiętnie.

– Celeste, przestań. Nie bądź taka – poprosił Charles, ujmując ją za rękę.

– Jestem taka, jaka jestem. Uczucia nie mijają – wzruszyła ramionami. – Czasem życie byłoby prostsze, gdyby mijaly. – Spojrzała na niego bez urazy, ale z taką mocą, że odwrócił wzrok i przez chwilę nic nie mówił.

Dimity czuła na skórze żar gorącej nocy i miała wrażenie, że sama płonie, jakby mogła zająć się ogniem od wszystkich skrywanych myśli. „Nie”. To słowo parzyło jej wargi. Chciała, żeby ta podróż trwała wiecznie – żeby przestała być podróżą i zamieniła się w nowe życie, nową rzeczywistość. W tym miejscu, gdzie mogła pozować Charlesowi każdego dnia, bez złośliwych szeptów i wyzwisk; i bez zdjętej złością Valentyny, która żądała za to pieniędzy. W miejscu, gdzie czarnoocy chłopcy przynosili jej jedzenie, więc nie musiała polować ani szukać ziół w przemoczonym żywopłocie; nie musiała sama obdzierać zdobyczy ze skóry, skubać jej ani gotować. W miejscu, gdzie mogła nosić ubrania w kolorach tak jaskrawych jak kwiaty bugenwilli i kafle na ścianach i dachach świętych budowli; ubrania, które wirowały i unosiły się wokół niej jak królewskie szaty. W miejscu, gdzie jej dom miał fontannę na środku dziedzińca i rozpalone niebo zamiast sufitu. Maroko było miejscem ze snów, a ona nigdy nie chciała się obudzić.

Następnego dnia Celeste znów zabrała córki do swojej matki. Dimity próbowała ukryć podekscytowanie; próbowała nie pokazać po sobie, jak bardzo się cieszy, że zostanie sama z Charlesem. Rozpierała ją radość i bała się, że Celeste to zobaczy. Marokanka odwróciła się w drzwiach i zmierzyła ich spokojnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Charles wydawał się poddenerwowany. Ze zmarszczonymi brwiami ruszył w miasto, niosąc przybory do malowania w skórzanej torbie na ramieniu. Szedł szybko, wyprzedzając o kilka kroków Dimity, która z trudem za nim nadążała. Wbiła wzrok w jego plecy i patrzyła, jak ciemna warstewka potu z wolna przesiąka mu przez koszulę. Po pewnym czasie miała wrażenie, że przed nią ucieka, stara się zostawić ją w tyle,

więc przyśpieszyła kroku, czując, jak wzbiera w niej jakaś niezrozumiała desperacja. Pragnienie, żeby zatrzymał ją przy sobie, a nie porzucił. Żeby ją kochał, rysował, pragnął. W sercu miała tylko jego; słowa, które do niej powiedział, rozbrzmiewały w jej głowie niczym modlitwa. „Zrobię dla ciebie, co w mojej mocy, Mitzy”. „Jest idealna”. Czy naprawdę to powiedział? Nazwał ją ideałem? Była tego pewna”. „Kto wie, jaka czeka nas przyszłość”. Pamiętała, jak wyglądał po tych słowach. Był zatopiony w myślach, rozmarzony; najwyraźniej przyszłość, którą zobaczył, była zupełnie inna od teraźniejszości. I nie chciał się ożenić z Celeste; miał ważny powód. Powód, którego dziewczynki nie mogły jej zdradzić. Czyżby to ona była tym powodem? „Idealna”. „Dla ciebie, Mitzy”. „Nowy łabędź okazał się najpiękniejszy ze wszystkich”.

Wkrótce wydostali się z zatłoczonego serca miasta i znaleźli się na odludnych uliczkach, biegnących między skupiskami domów. Dimity z trudem łapała oddech. Każdy kolejny krok był coraz trudniejszy. Zorientowała się, że ścieżka prowadzi teraz pod górę, i poczuła strużkę potu na kręgosłupie. Zrozumiała, że przeszli na drugą stronę miasta i wspinają się zboczami doliny. Byli bardzo daleko od pensjonatu. Słońce wisiało w niemal najwyższym punkcie na niebie, tnąc jak nóż. Doszli do miejsca, w którym ściany alejki biegły nie więcej niż pół metra od siebie, rzucając chłodny, głęboki cień. Dimity nie mogła dłużej wytrzymać takiego tempa, więc przystanęła i oparła się o ścianę, żeby uspokoić oddech. Kiedy jej kroki ucichły, Charles obejrzał się za siebie. Nadal był zdenerwowany, miał zmarszczone brwi.

– Oczywiście, musisz odpocząć – powiedział. – Byłem bezmyślny. – Stanął naprzeciw niej, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

– Nigdy nie jest pan bezmyślny – zaproponowała Dimity.
Charles uśmiechnął się.

– Chyba jesteś jedyną osobą, która jest tego zdania, a obawiam się, że więcej w tym lojalności niż prawdy. Najbliżsi artyści często przegrywają ze sztuką. To nieuniknione. Niekiedy w moich myślach nie ma dość miejsca, żeby pomieścić wszystkich.

– Wszyscy potrzebujemy czasu dla siebie. Czasu na oddech

i chwilę samotności. Inaczej zapomnielibyśmy, kim naprawdę jesteśmy.

– Tak! Dokładnie tak. Czasu na oddech. Mitzy, chwilami mnie zaskakujesz. Można cię wziąć za niewykształconą wieśniaczkę, ale znasz proste prawdy, oddające sens ludzkiej natury... To niezwykle – pokręcił głową i znów zaciągnął się papierosem.

Teraz to Dimity się uśmiechnęła.

– Będzie pan dziś rysował? – zapytała.

– Sam nie wiem. Chciałem, ale... Celeste... – Pokręcił głową. – Ta kobieta to prawdziwy żywioł. Kiedy jest wzburzona, trudno odnaleźć spokój.

– Tak – przyznała Dimity.

Patrzyła na jego wargi zaciśnięte na papierosie, na ruch jego grdyki, na powieki zmrużone od dymu. Stali twarzą w twarz, kilkanaście centymetrów od siebie. Dzielilo ich tylko ciepłe, cieniste powietrze. Ta przestrzeń zdawała się wciągać Dimity głębiej, bliżej niego. Charles spojrział na nią i uśmiechnął się, a ona bezwolnie postąpiła krok naprzód. Była tuż obok niego, a im bliżej podchodziła, tym mocniej czuła, że potrzebuje jego bliskości do życia. Potrzebuje poczuć na sobie dotyk jego ciała, jego skóry; poczuć jego smak i stać się jego częścią. Nie mogła powstrzymać tego pragnienia ani chwili dłużej.

– Mitzy... – zaczął Charles.

Zmarszczył lekko brwi, a ona zobaczyła w tym echo własnej tęsknoty, walki z siłą, która przyciągała ich do siebie. Zrobiła kolejny krok i jej ciało, jej piersi, jej brzuch, jej biodra i uda zetknęły się z jego ciałem. Wstrząsnął nią dreszcz; teraz pragnęła go jeszcze bardziej, jeszcze gwałtowniej. Drżącymi palcami chwyciła Charlesa za dłoń, położyła ją sobie w talii i zostawiła tam, ciepłą, silną. Poczowała ruch jego palców, które zacisnęły się lekko. Podniosła wzrok i zobaczyła wpatrzony w siebie oczy.

– Mitzy – powtórzył, tym razem łagodnie.

Uniosła podbródek, ale różnica wzrostu nie pozwalała jej zrobić nic więcej, dlatego mocno się w niego wtuliła. Zamknęła oczy, a potem poczuła miękkie, pachnące dymem usta Charlesa na swoich ustach i zaskakującą szorstkość jego wąsów na górnej wardze. Całował zupełnie inaczej niż Wilf Coulson. Wilgotnym koniuszkiem języka musnął lekko

jej język. Czowała, jak jego ciało twardnieje i nabrzmiwa przy jej miednicy. Na jedną, pełną napięcia chwilę przytulił się do niej, objął ją dłońmi w talii i przycisnął mocniej do siebie. Miała wrażenie, że pęka jej serce; radość rozpieierała ją aż do bólu. Potem pocałunek ustał, a on odepchnął ją od siebie tak nagle, że straciła równowagę i wpadła na ścianę z głuchym łoskotem.

Zamrugła kilka razy, oszołomiona pożądaniem.

– Mitzy, nie! – Charles przeczesał włosy palcami, a potem zakrył dłońią usta i spojrzał na nią z zakłopotaniem, odwracając się bokiem. Zdesperowana, wyciągnęła do niego ręce, ale chwycił je i odsunął od siebie. – Przestań. Jesteś jeszcze dzieckiem...

– Nie jestem dzieckiem. I kocham cię...

– Nie... nie znasz jeszcze miłości. Skąd miałabyś ją znać? To zwykle zauroczenie, nic więcej. Mogłem się wcześniej zorientować... Celeste mnie ostrzegła. Przykro mi, Mitzy. Nie powinienem był tego robić. Nie powinienem był cię całować.

– Ale pocałowałeś! – Zakrztusiła się łzami. – Dlaczego mnie pocałowałeś, skoro tego nie chciałeś?

– Bo... – Charles urwał i znów odwrócił wzrok. Miał wypieki na policzkach. – Czasem mężczyźnie bardzo trudno się oprzeć.

– Wiem, że mnie pragniesz... Czulałam to. – Od płaczu zaczęło jej cieknąć z nosa, ale nie przejęła się tym. Nie mogła; myślała tylko o tym, jak go przekonać, jak znów poczuć rozkosz jego pocałunku.

– Dimity, proszę, dosyć tego! To nie powinno się było wydarzyć i nie może się powtórzyć. Nie możemy... nie możemy po prostu brać tego, co chcemy, kiedy przyjdzie nam na to ochota. Trudno się z tym pogodzić, ale tak działa ten świat. Tak nie można, a ja nie jestem wolny... Celeste i ja...

– Nikomu nie powiem, przysięgam. Proszę, ja cię naprawdę kocham. Chcę cię całować, chcę sprawić ci przyjemność...

– Dosyć! – Odtrącił jej wyciągnięte ręce. Miał zaciśnięte zęby i rozszerzone nozdrza. Widziała, że toczy jakąś wewnętrzną walkę i modliła się, żeby przegrał. Ale tak się nie stało. Założył ramiona na piersiach, wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze z nadętych policzków. – No dobrze, chodźmy dalej i nie rozmawiajmy o tym więcej.

Niedługo spotkasz jakiegoś szczęściarza i będziesz dla niego wspaniałą żoną. Ale to nie mogą być ja, Mity. Zapomnij o tym.

Odszedł alejką, ale upłynęło trochę czasu, zanim Dimity zdołała ruszyć się z miejsca. Przesunęła językiem po wargach, żeby zebrać z nich resztki jego smaku, ale wewnątrz czuła się otępiała i rozbita, jakby pocałunek Charlesa zmącił jej spokój i obrócił myśli w chaos.

Następnego dnia obudziła się słaba i oszołomiona. Leżała, czując twarde materac pod spoconymi plecami, i nie miała ochoty wstać ani jeść śniadania. Przejęta Delphine krzątała się wokół niej i przyniosła jej wodę, za to Élodie zaciekawiona przyglądała się temu z korytarza, nie kwapiąc się z pomocą. Po wyjściu siostry podeszła do Dimity i spojrzała na nią z góry.

– Jeśli myślisz, że udając chorą, znów spędzisz cały dzień z tatusiem zamiast z nami, to się mylisz. Już wyszedł, spotyka się z przyjacielem artystą, który przyjechał do Fezu wczoraj w nocy. Więc zostaniesz tu sama cały dzień – wyjaśniła chłodno.

Dimity popatrzyła na nią, ale Élodie nie spuściła oczu ani nie mrugnęła. Nawet gdyby Dimity nie czuła się tak źle, i tak nie dałaby tej ponurej, spostrzegawczej dziewczynce satysfakcji, przyznając się do fortelu i wstając z łóżka. W spojrzeniu, które wymieniły, starły się cała władza Élodie, która odgadła uczucia Dimity, i cała determinacja Dimity, żeby stawić jej opór. W końcu Élodie posłała jej zwycięski uśmiech, odwróciła się i podeszła do drzwi.

– Widzisz, wszyscy wiedzą. Zupełnie nie umiesz tego ukryć – rzuciła na odchodne.

Dimity zamarła w bezruchu. Poczowała się jeszcze gorzej. Miała wrażenie, jakby ziemia usuwała jej się spod stóp; musiała trzymać się z całych sił materaca, żeby nie upaść.

Leżała jak w transie przez kilka godzin, a potem wstała chwiejnie, ubrała się i wyszła na wewnętrzny taras, żeby spojrzeć na dziedziniec. Nikogo tam nie było. Przeszła korytarzem do pokoju Charlesa i Celeste, nasłuchiwała przez chwilę, a później zapukała delikatnie do drzwi. Ze środka nie dobiegały żadne odgłosy. Zapukała jeszcze raz, głośniejsze, ale znów odpowiedziała jej cisza. Czuła suchość w ustach i miała ściśnięte gardło. Zaczęła się odwracać, ale przystanęła, a potem szybko,

instynktownie otworzyła drzwi i weszła do środka. Żaluzje były zasłonięte dla ochrony przed upałem, więc w pokoju panował półmrok. Dimity rozejrzała się wokół siebie. Zobaczyła rozrzucone ubrania i buty; stos rysunków i małych płócien Charlesa, jego książki, pudełka ołówków i pędzli. Stała u stóp łóżka i próbowała odgadnąć, po której stronie śpi Celeste, a po której Charles. Na poduszkach wciąż widniały lekkie wgłębienia. Na jednej z nich znalazła długi, czarny włos, więc podeszła do drugiej i musnęła palcami miejsce, w którym leżała jego głowa. Powoli uklękła i przysunęła twarz do materiału, oddychając głęboko, żeby odnaleźć na nim jego zapach. Ale farba na pasiastej poszewce pachniała zbyt intensywnie, zacierając inne wonie. Próbowała sobie wyobrazić Charlesa podczas snu i zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała go w takiej sytuacji. Nigdy nie widziała jego twarzy bezbronnej i rozluźnionej odpoczynkiem; powiek drżących od snów, rozgrywających się pod nimi; spokojnego, miarowego oddechu nieświadomego mężczyzny. Myśląc o tym, poczuła w środku lekkie ukłucie. Dała się porwać cudownym wspomnieniom jego pocałunku, jeszcze piękniejszego w jej pamięci.

W jednym z rogów stał drewniany stolik z lustrem i małym, tapicerowanym stołeczkiem. Celeste używała tego stolika jako toaletki, więc blat zarzucony był jej biżuterią i szczotkami do włosów, słoiczkami kremów i pudrów. W małym, dokładnie zamkniętym pudełku leżał delikatny plastikowy kubeczek wielkości kieliszka do jajek na jajo bantamki. Miał zaokrągloną podstawę, dlatego nie chciał stać na blacie. Dimity wpatrywała się w niego przez chwilę, zastanawiając się, do czego służy. W końcu odłożyła go na miejsce i wzięła do ręki parę długich srebrnych kolczyków Celeste z turkusowymi koralikami. Przyłożyła je do uszu, a potem wsunęła w dziurki, nakładając mocno zatyczki, żeby ich nie zgubić. Dla lepszego efektu zebrała włosy w węzeł z tyłu głowy i podziwiała, jak koraliki kołyszają się przy jej podbródku. Serce waliło jej jak szalone. Czowała się winna i zuchwała, że odważyła się wziąć cudzą własność. Na toalecie leżały też naszyjniki. Podniosła swój ulubiony, który Celeste wkładała tylko wieczorem, do kolacji. Skręcony sznur czarnych i szarych pereł słodkowodnych, które lśniły na skórze Berberyjki, odbijając światło świec. Dimity obciągnęła niżej dekolt

swojego kaftana, żeby poczuć zimne, ciężkie perły na ciele. Obok toaletki stał bogato zdobiony drewniany parawan, na którym Celeste zawiesiła halkę i kilka innych rzeczy – chustki, którymi niekiedy przewiązywała włosy lub talię; paski i szarfy do przepasania sukni. Dimity z rozmysłem sięgnęła po zwiewną, przezroczystą chustę z bladobeżowego jedwabiu z maleńkimi srebrnymi monetami wszytymi na brzegach. Udrapowała ją sobie na głowie tak, żeby zasłaniała jej włosy, i spojrzała na siebie w lustrze. Z trudem rozpoznawała się w tej postaci w kaftanie, biżuterii i welonie. Zobaczyła orzechowe oczy obwiedzione gęstymi, ciemnobrązowymi rzęsami, gładką cerę i cienie pod oczami po nieprzespanej nocy, przez które zdawała się jeszcze delikatniejsza, jeszcze bardziej krucha.

Długo wpatrywała się w swoje odbicie w przyćmionym świetle sypialni. Patrzyła w oczy młodej kobiety, prawdziwej piękności, kochanki obsypanej podarunkami od jej mężczyzny.

– To ja, Dimity Hatcher – powiedziała cicho, obserwując ruch swoich pełnych i miękkich warg. Wyobraziła sobie, jak dotyka ich Charles, jak czuje je na swoich ustach. Poczowała pulsowanie między udami. – To ja, Dimity Hatcher – powtórzyła. A potem tylko: – Ja, Dimity Hatcher. – Umilkła i zsunęła jasną chustkę trochę niżej na czoło jak welon panny młodej. Srebrne monety zaśniły w lustrze. – Ja, Dimity Hatcher, biorę sobie ciebie, Charlesa Henry’ego Aubreya... – Wypowiadając te słowa na głos, poczuła pieczenie w gardle, a gdy je usłyszała, serce zabiło jej tak mocno, że aż się zatrzęsała. Odchrząknęła delikatnie i powtórzyła odrobinę głośniej: – Ja, Dimity Hatcher, biorę sobie ciebie, Charlesa Henry’ego Aubreya, za męża... – Nagle usłyszała za sobą stłumiony okrzyk i z przerażeniem zobaczyła w lustrze odbicie Celeste, stojącej w progu.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, zapadła straszliwa, pełna napięcia cisza. Trwały w bezruchu, a Dimity czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Celeste rozchyliła lekko usta; jej oczy rozszerzyły się tak mocno, że ich białka błysnęły w ciemności.

– Ja tylko... – zaczęła Dimity, ale Celeste jej przerwała.

– Zdejmij moje rzeczy – wyszeptała lodowatym tonem. – Zdejmuj je natychmiast.

Dimity usiłowała wykonać to polecenie drżącymi dłońmi, ale nie zdążyła. Celeste błyskawicznie znalazła się obok niej i ściągnęła jej chustkę z głowy tak gwałtownie, że w dłoni został jej kosmyk włosów, a potem szarpała się z zaczepem naszyjnika, raniąc szyję Dimity.

– Celeste, proszę! Uważaj, zepsujesz to! – krzyknęła, ale twarz kobiety wykrzywiała furia, jakiej jeszcze u niej nie widziała. Marokanka przestała ciągnąć naszyjnik dopiero wtedy, kiedy żyłka puściła.

Usłyszały trzask, a potem podłogę zasypał grad pereł.

– Jak śmiesz? Jak śmiesz? – prychnęła. – *Coucou! Coucou dans le nid!* Jesteś jak kukułcze jajo!

– Nie chciałam nic złego! – zawołała przerażona Dimity z oczami pełnymi łez.

Celeste zamknęła jej nadgarstek w żelaznym uścisku i przysunęła twarz tak blisko do twarzy Dimity, że dziewczyna poczuła na skórze jej gorący oddech.

– Nie kłam, Mitzy Hatcher! Nie waż się mi kłamać! Pieprzyłaś się z nim? Co? Mów!

– Nie! Przysięgam, że nie...

Celeste bez ostrzeżenia wymierzyła jej ostry policzek otwartą dłonią, z pełnym rozmachem. Siła tego ciosu zrzuciła zaskoczoną Dimity ze stołka, który upadł na bok. Dziewczyna uderzyła głową o róg stolika i poczuła eksplozję pulsującego bólu w czaszce. Zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem.

– Kłamiesz! – wrzasnęła Celeste. – Ależ jestem głupia. Musisz mnie mieć za kompletną idiotkę! Wstawaj. No, wstawaj, ale już!

– Daj mi spokój! – jęknęła Dimity.

– Dać ci spokój? Żebyś mogła go w spokoju obserwować, pragnąć i kusić? Żebyś mogła ukraść mi wszystko, co kocham? Nie ma mowy. Wstawaj! – rozkazała znów Celeste, a jej głos był tak przerażający, że Dimity nie ośmieliła się nie posłuchać. Stała chwiejnie na nogi i odsunęła od kobiety. Celeste trzęsła się od stóp do głów; miała zaciśnięte pięści i mordercze spojrzenie.

– A teraz wynoś się! Zejdź mi z oczu, nie mogę na ciebie patrzeć! Wynoś się! – krzyknęła.

Dimity wybiegła na oślep. Na schodach potknęła się i prawie

spadła ze stopni; szarpnięciem otworzyła wrota na podwórku i uciekła zakurzoną ulicą, nie oglądając się za siebie. Już kilka sekund później miasto zamknęło się wokół niej, wciągając ją w swój labirynt.

Kominem ściekał deszcz. Krople wzbijały w palenisku obłoczki zimnego popiołu i zostawiały lśniące, czarne smugi na ściankach. To była rzadkość – zwykle burze nadciągały znad morza, niesione wiatrem, i padało z ukosa, więc strugi omijały dach Strażnicy. Taki pionowy, ostry, nieprzerwany deszcz zdarzał się tylko kilka razy w roku. Dimity patrzyła na spadające krople, wsłuchana w głuchy dźwięk, z jakim lądowała każda z nich. Zdała sobie sprawę, że to nie nuty, tylko sylaby. Wytężyła słuch w nerwowym oczekiwaniu. Kolejne trzy krople, tym razem bliżej siebie, tym razem wyraźne. „É-lo-die”. Wstrzymała oddech w nadziei, że się myli, że wcale tego nie usłyszała. Spadła następna kropla, tylko jedna, a jej serce wypełniła nadzieja. Ale potem znów rozległy się trzy uderzenia. „É-lo-die”. Dimity krzyknęła i odwróciła się raptownie od kominka, dość szybko, żeby zauważyć cień na ścianie salonu. Postać do góry nogami, stojącą na rękach.

– Élodie? – wyszeptała, rozglądając się gorączkowo po pokoju, przeszukując każdy kąt. Bystra, zwinna, mądra Élodie. Cud, że nie zjawiała się wcześniej, cud, że nigdy dotąd nie znalazła na to sposobu. Amulet w kominie nie mógł powstrzymać zdeterminowanego dziecka, które nie dawało się łatwo zwieść. Zmarszczka na młodym, delikatnym czole, stokrotka wetknięta w czarne włosy. Wysunięta dolna warga, gotowość do walki, do kłótni, do stawiania na swoim.

Dimity uciekła od niej. Cień odepchnął się nogami od ściany i stanął na podłodze, a potem ruszył za nią lekkim krokiem.

– To nie ja! – zapewniała Dimity, biegnąc do kuchni, rzucając te słowa przez ramię.

Była tego pewna, ale nie do końca. Te słowa brzmiały dobrze, wydawały się prawdziwe, ale krył się pod nimi śmiech Valentyny i porozumiewawczy błysk jej oczu. Ale nie to było najgorsze – we wzroku matki Dimity dostrzegła coś na kształt szacunku. Niechętnego, niemego szacunku. „Ale to nie byłam ja!” Wcisnęła włącznik światła na ścianie w kuchni, ale ciemność się nie rozproszyła; żarówka pokryta kurzem i pajęczynami zwisała bezwładnie na końcu przewodu. Dimity wstrzymała oddech. Ze strachu trzęsły jej się ręce. Poczowała bolesny ścisk

w żołądku.

Stała po ciemku, wciśnięta w blat kuchenny, nie mając dokąd uciec. Mogła tylko wyjść na zewnątrz, ale tam czekały na nią burza, klify i morze. Wyjrzała przez okno w noc tak czarną jak włosy Élodie. Widziała w oddali białe pasma spienionych fal na wybrzeżu i deszczowe chmury skrywające księżyc i gwiazdy. Farmę Południową oświetlały smugi reflektorów. W domu zapaliły się światła. Chwilę później samochód odjechał. Obok niej mieszkali ludzie, toczyło się życie, ale to był inny świat, do którego już nie należała. Goście zawsze chcieli wejść dalej, niż się ich zapraszało. Chcieli wszędzie zajrzeć, wszystko zobaczyć, wszystkiego się dowiedzieć. Rozprzestrzeniaли się po całym domu jak nowy zapach. Na przykład Zach, który przyniósł ze sobą wspomnienia Charlesa. Zaryzykowała wszystko po to, żeby przez chwilę się nimi upajać, chociaż to też nie był już jej świat. Dawno temu zostawiła go za sobą dla więzienia, do którego sama się wtrąciła – Strażnicy. Ale to więzienie długo było dla niej bezpieczną przystanią. Miejscem pełnym miłości, odkąd Valentina zniknęła. „Jesteś strasznie głupia, Dimity!” – zawołała Élodie, wykorzystując bębnienie deszczu o szybę. „To nie byłam ja” – przekonywała ją cicho Dimity. Na usta cisnęła jej się dawno zapomniana pieśń z zupełnie innego czasu i miejsca, echo poprzedniego życia. Nie rozumiała jej słów nawet wtedy, a melodia była równie ulotna jak ciepły pustynny wiatr. „Allahu akbar... Allahu akbar...” Ten sen na jawie nie dawał jej zasnąć przez całą noc.

Zach ruszył wolno w stronę Strażnicy. Od czasu wizyty u Annie Langton wszystko robił wolno – wolno jeździł samochodem i wolno myślał – bo nowo zdobyta wiedza ciążyła mu jak kamień. Świadomość, że to Hannah sprzedawała portrety Dennisa; że od początku wiedziała, skąd się biorą, i przez cały czas go okłamywała. Przypomnił sobie jej rysunki owiec, które widział na farmie. Były dobre, ale nie mogły się równać z portretami Dennisa. Czy miała dość talentu, żeby podszywać się pod Aubreya? Pokręcił niecierpliwie głową. Czyli co? Skąd je brała? Zrobiło mu się niedobrze na myśl o Jamesie Hornie i łodzi, którą obserwowała Hannah. Świetnie znała wybrzeże i wody zatoki. Tego samego dnia, kiedy zapłaciła Jamesowi, uregulowała też rachunek w pubie Pete’a Murraya. Zachowi przyszło coś do głowy. Wyciągnął

telefon i sprawdził datę, a potem przystanął, żeby nie zejść bliżej morza, gdzie jego komórka całkiem traciła zasięg. Aukcja w Christie's odbyła się cztery dni wcześniej. Wysłał esemesa do Paula Gibbonsa z domu aukcyjnego.

„Dennis sprzedany? Mógłbyś mi zdradzić za ile? Płatność przebiegła bez problemów?” Czekał niecierpliwie na odpowiedź na ławce z widokiem na klify, myśli kłębiły mu się w głowie niczym fale na morzu. Dziesięć minut później usłyszał sygnał wiadomości. „Jakie nagłe zainteresowanie... B. ciekawe. Tak, sprzedany – sześć i pół. Kupiec z Walii, płatność b. probl.” Sześć i pół tysiąca funtów. Zach chciał być na nią zły, bo zrobiła z niego idiotę. Zamiast tego poczuł się zdradzony. Myślał, że ją zna. Była mu coraz bliższa. A teraz wszystko się zmieniło i ubodło go to do żywego.

Dimity Hatcher była jednak zbyt roztargniona, żeby zauważyć jego niepokój. Zastał ją w takim stanie, że znów sam zrobił sobie herbatę, podczas gdy ona krążyła po pokoju, siadała i podrywała się z miejsca. Jej kościste łokcie podrygiwały raz po raz, kiedy nerwowo przebierała palcami, wydlubowała sobie brud spod paznokci, obrywała skórki, drapała się. Mimo swojej zadumy Zach nie mógł tego zignorować.

– Dimity, dobrze się czujesz? Co ci jest? Wydajesz się trochę... podenerwowana.

– Podenerwowana? Możliwe, możliwe – wymamrotała. – Sprawdź ten amulet w kominie, dobrze?

– Słucham?

– Ten, który zawiesiłeś... ja nie mogę. Nie wolno mi go dotknąć, to ty go zawiesiłeś, ty rzuciłeś zaklęcie. Po prostu zobacz, czy dalej tam wisi, sprawdź, czy jest na miejscu – błagała.

– W porządku. – Schylił się przy palenisku i zajrzał w górę, gdzie wisiało zdeformowane serce. Zmarszczył nos. – Nie pachnie zbyt zachęcająco, ale nadal wisi.

– To nie ma znaczenia, wkrótce załatwi to dym. Ale wisi na miejscu?

– Wisi na miejscu.

Dimity zmarszczyła brwi i przez chwilę przygryzała wargę.

– W takim razie... w takim razie ona nie chce mnie skrzywdzić,

prawda? – upewniała się cicho, a w jej głosie pobrzmiwało zdumienie. – Nie mogła przyjść w złości, bo wtedy amulet by ją powstrzymał, tak?

– Kto nie mógł przyjść, Dimity? – zapytał Zach.

– Najmłodsza. Wróciła. Była tu...

– Najmłodsza? – Zach zastanowił się, kogo mogła mieć na myśli. – Mówisz o Élodie? – Na dźwięk tego imienia Dimity zamarła. Wbiła w Zacha tak intensywne spojrzenie, że nagle poczuł się bardzo nieswojo. – Przyniosę herbatę, dobrze? – zaproponował.

Próbował minąć ją w drodze do kuchni, ale chwyciła go za rękę, wbijając mu paznokcie kciuków w delikatne wnętrza dłoni. Poczul na skórze sztywną, brudną wełnę jej czerwonych mitenek i instynktownie próbował uniknąć ich dotyku. Oczy przesłoniło jej długie pasmo siwych włosów, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Ona nie żyje. Élodie nie żyje – wyszeptała.

Zach przełknął ślinę i przez sekundę wydawało mu się, że słyszy w jej słowach pytanie, prośbę o potwierdzenie tej informacji.

– Tak. Wiem – odpowiedział.

Dimity skinęła szybko głową i odsunęła się od niego. Puściła jego dłonie i zwiesiła ręce bezwładnie wzdłuż boków.

Zach uciekł do kuchni, gdzie wziął głęboki, uspokajający oddech, nalewając herbatę do dwóch kubków. Pierwszy raz odniósł niepokojące wrażenie, że on i Dimity Hatcher nie znajdują się w tym samym pomieszczeniu ani nawet na tym samym świecie. Wcześniej zdarzało mu się mieć pewność, że kłamie. Teraz zaczął jednak wątpić nawet w to, co jej zdaniem było prawdą. Odsunął od siebie te myśli. Dwulicowość Hannah podważyła jego zaufanie do wszystkich mieszkańców Blacknowle. Wracając do salonu, spróbował przywołać na twarz uśmiech.

– Gdyby nie śmierć tej dziewczynki, wzięlibyśmy ślub. Pobralibyśmy się, gdyby przeżyła, wiem o tym – powiedziała Dimity, nie zwracając uwagi na herbatę, którą przed nią postawił.

– Czyli po śmierci Élodie... wszystko inne musiało zaczekać, tak? Charlesowi na pewno było bardzo ciężko... Z tego, co mi mówiłaś i co sam czytałem, był oddanym ojcem. Kochającym, choć czasem

nieobecny. Chcesz powiedzieć, że to przez śmierć Élodie postanowił zaciągnąć się do wojska? – Po słowach Zacha długo panowało milczenie, a potem zdawało mu się, że słyszy jakąś melodię, cichutki szmer nuconej piosenki, niemy lament Dimity. – To musiało być... bardzo trudne – dodał. – Pamiętam, że gdzieś czytałem, na co zmarła... czy to była grypa? Nie mogę sobie przypomnieć. Czy w latach trzydziestych dzieci umierały jeszcze na grypę? – wymamrotał w zasadzie do siebie, bo Dimity wciąż błędziła gdzieś myślami.

– Grypa? – zapytała, odwracając się w jego stronę. – Nie, to było... – Zamknęła szybko usta i zwilżyła wargi muśnięciem języka. – Grypa. Tak. Grypa. Bolał ją brzuch. Grypa żołądkowa. Biedactwo, biedactwo, zabrali ją... – Pokręciła głową z przerażeniem i przez chwilę siedziała bez ruchu. – Élodie czasem była dla mnie okrutna. Nie podobało jej się, że jej ojciec mnie kocha – wyznała. – Ulubienica Celeste, o tak. Matka nie powinna faworyzować żadnego z dzieci, ale Celeste kochała ją bardziej. To na pewno. Widzisz, były do siebie podobne. Jak dwie krople wody. Gdyby żyła, byłaby bardzo piękna... – Głos Dimity zniżył się do najłżejszego szeptu, więc Zach musiał się nad nią pochylić, żeby słyszeć, co mówi.

– Czy to dlatego Celeste zniknęła po jej śmierci? Co się z nią stało?

– Nie wiem. Nikt tego nie wie. Rozpłynęła się w powietrzu... on też mnie pytał; sądził, że mogę coś wiedzieć. Ale nie wiedziałam – nie wiem. Nie wiem!

– Już dobrze, wszystko dobrze – uspokajał ją Zach. Dimity rozglądała się po pokoju z wargami ułożonymi w kształt niewypowiedzianych słów. Zach chwilę odczekał, zanim się odezwał. – Jak poradziła sobie z jej śmiercią Delphine? Czy siostry były ze sobą blisko? – Oczy Dimity spoczęły na nim i zobaczył, że są wypełnione łzami.

– Blisko? – zapytała ochryple. – Tak blisko, jak mogą być ze sobą tylko siostry.

Oboje długo milczeli. Zach pomyślał o portrecie Delphine wiszącym obok wizerunków jej matki i Mitzy na ścianie jego galerii. Jedną z nich odnalazł, całą i zdrową, ale dwie pozostałe nadal ginęły w odmętach przeszłości, zasnutej gęstą mgłą. Zach westchnął.

Blacknowle nagle wydało mu się głębokie, odległe i pełne sekretów. A chociaż marzył o tym, żeby rozwikłać jego tajemnice, uznał, że nie powinien zdręczać tym starszej pani.

– Znasz Hannah od dawna, prawda? – zaczął ostrożnie.

– Hannah? – Dimity przekrzywiła głowę, a potem uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo, niemal zuchwale. – Widziałam was razem. Na plaży, na farmie – powiedziała.

Zach odpowiedział uśmiechem, ale czuł, jak twarz mu tężeje.

– Lubię ją. To znaczy... wydawało mi się, że ją znam, ale... – Wzruszył ramieniem, zastanawiając się, ile powinien powiedzieć, o co powinien zapytać. Jeśli w ogóle miał o niej mówić... Ale za bardzo mu to ciążyło i musiał z kimś porozmawiać.

– Znamy się, odkąd była dzieckiem. Niezbyt dobrze, nie jak przyjaciółki... ale jak sąsiadki. To dobra sąsiadka. I dobra dziewczyna.

– Na pewno?

– Tak. Dlaczego pytasz? Co ci powiedziała? – Dimity zaniepokoiła się nagle.

– Co mi powiedziała? Nic i właśnie w tym sęk. Dowiedziałem się, że... Dowiedziałem się, że mnie okłamuje. W bardzo ważnej sprawie.

– Okłamuje? To niemożliwe... Nigdy nie słyszałam, żeby kłamała.

– A ja tak. Wiem, co mówię – powiedział Zach z żalością.

– Posłuchaj, zatajenie prawdy to nie to samo co kłamstwo. To zupełnie co innego – podkreśliła Dimity.

– Dowiedziałem się, że... Pamiętasz te prace Charlesa, które ci pokazywałem, portrety młodego mężczyzny o imieniu Dennis? – Dimity zacisnęła usta i skinęła mocno głową. – No więc, dowiedziałem się, że to Hannah je sprzedaje. To Hannah je... ma. Albo je rysuje – wymamrotała. – Albo zajmuje się paserką – dodał, przecierając kciukami i palcami wskazującymi zmęczone oczy, dopóki nie zobaczył na powiekach roztańczonych punkcików. – Od początku wiedziała, że próbuję się czegoś o nich dowiedzieć, od samego początku. Musiała uznać mnie za skończonego idiotę, kiedy snułem te swoje teorie...

Upłynęła chwila, zanim zdał sobie sprawę, że Dimity nadal się nie odezwała. Spodziewał się, że będzie broniła sąsiadki, albo oburzy się, że Hannah potajemnie sprzedaje dzieła Aubreya tuż pod jej nosem.

Podniósł wzrok i zmarszczył brwi. Dimity siedziała nieruchomo jak posąg. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, usta pozostawały mocno zaciśnięte.

– Dimity? Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak – musiała się zmusić, żeby wykrztusić to słowo.

Zach wziął głęboki oddech.

– Dimity, czy... czy ty o tym wiedziałaś?

– Nie! I jestem pewna, że się mylisz! Hannah to dobra dziewczyna. Nigdy nie zrobiłaby niczego złego... nie złamałaby prawa. Niemożliwe. Znam ją od małego... Znałam jej rodzinę w czasach, kiedy ani jej, ani ciebie nie było jeszcze na świecie!

– Przykro mi. Ale to ona je sprzedaje, a nie rozumiem, po co miałyby utrzymywać to w takiej tajemnicy, gdyby to nie było nielegalne. Wiedziałem, że coś mi nie pasuje w tych rysunkach. Teraz przynajmniej wiem, kogo o to zapytać. – Urwał i spojrzał znów na Dimity, ale siedziała przed nim z wyrazem bezradności na twarzy, jakby nie mogła mu pomóc. – Muszę już iść – powiedział, podnosząc się z miejsca. Dimity też wstała, a w tym samym momencie z góry dobiegł ich głuchy odgłos i szelest, jakby gazeta spadła na podłogę. Dimity zamarła, ale nie podniosła wzroku, jakby postanowiła nie reagować. Zach czekał na kolejny hałas, ale w domu dzwięczała cisza. Poczł mrowienie między łopatkami, jakby ktoś stał tuż za nim, jakby mógł poczuć na plecach jego oddech.

– Dimity – odezwał się cicho. – Kto jest na górze?

– Nikt. – Pod jej twardym spojrzeniem kryła się jakaś prośba, której nie rozumiał. – To tylko szczury na dachu – dodała.

Zach odczekał chwilę, ale wiedział, że innego wyjaśnienia nie usłyszy.

Dimity odprowadziła go do drzwi i stanęła w progu, kiedy wyszedł na zalane słońcem podwórze. Na gwoździu za drzwiami wisiał spory bukiet suchych wodorostów. Z łodyg wyrastały długie, grube liście, które szeleściły jak delikatny papier, kiedy Dimity przesunęła po nich palcami.

– Później będzie padać – powiedziała, a widząc pytający wzrok Zacha, skinęła głową na potwierdzenie swoich słów. – Pas nadmorski.

Nadciągający deszcz wysysa wodę z powietrza. Wysusza je, tak jak teraz. – Jej uśmiech przygasł. – Zbliża się burza. Uważaj na siebie – poradziła. Zach zamrugał, zastanawiając się, czy to było ostrzeżenie, czy groźba. – Zostawisz mi ten obraz z Maroka? Zostawisz mi go? – zapytała nagle, łapiąc go za rękaw, kiedy odwrócił się, żeby odejść.

– Oczywiście.

Wyjął reprodukcję z torby i podał ją Dimity, a ona wyrwała mu kartkę z rąk jak niecierpliwe dziecko. Na pożegnanie Zach ścisnął ją przelotnie za ramię.

W połowie drogi z powrotem do wioski zauważył kątem oka jakiś ruch. Podniósł wzrok i zobaczył zgarbioną, starczą sylwetkę Wilfa Coulsona, który zawrócił na ścieżce i zniknął właśnie za zakrętem. Zach podbiegł do mężczyzny i zrównał się z nim.

– Dzień dobry, panie Coulson. Szedł pan może odwiedzić Dimity? – zapytał.

– Nie pański interes – zauważył Wilf Coulson.

Spod starej marynarki z łatami na łokciach wyglądała porządnie zapięta tweedowa kamizelka. Włosy miał starannie przyczesane na bok. Zach prawie się uśmiechnął.

– Widzę, że się pan dla niej wyszykował – zagaił.

Wilf przystanął i posłał mu gniewne spojrzenie.

– Już powiedziałem, to nie pański interes co robię ja, ona czy ktokolwiek inny, jeśli już o tym mowa...

– Tak, ma pan rację. Ale na tym właśnie polega problem z ludźmi, prawda? Musimy o wszystkim wiedzieć. Niewiedza to dla nas męczarnia.

– Słyszałem, że niektórych rzeczy lepiej nie wiedzieć – powiedział z naciskiem staruszek. – O co pan ją pytał?

– No widzi pan, panie Coulson? Pan też chce coś wiedzieć.

– Różnica polega na tym, że to, o co pytam, to także moja sprawa, przynajmniej w pewnym stopniu. – Starszy mężczyzna wolno kroczył naprzód, a Zach dostosował się do jego tempa.

– Wiem. Panie Coulson, pamięta pan, na co zmarła Élodie Aubrey? Najmłodsza córka Aubreya?

– To byli skryci ludzie. Nikt o nic nie pytał.

– Naprawdę? Dziewięcioletnia dziewczynka umiera w takiej małej wsi i nikt się tym nie zainteresował?

– Doktor powiedział, że to była grypa. Grypa żołądkowa czy coś takiego. Śmierć z przyczyn naturalnych, chociaż niektórzy mówili inaczej. Ale nie wszczęto dochodzenia, więc o nic nie pytaliśmy. W tamtych czasach ludzie wiedzieli, kiedy dać sobie spokój.

– Kto mówił inaczej? I co się jego zdaniem wydarzyło? – spytał Zach, ale starszy mężczyzna zacisnął szczęki i nie odpowiedział. – I dlaczego Celeste wyjechała, a Charles Aubrey wstąpił do wojska? – ciągnął Zach.

– Skąd miałbym to wiedzieć? Przecież nie czytam ludziom w myślach.

– Oczywiście, że nie. Ale szedł pan do niej, prawda? W zeszłym tygodniu wspomniałem Dimity, że pana poznałem... Powiedziała, że dobry z pana człowiek.

Staruszek zerknął na Zacha.

– Tak powiedziała? – zapytał cichym, smutnym głosem.

– Tak. Myślę... myślę, że chciałaby się z panem zobaczyć, choć z jej słów wywnioskowałem, że sprawa jest bardzo skomplikowana. W tych stronach niełatwo zapomnieć o przeszłości, prawda?

– Owszem. Niełatwo, to fakt. – Wilf zatrzymał się i obrócił za siebie, żeby spojrzeć na Strażnicę. Zmarszczył brwi.

– Czasem, kiedy rozmawiam z Dimity, mam wrażenie, że... nie mówi mi wszystkiego – zaczął delikatnie Zach.

Słyszając to, Wilf spojrział na niego z pogardą.

– Na pewno zdradziła panu więcej, niż ma pan prawo wiedzieć, młody człowieku. Radziłbym słuchać i nie narzekać.

– Jest pan bardzo lojalny wobec kobiety, którą znał pan dawno temu i której nie widział pan od kilkadziesiąt lat.

– Skoro pan tak uważa.

– Panie Coulson, mam tylko jedno pytanie. Niech pan mi powie, czy Dimity Hatcher jest... dobrym człowiekiem? – zapytał Zach.

Zatrzymali się, a Wilf odwrócił się w stronę morza, nad którym gromadziły się potężne chmury.

– Mitzy grzeszyła, ale i wobec niej zgrzeszono – powiedział

w końcu. – Ludzie nigdy tego nie rozumieli, chociaż nieraz próbowałem im to wytłumaczyć. To nie jej wina, że sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej. A ja i tak bym się z nią ożenił, nawet po tym wszystkim. Gdyby mnie zechciała. I tak bym się z nią ożenił. Ale nie chciała. W sercu miała miejsce tylko dla jednego mężczyzny, a tym mężczyzną był Charles Aubrey, czy na to zasługiwał, czy nie. Ale on nigdy nie kochał jej tak jak ja. Nie mógłby jej tak kochać. Ja znałem ją na wylot, wiedziałem, kim jest. Ale mnie nie chciała. Więc tak. Nie powiem panu nic więcej. Proszę już o nic nie pytać, bo nic więcej pan ze mnie nie wyciągnie.

– W porządku – zgodził się Zach. Wilf skinął mu szybko głową. – Ale niech pan nie zmienia planów tylko dlatego, że pana zobaczyłem... jeśli się pan do niej wybierał. Wydaje mi się, że jest tam samotna. Nikomu nie służy taka samotność.

– Owszem, ale to jej wybór – powiedział ze smutkiem Wilf. – Kiedyś próbowałem ją odwiedzać, chociaż to było dawno temu. Próbowałem i odchodziłem z kwitkiem. Więc lepiej nie. To chyba też nie jest dobry moment.

Doszli w milczeniu na szczyt ścieżki, gdzie Wilf skręcił, kłaniając mu się lekko na pożegnanie. Zach patrzył za nim, dopóki mężczyzna nie stał się ciemnym kształtem na tle wąskiej drogi, przygniecionym ciężarem wspomnień. Zach ruszył Pod Szmuglerską Latarnię, wytracony z równowagi i zaniepokojony rozmową z Dimity.

W progu pubu zaskoczyło go brzęczenie telefonu. Wyciągnął komórkę z kieszeni i zobaczył, że ma jedną kreskę zasięgu – i wiadomość od Hannah. Poruszył go widok jej imienia. „Pub później? Już po jagnieniu”. Wcisnął klawisz „odpowiedz”, ale nie wiedział, co dalej. Na myśl o spotkaniu z Hannah ogarnęły go mieszane uczucia. Minęły trzy dni, odkąd się widzieli. Tęsknił za nią, ale nie mógł zapomnieć, czego się dowiedział. Był pewny, że Hannah nie odpowie na jego pytania, a jeśli spróbuje przyprzeć ją do muru, zareaguje złością i oporem. Chwilami miał ochotę wziąć ją w ramiona i mocno przytulić, a kiedy indziej potrząsać nią, dopóki nie udzieli mu jakichś wyjaśnień. „Pewnie”, odpisał i na tym na razie poprzestał.

Tego wieczoru wcześniej zapadł zmierzch. Nad wybrzeżem zebrały się złowrogie chmury, a kiedy Zach zszedł do baru, z nieba zaczęły

spadać pierwsze ciężkie krople, tak jak to przewidziała Dimity. Zanim w pubie pojawili się Hannah i Ilir, zdążył już skończyć pierwsze piwo. Zostawili mokre, ubłocone buty przy drzwiach i podeszli do niego w grubych skarpetach. Widząc drobną twarz Hannah, silną i nieodgadnioną, Zach poczuł w sercu bolesne ukłucie, jakby rozpacz. Ale przyszła z Ilirem, nie mógł zacząć teraz kłótni. Nie potrafił swobodnie wyrażać uczuć. Hannah postawiła im kolejkę i usiadła z uśmiechem. Wyglądała na zmęczoną i zamyśloną, ale czujną. Dostrzegł w niej tę samą podskórną nerwowość, którą zauważył wcześniej. Przez chwilę panowało między nimi napięte milczenie.

– No i jak poszło? Owce sprawiały jakieś problemy? – zapytał Zach.

Oboje pokręcili głowami, a Zach miał wrażenie, że Hannah odrobinę się odprężyła.

– Żadnych – odpowiedział Ilir, przeczesując dłońmi gęstą, moką czuprynę. Jego ciemna skóra zdawała się pochłaniać przytłumione światło. – Na koniec były bliźnięta. Dwie pary. Nic dziwnego, że matki nie chciały rodzić. Mnóstwo przy tym zachodu.

– Ale to dobrze, prawda? Dwa jagnięta w cenie jednego?

– Tak jakby. Ale trzeba mieć na nie oko. Jedno jest zawsze większe niż drugie, a to mniejsze radzi sobie gorzej. Nie da się go dobrze podtuczyć – wyjaśniła Hannah.

– Czyli już po wszystkim, tak? Teraz przynajmniej możecie się wyspać – powiedział Zach. Hannah i Ilir wymienili szybkie, niemal ukradkowe spojrzenia, a potem przyznali mu rację. Zach uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby i wzniosł toast, unosząc kufel: – Za nowe pokolenie portlandów z Farmy Południowej.

– I za nowe początki – dodała Hannah.

Napili się, a Zach zerknął na Ilira i dostrzegł na jego twarzy przelotny wyraz paniki, spazm rozpaczy, który przemknął przez nią i zniknął.

– Nowe początki – powtórzył ciężko Cygan.

Hannah na chwilę położyła mu rękę na ramieniu, a Zach w przebłysku intuicji zapytał:

– Tęsknisz za domem, Ilir? – Mężczyzna spojrzał na niego

badawczo, zwlekając sekundę z odpowiedzią.

– Tak, oczywiście – wzruszył ramionami. – Niektóre dni są trudniejsze niż inne. Miejsce, w którym przyszedłeś na świat, zawsze będzie twoim domem, nawet jeśli dzieją się tam złe rzeczy.

– Jakie jest Kosowo? Nigdy tam nie byłem... To znaczy, chyba nawet nie znam nikogo, kto tam był. Pewnie jeszcze niewielu turystów się tam zapuszcza – dodał skruszony.

– Oczywiście, w końcu przez lata ludzie słyszeli o nim tylko z powodu wojny. To młody kraj o bardzo starej duszy. Jest tam pięknie, ale i ciężko. Do dziś. Brakuje pracy. Brakuje pieniędzy, czasem brakuje nawet prądu. A ludzie wciąż ze sobą walczą. Mamy być jednym narodem, ale jeszcze tego nie czuć.

– Chyba trudno się tam żyje – zauważył Zach.

– W porównaniu do Dorset, na pewno. I nie chciałbym wrócić, to prawda. Ale musiałem wiele zostawić, żeby tu przyjechać. Zostawiłem tam wiele cennych rzeczy. – Żal Ilira przez chwilę wydawał się niemal namacalny.

– Ale to była słuszna decyzja – stwierdziła stanowczo Hannah.

– Tak. Moim ludziom jest tam jeszcze trudniej. Mamy więcej problemów, jeszcze mniej pieniędzy, jeszcze mniej pracy. Cyganie nie są mile widziani. Anglia to dobry kraj. Dobrze się tu mieszka. Słucham lokalnych wiadomości i czasem myślę, że tego nie docenicie.

– Pewnie masz rację. Ale ludzie zawsze znajdują jakiś powód do narzekania. Tak mówił mój ojciec, mimo że był wielkim optymistą. Chociaż teraz myślę, że chodziło mu głównie o moją matkę. Zawsze twierdził, że gdyby poszła do nieba, pierwsza zwróciłaby Bogu uwagę, że chmury są za miękkie – Zach uśmiechnął się blado, a Ilir skinął głową.

– Nasze matki znalazłyby wspólny język – skomentował.

– Dobra, dosyć tego smęcenia. Pijcie – zakomenderowała Hannah, stukając kuflem o ich kufle.

Dużo później, kiedy Ilir przepchnął się przez tłum klientów do baru, Zach pochylił się i pocałował Hannah, przytrzymując jej głowę jedną ręką na wypadek, gdyby chciała się odsunąć. Nie chciała, więc przycisnął czoło do jej czoła i zamknął oczy, napawając się jej

zapachem. Pachniała ciepłem, ziemią i czymś głęboko zwierzęcym. Zmęczony i zamroczony piwem nie mógł zebrać myśli.

Kiedy ją wypuścił, uśmiechała się z rezerwą.

– Co to dla ciebie znaczy, Hannah? – zapytał.

– Jak to?

– Czy to dla ciebie tylko seks? Jestem twoim... wakacyjnym podbojem?

Odsunęła się od niego, upiła długi łyk piwa. I dopiero potem odpowiedziała:

– Ja nie jestem na wakacjach – zauważyła.

– Wiesz, o co mi chodzi. Co się stanie, kiedy stąd wyjadę? Będzie po wszystkim?

– A wyjeżdżasz? – spytała.

Jej pytanie zbiło go z tropu i zdał sobie sprawę, że jeszcze nie zastanawiał się nad tym, kiedy, jeśli w ogóle, opuści Blacknowle.

– Przecież nie mogę mieszkać bez końca w pokoju nad pubem, prawda?

– Trudno powiedzieć, Zach – stwierdziła, ale nie był pewny, którego pytania dotyczyła jej odpowiedź.

Przesunął palcem przez kilka kropel piwa na stole, łącząc je w kształt rozgwiadzy.

– Wiem, że masz przede mną tajemnice – powiedział cicho. Hannah zastygła na swoim krześle. – Wiem, że... jesteś w coś zamieszana.

– Myślałam, że przyjechałeś tu zbierać informacje o Charlesie Aubreyu, a nie o mnie? – Jej ton zabrzmiał ostro.

– Zbierałem. Zbieram... ale chyba wiesz, że te dwie sprawy są... bliżej związane, niż wynikałoby z naszych rozmów. – Popatrzyli na siebie. Hannah wytrzymała jego spojrzenie. – Nic nie powiesz? – spytał wreszcie Zach.

Hannah spuściła oczy na swoje dłonie i wydłubała brud spod paznokcia kciuka. Zmarszczyła brwi.

– Nie przeginaj, Zach... – mruknęła.

– Nie przeginaj? – powtórzył z niedowierzaniem. – Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Zach, lubię cię. Naprawdę. Ale... nie masz pojęcia, w co jestem zamieszana...

– Może wiem więcej, niż myślisz.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nawet jeśli wydaje ci się, że coś wiesz, to nie wiesz wszystkiego. A ja nie mogę ci nic wyjaśnić, Zach. Nie mogę. Więc nie przeginaj, bo jeśli musisz wiedzieć o wszystkim, żebyśmy mogli być razem, to nie możemy być razem. Rozumiesz?

Patrzyła mu w oczy smutno, ale stanowczo.

Gniew Zacha zgasł i zastąpiła go dezorientacja.

– Jak mamy być razem, jeżeli trzymasz mnie na dystans? Czyli z nami koniec?

– Proszę cię, żebyś mi zaufał... jeśli możesz. Spróbuj o tym zapomnieć.

– A jeśli nie mogę? – zapytał, a ona w odpowiedzi posłała mu niewzruszone spojrzenie.

Przerwały im męskie krzyki dobiegające z okolic baru. Hannah z wyraźną ulgą odwróciła od niego wzrok. Na tle wrzawy szczególnie wybijał się jeden głos, ostry i agresywny. Hannah podniosła się z miejsca.

– Nie, prędzej mnie weźmie cholera, niż zaczekam, aż obsłużysz przede mną tego zasrańca! – W głosie mężczyzny brzmiało oburzenie, które rozniosło się po całym pubie. Inne rozmowy stopniowo cichły. – Ja tu mieszkam, stary, to moje miejsce na ziemi. A gdzie, do diabła, jest twoje?

– Cudownie. Widzę, że nasz ulubiony ksenofob postanowił umilić nam wieczór – powiedziała Hannah najgłośniej, jak potrafiła.

Zach zaklął pod nosem, widząc, jak przeciska się w stronę baru. Była o trzydzieści centymetrów niższa od wszystkich mężczyzn, ale szła, jakby przewyższała ich o głowę. Rozstąpili się przed nią zupełnie jak jej stado owiec.

– Spokojnie, Hannah, nie musisz się w to mieszać, tylko pogorszysz sytuację – powstrzymał ją Pete.

– Może choć raz utrzymasz ten jadowity język za zębami?! Byłem tu pierwszy, a ten twój polski pacholek próbował wepchnąć się przede mnie. Osobiście uważam, że w ogóle nie powinno się go tu obsługiwać!

Mężczyzna, który to powiedział, wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Był wysoki i łysy, a znad paska znoszonych dżinsów wystawał mu brzuch. Emocje i wypity alkohol sprawiły, że oczy i policzki nabiegły mu krwią.

– Na szczęście wszyscy mają w dupie, co uważasz, Ed – oświadczyła słodko Hannah.

Ilir patrzył na mężczyznę spode łba z twarzą pociemniałą z gniewu. Mruknął pod nosem coś w swoim języku, a słysząc jego gniewny ton, Ed odsunął się o kilka kroków.

– Słyszeliście? Umiem rozpoznać groźbę, nawet jeśli wypowie ją mała, która nie mówi po ludzku. Wyrzucisz go stąd, Murray, czy mam się tym zająć sam?

Pete Murray przeniósł spojrzenie z pobladłej ze złości Hannah na rozjuszonego Eda, a potem zwrócił się do Ilira ze smutkiem:

– Może na ciebie już czas, co, kolego? Chyba nie warto tego ciągnąć...

– Nie! Ma wyjść tylko dlatego, że tak sobie ubzdurał ten pijany idiota?! – zawołała Hannah.

– Proszę, proszę, mnie nazywa pijakiem! No już, wracaj do budy, psie.

Łysy mężczyzna machnął ręką na Ilira, nie zważając na wrogie spojrzenia innych gości pubu.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza. Zach zastanawiał się, czy nie położyć Hannah dłoni na ramieniu, żeby ją uspokoić, ale kobieta aż trzęsła się ze złości i podejrzewał, że mogłaby się odwrócić i go uderzyć. Kiedy nikt nie ruszył się z miejsca, Ed znów spojrzał na Ilira złośliwie, udając zaskoczenie.

– Jeszcze tu jesteś? No już, wynoś się, zanim zadzwonię do urzędu imigracyjnego. – Wpływ tych słów na Ilira był wyraźny. Poczerwieniał na twarzy i wybałuszył oczy. Zach usłyszał, jak Hannah ze świstem wciąga powietrze do płuc, a Ed uśmiechnął się szeroko. – No proszę – stwierdził z satysfakcją.

Rozejrzał się zamglonym wzrokiem po pubie, przesuwając wzrok z twarzy na twarz, usiłując je rozpoznać.

– Wszyscy to widzieliście, prawda? Trafiłem w czuły punkt, co?

Gdyby gliny złożyły ci wizytę, pewnie wyszłoby na jaw, że z twoimi papierami coś jest nie w porządku, co, kochanieńki? – Dźgnął Ilira palcem w klatkę piersiową, a Zach zdał sobie sprawę, że Ed musi być bardzo pijany, skoro nic sobie nie robi z morderczego spojrzenia Cygana.

– Jego papiery są w idealnym porządku, skurwielu – wycedziła Hannah.

– Och, w takim razie nie będzie mu przeszkadzać, że jutro dryndnę na komisariat i poradzę im, żeby to sprawdzili, co? – Twarz Eda rozjaśnił triumfalny uśmiezek.

– Słuchaj no, Ed, może lepiej o tym zapomnij i po prostu się napij. Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada. Po co stwarzać innym problemy – powiedział bez przekonania Pete, stawiając przed nim kufel piwa.

Ed uśmiechnął się do Ilira drwiąco.

– Lepiej spakuj się dziś wieczorem. Wydaje mi się, że nie zostanie ci na to zbyt wiele czasu, kiedy cię zwiną i wyślą do domu. – Odwrócił się, podniósł kufel i usiłował upić łyk, nie rozlewając piwa.

Chwilę później rzucił się na niego Ilir.

Pierwszy cios zsunął się z czaszki Eda, więc mężczyzna zachwiał się tylko i upuścił kufel. Piwo eksplodowało na podłodze chmurą piany i odłamków. Ilir zrobił krok naprzód, złapał Eda za koszulę i popchnął go tyłem na bar. Ogarnięty furją, błysnął odsłoniętymi zębami. Zach usłyszał krzyk Hannah, ale mógł tylko patrzeć oniemiały, jak kobieta podbiega do nich i próbuje odciągnąć Ilira. Ed więcej wypił, ale był wyższy od Ilira i miał większy zasięg ramion, dlatego zdołał podbić Cyganowi oko, zanim ten wymierzył mu kolejny cios, tym razem w brzuch. Ed sapnął z bólu, ale nie zgiął się wpół. Uderzenie było zbyt słabe, żeby go powstrzymać.

– Ilir! Przestań! – zawołała Hannah.

Kilku mężczyzn chwyciło Ilira za ręce, a chwilę później kolejni obezwładnili Eda, który ruszył na przeciwnika z wysuniętym podbródkiem i przekrwionymi oczami w niezdarnym pokazie agresji. Ilir wyglądał, jakby mógł zabić. Zach podszedł bliżej i stanął obok Hannah między walczącymi, ciesząc się, że ktoś ich trzyma.

– Hannah! – wrzasnął Pete, opierając wyprostowane ręce na barze, jakby chciał przez niego przeskoczyć i włączyć się do walki.

– Okej! Wychodzimy! – rzuciła Hannah krótko.

Na policzku Eda, w miejscu, w którym pierwszy cios Ilira odbił się od kości, wykwitł czerwonawy siniec.

– Wszyscy to widzieliście! Widzieliście wszyscy! Zaatakował mnie! Nie myśl, że tego nie zgłoszę, pieprzony analfabeto! Mam świadków! – oburzenie sprawiło, że głos Eda przypominał ochryply skrzek.

– Tylko spokojnie, Ed. Wszystko działo się tak szybko. Na pewno byliśmy zbyt oszołomieni, żeby pamiętać, kto kogo pierwszy uderzył, prawda? – Właściciel pubu zerknął na kilku stałych klientów, którzy skinęli głowami w odpowiedzi.

Ed uśmiechnął się szyderczo, usiłując złapać oddech.

– Jesteście żałośni! Wszyscy razem!

– Lucy, bądź tak dobra i wezwij Edowi taksówkę. Chyba nie czuje się najlepiej. A ty – Pete wymierzył palec w Ilira – daj już spokój i idź do domu. Ale już. – Ilir rzucił wiązaną przekleństw w swoim języku, wyrwał ręce z uścisku przytrzymujących go mężczyzn i ruszył sztywno w kierunku drzwi, po drodze łapiąc swoje buty. – Ty też, Hannah. Myślę, że na dziś już wystarczy.

– Nie ma problemu – odpowiedziała Hannah.

Posłała Edowi wściekłe spojrzenie.

– No dobrze, w takim razie... dobranoc wszystkim – dodał Zach, wychodząc za nią.

Ilir szedł środkiem ścieżki w przeciwną stronę niż farma, lekko się zataczając. Miał odwrotnie założone buty, które marszczyły mu się dziwnie na kostkach.

– Ilir! Zaczekaj! – Hannah męczyła się z własnymi butami na zadaszonej werandzie przed pubem. Deszcz wciąż padał szarymi strugami. Ilir nie miał niczego na głowie, a jego przylizane włosy lśniły w słabym świetle latarni ulicznych. – Ilir! – Pobiegnęła za mężczyzną, dogoniła go i delikatnie wzięła za rękę.

Zach patrzył na nich, niepewny, jak się zachować, zgarbiony od owiewającego go zimnego wieczornego powietrza. Słyszał, że Hannah

mówi coś do swojego współpracownika, ale nie rozumiał jej słów. Nagle, ku jego zaskoczeniu, Ilir osunął się na kolana na drodze.

– Zach! – zawołała Hannah.

Klnąc pod nosem, Zach wybiegł na deszcz. Z kącika prawego oka Ilira sączyła się krew, która ściekała mu po twarzy, mieszając się z kroplami deszczu. Oko prawie zniknęło pod spuchniętą powieką.

– Jezu, nie trzeba tego zszyć? – zapytał.

Hannah ujęła twarz Ilira w mokre od deszczu dłonie i przyjrzała się jej badawczo. Ilir zamknął drugie oko. Oddychał z trudem i spazmatycznie przełykał ślinę.

– Nie, tylko... pomóż mi go podnieść, dobrze? Ed musiał go trafić mocniej, niż sądziłam.

Ujęli Ilira pod ramiona i podciągnęli go na nogi, ale drżały mu kolana i stawiał niepewne kroki.

– Pójdę po samochód. Zaczekajcie tu.

– Zaraz, nie jesteś pijany? – zawołała Hannah.

– Ten mały incydent całkiem mnie otrzeźwił. I musiałbym mieć prawdziwego pecha, żeby między pubem a farmą złapał mnie policjant z alkomatem. Chyba że wolisz prowadzić go do domu w takim stanie?

– W porządku, idź już – powiedziała, bo Ilir znów usiadł, chowając pokornie głowę w dłoniach.

Hannah przykucnęła obok i objęła go, opierając mu brodę na ociekających deszczem włosach. Zach nigdy nie widział u niej tak czułego gestu i wbrew sobie poczuł ukłucie zazdrości.

Udało im się namówić Ilira, żeby wsiadł na tylne siedzenie, Hannah wskoczyła do przodu i ruszyli. Kierownica ślizgała się w mokrych dłoniach Zacha. Niewiele widział przez ulewę, dlatego ulżyło mu, kiedy skręcili z drogi na ścieżkę do farmy, bo tam nie mieli szans natknąć się na inne samochody.

Podjechał najbliżej domu, jak mógł, ale i tak przemokli do suchej nitki, pomagając roztrzęsiionemu Ilirowi przy wysiadaniu. Lało jak z cebra.

Hannah i Zach wręcz zanieśli Cygana przez kuchnię na piętro do jego pokoju, lawirując między stosami śmieci i starymi meblami. Kiedy weszli do środka, Zach miał wrażenie, że znalazł się w zupełnie innym

domu. W pokoju Ilira panował nieskazitelny porządek. Łóżko było posłane i przykryte równo naciągniętą narzutą; zasłony uprane i zaciągnięte. Żadnych ubrań ani butów na podłodze. Na gzymsie kominka pod lustrem ściennym zobaczył tylko dezodorant i grzebień, a dywan był idealnie odkurzony. Hannah zauważyła, że Zach przygląda się temu z niedowierzaniem.

– Wiem. – Wyrzuciła ręce w górę, a potem pozwoliła im opaść. – Uwierz mi, mówiłam, że może zająć się całym domem, ale on uważa, że tylko ten pokój należy do niego, a do reszty nie powinien się mieszać.

– Wcale mu się nie dziwię.

– Nie o to mu chodziło. To kwestia wyczucia. Taktu. – Usiadła na skraju łóżka obok Ilira i owinęła mu stopy kocem.

– Jeszcze żyję. Nie mówcie o mnie tak, jakbym umarł – wymamrotał Ilir.

Hannah uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że żyjesz. Myśleliśmy, że straciłeś przytomność.

Ilir ostrożnie wyprostował plecy i dotknął rany nad okiem, z której wciąż ciekła krew.

– Stracę, jeśli nie dostanę kawy – stwierdził.

– Ja zaparzę – zaoferował Zach.

– A ja przyniosę watę i przemyję to oko.

– Przestań się ze mną cackać, Hannah. Nie jestem dzieckiem.

– To przestań się zachowywać jak dziecko i zażyj lekarstwo – odparowała kategorycznie.

W kuchni Zach nastawił czajnik i przyglądał się, jak Hannah grzebie w szafkach i szufladach, wyciągając z nich szklaną miskę, sól i watę.

– Czy Ilir jest tu... nielegalnie? – zapytał.

Hannah skrzywiła się, nie patrząc na niego.

– Z technicznego punktu widzenia możliwe. Ale czy ma prawo tu być? To na pewno.

– Nie może wyrobić sobie wizy czy czegoś takiego?

– Dzięki, Zach, nigdy nie przyszło nam to do głowy. Słuchaj, gdyby istniał jakiś szybki i prosty sposób, żeby załatwić mu papiery, na pewno byśmy to zrobili, rozumiesz? Ale on nie ma nawet paszportu.

– Jezu, Hannah, a co jeśli ten Ed naprawdę zadzwoni na policję? Możesz mieć kłopoty, prawda?

– Ja mogę mieć kłopoty? – Odwróciła się gwałtownie i stanęła przed nim. – Ilir mieszkał w romskiej dzielnicy w Mitrowicy. Po wojnie wszystkich Cyganów wypędzono z ich domów i zamknięto w obozach dla uchodźców. Ten, w którym go umieszczono, był zbudowany na hałdach przy kopalni ołowiu. Kopalni ołowiu, Zach. Nazywał się Cesmin Lug. Teraz jest już zamknięty, ale musieli tam mieszkać wiele lat. To miejsce zabiło jego rodziców. Dzieci, które się tam wychowują, dostają ołowicy. Teraz ONZ odbudowało część ich domów w Mitrowicy i próbuje ich tam z powrotem przesiedlić, do miasta, w którym znów będą dyskryminowani, znów będą żyć w strachu przed rasistowskimi atakami. A ty mówisz, że ja mogę mieć kłopoty, jeśli go odeślą? – pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Mówię tylko, że... Możesz dostać ogromną grzywnę za zatrudnianie nielegalnego imigranta.

– Nielegalnego imigranta? To nie ma już imienia?

– Źle to zabrzmiało... nie chciałem...

– Jakie znaczenie mają nasze drobne problemy w porównaniu z tym, co stanie się z Ilirem po deportacji? – rzuciła. – Jakie znaczenie ma cena moich owiec, to, czy skończysz książkę, albo jak nazwiemy nasz związek? Jak można się tym przejmować, wiedząc, z czym musiałyby żyć w swoim kraju?

– Czy to on cię w to wciągnął? W to, w co jesteś zamieszana? Przemyt... sprzedaż sfałszowanych obrazów... Na pewno ma w tym światku więcej kontaktów niż ty.

Hannah wpatrywała się w niego przez chwilę oniemiała, a potem jej oczy rozbłysły gniewem.

– Zostaw ten temat albo wyjdź. Mówię poważnie. – Podniosła rękę i wskazała mu drzwi, a Zach zobaczył, że wycelowany w nie palec lekko drży.

– W porządku – powiedział cicho. – W porządku. Po prostu... po prostu martwię się o ciebie.

Hannah opuściła rękę i wzięła watę i słoną wodę.

– Niepotrzebnie. Nic mi nie jest.

Odwróciła się i poszła na górę.

Zach przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyjść. Nie odjechać w strugach deszczu ze złamanym sercem. Próbował sobie wyobrazić, że Hannah biegnie za nim tak jak za Ilirem, ale spodziewał się raczej, że pozwoliłaby mu odejść. Znalazł w kuchni słoik kawy rozpuszczalnej, naszykował trzy kubki i wsypał do każdego cukier, bo nie znalazł mleka, którego odważyłby się użyć. Czy pociągała go świadomość, że ma przed nim tajemnice? Czy tylko to go przy niej trzymało? W takim razie powinien odejść. Nie powinien mieć z nią nic wspólnego, bo zgłaszając publicznie wątpliwości co do autentyczności portretów Dennisa, wydałby Hannah. Ale przypomniał sobie, jak stała na skraju podwodnej półki skalnej, wpatrzona w pusty bezkres morza, zupełnie sama. Pomyślał o zdecydowanej linii jej ramion, o tym, z jaką odwagą stawia światu czoła z wysuniętym buntowniczo podbródkiem, chociaż w jej domu, w jej życiu prywatnym panuje chaos.

Bolała go głowa. Wiedział z całą pewnością, że nie chce zostawiać Hannah. Zamknął na chwilę oczy, zaklął, a potem upił łyk kawy z jednego kubka, wziął dwa pozostałe i ostrożnie ruszył do pokoju Ilira.

W połowie schodów usłyszał ich głosy, ciche, ale wyraźne. Stopnie nie skrzypiały, nie zdradzały, że się zbliża. Zwolnił bezwiednie. Zrobił jeszcze jeden krok, a potem zamarł bez ruchu, podsłuchując i nienawidząc się za to.

– Nic mu nie powiedziałam, przyrzekam – zapewniała Hannah.

Zach zacisnął szczękę ze złości.

– Wiem, wiem, Hannah. Ale co, jeśli przyjdzie policja? Co, jeśli Ed ich wezwie, tak jak mówił?

– Ten bydlak był dziś tak pijany, że ledwo się trzymał na nogach... Nie będzie pamiętał, co się działo ani co wygadywał.

– A jeśli będzie pamiętał?

– Wtedy... sam wiesz. Musimy po prostu wytrzymać do wtorku. To wszystko. Jeszcze tylko trzy dni, Ilir, i będzie po wszystkim! Możesz zniknąć... Jeśli przyjdzie policja, możesz się ukryć. Powiem, że uciekłeś po tej awanturze w pubie. Powiem, że nie wiem, gdzie jesteś.

– Możesz mieć przez to kłopoty, Hannah. Zrobiłabyś to dla mnie?

– Oczywiście. Zaszliśmy już przecież tak daleko.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna. Wszystko się ułoży, zobaczysz. Jeszcze tylko trzy dni, Ilir. Trzy! To tyle co nic.

– Przepraszam za wcześniej. Za sytuację w pubie. Niepotrzebnie straciłem głowę. Niepotrzebnie go sprowokowałem.

– Hej, nigdy nie przepraszaj mnie za to, że przyłożyłeś Edowi Lynchowi, okej? Działałeś w służbie ludzkości. – Zach usłyszał uśmiech w słowach Hannah.

– Co powiesz Zachowi po wszystkim? – spytał Ilir.

Zach nie chciał słyszeć nic więcej, więc pokonał ostatnie trzy stopnie i stanął w drzwiach, gdzie wbiły się w niego dwie pary oczu.

– Właśnie, co mi powiesz? – powtórzył beznamyślnie. Nagle poczuł się zmarznięty i wycieńczony. W szczęce Ilira zadrgał mięsień. Cisza aż dźwięczała w uszach. Hannah skuliła się lekko, jakby godziła się z czymś nieuniknionym. – Co będzie we wtorek? – dodał.

– Zach – zaczęła, ale nie powiedziała nic więcej. Tylko jego imię, głosem napiętym od ciężaru niewypowiedzianych sekretów. Nagle Zach zrozumiał, że tego nie zniesie, że tak naprawdę nigdy do niej nie dotarł, nigdy jej nie poznał. Ostrożnie stawiając kroki, jak człowiek, który niepewnie się trzyma na nogach, zszedł po schodach i wyszedł bez słowa.

Dimity spała niespokojnie. Obok niej leżał jej pustynny portret, który namalował Charles. Chciała, żeby ten obraz przeniknął do jej snów. Chciała otworzyć oczy swojej duszy i stać się tamtą dziewczyną, piękną istotą, która wyszła spod pędzla Charlesa. Ale zamiast wizji utraconej piękności naszły ją inne, bardziej zmysłowe wspomnienia. Poczowała odurzającą bliskość ciała Charlesa, jego wargi na swoich ustach, jego smak i jego ramiona, zaciśnięte wokół niej przez tych kilka bezcennych sekund, zanim ją odepchnął. Poczowała ból, który rozdarł jej czaszkę, kiedy uderzyła głową o toaletkę Celeste, i palący ślad dłoni kobiety na twarzy, jakby wymierzony przez Marokankę policzek był jadowity niczym ukąszenie skorpiona. Kiedy spała, nie mogła uciec przed tymi prawdami, a w uszach wciąż dźwięczał jej ten sam kpiący wers. „Allahu akbar! Allahu akbar!”

Gdzieś wysoko nad jej głową śpiewał muezin, wzywając wiernych

na modlitwę. Spojrzała na oszłamiająco wysoki minaret, który wznosił się niedaleko, lśniąc zielenią na tle jasnego nieba. Twarz Dimity spływała potem, zalewając oczy piekącymi kroplami. Suche powietrze parzyło płuca. Długo biegła przed siebie. Teraz przysiadła na zakurzonym progu, gwałtownie mrugając. Oparła się o stare drewno i poczekała, aż jej oddech się uspokoi. Zemdliło ją na wspomnienie gniewu Celeste. Przypomniła sobie przeszywające spojrzenie błękitnozielonych oczu i szybkie, brutalne ruchy jej dłoni, kiedy szarpała chustę i naszyjnik. Słyszała, jak Dimity ćwiczyła przysięgę małżeńską, jak udawała, że bierze ślub z Charlesem. „Tylko się bawiłam”, tak będzie musiała powiedzieć. Ale to było kłamstwo, a Celeste o tym wiedziała – tylko to tłumaczyłoby jej furję. Dimity nie mogła znieść myśli, że będzie musiała stanąć przed nią i prosić o wybaczenie. Nie miała na to odwagi, a jednocześnie wydawało się to nieuniknione. Jeśli nie wróci do pensjonatu, to nie zabiorą jej ze sobą do Anglii, nie zmuszą do powrotu do Blacknowle. Ale nic jej to nie da, skoro Charles wyjedzie razem z nimi. Poczowała na twarzy gorące łzy, gorętsze nawet od żaru popołudniowego słońca.

Drzemała jakiś czas, śniąc, że Charles przychodzi ją odnaleźć, bierze w ramiona i rozpędza jej obawy pocałunkami. Piękne, bolesne wizje. Obudziły ją głosy. Zobaczyła przed sobą dwie kobiety. Pierwsza była ubrana w szarą szatę ukazującą tylko jej oczy, czarne jak węgielki. Druga miała skórę w kolorze głębokiej czerni, która tak fascynowała Dimity, a kiedy się odezwała, jej zęby zaśniły bielą jak morską pianą w nocy. Uśmiechnęła się, wplatając ciche, łagodne uwagi w potok słów kobiety o zasłoniętej twarzy. Dimity nie wiedziała, czy i ona się uśmiecha, czy może jest zła albo zciekawiona. Ukryta pod swoją chustą, pozostawała anonimowa, a przez to groźna. Dimity nie miała pojęcia, co do niej mówią, więc usiadła, ale nie przesunęła się i nic nie odpowiedziała. Serce zaczęło walić jej w piersiach. Kobiety wymieniły spojrzenia, a potem ta o ciemnej skórze wyciągnęła rękę, położyła szeroką dłoń na ramieniu Dimity i lekko ją pociągnęła, dając dziewczynce do zrozumienia, że ma wstać i pójść z nimi. Dimity pokręciła gwałtownie głową, bo nagle przypomniała sobie wszystkie opowieści Delphine o porywaczach białych ludzi. Czarna kobieta

ponagliła ją, ale Dimity zerwała się na nogi, wyszarpnęła rękę i uciekła, potykając się w pośpiechu, spodziewając się, że zaraz znów poczuje na sobie ich dłonie.

Biegła tak długo, aż zabrakło jej tchu i musiała zwolnić. Wlokła się dalej, wzbijając stopami obłoki pyłu, od czasu do czasu zawadzając o kamienie na ścieżce. Po obu stronach ulicy wznosiły się wysokie, surowe budynki Fezu. Na czerwonych ścianach łuszczył się tynk. Okna zasłaniały zniszczone okiennice; tu nie było balkonów ani tłumy przechodniów. Dimity zatrzymała się. Poczowała, jak ogarnia ją nowy rodzaj strachu. Nie wiedziała, gdzie jest ani jak ma wrócić do pensjonatu, ani nawet jak trafić do bram miasta, na skraj tego labiryntu. Obróciła się powoli dookoła, z trudem łapiąc powietrze. „Nie odchódź sama, dobrze, Mitzy?” Drzwi wychodzące na ulicę były ogromne i złowrogie; połączone drewna rzeźbione w ozdobne wzory, w których osadzały się piasek pustyni i uliczny kurz. Przez chwilę Dimity rozważała, czy nie zapukać do którychś z nich, zapytać o drogę, zupełnie jakby mogła zobaczyć za nimi znajomą twarz, kogoś, kogo zna z domu. Jakby pamiętała nazwę pensjonatu albo wiedziała, przy jakiej stoi ulicy, i mogła zrozumieć odpowiedź. Ledwo powłóczyła nogami, a upał ciążył jej jak kotwica. Nie słyszała już muezina, więc nuciła jedyne słowa jego pieśni, które zapamiętała, jak gdyby one mogły zawieść ją z powrotem do zielonej wieży niedaleko riadu. „Allahu akbar... Allahu akbar...”

Obok niej skrzypnęły drzwi. Wyjrzał zza nich chudy mężczyzna i popatrzył na nią ciekawie. Dimity przestała śpiewać i krzyknęła, a kiedy zarzucił ją niezrozumiałymi słowami, pokręciła tylko głową. Zawróciła i odeszła tą samą drogą, którą przyszła. Gdy obejrzała się przez ramię, mężczyzna stał na ulicy, śledząc każdy jej ruch. W butach miała piach, który obcierał jej skórę na piętach i palcach. Otarła pot z twarzy i poczuła szorstkie ziarenka na opuszkach palców dotykających zaciśniętych powiek. Szła dalej, a z każdym krokiem ogarniała ją coraz większa panika. Strach przypominał przerażonego ptaka, który trzepocze skrzydłami w jej głowie i piersiach. W końcu nie mogła już zebrać myśli. Labirynt, tak Charles nazwał stare miasto. Nawet Dimity wiedziała, że to miejsce, z którego nie można uciec, pułapka zaprojektowana tak, by zmącić człowiekowi zmysły, pełna ślepych

uliczek i zawitych tras, w której sercu czaiły się potwory.

Szła wiele godzin. Próbowwała trzymać się trasy, nie skręcając ani razu, żeby w końcu dojść do pustyni, ale miasto nie miało końca. Potem zaczęła przy każdej okazji skręcać w prawo, ale tym sposobem stale wracała na mały skwerek, na którym wychudzony pies mierzył ją nieufnym spojrzeniem. Postanowiła więc skręcać raz w lewo, raz w prawo, co rusz zmieniając kierunek, ale nie natrafiła na żaden znajomy budynek ani na żadną ulicę, którą już widziała. Usiłowała zapamiętać, z której strony przyszła, ale kiedy zawracała, za każdym razem trafiała w inne miejsce, jakby miasto było zaczarowane, a chochliki przestawiały domy i mury za jej plecami. Serce ścisnęły jej strach i zmęczenie.

Kiedy dotarła na zatłoczony bazar, wstąpiła w nią nowa nadzieja, ale później zorientowała się, że jest dużo mniejszy od głównego targowiska, na które zabrał ją Charles, więc wróciła na puste ulice. Czowała na sobie czyjś wzrok, jakby czyhało na nią jakieś złowrogie stworzenie, czekając, aż opadnie z sił. W końcu doszła do stromych kamiennych schodów. Przystanęła, żeby złapać oddech, po czym zaczęła się wspinać, wlokąc za sobą ciężkie nogi w nadziei, że z góry będzie miała lepszy widok i dojrzy jakiś znajomy budynek. Ale stopnie wieńczył wysoki kamienny mur, zza którego nic nie widziała, i zamknięta brama. Nie wiedząc, co dalej począć, zaczęła walić do drzwi, gotowa zdać się na łaskę mieszkających tam ludzi. Może otworzy je jakaś życzliwa kobieta, która napoi Dimity i pomoże jej się czegoś dowiedzieć. Długo pukała, ale nikt się nie pojawiał. Mimo to nie przestała pukać, dopóki nie zdarła skóry na kostkach do krwi. Wtedy osunęła się na ziemię, oparła o mur i wybuchnęła płaczem.

Zaschło jej w gardle. Nigdy w życiu nie była tak spragniona, tak zagubiona i przestraszona. Słońce powoli się obniżało, ale nadal świeciło tak jasno, że raziło ją w oczy i wypełniało jej głowę hukiem nie do zniesienia. Nie wiedziała, jak długo czekała na szczycie schodów, ale w końcu znalazła w sobie dość sił, żeby się podnieść i zejść na dół, by wkroczyć z powrotem w labirynt ulic i alejek, krętych korytarzy, sklepionych przejść i drzwi. Ruszyła dalej, aż w końcu osłabione nogi zaczęły się jej trząść przy każdym kroku. Po jakimś czasie udało się jej wrócić na ulice pełne sklepów i ludzi. Niektórzy mijali ją w pośpiechu,

inni stali w grupkach, zatopieni w rozmowie.

Dimity poczuła jednocześnie ulgę i jeszcze większy niepokój. Żałowała, że nie ma zwoju szarego materiału, pod którym mogłaby ukryć swoją głowę i twarz przed spojrzzeniami przechodzących mężczyzn. „Może dlatego kobiety się zasłaniają”, pomyślała, bo wzrok przechodniów był ostry i przenikliwy; wrogi; badawczy. Nawet gdyby знаła ich język, bałaby się poprosić ich o pomoc. Była zgubiona na zawsze, skazana na błąkanie się wąskimi uliczkami niczym duch, zjawa. Robiła wszystko, żeby nie pokazać po sobie paniki, słabości.

Za którymś rogiem zobaczyła fontannę wyłożoną ozdobnymi kaflami, w której woda spływała do kamiennej misy. Z okrzykiem ulgi rzuciła się naprzód i zaczęła pić z mosiężnej dyszy, napełniając złożone dłonie. Woda koła jej wyschnięte gardło, wydymała jej brzuch. Opłukała dłonie i wytarła brudną twarz. Kiedy się odwróciła, zobaczyła przed sobą grupę mężczyzn, stojących w półokręgu. Zamarła. Ich twarze były pozbawione wyrazu, niemożliwe do odczytania; usta mieli zaciśnięte w ciekłą linię, oczy czujne, ramiona zwieszone luźno wzdłuż boków. „Nie odchodź sama, dobrze, Mitzy?” Znowu przypomniała sobie słowa Charlesa i zawarte w nich subtelne ostrzeżenie. „Co by się stało, gdyby do środka wszedł chrześcijanin? Lepiej tego nie sprawdzać”. Zdała sobie sprawę, że blokują jej drogę wyjścia. Stali na odległość ramienia od siebie. Przywiedli jej na myśl krowy. Stado Bartona w Blacknowle, które zeszłego lata otoczyło turystkę spacerującą z psem na polu. Krowy stanęły wokół niej i nie pozwalały jej odejść, obserwując ją w ten sam sposób. A kiedy spróbowała się wydostać, zwarły szyki. Stratowały ją, połamały jej nogę i żebra, stratowały psa.

Dimity znowu zaschło w gardle. Poczowała skurcz żołądka i próbowała za wszelką cenę zatrzymać w nim wodę, którą właśnie wypiała. Szukając drogi ucieczki, spojrzała w drugą stronę. Za fontanną rozciągała się pusta ulica. Drewniana barierka, która ją zagraadzała, składała się z pojedynczej belki, pod którą łatwo byłoby przejść. W potężnym murze nieco dalej znajdowała się ogromna, piękna brama. Nad nią płonęła w słońcu zielona wieża Meczetu Al-Karawijjin, górującego nad wszystkim. Dimity odczekała najdłużej, jak wytrzymała. Obawiała się, że przy najdrobniejszym ruchu nogi odmówią jej posłuszeństwa i nie da rady

uciec. Potem wzięła drżący oddech, zeszła z fontanny i rzuciła się w stronę barierki. Za nią natychmiast rozległa się wrzawa, mieszanina głosów i pośpiesznych kroków. Dimity jęknęła ze strachu. Dopadła barierki i schyliła się, żeby pod nią przejść, ale włosy przesłoniły jej twarz i źle oceniła wysokość belki. Zawadziła o nią głową, a siła uderzenia zbiła ją z nóg i upadła jak długa na ziemię. Próbowwała wstać, ale świat zawirował jej przed oczami. Wszędzie widziała białe iskierki światła, zrobiło się jej niedobrze.

Mężczyźni otoczyli ją kołem, przekrzykując się nawzajem; niektórzy machali gniewnie rękami, inni wydawali się wzburzeni, jeszcze inni niemal zatroskani. Widziała tylko ich twarze, wzbierające nad nią niczym fala; w uszach huczały jej ich niezrozumiałe słowa. Coś ściekało jej z czoła do oczu, więc mrugnęła, a wtedy cały świat stał się czerwony. Znów pomyślała o krowach, o psie pod ich kopytami. Wiedziała, że umrze, jeśli nie wstanie. Podniosła się i na czworaka ruszyła w stronę pustej uliczki za barierką, ale nie zdążyła pokonać nawet metra, kiedy poczuła na sobie ich dłonie.

Wrzasnęła.

Mężczyźni złapali ją za kostki i nadgarstki, za ramiona i ręce, za łydki. Podnieśli ją i zabrali dalej od pustej alejki i wolności, jaką zdawała się obiecywać. Dimity walczyła resztkami sił, rzucając się na boki i wykręcając ciało, dopóki nie poczuła w stawach i mięśniach piekącego bólu. Była pewna, że za chwilę poczuje ich dłonie na swoich ustach i gardle, czekała, aż zdławią w niej resztki życia. Potem pomyślała, że mężczyźni wcale nie chcą jej zabić. Wolą wykorzystać ją do swoich niecných celów. Zamienić w niewolnicę i zmusić do pracy, bawić się jej kosztem, upokorzyć ją. Przez czerwien zalewającą jej oczy widziała niebo, jasną, beztruską smugę błękitu wysoko nad nią, przesłoniętą prawie całkowicie przez wykrzywione twarze jej porywaczy. Zawołała Charlesa. Ich palce wbijały się w jej skórę, zostawiając siniaki, w głowie huczało jej z bólu i przerażenia. W ostatniej chwili krzyknęła nawet imię Valentyny, a potem świat ogarnęły ciemności i nie mogła dłużej walczyć.

Kiedy doszła do siebie, spróbowała wstać.

Uchyliła powieki, ale światło wydało jej się przeraźliwie jasne. Miała wrażenie, że promienie przeszywają jej czaszkę jak noże.

Zamknęła oczy i z jękiem opadła na poduszki.

– Mitzy? Nie śpisz! Jak się czujesz?

Poczuła na dłoni uścisk drobnych, delikatnych palców i zdała sobie sprawę, że należą do Delphine. Zalała ją fala gwałtownej, niemal bolesnej ulgi. Zaczęła się zastanawiać, co się stało, jak wróciła do riadu i dlaczego tak boli ją głowa, ale pokój zawirował jej przed oczami, a żołądek podszedł do gardła.

– Niedobrze mi – jęknęła słabo.

– Proszę. Masz tu miskę. Po lewej stronie – powiedziała Delphine, a Dimity poczuła na brodzie chłodny dotyk porcelany. Podniosła się lekko, odwróciła głowę i zwymiotowała. – To pewnie przez to, że uderzyłaś się w głowę. Kilka lat temu spadłam z kucyka, uderzyłam się w głowę i też wymiotowałam – wyjaśniła Delphine. – Proszę, napij się wody. – Nie otwierając oczu, Dimity poczuła przy ustach szklankę i chwyciła ją niezgrabnie. – Bierz małe łyki, nie pij za szybko, bo znów zrobi ci się niedobrze.

– Jak tu jasno – poskarżyła się ochrypłym głosem Dimity.

Usłyszała szelest, kiedy Delphine wstała, a potem trzask zamykanych okiennic. Otworzyła ostrożnie oczy i w łagodniejszym świetle zobaczyła Delphine, która przyklękła obok materaca. Włosy miała zaplecione w dwa warkocze, które opadały jej z przodu na ramiona, grube i lśniące.

– Witamy z powrotem – powiedziała z uśmiechem. – Zabłądziłaś? Wszyscy się o ciebie martwiliśmy... baliśmy się, że cię porwali!

– Tak... zabłądziłam. Myślałam, że... Ale skąd się tu wzięłam?

– Tatuś cię znalazł. Przyniósł cię do domu. Wiesz co, poczekaj, lepiej im powiem, że się obudziłaś. Lekarz powiedział, że jeśli do wieczora nie odzyskasz przytomności, mamy go znów wezwać, więc powinnam im jak najszybciej powiedzieć. Poradzisz sobie tu sama przez chwilę? – zapytała. Dimity skinęła głową bez słowa, a Delphine znów się uśmiechnęła. – Jesteś już bezpieczna. Ale masz niezłego guza na głowie! – Wstała i wyszła z pokoju, zabierając ze sobą miskę.

Dimity nigdy nie czuła się gorzej. Głowa pękała jej z bólu; całe ciało miała posiniaczone i obolałe. Była słaba jak dziecko. Pokój wciąż wirował jej przed oczami, a chociaż gorące, suche powietrze drapało ją

w gardle, drżała, jakby było jej zimno. Usłyszała lekkie pukanie do drzwi, a potem skrzypnięcie. Na widok Charlesa spróbowała usiąść, ale aż skrzywiła się z wysiłku.

– Nie, nie wstawaj, Mitzy – powiedział, stając przed łóżkiem. Dimity ostrożnie oparła plecy o ścianę. Spojrzała na siebie i z przerażeniem zobaczyła, że nadal ma na sobie to samo brudne, zakrwawione ubranie. – Jak się czujesz?

– Chyba... chyba umieram – wyszeptała z rozpaczą, bo w nowej pozycji miała wrażenie, że mózg przelewa jej się w głowie jak zupa w wazie.

Charles zaśmiał się cicho i usiadł obok niej.

– Napędziłaś nam stracha. Co cię napadło, żeby tak uciec?

– Ja... Celeste... – poddała się. Nie umiała tego wytłumaczyć. Twarz Charlesa majaczyła jej przed oczami coraz bliżej, dość blisko, by mógł ją pocałować, ale potem oddalała się znów, jakby niesiona ruchem fal. – Jak mnie znalazłeś? – spytała.

Marzyła, że ją uratuje, i jej marzenie się spełniło.

– Tak się składa, że z ogromnym trudem. Krążyłem wokół domu, za każdym razem zataczając coraz większe kręgi. Szukałem cię wiele godzin, aż wreszcie usłyszałem ten harmider...

– Ja... zabłądziłam – przyznała, patrząc na niego nieśmiało. – Martwiłeś się o mnie?

– Oczywiście, że się martwiłem, do cholery! Co ci się stało w głowę? Chyba nikt cię nie uderzył?

– Och, ci mężczyźni! – krzyknęła, przypominając sobie całą sytuację. – Próbowałam przejść pod barierką, żeby uciec od tych okropnych mężczyzn, i uderzyłam się w głowę...

– Próbowałaś przejść na drugą stronę barierki? Przed meczetem? – Charles zmarszczył brwi.

– Tak, bo... bo chciałam uciec... a oni wszyscy na mnie krzyczeli i próbowali mnie złapać!

– Mówili ci, że to nie miejsce dla ciebie, głuptasie! Na ulicę za tą barierką wstęp mają wyłącznie muzułmanie! A o tej porze dnia nie wolno tam wchodzić kobietom, a co dopiero dziewczynie z nieosłoniętą twarzą! Naprawdę wystawiłaś ich cierpliwość na próbę, moja mała

Mitzy – Charles westchnął, a potem uśmiechnął się lekko. – Nic dziwnego, że byli tacy oburzeni!

– Ja nie chciałam! Nie wiedziałam! – wołała Dimity. – Myślałam, że chcą mnie zabić!

– Spokojnie, spokojnie, nie chcieli cię zabić, próbowali tylko nie dopuścić do bluźnierstwa. To było zwykłe nieporozumienie, ale zdaję sobie sprawę, że bardzo się przestraszyłaś.

Dimity przygryzła wargę, a do oczu napłynęły jej łzy. Nie próbowała ich ukryć.

– Przepraszam, że tyle ze mną problemów. Przepraszam, że musieliście się o mnie martwić.

– Teraz to już nieważne. Wszyscy cieszymy się, że jesteś znowu z nami, cała i zdrowa. Celeste i dziewczynki też się o ciebie martwiły...

Na wzmiankę o Celeste Dimity aż się wzdrygnęła. Spojrzała na swoje brudne dłonie na brudnych kolanach. Charles chrząknął nieśmiało.

– Mitzy, powiedz mi, co się stało, proszę cię. O co się pokłóciłyście? – zapytał.

– Celeste nie powiedziała?

– Nie. Nie chce mi tego wyjaśnić. Mówi, że to sprawa między wami, że ja bym tego nie zrozumiał.

Dimity myślała o tym przez chwilę. Była zadowolona, że Celeste nic nie powiedziała Charlesowi, ale zastanawiała się, jakie miała powody, by to zataić. Może w ten sposób zyskiwała nad Dimity większą władzę.

– Ja tylko... przymierzałam jej rzeczy. W... waszym pokoju. Jej biżuterię... i chustkę. Wróciła i przyłapała mnie na tym. Może pomyślała, że chcę coś ukraść... ale nie chciałam! Przysięgam! Nie zrobiłam nic złego!

– I to wszystko? Przyłapała cię na przymierzaniu jej rzeczy i wpadła w furję? – Charles zmarszczył brwi, jakby nie mógł w to uwierzyć.

Dimity przełknęła ślinę.

– Myślałam, że mnie zabije – wyznała potulnie.

– Nie wygłupiaj się. Celeste cię kocha.

– A ty mnie kochasz?

– Ja... – Charles urwał i znów na nią spojrzął, tym razem poważnie, jakby nagle ogarnęły go jakieś wątpliwości. Dimity wstrzymała oddech. – Tak, oczywiście, że tak – odpowiedział dziwnym, napiętym głosem. – Jak własną córkę, Mitzy. Nawet taką posiniaczoną. Guz rośnie jak na drożdżach, wiesz? Rano będzie czerwony. Dotknij sama. – Ujął palce Dimity i delikatnie naprowadził je na jajowatą wypukłość na jej czaszce. Skrzywiła się. – Nawet Élodie będzie pod wrażeniem – stwierdził.

– Wątpię.

– Cholera. Znowu krwawi. Proszę. – Charles wyjął chusteczkę i wytarł ranę na głowie Dimity, delikatnie ujmując jej podbródek jedną dłonią, żeby się nie ruszała.

Dimity poddała się jego dotykowi, czuła na skórze jego oddech, a w nosie zapach jego ciała, jego potu. Ostrożnie położyła mu dłoń na ramieniu ręki, którą przytrzymał jej twarz. Charles patrzył na jej guza, ale gdy poczuł jej palce, spojrzął w dół, a jego źrenice rozszerzyły się powoli, jakby zauważył jakieś niebezpieczeństwo. Przestał wycierać ranę i przez jedną, cudowną sekundę Dimity myślała, że znów ją pocałuje. Umiała to sobie wyobrazić w najdrobniejszych szczegółach – bliskość jego twarzy, dotyk jego warg. Serce waliło jej tak szybko, że ból rozkwitał w jej głowie niczym szkarłatne róże, ale nie zważała na to.

– Wszystko w porządku? – szepnęła.

– Jak to...? – zapytał Charles niespokojnie, odsuwając się od niej.

– Z moją głową.

– A, tak. Na wszelki wypadek wezwaliśmy lekarza, żeby cię obejrzał, ale jego zdaniem wystarczy, byś trochę odpoczęła. Chociaż... – Charles urwał i przyłożył wierzch dłoni do jej czoła. – Wydajesz się bardzo rozpalona. Masz gorączkę?

– Nie wiem... Dziś rano nie czułam się najlepiej, zanim Celeste...

– No tak, spójrz na siebie, cała dygoczesz! Połóż się. Musisz odpocząć, Mitzy – powiedział Charles, a Dimity posłuchała go. Słodycz jego troski była jak ciepły miód na jej języku.

„Kochasz mnie? Tak, oczywiście, że tak”. Te słowa wciąż do niej wracały, niczym zaklęcie, które sprawia, że cały świat skrzy się światłem. Miała wrażenie, że wciąż czuje, jak Charles trzyma ją

w ramionach i niesie w bezpieczne miejsce; że czuje jego palce na żebrach, jego opiekuńcze objęcia. To było cudowne, idealne uczucie. Ale nie mogła dłużej ignorować bólu głowy, a kiedy ostrożnie zbliżyła palce do rany, znalazła też guza na skroni, pamiątkę po upadku ze stołka, z którego strąciła ją Celeste. Wspomnienie płomiennego spojrzenia kobiety stanęło jej przed oczami, więc wtuliła się w poduszkę, usiłując uciec przed tym wszechwiedzącym wzrokiem.

Drzemała już niespokojnie, gdy do pokoju wróciła Delphine. Słońce chyliło się ku zachodowi i na zewnątrz robiło się coraz ciemniej. Dimity wiedziała, że przyjaciółka coś do niej mówi, ale nie zważała na jej słowa, dopóki nie usłyszała:

– Niedługo wrócimy do domu, do Anglii, i zapomnimy o tym wszystkim. – Delphine pewnie chciała ją pocieszyć, ale to zdanie przyniosło odwrotny skutek. Dimity ogarnęła czarna, zimna rozpacz, więc gwałtownie pokręciła głową.

– Nie! Nigdy nie zapomnę tego miejsca, aż do śmierci. Chcę tu zostać na zawsze – wyrzuciła z siebie desperacko.

– Chyba nie mówisz poważnie! To znaczy... wakacje są przyjemne, ale to przecież nie jest twój dom, prawda? – odpowiedziała Delphine, siadając obok niej w pizamie i przyciskając kolana do piersi. Ponad jej ramieniem Dimity widziała czarne oczy Élodie, wlepione w nią z jej łóżka, ostre i lśniące jak szkło.

– Tu jest lepiej niż w domu – odpowiedziała Dimity.

Delphine spojrzała na nią z lekkim zdziwieniem, ale Dimity nie miała już siły mówić, kosztowało ją to zbyt wiele. Leżała bez ruchu i starała się myśleć tylko o Charlesie, o jego słowach. „Oczywiście, że tak”. Ale trudno jej było trzymać się tych myśli, bo kiedy zapadała w sen, dręczył ją koszmar, z którego nie mogła się obudzić. Widziała przerażające mrowie wyciągniętych po nią dłoni i groźny błysk niebieskich oczu, a potem biegła, potykała się i ginęła bez śladu w tym chaosie. Przed oczami stawały jej kolejne obrazy, jakby niosły je fale wzburzonego morza, a jej rozpalonym ciałem wstrząsały dreszcze. Tej nocy raz miała wrażenie, że ktoś się nad nią pochyla. Poczwała w nozdrzach zapach perfum Celeste, kwiatowy i intensywny; zaskoczyło ją ukłucie strachu, jakie w niej wzbudził, i płomień złości, który później

ją rozpałił.

Podróż powrotną Dimity spędziła w letargu wywołanym gorączką. Pamiętała tylko ruch wokół siebie, niewygodę i zmęczenie. Połać pustynnego krajobrazu, świeży powiew morskiej bryzy na wybrzeżu, mdlące kołysanie łodzi. Nie miała siły rozpaczać, nawet kiedy zrozumiała, że Maroko zostaje daleko w tyle, ale głęboko w sobie czuła tę świadomość, która była jak martwe stworzenia, wyrzucane niekiedy przez morze na brzeg w Blacknowle, czarne i zimne, zniekształcone, cuchnące; która czekała, aż Dimity wydobrzeje na tyle, żeby pograć się w żałobie. Aubreyowie przywieźli ją do Strażnicy i oddali pod szorstką opiekę Valentyny. Nie miała pojęcia, jak długo leżała w swoim dzieciennym łóżku, zanim wreszcie oprzytomniała.

Kąt padania słońca wskazywał na popołudnie, nie rano. Przez chwilę po przebudzeniu zastanawiała się, dlaczego Valentina nie obudziła jej wcześniej. Usiadła. Bolały ją wszystkie mięśnie i miała wrażenie, że jej kości są kruche jak szkło, ale przestało jej się kręcić w głowie i panowała nad swoim ciałem. Czuła bijący od niego chory, nieświeży zapach. Włosy zwisały jej w tłustych strąkach wokół twarzy. Przetarła ją dłońmi i zobaczyła, że pod paznokciami ma brud. Czerwonobrazowe ziarenka, piasek pustyni. Żołądek ścisnął jej się mocno, jakby miał pęknąć, więc chwyciła się bezradnie za brzuch.

Zeszła wolno po schodach i zastała Valentynę w kuchni; patroszyła makrele do miski na blacie.

– Witamy w świecie żywych. Najwyższy czas – powiedziała.

– Jak długo tu jestem? – zapytała Dimity.

– Trzy dni, przez które tylko się pociłaś i mamrotałaś jakieś bzdury.

Valentina wytarła mocno ręce w fartuch i podeszła do córki. Złapała garść włosów Dimity i odciągnęła je na bok, żeby przyjrzeć się ranie na jej czole. Teraz została po niej już tylko prosta, ciemna kreska. Opuchlizna zmaląła, a siniak nabrał żółtobrazowego koloru.

– Kto ci to zrobił? – rzuciła, dźgając guza palcem wskazującym.

Dimity skrzywiła się.

– Nikt. Walnęłam się w głowę.

– Niezbyt mądry pomysł, co? – skomentowała jej matka.

Spojrzała na Dimity, a w jej oczach zamigotało coś jeszcze, co kazało jej zamilknąć. Echo niewypowiedzianych słów, ślad ulgi. Potem zacisnęła wargi i wróciła do ryb.

– Jest coś do jedzenia? Jestem strasznie głodna – powiedziała Dimity.

Valentina zerknęła na nią z grymasem niezadowolenia, ale później ustąpiła.

– W garnku leży chleb, a pan Brown przyniósł nam trochę powideł śliwkowych, stoją tam – wskazała miejsce zakrwawionym nożem. – No, to jak było w tym dalekim kraju, do którego się wybrałaś?

W jej głosie było tyle pogardy, że Dimity zaczęła się zastanawiać, czy coś się za nią nie kryje. Tylko co? Przecież nie zazdrość?

– Było... – urwała. Nie wiedziała, jak to wyrazić, jak opisać tamto życie, tak pełne uroku, kolorów i odkryć, tak pełne Charlesa, wolności i nowych rzeczy, że słowa, których używała dotąd, nie mogły tego w żaden sposób oddać. – Było bardzo gorąco – powiedziała w końcu.

– No cóż, brzmi cudownie – skwitowała Valentina. – Zarobiłaś jakieś dodatkowe pieniądze? – Dimity zamrugnęła. – Próbował cię dotykać?

– Nie – odparła natychmiast, a potem przełknęła ślinę.

Kusiło ją, żeby zdradzić matce, co się wydarzyło, i poczuć, że to stało się naprawdę. Niewypowiedziane słowa stanęły jej w gardle. Valentina prychnęła.

– Szkoda. Byłam niemal pewna, że spróbuje. W końcu z dala od domu różnie to bywa. No cóż, najwyraźniej za mało się starałaś. A może po prostu nie jesteś w jego typie, co? – uśmiechnęła się bez zyczliwości.

Dimity odszukała w pamięci wspomnienie jego pocałunku, jego dotyku, i napawała się nim przez chwilę. Posłużyło jej jako tarcza przeciw docinkom matki. Miała ochotę wrzasnąć na całe gardło: „Kochałby się ze mną! Gdyby tylko mógł, gdyby nie Celeste. Powiedział, że nie może. Ale chciał tego. Zrobiłby to. I kiedyś zrobi”. Zdumiała ją potęga tej myśli. Prawie uśmiechnęła się do siebie.

– Chyba nie – przyznała spokojnie.

– Po jedzeniu idź się umyć. Cuchniesz jak skwaśniałe mleko.

Przez pierwsze dwa dni po ustąpieniu gorączki Dimity łatwo się

męczyła. Miała sińce pod oczami i poruszała się ostrożnie jak staruszka. Chciała być piękna, kiedy zobaczy Charlesa następnym razem. Chciała wyglądać tak samo jak w tamtej alejce w Fezie, kiedy słońce lśniło na jej skórze i migotało w jej oczach. Czekwała więc, a czekając, zdała sobie sprawę, jakie małe, brzydkie, ponure i godne politowania jest Blacknowle. Właściwie zawsze było brzydkie i ponure, ale wcześniej nie rozumiała, jak mało znaczy. Jak żalosny żywot wiodą jego mieszkańcy, harując od świtu do nocy, dzień po dniu. Nikt nie miał czasu ani okazji przechylić się przez balkon, żeby poczuć na czubku głowy żar słońca i wsłuchać się w gwar starożytnego miasta. Wszyscy chodzili ze wzrokiem wbitym w ziemię, bo nie otaczały ich góry w kolorze moreli ani rozległa pustynia, która przyciągałaby wzrok, zachwyciała, przerażała i kusila gorącą, suchą bryzą. Blacknowle było czarno-białe. Wciąż trwało lato, ale kolory wydawały się przyblakłe jak na fotografii w starej gazecie. Mgła znad morza zacierała kontury i tylko półcienie i szarości wydobywały z niej znajome kształty. Kiedy Dimity zamykała oczy, widziała rzekę szkarłatnej krwi spływającej brukowaną alejką, jaskrawy błękit kozich skór rozpiętych na wzgórzu, cytrynową żółć chustki powiewającej wokół hebanowej skóry kobiety i dzieci przypominające piękne, barwne ptaszki w kolorach turkusu, lazuru i akwamaryny. Widziała siebie w kaftanie różowym jak kwiaty bugenwilli, gdy stoi w snopie miedzianego światła, które roziskrza jej włosy.

Tydzień po powrocie do Strażnicy Dimity uznała, że wygląda dość dobrze, żeby pójść do Littlecombe i zobaczyć się z Charlesem. Postanowiła nie martwić się tym, że nikt się o nią nie dowiadywał. Ani Charles, ani Delphine. Uznała, że to przez Valentine. Każdy przyzwoity człowiek, który poznał jej matkę, omijał ich dom szerokim łukiem. To była wina Valentine, dlatego Dimity nie powiedziała jej, że wkrótce odchodzi. Że tym razem opuszczając Blacknowle, Charles Aubrey zabierze ją ze sobą. „Zrobię dla ciebie, co w mojej mocy, Mitzy”. Nie mogła się doczekać spotkania, ale szła do Littlecombe wolno, bo nie chciała zjawić się tam spocona albo zdyszana. Dom wydawał się wymarły, ale na podjeździe stał niebieski samochód. Jego widok przywołał na twarz Dimity uśmiech, który pozostał na niej, kiedy zapukała do drzwi. Miała świetny nastrój; rozpierała ją radość.

Przez dłuższą chwilę nikt nie otwierał. Dimity zdawało się, że słyszy w środku jakąś krzątanicę, że w ciemności za szybą kuchennego okna widzi zarys czyjejś twarzy. Potem w drzwiach stanęła Celeste, a uśmiech Dimity osłabł, a później całkiem zgasł. Kobiety mierzyły się wzrokiem przez próg, ale żadna się nie odezwała. Celeste wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną. Wzrok miała beznamiętny i opanowany.

– Widzę, że wydobrzałaś – powiedziała wreszcie.

– Chyba tak – odparła dezorientowana Dimity. Jej myśli rozpierchły się pod złowrogim spojrzeniem Marokanki.

– Cieszę się. Niezależnie od tego, co między nami zaszło, nie życzę ci źle. – Celeste założyła ręce na piersiach i ciasniej owinęła ramiona szalem. Sprawiała wrażenie wyższej i twardszej, jak posąg z kamienia. Dimity nie mogła dłużej wytrzymać jej wzroku, więc spuściła oczy na ziemię. Dzielił je zaledwie metr brukowanej ścieżki, ale miała wrażenie, że stoją po dwóch stronach kanału La Manche. Zachwiała się lekko, jakby miała stracić równowagę. Poczowała, że trzęsą jej się ręce.

– Czy mogę wejść? – zapytała bez tchu.

Celeste pokręciła poważnie głową.

– Przykro mi to mówić, ale nie jesteś tu już mile widziana, Mitzy. Wyjaśniłam to moim dziewczynom najlepiej, jak umiałam, i wyjaśniłam to również Charlesowi. Obie wiemy, dlaczego tak się stało. Czasem sytuacja rozwija się inaczej, niż myślimy. Zmienia się, a my musimy się zmienić razem z nią. Lepiej, żebyś tu więcej nie przychodziła.

Serce Dimity zatrzepotało w piersi, zatrzymało się na chwilę.

– Chcę... chcę się zobaczyć z Charlesem – oświadczyła.

Zamierzała powiedzieć: „z Delphine”, ale zamiast tego wyznała prawdę. Celeste pochyliła się w jej kierunku; policzki kobiety zapłonęły gniewnym rumieńcem. Wydawała się ogromna, przerażająca. Wyglądała jak potwór z koszmarów.

– Właśnie dlatego więcej tu nie przyjdiesz. Idź już. Nie wrócimy za rok, jeśli będę miała cokolwiek do powiedzenia w tej kwestii. Odejdź stąd, Mitzy. Wszystko zniszczyłaś. – Celeste odwróciła się, a w jej niebieskozielonych oczach zalśniły nieprzelane łzy.

Dimity nie wiedziała, ile czasu stała bez ruchu, wpatrując się

w nierówne warstwy farby i sęki na drewnianych drzwiach Littlecombe. Czas stracił znaczenie, przestał płynąć właściwym tempem. Czowała się tak, jakby wciąż targała nią jakaś gorączka, jakby była tylko na wpół przytomna. Dygotała, chociaż dzień był ciepły, a kiedy w końcu odwróciła się, żeby odejść, ziemia zdawała usuwać się jej spod nóg. Stopy więzły jej w niewidzialnych wnykach i musiała oprzeć się o bramę, żeby nie upaść. Poczowała na sobie czyjeś spojrzenie i od razu pomyślała, że to Charles, który wyszedł, żeby się z nią zobaczyć. Ale kiedy się obróciła, szukając go wzrokiem, w jednym z okien na piętrze zobaczyła Delphine, ciemną postać ze smutną twarzą, która uniosła rękę, żeby pomachać jej z żalem. Dimity nie odpowiedziała tym samym.

Przez trzy dni wszędzie szukała Charlesa. Wszędzie poza Littlecombe. We wsi, w pubie i w sklepie spożywczym; na plaży i na ścieżce wzdłuż klifów; w ruinach kaplicy na wzgórzu. Ale nigdzie go nie znalazła. Valentina zauważyła, że córka przestała przynosić pieniądze ze swoich wypraw, i któregoś dnia przyparła ją do muru.

– Stracił zainteresowanie, co? Już mu się nie podobasz? – rzuciła z wojowniczo zadartym podbródkiem.

Przez jedną straszliwą sekundę Dimity szczerze jej nienawidziła.

– On mnie kocha! Sam mi to powiedział! – zawołała.

– Doprawdy? – Valentina zachichotała. – Stara śpiewka, córeczko. Przekaż mu ode mnie, że kocha czy nie, wszystko kosztuje. Rozumiesz? – Dimity próbowała wyszarpnąć ramię z jej uścisku. – A ty, Mitzy, musisz zarabiać. Jesteś już dość duża. Jeśli on nie chce zapłacić za ten zaszczyt, to znam kilku, którzy będą chcieli. Za twoje dziewictwo możemy dostać tyle, że wystarczy nam do zimy. – Jej głos był równie posępny jak jej mina.

Mitzy przypomniała sobie mężczyzn z Fezu, zobaczyła nad sobą ich ciemne twarze, rozniewane spojrzenia i otwarte usta, poczuła na ciele ich silne dłonie, gotowe wziąć wszystko, czego zapragną. Wtedy chciała uciekać przed nimi, teraz przed matką. Tak jak w koszmarnym śnie, pragnęła uciec jak najdalej, ale nie mogła. Nie miała dokąd.

Dimity marzyła, że Charles zapuka do drzwi Strażnicy z tym samym złaknionym spojrzeniem, które widziała u niego przez chwilę w wąskiej alejce na drugim końcu świata. Wyobrażała sobie ten moment

tak szczegółowo, tak żarliwie, jakby zaklinała rzeczywistość. Fantazjowała, że wyjeżdża z nim do Londynu, gdzie Charles znajduje dla niej mieszkanie, albo że wprowadza się do jego pracowni jako muza i kochanka artysty. Może nie musiałyby nawet się ukrywać – może wzięłyby z nią ślub i przedstawił wszystkim jako swoją żonę, całowałby ją w rękę i wodził za nią tak rozkochanym wzrokiem, że nikt nie mógłby wątpić w jego najszczerze oddanie. Jego przyjaciele artyści, których wyobrażała sobie jako brodatych mężczyzn o krzaczastych brwiach i dziwacznych zwyczajach, zazdrościliby mu tak młodej i pięknej żony, a on byłby z niej dumny, tak dumny, że konieczność zachowania przyzwoitości wśród ludzi podsyciłaby tylko namiętność, z jaką rzucaliby się na nią za zamkniętymi drzwiami. Te wizje nie dawały jej spać w nocy; dręczyły spragnione go ciało, pchały jej dłoń między nogi w desperackiej potrzebie spełnienia.

Ale to nie Charles do niej przyszedł, tylko Wilf Coulson. Widywała go przed pubem Pod Szmuglerską Latarnią, gdzie szesnastoletni już chłopak miał zwyczaj pić z innymi mężczyznami po pracy. Raz czy dwa razy próbował ją złapać na osobności – szedł za nią ścieżką jak dawniej, żeby wyczuła jego obecność i znalazła im jakieś ustronne miejsce, gdzie będą mogli porozmawiać, albo zaprowadziła go do stodoły Bartona, gdzie pieściliby się na sianie, wdychając odór bydła. Ale tym razem odwróciła się i spojrzała na niego z taką furią, że stanął jak wryty. Nie chciała jego niezdarnych zalotów, jego podarunków, jego chłopięcych całusów. Dlatego po jakimś czasie przyszedł znaleźć ją w Strażnicy.

Pukanie do drzwi rozpało w niej płomień nadziei. Myślała, że to Charles. Kiedy zobaczyła Wilfa, nie mogła ukryć rozczarowania, a widząc jej reakcję, on też zmarszczył brwi.

– Wyjdiesz na spacer, Mitzy? – zapytał z gniewną miną, wciskając brodę w klatkę piersiową.

– Mam dużo pracy – odpowiedziała obojętnie, ale Wilf spojrzał na nią z takim cierpieniem i złością, że przestraszona dodała: – No dobrze. Ale tylko na chwilę.

Poprowadziła go stromą ścieżką nad skrajem klifu aż na kamienistą plażę pod Strażnicą, cały czas trzymając się o kilka kroków przed nim.

Szła z zaciśniętymi pięściami, zręcznie znajdując drogę między kamieniami. Owiewał ich kapryśny wiatr, a morze lśniło głęboką szarością. Wyglądało jak innego rodzaju pustynia, rozciągająca się aż po horyzont. Dimity doszła na skraj plaży, wspięła się na skalną półkę i przystanąła dopiero w miejscu, w którym piasek zaczynał niknąć pod wodą. Spojrzała na swoje zniszczone skórzane buty, zastanawiając się, czy mimo wszystko nie iść dalej.

– Mitzy, stój! – zawołał z tyłu Wilf. Dimity obejrzała się i zobaczyła, że chłopak ma zaczerwienione, błyszczące od łez oczy. – Co się stało, Mitzy? Dlaczego już nie chcesz mnie znać? Co ja takiego zrobiłem?

Wydawał się tak udręczony, że Dimity poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Odwróciła się do niego.

– Nic nie zrobiłeś, Wilf.

– Więc o co chodzi? Nie jesteśmy już nawet przyjaciółmi?

– Oczywiście, że jesteśmy – przyznała niechętnie. Wątpiła, czy po wyjeździe do Londynu z Charlesem kiedykolwiek zobaczy jeszcze Wilfa. „Żegnaj, Wilfie, żegnaj, Valentino”. Chociaż właściwie mogłaby odwiedzać matkę od czasu do czasu – przyjeżdżać do Strażnicy lśniącym autem, w jedwabnej chustce na głowie. Miałaby buty na wysokich obcasach, a idealnie proste szwy pończoch podkreślałyby linię jej łydek. W tę przyjemną fantazję wdarł się głos Wilfa.

– Tęskniłem za tobą, kiedy cię nie było. Bez ciebie to już nie to samo. Wydaje mi się, że nawet twoja mama za tobą tęskniła. Kilka razy musiała przyjść po coś do wsi i miała taką minę, że nikt nie śmiał się do niej zbliżyć! – uśmiechnął się lekko, ale zaraz jego twarz zgasła w zderzeniu z jej milczeniem. – To... jak było tam, gdzie pojechałaś?

Miała wrażenie, że Wilf rozpaczliwie szuka tematu do rozmowy, usiłując nakłonić ją do zwierzeń.

– To było najpiękniejsze miejsce, jakie widziałam w życiu. Charles powiedział, że jeszcze kiedyś mnie tam zabierze. Pewnie w przyszłym roku. Może będziemy tam spędzać każde wakacje. – Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Charles? Masz na myśli pana Aubreya? – zdezorientowany Wilf zmarszczył brwi. – Będziecie tam spędzać wakacje? Jak to?

– Tak to. Co w tym dziwnego? – warknęła w odpowiedzi.
– Nie mówisz chyba, że ty i on... że wy... jesteście parą?
– Dlaczego nie?
– Przecież... on jest od ciebie dwa razy starszy, Mitzy! Nawet więcej... i ma już żonę!
– Wcale nie! Ona nie jest jego żoną, nie mają ślubu! – Odwróciła się znów twarzą do morza. – Ożeni się ze mną. Ja będę jego żoną.
– W takim razie dlaczego nadal mieszkasz w Strażnicy ze swoją mamą, a on i jego rodzina przygotowują się w Littlecombe do powrotu do Londynu?
– Co? – Zachwiała się, słysząc jego słowa; skalna półka zakołysała się pod nią jak pokład statku. Czuła, jak coś wzbiera jej w gardle i przez chwilę miała wrażenie, że zacznie krzyczeć. – Co? – powtórzyła, ale z jej ust nie wydobył się krzyk, tylko szept.

Wilf rozmazał się jej przed oczami, jakby stał się częścią morza i wybrzeża.

– Niecałe pół godziny temu słyszałem, jak mówi o tym w pubie. Uregulował swój rachunek. Mitzy. – Wilf podszedł do niej i ujął ją za ramiona. Podniosła wzrok. Dopiero teraz zauważyła, jak urósł, jak szerokie były jego barki ponad wąskimi biodrami, jak mocna i twarda stała się jego szczeka. – Mitzy, posłuchaj mnie. On cię nie kocha. Nie tak, jak ja. Kocham cię, Mitzy!

– Nie.

– Tak! Kocham cię jak żadną kobietę na świecie. Wyjdź za mnie, Mitzy. Będę dla ciebie dobry... Będziemy mieć dobre życie, przysięgam! Możemy nawet wyjechać z Blacknowle, jeśli tego chcesz. W Bristolu czeka na mnie posada, wujek mi ją załatwi. W towarzystwie żeglugowym. Sam tam pracuje. Już nigdy nie musiałybyś oglądać Blacknowle, Strażnicy ani swojej matki, jeśli nie miałabyś na to ochoty. Moglibyśmy od razu mieć dziecko. I pojechać w podróż poślubną, gdzie sobie zamarysz... do Walii, albo do St Ives, wszędzie! – Potrząsnął nią lekko, a Dimity mrugnęła.

Ale była zbyt pochłonięta własnym cierpieniem, żeby zrozumieć, że Wilf marzył o tym tak samo, jak ona o życiu w Londynie z Charlesem. Że myśli o niej nie dawały mu spać w nocy i kazały jego

dłoni zsuwać się nisko pod kołdrą. Wyrwała się z uścisku chłopca.

– Zostaw mnie!

– Mitzy? Nie słyszałaś, co powiedziałem?

– Słyszałam – odpowiedziała smutno. – Walia? St Ives? To jest dla ciebie wielki świat? Tylko tam sięga twoja wyobraźnia?

Wilf zmarszczył brwi.

– Nie. Ale na taką podróż na razie mnie stać. Nie jestem głupi, Mitzy. Wiem, że nie jestem dla ciebie tak ekscytujący jak... inni mężczyźni. Ale to nie jest jakieś nierealne marzenie. Ja proponuję ci prawdziwe życie. Gdybyśmy żyli oszczędnie... Mogę zacząć odkładać pieniądze, żeby zabrać cię za granicę. Przekroczenie kanału nie jest takie drogie...

– Nie.

– Nie?

– Tak brzmi moja odpowiedź, Wilfie. Nie wyjdę za ciebie za męża. Nie chcę cię.

Wilf milczał przez chwilę. Wsunął dłonie do kieszeni i wyglądał, jakby miał zamiar czekać, jakby czekając, mógł zmienić jej zdanie.

W końcu wziął długi, ciężki oddech.

– On się z tobą nie ożeni, Mitzy. Tyle ci mogę powiedzieć.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? Jesteś taki sam jak wszyscy we wsi! Szpiegujesz mnie, strzepisz język i wydaje ci się, że wiesz wszystko o moim życiu! – odparowała wściekle.

– Wiem tyle, że się z tobą nie ożeni. Nie może. Bo...

– Zamknij się wreszcie! Nic nie wiesz! Nic! – w jej urywanych słowach zabrzmiała furia.

Wilf spojrzał na nią ze łzami w oczach.

– Wiem, co mówię. Kocham cię, Mitzy. Mógłbym cię uszczęśliwić...

– Nie mógłbyś. – Odwróciła się od niego i założyła ramiona na piersiach. Długo czuła, że stoi za nią i czeka. Słyszała, jak pociąga nosem, wyciera go, chrząka. W którymś momencie zdała sobie sprawę, że go nie ma, ale nie umiała ocenić, kiedy odszedł. Obejrzała się przez ramię, lecz nie zobaczyła go ani na plaży, ani na ścieżce. Poczowała przypływ paniki, ale zignorowała to i ruszyła polami do wioski.

Wilf powiedział, że widział Charlesa w pubie, więc poszła do pubu. Stała pod samym oknem, a zęby szczękały jej z nerwowego podekscytowania. Przygryzła koniuszek języka i poczuła smak krwi. W środku było ciemno, ale widziała, że sala jest prawie pusta. Przy barze siedziało dwóch mężczyzn, ale w żadnym z nich nie rozpoznała Charlesa. Zajrzała do kilku sklepów, a potem obeszła wszystkie uliczki w centrum wsi. Nie wiedziała, gdzie jeszcze może go spotkać, nie rozumiała, dlaczego Charles jej nie odszukał, nie zapewnił o swoich uczuciach. Była pewna, że ma jakiś plan, że wymyślił sposób, dzięki któremu będą mogli być razem, ale marzyła całą sobą, żeby go znaleźć i usłyszeć to od niego. Musiała się z nim spotkać; za oczami czuła pulsujący ból, który cały czas się wzmacniał. Zawróciła na stromej ścieżce, która prowadziła do Farmy Południowej, i zeszła nią do wioski, mijając pub od tyłu. I wtedy zobaczyła Charlesa.

Stał w jednym z pokoiów na piętrze pubu; zauważyła go przez okienko zakryte do połowy dachówkami okapu. Niewiele widziała za małą szybką – tylko jego rękę, bark i dolną szczękę. „Charles!” Nie była pewna, czy rzeczywiście wykrzyknęła jego imię z radości, czy miała zbyt ściśnięte gardło, żeby wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Wyrzuciła ręce za głowę i zaczęła mu machać, ale chwilę potem przestała i pozwoliła im opaść. Charles nie był sam. Rozmawiał z kimś – widziała ruch jego warg. A potem ów ktoś podszedł do okna. Turystka. „Ta, która musi się dotykać za każdym razem, kiedy cię zobaczy”. Głos Celeste był tak wyraźny, że Dimity rozejrzała się oszołomiona, szukając Marokanki. „Skóra jak mleko”. Jej słowa przyniósł wiatr. Towarzyszka Aubreya najwyraźniej płakała, bo wycierała oczy mankietem bluzki. Dimity wpatrywała się w nią, usiłując unicestwić ją spojrzeniem. U stóp dziewczyny otworzyła się ogromna, bezdena przepaść, ale nie widziała przed sobą innej drogi. Nic nie mogło jej uratować. Charles ujął dłoń kobiety i podniósł ją do ust, wyciskając powolny pocałunek na jej skórze. „Widziałaś ich razem?”, wyszeptała jej do ucha Celeste, a czaszka Dimity eksplodowała bólem. Przycisnęła dłonie do głowy, jęcząc żałośnie, a potem krzyknęła i uciekła spod pubu.

Szła na oślep, prosto przed siebie, przez ścieżki i pola, przez zagajnik brzoź i dębów na szczycie wzgórza, a potem w dół, na drugą

stronę zбочa. Stopy miała mokre od wody w strumykach, a spodnie umazane czerwonym błotem. Jej skórę pokryły lepkie pąki, rzepy i ukąszenia komarów. Idąc, zrywała zioła i wkładała je do szala; sięgała po znajome rośliny niemal bez zastanowienia. Szczaw na sałatkę, pokrzywy na herbatę, tonik leczący nerki i syrop na wzmocnienie krwi, ostropest plamisty i świńskie orzeszki do potrawy, paproć do zabijania tasiemców, mleczko na reumatyzm, cykorja na zapalenie pęcherza. Oddała się tej znajomej czynności, wpadła w swój naturalny rytm. Czuła się jak zahipnotyzowana; zrywanie uciszało wrzawę w jej umyśle.

Minęła rów z wodą na skraju lasu, porośnięty grubą kępą szaleju, zwanego też cykutą. Krowa, która przez przypadek się go najadła, szybko zdychała. Dimity ukucnęła wśród wysokich, śmiercionośnych roślin otoczona niewinnie wyglądającymi parasolami białych kwiatków. Ich korzenie wiły się w piaszczystej glebie na dnie rowu; długie, ząbkowane liście pachniały łudząco podobnie do natki pietruszki. Wokół stóp dziewczyny przemykały wioślarki, a nad jej głową zataczała szerokie koła ważka, kreślarka błyszcząca, przypatrując się intruzowi z ciekawością. Dimity owinęła palce wokół jednej zdrewniałej łodygi i pociągnęła ją lekko, ostrożnie, żeby jej nie uszkodzić. Po chwili z ziemi wysunął się tuberozowy korzeń. W smaku byłby niemal słodki, jak pasternak. Wyplukała go i położyła delikatnie w szalu, z dala od pozostałych roślin. Musiał być przechowywany osobno, napiętnowany, zdradliwy. Inny od reszty, tak jak ona, przez całe życie. Dimity nabrała wolno powietrza; w głowie miała pustkę. Sięgnęła po kolejną łodygę.

Wiele godzin później Dimity nadal szła przed siebie, czując ciężar szala na ramieniu. Miała wrażenie, że jej nogi wydłużyły się dziwnie, a chociaż otaczały ją znane widoki, czuła się tak, jakby nigdy wcześniej ich nie widziała, jakby nie należała do tego miejsca. Na plaży wciąż obijała sobie palce i piszczele o skały, nie rozumiejąc, dlaczego tak się dzieje. Nieco dalej zatrzymała się wreszcie i zdała sobie sprawę, że zapadła noc. Nie mogła ominąć kamieni, bo niebo było równie czarne jak jej myśli, nierozświetlone blaskiem księżyca. Nie umiała ocenić, czy ta ciemność była czymś naturalnym, czy może światło zniknęło z całego świata. Usiadła tam, gdzie stała, i poczuła przez ubranie zimne, mokre kamienie. Siedziała na plaży w ciemnościach, nie słysząc szumu fal

przez swój ogłuszający płacz, spazmatyczny szloch, który wstrząsał jej ciałem. A cały czas miała wrażenie, że spada. Jakby zeszła w tę bezdenną przepaść i nie miała już szansy wrócić na górę. Tej nocy nie zasnęła.

W zimnym świetle poranka ocucił ją przypływ, który obmywał jej stopy lodowatymi falami. Dimity przetarła swędzącą od soli twarz i podniosła się niepewnie. Znow zaczęła iść, nie wiedząc właściwie, dokąd zmierza. Tak jak wcześniej pozwoliła, żeby stopy same ją prowadziły, aż w końcu znalazła się na szczycie podjazdu do Littlecombe. Tam przystanęła i zapatrzyła się na regularną, elegancką bryłę domu. Samochód zniknął z podjazdu, nie zauważyła nikogo w ogrodzie, wszystkie okna były zamknięte. Tu mieszkał Charles. Tu zobaczyła go po raz pierwszy, tu pierwszy raz ją narysował. Tu spał i jadł. Musiał tu być. Dimity czuła się pusta w środku, zupełnie nieistotna, i nagle ogarnęła ją jakaś lekkość, radość zmacona czymś jeszcze. Czymś nienazwanym i ponurym; czymś, co podniosło się z głębi przepaści i odtąd miało jej towarzyszyć. Potykając się na obolałych stopach, podeszła do drzwi kuchennych.

Zapukała głośno, pewnie. Charles otworzył drzwi i podniesie ją z zachwytem; obejmie ją w talii tak jak w tamtej alejce w Fezie, a ona poczuje na sobie dotyk jego ust i jego twardego ciała, poczuje jego smak i wtuli się w niego, i już wszystko będzie dobrze. Nikt inny nie będzie się liczyć. Kiedy drzwi otworzyła Celeste, z gniewną miną wycierając dłonie w ręcznik, Dimity zamrugała ze zdumienia. Twarz Marokanki pociemniała.

– Dimity. Po co tu przyszedłaś? Dlaczego się upierasz? – zapytała. Dimity otworzyła usta, ale nie znalazła w sobie żadnych słów. Z jej gardła wydobyło się tylko powietrze. – Powiedz mi, naprawdę myślisz, że zostawiłby swoje córki, żeby być z tobą? Tak ci się wydaje? – Jej głos był beznamiętny, choć pełen złości. Dimity milczała. Czuła się słaba, niewyraźna, nie do końca prawdziwa. – Jeśli liczyłaś, że go zobaczysz, to mam złą wiadomość. Pojechał z dziewczynkami do Swanage. Pojeżdżą osiołkami po plaży, przejdą się po sklepach, odwiedzą park rozrywki.

– Chciałam... – zaczęła Dimity, ale nie wiedziała, jak dokończyć

to zdanie. Stojąca przed nią kobieta ucieleśniała wszystko, czego ona nigdy nie zdobędzie. Spojrzała na Celeste i poczuła, że jej nienawidzi. – Przyniosłam to dla ciebie. Dla was wszystkich – powiedziała, kładąc dłoń na zebranych ziołach.

– Niepotrzebnie – Celeste wskazała stopą koszyk na progu, pełen liściastych roślin. – Delphine poszła po zioła dziś rano. Bez ciebie. Zostawiła mi je tutaj, żebym zrobiła sobie zupę na lunch.

– Aha. – Dimity usiłowała skupić wzrok, skupić myśli. Szumiało jej w uszach, a głos Celeste zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Zmrużyła oczy, patrząc na Marokankę, i zdziwiła się, że kiedykolwiek wydawała jej się piękna. Celeste była tajemnicza i okrutna; budziła strach i nienawiść jak śmiercionośna plaga, jak otwarta rana, która nie chce się zagoić.

– Posłuchaj mnie. Dostyc już tego. – Celeste westchnęła mocno, wydmuchując powietrze przez nos. – Zostaw nas w spokoju – dodała i zamknęła drzwi.

Dimity zakołysała się na piętach. Ziemia pod jej stopami zamieniła się w obrzydliwą breję. Nagle zemdlilo ją i poczuła w gardle paskudny, kwaśny posmak. „Gdyby był wolny, byłby ze mną”. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak Charles ratuje ją, ratuje jej życie, gdy ona leży na ziemi w rękach barbarzyńców z Fezu gotowych rozerwać ją na strzępy. Przypomniała sobie jego pocałunek w alejce, dotyk jego dłoni, kiedy pomógł jej wstać; kwiaty, które otaczały ich jak ślubna altana, kiedy siedzieli obok siebie przed grobowcami Marynidów. W tym pustynnym mieście wszystko było idealne i cudowne jak we śnie. Dimity otworzyła oczy i spojrzała na koszyk Delphine. Zobaczyła czosnek i natkę pietruszki, seler, lubczyk i kminek. Piękne zioła o młodych, delikatnych liściach; żadnych roślin, które zdążyły zgorzknieć i stwardnieć. A kminek był rzadkim, pysznym znaleziskiem. Delphine dużo się nauczyła. Dimity długo stała i patrzyła na zioła. Spojrzała na własne zdobycze w szalu zwisającym ze zdrętwiałego ramienia. „Czosnek, natka pietruszki, seler, lubczyk, kminek”. Krew pulsowała Dimity w skroniach, boleśnie i uporczywie. Rośliny tańczyły jej przed oczami, przesłoniętymi niesfornymi kosmykami włosów. „Czosnek, natka pietruszki...” W szalu leżał też szalej. Cykuta. Dokładnie oddzielona od

reszty, na odrębnym stosiku; liście, łodygi, słodkie, grube korzenie. Ból za oczami nasilił się tak bardzo, że z trudem nabierała powietrza. W końcu wstała i odeszła, stawiając niepewnie kroki. Ale w jej szalu nie było już cykuty. Leżała w koszyku Delphine.

Zach zaczął się pakować dwa dni po bójce Ilira z Edem Lynchem w pubie. Jeden z katalogów wyslizgnął mu się z ręki i spadł na podłogę. Zach tak często szukał w nim tej samej strony, że otworzył się na rysunku Dennisa, młodego mężczyzny, który przywiódł go do Blacknowle. Dennis i Delphine – córka, która zniknęła. Przypomniawsobie jej portret w galerii. Przez tyle godzin studiował i podziwiał tę twarz. Nabrał już takiej pewności, że dowie się, co się z nią stało. Że Dimity Hatcher opowie mu wszystko, kiedy przyniesie staruszce serce młodego byka i zachwyci ją jej wizerunkami, których nie widziała nigdy wcześniej. Teraz musiał wybierać między Charlesem Aubreyem a Hannah Brock, bo Hannah była w jakiś sposób zamieszana w wykorzystywanie człowieka, wobec którego Zach z niewyjaśnionych przyczyn czuł ogromną lojalność. Ta sama Hannah, która odcięła się od niego, okłamała go i najprawdopodobniej nic do niego nie czuła. Niedługo będzie musiał opuścić Blacknowle i zdecydować, co dalej. Niedługo, ale jeszcze nie teraz. Odetchnął z ulgą, jakby odroczył datę swojej egzekucji.

W Strażnicy panowała cisza. Dom wyglądał na opuszczony, za pustymi oknami nie widział żadnego ruchu. Zach stanął pod małym okienkiem w północnej ścianie i zadarł głowę. To z tego pokoju dobiegały zawsze hałasy. Szyba miała w rogu dziurę, niewielki otwór pośrodku pajęczyny pęknięć, jakby ktoś rzucił w nią kamykiem. W środku wisały na wpół zaciągnięte blade zasłony. Jedna z nich uniosła się lekko na wietrze, a widząc ten nagły ruch, Zach zerwał się i przylgnął do ściany, zanim zrozumiał, co się stało. Czy w tym pokoju było coś, co Dimity Hatcher chciała ukryć? Coś albo ktoś? W tym samym momencie zza okna dobiegł go cichy, szorstki szelest papieru o papier. Jakby ktoś przewrócił stronę w książce albo wydarł kartkę z zeszytu. Zacha przebiegły ciarki i szybko odsunął się od okna.

Zapukał do drzwi kilka razy, ale nikt mu nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, gdzie mogłaby być Dimity. Przypomniawsobie, jak wpatrywała się w dal, pogrążona we wspomnieniach. Pomyślał o jej dziwnych zwyczajach, amuletach i zaklęciach. O nożu kuchennym w jej

dłoni i o tym, że światło w jej oknach paliło się czasem do późnej nocy. Pomyślał o krwi pod jej paznokciami i rdzawych plamach na zniszczonych rękawiczkach. Z lekkim drzeniem zapukał ponownie, delikatniej, jakby nagle zaczął się obawiać, że ją obudzi. Tym razem usłyszał szcęk otwieranego zamka.

W pokoju kłębiło się coś czarnego, wzbierając niczym ogromna, śmiercionośna fala, gotowa uderzyć w każdej chwili. Dimity skuliła się ze strachu. Próbowwała zamknąć oczy, ale to nie pomagało. Pod powiekami widziała szczury. Szczury o wykręconych ciałkach, z wybałuszonymi oczami, zdychające w spazmach. Szczury, które zjadły trutkę Valentiny z szaleju. Dimity chodziła od pokoju do pokoju, odmawiając wszystkie zaklęcia, jakie знаła, ale złowroga ciemność podążała za nią krok w krok. „Co się stało z Celeste?” Usłyszała głos Zacha, więc odwróciła się, zastanawiając się, którądy wszedł do środka i jak długo ją podsłuchiwał. Ale nie, to było tylko kolejne echo, echo pytania, które zadał wcześniej. Niedawno czy wiele lat temu? Nie mogła sobie przypomnieć. Czas zachowywał się dziwnie; dzień i noc zlewały się w jedno. Nie umiała już spać w nocy; zamiast tego ucinała sobie nerwowe drzemki w ciągu dnia. Zbyt wielu gości, zbyt wiele głosów. Élodie, która stawała na rękach przy ścianie w salonie; śmiejąca się złośliwie Valentina grożąca jej palcem; smutne, pełne żalu oczy Delphine. A teraz jeszcze ten straszliwy, ciemny kształt bez imienia, który nie chciał się nawet przedstawić. Ale na widok szczurów, które zwijały się w konwulsjach w rogach pokoju, Dimity zrozumiała, co ją nawiedziło, bo tego bała się bardziej niż czegokolwiek innego. To było to, co robiła. Ta potworność.

Miała ochotę pójść na górę do zamkniętego pokoju, otworzyć drzwi na oścież, położyć się i znaleźć tam pocieszenie, ale coś ją powstrzymywało. Gdyby poddała się temu pragnieniu, to byłby już ostatni raz. Nie mogłaby tego powtórzyć – byłby tylko ten jeden raz, a potem zostałaby naprawdę sama. Tak podpowiadał jej instynkt, raczej intuicja niż rozsądek. Nie umiała stawić temu czoła, nie mogła tego zrobić, jeszcze nie teraz. Raz, uciekając przed tą ciemnością, doszła do połowy schodów, ale siłą woli zatrzymała się i nie zrobiła już ani kroku dalej. Valentina spała w swoim pokoju, nie mieszała się w to, nie

pomagała Dimity się z tym zmierzyć. Wcześniej spojrzała na córkę z uniesionymi brwiami, tak samo jak latem 1939 roku. „Czyli miałaś po prostu szczęście, co?”, rzuciła brutalnie. Dimity nie umiała jej odpowiedzieć – ani teraz, ani wtedy. Łzy nigdy nie robiły na Valentinie wrażenia, nawet gdy Dimity była mała. Nawet gdy mając pięć lat, potknęła się i wpadła do rowu pełnego kolcolistów, pokrzyw i pszczoł. Wydostała się podrapana i pokąsana, zanosząc się szlochem. „To nie jest najgorsze, co może ci zesłać los, moja droga, więc skończ z tym wyciem”. I rzeczywiście, los zesłał jej gorsze rzeczy. Valentina miała rację.

Ktoś zapukał do drzwi, mocno i natarczywie. Dimity spojrzała na nie, wstrząśnięta. Na zewnątrz było prawie ciemno. Odczekała chwilę, aż w końcu nie wiedziała już, czy cokolwiek słyszała, a wtedy pukanie rozległo się ponownie. Tym razem trwało dłużej. Pomyślała, że to może być jakaś sztuczka; że za drzwiami czai się coś niebezpiecznego. Serce zatrzepotało jej w piersi jak ćma. Podeszła do drzwi i niepewnie przytknęła do nich ucho. W ten sposób wszystkie głosy w Strażnicy brzmiały głośniejsz. Przenikały przez ściany i drewno jak morze szumiące w spirali muszli. Gniewne pomruki, oskarżenia, śmiech; ochryple głosy licznych gości Valentyny.

– Dimity? Jesteś tam? – głos był tak donośny, że aż krzyknęła i odskoczyła od drzwi.

– Kto tam? – zapytała, czując, jak oczy wypełniają jej łzy strachu.

– Zach. Przyszedłem się przywitać.

– Zach? – powtórzyła Dimity ze skupieniem.

– Zach Gilchrist, znasz mnie. Wszystko w porządku?

Oczywiście, że go znała. To był ten mężczyzna z rysunkami, którego głos zadający natarczywe pytania dołączył do chóru w Strażnicy. W pierwszym odruchu nie chciała go wpuścić. Nie pamiętała dlaczego, wiedziała tylko, że nie chce. Uznała jednak, że nie mógł być gorszy od tej ciemności, która już wdarła się do środka. Może dzięki niemu na chwilę opadnie w oczekiwaniu na lepszy moment. Dimity ostrożnie uchyliła drzwi.

Zach patrzył z konsternacją, jak Dimity krząta się po kuchni, rzekomo przygotowując dla nich herbatę. Rozglądała się po

pomieszczeniu roztrzęsiona, jakby czegoś szukała. Nie mogła się skoncentrować, stale ją coś rozpraszało. Przeszawiła kubki z jednego blatu na drugi, wylała do zlewu wodę z nastawionego już czajnika i napełniła go ponownie. W pewnej chwili, kiedy Zach opowiadał jej o bójce w pubie, odwróciła się gwałtownie z krzykiem, a potem zasłoniła usta dłonią. Pomyślał, że oburzył ją swoją historią, ale potem zobaczył, że wpatruje się w coś ponad jego ramieniem, za kuchennym oknem. Obejrzał się, ale zobaczył tam tylko zielone wzgórze opadające do morza.

– O co chodzi, Dimity? Co się stało? – zapytał. Spojrzała na niego i pokręciła głową. Kiedy Zach zobaczył, jak szybko i płytko oddycha, wstał, ujął ją za ręce i pociągnął na krzesło. – Proszę, usiądź. Jesteś zdenerwowana.

– Nie chcą mnie zostawić w spokoju! – krzyknęła staruszka, opadając na jedno ze starych kuchennych krzesel.

– Kto taki, Dimity?

– Wszyscy... – przesunęła sobie dłonią przed oczami i wzięła głęboki oddech. – Duchy. Po prostu duchy, to wszystko. Zwidy starszej pani, nic więcej. – Podniosła wzrok i posłała mu lękliwy uśmiech, który wypadł zupełnie nieprzekonująco.

– Widzisz je? – zapytał ostrożnie Zach.

– Ja... sama nie wiem. Czasami... wydaje mi się... że tak. Żądają ode mnie odpowiedzi tak samo jak ty. – Spojrzała na niego z niemą desperacją, a Zach wyczuł, że kobieta nosi w sobie jakiś ogromny żal.

– W takim razie... nie będę już prosił o więcej odpowiedzi. Jeśli nie zechcesz mi ich udzielić – obiecał.

Dimity pokręciła głową, a na kolana pociekły jej łzy.

– Widziałam ich razem. Nie powiedziałam ci... ale może masz prawo wiedzieć.

– Kogo widziałaś, Dimity?

– Mojego Charlesa i twoją... babkę. Widziałam, jak się całują. – W jej głosie brzmiała nuta rozpacz, a Zach odniósł dziwne wrażenie, że wszystkie kawałki układanki nagle zaczynają do siebie pasować. Albo przestają.

– Więc myślisz, że mógł być...

– Nie wiem! – krzyknęła ostro Dimity. – Nie wiem! Ale widziałam ich razem i nic nie powiedziałam... Charlesowi. Ani Celeste.

– Jezu. – Zach odchylił się na krześle, trawiąc jej słowa. W głębi duszy zawsze myślał, że to tylko plotki. Potrafił uwierzyć Dimity, kiedy zaprzeczyła, że jego babka miała romans z Aubreyem. Teraz okazało się, że trudniej mu uwierzyć w to, że jednak coś ich łączyło. – Czyli... zdradził cię? – zapytał cicho. Dimity wybuchła płaczem, a Zach wziął ją za rękę. – Przykro mi, Dimity. Naprawdę.

Przez jakiś czas pozwoliła mu się pocieszać, a potem wpiła palce w jego dłonie.

– Po co tu przyszedłeś? Jesteś jednym z nich? Czy to sen? – pytała.

– Nie, Dimity. – Zach przełknął ślinę z zakłopotaniem. – To nie sen. Jestem prawdziwy.

– Po co tu przyszedłeś? – powtórzyła.

– Przyszedłem... och, chyba przyszedłem się pożegnać. – Zanim wypowiedział te słowa, sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Wziął głęboki oddech i wbił wzrok w oczy Dimity. – Czy jest jeszcze coś... cokolwiek, co możesz mi powiedzieć o tamtym lecie? Kim był Dennis albo dlaczego Charles poszedł na wojnę? I co się stało z Delphine i Celeste?

Na jedną, pełną napięcia chwilę oboje wstrzymali oddech. Nie spuszczała z siebie oczu, a Zach miał wrażenie, że czas nienaturalnie zwolnił, a potem się zatrzymał. W ciszy, która zapadła, zniknęło tykanie jego zegarka i szum wody w czajniku, ciężki oddech Dimity i odległa pieśń morza.

Przez tę chwilę zdawało mu się, że słyszy kapryśny wiatr mknący przez zawilgoconą kuchnię. Gorący, suchy podmuch, niosący dziwne zapachy. Zdawało mu się, że słyszy odgłos klaskania i głosy dzieci, skandujących wyliczankę. Skrobanie ołówka na kartce papieru i śmiech mężczyzny, głęboki i pełen energii; zniewalający, zaraźliwy. Potem mrugnął i wrażenie minęło.

– Nie – odpowiedziała Dimity, a Zach w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, jak brzmiało pytanie. – Nie. Nie mogę ci powiedzieć nic więcej – dodała smutno.

– Chciałbym cię prosić o jeszcze jedną rzecz.

- Słucham.
- Czy mogę cię narysować?

Rysując tę samą osobę, którą kiedyś rysował Aubrey, chciał złożyć mu pewnego rodzaju hołd. Zach wiedział z całą pewnością, że jego praca wypadnie blado w porównaniu z portretem poprzednika, ale Dimity wciąż go fascynowała, a wreszcie przestał się bać.

Nadal nie narysował Hannah. Zastanawiał się, czy stracił bezpowrotnie swoją szansę i czy udałoby mu się uchwycić to wszystko, co było w niej takie cudowne i irytujące; jej szeroki, drapieżny uśmiech; jej upór; jej nieposkromioną zmysłowość i bariery, jakie stawiała między sobą a światem. Między sobą a Zakiem. Zastanawiał się, czy udałoby mu się uchwycić ten niepokojąco znajomy wyraz, który pojawiał się na jej twarzy, kiedy odwracała głowę w określony sposób. Na wspomnienie Hannah ogarnęła go mieszanina pożądania, złości, czułości i frustracji, więc postanowił odsunąć od siebie te myśli. Skupił się na swojej modelce, zmarszczył w skupieniu brwi i postawił pierwszą kreskę.

Nie śpieszył się. Robili przerwy na herbatę, a kiedy zapadł zmrok, zapalili światło. Ale Dimity nie okazywała zniecierpliwienia. Wręcz przeciwnie, pod jego spojrzeniem stawała się spokojna i pogodna, jakby pozowanie przychodziło jej równie naturalnie jak oddychanie. Starał się oddać ślady piękna, ukryte w jej zniszczonej twarzy; pokazać, że chociaż białka jej oczu pożółkły, tęczówki wciąż zachowały swój ciepły, orzechowy kolor, dokładnie w połowie drogi między zielenią a brązem. Kiedy wreszcie skończył, pulsowała mu dłoń i bolała go szyja. Ale z kartki patrzyła na niego Dimity Hatcher. Nie miał co do tego wątpliwości. Od lat nie narysował nic lepszego.

- Pokażesz mi? – zapytała Dimity z rozmarzonym uśmiechem.

Cichą satysfakcję Zacha natychmiast zastąpił niepokój, ale nabrał powietrza w płuca i podał jej portret. Kiedy spojrzała na kartkę, na jej twarzy pojawiło się przerażenie. Zaczęła podnosić dłoń do ust, ale opuściła ją na kolana.

- Och – powiedziała.
- Słuchaj, to nic szczególnego. Przepraszam, na pewno czułaś się inaczej, kiedy rysował cię Aubrey...

- O tak – przyznała cicho. – Ale portret jest dobry... naprawdę. Po

prostu myślałam... głuptas ze mnie... myślałam, że zobaczysz mnie taką, jaką byłam dawniej. Na innych rysunkach, które mi przyniosłeś. Że znów będę piękna.

– Jesteś piękna. Znacznie piękniejsza, niż udało mi się to pokazać... Wina leży po stronie artysty, nie modelki, Dimity.

– Ale to ja. Uchwyciłeś podobieństwo. Jesteś bardzo utalentowany – oceniła, kiwając wolno głową. Zach uśmiechnął się. Jej werdykt dodał mu otuchy. – Czy przyjmiesz posiłek w ramach zapłaty za ten portret?

– Chcesz go zatrzymać? – zdziwił się Zach.

– Tak, jeśli mogę. W końcu to mój ostatni. Kto jeszcze mnie narysuje, zanim wszystko się skończy? – uśmiechnęła się ze smutkiem, ale Zach z zadowoleniem zauważył, że wydaje się dużo spokojniejsza niż wcześniej. Jakby pozowanie do portretu ukoło jej niepokój.

– W takim razie zgoda. Co na kolację?

Było późno, kiedy pożegnał się w końcu z Dimity, dziękując jej za kolację, która składała się z bekonu, jajek i warzyw. Nie odpowiedział na jej pytanie, kiedy wróci. Ciemność na dworze miała zielonkawą poświatę, w której Zach całkiem nieźle widział nawet bez latarki. Pole za domem na Farmie Południowej upstrzone było portlandzkimi owcami i jagniętami trzymającymi się blisko matek. Od czasu do czasu słyszał ich nawoływania, tęskne i gardłowe. Poczuł, jak wzbiera w nim coś na kształt dumy. Jakby pomagając im wydać na świat młode i sypiając z ich właścicielką, przejął za nie część odpowiedzialności. „To nie twoje owce i nie twoja kobieta. To nie twoje życie”, powiedział sobie stanowczo. Najwyższy czas przestać sobie wyobrażać, że Elise siedzi przy kuchennym stole Hannah, ściskając kubek gorącej czekolady. Najwyraźniej nie mógł na to liczyć. W jego marzeniach kuchnia na farmie była czysta, przytulna, uporządkowana. Nie przypominała zagraconego grobowca, symbolu straty i żałoby Hannah. Pożegnał się z tą wizją najdelikatniej, jak potrafił, ale i tak ścisnęła mu serce. Wiatr wsunął mu wilgotne palce za kołnierz i nagle Zach poczuł się bardzo samotny. Płowa sowa wyleciała na polowanie, kołując bezgłośnie nad rozciągającym się przed nim pastwiskiem. Zazdrościł jej tego poczucia celu.

Wiedziony impulsem skierował się na skraj klifu. „Kolejne pożegnanie”, pomyślał. Stał tam, wsłuchując się w niewidoczne dlań morze. Wiatr był silny, a w falach bijących o skały słyszał pośpiech, niecierpliwość. Kiedy wyteżył wzrok, widział ich białe grzebienie spienione na brzegu. Nagle na ich tle zaśniło jakieś światło jak klejnot we wszechogarniającej czerni. Zach mrugnął i uznał, że musiało mu się wydawać, ale za chwilę zobaczył je znów, gdzieś poza plażą, na wodzie. Nie, nie na wodzie. Uświadomił sobie, że pochodzi ono ze skalnego występu. Snop światła latarki wymierzony w morze. Oddech zamarł mu w piersiach. Nie widział źródła światła ani ręki trzymającej latarkę, tylko jasne pasmo na wodzie, przecinające ciemność, ale wiedział, miał pewność, że to Hannah. Niebo zasnuwały chmury, nie było gwiazd ani księżycy, które mogłyby je rozjaśnić. Tylko zimny, twardy mrok, idealne warunki, żeby utrzymać coś w tajemnicy. Był wtorkowy wieczór.

Upłynęła minuta, potem kolejna. Wiatr wdarł się między poły płaszcza Zacha i owiał go chłodem. Nie mógł się ruszyć, serce waliło mu nieprzyjemnie. Nagle zobaczył na wodzie drugie światło. Zbliżało się od zachodu wzdłuż wybrzeża; pojedynczy, większy snop reflektora na łodzi. Statek opłynął zatokę szerokim łukiem i ruszył w kierunku światła latarki spokojnym, miarowym tempem, odrobinę na lewo od kamiennego występu. W punkciku jasności Zach dojrzał potężną męską sylwetkę w nieprzemakalnym płaszczu, biały bok łodzi, błysk pomarańczowego koła ratunkowego. Potem, kiedy łódź zatrzymała się przy skalnej półce, oba światła zgasły i nie było widać nic więcej. Zach został na swoim miejscu, nasłuchując. Jakąś minutę później, kiedy wiatr zelżał, usłyszał ryk silnika cofającej łodzi, która odbijała od prowizorycznej przystani. Potem wszystko ucichło.

Miał w głowie mętlik. Paraliżowała go świadomość, że powinien coś zrobić, jakoś zareagować; nie miał pojęcia, jak się zachować. Coś na tej łodzi przemycali. Jakiś towar opłacony w sekrecie, przekazany pod osłoną nocy przy minimalnej ilości światła. James Horne na swojej łodzi i Hannah, która znała drogę i mogła go poprowadzić na brzeg. To, co przywieźli, musiało być nielegalne. „Kolejne portrety Dennisa”, pomyślał, ale może to była tylko część ich działalności? Może handlowali też czymś gorszym? Stał tam, mając za sobą milczącą bryłę

Strażnicy, a przed sobą niewidoczne urwisko opadające do oceanu, i miał wrażenie, jakby całe Blacknowle odwróciło się od niego. A już zaczął myśleć, że mógłby się tu osiedlić, stać się częścią tej społeczności. Wydawało mu się, że Dimity Hatcher jest jego przyjaciółką, a Hannah jego dziewczyną. Że umieści Blacknowle na mapie artystycznego świata, wydając zupełnie nową książkę o Charlesie Aubreyu. Teraz zrozumiał, że niewłaściwie ocenił sytuację. Wszyscy udawali, że mu pomagają, by go w końcu odtrącić. Poczł ból odrzucenia pod wzbierającą w nim falą gniewu.

Morze syknęło w ciemnościach.

Ruszył szybkim krokiem w stronę wioski i zdyszany dotarł na szczyt ścieżki. Szedł tak, jakby miał jasno określony cel, chociaż w rzeczywistości nie wiedział ani dokąd zmierza, ani co robi, kiedy już gdzieś dotrze. Nie miał pojęcia, jak rozładuje swój gniew i skąd w nim ta niecierpliwość, ale chwilę później oba uczucia raptownie osłabły. Widząc, co się dzieje przed podjazdem na Farmę Południową, Zach zwolnił, a potem zatrzymał się. Wpatrywał się przed siebie.

U szczytu ścieżki, za żywopłotem, stały w szeregu trzy wozy policyjne. Jeden miał włączone światła i silnik. Umundurowani funkcjonariusze siedzieli w radiowozach albo czekali obok nich na drodze; trzech stało blisko siebie obok samochodu z włączonym silnikiem. W tak ciemną noc mundury zapewniały im idealny kamuflaż. Wyglądali na czujnych, gotowych do działania. Jeden z nich obejrzał się na Zacha, który wciąż tkwił bez ruchu na środku drogi.

Otrzeźwiony tym nagłym zainteresowaniem policji ruszył w ich kierunku z lekkim, choć nieuzasadnionym poczuciem winy. Przeszedł tuż obok, usiłując nie zdradzać ciekawości. Kiedy ich mijal, usłyszał szum radia, a funkcjonariusz, który go zauważył, przysunął twarz do mikrofonu.

– Rozumiem. Zajęliśmy pozycje, jesteśmy gotowi – zameldował.

Zach szedł dalej, dopóki nie był pewny, że zniknął im z oczu w ciemności, a potem rzucił się w lewo w stronę żywopłotu, przeskoczył przez ogrodzenie i zaczął biec przez pole.

Nie oglądając się za siebie, zbiegał na oślep po zboczach, wpadając w królicze nory i ślizgając się na plackach owczego łajna. To było

przerażające i podniecające – biec tak szybko, kiedy nie widział ziemi pod nogami ani nawet własnych stóp. Osty i długie źdźbła trawy smagały go po łydkach. Kątem oka dostrzegał blade sylwetki przestraszonych owiec, uskakujących mu z drogi. Ścieżkę miał po lewej stronie; przez cały czas spodziewał się, że zobaczy na niej strumień niebieskich świateł radiowozów, które mijają go i pierwsze docierają do Hannah.

Ostatni raz biegł tak szybko w dzieciństwie i płuca bolały go od pośpiesznie wciąganego zimnego powietrza. Noc rozstępowała się przed nim i zamykała tuż za nim; nie zostawiał po sobie żadnych śladów. Od dziedzińca dzieliły go jeszcze tylko dwa ogrodzenia, które pokonał niezdarnie. Za drugim razem źle wylądował i skręcił nogę w kostce. Klnąc z bólu, dokuśtykał do wejścia do domu i zobaczył, że w kuchni pali się światło, zionąc jasnością w noc przez pozbawione zasłon okna. Ta beztroska wydała mu się teraz niepotrzebnym ryzykiem.

Dyszał ciężko, a serce waliło mu jak oszalałe, kiedy uderzył w drzwi domu obiema pięściami. Hannah wyjrzała zza nich ostrożnie z oczami rozszerzonymi niepokojem. Na jego widok wyraźnie jej ulżyło, ale Zach poczuł przyptyw paniki.

– Zach! Co ty tu robisz, do diabła? – zapytała, stając w otwartych drzwiach tak, żeby nie mógł przejść ani zobaczyć, co się dzieje w środku.

– Policja już jedzie, mogą tu być w każdej chwili. Widziałem ich – wysapał, usiłując złapać oddech. – Widziałem ich u szczytu ścieżki. Chciałem cię ostrzec, dać ci szansę na... – urwał, widząc, jak ogarnia ją strach.

Z tyłu dobiegł go głos Ilira.

– Policja? Tu? Jezu... skąd wiedzieli? – zapytała.

– Tego nie wiem. Macie mało czasu, więc jeśli nie chcecie, żeby coś u was znaleźli, lepiej natychmiast to stąd zabierzcie. Teraz, już!

Hannah zawahała się, a potem odwróciła głowę i rzuciła przez ramię kilka zdań ściszym głosem. Zach usłyszał zdumiony okrzyk Ilira, a potem szuranie stóp.

– Boże... – jęknęła ponuro Hannah. – Może Ed Lynch jednak coś im powiedział. Jamesowi wydawało się, że ktoś go obserwuje. A kiedy

rozmawiałam z nim ostatnio przez telefon, stale były jakieś zakłócenia na łączach... Kurwa! Ale ze mnie idiotka!

– Przykro mi... Hannah. – Teraz, kiedy ją ostrzegł, nie wiedział, co jeszcze może zrobić.

W tym momencie obok niej pojawił się Ilir.

– Przykro ci? To ty wezwałeś policję? – zapytał, odpychając drzwi gwałtownie. W kilka kroków znalazł się przy Zachu. Jego twarz wykrzywiała wściekłość, więc Zach cofnął się niepewnie.

– Co? Nie! Ja tylko...

– Szpiegowałeś nas dzisiaj? – Cygan dźgnął Zacha w klatkę piersiową.

– Tak, to znaczy nie, nie szpiegowałem, stałem na klifie i zobaczyłem... łódź. A potem zobaczyłem policję...

Ilir złapał Zacha za poły płaszcza, obrócił go i popchnął brutalnie na ścianę domu. Miał zaciśnięte usta, a w jego oczach płonął gniew i coś jeszcze, coś jak strach, który napinał mu wszystkie mięśnie.

– To twoja wina, że tu jadą! – warknął.

– Nie, chciałem was tylko ostrzec!

– Pożałujesz. – Ilir wziął zamach i wbił prawą pięść w jego szczękę.

Ból rozbłysnął Zachowi za oczami jaskrawym światłem, a głowa odskoczyła mu w tył i uderzyła mocno w ścianę.

– Ilir! Nie! Przestań! – Hannah stanęła za Ilirem. Wiatr wiewał jej włosy do oczu, kiedy przytrzymała mężczyznę za rękę, żeby powstrzymać go przed wymierzeniem kolejnego ciosu. – Ilir! Nie mamy czasu! Przestań! To nie jest wina Zacha! Idź do domu, idź do domu i przygotuj się!

Ilir raptownie puścił Zacha, jakby przestał go interesować. Dopiero teraz Zach zrozumiał, jak przerażony był pomocnik Hannah. Gniew zniknął z jego oczu i został w nich tylko strach. Zacisnął ręce na głowie, a oczy zaszły mu łzami.

– Co my zrobimy, Hannah? – zapytał z rozpaczą. – Co ja mam robić?

– Coś wymyślę! Wracaj do środka, no już – poleciała, a Ilir ruszył chwiejnym krokiem w stronę drzwi. Hannah odwróciła się do Zacha,

który masował szczękę, czekając, aż rozjaśni mu się w głowie. – Przeszedłeś nas ostrzec, tak? – upewniła się. Zach skinął ostrożnie głową. – Czyli chcesz być po naszej stronie, tak? Tak?

– No... tak. Jestem po waszej stronie.

– To nam pomóż. – Stała przed nim z rękami zwieszonymi po bokach, walcząc z podmuchami wiatru. W jej ciemnych oczach lśniła stal; wydawała się spokojna i zdecydowana. Zach zdał sobie sprawę, że zrobi dla niej wszystko.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Widziałeś, jak prowadzę łódź. Widziałeś, że wynosimy coś na brzeg. Teraz potrzebuję, żebyś to stąd zabrał. Policja nie może dowiedzieć się, co było na łodzi. Słyszysz?

Zach przełknął ślinę. Pojął, że zamierzała go wmieszać w tę sprawę. Potrzebowała pomocy, to nie ulegało wątpliwości, ale chciała też zapewnić sobie jego milczenie.

Skinął niepewnie głową.

– Okej. Ale posłuchaj, jeśli chodzi o narkotyki... – pokręcił głową.

Hannah spojrzała na niego z obrzydzeniem.

– Narkotyki? Naprawdę myślisz, że to narkotyki?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

– Myślisz, że ryzykowałabym wszystkim, żeby handlować narkotykami? Kurwa mać, Zach! Chcesz wiedzieć, co jest dla mnie warte takiego ryzyka? Chcesz? To wejdź i zobacz sam.

Złapała go za rękaw, wciągnęła przez drzwi i wepchnęła po schodach do kuchni. Dała mu chwilę na zorientowanie się w sytuacji. Zmrużył oczy w ostrym świetle.

– Teraz rozumiesz? – zapytała.

Zach patrzył ze zdumieniem.

– Jezu – mruknął.

Resztę dnia, w którym Celeste odprawiła ją po raz drugi, Dimity przespała. Zasnęła głębiej niż kiedykolwiek wcześniej, ale nic jej się nie śniło. Miała wrażenie, jakby zapadła się w nicość. Przed zachodem słońca obudziła się z niejasnym, dojmującym uczuciem niepokoju. Nie mogła usiedzieć w miejscu ani skupić się na żadnym z obowiązków, więc ogień pod kuchnią zgasł, woda w czajniku stała zimna, a kury nieco

dłużej zachowały swoje jajka ukryte pod ciepłymi, śliskimi piórami. Zajrzała do sypialni matki. Valentina leżała na materacu z rozrzuconymi rękami i nogami. Wokół twarzy wciśniętej w poduszkę wiły się splątane żółte włosy. Chrapała lekko, zmorzona snem. Dimity przypomniała sobie, że niedługo po jej powrocie trzasnęły zamykane drzwi. Jakiś anonimowy gość wymknął się chyłkiem. W dusznym pokoju unosił się słaby rybi odór. Dimity cicho zamknęła za sobą drzwi, zastanawiając się, skąd u niej nagła chęć, żeby wślizgnąć się do łóżka obok matki i poczuć ciepło bijące od jej brudnego, uśpionego ciała. Ogarnęła ją tęsknota za poczuciem bezpieczeństwa, chociaż już dawno nauczyła się nie szukać go u Valentyny.

A potem na minutę albo dwie wszystkie jej marzenia stały się prawdą. Słońce obniżyło się za horyzont; aksamitny zmierzch malował morze srebrzystym blaskiem. Dimity wyglądała właśnie przez okno swojej sypialni, kiedy na ścieżce do Strażnicy pojawił się niebieski samochód. Jechał szybko, wzbijając za sobą obłoki pyłu, a spod kół strzelały mu kamyki. Zatrzymał się tuż przed jej domem i wysiadł z niego Charles. Tylko on. Przeczesał włosy palcami, żeby je wygładzić, tak jej się przynajmniej wydawało, a potem podszedł do drzwi i zaczął się do nich natarczywie dobijać, nie zważając na nic. „Przyjechał mnie zabrać”, powiedziała do siebie, schodząc na dół z rozmarzonym uśmiechem. Odkąd się obudziła, dręczył ją strach, którego przyczyny nie umiała odnaleźć; wiedziała tylko, że już nigdy nie pójdzie do Littlecombe. Ale teraz wreszcie po nią przyjechał i rozwiązał ten lęk. W drodze do drzwi rozejrzała się po domu z myślą, że może go nie zobaczyć już nigdy więcej. Że może ostatni raz schodzi tymi schodami, stąpa po wytartych kamiennych płytach, ciągnie za klamkę ciężkich dębowych drzwi. Przywitała go jeszcze szerszym uśmiechem, pozwalając, żeby cała miłość zaśniła na jej twarzy; koniec tajemnic, koniec czekania.

– Mitzy, musisz iść ze mną. Szybko! Proszę! – zawołał.

Nie zauważyła potu na jego czole i nad górną wargą. Nie zwróciła uwagi na jego ziemistą cerę ani na drżenie dłoni, którymi znów przeczesał włosy.

– Oczywiście, Charlesie. Czekałam na ciebie. Nie spakowałam

jeszcze torby. Czy mamy na to czas? Tylko trochę ubrań i kilka rzeczy?

– Co? Nie, nie ma czasu! Chodź ze mną natychmiast! – Złapał Dimity za nadgarstek i zaczął ją ciągnąć w kierunku samochodu. – Zaraz, czy Valentina jest w domu? Przyprowadź ją tutaj! I weź wasze lekarstwa, wszystko, co macie. Zabierz je wszystkie!

– Valentina... ale dlaczego chcesz zabrać moją matkę? Nie musimy...

– Jest w domu?

– Śpi.

– To ją obudź, do jasnej cholery! Ale już! – krzyknął tak głośno, że wzdrygnęła się ze strachu, i tak gwałtownie, że kropelki jego śliny wylądowały na jej policzku.

– Nic nie rozumiem! – jęknęła Dimity, a Charles spojrzał na nią gniewnie, niecierpliwie. – Teraz jej nie obudzę; była zajęta po południu...

– W takim razie pojedziesz sama. Celeste i Élodie... bardzo źle się czują. Musisz im pomóc.

– Ale ja... – Nie zważając na protesty Dimity, Charles zaciągnął ją do samochodu. Wsiadła posłusznie do środka, ale serce ścisnęło jej się ze strachu i z trudem łapała powietrze.

Tak jak się obawiała, Charles zabrał ją do Littlecombe, ostatniego miejsca, w którym chciała się znaleźć. Pędził na złamanie karku, prawie zderzając się z furgonetką piekarza, kiedy wyjeżdżali ze ścieżki na ulicę we wsi. Dimity zamknęła oczy i nie śmiała się ruszyć, dopóki samochód nie zatrzymał się przed domem. Charles musiał ją z niego wywlec. Wbił jej palce w ramię, zgrzytając zębami.

– Dzwoniłem do dwóch różnych lekarzy, ale obaj są wiele kilometrów stąd u innych pacjentów... Mówili, że przyjadą najwcześniej za godzinę. Mówili, żeby dawać im wodę, ale... nie mogą utrzymać jej w żołądku. Ledwo piją! Musisz im pomóc, Dimity. Na pewno możesz coś im podać. Jakies zioła... – mamrotał. Ciągnął ją za sobą tak szybko, że musiała biec, żeby utrzymać się na nogach. W progu zaparła się ręką o framugę i wyrwała z jego uścisku. Charles zatrzymał się. – Co ty robisz? Chodź! – krzyknął.

– Boję się! – zawołała. Mówiła prawdę, ale nie umiała nawet

wyrazić, jak ogromny, paskudny i dezorientujący był ten strach. Nagle drzwi do jego domu wydały jej się wrotami do piekieł albo wejściem do nory niebezpiecznego, dzikiego zwierzęcia.

Charles wpatrywał się w nią oczami pełnymi łez.

– Dimity, błagam... – powiedział z rozpaczą. – Błagam cię, pomóż im.

Nie miała wyboru, musiała spróbować.

Były w dużej sypialni na łóżku. Celeste siedziała oparta o ścianę. Cały przód jej bluzki pokrywały wymiociny. Tylko część trafiła do miski. Z brody ściekała jej długa, gruba strużka śliny, wciąż nowej, nigdy niewysychającej. Co kilka sekund wstrząsał ją gwałtowny dreszcz, jakby przeszywał ją prąd. W pokoju panował straszliwy smród. Delphine trzymała matkę za rękę. Kucała przy łóżku, a na jej twarzy malowało się głębokie cierpienie. Po drugiej stronie łóżka leżała Élodie. Jej drobne ciało było skręcone i nieruchome.

– Z Élodie jest gorzej. Najpierw idź do niej – polecił Charles, popychając Dimity w stronę córki.

Sam podbiegł do Celeste i Delphine.

– Och! Zrób coś, Mitzy, proszę! Na pewno wiesz, co im podać... na pewno znasz lekarstwo – błagała ją Delphine, dławiąc się szlochem.

– Nie... nie wiem... Co im się stało? – wykrztusiła Dimity.

– Nie wiem! Coś im zaszkodziło – na pewno! Coś, co przyniosłam... poszłam sama po zioła i zostawiłam je mamie na lunch, a ona ugotowała zupę. Kiedy wróciliśmy, Élodie też trochę zjadła, ale ja i tatuś nie... Musiałam zerwać coś trującego, Mitzy! Byłam pewna, że znam te rośliny... Byłam pewna, że wiem, co zrywam, ale musiałam się pomylić, prawda? Tak musiało być! – Przez chwilę szlochała w złączone dłonie, ale przestała, by chwycić za palce matkę, która znów zwymiotowała.

Po brodzie Celeste pociekła żółta ciecz, a potem kobieta dostała konwulsji i uderzyła głową o ścianę. Jej wyprężone ręce leżały bezwładnie na materacu. Dimity dostrzegła oczy Marokanki, czarne jak noc, czarne jak kłamstwo, czarne jak morderstwo. Źrenice miała tak rozszerzone, że niebieskozielone tęczęwki były niemal niewidoczne. Oczy Celeste wyglądały jak drzwi otwarte dość szeroko, żeby uszła nimi

dusza. Nagle jej usta rozchyliły się i wyrzuciła z siebie potok francuskich słów, niezrozumiałe dźwięki, które przypominały raczej zwierzęcy skowyt niż ludzki język. Delphine jęknęła i próbowała przytrzymać rękę matki, ale Celeste wyrwała je, rozglądając się wokół wybałuszonymi oczami, jakby widziała straszliwe potwory.

Dimity przykucnęła obok Élodie i ujęła ją za nadgarstek, szukając pulsu. Znalazła go, był słaby i nieregularny. Ciało dziewczynki było sztywne i wygięte w tył, każdy mięsień napięty jak struna. Twarz miała nieruchomą, oczy utkwione w jednym punkcie, równie czarne i wybałuszone jak u jej matki. Na materac sączyła się nieprzerwana strużka śliny. Élodie wyglądała jak demon, jak opętana. Dimity przeszły ciarki, kiedy przyłożyła ucho do otwartych ust dziewczynki i poczuła leciutki powiew wdychanego i wydychanego powietrza. Czowała w głowie taką samą pustkę, jaką widziała w ich oczach. Niczego nie pragnęła bardziej niż uciec z tego pokoju; odejść od tego łóża śmierci, bo tym właśnie było. Łóżem śmierci. Zjadły korzenie, to nie ulegało wątpliwości. Zdradliwie słodkie, pełne smaku. Jeśli cokolwiek mogło je uratować, to nie była to żadna mikstura Dimity. Ich jedyną szansą był lekarz, ale nawet gdyby udzielił im pomocy, wszystko zależało od tego, ile musiały na nią czekać.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytała obojętnym tonem. Nagle zachciało jej się spać. Miała ochotę położyć się, zamknąć oczy i zasnąć.

– Jakieś... jakieś dwie godziny temu. Kiedy wróciliśmy z miasta, Celeste bolał już brzuch, ale zanim zaczęła wymiotować, Élodie też zjadła zupę i źle się poczuła... Jak możesz im pomóc? Co mamy robić? – Charles stał z rękami zwieszonymi wzdłuż boków, ssąc wargę i nie spuszczać z niej wzroku.

Widziała, że oczekuje od niej, że je wyleczy, że je uratuje, i przełknęła ślinę, żeby pohamować wybuch obłąkańczego śmiechu, który wzbierał jej w piersiach. Zamiast tego pokręciła głową i patrzyła, jak jego twarz wykrzywia strach. Było za późno. Przez dwie godziny trucizna wniknęła w organizm zbyt głęboko, żeby można ją było wydestać.

– Nie mogę im pomóc. Trucizna jest zbyt silna. Ja... już to widziałam. – Nagle w rogach sypialni zobaczyła szczury, skręcone

z bólu, wirujące w tańcu śmierci. Poderwała się na nogi i spojrzała na nie z przerażeniem.

– Czyli wiesz, co to było? Wiesz, co zjadły? – zapytał Charles.

Dimity z trudem zdołała utrzymać w płucach powietrze dość długo, żeby mu odpowiedzieć. Skinęła głową i poczuła na sobie spojrzenie pustych, atramentowych oczu Celeste. Zalała ją fala przerażenia i zachwiała się.

– Cykutę – powiedziała w końcu. – Szalej.

Szalej. Znali tę nazwę. Charles zbladł jeszcze bardziej. Delphine wpatrywała się w nią z rozdziawionymi ustami.

Zapadła długa cisza, przerywana tylko chrapliwym oddechem Celeste i dziwnym bulgotaniem, jakie dobywało się z jej gardła przy każdym ataku spazmów. Élodie nie wydawała z siebie żadnych odgłosów.

– Czyli mówisz... – Charles chrząknął i przesunął dłońmi po twarzy. – Mówisz, że mogą od tego umrzeć? Mogą umrzeć? – powtórzył ze szczerym niedowierzaniem, ignorując Delphine, która znów zaczęła szlochać.

Dimity spojrzała Charlesowi w oczy, z trudem zachowując kamienną twarz. Pokój był pełen cieni i diabłów; szczurów o zniekształconych ciałkach i oczu czarnych jak noc; tonął w obrzydliwym morzu śliny i żółci. Dimity miała wrażenie, że traci zmysły.

– Tak – odpowiedziała. Charles wpatrywał się w nią, sparaliżowany tym słowem. – Zabierz je do szpitala. Natychmiast. Nie mogą czekać na lekarza ani na karetkę, jedź od razu. Do Dorchester. Powiedz lekarzowi, co zjadły...

– Pojedziesz z nami, pojedziesz nam pomóc. Weź Élodie. Delphine! Otwórz nam! – Charles chwycił rozedrgane ciało Celeste w ramiona i ruszył w stronę drzwi, a Delphine pobiegła, żeby zrobić im przejście.

Dimity musiała podnieść Élodie. Zrobiła to powoli, niemal z czułością. Smukłe ciało dziewczynki przypominało w dotyku jakiś dziwny gatunek drewna, twardego i sztywnego, a jednocześnie emanującego ciepłem. Jej twarz pozostała nieruchoma, bez wyrazu,

kiedy Dimity uniosła ją z łóżka. Gdy Dimity szła z nią po schodach do niebieskiego samochodu, miała wrażenie, że nie czuje ruchu powietrza z jej rozchylonych ust. Za czarnymi tarczami jej oczu nic się już nie kryło. Dimity ścierpła skóra, kiedy wsiadła z Élodie do samochodu, ale musiała tkwić na swoim miejscu, uwięziona pod nią bez możliwości ucieczki.

Zach ze zdumieniem spoglądał na zagracony stół kuchenny, a raczej na zebrane wokół niego postaci. Ilir stał naprzeciwko w pozycji obronnej, z grymasem strachu i złości na twarzy. Trzymał za rękę wysoką, smukłą kobietę, która przyciskała do siebie małego, najwyżej siedmio- lub ośmioletniego chłopca. Zach patrzył na nich, a oni patrzyli na niego. Ich twarze były blade ze zmęczenia. Kobieta miała długie, proste, ciemnobrązowe włosy z przedziałkiem na środku, związane z tyłu w koński ogon. Marszczyła czoło ze zdenerwowania.

– Zach, poznaj Rozafę Sabri, żonę Ilira, i ich syna, Bekima – powiedziała Hannah, stając obok niego. Czuł, że jej ciało wciąż drży z napięcia.

– Cześć – przywitał się sztywno Zach.

Ilir rzucił coś niecierpliwie w niezrozumiałym dla Zacha języku, a Rozafa spojrzała na niego z niepokojem.

– Po angielsku, Ilir – poprosiła Hannah.

– Nie mogą tu zostać. Nawet na jedną noc.

– Wiem. Przykro mi, Rozafa... Pojawił się drobny problem. – Oczy wszystkich zwróciły się na Zacha, jakby to była jego wina. Spocony pod swetrem i płaszczem wiercił się nerwowo, czując nieprzyjemne swędzenie. – Zach zabierze cię w bezpieczne miejsce. Wygląda na to, że... zaraz może tu być policja...

– *Policija?! –* zawołała Rozafa, a jej oczy rozszerzył strach.

Chłopczyk, którego obejmowała, nie zareagował. Wpatrywał się w Zacha nieobecny, na wpół przytomnym wzrokiem. Kiedy jego matka wstała i pociągnęła go za sobą, poruszał się wolno i niezdarnie. Rozafa pochyliła się i podniosła synka, a potem spojrzała na Hannah i swojego męża. Zach zrozumiał, że jest gotowa do ucieczki. Nie zważając na zmęczenie, była gotowa zabrać dziecko i uciekać. Widział, że są wycieńczeni i potrzebują odpoczynku. Poczul wyrzuty sumienia,

kiedy przypomniał sobie, jaki był przekonany, że Hannah przemyca obrazy albo narkotyki. W rzeczywistości chodziło o coś znacznie cenniejszego i delikatniejszego.

– Teraz rozumiesz? Dlaczego nie mogłam ci powiedzieć? Dlaczego musiałam utrzymywać to w tajemnicy? – zapytała go Hannah z naciskiem.

– Mogłaś mi zaufać. Zrozumiałbym.

– Nie wiedziałam tego. Nie mogłam być pewna. Ale teraz ci ufam. Zabierz ich stąd. Natychmiast, zanim przyjedzie policja.

– Gdzie... jak mam ich zabrać? Wziąć jeepa?

– Nie, zobaczą cię na ścieżce, a nie dasz rady jechać przez pole bez świateł, zabijesz się. Uciekajcie pieszo. W jakieś bezpieczne miejsce. Gdziekolwiek.

– Strażnica. Zaprowadzę ich do Strażnicy – zaproponował.

Hannah zawahała się i zmarszczyła brwi, ale potem skinęła głową.

– W porządku. Nie pozwól, żeby ktoś was zobaczył. Musimy liczyć na to, że nie przyjdzie im do głowy nikogo tam szukać.

– Dlaczego mieliby tam kogoś szukać?

– Bo... Zresztą nieważne. Na pewno się uda. Idźcie już, szybko!

Zach zerknął na pogrążoną w ciemnościach ścieżkę, a potem przebiegł przez dziedziniec. Tuż za nim biegli Ilir i Rozafa. „To się nie dzieje naprawdę”, pomyślał. Miał wrażenie, że jakaś część jego umysłu odcięła się od tej sytuacji i tylko obserwuje bieg wydarzeń. Ilir zatrzymał się przy bramie na pola ciągnące się aż do Strażnicy. Powiedział coś szybko do żony po serbsku, albańsku albo romsku i odwrócił się, żeby odejść. Rozafa odpowiedziała głosem podniesionym ze strachu, wyciągnęła rękę i złapała go za rękaw.

– Nie idzie z nami? Nie idziesz z nami, Ilir? – zapytał Zach.

– Hannah może mnie potrzebować, kiedy przyjdą. Zostanę z nią.

– Ale mogą cię poprosić o paszport...

– Jeśli zniknę, zaczną się zastanawiać, gdzie jestem. Mogą zacząć mnie szukać – stwierdził stanowczo Ilir. – Idź już, zabierz ich w jakieś bezpieczne miejsce. Proszę. – Przez chwilę patrzył na Zacha wyraźnie przerażony tym, że policja może znaleźć jego rodzinę.

Zach skinął głową.

– Nie wyłączaj komórki! – krzyknęła za nimi Hannah.

Biegli w górę ciemnego wzgórza najszybciej, jak potrafili. Po tej stronie doliny było bardziej stromo i wciąż potykali się o wystające kępy traw. Właściwie łatwiej było pochylić się i podpierać rękami albo iść na czworakach. Po jakichś dwustu metrach dotarli do kolejnego ogrodzenia i przystanęli. Zach obejrzał się przez ramię. Na dziedziniec farmy podjeżdżały właśnie trzy radiowozy. Nie włączyły syren, ale ich niebieskie światła wydawały się niemożliwie jasne w mroku.

– Na ziemię! Na ziemię! – zawołał.

Rozafa spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem, a Zach zorientował się, że nie mówi po angielsku tak dobrze jak jej mąż. Pociągnął ją w dół i sam opadł na chłodne, mokre zbocze, a ona poszła za jego przykładem, zasłaniając swoim ciałem synka. Szeptala do niego łagodnie. Zach słyszał ciąg cichych słów, które mogły być piosenką albo wierszykiem dla dzieci. Ich niemyta skóra pachniała strachem. Zach przełknął ślinę, czując na sobie wielką odpowiedzialność. Rozafa nie miała wyboru, musiała powierzyć mu nie tylko własny los, ale i los swojego synka.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na wzgórze, ale nic nie dojrzał w ciemności. Z drutów ogrodzenia zwisały strzępy owczej wełny tańczące na wietrze niczym ozdobne girlandy. Roztaczały wokół ciężką, tłustą woń. Na dziedzińcu z samochodów wysiadło sześciu policjantów, w tym jeden z wilczurem na smyczy. Podbiegli do domu, a trzech odłączyło się i zaszło budynek od tyłu, blokując wszystkie wyjścia. Hannah nie miała nic do ukrycia, ale Zach poczuł przyływ strachu na myśl, że czeka na atak uwięziona w środku.

– Boże, mam nadzieję, że ten pies szuka tylko narkotyków, a nie ludzi – mruknął. Na dźwięk jego głosu Rozafa natychmiast podniosła głowę. Jej oczy lśniły od adrenaliny. – Chodźmy – powiedział.

Wspinali się dalej, a po chwili Zach odwrócił się i wziął chłopczyka na barana. Dziecko ważyło tyle co nic, było lekkie jak kawałek drewna wyrzucony na brzeg przez morze. Zach nagle zdał sobie sprawę, jak niebezpiecznie jest przekraczać kanał La Manche małą łodzią rybacką w środku nocy; jak długa i niewygodna musiała być ich podróż. Poznał prawdziwych rozbitków, wyczerpanych i na krawędzi

katastrofy. Nie wyobrażał sobie, jakie to uczucie, tyle ryzykować; wolał nie myśleć o tym, jak muszą być przerażeni. Zaciśnął mocniej ręce na nogach Bekima.

Po dziesięciu minutach, które wydawały mu się wiecznością, Zach zobaczył białą bryłę Strażnicy majaczącą przed nimi w mroku. Dysząc z wysiłku, poprowadził ich przed drzwi, oddał chłopca Rozafie i zapukał. Odwrócił się jeszcze raz, usiłując się zorientować w sytuacji na Farmie Południowej. Nic tam nie zobaczył. Radiowozy nadal stały na dziedzińcu, rozświetlone jedną parą niebieskich świateł. Zach zapukał ponownie, przypominając sobie, jak zdezorientowana i przestraszona wydawała się Dimity, kiedy odwiedził ją wcześniej.

– Dimity, to tylko ja, Zach... Wróciłem. Wpuść nas, proszę. To bardzo ważne... Dimity?

– Zach? – Zza drzwi rozległ się jej głos, słaby i schrypnięty.

– Tak, to ja. Proszę, wpuść nas, Dimity. Potrzebujemy miejsca, w którym moglibyśmy się ukryć.

Drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem. W środku panowały jeszcze większe ciemności niż na zewnątrz. Światła radiowozu odbijały się na bladej skórze staruszki i w jej rozszerzonych oczach.

– Policja? – zapytała oszołomiona.

– Szukają tych dwoje. To żona i syn Ilira. Znasz Ilira, pomaga Hannah na farmie. Możemy wejść? – Zach odwrócił się, żeby spojrzeć na Bekima, i zobaczył, że chłopiec zasnął w ramionach Rozafy. Miał wymizerowaną twarz i rozchylone usta, a jego dziąsła wyglądały na niemal szare. Zach nagle uświadomił sobie, że z chłopcem nie jest dobrze. – Musimy się tu ukryć. Chociaż na chwilę. Oni są... bardzo zmęczeni. Mają za sobą długą podróż.

– Podróż? – zapytała Dimity z roztargnieniem, wpatrując się w Rozafę rozkojarzona.

Rozafa wytrzymała jej badawczy wzrok. Zach wziął głęboki oddech, usiłując nie wpaść w panikę.

– Tak, podróż. Właśnie przyjechali z...

– Od Ilira? Romowie? – przerwała mu nagle Dimity. Zamrugła, a jej twarz przybrała znajomy wyraz, jakby wróciła do siebie z daleka. Spojrzenie, które skierowała na Zacha, stało się bardziej bystre.

– Tak, dokładnie...

– Chodźcie, chodźcie, chodźcie – poleciała szybko, otwierając drzwi szerzej i zapraszając ich gestem do środka. – W końcu jego naród to mój naród. Moja matka była Cyganką, mówiłam ci o tym? Wchodźcie, szybko, zamknij drzwi. To dobre miejsce, żeby się ukryć...

Zach wszedł jako ostatni, a zamykając drzwi, zauważył na ścieżce ze wsi światła samochodu skierowane na Strażnicę. Oddech zamarł mu w piersi. Nie miał pojęcia, dlaczego mieliby szukać uciekinierów właśnie tu, ale Hannah zawahała się, kiedy zaproponował to miejsce, jakby nie było do końca bezpieczne. Może policjanci widzieli, jak uciekają przez pola. Złapał Dimity lekko za ramię, żeby zwrócić na siebie jej uwagę.

– Wydaje mi się... wydaje mi się, że ktoś się zbliża... ktoś tu jedzie – wyszeptał z niepokojem. – Musimy ich ukryć. Gdzie mogą pójść? Nie, nie rób tego! – zaproponował, kiedy Dimity sięgnęła do włącznika światła. – Jest późno, lepiej żebyś udawała, że śpisz. – Staruszka złożyła przed sobą dłonie jak do modlitwy. Ich oczy były tylko lśnięcymi punkcikami w mroku. Dimity wyglądała, jakby biła się z myślami. Po ścianach sunęły upiorne szare cienie rzucane przez światła radiowozów. – Dimity? – naciskał Zach. – Nie mogą ich tu znaleźć. Proszę, jeśli policja ich znajdzie, odeślą ich do domu.

– Odeślą? Nie, nie. Musicie iść na górę. Jeśli tu przyjdą, nie wpuszczę ich dalej. Idźcie na górę do pokoju po lewej. Po lewej, rozumiesz? To ten z otwartymi drzwiami. Po lewej.

W tym momencie przed domem rozległ się ryk silnika, a przez niezastłonięte okno wpadło światło reflektorów.

– Dimity, zanim otworzysz drzwi, każ im wrzucić legitymacje przez otwór na listy. Idź już! – syknął Zach, a potem popchnął Rozafę w kierunku schodów. Romka wspięła się po nich cicho, a Zach ruszył za nią. Zamknęli się w sypialni i przykucnęli za drzwiami, usiłując oddychać jak najciszej i nasłuchując jakichkolwiek hałasów.

Ktoś zapukał do drzwi, a Dimity odpowiedziała po dłuższej chwili. Przez podłogę docierały do nich tylko stłumione odgłosy rozmowy i Zach nie rozumiał, o czym jest mowa. Oddech Rozafy stał się głęboki i spokojny. Zastanawiał się, czy zasnęła – czy przestała walczyć

z wycieńczeniem i zrzekła się wszelkiej kontroli nad swoim losem. Niedługo później na zewnątrz znów warknął silnik, a potem zapadła cisza.

Powietrze w pokoju przesyciły osobliwe zapachy – Zach czuł w nim pleśń i rośliny, papier i nieprane ubrania, nieświeże jedzenie, wodę, sól, sadzę, amoniak i inną mocną, chemiczną woń, którą rozpoznał natychmiast. Nie rozumiał tylko, skąd miałyby się wziąć taki zapach w domu Dimity. Ogarnęła go niecierpliwość, ale wiedział, że na wszelki wypadek nie powinni schodzić na dół, dopóki Dimity po nich nie przyjdzie. Wyjął telefon i zobaczył, że tu, na piętrze, ma jedną kreskę zasięgu. Nie było żadnych nieodebranych połączeń ani wiadomości od Hannah. Zdusił w sobie chęć, żeby do niej zadzwonić, wolał się upewnić, że nic im nie grozi. Cisza przedłużała się. Zach czekał, a czekając, zdał sobie sprawę z podmuchu zimnego nocnego powietrza na policzku. Odwrócił się ze zdumieniem, szukając źródła przeciągu. Niebo za małym okienkiem było plamą nieco bledszej czerni; widział dziurę w szybie, przez którą wpadał wiatr. To pod tym oknem stał na zewnątrz, to tu ktoś uchylił zasłonę. Dimity powiedziała: pokój po lewej. Ale pierwsza szła Rozafa, która nie mogła zrozumieć jej polecenia. Zacha przebiegł zimny dreszcz. Byli w pokoju po prawej. W pokoju, z którego podczas jego wizyt u Dimity często dobiegały ciche, niezidentyfikowane odgłosy.

Nie ruszając się z miejsca, Zach wyteżył wzrok, żeby się rozejrzeć. Rogi sypialni spowijał cień, ale na tle nieoświetlonych ścian widział liczne ciemne przedmioty. Kształtem nie przypominały mebli, więc nie rozumiał, czemu służą. Próbował oddychać spokojnie, jakby w pokoju było coś, co mógłby wyrwać ze snu nawet najmniejszy hałas. Czuł na sobie czyjś wzrok; zdawało mu się, że oprócz Rozafy i jej syna w pokoju jest jeszcze inna istota obdarzona świadomością. Zdawało mu się, że słyszy, jak oddycha, że słyszy jej powolny, wilgotny wydech. Poczul przyływ irracjonalnej paniki. Chciał włączyć światło i zrozumieć, co się dzieje, uciec z tego pokoju, od jego tajemnic i zimnego, niespokojnego powietrza. Podskoczył ze strachu, kiedy ciszę przerwał sygnał telefonu. Wiadomość od Hannah. Blask ekranu sprawił, że przestał widzieć w ciemności. „Pojechali. Idziemy do was”. Rozafa powiedziała coś

cienkim, napiętym głosem.

– Wszystko dobrze – szepnął. – Idą tu po was.

Kobieta milczała, a Zach zorientował się, że ona nie wie przecież, o co mu chodzi. Jej oczy lśniły nad kośćmi policzkowymi w słabym świetle telefonu. Przez chwilę patrzyła na niego sfrustrowana, a potem przeszła na francuski.

– *Parlez-vous français?*

Miała dziwny akcent, ale ku swojemu zaskoczeniu Zach ją zrozumiał. Spróbował przywołać z pamięci słówka, których uczył się jeszcze w szkole.

– *Hannah et Ilir... sont ici bientôt. Tout est bien.*

„Wszystko dobrze”. Ta odpowiedź przyniosła Rozafie wyraźną ulgę. Oparła się znów o ścianę, ścisnęła go za ramię, a potem zamknęła oczy.

– *Merci* – powiedziała tak cicho, że z trudem ją usłyszał.

Zach skinął głową i żałował, że nie potrafi zapytać, czy z Bekimem wszystko w porządku, czy może jakoś pomóc nieruchomemu chłopczykowi o ziemistej cerze.

Podniósł się sztywno, zadowolony, że Rozafa nie zauważyła jego niepokoju. Z zaciśniętymi zębami wyciągnął rękę, po omacku szukając na ścianie włącznika światła. Tynk był miękki i lekko wilgotny. Na palcach został mu mialki pył. Nie znalazł włącznika, ale – choć nie był z tego dumny – nie odważył się odejść od Rozafy, żeby kontynuować poszukiwania. Nagle poczuł muśnięcie na szyi i wrzasnął głośno. Rozafa natychmiast zerwała się na nogi, odpowiadając mu przestraszonym okrzykiem, a Zach usiłował znaleźć to, co otarło mu się o szyję. To był włącznik światła – drewniany koralik na końcu sznurka. Pociągnął go gwałtownie, a nad ich głowami rozbłysła pojedyncza żarówka, dając światło tak jasne, że na moment ich oślepiło. Mrużąc załzawione oczy, Zach rozejrzał się po pokoju. Widok przed nim stopniowo nabierał ostrości. Nagle Zach uświadomił sobie, czym były te liczne ciemne kształty. Otworzył usta ze zdumienia i niedowierzania, nie wiedząc, co o tym myśleć.

Kiedy zatrzymali się przed szpitalem w Dorchester, Dimity z trudem wydostała się z samochodu, wciąż tuląc Élodie w zdrętwiałych

ramionach, które zdawały się należeć do kogoś innego. Szpital znajdował się w wysokim, zwieńczonym blankami budynku ze ścianami i wieżyczkami z czerwonej cegły, który powstał na początku minionego wieku i był wyższy nawet od iglicy kościoła w Blacknowle. Dimity czuła nad sobą jego bryłę, kiedy usiłowała nadążyć za Charlesem. Miała wrażenie, że obserwuje ją przez niezliczone okna i widzi dokładnie, co przed sobą niesie. Widzi, co robiła. Potknęła się. Nogi ugięły się pod nią i przez chwilę myślała, że się przewróci. Uszły z niej resztki sił; jej kości obróciły się w piach i rozsypały na wietrze. „Co zrobiła”. Delphine przystanęła obok, przytrzymała ją.

– Pośpiesz się, Mity! No chodź! – w jej rozgorączkowanym głosie Dimity usłyszała resztki niebezpiecznej nadziei. „Ale nie ma już żadnej nadziei” – miała ochotę wykrzyczeć te słowa na całe gardło, żeby móc wypuścić z rąk to, co w nich niosła. Małe, martwe ciało. Ich kroki odbijały się echem po szpitalnym korytarzu, na którym oślepiło ich światło setek żarówek. Krzyk Charlesa niósł się po budynku, kiedy wzywał pomocy. A potem silne ręce w białych rękawach uwolniły Dimity od jej brzemienia, a ona osunęła się z ulgą na kolana.

Została sama. Czekała. Jakiś czas klęczała w korytarzu, oszołomiona nagłą ciszą po tym, jak ludzie o posępnych twarzach zabrali ze sobą zarówno zdrowych, jak i chorych Aubreyów. Mogła pójść za nimi, ale nie miała siły się ruszyć. Potem powoli podniosła się i dalej czekała, usiłując nie myśleć o niczym. Dźwięczało jej w uszach, jakby ktoś uderzył w dzwon. Wciąż słyszała ten ogłuszający, ogłupiający dźwięk. Czuła na sobie potworny ciężar, pod którym się ugiwała. Ciężar czegoś nieodwracalnego, czego nie dało się już cofnąć. Później pozwoliła zaprowadzić się na długi, pusty korytarz, gdzie wzdłuż jednej ze ścian stały drewniane ławy. Człowiek, który ją tam zabrał, był anonimowy, bezimienny. Musiał należeć do zupełnie innego gatunku, który wydał jej się całkowicie nieznany. Ktoś postawił obok niej filiżankę herbaty, ale Dimity nie miała pojęcia, co z nią zrobić. Usiadła i wbiła wzrok w ścianę przed sobą. Mijały dni, tygodnie, miesiące; a może upłynęła tylko chwila między jednym ciężkim uderzeniem serca a następnym – nie umiała już tego rozpoznać. Na dworze zapadła noc, a korytarz był słabo oświetlony. Od czasu do czasu Dimity słyszała echo.

Echo kroków, cichego pochrapywania, bełkotliwych krzyków, dobiegających z daleka. Bezcielesne dźwięki, które płynęły korytarzem jak duchy. Na butach miała zaschnięte gęste błoto, które kruszyło się na podłogę. Gęste błoto z rowu, w którym rósł szalej. Żałowała, że nie może przestać istnieć; stać się jeszcze jednym duchem, który snuje się korytarzem, zagubiony i samotny.

Kiedy zza drzwi wyłonił się Charles, za oknem było już jasno. Wyszedł na korytarz zgarbiony, ze spuszczoną głową. Poruszał się jak lunatyk, otępiały i niczego nieświadomy. Kiedy zobaczył Dimity, stanął przed nią bez słowa.

– Charlesie? – powiedziała.

Zamrugnął i spojrzał na nią, a potem usiadł obok. Miał szarą cerę i fioletowe cienie pod oczami. Usiłował coś z siebie wydusić, ale miał ściśnięte gardło. Odchrząknął i spróbował jeszcze raz.

– Celeste – zaczął. To imię zabrzmiało jak wyrzut, jak błaganie. – Mówią, że Celeste z tego wyjdzie. Podali jej coś... Luminol, na ataki. Dają jej leki przez rurkę prosto do żył. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ale Élodie... moja mała Élodie. – Zaniósł się szlochem. – Zabrali ją. Była za słaba. Nic się nie dało zrobić.

Dimity zrozumiała, że to nie były jego słowa. Usłyszał je od kogoś, a teraz powtarzał, bo zabrakło mu własnych na określenie tego, co się stało.

– Wiedziałam, że nie żyje – powiedziała Dimity bez tchu. Czuła w piersiach bolesny ucisk, coraz mocniejszy. – Wiedziałam, że nie żyje, kiedy ją niosłam. Wiedziałam. Wiedziałam! – krzyknęła.

Charles odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć nierozumiejącym wzrokiem. Zdała sobie sprawę, że nawet jej nie widzi. „Jestem duchem, echem. Dobrze, niech tak będzie”. Chciała go dotknąć, ale wtedy znów stałaby się ciałem i to wszystko okazałoby się prawdą. Siedzieli w milczeniu przez jakiś czas. Potem Charles wstał i wrócił przez te same drzwi, a Dimity poszła za nim, prowadzona na niewidzialnym łańcuchu, który oplatał jej serce.

Za drzwiami znajdował się kolejny korytarz, tym razem krótszy, zakończony wysokimi białymi drzwiami. Uderzył ją smród środków odkażających, silniejszy niż fetor kociego moczu, ale nawet to nie

zdołało zamaskować zapachu choroby i śmierci. Po Élodie nie został żaden ślad. Zniknęła, jakby nigdy jej nie było. Dimity pokręciła głową, nie mogąc w to uwierzyć. Celeste leżała z niedomkniętymi ustami, wsparta na jednej poduszce. Jej twarz otaczały tłuste, czarne włosy. Nad nią zwisała konstrukcja przypominająca pajęczą sieć, z ręki wystawała jej igła i rurka, a po przedramieniu rozlewał się siniak. Wargi miała białe, oczy zamknięte. Wyglądała na martwą. Dimity przyszło na myśl, że nikt nie zauważył jej śmierci, dopóki nie zobaczyła płytkich ruchów klatki piersiowej Celeste. Wpatrywała się w nią długo i uważnie; tak uważnie, że zobaczyła migotanie pulsu pod cienką skórą jej szyi.

– Będą konsekwencje – powiedział Charles, a jego słowa poraziły Dimity jak wstrząs elektryczny.

Spojrzała na niego, ale on patrzył na Celeste. Głos mu się łamał.

– Lekarz mówi, że... może już nie być tą samą osobą. Szaleje wywołuje skutki uboczne. Nie będzie... wszystkiego pamiętać, zapomni kilka ostatnich dni. Będzie oszołomiona. Będzie mieć drgawki. Zanim to ustąpi, upłynie wiele czasu i może już nigdy... – przerwał, żeby przełknąć ślinę – może już nigdy nie wrócić do siebie. Może już nigdy nie być taka jak dawniej. Nie być moją Celeste.

Po drugiej stronie łóżka siedziała drobna, żalosna postać, skulona i zapadnięta w siebie, jakby próbowała nie istnieć. Szło jej tak dobrze, że Dimity dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę z jej obecności. Delphine. Płakała nieprzerwanie, chociaż prawie straciła głos, a oczy miała suche i puste, jakby zabrakło jej łez. Mimo to trzęsła się i dygotała prawie tak mocno, jak jej matka przed przyjazdem do szpitala, i wydawała z siebie przeraźliwe dźwięki, jak królik, który skowyczy we wnykach – tylko ciszej, cichutko. Jakby udawała, że jej nie ma. Dimity wbiła w nią wzrok, a po jakimś czasie Delphine podniosła na nią czerwone, przekrwione oczy, tak spuchnięte, że niemal niewidoczne. Oprócz żałoby, w tych oczach kryło się coś jeszcze, co zapało Dimity dech w piersiach. Nie mogła znieść tego widoku, więc odwróciła się i odeszła o kilka kroków. Oparła się o ścianę i osunęła na ziemię. Nikt nie zwrócił na to uwagi, nikogo to nie zdziwiło. Włożyła palce do ust i przygryzła je tak mocno, aż zaczęły krwawić, ale nic nie czuła. W oczach Delphine zobaczyła poczucie winy. Bezdenne, rozdzierające,

trujące poczucie winy.

Jakiś czas później Dimity siedziała znów na ławce w korytarzu. Nie wiedziała, jak się tam znalazła. Obudziły ją głosy – głosy mężczyzn, którzy kłócili się cicho przed drzwiami do sal pacjentów. Przetarła oczy i spróbowała się skupić. Charles Aubrey rozmawiał z kimś wysokim, szczupłym i siwym. Rozpoznała go – to był doktor Marsh, jeden z lekarzy regularnie odwiedzających Blacknowle, żeby leczyć pacjentów, którym nie mogły pomóc mikstury Valentyny.

– Musimy to zgłosić, panie Aubrey. Nie da się tego uniknąć – przekonywał lekarz.

– Może pan napisać prawdę, nie pisząc całej prawdy. Musi pan tak zrobić. Moja córka... moja córka ledwo żyje z rozpacz. Jeśli jako przyczynę śmierci poda pan zatrucie, konieczne będzie dochodzenie, mam rację?

– Tak.

– W takim razie, na litość boską, proszę podać inną przyczynę! To się będzie za nią ciągnąć do końca jej dni. Jeśli pan to upubliczni... jeśli cały świat dowie się, co zrobiła, a przecież zrobiła to niechcący... to zniszczy jej życie. Rozumie pan? To zniszczy jej życie!

– Panie Aubrey, rozumiem pańskie obawy, ale...

– Nie! Żadnego ale! Panie doktorze, błagam, proszę wpisać jako przyczynę śmierci zaburzenia gastryczne. Pana to nic nie kosztuje, ale jeśli pan tego nie zrobi, Delphine może to kosztować bardzo wiele. Proszę. – Charles chwycił lekarza za ramię i spojrzał mu w oczy. Na twarzy wypisaną miał rozpacz. Lekarz zawahał się. – Proszę. Dostyc już wycierpieliśmy. A czeka nas jeszcze mnóstwo cierpień.

– No dobrze – lekarz pokręcił głową i westchnął.

– Dziękuję. Dziękuję, doktorze Marsh. – Charles puścił ramię mężczyzny i osłonił dłonią oczy.

– Ale powinien pan wiedzieć, że... zeszłej nocy byłem w Blacknowle u pani Crawford w sprawie jej wrzodu. Później wypilem piwo w pubie, a ludzie pytali mnie o was...

– Co im pan powiedział? – zapytał Charles z niepokojem.

– Powiedziałem, że wygląda mi to na zatrucie. Że mogły zjeść przed przypadek jakąś trującą roślinę. Proszę mi wybaczyć. Byłem tak

wstrząśnięty tymi wydarzeniami, że pozwoliłem sobie na zbyt wiele. Zrobię to, o co pan prosi, ale powinien pan być przygotowany na to, że... po wsi będą krążyły plotki.

– Nie musimy się przejmować plotkami. I wyjedziemy z Blacknowle, jak tylko stan Celeste na to pozwoli. Wtedy będą mogli plotkować do woli, nam będzie już wszystko jedno.

– Tak pewnie będzie najlepiej – zgodził się lekarz. – Proszę przyjąć najszczęśliwsze wyrazy współczucia – powiedział, ściskając dłoń Charlesa, a potem odwrócił się i odszedł.

Charles zachwiał się, jakby ostatnie słowa lekarza przypomniały mu, co się stało. Wyglądał, jakby miał upaść, więc Dimity instynktownie rzuciła się w jego kierunku. Kiedy do niego dobiegła, pod Charlesem ugięły się nogi i przewrócił się, młócąc powietrze rękami, jakby spadał z ogromnej wysokości. Dimity z przyjemnością pozwoliła, żeby pociągnął ją za sobą na ziemię. Uklękła i objęła go ramionami, nuczając mu cicho do ucha, kiedy szlochał. Głaskała go po głowie, czując, jak jego łzy moczą jej ubranie, i pozwoliła, żeby miłość rozświetliła ją jak słońce horyzont. Miała nadzieję, że ona wystarczy, żeby ją uratować.

Gdyby ktoś ją pytał, a ktoś na pewno zapyta, miała odpowiadać: „grypa żołądkowa”. Charles przypomniawszy jej o tym dwa dni później, kiedy jego łzy zastąpił przerażający, niewzruszony spokój, który kojarzył się ze stanem katatonii albo hipnozy. Poruszał się jak ogłuszony, a Dimity nie czuła się bezpiecznie w samochodzie, gdy odwoził ją na szczyt ścieżki do Strażnicy. Skinęła głową i zrobiła, co jej kazał, chociaż jedyną osobą, która ją o cokolwiek zapytała, była Valentina. Słyszając odpowiedź, przyjrzała się córce dokładnie i zajrzała jej głęboko w oczy. Wiedziała, że to kłamstwo. Dzięki swojej sile woli i uległości, jaką wpoila Dimity, wydobyła z niej prawdziwą przyczynę śmierci, a potem przekrzywiła głowę, rozważając tę informację.

– O ile wiem, szalej nie rośnie nigdzie w promieniu pięciu kilometrów od wioski. Nie w tak suche lato. Poza tym farmerzy ścinają go i palą, gdy tylko się na niego natkną. Zastanawiam się, skąd ta dziewczyna go wzięła? Co? Czyżbyś wiedziała coś na ten temat? – Zarechotała nieprzyjemnie, a Dimity cofnęła się ze strachu, kręcąc głową. Nie powiedziała nic więcej, ale nie musiała. Valentina umiała

czasem czytać w myślach córki, a jej złośliwy uśmieszek i mimowolny szacunek były dla Dimity gorzkie jak żółć.

Trzeciego dnia Dimity zobaczyła niebieski samochód, zjeżdżający ostrożnie podjazdem do Littlecombe, jakby wioził coś cennego i niezwykle kruchego. Ruszyła za nim w krótkiej, niewesołej procesji.

Charles zaprowadził Celeste do domu. Jedną ręką obejmował ją w talii, a drugą trzymał wyciągniętą przed sobą, jakby chciał przepędzić każdego, kto stanie mu na drodze. Promienie wrześniego słońca ukazały przemianę, jaka dokonała się na twarzy Celeste. Miała poszarzałą cerę i wymizerowane, zapadnięte policzki. Jej oczy nabrały nieobecnego, udręczonego wyrazu i nieustannie trzęsły jej się ręce – czasem był to tylko delikatny dreszcz, a czasem gwałtowne spazmy, jak u dziadka Wilfa Coulsona, który cierpiał na płasawicę. Dimity została z tyłu, kiedy minęli ją w drodze do domu. Delphine szła za nimi ze wzrokiem wbitym w ziemię. Była blada i z jakiegoś powodu wydawała się starsza. Wyglądała, jakby już nigdy miała się nie uśmiechnąć. Dimity patrzyła na tę scenę i nie wierzyła, że od teraz tak będzie zawsze. Nie mogła niczego naprawić ani zmienić. Zrozumiała, że to, co było kiedyś, już nie wróci. Na tę myśl skręciło ją w brzuchu i przez chwilę bała się, że straci kontrolę nad pęcherzem. Coś usiłowało się z niej wydostać, ale czuła, że jeśli temu czemuś się uda, to ją zabije. Dlatego walczyła z tym; weszła za nimi do domu i czekała. Patrzyła.

Nikt się do niej nie odezwał. W ogóle nikt się nie odzywał. Zdawali się jej nie zauważać, dopóki nie postawiła przed Celeste filiżanki herbaty, ściągając na siebie beznamiętne, martwe spojrzenie niebieskozielonych oczu.

– Znam cię – powiedziała, marszcząc lekko brwi. – Jesteś kukułką... kukułczym jajem... – Przesunęła dłonią po policzku Dimity, a chociaż jej słowa zmroziły dziewczynie krew w żyłach, Celeste nieoczekiwanie uśmiechnęła się przelotnie. Potem zaczęła wodzić po pokoju rozbieranym wzrokiem, jakby nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest i co tu robi. Jej ręce zadrżały, ramiona opadły. Dimity przełknęła ślinę i obejrzała się za siebie. Zobaczyła tam Charlesa, który odciągnął ją na bok.

– Powiedziałem jej o Élodie, ale nie wiem... – urwał, a na jego

twarzy pojawił się grymas cierpienia. – Nie wiem, czy to zrozumiała. Chyba będę musiał powiedzieć jej jeszcze raz. – W jego głosie słychać było, jak bardzo przeraża go ta perspektywa.

Za jego plecami lśniły oczy Delphine, jedyne jasne punkciki w pokoju; szkliste i błyszczące jak polerowane kamienie.

Charles przykucnął, żeby porozmawiać z Celeste. Zamknął jedną z jej bezwładnych dłoni w swoich, tym gestem zdradzając, jak bardzo sam potrzebuje pocieszenia. Dimity zobaczyła to i zapragnęła go przytulić. W ciszy, nim się odezwał, Dimity i Delphine stały nieruchomo jak kamienne posągi.

– Celeste, kochanie. – Uniósł jej dłoń i przycisnął sobie do ust, jakby chciał zatrzymać kolejne słowa. – Pamiętasz, co ci powiedziałem wczoraj w nocy?

– Wczoraj w nocy? – szepnęła Celeste. Na jej ustach pojawił się cień przeproszającego uśmiechu, gdy kręciła głową. – Powiedziałeś mi... że niedługo będę zdrowa.

– Tak. Ale powiedziałem też... powiedziałem też coś o Élodie. Przypominasz sobie? – zadrżał mu głos, a uśmiech Celeste zgasł. Przebiegła oczami po pokoju.

– Élodie? Nie, nic nie... gdzie ona jest? Gdzie jest Élodie? – dopytywała.

– Straciliśmy ją, kochanie. – Kiedy to powiedział, Celeste wbiła w niego przerażone spojrzenie.

– O czym ty mówisz? *Où est ma petite fille?* Élodie! – zawołała nagle, wychylając się ponad głowę Charlesa. Zacisnął ręce na dłoni Celeste tak mocno, że zbieleły mu kostki. Dimity zdawało się, że zmiażdży jej kości.

– Straciliśmy ją, Celeste. Ty i Élodie... czymś się zatruliście. Obie. Straciliśmy Élodie, kochana. Ona nie żyje – powiedział Charles, a po jego twarzy pociekły łzy.

Widząc to, Celeste zamarła. Przestała rozglądać się za Élodie, przestała kręcić przecząco głową. Patrzyła, jak Charles płacze, i na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia; przesłonił ją cień straty tak ogromnej, że aż nie do zniesienia.

– Nie – wyszeptała.

Dimity usłyszała za sobą jęk Delphine. Dziewczynka patrzyła na matkę tak przejmująco i czule, jakby chciała otworzyć przed nią całe serce.

– Straciliśmy ją – powtórzył Charles, zwieszając pokornie głowę, jakby był gotów przyjąć każdą karę, jaką wymierzy Celeste.

– Nie, nie, nie! – krzyknęła Celeste, a jej słowa zamieniły się w ryk, który mroził powietrze. Delphine podbiegła do matki ze szlochom i przylgnęła do niej, oplatając ją ramionami, ale Celeste walczyła z nią, uwolniła się z jej objęć i próbowała ją odepchnąć. – Zostaw mnie! Puść mnie! – wołała.

– Mamusiu! – zawodziła błagalnie Delphine. – Ja nie chciałam. – Ale Celeste resztkami sił odtrąciła ją tak mocno, że Delphine spadła z kanapy na podłogę.

Celeste usiadła, jakby chciała się podnieść, ale była zbyt słaba.

– Élodie! Élodie! – nawoływała nieustannie. W tym imieniu kryła się prośba, rozkaz, życzenie. Delphine mogła tylko przycupnąć na podłodze obok niej, obejmując dłońmi kolana; prawdziwy obraz nędzy i rozpacz. Charles siedział nieruchomo. Nic nie mówił; nie mógł nic więcej powiedzieć. Dimity poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg; spadała tak szybko, że nie miała czasu myśleć ani zawołać o pomoc, a u jej stóp na podłodze rosła kałuża moczu.

Pod koniec tygodnia, dzień po pogrzebie siostry, Delphine odesłano do szkoły. Odeszła cicho, bez słowa, jakby zrzekła się wszelkich praw do własnego zdania, jakby zrzekła się wolnej woli. Dimity stała obok, kiedy Charles pakował jej kufer na tylne siedzenie samochodu. Celeste wyłoniła się z Littlecombe i podeszła wolnym, ostrożnym krokiem. Od czasu zatrucia poruszała się tak, jakby nie ufała już swoim stopom. Miała na sobie luźną suknię, jeden ze swoich lekkich kaftanów, który teraz zwisał z niej. Zeszczuplała, choroba pozbawiła ją zmysłowych krągłości. Nie zadawała już sobie trudu, żeby przewiązać talię szarfą, ułożyć włosy albo dobrać do stroju biżuterię. Jej skóra nie odzyskała dawnego blasku; wokół oczu zawsze widniała czerwona obwódka. Ta istota wyglądała jak duch Celeste; jakby tamta kobieta umarła razem z Élodie. Stała nieruchomo, kiedy Delphine ucałowała ją w policzek i delikatnie objęła. Nie odwzajemniła czułości córki. Charles

przyglądał się tej okropnej scenie z rozpaczą.

– Do widzenia, Mitzy – powiedziała Delphine do Dimity, przyciskając zimny policzek do twarzy koleżanki. – Cieszę się... cieszę się, że tu jesteś. Że możesz się nimi opiekować. Chciałabym... – Ale nie dokończyła swojego życzenia. Przełknęła ślinę, a potem jej oczy ożywiła iskierka nadziei. – Przyjedziesz mnie odwiedzić? W mojej szkole? Chyba nie zniosłabym myśli, że nikt mnie nie odwiedzi – mówiła gorączkowo piskliwym głosem. – Przyjedziesz? Mogę ci przesłać pieniądze na pociąg. – Jej palce wpiły się w ramię Dimity.

– Ja... postaram się – zapewniła ją Dimity.

Trudno jej było rozmawiać z Delphine, trudno jej było nawet na nią patrzeć. W takich momentach miała wrażenie, jakby jej ciało i umysł należały do dwóch różnych osób.

– Och, dziękuję! Dziękuję – wyszeptała Delphine, mocno ją przytulając. Potem wsiadła do samochodu, zgarbiona, ze spuszczonej oczami. „Celeste nie może wybaczyć Delphine tego, co się stało”, wyjaśnił Dimity Charles, kiedy Celeste zasnęła. „Wie, że nie zrobiła tego celowo, ale mimo wszystko nie umie jej wybaczyć. Widzisz, Élodie była tą młodszą, pod pewnymi względami wciąż pozostawała małą dziewczynką. W dodatku były do siebie takie podobne. Moja mała Élodie”. Dimity zrobiła mu na kolację placek, a on zdawał się nie zauważać, że zawsze była przy nim, chociaż nie miała do tego prawa.

W nocy Dimity dręczyły mroczne sny. Każdego ranka podrywała się i siedziała nieruchomo na łóżku, czekając, aż się rozwieją. Ale jawa, rzeczywistość, była gorsza niż jej koszmary, a od niej nie było ucieczki. Codziennie, zanim wstała, wyrzucała z głowy wszystkie myśli, bo inaczej nie mogłaby oddychać, a co dopiero chodzić, mówić, gotować albo dbać o Charlesa. Śniły jej się bezkresne czarne oczy i smród wymiocin. Śniły jej się serca wyrwane z piersi i ciskane na podłogę; widziała, jak krew sączy się z nich na deski. Śniła jej się Élodie, która wraca z zaświatów, staje w Strażnicy i mierzając w nią palcem, krzyczy: „Ty, ty, ty!”. Śniły jej się ich załamane twarze i cicha rozpacz Delphine. Śniło jej się, jak każde z nich traci jakąś część siebie. Nawet Charles. Wszystko poszło nie tak. Dzień wcześniej prawie mu to wykrzyczała, po tym jak przez pół godziny przeglądał przy niej portrety swoich córek

z udręką wypisaną na twarzy. „Wszystko poszło nie tak”. Chciała oddać mu wolność – żeby mógł kochać Dimity, być razem z nią i zabrać ją stąd. Tymczasem Charles tkwił w pułapce głębiej niż kiedykolwiek. Dimity musiała wyrzucać z głowy wszystkie myśli, żeby nie wykrzyzczyć tych słów. Tej prawdy. Musiała mieć pustkę w głowie, żeby nie spaść na dno przepaści, która ją pochłaniała, i nie roztrzaskać się jak szkło.

Nadeszła ciepła jesień, niosąc ze sobą suchy wiatr, który strząsał i rozsiewał maleńkie czarne nasiona dmuchawców wśród złotych zbóż i wyschniętych traw. Przed sklepem i pubem krążyły pogłoski o wojnie, o burzowych chmurach, zbierających się na wschodzie, o Polsce, o nadciągających problemach – ale Dimity nie zwracała na to uwagi. To nie miało najmniejszego znaczenia, nie w Blacknowle. Sprawy tego rodzaju nie mogły wpłynąć na wieś na obrzeżach świata, wielkiego, odległego świata, który Charles obiecał jej pokazać. Mówiła sobie, że teraz musi tylko czekać. Musi wytrzymać jeszcze trochę, bo wkrótce zacznie się jej prawdziwe życie, a ten stan zawieszenia dobiegnie końca.

Któregoś dnia zastała Celeste na leżaku w ogrodzie. Marokanka leżała z nieelegancko rozstawionymi nogami, jakby ktoś ją tam rzucił i nie pofatygował się, żeby poprawić jej pozę. Słońce było zbyt słabe, żeby ją ogrzać albo rozświetlić. Włosy miała czyste i wyszczotkowane, ale mimo to wyglądała na półżywą. Ściągną biegnące w jej szyi tworzyły pod skórą głębokie bruzdy. Sprawiała wrażenie bezbronnej, obnażonej. Łatwo było uznać, że nie wie, co się dzieje, że można ją ignorować. Dimity obeszła dom, ale nie znalazła w nim Charlesa. Kiedy zbierała się do odejścia, Celeste chwyciła ją za rękę z zaskakującą siłą.

– Ty. Mitzy Hatcher. Myślisz, że straciłam pamięć, i to prawda, niektóre rzeczy zatarły się bezpowrotnie. Ale nie wszystkie. Kiedy cię widzę, czuję w żołądku ścisk niczym ostrzeżenie. Jakbym stała gdzieś wysoko i patrzyła w dół, czując, że się zsuwam. Zagrożenie... z tym właśnie mi się kojarzysz. Czuję, że przy tobie coś mi grozi. – Wciąż ścisnęła rękę Dimity i ani na chwilę nie spuszczała z niej oczu. Dimity próbowała się uwolnić, ale nie mogła. Celeste trzymała ją w żelaznym uścisku; jej dłoń była chłodna i silna. – To byłaś ty, prawda? – zapytała, a Dimity przeszył lodowaty dreszcz; nagły, porażający spazm strachu.

– Co? Nie, ja...

– Tak! To twoja wina! Widziałam, jak patrzysz na Delphine dręczoną wyrzutami sumienia. Milczałaś. Widziałam, jak pozwalasz jej wziąć na siebie całą winę. Ale gdyby nie ty, nie poszłaby zbierać dzikich roślin. Gdyby nie ty, nigdy nie wpadłaby na taki pomysł. A gdybyś nie zdradziła moich dziewczynek, gdybyś nie uganiała się za ich ojcem, nie musiałyby iść po nie sama, nie zerwałyby trujących ziół. To ona popełniła ten błąd, ale popełniła go przez ciebie. Nie myśl, że możesz żyć dalej, nie dzieląc z nią tego ciężaru. Musisz go z nią dzielić! – Odepchnęła od siebie dłoń Dimity, a dziewczyna poczuła, że po twarzy płyną jej łzy. To były łzy ulgi, ale Celeste źle zrozumiała jej reakcję i wydawała się dziwnie zadowolona. – O, proszę. Tak lepiej. Jeszcze nie widziałam, żebyś płakała po Élodie, teraz przynajmniej widzę, że płaczesz, nawet jeśli płaczesz nad sobą.

– Nigdy nie zamierzałam skrzywdzić Élodie – zapewniła ją Dimity. – Nie chciałam, żeby do tego doszło!

– Ale doszło. Moje dziecko nie żyje. Moja mała Élodie już do mnie nie wróci... – głos odmówił jej posłuszeństwa i przez dłuższą chwilę słychać było tylko jej urywany oddech i odległy szum morza. – Jak ja żałuję... – zaczęła cicho po kilku minutach. – Żałuję, że kiedykolwiek przyjechaliśmy w to miejsce. Jak ja tego żałuję. Pomóż mi wstać.

Dimity posłuchała. Wzięła Celeste pod ramię, kiedy kobieta podniosła się z leżaka, wyprowadziła ją z ogrodu i ruszyła z nią przez łąki w kierunku morza.

– Zabierz mnie na skraj klifu. Chcę zobaczyć ocean – powiedziała Celeste, a Dimity spełniła jej prośbę.

Marokanka szła teraz miarowym krokiem, a drgawki, które wstrząsały jej ciałem, były znacznie rzadsze i delikatniejsze. Dimity szybko zorientowała się, że Celeste wcale nie potrzebuje jej pomocy, ale kobieta i tak wczepiła się mocno w jej ramię. Patrzyła prosto przed siebie zdecydowanym wzrokiem.

Dimity ogarnął niejasny niepokój. Poczowała zagrożenie, tak jak to określiła Celeste. Jakiś instynkt sprawił, że włoski na karku stanęły jej dęba. Zbliżały się do krawędzi klifu. Dimity przystanęła na ścieżce w miejscu, z którego widać było plażę, rozciągającą się jakies dwadzieścia metrów niżej, ale Celeste warknęła gniewnie:

– Nie! Bliżej. Chcę spojrzeć w dół.

Szły więc dalej, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy palce ich stóp znajdowały się o kilka centymetrów od urwiska. Dimity miała tak ściśnięte gardło, że nie mogła nawet przełknąć śliny.

Stały obok siebie i patrzyły w dół, na plażę, gdzie pływała i wypoczywała garstka urlopowiczów. Ich dzieci bawiły się wesoło. Celeste wskazała palcem ciemnowłosą dziewczynkę, która kopała w piasku niedaleko linii wody.

– O! Spójrz! Och, dlaczego to nie może być ona? Dlaczego to nie moja Élodie, cała i zdrowa, bawi się tam w piasku? – Wzięła długi, drżący oddech, a potem jęknęła cicho. – Ileż bym za to dała... Och, czy nie łatwiej byłoby po prostu rzucić się w dół, Mitzy? – zapytała. – Czy nie łatwiej byłoby przestać żyć? – Dimity próbowała się cofnąć, ale Celeste na to nie pozwoliła.

– Nie, Celeste.

– Nie myślisz tak? Więc nie czujesz się w żadnej mierze winna temu, co się stało? Chcesz spokojnie żyć dalej, chociaż jej już nie ma? Według mnie łatwiej byłoby rzucić się w dół, spaść i odejść razem z nią. Znacznie łatwiej. – Wpatrywała się w małą dziewczynkę w oddali z porażającą intensywnością; wargi miała rozchylone, a jej skóra nabrała niezdrowego połysku.

– Celeste, odejdz od krawędzi! Masz przecież drugą córkę! Co z Delphine?

– Delphine? – Celeste mrugnęła, przenosząc wzrok na Dimity. – Jest wciąż moją córką, ale jak mogłabym ją kochać jak wcześniej? To niemożliwe. Nie chciała wyrządzić nikomu krzywdy, ale wyrządziła. Ogromną krzywdę. I nigdy mnie nie potrzebowała, nie tak jak Élodie. Zawsze bardziej kochała Charlesa.

– Kocha i ciebie – powiedziała Dimity, a potem wydała stłumiony okrzyk, bo coś rozproszyło pustkę w jej głowie, jak zwykle, kiedy myślała o Delphine. Coś tak bolesnego, że zachwiała się, przechylając się niebezpiecznie nad urwiskiem. Celeste zobaczyła zmianę, jaka w niej zaszła, i przez chwilę wyglądała tak, jakby miała się uśmiechnąć.

– Teraz rozumiesz, prawda? O ile to byłoby łatwiejsze.

I przez sekundę Dimity to rozumiała. Zobaczyła przed sobą długie

lata życia i poczuła, że ta pustka będzie jej towarzyszyć aż do końca, ból nigdy jej nie opuści. Nie mogła niczego naprawić. Jej sny już na zawsze miały pozostać mroczne; świat poza Blacknowle stał się tylko odległym, nieziszczalnym marzeniem. Pozostała jej wyłącznie pogarda Valentyny, nic więcej. Charles nie był wolny i to mogło się już nie zmienić. Ale uratowała ją właśnie myśl o nim. Poczowała, że pulsuje w jej krwi jak narkotyk, jak magia.

– Nie! Puść mnie! – Włożyła wszystkie swoje siły w to, żeby wyszarpnąć rękę z uścisku Celeste i potykając się, odeszła o kilka kroków i opadła na darń.

Siedziała tam i patrzyła. Celeste nadal stała na skraju klifu. Dimity wyrwała się jej tak gwałtownie, że kobieta zakołysała się, walcząc o utrzymanie równowagi. Wyciągnęła ramiona jak świeżo opierzone pisklę skrzydła. Skrzydła, które nie uratowałyby jej, gdyby spadła. Chwiała się, a palce jej stóp przechyliły się przez krawędź urwiska.

Gdy odwróciła się, żeby spojrzeć na Dimity, wiatr rozwiął jej włosy, unosząc je wokół jej twarzy jak ciemny, żałobny welon. „W takim razie odejdz, jeśli chcesz”, pomyślała Dimity. Nie ruszając się z miejsca, obserwowała Marokankę; czuła pod sobą kojącą twardość ziemi i wczepiła palce w trawę, trzymając się jej dla bezpieczeństwa. Wiatr obrócił Celeste, kusząc ją obietnicą lotu. Ale wtedy jej oczy spoczęły na Dimity. Spojrzała na nią zimno i cofnęła się. Dimity zdała sobie sprawę, że wstrzymywała oddech. Tym razem Celeste rzeczywiście się uśmiechnęła. Jej wargi rozciągnęły się lekko, bez śladu rozbawienia ani przyjemności.

– Masz rację, Mitzy. Mam drugą córkę. I mam Charlesa. A moje życie jeszcze się nie skończyło, chociaż czasem wołałabym, żeby tak było. Mimo wszystko trwam. I przetrwam. – Jej słowa były jak trzaśnięcie drzwiami. Dimity miała mętlik w głowie i w sercu; czuła się ospała i otępiała. – Może życzysz mi śmierci i dlatego kiedy na ciebie patrzę, czuję, że muszę się mieć na baczności. Ale wkrótce będzie mi to obojętne. Nie zostanę tu. To miejsce jest jak otwarty grób. – Stanęła nad Dimity, ale zdawała się jej nie widzieć. Złożyła dłonie, uniosła je do twarzy i zaciągnęła się głęboko. Był to dziwny, niespodziewany gest. – *Je veux l'air de désert, où le soleil peut allumer n'importe quelle*

ombre...

Powiedziała to tak cicho, że jej słowa niemal zginęły na wietrze. Tylko jedno słycać było wyraźnie. *Désert*. Pustynia.

Dimity długo nie podnosiła się z ziemi, a kiedy wreszcie wstała, Celeste była już w połowie drogi do domu. Wysoka, wyprostowana, samotna postać, poruszająca się bez jej pomocy.

Celeste dotrzymała słowa. Dwa dni później Dimity szła przez wieś, kiedy wpadł na nią Charles, wybiegający ze sklepu. Złapał ją za ramiona i potrząsnął nią, nim jeszcze się odezwał.

– Widziałaś ją?

– Co? Kogo?

– Nie bądź głupia, Celeste, a kogo innego! – Potrząsnął nią jeszcze raz. Dimity nie rozumiała jego miny, jego tonu. Były w nich gniew, strach, frustracja, pogarda. Wydawał się półprzytomny, roztargniony.

– Nie widziałam jej od poniedziałku! Przysięgam! – zawołała. Wypuścił ją raptownie z uścisku i przeczesał włosy palcami. Teraz często wykonywał ten gest, chociaż w poprzednich latach nigdy go nie widziała. – Wyjechała?

– Nie wiem... nie wiem, gdzie jest. W poniedziałek zachowywała się tak dziwnie... kiedy wróciłem z miasta, zachowywała się dziwnie. Stwierdziła, że musi natychmiast wyjechać. Tłumaczyłem jej, że powinniśmy poczekać kilka dni, aż nabierze więcej sił... Odpowiedziała, że nie może czekać. Więc powiedziałem... powiedziałem, że musi poczekać. A teraz wyjechała, a ja nie wiem dokąd i nigdzie nie mogę jej znaleźć! Nie mówiła ci? Nie mówiła, dokąd chce wyjechać?

Dimity pomyślała o Celeste na skraju klifu z rozpostartymi ramionami i włosami wirującymi wokół twarzy; o Celeste gotowej skoczyć, gotowej spaść. Pokręciła głową, obawiając się, że głos odmówi jej posłuszeństwa. „To miejsce jest jak otwarty grób”.

– Mitzy! Słyszysz, co do ciebie mówię?

– To miejsce jest jak otwarty grób.

To była prawda. Blackowle stało się domem śmierci. Mieszkała w domu śmierci.

– Co takiego?

– Tak powiedziała. Powiedziała: „To miejsce jest jak otwarty

grób”.

Charles zamarł.

– Ale... przecież ona nie może wrócić sama do Londynu! Gdzie się zatrzyma? Jak w ogóle udałoby jej się dostać na dworzec? Jest zbyt słaba... coś mogłoby się jej stać... Jeszcze nie wydobrzała. – Jego wargi były suche, spękane. Dimity widziała na nich strzępki stwardniałej skóry. Miała ochotę zetrzeć je palcami i scałować z jego ust wszystkie pytania. Przypomniała sobie Celeste, kiedy odchodziła z klifu bez jej pomocy, wolno, ale zdecydowanie. Była zdolna do samotnej podróży. Celeste była zdolna do wszystkiego. – Jesteś pewna, że nie powiedziała nic więcej? Nie wspominała, dokąd chce pojechać? Nie wymieniła żadnych imion ani nazwisk, jakichś przyjaciół w Londynie albo kogoś innego?

Dimity znów pokręciła głową. Zrozumiała jedno słowo. W końcu przyjdzie mu to do głowy, ale nie zamierzała go naprowadzać na właściwą odpowiedź. Dzięki temu Celeste będzie miała przewagę, szansę, żeby zniknąć. „Pustynia”.

Ciche słowo, wypowiedziane z tęsknotą. Pustynia.

„Pozwól jej odejść”, zaklinała Charlesa w duchu. „Pozwól jej odejść”.

Charles długo milczał, kiedy wolnym krokiem wracali do Littlecombe.

– Ona ma rację, prawda? – powiedział w końcu. – To miejsce wypełnia śmierć. Nie mogę... Nie mogę... – urwał, bo szloch ścisnął mu gardło. – To miejsce... jest teraz zupełnie inne – szepnął, jakby mówił do siebie. – Nie czujesz tego? Jakby wszystko, co dobre i słuszne, odeszło razem z nią, a zostały tylko zło i zepsucie. Tylko głęboka, porażająca samotność. Też to czujesz?

– Za każdym razem, kiedy wyjeżdżasz – odpowiedziała, ale Charles chyba jej nie usłyszał.

– Chyba... już nigdy tu nie wrócę. Po tym, co się dziś wydarzyło. Za dużo tu potwornych wspomnień...

– W takim razie wyjedziemy! Gdzie tylko chcesz... pojedę z tobą wszędzie, gdzie zapragniesz, i zaczniemy nowe życie. Zaczniemy od nowa, bez duchów, bez śmierci... – Dimity stanęła bliżej Charlesa, chwyciła go za dłoń i położyła ją sobie na sercu, spoglądając mu w oczy

z przejęciem, ale mężczyzna wyrwał rękę.

Patrzył na nią oczami rozszerzonymi gniewem.

– O czym ty mówisz? – zaśmiał się nagle, wydając brzydki, chrapliwy odgłos. – Nie bądź śmieszna. Nie rozumiesz? Wszystko skończone! Ja jestem skończony. Nie mogę rysować; od... od śmierci Élodie nie mogę spać ani myśleć. Wszystkie moje myśli są czarne i przerażające – pokręcił gwałtownie głową z wyrazem zagubienia na twarzy. – Tęsknię za nią. Tak bardzo za nią tęsknię. A teraz straciłem jeszcze Celeste. Moją Celeste.

– Ale... przecież ty mnie kochasz! Przecież w Fezie... uratowałeś mnie. Pocałowałeś mnie. Wiem, że mnie kochasz, tak jak ja Kocham cię! Wiem, że tak jest! – krzyknęła Dimity.

– Dosyć! Nie Kocham cię, Mitzy! Może jak przyjaciółkę, prawie jak córkę, kiedyś... ale to było dawno, teraz jest inaczej. Nie powinienem był cię całować. Przepraszam cię za to, ale musisz już o tym zapomnieć. Słyszysz?

Kiedy Dimity się odezwała, jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu. Słowa Charlesa dotknęły ją do żywego, a ich okrucieństwo zaparło jej dech w piersiach.

– O czym ty mówisz? – pokręciła głową. – Nie rozumiem.

– Na litość boską, dziewczyno, rozum ci odebrało? Wybij to sobie wreszcie z głowy! Czy ty potrafisz myśleć o kimkolwiek poza sobą, Mitzy?

– Myślę tylko o tobie – odpowiedziała głucho. Zdała sobie sprawę, że na świecie istniał wyłącznie on. Był jedynym, czego mogła być pewna, wokół niego wszystko rozpląwało się w cień. – Tylko o tobie. – Zaciśnęła dłonie na jego koszuli. Musiała się go złapać, żeby sama się nie rozpląnąć.

– Nie zostanę tu ani sekundy dłużej. Muszę znaleźć Celeste. Otacza nas zgnilizna, Mitzy. Zgnilizna i zło. Nie mogę tego znieść! Jeśli zobaczysz Celeste... jeśli wróci tu po moim wyjeździe, proszę, bądź dla niej dobra. Powiedz jej, że ją Kocham, i... powiedz jej, żeby czekała tu, aż po nią przyjadę. Zawsze może do mnie zadzwonić albo wysłać mi list... proszę. Zrobisz to dla mnie, Mitzy? Obiecasz mi, że się nią zaopiekujesz, jeśli tu wróci?

– Nie wyjeżdżaj. Nie zostawiaj mnie, proszę – błagała Dimity.
– Nie zostawiać cię? O czym ty mówisz? To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Ale... ja cię kocham.

Charles rzucił jej wtedy dziwne spojrzenie. W jego oczach kryło się uczucie, którego Dimity dotąd w nich nie widziała. Przypominało złość, wstręt. Ale nie wierzyła, że to możliwe, poczuła się dezorientowana. Odwrócił się od niej i szybko ruszył do samochodu. Poszła za nim, niemal depcząc mu po piętach. Chwyciła klamkę od strony pasażera, kiedy samochód wyskoczył naprzód z gwałtownym szarpnięciem, które wygięło jej palce. Spod złamanych paznokci trysnęła krew. Kiedy samochód zniknął jej z oczu, popatrzyła w dół na swoje ciało, dotykając je tu i ówdzie. Miała wrażenie, że z każdą czerwoną kroplą spadającą na kamienistą ścieżkę uchodzi z niej życie.

Tydzień po tym, jak Charles pojechał do Londynu szukać Celeste, wybuchła wojna, a podróżowanie stało się trudniejsze. Wiadomość o wojnie obiegła cały kraj, docierając nawet do Blacknowle jak pierwszy powiew zimowego wiatru. Później jednak wszystko ucichło, a życie toczyło się jak dawniej. Ludzie mówili, że jeśli cokolwiek się dzieje, to gdzieś bardzo daleko. Wzdłuż wybrzeża wyrosły betonowe punkty obserwacyjne zwieńczone kopułami; kanałem La Manche pływały dziwne, najeżone kolcami statki. Niektórzy farmerzy spełnili swój patriotyczny obowiązek – pojechali do Dorchester i powierzyli życie armii. Dimity nie była tego do końca świadoma. Myślała wyłącznie o Charlesie. Planowała, że kiedy wróci, ona uleczy wszystkie jego smutki miłością; wypełni go nią, żeby zrozumiał, że odejście Celeste wyjdzie wszystkim na dobre, bo przecież stale przypominałaby mu o tych wszystkich potwornościach. Charles odwzajemni jej uczucie, a wtedy wreszcie ten koszmar się skończy i będą razem. Razem jak mąż i żona, żeby nikt nie mógł obmawiać jej ani ich związku. Dosyć plotek i skandali; wezmą ślub, bo teraz nic już nie stoi im na drodze. Élodie, Delphine i Celeste zniknęły. Jesień była zimna, ale ta myśl wystarczała, żeby rozgrzać Dimity. Charles wróci i będą razem. Charles wróci.

Zach nadal rozglądał się po pokoiku na piętrze Strażnicy, kiedy obok niego stanęła Hannah. Mrużąc oczy w świetle, położyła mu dłoń na ramieniu i poczuł, że mocno ją zacisnęła. Nabrała powietrza, jakby chciała się odezwać, ale milczała.

– Czy to... czy to jest to, o czym myślę? – zapytał w końcu.

Dimity wspinała się po schodach na górę, ale na widok otwartych drzwi zamarła, a z jej gardła wydarł się niski skowyt; wstrząsający lament czystego żalu. Osunęła się na stopnie. Rozafa podbiegła do starszej kobiety, zarzucając ją pytaniami w swoim języku i zerkając z przerażeniem na Zacha. Dimity patrzyła na otwarte drzwi i łkała. Do Rozafy dołączył Ilir i oboje przemawiali do staruszki śpiewnymi, niezrozumiałymi zdaniami, jakby chcieli ją pocieszyć. Hannah zrobiła długi, spokojny wydech.

– Prace Aubreya. Tak.

– Muszą tu ich być... tysiące.

– No, może nie tysiące, ale całkiem sporo.

Zach oderwał oczy od rysunków i rzucił Hannah zdumione spojrzenie.

– Wiedziałaś o tym?! – zawołał.

Hannah zasznurowała wargi i skinęła głową. Odwróciła wzrok z zakłopotaniem, ale na jej twarzy nie było śladu poczucia winy.

– Jak tu trafiłeś? – zapytała.

– Przez pomyłkę. Dimity kazała nam skrócić w lewo, ale... Rozafa nie zrozumiała jej wskazówek.

Zach znów rozejrzał się po pokoiku, powoli lustrując otoczenie. Nie mógł uwierzyć w to, co miał przed sobą. Hannah podążyła za jego spojrzeniem i poczuł, jak wstrząsa nią dreszcz. Zacisnęła mocno ręce na piersiach, ale Zach był zbyt przejęty tym, co widział, żeby zapytać, czym się martwi.

Na ścianie naprzeciwko drzwi było małe okienko z rozbitą szybą i bladymi, falującymi zasłonami. Po prawej stronie stało wąskie łóżko przykryte poszarzałą, zmiętą pościelą i kocem. Poduszka miała wgniecenie, jakby ktoś przed chwilą podniósł z niej głowę. Po lewej

stronie okna ciągnął się długi drewniany stół z prostym, twardym krzesłem. Błat niknął pod papierami i książkami oraz słoikami pełnymi ołówków i pędzli. Drewniana podłoga była zakurzona i nieosłonięta, nie licząc małego, spłowiałego dywanika przy łóżku. Leżało na niej kilka kartek papieru, a jedna z nich przesunęła się nagle, niesiona podmuchem zza okna. Uniosła się i wylądowała blisko Zacha, który podskoczył, przestraszony. A zewsząd otaczały ich prace Aubreya – wisiały na ścianach i opierały się o nie, zajmując niemal każdy skrawek dostępnej powierzchni. Głównie rysunki, ale i kilka obrazów. Ich piękno i charakterystyczny styl nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Wyszły spod ręki Charlesa Aubreya.

– To niemożliwe – powiedział Zach, chociaż nie wiedział, do kogo kieruje te słowa.

– Aha, to w porządku. Problem z głowy – stwierdziła Hannah z udawaną powagą.

– Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę... – zaczął, ale urwał. Był zbyt oszołomiony, żeby znaleźć odpowiednie słowa.

Podszedł wolno do południowej ściany pokoju, o którą opierała się większość dużych prac, odsunął te, które stały z przodu, i spojrzął na pozostałe. Wiele z nich przedstawiało Dennisa. Zarówno tego Dennisa, którego znał, zwodniczo zagadkowego młodego mężczyzny, którego portrety niedawno sprzedawały się za cenę kilkukrotnie wyższą od wywoławczej, jak i innych Dennisów. Zupełnie innych Dennisów – o innej twarzy i sylwetce, w innym ubraniu. Zach zobaczył całą gamę młodych mężczyzn, których łączyło jedynie imię. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, co to znaczy. Nagle usłyszał za sobą krzyk Dimity.

– Jest tam? Jest tam? – jej głos wibrował obłąkańczą nadzieją.

Zach obejrzał się przez ramię, kiedy stanęła w drzwiach. Hannah usiłowała ją przytrzymać i uspokoić.

– Nikogo tu nie ma, Dimity – zapewnił.

Na twarzy staruszki pojawiła się konsternacja. Omiotła pokój wzrokiem, jakby nie chciała mu uwierzyć. A potem uklękła na podłozie i objęła się mocno ramionami.

– Więc odszedł – powiedziała cicho. – Naprawdę odszedł. Już na zawsze. – Jej pełne żalu słowa ostudziły entuzjazm Zacha, odbierając mu

energię i radość.

– Kto odszedł, Dimity? – zapytał. Ukucnął obok niej i położył jej dłoń na ramieniu. Twarz miała mokrą od łez, a oczy rozbiegane, jakby nadal kogoś szukała.

– Charles, oczywiście! Mój Charles.

– Chcesz powiedzieć, że... był tu, w tym pokoju? Charles Aubrey tu był? Kiedy, Dimity?

– Kiedy? Kiedy? – Jego pytanie wyraźnie ją wzburzyło. – Zawsze. Zawsze tu był, ze mną. – Oszołomiony Zach spojrział na Hannah i zobaczył, że kobieta zaciska usta w charakterystyczny sposób, jak zwykle, kiedy ma coś do powiedzenia. Odwrócił się znów do starszej kobiety.

– Dimity, Charles wyjechał i walczył w drugiej wojnie światowej. Walczył i zginął pod Dunkierką. Tak było, prawda? Pamiętasz? – Dimity rzuciła mu lekko złośliwe spojrzenie, a kiedy się odezwała, w jej słowach pobrzmiwała duma i przekora.

– Wyjechał na wojnę, ale nie zginął. Wrócił do mnie i został ze mną do końca życia.

– Ale to niemożliwe – powtórzył Zach, ale nim jeszcze skończył mówić, popatrzył Hannah w oczy, a ona skinęła głową.

– To prawda – przyznała cicho. – Zmarł sześć lat temu. Tutaj. Zmarł tutaj.

– To znaczy... – Zachowi zakręciło się w głowie. Usiłował uporządkować myśli, wyciągnąć wnioski z tego, co usłyszał. – To znaczy, że... ty go widziałaś? Poznałaś Charlesa Aubreya? To pytanie wydało mu się tak absurdalne, że prawie się roześmiał. Ale Hannah zachowała powagę.

– Widziałam go. Ale nie poznaliśmy się. Jedyne raz, kiedy go widziałam, już... już nie żył.

– Nie żył – szepnęła Dimity, a na jej twarzy znów pojawiła się rozpacz. Zapadła się w siebie; jej ciało wydawało się teraz słabe, bezwładne.

Zach wpatrywał się w nią i w Hannah, a potem przeniósł wzrok na wąskie łóżko, brudną pościel i poduszkę ze śladem po czyjejś głowie.

– Chyba... chyba ktoś musi mi to wszystko wyjaśnić, i to od

początku – powiedział, kręcąc ze zdumieniem głową.

Dimity bez przerwy nuciła piosenkę *Bobby Shaftoe*. „Wróci i pojmie mnie za żonę, mój piękny Bobby Shaftoe”. Ta przyśpiewka stała się jej mantrą; powtarzała słowa, nie dbając o melodię; skandowała je w myślach w rytmie swoich niecierpliwych kroków, kiedy chodziła załatwić sprawunki, kiedy go wypatrywała, kiedy czekała. Valentina słyszała to i usiłowała pozbawić córkę złudzeń. „On wyjechał, nie rozumiesz? Już nie wróci”. Ale Dimity się upierała. Że Charles nie zostawiłby jej w Blacknowle, zapomnianej i odrzuconej. Słowa piosenki wnikały w jej umysł coraz głębiej. „Wróci i pojmie mnie za żonę...” Te słowa rozumiała jako zapowiedź jej losu, bo każda inna możliwość była nie do zniesienia. Na przeciwnym biegunie była samotność rozciągająca się przed nią bez końca – zobaczyła ją, stojąc na szczycie klifu z Celeste. Wiedziała, że nie mogłaby tego znieść, więc dalej śpiewała i wierzyła.

Ale następną osobą, która ją odnalazła, kiedy w powietrzu pojawiły się pierwsze mrozy, a ostatnie jabłka spakowano do beczek, nie był wcale Charles Aubrey. Zamiast niego pojawiła się wysoka, elegancka kobieta z orzechowymi włosami ułożonymi w idealnego koka. Miała na sobie zielony płaszcz z diagonalu i białe giemzowe rękawiczki, a jej usta były pociągnięte szkarłatną szminką. Zostawiła za sobą taksówkę z włączonym silnikiem i stanęła na progu Strażnicy z surowym, niezadowolonym wyrazem twarzy. Kiedy Dimity otworzyła drzwi, poczuła, jak szare oczy kobiety lustrują ją błyskawicznie od stóp do głów.

– Mitzy Hatcher?

– Tak. Kim pani jest? – Przyjrzała się kobiecie, usiłując odgadnąć odpowiedź.

Przyjezdna wyglądała na jakieś czterdzieści lat. Nie była piękna, ale przystojna. Jej twarz miała gładko rzeźbione rysy niczym posąg.

– Nazywam się Celia Lucas. We wsi skierowano mnie właśnie tu, do ciebie... Delphine Aubrey znowu uciekła ze szkoły. Nie ma jej już tydzień i zaczynają się o nią martwić. Powiedziano mi, że jeśli ktokolwiek mógł ją widzieć, to z pewnością ty. Oczywiście, jeśli wróciła w te strony. – Kobieta rozejrzała się wokół siebie, przenosząc wzrok z klifów na lasy i Strażnicę, jakby nie rozumiała, kto mógłby wpaść na

taki pomysł. Mówiła z wytwornym akcentem.

– Nie widziałam jej – odpowiedziała Dimity. Usiłowała wziąć głęboki oddech, ale miała wrażenie, jakby jej płuca się skurczyły. Spróbowała jeszcze raz, a świat zawirował jej przed oczami. – Gdzie jest Charles? Dlaczego sam nie przyjechał jej szukać?

Spojrzenie Celi stało się lodowate. Przez chwilę wpatrywała się w Dimity.

– Tylko nie mów, że jesteś jego kolejnym podbojem? – ściągnęła wargi z goryczą. Dimity skinęła wyzywająco głową. – Proszę, proszę. Wybiera coraz młodsze. – Powiedziała to beznamiętnie, ale Dimity widziała, że zacisnęła dłonie tak mocno, iż zaczęły się trząść. – A odpowiadając na twoje pytanie, Charles nie przyjechał jej szukać, bo jak skończony głupiec zaciągnął się do wojska i wyjechał walczyć do Francji. I co ty na to? – Uniosła brwi, ale pod jej opanowaniem kryła się panika zwierzęcia, które znalazło się w potrzasku. Dimity bez trudu rozpoznała to uczucie; przeżywała to samo.

– Wyjechał walczyć? – powtórzyła bez tchu.

– Widzisz, zareagowałam identycznie. Całe życie był pacyfistą i wygłaszał płomienne mowy o zgubnym wpływie wojen, ale przy pierwszej okazji do bójki puścił to wszystko w niepamięć.

– Na wojnę? – dopytywała Dimity.

Celia zmarszczyła brwi. Zdawała się zastanawiać, ile powinna jej wyjawiać.

– Tak, kochanie, na wojnę. Nie wiem, jakie twoim zdaniem miał wobec ciebie zamiary, ale teraz jesteś zdana na siebie – wyjaśniła bez ogródek. – A ja najwyraźniej muszę zjeździć cały kraj w poszukiwaniu jego nieślubnej córeczki. Współczuję temu dziecku, naprawdę, ale skoro jej matka nie miała ochoty się nią zająć, to trudno mi zrozumieć, dlaczego oczekuje się tego ode mnie. – Otuliła się ciaśniej płaszczem. W zimnym powietrzu jej oddech zamieniał się w obłoczki wilgotnej pary.

– Jest pani... nauczycielką Delphine? – zapytała Dimity po chwili milczenia. Usiłowała zrozumieć sytuację, odnaleźć jakiś sens w tym, co usłyszała. Na twarzy kobiety pojawiła się irytacja i niecierpliwość.

– Nie, dziecko, jestem żoną Charlesa. Na swoją zgubę. – Spojrzała

na morze, usiłując dojrzeć horyzont. – Ale jak długo pozostanę jego żoną, któż to wie? – Dimity wpatrywała się w nią. Jej słowa nie miały sensu. Poczula, jak zalewa ją spokój, którego nic nie może zakłócić. Wytworny akcent kobiety nie przebijał się do jej świadomości. – Posłuchaj, gdybyś jednak spotkała Delphine, zadzwoń do mnie, dobrze? Oto moja wizytówka. Może... zapiszę ci z tyłu numer pułku i kompanii Charlesa, żebyś mogła... czegoś się o nim dowiedzieć. Albo napisać do niego list, jeśli chcesz. To dziwne, że cię nie powiadomił. Z drugiej strony, Charles zachowuje się ostatnio bardzo dziwnie. Kiedy widziałam się z nim ostatni raz, ledwie umiał sklecić zdanie. – Zacisnęła usta w wąską kreskę, wyjęła pióro i zapisała coś na prostokątnym kartoniku, który następnie wcisnęła w bezwładną dłoń Dimity. – Życzę ci powodzenia... I spróbuj o nim zapomnieć. Wiem, że to trudne, ale tak będzie najlepiej. – Odwróciła się i podeszła do czekającej taksówki.

Później Dimity długo nie mogła uwolnić się od piosenki, którą знаła w dzieciństwie; wirowała w jej pustej głowie jak zwierzę w klatce, odbijając się głuchym echem. „Tam usłyszałam łkania dziewczyny, że Jimmy zginie na wojnie jej drogi... że Jimmy zginie na wojnie jej drogi...” Ten wers wracał do niej bez końca jak fale rozbijające się o brzeg. Charles poszedł na wojnę. Był teraz bohaterem, dzielnym żołnierzem, a ona biedną żoną, która martwi się o niego w domu. Dimity wmówiła to sobie bez najmniejszego trudu. Ogarnęło ją takie zmęczenie, że położyła się już o czwartej popołudniu, ale nie mogła ani spać, ani podnieść się z łóżka. Leżała tylko, nucąc słowa starej piosenki. Kiedy Valentina weszła do jej sypialni, dowiedzieć się, dlaczego kolacja nie jest gotowa, znalazła na szafce przy łóżku elegancką, wytłaczaną wizytówkę. *Celia Lucas Aubrey*.

– A to kto? Skąd to się tu wzięło? – zapytała, przysiadając na skraju łóżka. Dimity zignorowała ją, zapatrzona w opuszki swoich palców, lśniące w świetle z żarówki nad jej głową. Valentina potrząsnęła córką. – Co się z tobą dzieje? To ona pukała wcześniej do drzwi? Jakaś jego krewna? – Zmarszczyła brwi, oglądając wizytówkę. Widniało na niej jego nazwisko. – Chyba nie... żona? – rzuciła.

Dimity przestała śpiewać i posłała matce wściekłe spojrzenie. Poczula skrobanie głęboko za oczami, z tyłu głowy. Coś się tam kryło,

coś z ostrymi pazurami, zostawiającymi bolesne zadrapania. Szczur? Usiadła raptownie na łóżku i rozejrzała się po podłodze. W rogach pokoju wiły się szczury o boleśnie wygiętych ciałach. Dimity wrzasnęła i zakryła sobie oczy dłońmi.

– Nie! – krzyknęła, a wtedy Valentina odchyliła głowę i roześmiała się.

– Jego cholerna żona przyjechała go znaleźć, co?

– Nie!

– Dasz sobie z tym teraz spokój? On już nie wróci, a nawet gdyby wrócił, to ma żonę. Nie weźmie z tobą ślubu. – Valentina popatrzyła na córkę, a przez jej twarz przemknęło coś na kształt życzliwości. – Zapomnij o nim, Mitz. Będą inni. Nie ma sensu się tym zadreć.

– On po mnie wróci! Wróci po mnie! – upierała się Dimity.

– Jak sobie chcesz – Valentina wstała gwałtownie. – Jesteś skończoną idiotką.

Dimity przeczekała zimę, przeczekała wiosnę. Uciekła z domu, kiedy Valentina próbowała przedstawić ją szczupłemu, siwemu mężczyźnie o rozbieganym wzroku, który patrzył na nią z tak nieskrywanym pożądaniem, że jego spojrzenie sprawiało jej ból. Nie wróciła do Strażnicy dwa dni i dwie noce. Niewiele jadła i niewiele spała. Śpiewała swoje piosenki i starała się o niczym nie myśleć. Powtarzała sobie tylko, że Charles do niej wróci. I w końcu wrócił.

Lato dobiegało już końca, kiedy się zjawił. Zapadał zmierzch, a Dimity stała na wzgórzu nad Littlecombe. Czekala tak długo, że czuła mrowienie w nogach i bolały ją stopy. Wpatrywała się w ten dom tyle czasu, że zdążyła zapomnieć, co ma nadzieję zobaczyć. Wtedy trudno już było przebić się przez kokon jej spokoju – nie zwracała uwagi na to, co mówi jej matka, ani na ludzi we wsi, ani na Wilfa Coulsona, kiedy zarzucał ją potokiem słów, które nie miały dla niej żadnego sensu i tylko ją drażniły; na jego widok odwracała się i odchodziła. Dlatego dopiero po pół godzinie stania bez ruchu zdała sobie sprawę z tego, co widzi. Światło bijące z jednego z pokojów na piętrze w Littlecombe. Światło, które oznaczało, że wszystkie jej marzenia się spełniły, a modlitwy zostały wysłuchane. Dimity ruszyła spokojnie w stronę domu. Nie musiała się śpieszyć. Wiedziała, że tym razem z nią zostanie. Tym razem

jej nie opuści, więc czas nie grał już roli. Weszła do domu, wspięła się po schodach i popchnęła drzwi sypialni. A w środku był Charles Aubrey, czekał na nią – tak jak to przewidziała.

Otoczył ją jego zapach. Kiedy weszła do pokoju, ta woń ją powitała, chociaż Charles tego nie zrobił. Siedział na krzeselku przy łóżku ze zwieszoną głową i splecionymi dłońmi. Stopy ustawił równo, jak uczeń. Jego ubrania były brudne i zniszczone. Miał na sobie kurtkę za dużą o kilka rozmiarów, sztruksowe spodnie podarte na kolanach i dziurawe buty bez sznurówek. Jego ciało pod ubraniem było chudsze, bardziej kościste. Widziała ostry zarys ramion i łokci, kolan i żuchwy. Włosy miał potargane i brudne, policzki porastał bujny zarost. Wzdłuż prawej kości policzkowej biegło cięcie, pod którym wciąż widniała czarna, zakrzepła krew. Rana wyglądała na głęboką i zaognioną – Dimity wydawało się, że widzi w niej upiorną szarość kości.

„Żywokost”, pomyślała natychmiast. Słona woda do przemycia rany i okład z żywokostu dla uśmierzenia bólu po założeniu szwów. Podeszła do niego, uklękła i położyła mu głowę na kolanach. Cuchnął moczem i gównem, potem i zakażeniem, strachem i śmiercią. Dimity nie dbała o to. Przez materiał Charlesa spodni czuła nacisk jego uda i nie mogła być szczęśliwsza.

– Uciekłem – powiedział po długiej, pełnej napięcia chwili.

Dimity podniosła na niego wzrok i przesunęła palcami po jego wyniszczonej twarzy. Jej serce należało do niego, biło tylko dla niego. Chciała zamknąć go w objęciach i nigdy z nich nie wypuścić. W jego oczach lśniło dziwne, mdłe światło, jakiego wcześniej u niego nie widziała. Wyglądał, jakby zobaczył rzeczy, o których nie zdoła już zapomnieć. Nie wypowiedział nawet jej imienia i nie wydawał się zaskoczony na jej widok.

– Uciekłem – powtórzył.

Dimity skinęła głową i stłumiła szloch, wzbierający w jej piersiach ze szczęścia. Więc wreszcie był wolny.

– Tak, kochany. A teraz ja się tobą zaopiekuję... muszę wrócić do Strażnicy po kilka rzeczy, żeby opatrzyć ci twarz. Potrzebna mi igła i nitka, i sól do oczyszczenia rany... – Kiedy zaczęła się podnosić, złapał ją za nadgarstek, szybki jak wąż.

– Nikt nie może się dowiedzieć! Nie mogę tam wrócić... nie wrócę tam, słyszysz? – mówił głosem ochrypłym ze strachu.

– Przecież nie mogą cię zmusić, prawda?

– Mogą... mogą mnie odesłać. I odeślą! Nie mogę tam wrócić! – Jego palce siniaczyły jej ramię, ścisnął ją tak jak zwierzę, które wbija zęby w ofiarę, mocno, instynktownie. Nie próbowała się wyrwać, tylko głaskała go po włosach i mruzczała kojące słowa, dopóki się nie uspokoił.

– Ukryję cię, kochany. Nikt się nie dowie, że jesteś tu ze mną. Przy mnie nic ci nie grozi, obiecuję.

Palce Charlesa rozluźniły się, a potem opuścił dłoń i znów wpatrywał się w podłogę z twarzą pustą jak czyste płótno.

– Wrócisz, prawda? – zapytał, kiedy wreszcie podeszła do drzwi. Dimity poczuła się silniejsza niż kiedykolwiek; bardziej pewna siebie, bardziej spełniona. Wszystko wokół niej zaczynało się układać tak jak trzeba, po jej myśli. Uśmiechnęła się.

– Oczywiście, Charlesie. Pójdę tylko znaleźć jakiś płaszcz, żebyś nie zmarzł i nie rzucał się w oczy w drodze do Strażnicy.

– Tu nie może zostać, to chyba jasne – oświadczyła Valentina, zaciskając nos palcami i mrużąc oczy z obrzydzeniem.

Dimity wyprowadziła matkę ze swojej sypialni, gdzie na jej wąskim łóżku leżał Charles, i cicho zamknęła za sobą drzwi.

– Może i zostanie. Jest teraz ze mną i będę się nim opiekować. – Wbiła wzrok w matkę, a ona odpowiedziała tym samym. Dimity wzięła szybki wdech i pozwoliła, by ramiona opadły jej luźno wzdłuż boków. Wcześniej podwinęła rękawy w przygotowaniu do walki. Serce waliło jej wolno i mocno.

– Nie zostanie. Dotarło? Chcesz ukrywać dezertera? Ludzie we wsi skorzystają z każdej okazji, żeby nam zaszkodzić. Nie rozumiesz tego? Jak myślisz, ile czasu uda ci się utrzymać jego obecność w tajemnicy? Tu każdy wie o wszystkim. Ktoś go zobaczy...

– Odwiedzają nas wyłącznie twoi goście – mruknęła Dimity.

– Dobrze o tym wiem, dziewczyno! I nie zapominajmy, że to dzięki nim mamy dach nad głową i jedzenie na stole, chociaż ledwo go wystarcza na nas dwie. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby żywić jeszcze bezużytecznego mężczyznę.

– Dzięki nim w twoich żyłach płynie cydr, ale o jedzenie dbam i ja! – Dimity była przygotowana na cios. Złapała dłoń matki, zanim trafiła ją w policzek, i przytrzymała ją w powietrzu. Obu trzęsły się ręce z wysiłku. Valentina wydeła wargi.

– No proszę, wreszcie odkryłam coś, o co chcesz walczyć. O tego żywego trupa w pokoju? Naprawdę? Tego, który śmierdzi własnym gównem i podskakuje na dźwięk kroków? Dla niego mi się przeciwstawisz, po tych wszystkich latach?

– Tak! – Dimity nie wahała się ani chwili.

– Kochasz go albo tak ci się wydaje. Widzę to. Tym gorzej dla ciebie, skoro nawet jeszcze z nim nie spałaś – chociaż nie ma w tym nic nowego pod słońcem, możesz mi wierzyć. Ale lepiej zapamiętaj sobie to, co ci teraz powiem. To mój dom, a nie twój, i nie ma w nim miejsca dla mężczyzny. A już na pewno dla takiego mężczyzny, który nie może na siebie zarobić i przez którego skończymy w więzieniu. Rozumiesz? Nie zostanie tu.

– Zostanie.

– Nie ma mowy i lepiej wbij to sobie do tego pustego łba! Jeśli chcesz, wynieś się z nim do Littlecombe. Nikt tu nie będzie po tobie płakał.

– Nie możemy tam mieszkać... ludzie na pewno by coś zauważyli. Musielibyśmy płacić czynsz, a we wsi widzieliby zapalone światła...

– Na szczęście to nie mój problem, a Bóg wie, że mam ich dość. Lecz ten mężczyzna się do nich nie zalicza. Rób z nim co chcesz, ale musi stąd zniknąć.

– Mamo, proszę... – Dimity z trudem wydusiła z siebie te słowa. Wiedziała, że nie przebłaga Valentyny, ale była dość zdesperowana, żeby spróbować. Ścisnęła ją w żołądku. Czuła się strasznie. Usiłowała złapać matkę za rękę, przekonać ją do swojej racji. – Proszę... – Ale Valentina wyrwała dłonie i uniosła ostrzegawczo palec wskazujący z brudnym paznokciem, jakby rzucała na córkę klątwę.

– Lepiej, żeby do rana zniknął, albo sam, albo razem z tobą, wszystko mi jedno. Inaczej na niego doniosę. Dotarło?

Noc była długa i ciemna. Dimity nie mogła zasnąć. Umyła Charlesa od stóp do głów, używając miednicę ciepłej wody za

miednicą, a potem wytarła go do sucha, wykorzystując wszystkie ściereczki i szmatki, jakie znalazła w domu. Zmyła mu błoto i brud z włosów, wzięła gęsty grzebień i wyczesła tyle wszy i ich jajeczek, ile zdołała. Starła mu krew z rany i zszyła ją najrówniej, jak potrafiła. Charles nawet się nie skrzywił, kiedy gruba igła przebiła mu skórę. Usunęła każdy ślad brudu i smrodu z jego ciała, czując, jak rumieniec zalewa jej policzki, kiedy zdjęła mu spodnie i pierwszy raz zobaczyła jego nagie ciało. Charles najwyraźniej nie widział w tym nic zdrożnego, bo przyjmował jej zabiegi spokojnie i posłusznie. Obcięła mu paznokcie u nóg i wyczyściła paznokcie u rąk, usuwając spod nich piach małą szczoteczką. Trzęsły mu się ręce; ich nieustanne drżenie przywiodło jej na myśl Celeste, ale odsunęła od siebie tę myśl. Jej dłonie poruszały się pewnie, bez chwili wahania. Musiała spalić jego ubranie i znaleźć mu nowe. Od razu wiedziała, z czyjego sznura do suszenia bielizny mogła je łatwo i dyskretnie zwędzić. W końcu Charles zasnął – ciasno otulony kocem i nagi jak nowo narodzone dziecko. Dimity długo się weń wpatrywała, przesuwając delikatnie palcami po konturach jego twarzy. Nie zauważyła, że jest zbyt spokojny; że w jego oczach lśni pustka, której wcześniej tam nie było. Nie zauważyła, że ogień, który kiedyś w nim płonął, nadając szybkość i pewność jego ruchom i słowom, już się wypalił. Wiedziała tylko, że wreszcie jest przy niej.

Zostawiła go w objęciach snu. W jej łóżku nie było miejsca dla nich obojga, a poza tym i tak nie chciało jej się spać. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak przytomna. Posprzątała po kąpielu Charlesa, wyniosła jego ubrania na podwórze i podpaliła stos. Zbliżał się świt. Nad czarnym morzem unosił się bladoszary blask. Tuż przed letnim przesileniem noce były krótkie i słodkie. Rok osiągał półmetek, swój szczytowy punkt. Czas sprzyjał zmianom. Dimity czuła to we krwi, czuła to w kościach. W Strażnicy panowała cisza. Dom zdawał się ją obserwować. Strażnica, strzecha i tynk, drewno i kamień. I jej twarde serce – Valentina czujna jak ujadający pies, który nie spuszcza z niej oka. Dimity naląła sobie szklankę mleka, wypila ją powoli, a potem wypłukała pod zlewem i poszła do pokoju matki.

Valentina spała z rękami za głową i włosami rozrzuconymi na poduszce. Miała dość poduszek na dwie osoby, jakby łóżko zawsze było

w połowie puste i tylko czekało na kolejnego gościa. W bladym świetle świtu jej twarz nabrała srebrzystego blasku, a włosy lśniły szarością i bielą. Dimity zobaczyła, że jest niemal piękna. Jej kości policzkowe wznosiły się lekko poniżej linii oczu, nos miała niewielki i kobiecy, wargi wciąż pełne. Ale nawet na rozluźnionej snem twarzy Valentiny widać było wyryte w skórze ślady jej temperamentu. Bruzdę gniewu między oczami; zmarszczki szyderstwa biegnące przez czoło; nawiasy goryczy po obu stronach ust; cienkie kreski wzdłuż górnej wargi, wydymane wokół okrutnych słów. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała w bezbłędnym rytmie. Kiedy Dimity stanęła nad nią, przyszło jej do głowy, że matka wydaje się mała i bezbronna. Nigdy wcześniej nie myślała tak o Valentynie, a teraz nagle zrozumiała to z całą jasnością. „Bezbronna”. Valentina zawsze była blisko, jak bolesny cierń w samym środku jej życia. „Zawsze byłaś obok, a przy tobie wszystko stawało się gorsze”, wyszeptała Dimity. Piersi jej matki wznosiły się i opadały, oddech wpływał do środka i wypływał na zewnątrz, wpływał i wypływał. Dimity obserwowała to, a wkrótce jej własny oddech nabrał tego samego rytmu. Przez jeden krótki moment żyły w idealnej harmonii. Ale po chwili, kiedy Dimity wychodziła z pokoju z dziwnym bólem palców, to jej oddech był jedyną piosenką, która wciąż rozbrzmiewała.

Dimity ukryła Charlesa, kiedy w Strażnicy zjawiała się policja. Wywabiła go z sypialni na podwórze i usadziła na drewnianym sedesie wychodka. Na początku nie rozumiał, kto przyjdzie do domu i dlaczego właściwie powinien się schować. Potem, kiedy mu wszystko wyjaśniła, uznał, że policji chodzi o niego, bo władze chcą go wysłać z powrotem na wojnę. Cały się trząsł, kiedy zostawiała go w wychodku, wycisnąwszy wcześniej długi, uspokajający pocałunek na jego wargach.

– Nie znajdą cię. To nie ciebie szukają. Obiecuję – zapewniła go.

Pot perlił mu się na czole i ściekał po skroniach. Dimity z bólem serca zamknęła drzwi na zasuwkę, wróciła do domu i czekała na przyście posterunkowego Dibdena. Posterunkowy Dibden był młodym człowiekiem, którego matka знаła Valentinę dobrze, choć nie tak dobrze jak jego ojciec, zanim zmarł na atak serca ledwie kilka godzin po wyjątkowo wyczerpującym wieczorze trzy lata wcześniej. Młodzieniec

wydawał się dziwnie zafascynowany jej zwłokami. Stale na nie zerkał, spisując zeznania Dimity i czekając na swoich przełożonych.

Valentina leżała w tej samej pozycji, w której spała – na plecach, z ramionami za głową. Dimity też na nią zerknęła, kiedy mówiła policjantowi, że poprzedniej nocy jej matka miała jakiegoś gościa. Zeznała, że nie widziała jego twarzy, tylko tył głowy, gdy wchodził do sypialni. Zerknęła na Valentynę, żeby się upewnić, że jej klatka piersiowa się nie porusza, że nie zaczęła znów oddychać. Że nadal ma zamknięte oczy. Nie wierzyła, że matka może jej cokolwiek ułatwić. Opisała mężczyznę, którego rzekomo widziała. Wzrost średni, budowa przeciętna, krótkie, brązowe włosy; ubrany w ciemną kurtkę z rodzaju tych, które nosili wszyscy mężczyźni w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. Posterunkowy Dibden spisał to wszystko sumiennie, ale jego mina mówiła wyraźnie, że żadna z tych informacji nie pomoże w ujęciu mordercy. Na szyi Valentyny nie było śladów palców. Nic nie wskazywało na to, że zastosowano wobec niej przemoc. Zdaniem policjanta Valentina mogła umrzeć z przyczyn naturalnych, a jej gość uciec w panice. Dimity przyznała, że to możliwe. Obgryzła kciuk aż do krwi, ale nawet wtedy jej oczy pozostały suche. „Jest w szoku”, powiedział posterunkowy Dibden do przedsiębiorcy pogrzebowego, kiedy późnym porankiem wynosili Valentynę ze Strażnicy. Policja zebrała odciski palców z sypialni i poręczy. Dimity wiedziała, że będą ich setki. Całe setki.

Pogrzeb był szybki i skromny. Posterunkowy Dibden stanął w przyzwoitej odległości od Dimity. Przyszedł też Wilf Coulson – razem z ojcem, co zaskoczyło Dimity. Żaden z pozostałych gości Valentyny nie odważył się pokazać. Brockowie z Farmy Południowej stali blisko siebie ze złożonymi dłońmi. Dimity wciąż nie płakała. Po tym, jak wikary odczytał krótkie kazanie, rzuciła na trumnę pierwszą garść piachu, modląc się, żeby Valentina została pod ziemią. Nagle zalała ją fala strachu i zachwiała się w miejscu; sięgnęła po kolejną garść piachu i cisnęła ją na poprzednią. Gdyby nikt jej nie widział, może padłaby na kolana i zasypała grób gołymi rękami. „Pogrzebana, pogrzebana. Na zawsze”. Zacisnęła pięści, żeby się uspokoić, i nie patrząc nikomu w oczy, ruszyła z powrotem do Strażnicy. Żadnych rozmów, żadnego

czuwania. Żadnych wyrazów współczucia. Posterunkowy Dibden podbiegł do niej i próbował opowiedzieć jej o postępach w śledztwie, chociaż prawdę mówiąc, nie było żadnych postępów. Zapewnił ją, że robią co w ich mocy, żeby dowiedzieć się, kto spędził tę noc z jej matką. Ale z jego skruszonego spojrzenia wyczytała coś innego. Nie liczyli na to, że złapią mordercę, bo w rzeczywistości nie szukali go zbyt intensywnie. Mieli inne, ważniejsze sprawy do rozwiązania. Nie byli nawet pewni, czy popełniono morderstwo. Valentina mogła udusić się przez przypadek, zajmując się tym, czym się akurat zajmowała. A koniec końców, policji nie zależało na tym śledztwie. Śmierć Valentyny nie była wielką stratą dla społeczności lokalnej; ucierpieli tylko jej klienci, a oni woleli pozostać anonimowi. „Sama się o to prosiła”, pomyślała Dimity, wiedząc, że nie tylko jej przyszło to do głowy.

Kiedy wróciła do Strażnicy i weszła za róg budynku, skąd nikt nie mógł jej zobaczyć, opuściła ramiona i wyprostowała plecy, a jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech. Charles rozplakał się z ulgi, kiedy wypuściła go z wychodka i powiedziała mu, że już po wszystkim i nikt więcej do nich nie przyjdzie. Chwycił ją mocno i łkał jak dziecko.

– Musisz mnie ukryć, Mityzy! Nie mogę tam wrócić – wymamrotał, więc tuliła go i śpiewała mu, dopóki jego atak paniki nie minął. Potem wrócili razem do domu, powoli, wsparci o siebie jak ranni żołnierze, a Dimity zamknęła za nimi drzwi.

– Ale ja... ja słyszałem kogoś na piętrze. Słyszałem go! Jestem pewny... ty też to słyszałaś, prawda, Dimity? – zapytał Zach. Czekał na odpowiedź staruszki, ale wydawała się zatopiona we własnych myślach; kiedy wziął ją za rękę, spojrzała na niego, ale miała rozproszone, nieobecne spojrzenie.

Hannah pokręciła głową.

– Przecież wiesz, że stare domy skrzypią i trzeszczą. A w tym oknie jest dziura. Proponowałam, że je naprawię, ale Dimity kategorycznie odmówiła. Pewnie dlatego, że musiałaby otworzyć ten pokój. Ale od miesiący wdziera się tu wiatr, przesuwa papiery, zawilgaca podłogę...

– Ale ja słyszałem człowieka. Jestem tego pewny – upierał się Zach.

Hannah uniosła ręce, a potem pozwoliła im luźno opaść.

– To niemożliwe, Zach. Chyba, że zacząłeś wierzyć w duchy. – Rzuciła to od niechcienia, ale Zach zauważył, że Dimity mrugnęła, słysząc te słowa, a potem wodziła wzrokiem za Hannah, która krążyła niespokojnie po pokoju.

Zach wziął głęboki oddech. Świat, którego częścią stał się tej nocy, wydawał mu się surrealistyczny. To był dziwaczny świat, w którym uciekał po ciemku z miejsca w miejsce, przemyczał ludzi i omijał prawo, a potem natykał się na ogromną, potajemną kolekcję sztuki, zaginiony skarb, pozostawiony przez człowieka, który żył jeszcze długo po swojej śmierci. Trudno mu było w to wszystko uwierzyć.

Późną nocą Zach i Hannah siedzieli przy kuchennym stole z kubkami stygnącej herbaty. Ilir czuwał w salonie przy żonie i synu. Bekim spał na kanapie, otulony kocem przeżartym przez mole. Rozafa siedziała obok niego, trzymając mu dłoń na ramieniu, również pogrążona we śnie z głową odchylną w tył. Ilir owinął się wokół nich opiekuńczo, jakby teraz, kiedy znów miał przy sobie żonę i syna, nie zamierzał odstępować ich ani o krok i chciał mieć ich tylko dla siebie. Zach zastanawiał się, ile czasu Ilir spędził w Dorset; jak długo trwała jego rozłąka z żoną. Dimity wciąż była na piętrze w pokoiku pełnym rysunków. Zach zaniósł jej herbatę, ale staruszka siedziała nieruchomo, w milczeniu, i nie chciała zejść na dół. Zaniepokoiły go szybkie, płytkie ruchy jej klatki piersiowej. Dimity sączyła powietrze, jak gdyby nie mogła go nabrać.

– Hannah, opowiedz mi o tym, jak go zobaczyłaś. Jaki wtedy był? Co się wydarzyło tamtej nocy? – poprosił Zach.

Hannah westchnęła i wstała.

– Będziemy potrzebowali czegoś mocniejszego od herbaty – mruknęła i otwierała szafki kuchenne, dopóki nie znalazła w którejś starej, lepkiej od kurzu butelki brandy. Nalała szczerze do dwóch kubków i postawiła je na stole, jeden popychając w stronę Zacha.

– Zdrowko. – Wypiła swoją porcję na raz, a czując smak alkoholu, przykryła zęby wargami i wzdrygnęła się lekko. – Pewnego wieczoru Mitzy przyszła na farmę. To było lato i dopiero chwilę wcześniej zrobiło się ciemno, więc pewnie dochodziła dziesiąta, może wpół do jedenastej.

Była oszołomiona, rozhisteryzowana. Najpierw spytała o moją babcię i nie pamiętała, kim jestem, dopóki jej nie wytłumaczyłam. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak. Nie przychodziła do nas... właściwie odkąd pamiętam, nigdy u nas nie była. Prosiła, żebym z nią poszła do Strażnicy, ale nie chciała powiedzieć po co. Praktycznie wywlekła mnie z domu. „Sama sobie nie poradzę”, mówiła. Nic więcej nie mogłam z niej wyciągnąć. Więc poszłam z nią, a ona zaprowadziła mnie tu, do tego pokoju. Do niego. – Wypuściła ciężko powietrze.

– Już nie żył?

– Tak. Nie żył – potwierdziła. – Mityz wyjaśniła, że musimy się go pozbyć. Ukryć ciało. Zapytałam ją, dlaczego... dlaczego nie możemy po prostu wezwać zakładu pogrzebowego. Ale była przekonana, że jeśli ktokolwiek się dowie, to zawiadomi policję; i pewnie miała rację. Nagła śmierć i tak dalej, poza tym jego w ogóle nie powinno tu być. On w ogóle nie powinien istnieć. Zorientowałam się w tym stopniowo.

– Ale... musiał być już bardzo stary – zauważył Zach.

– Dobiegał setki. Z drugiej strony żył w zasadzie pod kloszem.

Przynajmniej przez drugą część życia.

– I nie miałaś wcześniej pojęcia, że ktoś tu z nią mieszka? Niczego nie podejrzewałaś przez te wszystkie lata?

– Niczego. To nie takie dziwne, kiedy wziąć pod uwagę, jak daleko stoi jej dom od reszty wsi. Farma to jedyne miejsce, z którego widać Strażnicę, a my nigdy się jej szczególnie nie przyglądaliśmy. A zresztą on nigdy nie wychodził z tego pokoju. Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy byłam w Strażnicy przed tamtym wieczorem, a nigdy nie wchodziłam na piętro, ani razu. Skąd mieliśmy wiedzieć?

– Czy... czy wiedziałaś, kim on jest?

– Na początku nie. Ale kiedy Dimity mi powiedziała... oczywiście, słyszałam to nazwisko. Moja babcia bez przerwy o nim mówiła.

A potem zobaczyłam rysunki i wiedziałam, że to musi być prawda. To musiał być on.

– Ale... skąd on się tu wziął, do cholery? Przecież został pochowany na kontynencie! Jego ciało odnaleziono i zidentyfikowano, jego śmierć została odnotowana, odbył się pogrzeb...

– Odnaleziono jakieś ciało. Zidentyfikowano jakieś ciało.

I pochowano jakieś ciało. Ile wiesz o odwróceniu pod Dunkierką?

– No... widziałem kilka filmów. Dokumentalnych.

– To był chaos. Tysiące żołnierzy czekało na plaży na ewakuację, a z Anglii płynęły im na pomoc setki statków. Łodzi rybackich, jachtów czarterowych, łodzi spacerowych, towarowców. Charles wsiadł na pokład jednego z tych statków. Przypłynął do Anglii, a potem... zniknął. I jakimś sposobem dotarł do Blacknowle.

– Chcesz powiedzieć, że zdezerterował?

– Tak. Dimity powiedziała mi... powiedziała mi, że chciał tu zostać. Bardzo tego chciał. Przekonał ją, że nie może wrócić do wojska. Nie chciał tam wracać. Dlatego ukrywał się przez ponad sześćdziesiąt lat. To rozwiązanie może się wydawać dość ekstremalne, ale według mnie przeszedł jakieś załamanie. Coś na kształt zespołu stresu pourazowego. I myślę sobie, że kiedy się ukrywasz przez dłuższy czas, to w końcu przestajesz czuć, że się ukrywasz. To staje się po prostu twoim... sposobem życia. – Hannah wstała, sięgnęła po butelkę brandy i dołała im obojgu, chociaż tylko ona opróżniła swój kubek. Zach spróbował alkoholu i skrzywił się.

– Nie mogę w to wszystko uwierzyć – powiedział, kręcąc głową. – Jak on się tu dostał? I kogo pochowano we Francji, jeśli to nie był Charles?

– Kogo? Nie domyśliłeś się jeszcze? – zapytała Hannah.

Zach zastanowił się chwilę, ale nadal nic z tego nie rozumiał.

– Nie. Kto to był? Kogo pochowano w 1940 roku zamiast Charlesa?

Hannah przyglądała mu się przez chwilę, przesuwając wzrokiem po jego twarzy.

– Dennisa – odpowiedziała w końcu. – Pochowano Dennisa.

Charles opowiedział o tym Dimity któregoś dnia, kiedy miał nastrój do zwierzeń, co zdarzało się rzadko. Zwykle mówił tylko o swoich rysunkach, prosił o przybory artystyczne albo przekazywał jej swoje zachcianki kulinarne. Jednego dnia miał ochotę na wiśnie, innego – na francuską zupę cebulową. Kiedyś zażyczył sobie wędzonego łososia, a Dimity długo głowiła się nad tym zadaniem. Wiele dni budowała beczkę do wędzenia na podwórzu za domem, bo we wsi ich

nie sprzedawali, a poza tym i tak nie byłoby jej na nią stać. Owocem tych wysiłków była przesuszona ryba, twarda jak podeszwa, ale Charles przełknął ją bez słowa skargi, uśmiechając się z wdzięcznością. Dimity zastanawiała się wtedy, czy potrzebnie zawracała sobie tym głowę – mogła podać mu świeżego śledzia i powiedzieć, że to wędzony łosoś, a on zjadłby go z taką samą lubością. Ale nigdy nie posunęłaby się do takiego oszustwa. Zawsze starała się dać mu to, o co prosił. Sprawianie mu przyjemności to było jedyne, co mogła dla niego zrobić, jedyne, co mogła zrobić dla siebie. Chroniąc go, zagłuszała w sobie poczucie, że spada w przepaść, z którym wciąż budziła się każdego dnia.

Czasem śniły mu się koszmary. Obudzona jego krzykiem, biegła, żeby go pocieszyć, ale chodziło jej nie tylko o spokój Charlesa – obawiała się też, że ktoś usłyszy te wrzaski. Zrywał się z łóżka i krążył niespokojnie po pokoju, szarpiąc się za włosy albo wycierając ręce o ciało, jakby miał na nich coś, czego się brzydził. Chodziła za nim i przytulała go, nawet kiedy ją odpychał. W końcu, gdy nie miał już siły się z nią mocować, zwalniał, a potem siadał. Sprowadzała go z powrotem na ziemię, na wybrzeże Dorset, do Strażnicy. Przytrzymała go, dopóki nie poczuł huku morza, niosącego się po domu. Wtedy jego ciało wiotczało. Wtedy opowiadał jej, co zobaczył i kto nawiedził go w ciemności snu. Zalewał ją słowami, jakby oczyszczał organizm, a słowa były trucizną, której musi się pozbyć, by wrócić do zdrowia.

Najczęściej widział Dennisa. Nagie, zwęglone szczątki młodego brytyjskiego żołnierza. Wybuch, który go zabił, spalił ubranie na jego ciele, pozostawiając tylko buty, które wciąż się tliły. Leżał w wysokiej trawie dobre dziesięć metrów od leja, a Charles potknął się o niego, kiedy rozpaczliwie usiłował przedostać się na północ, na wybrzeże. Mundur Dennisa doszczętnie spłonął, na jego ciele nie zostało wiele skóry. Miał tak rozległe poparzenia, że ogień strawił jego powieki i wargi. W rozchylonych ustach błyskały zęby, przez co wyglądał, jakby własna śmierć lekko go zaskoczyła. Jedna gałka oczna była czarna i zniszczona, ale lewa strona twarzy, najwyraźniej odwrócona od wybuchu, zachowała się w lepszym stanie. Druga odsłonięta tęczęwka zdawała się czujna, głęboko brązowa na tle pożółkłego od dymu białka.

Charles wpatrywał się w nią; ten kolor kojarzył mu się absurdalnie z deserem karmelowym. Skóra mężczyzny była czerwona, pomarańczowa i czarna; spękana, poraniona, lepka i obtarta. Nad trupem krążyły już muchy. Charles został przy nim pół godziny albo dłużej, bo nie mógł oderwać wzroku od tego zaskoczonego, żalosego oka. Reszta jednostki Charlesa przeszła dalej. Leżał w ukryciu i czuł, jak panika, że zostanie z tyłu, miesza się w jego sercu z przerażeniem, iż miałby iść dalej naprzód.

Później wszystko ucichło, a Charlesowi rzucił się w oczy przebłysk koloru. Słońce, które wyszło zza chmur i przebiło się przez dym, zaśnięło na zielonym i czerwonym dysku nieśmiertelnika martwego mężczyzny. Wybuch odrzucił go na mniej spaloną stronę ciała; leżał na ramieniu wciąż nawiązany na zwęglony skórzany rzemyk. Żołnierz nie miał przy sobie nic innego, po czym można go było zidentyfikować. Żadnych odznak ani dokumentów. Charles przesunął po nim wzrokiem i uznał, że musieli być podobnego wzrostu. Sięgnął po nieśmiertelnik, żeby sprawdzić, jak tamten się nazywał, ale dyski przykleiły się do jego spalonej skóry. Złazy się z nią. Musiał wyszarpnąć je paznokciami, a kiedy to robił, czuł, jak jego własnym ciałem wstrząsa dreszcz cierpienia i strachu, bo wyobrażał sobie, jak to musi boleć.

Kiedy wreszcie mu się udało, jęczał, jakby sam został ranny. Przetarł nieśmiertelnik kciukiem, żeby odczytać nazwisko żołnierza. *F. R. Dennis*. Pod bliźniaczymi wyrwami w miejscu dysków przez czerń i czerwień skóry przeświecała biel kości. Charles podniósł łusą, szorstką czaszkę, żeby ściągnąć rzemyk, a potem zdjął własny nieśmiertelnik i wsunął go Dennisowi na szyję. Ułożył dyski na skórze tak, żeby przykryły kość. Potem włożył nieśmiertelnik Dennisa i cofnął się. Poczuł, że ma coś lepkiego na dłoniach i pod paznokciami. To były strzępy spalonej skóry Dennisa. Wycierał ręce w wysoką trawę jak oszalały, a potem wymiotował, dopóki nie stracił przytomności. Kiedy dotarł na plażę, zastał tam chaos, ogień i tłum żołnierzy. Oficer, którego nie znał, zapakował go na jeden ze statków. „Uważajcie na niego”, powiedział oficer do kogoś na pokładzie. „Nie wiem, co mu się stało, ale chyba postradał zmysły”.

– F. R. Dennis? Czyli... przez te wszystkie lata w grobie Charlesa

Aubreya leży ciało F. R. Dennisa? – zapytał Zach. Hannah skinęła głową. – Byłem na tym grobie. Chciałem uczcić pamięć zmarłego, przyniosłem kwiaty. Prawie się pomodliłem, na litość boską!

– Jestem pewna, że pan Dennis był wdzięczny – powiedziała cicho Hannah.

Zach bębnił nerwowo palcami po blacie stołu. W głowie miał natłok myśli.

– To... to niewiarygodne. Że taki ważny artysta dożył sędziwego wieku, podczas gdy cały świat był przekonany, że dawno zginął – pokręcił głową, a skala tego odkrycia sprawiła, że serce zabiło mu szybciej. – Niewiarygodne... A obrazy?

– Wszystkie prace z ostatnich sześćdziesięciu lat życia.

A w zasadzie prawie wszystkie, nie licząc trzech czy czterech rysunków.

– Tych sprzedanych? – zapytał Zach. Hannah skinęła głową. – Sprzedawałaś je dla niej?

– Dla niej i dla siebie. Kiedy potrzebowałyśmy pieniędzy.

– Dla siebie? – Zach wpatrywał się w Hannah przez chwilę, rozważając jej słowa. – Chcesz powiedzieć, że... podarowała ci te rysunki, a ty je sprzedawałaś?

– Nie do końca.

– Zabrałaś te portrety? – Hannah milczała. – No tak, skoro Dimity chciała utrzymać wszystko w tajemnicy, to była zdana na twoją łaskę, więc mogłaś wziąć wszystko, co chciałaś. Jak mogłaś jej to zrobić?

– To nie tak! Miałam... miałam do tego pełne prawo. Poza tym ona też potrzebowała pieniędzy, a beze mnie by ich nie sprzedała.

– Nie wydaje mi się, żeby załatwianie za nią formalności z domem aukcyjnym dawało ci prawo do...

– Nie o tym mówię. Mówię o... doprowadzeniu tych rysunków do odpowiedniego stanu. Stanu, w którym się sprzedadzą. – Zach pokręcił głową z niedowierzaniem, a Hannah poruszyła się niespokojnie.

Pierwszy raz zobaczył na jej twarzy poczucie winy. Westchnęła nagle. – Wielu nie można było nikomu pokazać, bo przedstawiały Dimity, ale w późniejszym okresie, kiedy nie mógłby jej już rysować, bo nie żył. Wiele innych przedstawiało sceny z wojny, których też z oczywistych względów nikt nie powinien zobaczyć. Zostało kilka portretów Dennisa

i kilka rysunków Dimity z czasów młodości... Na żadnym nie było daty. Po powrocie z wojny żadnej z prac nie opatrzył datą.

– Dlaczego?

– Podejrzewam, że nie miał pojęcia, który jest rok.

– Chryste. Więc to ty...

– Ja dopisałam na nich daty – przyznała.

Zach wziął uspokajający oddech.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że daty się nie zgadzają!

– Miałaś rację – stwierdziła poważnie, a podekscytowanie Zacha zgasło.

Przez minutę siedzieli w ciszy.

– Dobrze naśladujesz jego charakter pisma – stwierdził Zach, nie wiedząc, jak powinien zareagować na tę informację. – Masz do tego talent.

– Tak. Wiem.

Znów nie odzywali się dłuższą chwilę, pogrążeni w myślach. Na dworze zerwał się wiatr i zaczęło padać. Deszcz bębnił żałośnie po dachu. Zach miał ochotę przyciągnąć do siebie Hannah, żeby ją rozgrzać, ale cień spowijający pokój był zbyt głęboki, zbyt niepokojący. Krył w sobie lata kłamstw i tajemnic, utrzymywanych tak długo, że skostniały i stały się twarde jak kamień. Hannah sięgnęła ręką za głowę i rozpuściła koński ogon. Poczul znajomy zapach jej włosów, a serce ścisnęło mu się boleśnie.

– Nie miałaś prawa tego robić, wiesz... – powiedział cicho.

Hannah spojrzała na niego zimno.

– Moim zdaniem miałam.

– Te obrazy nie należą do ciebie. Nie należą nawet do Dimity! Nigdy nie została jego żoną... nie urodziła mu dziecka. Więziła go sześćdziesiąt lat, ale to nie czyni go jej mężem w świetle prawa, niezależnie od tego, co o tym myślisz...

– Więziła? Nigdy go nie więziła! Mógł odejść, jeśli chciał.

– Czyli to nic złego, że pozwoliła całemu światu uwierzyć w jego śmierć? Że pozwoliła uwierzyć w nią jego rodzinie?

Hannah ścisnęła wargi i odpowiedziała mu łamiącym się głosem.

– Tak. Jeśli tego chciał – odparła.

Zach pokręcił głową. Hannah zdawała się czekać na jego kolejny atak, kolejny argument.

– Te obrazy należą do najbliższej rodziny Charlesa Aubreya – podkreślił.

Ku jego zaskoczeniu, Hannah się uśmiechnęła.

– Wiem o tym. Właśnie na nią patrzysz.

– Słucham?

Dimity słyszała, że rozmawiają na dole, ale nie rozumiała ich słów, więc w końcu przestała próbować i pozwoliła, żeby zlały się ze stłumionym szumem wiatru i deszczu. To wszystko nie miało już znaczenia. Pokój był pusty. Charles odszedł. Nie mogła im wytłumaczyć, że tylko te zamknięte drzwi pozwalały jej sercu wciąż bić. Nie umiałyby wyjaśnić, że dopóki nie zobaczyła, że odszedł, mogła sobie wyobrazić, że wciąż tam jest. Skrzypiące deski brzmiały jak jego kroki, szelest papieru na wietrze mógł oznaczać, że pracuje. Stopniowo zaczęła w to wierzyć. Zaczęła myśleć, że wcale nie odszedł, a ona wciąż się nim opiekuje jak przez te długie, szczęśliwe lata. Teraz dom zionął pustką, zimną i głęboką jak śmierć. Z trudem nabierała powietrza, by dalej żyć. Chłód jego nieobecności osaczał ją ze wszystkich stron, wysysając całe ciepło z jej krwi i kości. Ciężyły jej ręce i nogi, każdy oddech wymagał wysiłku. Jej serce było bezkresne i głodne jak morze; puste jak jaskinia. Odkąd pokój na górze nie miał lokatora, brzemie życia stało się nie do zniesienia. Długa dyskusja między mężczyzną a kobietą na dole uciszyła przynajmniej inne głosy w Strażnicy. Żywi mówili głośniejszymi głosami niż umarli. Ale w cieniu pojawiła się teraz nowa postać; wreszcie do niej przysłała, żeby ją dręczyć. Milcząca nagana w szerokich oczach pełnych cierpienia. Delphine.

Któregoś dnia stanęła na progu Strażnicy. Pojawiła się znikąd w spokojny jesienny poranek pachnący rosą i uschłymi liśćmi. Wojna niezauważenie toczyła się dalej. Charles mieszkał z nią od ponad roku i zdążyli już przywyknąć do tego nowego, dziwnego wspólnego życia; odnaleźli swój rytm i popadli w przyjemną rutynę. A Dimity wreszcie miała wszystko, o czym marzyła. Kogoś, kogo może kochać i przez kogo będzie kochana; kogoś, kto będzie jej potrzebował.

– Cześć, Mitzy – powiedziała Delphine z ostrożnym uśmiechem,

a przed Dimity znów otworzyła się przepaść stroma jak skraj klifu, która tylko czekała, aż ona zachwieje się i spadnie.

Delphine wyglądała poważniej. Jej okolona szlachetną linią szczęki twarz wydłużyła się i zeszcupiała. Włosy miała zaczesane w tył, z przedziałkiem z boku; opadały jej na plecy delikatnymi falami, miękkie i lśniące. Spojrzenie brązowych oczu było głębsze niż kiedykolwiek; głębokie jak sama ziemia. Wydawały się dużo starsze niż reszta jej twarzy.

– Jak się miewasz? – zapytała, ale Dimity nie była w stanie nic odpowiedzieć. Serce waliło jej zbyt mocno, nie mogła zebrać myśli ani wydusić z siebie choćby słowa. Uśmiech Delphine przygasł. Zaczęła się bawić zapięciem torebki. – Chciałam po prostu... chciałam zobaczyć przyjazną twarz. Znajomą twarz, rozumiesz. I chciałam... chciałam się upewnić, że wiesz o... śmierci mojego ojca. Zmarł w zeszłym roku. Przysłali telegram do szkoły. Wiedziałaś? – wyrzuciła z siebie pośpiesznie. Dimity skinęła głową, a oczy Delphine zaszyły łzami. – Pomyślałam, że powinnam się upewnić. Uznałam, że masz prawo wiedzieć. Bo przecież... przecież też go kochałaś, prawda? Kiedy mama mi o tym powiedziała, nie byłam z tego zadowolona. Ale dlaczego nie miałabyś go pokochać? Tylko dlatego, że my go kochałyśmy?

– Tak... kochałam go – przyznała Dimity, kiwając lekko głową.

Dłuższą chwilę patrzyły na siebie przez próg. Delphine wyraźnie nie była pewna, co powinna zrobić albo powiedzieć.

– Posłuchaj... czy mogłabym wejść na moment? Chciałabym z tobą porozmawiać o...

– Nie! – Dimity pokręciła szybko głową w geście odmowy, ale i zaprzeczenia, bo jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że z całego zła, jakie dotąd wyrządziła, odprawienie Delphine będzie najgorsze. Zagłuszyła ten głos; pozostała niewzruszona.

– Och – wyrwało się zaskoczonej Delphine. – Och, no tak. Oczywiście... Może w takim razie pójdziemy na spacer? Na plażę? Nie chcę jeszcze wyjeżdżać. Nie... nie wiem, dokąd miałabym pojechać. – Dimity patrzyła na nią przez chwilę, czując, jak pustka, którą tak w sobie pielęgnowała, znika z jej wnętrza. Znów miała wrażenie, że spada. Ale Delphine spoglądała na nią prosząco, błagalnie. Dimity nie umiała jej

odmówić.

– No dobrze. Chodźmy na plażę – zaproponowała.

– Tak jak kiedyś – zauważyła Delphine.

Ale było zupełnie inaczej i żadna z nich się nie uśmiechnęła.

Ruszyły doliną przez pola Farmy Południowej, a potem szły brzegiem na zachód, wystawiając twarze na jesienne słońce. Omijając większe głazy, weszły na kamyki na skraju wody. Tego dnia morze było spokojne. Jego gładka, srebrzysta tafla dawała złudzenie, że świat to łagodne, bezpieczne miejsce. Dwie młode kobiety, które spacerowały po plaży, wiedziały, że jest inaczej.

– Jak twoja matka? – zapytała Delphine. – Wiesz, dużo myślę o przeszłości. O czasie, który tu spędziliśmy. Wracam do niego myślami i teraz rozumiem, jak musiało ci być ciężko, że tak pojawialiśmy się i znikaliśmy. I... domyślam się, jak ciężko musiało ci być z twoją matką. Zawsze miałaś guzy i siniaki... Wtedy byłam ślepa. Przepraszam, Mitzy – powiedziała.

– Nie żyje – odpowiedziała szybko Dimity. Nie mogła znieść przeprosin Delphine.

– Och, tak mi przykro.

– Niepotrzebnie. Nie tęsknię za nią. Może nie powinnam tego mówić, ale to prawda.

Delphine skinęła lekko głową i nie pytała więcej o Valentinę.

– A nie czujesz się trochę samotna, teraz, kiedy mieszkasz tam całkiem sama?

– Nie... – Dimity poczuła ukłucie w sercu. Prawie przyznała się, że nie jest sama; prawie zdradziła swój sekret. Będzie musiała nauczyć się szybciej myśleć i mniej mówić. – Nie czuję się samotna – wybrnęła łamiącym się głosem, bo krew huczała jej w uszach.

Delphine rzuciła na nią uważne spojrzenie i zmarszczyła czoło; nie uwierzyła jej.

– Kiedy wojna się skończy, wszystko się zmieni – zapewniła. – Kiedy wojna się skończy, będziesz mogła wyjechać, gdzie tylko zechcesz, i robić, co tylko zapragniesz. – Mówiła to z przekonaniem, a Dimity milczała, zastanawiając się, jakim cudem ta inteligentna dziewczyna mogła wciąż wierzyć w podobne bajki.

Doszły do szerokiego pasa piachu, wygładzonego odpływem, idealnie równego i płaskiego.

Delphine przystanęła i zapatrzyła się w to miejsce.

– Zobacz, jakby tu była – szepnęła.

– Co? Kto?

– Élodie. Spodobałoby jej się tu, prawda? Wypisałaby swoje imię na piasku albo coś narysowała.

– Robiłaby gwiazdy – zasugerowała Dimity, a Delphine uśmiechnęła się.

– To prawda. Narzekałaby, że za wolno idziemy i że jest głodna.

– Powiedziałaby, że jestem głupia jak but.

– Ale i tak by cię słuchała. Twoich opowieści, twoich baśni.

Zawsze słuchała, wiesz? Po prostu ci zazdrościła, byłaś taka dorosła i taka wolna. A mama i tata tak cię polubili.

– Nigdy nie byłam wolna. A Élodie mnie nie lubiła – zaproponowała Dimity.

– Ale miała za mało lat, żeby zrozumieć, dlaczego cię nie lubi. To nie była jej wina ani twoja. – Delphine patrzyła na płożący piasek i srebrzystą linię wody. – Och, Élodie! – szepnęła. W jej oczach zakręciły się łzy. – Kiedy pomyślę o tym wszystkim, czego nigdy nie zrobi, nigdy nie zobaczy... trudno mi to znieść. Trudno mi oddychać. – Przycisnęła pięści do żeber. – Czulaś się tak kiedyś? Że po prostu przestaniesz oddychać i umrzesz?

– Tak.

– Czasem pojawia się w moich snach. Śni mi się, że są święta Bożego Narodzenia, a ona jest dorosła. Wyobrażam sobie, jaka byłaby piękna, mądra i błyskotliwa. Moja Élodie złamałaby niejedno serce. Śni mi się, że rozmawiamy przy ogromnej choince z mnóstwem świeczek. Światło tańczy w jej oczach i na jej włosach. Ma srebrną sukienkę i włosy czarniejsze niż atrament. Pijemy szampana, śmiejemy się i zdradzamy sobie sekrety. Plotkujemy o jej najnowszym chłopaku. A potem... – Delphine urwała, bo złapał ją niemy szloch. – Potem... budzę się taka szczęśliwa, Mitzy. Taka szczęśliwa. – Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Dimity stała obok niej i nie mogła złapać oddechu; miała wrażenie,

że zaraz umrze.

Długo nic nie mówiły. Po prostu stały tam, a morze obmywało brzeg, niewzruszone. Delphine przestała płakać i skierowała mokrą twarz w stronę horyzontu. Wydawała się teraz równie spokojna jak woda, odrętwiała i nietykalna.

– Miałaś jakąś wiadomość od Celeste? – zapytała Dimity, chociaż nie wiedziała, czy chce poznać odpowiedź. Delphine zamrużyła, a potem skinęła głową.

– Napisała do mnie po tym, jak wysłałam telegram do *grand-mère*. Przysłała mi okropny list. Noszę go przy sobie i stale czytam na nowo w nadziei, że za którymś razem znajdę w nim coś innego. Oczywiście, nigdy tak się nie dzieje.

– Co w nim jest?

– Píše, że mnie kocha, ale za bardzo tęskni za Élodie, żeby się ze mną zobaczyć. Ale tak naprawdę z tego listu wynika, że wini mnie za wszystko. Nie spotka się ze mną, bo obwinia mnie za to, co się stało. I oczywiście ma rację. Jestem winna, zabiłam moją siostrę i prawie zabiłam moją matkę. – Pokręciła gwałtownie głową. – Byłam taka pewna! Taka pewna, że zerwałam to, co trzeba! Jak mogłam się tak pomylić? Jak? – Spojrzała na Dimity ze zdumieniem i rozpaczą. Dimity wpatrywała się w nią z rozchylonymi wargami. Odpowiedź miała na końcu języka. Prawda czekała, aż ją wypowie, chciała wreszcie wyjść na jaw. Słowa same cisnęły jej się na usta. Chciała powiedzieć: „Moją duszę ogarnął mrok. Moje serce stanęło. To nie byłam ja”. Ale nie przerwała milczenia. – Myślałam, że wiem, co robię. Myślałam, że wiem tyle co ty. Myślałam, że jestem taka mądra – w głosie Delphine brzmiała nienawiść do samej siebie.

– Po co tu wróciłaś? – zapytała Dimity. To było oskarżenie i prośba, żeby odeszła. Delphine rozdrapywała stare rany, a ból był nie do zniesienia.

– Po prostu... chciałam... przyjechać tam, gdzie kiedyś byłam z nimi. Z mamą, tatą i Élodie. Skończyłam już szkołę, wiesz? I nie byłam pewna, dokąd pójść... właściwie niczego nie byłam pewna. Pojechałam do Londynu, ale na nasz dom spadła bomba. Jest zniszczony jak wszystko wokół. A tutaj widziałam ich po raz ostatni. Miałam

nadzieję, że... może wciąż tu są. W jakiś sposób. – Łzy znów pociekły jej na policzki, a Dimity zdziwiła się, że Delphine ma jeszcze czym płakać. – Żałuję, że nie pamiętam tego uczucia. Jak to było, przyjechać tu, bawić się i rozrabiać, kiedy tata rysował, Élodie sprzeczała się z mamą, a my włóczyłyśmy się po okolicy, zbierając zioła i łapiąc kraby. Już tylko my dwie wiemy, jak wtedy było wspaniale. Ty i ja. Jakie to było uczucie? Pamiętasz? – Wbiła w Dimity wzrok pełen straszliwej tęsknoty, ale nie czekała na jej odpowiedź. – Co takiego zrobiliśmy, żeby zasłużyć na takie życie? Żeby wszystko przepadło i skończyło się tak szybko? Za co spotkała nas taka kara? – szepnęła.

Dimity pokręciła głową.

– Dlaczego nie pojedziesz do swojej matki?

– Nie... nie mogę. Skoro nie chce mnie widzieć. – Delphine przerwała, żeby wytrzeć oczy wierzchem dłoni. – Nie mogę uwierzyć, że mnie zostawiła, Mitzy. Nie mogę w to uwierzyć. Nie chciałam skrzywdzić Élodie... przecież wie, że nigdy tego nie chciałam.

– Kiedy Celeste cię zobaczy, jej miłość odżyje. Powinnaś do niej pojechać – namawiała ją Dimity.

Ale Delphine pokręciła głową.

– Nie mogę, nawet gdyby mnie chciała. W końcu trwa wojna. Nie wiem co dalej, Mitzy. – W tym momencie podniosła wzrok z błagalną miną, ale Dimity wiedziała jedno – Delphine musi wyjechać z Blacknowle. Musi, bo przy niej Dimity nigdy nie będzie spokojna i szczęśliwa, przy niej nie zdołała powstrzymać fali ciemności i szcurów z koszmarów. – Może... jak myślisz, Mitzy, czy mogłabym zatrzymać się na trochę u ciebie? Skoro twoja matka już... odeszła. Nie zostanę długo, muszę się tylko zastanowić, dokąd pójść i co ze sobą zrobić.

– Nie! Nie możesz tu zostać. Nie zostawaj tu. Za dużo wspomnień. – Dimity mówiła napiętym, obcym głosem. Delphine spojrzała na nią z przerażeniem. Cierpienie na jej twarzy paliło Dimity jak kiedyś popiół z papierosa Valentyny. – Nie możesz! – krzyknęła. – Twoja obecność jest dla mnie torturą!

– Oczywiście. Przepraszam. – Delphine mrugnęła i przeniosła wzrok na morze. – Przepraszam. Nie powinnam była o to prosić. Chyba

pójdę jeszcze na spacer. Przed wyjazdem. Chciałabym... zobaczyć inne miejsca, gdzie chodziliśmy razem. Chciałabym chociaż przez chwilę przypomnieć sobie, jakie to było uczucie. Jak wyglądało życie, kiedy świat wydawał się zupełnie bezpieczny i wszyscy byliśmy tacy szczęśliwi, że nawet nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. – Pociągnęła nosem i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę.

– Dlatego powinnaś stąd wyjechać. Inaczej ugrzęzniesz w tym miejscu. To pułapka, jeśli w nią wpadniesz, już nigdy się nie wydostaniesz. Uciekaj stąd, zanim będzie za późno – ostrzegła ją Dimity. Miała ochotę chwycić Delphine i odepchnąć ją gdzieś daleko, jak najdalej od Blacknowle. Nie mogłaby spokojnie żyć, mając ją obok siebie, to nie ulegało wątpliwości.

– Rozumiem – odpowiedziała Delphine, chociaż Dimity wiedziała, że to niemożliwe. W kolejnym, porażającym przebłysku świadomości zdała sobie sprawę, że Delphine nauczyła się spodziewać odrzucenia. Oczekiwała, że zostanie odtrącona.

– Nie zostawaj tu, Delphine. Zaczynaj od nowa gdzieś indziej.

– Tak, może masz rację. Nic dobrego by z tego nie przyszło, ten czas już minął. Jeszcze tylko ten jeden spacer. Żeby zobaczyć ich wszystkich ostatni raz. – Wzięła Dimity za rękę i ścisnęła ją, a potem przyciągnęła przyjaciółkę i przytuliła się do niej. – Życzę ci szczęścia, Mitzy Hatcher. Zasługujesz na nie. – Delphine odeszła, nie czekając na odpowiedź, a Dimity była jej za to wdzięczna.

Wróciła do Strażnicy spokojnym krokiem. Szła ostrożnie, żeby się nie potknąć ani nie przewrócić; żeby nic jej nie przestraszyło, bo czuła, że wtedy jej dusza rozpierzchnie się jak stado wróbli. Weszła na górę, do pokoju Charlesa, który szkicował twarz młodego mężczyzny. Zasunęła zasłony w oknie i włączyła mu światło. Sprawiał wrażenie, jakby tego nie zauważył. Nie wiedział, że jego córka stanęła w drzwiach tego domu; że ubranie Dimity wciąż było ciepłe od jej uścisku. Dimity znów poczuła w ustach ciężar prawdy; była pewna, że sama się z nich wyślizgnie. „Jego córka. Jego córka”. Młoda kobieta, która najbardziej na świecie potrzebowała ojca. „Ale jej ojciec nie żyje”, zapewniła Dimity samą siebie.

– Nikt nie może wiedzieć, że tu jesteś – powiedziała, a Charles ze

strachem poderwał głowę znad kartki.

– Nikt. Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem – wyszeptał z oczami rozszerzonymi jak dziecko, które gwałtownie budzi się z koszmaru.

– I nikt się nie dowie, Charlesie. Ukryję cię, kochany.

Słyszając te słowa, uśmiechnął się z ulgą i wdzięcznością. Dimity cofnęła się znad krawędzi, czując, jak jego uśmiech koi ją i rozgrzewa. Odetchnęła spokojniej i zeszła na dół.

Resztę dnia spędziła przy oknach, wyglądając Delphine na klifach i widocznej części plaży. Późnym popołudniem poczuła, jak uchodzi z niej napięcie. Uznała, że przyjaciółka wyjechała z Blacknowle – i wtedy ją zobaczyła. Delphine przeszła przez padok na podwórze Farmy Południowej i zapukała do drzwi domu. Z daleka też nie wyglądała już jak dziewczynka, tylko jak kobieta, smukła, strzelista. Dimity zobaczyła, jak pani Brock wychodzi na próg i zamyka Delphine w objęciach. Stały tam długo, a potem gospodyni wciągnęła ją do domu. A Dimity przypomniała sobie, jak Christopher Brock patrzył zawsze na Delphine, jak uśmiechał się do niej i speszony spuszczał wzrok. Uświadomiła sobie z przerażającą jasnością, że Delphine nigdy nie wyjedzie. Pułapka się zamknęła, zostanie tu na zawsze, jak niezagojona rana, by przypominać Dimity o tym, co zrobiła, i co powinna była zrobić. Żeby groźba, że Charles zostanie odkryty, stała się jeszcze większa, bardziej realna. Gdyby Delphine go odnalazła, chciałaby go mieć dla siebie. Ale nigdy go nie znajdzie. Dimity obiecała to sobie. Delphine nie wejdzie do Strażnicy, a Charles jej nie opuści. Długo stała przy oknie, patrząc na farmę. Wiedziała, że nie zobaczy wychodzącej Delphine.

Było już całkiem ciemno, kiedy wreszcie ocknęła się i zrozumiała, że za szybą nic już nie widać. Otrząsnęła się i wzięła głęboki oddech; próbowała sobie przypomnieć, co ją tak zasmuciło tego dnia; czego się tak przestraszyła. Ale po chwili przestała o tym myśleć. To nie mogło być nic ważnego. Ważny był tylko Charles, nic więcej. Nucąc pod nosem starą piosenkę, zaczęła przygotowywać mu kolację.

Zach wpatrywał się w Hannah z nieopisanym zdumieniem. Czekwała cierpliwie, aż się odezwie.

– Zawsze mówiłem... zawsze czułem, że wyglądasz znajomo. Od naszego pierwszego spotkania.

– Mówiłeś. Myślałam, że to taki podryw.

– Żaden podryw. Faktycznie wyglądałaś znajomo – jesteś podobna do Delphine. Ale widziałem to tylko z jednej perspektywy, bo tak naprawdę znam twarz Delphine tylko z jednej perspektywy. Z jej portretu, który wisi w galerii, który uwielbiam... Przyglądałem mu się godzinami, studiowałem każdą kreskę. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Delphine jest twoją babcią?

– Tak. Wróciła do Blacknowle w czasie wojny po ukończeniu szkoły. Wyszła za mąż za Chrisa Brocka, syna farmera, i nigdy stąd nie wyjechała.

– Nie wspominają o niej żadne źródła. Nikt nie opisał, co się z nią stało.

– Wiesz, podejrzewam, że nikogo to nie obchodziło. W końcu nie była słynną artystką – a Aubrey nie żył. W chwili wybuchu wojny Delphine miała kilkanaście lat. Pewnie nikt nawet nie próbował jej znaleźć ani z nią porozmawiać.

– Czy ona... jeszcze żyje? – Zaszło mu w gardle na myśl o spotkaniu z dziewczyną, której portret był mu tak znany, tak bliski, ale Hannah pokręciła głową.

– Nie. Zmarła, kiedy byłam jeszcze mała. Była dopiero po sześćdziesiątce, ale chorowała na raka.

– Och. Przykro mi. Pamiętasz ją? Jaka ona była?

– Oczywiście, że ją pamiętam. Była cudowna. Zawsze bardzo miła i życzliwa. I spokojna. Nigdy nie słyszałam, żeby podniosła głos. A przy tym poważna. Rzadko się śmiała.

– W końcu jej siostra nie żyła, matka ją porzuciła, a poza tym sądziła, że jej ojciec zginął... Myślę, że taka strata odciska na człowieku piętno. Nie byłaś zła, kiedy się dowiedziałaś, że Aubrey żył przez te wszystkie lata? Był przecież twoim pradziadkiem. Boże, nadal nie mogę w to uwierzyć! To takie... nierzeczywiste... Ale nie byłaś zła? W końcu to twoja rodzina.

– Nie – odpowiedziała Hannah lekko, jakby nigdy nie przyszło jej to do głowy. – Nigdy go nie poznałam. Niczego nie straciłam, kiedy umarł.

– Ale przecież twoja babcia...

– Tak, pewnie powinnam być zła. Biedna Delphine. Zawsze za nim tęskniła, to wiem na pewno. Ale po co czuć złość, skoro niczego nie da się już zmienić? Nie ma sensu karać ludzi tak długo po fakcie. Kiedy zmarł Aubrey, Delphine nie żyła od prawie dwudziestu lat.

– Czy kiedykolwiek mówiła o swojej matce? O Celeste? Poznałaś ją?

– Nie. O ile wiem, już nigdy się nie spotkały; przynajmniej po moich narodzinach. I nigdy o niej nie mówiła. Było tak, jakby straciła na wojnie i ojca, i matkę.

– Zatem... jego prace należą do ciebie... Prawnuczki Charlesa Aubreya. Należą do ciebie – powiedział Zach, spoglądając na Hannah. Usiłował zorientować się w swoich uczuciach. Był wyczerpany. Przysłuchany ilością nowych informacji. Oszłomiony. Podekscytowany.

Hannah skinęła wolno głową.

– Co teraz zrobisz? – zapytał.

Na twarzy Hannah pojawił się niepokój.

– Pytanie brzmi raczej, co ty teraz zrobisz, Zach?

Zdumiony Zach nie odpowiedział.

Zach miał wrażenie, że ta noc trwa już kilka lat. Po jakimś czasie wrócił do małej sypialni na piętrze, w której stały wszystkie prace Aubreya. Obejrzał każdą po kolei. W sumie naliczył ich dwieście siedemnaście. Były wśród nich portrety Dimity – dwudziestoletniej, trzydziestoletniej, w średnim wieku, u progu starości. Ukazywały powolny, nieubłagany upływ czasu na jej twarzy, uchwycony chwila po chwili na pełnych życia szkicach i obrazach Aubreya. Zach znalazł też sceny pełne przemocy i zniszczeń, chaosu i brutalnej, poruszającej brzydoty wojny. Nie znał podobnych dzieł w twórczości Aubreya, którego inspirowało przede wszystkim piękno. W myślach już je katalogował, planował układ wystawy i treść not biograficznych, które towarzyszyłyby każdej pracy. Zdał sobie sprawę, że świat sztuki nie słyszał dotąd o czymś takim. Wszyscy będą chcieli obejrzeć te obrazy i usłyszeć ich historię. A od pierwszej chwili wiedział, że pragnie być tym, kto ją opowie. Ale oczywiście, to nie zależało od niego. Decyzję musiała podjąć właścicielka tych wszystkich dzieł. Gdyby postanowiła zamknąć ten pokój i nigdy więcej go nie otwierać, miałaby do tego pełne

prawo. To była przygnębiająca perspektywa.

W sypialni stały też portrety Dennisa z mnóstwem różnych wizerunków. Zach przyjrzał się im po kolei w słabym świetle pojedynczej żarówki zwisającej mu nad głową. Obejrzał rozrzucone na biurku przybory Aubreya, dotykając każdego delikatnie, z szacunkiem. Były tam tubki farb olejnych i butelka terpentyny – to jej chemiczny zapach tak go uderzył w ciemności, kiedy siedzieli tu wcześniej z Rozafą. Pod leżącymi luzem papierami trafił na zdumiewające znalezisko. Nieśmiertelnik, wciąż przewleczony przez sztywną, skręconą skórzaną sznurówkę. Brytyjski, inny niż metalowe amerykańskie blaszki. Okrągły czerwony krążek i ośmiokątny zielony dysk z jakiegoś twardego włókna, oba opatrzone nazwiskiem *F. R. Dennis* i danymi jego pułku. Litery były wyraźnie odcisnięte. Zach przesunął po nich palcami. „Dennis. Wreszcie cię znalazłem. Teraz i ty masz swoją historię”. Gdzieś musiało zachować się jego zdjęcie. W jakimś starym rodzinnym albumie. Zach mógłby zobaczyć twarz, którą Aubrey tak usilnie próbował sobie wyobrazić.

– Dimity powiedziała mi kiedyś, że nigdy sobie nie wybaczył – powiedziała Hannah.

Zach nawet nie słyszał, kiedy weszła do pokoju.

– Czego?

– Że ukradł temu żołnierzowi tożsamość. Wykorzystał go, żeby wrócić do domu, uciec i zostawić wojnę za sobą. Zniszczył mu reputację swoją dezercją. Rodzina nie dostała jego ciała, nie mogła urządzić pogrzebu. Aubrey do końca życia miał koszmary. Śniła mu się wojna i Dennis.

– Dlaczego portrety Dennisa przedstawiają różnych mężczyzn?

– To nie są różni mężczyźni. Na każdym portrecie jest on. W ten sposób Aubrey chciał... zwrócić mu życie. Widzisz, nie wiedział, jak on naprawdę wyglądał. Kiedy znalazł jego ciało i podmienił nieśmiertelnik, Dennis już nie żył. Miał tak ciężkie obrażenia, że nie wiadomo było, jak wyglądał za życia. Rysując go, Aubrey chciał chyba... jakoś mu się odwdzięczyć. Próbował oddać mu twarz.

– Te portrety Dennisa wystawione ostatnio na sprzedaż... były do siebie bardzo zbliżone, ale ja wiedziałem... wiedziałem, że coś je od

siebie różni...

– To prawda – potwierdziła Hannah. – Widać tylko ty jeden przyjrzałeś im się na tyle dokładnie, żeby to zauważyć. Wybrałam te, na których podobieństwo było największe. Charles musiał mieć w głowie jakąś wizję, bo trzymał się jej, tworząc kilka rysunków, zanim zmienił zdanie. Ale rezultaty nigdy nie były w stu procentach identyczne, bo...

– Bo rysował zjawę. Nie miał modelu.

– Tak. Wystawienie tych portretów na sprzedaż było ryzykiem, ale tylko one nie... wywołałyby kłopotliwych pytań.

– Czemu podjęłaś to ryzyko?

– Potrzebowałyśmy pieniędzy. Dimity musiała za coś żyć, a ja chciałam... pomóc Ilirowi i jego rodzinie.

Zach zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Ostatni portret Dennisa, ten, który się sprzedał dwa tygodnie temu, opłacił przyjazd Rozafy i jej synka, prawda? – zapytał, ale znał odpowiedź, jeszcze zanim Hannah skinęła głową.

– Ilir pracował dla mnie wiele lat. Płaciłam mu, ile mogłam, a on oszczędzał. Poza tym część pieniędzy wysyłał im do Francji. Ale na początku miesiąca francuskie władze zaczęły rozwiązywać paryskie obozy, a to było dla nas za wcześnie. Mieliśmy za mało pieniędzy. Potrzebowaliśmy więcej. – Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, spokojnie, a równocześnie badawczo. Próbowwała zorientować się, co on o tym wszystkim myśli, próbowała wyjaśnić mu swoje sekrety i kłamstwa. Wytłumaczyć, na czym polegała jej rola. – W zasadzie nigdy cię nie okłamałam, Zach – dodała, jakby czytała mu w myślach.

– Wpisałaś nieprawdziwe daty na jego pracach, Hannah. To fałszerstwo. Twierdziłaś, że nic nie wiesz o Dennisie ani o sprzedanych portretach. Okłamałaś mnie i cały pieprzony świat – sprostował, dopiero w tym momencie uświadamiając sobie, jak go to zabolalo.

– To nie było fałszerstwo! Ich autorem jest Charles Aubrey.

– Fakt. Reszcie świata opowiedziałaś mniej kłamstw niż mnie – odparował.

Hannah zacisnęła usta ze smutkiem, ale za nic nie przeprosiła.

– Co zrobiłyście z jego ciałem? W końcu mi nie powiedziałaś. Czy Charles Aubrey ma prawdziwy grób, który mogę odwiedzić? – zapytał

Zach.

Przed oczami stanęła mu ponura wizja ekshumacji, przenoszenia zwłok na cmentarz. Ziaren piasku w odsłoniętych zębach i robaków, kryjących się w pustych oczodołach. Hannah przesuwiała palcami po delikatnym włosiu pędzla, stojącego w słoiku na biurku. Słyszając jego pytanie, opuściła dłoń zawstydzona, jakby klepnął ją karcąco w rękę.

– Nie. Nie ma grobu.

– Ale... Nie mów mi, że... spaliłyście ciało? Jezu Chryste, Hannah...

– Nie! To nie tak. Musisz zrozumieć... Kiedy przyszłam, Dimity była bliska hysterii z rozpaczy i przerażenia. Przekonywała mnie, że gdyby ludzie się dowiedzieli, że Aubrey mieszkał z nią przez cały ten czas, miałyby wielkie problemy. I stale plotła coś o jakichś sekretach i grzechach... nic z tego nie rozumiałam. To było niedługo po... po tym, jak straciłam Toby'ego. Sama nie myślałam zbyt logicznie... A on nie żył już od jakiegoś czasu, rozumiesz? Wydaje mi się... wydaje mi się, że nie przyjmowała jego śmierci do wiadomości, a może po prostu chciała być z nim tak długo, jak to możliwe. Ale on... zaczynał już śmierdzieć. – Urwała i z trudem przełknęła ślinę na to wspomnienie. – Był środek nocy, miałam przed sobą zwłoki. Już drugie w tym roku. A Mitzy płakała, zawodziła i bredziła bez sensu, więc... więc zrobiłam to, co proponowała.

Spojrzała na niego rozszerzonymi wciąż oczami, tym razem wyczekująco, przygotowując się na jego reakcję. Każdego innego dnia byłby szczęśliwy, widząc taką bezbronność na jej twarzy.

– Czyli?

– Oddaliśmy go morzu.

Ta noc, kiedy umarł, była sucha i wietrzna; niespokojny szept bryzy brzmiał jak piosenka. Dimity bolały plecy od szorowania podłogi w kuchni. Wiele lat utrzymywała siebie i Charlesa sprzątaniami; jeździła autobusem do klientów spoza Blacknowle, ludzi, którzy po wojnie szukali nowego domu. Ludzi, którym nazwisko Hatcher z niczym się nie kojarzyło. Przeszła na emeryturę, gdy tylko było to możliwe. Przestała pracować i spędzała cały dzień z Charlesem w Strażnicy, która już nie wydawała jej się więzieniem. To był jej dom. Jej sanktuarium. Miejsce,

gdzie czuła się szczęśliwa i miała pełne serce. Ale tej nocy rozboleły ją kości aż po sam szpik, a później po karku przebiegły jej ciarki i poczuła okropne, mdlące ukłucie pod żebrami. Krzątała się po domu, nucąc i śpiewając pod nosem. Na kolację przyrządziła kotlety jagnięce w sosie miętowym, ale długo czekała, zanim mu je zaniosiła. Wiedziała; wiedziała. Ale nie chciała tego zobaczyć, nie chciała mieć dowodu. Każdy stopień schodów był stromy jak ściana klifu, każde napięcie mięśnia kosztowało tyle wysiłku co maraton. Zanim zmusiła się do wejścia do jego pokoju, kotlety dawno zrobiły się zimne, a zastygnięty tłuszcz utworzył pierścień na talerzu.

Pokój pogrążony był w ciemności. Ostrożnie odstawiła tacę na biurko i podeszła do włącznika światła. Ręka, którą uniosła, żeby go pociągnąć, była jak z ołowiu; ważyła więcej niż wszystkie skały na plaży. I wtedy go zobaczyła. Był ubrany, ale leżał na łóżku z nogami pod prześcieradłem i rękoma skrzyżowanymi w pasie, schludny i porządny. Jego głowa spoczywała na środku poduszki, a oczy miał zamknięte, ale usta nie. Wargi rozchyliły się lekko, na tyle, że dostrzegła w szparze jego dolne zęby i wypukłość języka. Języka, który nie był już różowy, tylko bladoszary. I wtedy, w tej sekundzie, świat przestał się kręcić i wszystko okryło się cieniem; nic nie było już prawdziwe ani pewne. Powietrze nie nadawało się do oddychania, światło paliło ją w oczy, a sufit napierał na nią z góry, aż w końcu padła na kolana. Cały dom, cały świat, wszystko obróciło się w popiół, gdy dysząc z bólu i zataczając się, podeszła do łóżka. Skórę miał zimną i suchą, a ciało pod nią było zbyt twarde, nieludzko twarde. Wsunęła drżące palce w jego siwe włosy, czując dotyk czystych, miękkich kosmyków. Z biegiem lat zapadły mu się policzki, a szyję naznaczyły wystające ścięgna, ale kiedy na niego patrzyła, widziała to samo co zawsze – swojego Charlesa, swoją miłość. Długo leżała, skulona, z policzkiem wciśniętym w jego cichą, nieruchomą pierś.

Szarą pustkę, którą zostawił po sobie Charles, wypełniły nowe twarze, nowe głosy. Na początku wydawały się niewyraźne; trzymały się na dystans. Były tylko sugestią ruchu, mówiły zbyt cicho, żeby mogła je usłyszeć. Ale potem, niemal tydzień po odejściu Charlesa, idąc korytarzem, dostrzegła w lustrze błysk jasnych włosów. Żółtych,

farbowanych włosów, długich i splątanych, z rozdwojonymi końcówkami. Valentina. Tego samego wieczoru dostała ataku drgawek, ale dreszcz, który wstrząsał rękami Dimity, nie pochodził z jej ciała, tylko z ciała Celeste. Wiedziała, że umarli ciągną do swoich jak osy do zamordowanej siostry. W Strażnicy śmierć wisiała w powietrzu, jej zapach rozchodził się po domu i stawał się coraz intensywniejszy. Kusił innych, żeby przyszli się rozejrzeć, wpadli w odwiedziny. Przerazona, pobiegła do jego pokoju i chwyciła go za zimne ręce, żeby się uspokoić. Znow były miękkie, ale w niewłaściwy sposób. Całe jego ciało zdawało się kurczyć, zapadać coraz niżej w materac. Oczy cofnęły się w głąb czaszki, bruzdy na policzkach stały się jeszcze głębsze niż wcześniej, skóra na szyi – luźniejsza. Język spoczywający między zębami pociemniał, szerniał. Cerę miał woskowożółtą. „Głóg – szepnęła do niego z rozpaczą, kiedy dzień się skończył i słońce zaszło. – Pachniesz jak majowe kwiaty, kochany”.

Na farmie otworzyła jej Delphine. W pierwszej chwili Dimity przyjęła to do wiadomości, ale potem przestraszyła się, bo przecież to nie mogła być ona. Wiele lat wcześniej widziała, jak wynoszą Delphine z domu. Nie stała przed nią Delphine, tylko ta dziewczyna z ciemnymi włosami, która w dzieciństwie pukała czasem do Strażnicy, prosząc o datek z okazji Dnia Czerwonego Nosa albo sprzedając bilety na loterię organizowaną przez harcerki. Dimity pamiętała ją jako małe, kościste stworzenie, ale teraz patrzyła na nią dorosła kobieta, poważna, smutna i piękna. Czuć było od niej alkohol, kiedy patrzyła na gościa oszołomionym, rozbieganym wzrokiem. Ale Dimity złapała ją za rękę i pociągnęła za sobą do Strażnicy. Sama nie dałaby rady go podnieść. Budynek aż huczał od głosów umarłych. Hannah jakby ich nie słyszała, ale Dimity szalała ze strachu i rozpacz. Musieli odejść, wszyscy, i zabrać ze sobą swoje sekrety. Sekrety, które nie mogły wyjść na jaw, zbyt liczne, zbyt poważne, żeby ujrzyć światło dzienne – jeden kamyczek wywołałby lawinę. Żadnej policji, żadnego przedsiębiorcy pogrzebowego, tylko dwie kobiety i martwy mężczyzna. Kiedy weszły do pokoju Charlesa, Hannah zakryła usta ręką i zakrztusiła się. Jej oczy rozbłysły przerażeniem.

Wspólnymi siłami dźwignęły go z łóżka. Ważył więcej, niż

mogłoby się wydawać, był wysokim mężczyzną z mocnymi kośćmi. Wyniosły go ze Strażnicy na klif – ale nie nad plażę, tylko za dom, w miejsce, gdzie zbocze opadało pionowo do zatoki. Dimity wiedziała, że trwa przyptyw. Znała rytm morza tak dobrze, że nawet nie musiała się nad tym zastanawiać; i znała prądy, które mogły wciągnąć go w głąb i zabrać daleko. Wokół nich szalał wiatr, porywał białe grzebienie fal i ciskał nimi o skały. Unosił ze sobą zapach kwiatów głogu; unosił ze sobą jej szloch. Zamachnęły się dwa razy, a za trzecim wypuściły go z rąk. Przez jedną krótką chwilę Dimity chciała rzucić się za Charlesem. Trzymając go mocno, runąć w dół razem z nim, bo bez niego nic nie miało sensu. Ale ciało jej nie posłuchało, instynkt przetrwania zadziałał i rozluźniła palce, a on spadł w ciemność. Pochłonęła go wzburzona woda i zniknął. Potem długo stała na klifie. A obok niej dziewczyna z oddechem pachnącym słodko whisky i włosami targanymi wiatrem. Silnie ścisnęła Dimity, jakby rozumiała, co inaczej może zrobić. Gdzie może trafić. A później znów była w Strażnicy, chociaż nie pamiętała, jak się tam znalazła, a dom wydawał się cichy i ciemny jak grób.

Rano Zach obudził się w kuchni Dimity, w której drzemał, oparty na stole. Ostre słońce raziło go w oczy. Ostrożnie podniósł głowę, ciężącą od braku snu i nadmiaru dręczących go myśli. Czuł się tak, jakby zamiast czaszki miał skorupkę jajka, która może pęknąć pod naporem informacji, wtłaczanych do niej przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Był w kuchni sam. Na stole stały zimne, lepkie kubki zalatujące skwaśniałym mlekiem i brandy. Napełnił i nastawił czajnik, wypił pół litra wody, a potem przeszedł do salonu. Kiedy ostatni raz widział Hannah, spała na fotelu, skulona naprzeciwko rodziny Sabris z dłońmi schowanymi w rękawach swetra i ustami ściągniętymi tak słodko, że musiał się powstrzymać, żeby jej nie pocałować. Teraz pokój był pusty. Zach przetarł oczy i spróbował oprzytomnieć.

– Hannah! Ilir! – zawołał, stając u podnóża schodów, ale nikt mu nie odpowiedział. Usłyszał na zewnątrz jakiś hałas i uchylił drzwi.

Jeep Hannah stał przed domem; miał włączony silnik i otwarte drzwi. Rozafa i Bekim siedzieli już z tyłu, a Hannah wrzucała właśnie dwie płócienne torby do bagażnika.

– Hej! Co się dzieje? – zapytał Zach, trzęsąc się ze zmęczenia w chłodzie poranka.

Hannah obejrzała się na niego z błyskiem niepokoju w oczach.

– Zabieram ich na dworzec. Nie chciałam cię obudzić – powiedziała. Schowała bagaże i podeszła do niego z rękami w kieszeniach.

Zach osłonił oczy dłonią.

– Czy to bezpieczne? Policja nie będzie ich szukać?

– Myślę, że nie. Rozmawiałam z Jamesem. Wczoraj byli też u niego i odeszli z pustymi rękami. Jego zdaniem dali sobie z tym spokój. Nawet mnie przeprosili, już wczoraj w nocy. Kiedy niczego nie znaleźli, przeproszali z całego serca – rzuciła mu szybki uśmiech.

– Długo cię nie będzie?

– Nie. Jedziemy tylko na dworzec w Wareham. Ilir zabiera ich na północ, do Newcastle. Ma tam przyjaciół, a właściwie kogoś, kogo zna z domu. Ten znajomy załatwi im jakieś mieszkanie i pomoże się

urządzić. Poza tym mój szwagier jest tam lekarzem. Pomoże im z wnioskiem o azyl i zacznie terapię chelatacyjną Bekima...

– Co takiego?

– Słuchaj, nie mam teraz czasu, by ci to wszystko wyjaśnić, pociąg odjeżdża za czterdzieści minut. Mieli u mnie odpocząć kilka dni przed dalszą podróżą, ale po ostatniej nocy uznaliśmy, że lepiej nie czekać – powiedziała.

Zach ujął jej dłoń. Rozpostarł ją, przyjrzał się jej dokładnie.

Była drobna i pokryta bliznami. Miała krótkie, połamane paznokcie, brudne na krawędziach, a u podstawy każdego palca widniało wyraźne zgrubienie. To była szorstka, spracowana dłoń, dłoń należąca do zupełnie innego świata.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą? – zapytał.

– Nie, nie ma potrzeby. Zostań z Dimity. Obejrzyj rysunki – odpowiedziała dziwnym głosem.

– W porządku. Zobaczymy się, jak wrócisz.

– Wrócę, jak tylko wyjadą. Za jakieś półtorej godziny. Wtedy porozmawiamy. – Wróciła do samochodu, a przed nim wyrósł Ilir.

Zach czekał niespokojnie, aż Cygan się odezwie. Szczęka nadal bolała go od ciosu, który pracownik Hannah wymierzył mu poprzedniej nocy. Instynktownie uniósł dłoń, żeby ją rozmasować i poczuł, jak obolała jest skóra w tym miejscu. Ilir uśmiechnął się lekko.

– Przepraszam, że cię uderzyłem, Zach – powiedział. – Ale sam rozumiesz, byłem przerażony.

– Nie ma o czym mówić.

– Nie, muszę przeprosić. Pomogłeś nam... jestem ci wdzięczny. – Twarz Ilira była zmęczona i posiniaczona, ale Zach nigdy nie widział na niej tyle szczęścia. Mężczyzna promieniał wewnętrznym spokojem, jakby dotąd zawsze nękał go brak żony i syna. Teraz ten dokuczliwy ból zniknął, chociaż ich sytuacja nadal była niepewna.

– Daj spokój. Chociaż tyle mogłem... Cieszę się, że są bezpieczni. – Wyciągnął rękę, a Ilir złapał ją i przyciągnął Zacha bliżej, żeby zamknąć go w szybkim, szorstkim uścisku. Nie mieli czasu się umyć ani przebrać, więc wciąż czuć było od niego stres i zamieszanie poprzedniej nocy.

– Ilir, pośpiesz się. Nie mamy czasu! – zawołała Hannah z samochodu.

– Bądź dla niej dobry – poprosił Ilir ściszoneg głosem. – Mnie juŹ nie będie... Wydaje się silna, ale potrzebuje ludzi. Bardziej, niŹ to potrafi przyznać. Będie potrzebowała twojej przyjaŹni, kiedy wyjadę. Czasem bywa trudna, ale to dobra kobieta.

– Wiem – powiedział Zach. – Powodzenia.

Ilir klepnął go w ramię, skinął głową, a potem odwrócił się i zajął siedzenie pasażera. Silnik rozkaszał się błękitnymi spalinami i odjechali.

Zach stał przez chwilę w progu, podziwiając widoki. Przesunął wzrokiem od morskiego horyzontu aż po zieloną grań wcinającą się w wodę. Kusilo go, Źeby wrócić na górę i jeszcze raz przejrzeć wszystkie obrazy, zacząć robić notatki o ich tematach i atmosferze. Ale wahał się, bo ze zdumieniem zdał sobie sprawę, Źe czułby się z tym nieswojo, kiedy Hannah wyjechała, a Dimity jest taka zdenerwowana. ChociaŹ tak wytrwale tropił te prace, nie naleŹały do niego. A jego myśli zaprzętało coŹ jeszcze, coŹ, co przyszło mu do głowy, kiedy Hannah zdradziła mu, kim była jej babka. Odczekał moment, przygryzając wargę w zadumie. Próbował sobie wmówić, Źe to nie ma znaczenia. Ale nie ulegało wątpliwości, Źe jest inaczej. Wszedł ostroŹnie na piętro.

– Dimity?! – zawołał. Ostatni raz widział ją poprzedniej nocy, skuloną na progu małej, pustej sypialni, którą zajmował dawniej Charles Aubrey. Teraz jej tam nie było. Zach zapukał delikatnie do drzwi drugiego pokoju i zajrzał do środka. – Nie śpisz? – zapytał cicho.

Mała postać zwinięta na łóŹku nic nie odpowiedziała. Kolana miała przyciągnięte do piersi, dłonie zaciśnięte na brzuchu. Na widok jej brudnych czerwonych mitenek Zach poczuł przyplływ czułości do staruszki; czułości i podziwu. Niewiele osób umiałoby dochować tajemnicy z tak niezachwianą wiarą, z takim powodzeniem przez tyle lat. Przypomniał sobie długie godziny rozmów z Dimity, kiedy skrzętnie notował jej opowieści o Źyciu Charlesa Aubreya w latach trzydziestych. Pomyśleć, Źe przez cały czas strzegła tej ogromnej, niewyobraŹalnej prawdy. Zawsze mu się wydawało, Źe coŹ ukrywa; zawsze wyglądała, jakby się bała, Źe coŹ jej się wyrwie, Źe powie o kilka słów za duŹo. Musiało jej to spędzać sen z powiek. Dimity nie odpowiedziała mu;

oddychała lekko i równo, ale wychodząc z pokoju, Zach nie mógł się pozbyć wrażenia, że staruszka nie śpi.

Zach wymigał się od rozmowy z Petem Murrayem, mimo że właściciel pubu próbował wciągnąć go w pogawędkę o wieczornej akcji policji we wsi. Zach wzruszył ramionami, twierdząc, że nic o tym nie wie. Chciał jak najszybciej wsiąść do samochodu i odwiedzić jedyną osobę, która mogła rozstrzygnąć kwestię niedającą mu spokoju. Z trudem udawało mu się skupić na drodze, gdy pokonywał dwugodzinną trasę na północ. Powtarzał sobie w duchu, co powie, jakich słów użyje, żeby wreszcie poznać prawdę, którą ukrywano przed nim całe życie.

Jego babcia mieszkała w małym wiktoriańskim ośrodku spokojnej starości w mieście targowym niedaleko Oxfordu. Ośrodek tworzyły małe domki z cegieł i kamienia, ustawione w półokręgu wokół idealnie utrzymanego trawnika ogrodzonego szczelnie dla ochrony przed spacerowiczami. Na rabatkach kołysały się ostatnie róże tego lata, ukazując spłowiałe płatki. Zach podał swoje nazwisko opiekunowi i podszedł do budynku w środku szeregowca. Zapukał i sam otworzył sobie drzwi, żeby oszczędzić babci kłopotu ze wstawaniem.

– Dzień dobry, babciu – powiedział, a ona spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami, ale uśmiechnęła się, kiedy pochylił się, żeby ucałować ją w policzek. Odchrząknęła i przywitała się z nim.

– Kochanie. Jak miło, że przyszedłeś. Przypomnij mi, kim jesteś?

– Jestem Zach, babciu. Jestem twoim wnukiem. Synem Davida.

Słyszając imię jego ojca, babcia Zacha uśmiechnęła się z większym przekonaniem.

– Oczywiście. Wykapany z ciebie ojciec. Siadaj, siadaj. Zrobię herbaty. – Zaczęła podnosić się z fotela, a jej cienkie ramiona zadrżały, kiedy ustawiła przed sobą dwie bambusowe laski.

– Ja przyniosę, babciu. Nie wstawaj.

Zach przyglądał się babci z maleńkiej kuchni. Minęły cztery miesiące, odkąd ją widział, a z każdą wizytą wydawała się węższa. Gęste niegdyś loki znacznie się przerzedziły, ze zgrabnej, bujnej figury zostały skóra i kości. Każdego dnia coraz bardziej opadała z sił, a on był zbyt zajęty własnymi sprawami, żeby to zauważyć. Poczł się winny, bo

zdał sobie sprawę, że powinien był odwiedzić ją z Elise przed jej wyjazdem do Ameryki. Obiecał sobie, że zrobi to następnym razem, kiedy jego córka przyjedzie do Wielkiej Brytanii. Miał tylko nadzieję, że babcia dożyje tej chwili, ale wydawało mu się to bardzo prawdopodobne. Chociaż była krucha, jej oczy lśniły dawnym blaskiem. Zach przyniósł herbatę, a potem przez jakieś dziesięć minut gawędzili o jego rodzinie i pracy.

– No dobrze, zapytaj mnie wreszcie – powiedziała, kiedy zapadła cisza.

Zach zerknął na nią.

– O co, babciu?

Wbiła w niego jasne, rozbawione spojrzenie.

– O to, o co tak bardzo chcesz zapytać. Przecież widzę, że coś cię trapi. – Uśmiechnęła się, widząc na jego twarzy poczucie winy. – Nie martw się, kochanie. Nieważne, dlaczego przyjechałeś, i tak cieszę się z twojej wizyty.

– Przepraszam, babciu. Ale muszę cię zapytać o... o Charlesa Aubreya.

Myślał, że się uśmiechnie albo zarumieni, albo że w jej oczach pojawi się ten sam zadowolony, tajemniczy wyraz co kiedyś, ale ona wcisnęła plecy głębiej w oparcie fotela i lekko się weń zapadła, jakby chciała się odsunąć od wnuka.

– Aha – mruknęła.

– Widzisz, kiedy byłem mały, słyszałem różne aluzje... sugestie, że może... moim prawdziwym dziadkiem był Charles Aubrey. – Serce zabiło mu szybciej. Wreszcie poruszył temat, który dręczył go od tak dawna, i wydało mu się to beczelnością.

– Tak. Wiem – odpowiedziała po prostu z zakłopotaną miną, która zastanowiła Zacha. Jej mąż zmarł jedenaście lat wcześniej. Prawda nie mogła go już zabołec.

– Widzisz, ostatnich kilka tygodni spędziłem w Blacknowle...

– W Blacknowle? Byłeś w Blacknowle? – przerwała mu.

– Tak. Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej o życiu Charlesa Aubreya w okresie, kiedy tam mieszkał i pracował.

– I dowiedziałeś się? – wychyliła się zaciekawiona z krzesła.

– O tak. To znaczy... – Zach zawahał się. Zanim ugryzł się w język, miał zamiar jej opowiedzieć o wszystkim, co odkrył. Ale wiedział, że nie może. Nie powinien tak beztrosko zdradzać sekretu, który Dimity ukrywała skrzętnie przez tyle lat. Nawet innej kobiecie, która kochała Aubreya przez całe życie. – Odnalazłem tam coś ważnego. Coś, przez co bardzo istotne stało się dla mnie pytanie... czy naprawdę jestem potomkiem Charlesa Aubreya. Czy jestem jego wnukiem, czy nie.

Staruszka odchyliła się znów na oparcie i ściągnęła wargi. Jej kościste dłonie zacisnęły się na poręczach krzesła. Pokój był tak przegrzany, że Zach czuł pod pachami swędzenie potu. Czekał w milczeniu, chociaż przez chwilę wyglądało na to, że nie uzyska odpowiedzi. Oczy jego babci były zwrócone w przeszłość; widział to wcześniej u Dimity Hatcher. Ale w końcu się odezwała.

– Charles Aubrey. Wspaniały mężczyzna. Och, nie masz nawet pojęcia, jaki wspaniały.

– Widzę, jakie wspaniałe są jego prace – zauważył Zach.

– To może zobaczyć każdy głupiec. Ale musiałbyś go spotkać, musiałbyś go lepiej poznać, żeby naprawdę się przekonać...

– Ale czy ty nie rozumiesz – przerwał jej Zach w nagłym przypływie irytacji – nie rozumiesz, jak to wpływało na dziadka? I na mojego tatę? – Babcia zamrugnęła i spojrzała na niego z lekko zmarszczonymi brwiami. – Mój tata, a twój syn, David, dorastał z ojcem, który go nie kochał, bo nie uważał się za jego rodzica!

– Porządny mężczyzna kochałby go mimo wszystko – odparowała. – Mówiłam mu, że mogę odejść. Proponowałam, że zabiorę ze sobą syna i zwrócę mu wolność. Nie zgodził się. Uznał, że to byłby skandal. Zawsze przejmował się tym, co pomyślą inni. Liczyło się tylko zachowywanie pozorów przyzwoitości, nie zależało mu, żebyśmy byli szczęśliwi...

– A jak było naprawdę?

– Z czym, Zach?

– Z tą przyzwoitością. Czy twój mąż był ojcem twojego syna? Czy też nie, a mój tata był owocem romansu i pochodził z nieprawego łoża? – Słyszac to, jego babka roześmiała się.

– Och, mój drogi chłopcze! Brzmisz zupełnie jak twój dziadek.

Jesteś taki pompatyczny. – Poklepała go po dłoni. – Ale zaimponowałeś mi. Po tych wszystkich latach ktoś w końcu odważył się mnie o to zapytać. Tylko jakie to ma teraz znaczenie? Daj temu spokój. Każdy ma prawo do tajemnic, zwłaszcza kobieta...

– A ja mam prawo wiedzieć – naciskał Zach.

– Nie, nie masz. Dorastałeś z kochającym ojcem, zawsze miałeś troskliwą opiekę. Dlaczego szukasz czegoś innego? Czegoś gorszego?

– Dlatego, że... Dlatego, że mój ojciec nie dorastał z kochającym ojcem, prawda? Dorastał ze świadomością, że nigdy nie spełni jego oczekiwań. Jego wymagań. Dorastał, czując, że sprawia mu zawód, będąc w cieniu Charlesa Aubreya! – Zach wziął głęboki, uspokajający oddech. – Ale nie o to w tym wszystkim chodzi. To znaczy o to, ale nie dlatego tu jestem. Poznałem w Blacknowle kobietę, która jest spokrewniona z Aubreyem. To jego prawnuczka. Wnuczka córki Aubreya, Delphine. Pamiętasz ją?

– Delphine? Jego starszą córkę? – Babka Zacha przechyliła głowę w bok. – Widywałam je przelotnie od czasu do czasu. Ale właściwie nigdy z nimi nie rozmawiałam. Ani z jego córkami, ani z tą trzecią dziewczyną.

– Jaką trzecią dziewczyną?

– Tą małą wieśniaczką, która chodziła za nimi krok w krok.

– Dimity Hatcher?

– Tak miała na imię? Była z niej prawdziwa piękność, ale zawsze chodziła ubrana w jakieś łachmany i chowała twarz za włosami. Zastanawiałam się, czy nie jest ograniczona.

– Nie jest. Bo wciąż żyje – powiedział Zach, zanim zdążył się pohamować. – Opowiadała mi o latach, które spędzał tam Aubrey...

– Naprawdę? W takim razie nie jestem ci do niczego potrzebna...

– Babciu, proszę. Muszę to wiedzieć. Ta kobieta, którą poznałem... prawnuczka Aubreya. To... bardzo ważne, żebym wiedział, czy jesteśmy spokrewnieni. Czy jestem wnukiem Aubreya, czy nie. Proszę, po prostu mi powiedz. Dosyć już tych aluzji i niedomówień.

– Chcesz powiedzieć, że macie się ku sobie? – zapytała, wiedzioną intuicją.

Zach skinął głową. Dłonie jego babci opadły na poręcze krzesła.

Poruszona, zaciskała i rozluźniała palce, raz po raz, a jej mina wskazywała na to, że stanęła przed poważnym dylematem. Zach wzięt głęboki oddech.

– No i? – zapytał.

Staruszka spojrzała na niego gniewnie.

– W porządku. Skoro tak się tego domagasz, to ci powiem. Chociaż oboje możemy na tym ucierpieć. Odpowiedź brzmi: nie. Nie. Twoim dziadkiem był twój dziadek. Nigdy nie miałam romansu z Charlesem Aubreyem.

– Nawet nie miałaś z nim romansu? Więc wymyśliłaś sobie to wszystko?! – zawołał Zach z niedowierzaniem, czując, jak zalewa go fala ulgi i rozczarowania.

– Nic sobie nie wymyśliłam, młody człowieku! To była... miłostka. Ale ja go kochałam. Kochałam go od chwili, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. I może zdradziłabym twojego dziadka... ale Charles mnie nie chciał. – Znów zacisnęła wargi, jakby sama sprawiła sobie ból. – To wszystko. Teraz już wiesz i mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

– Czyli... odtrącił cię?

– Tak. Koniec końców, to on zachował się honorowo. Przyszedł do pokoju nad pubem, w którym się zatrzymaliśmy. Myślałam, że zamierza mnie uwieść! A on oświadczył, że musimy z tym skończyć. Chociaż tak naprawdę nic się nie zdążyło zacząć. To była tylko... szansa na miłość. Zauroczenie. Ale on postanowił ze mną zerwać i przy okazji złamać mi serce. – Położyła sobie delikatnie palce na piersi i westchnęła. – Powiedział, że... nie może tak po prostu brać wszystkiego, co chce. Robić wszystkiego, co chce. Powiedział, że tego lata miał już przez to problemy i musi myśleć o swojej rodzinie.

– O Celeste i dziewczynkach... I na pewno chodziło mu o Dimity. Kiedy powiedział, że miał już przez to problemy, na pewno chodziło mu o Dimity. Tego lata zaczął się ich romans.

– O Dimity? Tę małą wieśniaczkę? Przecież była jeszcze dzieckiem! Trudno mi uwierzyć, że mógłby...

– Może dlatego wspomniał o problemach.

– Ale czy jesteś tego pewien? Jesteś pewien, że mieli romans?

– Ona zarzeka się, że tak – powiedział, a jego babcia uśmiechnęła się smutno.

– Och, nie rozumiesz? Ja robiłam to samo. Aż do dziś.

Niedługo później Zach pożegnał się z babką, obiecując, że wkrótce ją odwiedzi. W głowie dźwięczały mu jej słowa. „Ja robiłam to samo”. Czy było możliwe, że Dimity też nie miała z nim romansu? Ale coś musiało się między nimi wydarzyć, skoro Aubrey wspomniał o tym jego babce. „Problemy”. Tak podsumował romans, który Dimity wspominała przez te wszystkie tygodnie? Z drugiej strony, kiedy zbiegł z wojska, to właśnie Dimity odszukał, to z Dimity zamieszkał i został przez te wszystkie lata. A może po prostu nie miał już nikogo innego? Tylko ją zastał, kiedy wrócił, załamany i bezbronny, szukając schronienia. Ale nie – przecież była jeszcze Delphine. Dzielił ich niecały kilometr, a ona przez cały czas sądziła, że ojciec zginął na wojnie.

Zacha rozboleła głowa. Dimity nie zdradziła swojego wielkiego sekretu nikomu, nawet Delphine, jego rodzonej córce. Wydało mu się to potworne. Prowadził z jedną dłonią na kierownicy, drugą przyciskając do ust. A jego własna rodzina, jego dziadek? Wszyscy żyli w cieniu Aubreya, który okazał się niczym więcej jak właśnie cieniem. Duchem, iluzją. Czy Aubrey naprawdę był tak potężny, że nawet jego cień mógł odcisnąć takie piętno na życiu innych? Najwyraźniej tak. A Zach nie odziedziczył po nim talentu artystycznego; to było zwykłe zrządzenie losu. Poczuł, jak coś wymyka mu się z rąk, coś, czego trzymał się kurczowo przez wiele lat. Myślał, że będzie mu tego brakować, ale zrobiło mu się lżej.

Zach pojechał prosto do Strażnicy. Było już późne popołudnie, a kiedy nikt nie odpowiedział na jego pukanie, nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Zaniepokojony, wszedł do środka. Dimity zwykle je zamykała. Zawsze słyszał szcęk zasuwy, zanim mu otworzyła. Drugi raz tego dnia wszedł na górę, wołając jej imię. W głowie kłębiło mu się tyle myśli, że nie umiał się skupić na żadnej z nich. Wiedział tylko, że chce ją o wiele rzeczy zapytać, a wręcz oskarżyć. Dimity nie poruszyła się od rana. Wciąż leżała na boku na swoim łóżku, ale tym razem Zach podbiegł do niej roztrzęsiony i odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał, że oddycha. Oczy miała otwarte, wpatrzone w przestrzeń. Kiedy Zach

ukucnął obok niej, mrugnęła. Potrząsnął nią delikatnie.

– Dimity, co się stało? Dobrze się czujesz?

Przełknęła ślinę bez słowa i spróbowała się podnieść. Zach pomógł jej usiąść i przełożył jej nogi przez krawędź łóżka. Były cienkie jak patyki.

– Mam wezwać lekarza?

– Nie! – zawołała nagle i zakrztusiła się. – Żadnych lekarzy. Jestem po prostu zmęczona.

– To była dziwna noc... – zaczął Zach delikatnie. Skinęła głową i wbiła wzrok w podłogę. Wyglądała na załamana. – Przepraszam – dodał. Nie umiałby do końca wyjaśnić, za co ją przeproszał. Za to, że odkrył jej sekret, który tak długo ukrywała. Chyba za to, że jej go odebrał.

– Nie żyje od sześciu lat. Wiedziałam o tym, ale... śniłam, że tego nie wiem. Marzyłam o tym – powiedziała. Łzy napłynęły jej do oczu i polały się na jej policzki.

– Naprawdę go kochałaś, prawda? – szepnął Zach.

Dimity spojrzała na niego z bezbrzeżnym cierpieniem. Wszystkie pytania, które miał zamiar jej zadać, rozwiały się i zniknęły. Nie była mu nic winna.

– Ponad życie – odpowiedziała. Wzięła głęboki oddech. – I zrobiłabym dla niego wszystko. Zrobiłabym wszystko, żeby mu to wynagrodzić.

– Co miałybyś mu wynagrodzić, Dimity? – zmarszczył brwi.

Kolejne dwie łzy spadły na jej złożone dłonie.

– To, co zrobiłam – wyszeptala tak cicho, że ledwo ją słyszał. – To, co zrobiłam. – Wstrząsnął nią szloch. Zach czekał, aż powie coś więcej, ale milczała. Przypomniał sobie słowa Wilfa Coulsona. – Teraz wszyscy się dowiedzą. Przyjdą i dowiedzą się, że tu był. Że go ukrywałam. Prawda? – Znów na niego spojrzała z twarzą wykrzywioną rozpaczą i bólem.

Zach pokręcił głową.

– Nie muszą o niczym wiedzieć, Dimity. Jeśli wolisz, żebym nikomu nie mówił, to tego nie zrobię. Obiecuję.

Rozszerzyła oczy z niedowierzaniem.

– Naprawdę? Przysięgasz? – szepnęła.

– Przysięgam – odpowiedział Zach, czując ciężar tej obietnicy jak obręcz na sercu. – To był wasz sekret, twój i Charlesa, i nic się nie zmieniło. A obrazy i rysunki należą do Hannah. Dotąd cię dla nich nie zdradziła i jestem pewny, że teraz też cię nie zdradzi – zapewnił.

Dimity skinęła głową i zamknęła oczy.

– Jestem taka zmęczona – westchnęła, kładąc się znów w spłowiełej pościeli.

– W takim razie odpocznij. A ja... odwiedzę cię jutro.

– Odpocząć? Tak, może odpocznę. Tylko wiesz, niedługo po mnie przyjdą – wyznała cichym, przestraszonym głosem.

– Kto przyjdzie, Dimity? – zapytał Zach, marszcząc brwi.

– Wszyscy – wyszeptała, a potem jej twarz wygładził sen.

Zach przykrył ją kocem i na pożegnanie musnął palcami jedną brudną, czerwoną rękawiczkę.

Wyszedł zaniepokojony, wciąż zastanawiając się, czy nie wezwać do Dimity lekarza. Wjechał do wsi i już miał skrócić na ścieżkę do Farmy Południowej, kiedy zauważył na ławce znajomą postać. Mężczyzna siedział z psem u stóp, wpatrując się w morze. Zach podjechał do ławki i opuścił szybę.

– Dzień dobry, panie Coulson, jak się pan miewa? – zapytał. Wilf Coulson zacisnął dłonie na smyczy whippetta i skłonił lekko głowę, okazując mu minimum dobrych manier. – Wiem, że prosił pan, żebym nie pytał więcej o Dimity...

– Owszem. Prosiłem – odparł starszy mężczyzna z rezerwą.

– Właśnie od niej wracam i powiedziała mi coś... Coś, co przypomniało mi pana słowa. Czy mógłbym pana o to zapytać? Proszę...

Wilf Coulson rzucił mu dziwne spojrzenie, w którym ciekawość mieszała się ze smutkiem i agresją.

– O co chodzi?

– Zapytałem pana, na co zmarła mała Élodie Aubrey, a pan odpowiedział, że z przyczyn naturalnych, chociaż niektórzy twierdzili inaczej. Zastanawiałem się... co chciał pan przez to powiedzieć?

– Czy nie wyraziłem się jasno?

– Owszem, ale... kto twierdził inaczej? I co podejrzewał? Proszę

mnie dobrze zrozumieć, nie wykorzystam tych informacji. Przynajmniej nie w mojej książce. Po prostu próbuję się dowiedzieć, co przechodzi Dimity... Wyjaśni mi pan, o co panu chodziło?

Wilf wyraźnie rozważał tę prośbę; zaciskał szczękę, wydymając i wciągając policzki. Zach widział jednak po nim, że chce odpowiedzieć. Zrzucić z siebie ten ciężar.

– Zaraz po wszystkim ich lekarz przyszedł do pubu. Doktor Marsh, który przyjął ich w szpitalu. Ja też tam byłem, więc słyszałem, co mówi. Stwierdził, że musiała się czymś zatruć. Starsza dziewczynka często chodziła zrywać zioła razem z Dimity.

– Starsza dziewczynka? Delphine?

– Tak, ta, która w końcu wyszła za syna Brocków. Lekarz opisał objawy i widziałem, jak inni wymieniają nad jego głową spojrzenia. W pubie było mnóstwo ludzi, którzy zorientowali się, co zjadły.

– Czyli co?

– Szalej – odpowiedział krótko Wilf. – Cykutę.

– Jezu... mówi pan, że Delphine zerwała ją przez pomyłkę, a... a Élodie ją zjadła?

– Możliwe, albo...

– Albo co?

– Szalej trudno znaleźć. Farmerzy wyrywają go, jeśli się na niego natkną, bo zabija bydło. Musiałaby odejść bardzo daleko albo mieć cholernego pecha, żeby trafić na szalej.

– Czyli... co pan sugeruje? Że to było celowe?

– Nie. Tego nie powiedziałem. Po co jedna siostra miałaby otruć drugą? I ryzykować, że zabije całą rodzinę? Co mogłaby na tym zyskać?

– Ona nic... – Zach urwał, bo wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu zimny dreszcz. Spojrzał w stronę Strażnicy. – Delphine nic by na tym nie zyskała – wyszeptał.

– Dimity nie była sobą pod koniec tamtego lata. Kiedy wrócili z Afryki. A co im strzeliło do głowy, żeby zabrać taką dziewczynę jak Mitzy do Afryki? Czemu to miało służyć? Nie była sobą. Próbowałem z nią rozmawiać, ale nie była już sobą. – Wilf zasznurował wargi i pokręcił gniewnie głową. – I tyle. To musi panu wystarczyć. Proszę to zostawić – powiedział poważnie.

Zach zauważył, że staruszek tak mocno ściska w dłoniach smycz, że aż zbielały mu kostki. Zach milczał przez chwilę, a potem zrozumiał, czego boi się jego rozmówca.

– Nie powiem jej, że mi pan powiedział. Daję panu słowo – zapewnił.

Wilf Coulson odchylił się lekko na ławce, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił.

– I tak bym się z nią ożenił, nawet po tym wszystkim – powiedział głosem pełnym napięcia. – I tak bym się z nią ożenił, ale mnie nie chciała. – Wyciągnął przetartą chustkę do nosa i osuszył oczy.

Zachowi ścisnęło się serce. Żałował, że nie może wyjaśnić Wilfowi, dlaczego Dimity nie przyjęła jego oświadczeń – dlaczego nie mogła ich przyjąć. Musiała myśleć o Charlesie, kochać go i ukrywać. I wynagrodzić mu to, co zrobiła.

– Dziękuję, panie Coulson. Dziękuję, że pan ze mną porozmawiał. Myślę... myślę, że Dimity jest już bardzo zmęczona. Myślę... że jeśli chciałby pan ją odwiedzić, to lepiej z tym nie czekać. – Wilf rzucił mu szybkie, zdumione spojrzenie, a potem skinął głową.

– Rozumiem, chłopcze – odrzekł. – A teraz zostaw mnie w spokoju.

Hannah wpuściła go z miną, której nie potrafił odczytać. Miała sińce pod oczami i blade wargi.

– Zaczęłaś sprzątać – zauważył Zach, siadając przy długim kuchennym stole.

Na zagraconych blatach pojawiły się luki, a dokumenty na stole sprawiały wrażenie posegregowanych w kilka odrębnych stosów w pewnego rodzaju porządku. Przy drzwiach czekały na wyniesienie dwa czarne worki, wypełnione po brzegi śmieciami.

– Tak... nagle mnie naszło na porządki. Jakby wyjazd Ilira oznaczał koniec jakiejś ery.

– Dojechali do Newcastle bez problemów?

– Tak – skinęła głową. – Tak, wszystko dobrze. To znaczy... na tyle, na ile to teraz możliwe. Bekim musi jak najszybciej zacząć się leczyć na ołowicę...

– Stąd ta terapia chelatacyjna, o której mówiłaś wcześniej?

- Tak. Żeby usunąć ołów z jego organizmu.
- Czyli to coś poważnego? Wiesz, widziałem, że jest półprzytomny, ale myślałem, że to zmęczenie...
- Jest gorzej, niż myślisz. Do końca życia będzie odczuwał skutki zatrucia. Ile twoim zdaniem ma lat?
- Nie wiem, pewnie trochę więcej niż Elise. Siedem, może osiem?
- Dziesięć. Właściwie prawie jedenaście. Ołów hamuje wzrost i rozwój...
- Chryste. Biedny dzieciak – powiedział Zach. – Rozumiem... rozumiem, dlaczego chciałaś im pomóc. Dać im nowe życie.
- Oczywiście. – Zaczęła się krzątać przy blacie, sięgając po czajnik, kubki i herbatę. Zachowi wydawało się, że unika jego wzroku. – Myślałam, że wyjechałeś – rzuciła w końcu.
- Jak to?
- Przecież masz już to, po co przyjechałeś. – Odwróciła się do niego i założyła ręce na piersiach. – Wiesz, skąd się brały portrety Aubreya. Wiesz, co się stało z Delphine i kim był Dennis.
- Zach przyglądał się jej przez chwilę. Zauważył, że chociaż w głosie Hannah brzmiała złość, jej oczy zdradzały strach. Pokręcił głową, wstał i podszedł do niej.
- Więc uznałaś, że po prostu zniknę z całą tą nowo zdobytą wiedzą? I niby co z nią zrobię?
- Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Napiszesz książkę. Ujawnisz całą historię. Wywołasz sensację.
- Wow. Ty naprawdę nie wierzysz w ludzi, co? – uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją po policzku.
- Hannah odtrąciła ją niecierpliwie.
- Przestań ze mną pogrywać, Zach. Muszę wiedzieć... muszę wiedzieć, co teraz zrobisz.
- Nic nie zrobię – odpowiedział.
- Zupełnie nic? – zapytała z niedowierzaniem. Pokręciła głową i wróciła do parzenia herbaty. – To gdzie byłeś?
- Pojechałem odwiedzić babcię.
- Nagle zapragnąłeś ją zobaczyć?
- Tak. Wreszcie z niej wydusiłem, czy miała romans z Aubreyem.

Czy jestem wnukiem Aubreya, czy nie... – Hannah znieruchomiała i wzięła głęboki oddech.

– Bo jeśli tak, to wszystkie te prace należą do ciebie – dokończyła lodowatym tonem.

Zach mrugnął.

– Nawet o tym nie pomyślałem. Ale rzeczywiście, wtedy należałyby do mnie, prawda?

– Owszem – rzuciła zjadliwie.

– Hannah, daj spokój. Nie dlatego do niej pojechałem. Pojechałem, bo jeśli jestem jego wnukiem, to znaczy, że ty i ja jesteśmy spokrewnieni. Byłbym twoim wujem czy kimś w tym rodzaju.

– Kuzynem drugiego stopnia.

– Słucham?

– Gdybyś był jego wnukiem, bylibyśmy kuzynami drugiego stopnia. Ale tylko w połowie, bo ja pochodzę z linii Celeste, a ty z linii twojej babki.

– Kuzynami drugiego stopnia? I to w połowie? Tak szybko to rozpracowałaś? – Zach uśmiechnął się do niej, a policzki Hannah pokryły się lekkim rumieńcem.

– Wiele tygodni temu – przyznała. – Zanim pierwszy raz ze sobą spaliśmy. Wcześniej wspomniałeś o plotce na temat twojej rodziny. To jak brzmi werdykt? Jesteśmy spokrewnieni? Czy mam przed sobą spadkobiercę Aubreya?

– Nie – odpowiedział Zach, nadal się uśmiechając. – Nie. Moim dziadkiem był mój dziadek. Babcia pozwoliła nam myśleć inaczej przez te wszystkie lata, bo... bo wyszła za mężczyznę, którego nie kochała, i chciała też, żeby ten romans zdarzył się naprawdę.

Hannah przestała robić herbatę i zwiesiła na chwilę głowę, zamykając oczy.

– To dobrze – powiedziała w końcu. Zach spojrzał na nią ze zdziwieniem. – Sprawy by się skomplikowały, gdybyś nagle zażądał zwrotu swojego spadku. Tych wszystkich obrazów.

– Ale to twoje obrazy. Twój spadek.

– I mogę z nimi zrobić, co zechcę.

– Tak.

- A jeśli zechcę zostawić je u Mitzy? – zapytała prowokacyjnie.
- To tam zostaną – odpowiedział Zach.

Hannah zamrugała zaskoczona.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz nic przeciwko temu? Nie przeszkadza ci to? Umiałbyś dochować takiej tajemnicy?

– Właśnie przysiągłem Dimity, że jej dochowam. I dotrzymam słowa.

– Proszę, proszę – powiedziała i znów się odwróciła.

Położyła dłoń na czajniku, jakby chciała zalać herbatę, ale zapomniała go nastawić. Umilkła. Zach ujął ją za ramiona i delikatnie odwrócił twarzą do siebie. W oczach miała łzy, które starała się powstrzymać.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic. Wszystko w porządku. Tylko myślałam... myślałam...

– Myślałaś, że masz przed sobą kolejną walkę. Ze mną – dokończył Zach.

Hannah skinęła głową.

– Ostatnie miesiące były... stresujące. Rozumiesz? – Wydmuchała głośno nos w kawałek gazety, która zostawiła smugę farby drukarskiej na jej górnej wardze.

– Chcę tylko ci pomóc – zapewnił Zach łagodnie. – Chyba już o tym wiesz?

Wspólnie zrobili herbatę, a kiedy ją wypili, Hannah na chwilę wyszła z kuchni. Wróciła z małą kopertą w dłoni.

– Co to? – zapytał Zach, kiedy mu ją podała.

Hannah usiadła naprzeciw niego.

– Otwórz ją.

Zach zmarszczył brwi, patrząc na adres wypisany pochyłym, zamaszystym charakterem pisma. Odcyfrowanie liter utrudniały fantazyjne zawijasy. Koperta była zaadresowana do Delphine Aubrey. Zach podniósł wzrok na Hannah.

– Po śmierci babci znalazłam go w jej rzeczach. Był tylko jeden. To znaczy, jeden list od Celeste. Zachowała go przez te wszystkie lata. Pomyślałam, że... mógłby cię zainteresować – powiedziała Hannah.

– O mój Boże – szepnął Zach. Przesunął z szacunkiem kciukiem po

jej imieniu. Delphine.

Hannah poderwała się z krzesła.

– Idę popływać. Muszę... poukładać myśli. Znajdź mnie, jak skończysz.

Zach skinął głową z roztargnieniem, bo otworzył już list i zaczął czytać.

Delphine, *chérie*, córeczko. Tak bardzo za Tobą tęsknię. Mam nadzieję, że Ty nie tęsknisz za mną równie mocno, ale to złudna nadzieja. Zawsze byłaś kochająca i lojalna. Zawsze byłaś dobrym dzieckiem i dobrą siostrą dla Élodie. Pomóż mi... jej imię tnie jak brzytwa. Moja biedna Delphine, skąd możesz wiedzieć? Skąd możesz wiedzieć, jak ja cierpię? Boli Cię ta strata, strata siostry, ale żaden człowiek nie zniesie straty dziecka. Ja tego nie zniosę. Twój ojciec się Tobą zaopiekuje, wiem o tym. Jego serce przypomina chmurę na letnim niebie. Dryfuje swobodnie, rzucane to tu, to tam, goni za wiatrem i słońcem. W pewnym sensie jest niestałe. Ale miłości do dziecka nie nosi się w sercu – ją się nosi w duszy, w każdej kości w ciele. Wobec Ciebie nie może być niestały. Jesteś jego częścią, tak samo jak jesteś częścią mnie. Élodie też była częścią nas, a odkąd umarła, ja nie jestem już w pełni sobą. Nigdy nie będę w pełni sobą. Sama znów jestem jak dziecko, przestałam być matką. Nie wiem już, jak żyć. Wróciłam do mojej matki i ona o mnie dba.

Kiedy zaczęłam ten list, zamierzałam napisać, żebyś tu do mnie przyjechała, kiedy wojna się skończy. Jeśli chcesz. Ale na myśl, że miałabym Cię zobaczyć, ogarnia mnie strach. Ogromny, potworny strach. Kiedy myślę, że miałabym Cię zobaczyć, od razu myślę o tym, że nie zobaczę Élodie. O tej luce przy Twoim boku i w naszym życiu. To niesprawiedliwe, okrutne i krzywdzące. Miało być zupełnie inaczej. A jednak boję się Twojego widoku, bo mogłabym go nie znieść. Więc zamiast tego piszę – nie przyjeżdżaj. Proszę, nie przyjeżdżaj. I nie mów swojemu ojcu, gdzie jestem. Choć zawsze będę go kochać, codziennie staram się wyprzeć tę miłość z serca. To nic dobrego, kochać takiego mężczyznę jak Charles. I oczywiście widzę w nim Élodie. Tu też ją widzę. Widzę ją wszędzie, nawet w oczach mojego ojca, które miała po nim. Jak to możliwe, że ona nie żyje? Nic nie ma już dla mnie sensu.

Ty najmniej ze wszystkich zasłużyłaś na ten los, Delphine. Spróbuj być szczęśliwa. Spróbuj zacząć nowe życie. Spróbuj o mnie zapomnieć. Spróbuj zapomnieć o tym, co zrobiłaś. Moje życie dobiegło końca, został ze mnie tylko cień. Ale może Ty masz jeszcze czas. Jesteś wciąż młoda, możesz zacząć od nowa i zapomnieć. Spróbuj zapomnieć, moja Delphine. Wytlumacz sobie, że Twoja matka nie żyje, bo to, co we mnie najlepsze, z pewnością umarło. Masz dobre serce. Zawsze miałaś dobre serce, *ma chérie*. Bądź szczęśliwa, jeśli potrafisz. Więcej już nie napiszę.

C.

Zach przeczytał list trzykrotnie, próbując sobie wyobrazić, jak bardzo musiał on zranić Delphine. Przez chwilę czuł w sercu jej rozpacz, a smutek zawisł nad nim jak czarna chmura. Boleśnie zaschło mu w gardle, więc przełknął ślinę, a potem złożył kartki i wsunął je z powrotem do koperty. Kwadrans siedział z głową ukrytą w dłoniach, a serce łamało mu się na myśl o dziewczynie, której nigdy nie spotkał. „Spróbuj zapomnieć o tym, co zrobiłaś”. To zdanie odbijało mu się w głowie echem. Pomyślał o ostatniej rozmowie z Wilfem Coulsonem. Nagle ogarnęło go przerażenie, jakby prawda mogła nieproszona wyjść na jaw. Przed oczami stanęła mu Dimity, jej twarz pełna strachu, oczy pełne łez. Przypomniał sobie, jak spoglądała na sufit, kiedy słyszeli dobiegające z góry hałasy. W jej wzroku była rozpaczliwa nadzieja, teraz to rozumiał. Znów przełknął ślinę i przysięgł sobie, że nigdy nie podzieli się z nikim swoimi podejrzeniami na temat śmierci Élodie. Może nie powie o nich nawet Hannah, a na pewno nie opisz ich w swojej książce. Ta myśl zbiła go z tropu. Czy nadal pracował nad tą książką? Nie mógł jej wydać za życia Dimity, tego był pewien. Wstał i przeczesał włosy palcami. Zastanawiał się, co robić dalej, co liczy się najbardziej, i nagle wszystko wydało mu się cudownie proste i oczywiste. Przyszłość nie była murem do przebiccia, tylko czystą kartą.

Zbiegł ścieżką na plażę i od razu ją zobaczył – jasny połysk jej skóry na tle granatowego morza, czerwone bikini, kręcone włosy falujące na wietrze. Stała na skraju podwodnej półki, a fale sięgały jej kolan. Ramiona opuściła luźno wzdłuż boków; wyglądała tak, jakby tylko morze trzymało ją w miejscu, jakby tylko ono mogło ją okiełznać.

Zach zrzucił buty, podwinął dżinsy nad kolana i ruszył w jej stronę, niecierpliwie rozbryzgując wodę. Słyszała, że nadchodzi; odwróciła się i założyła ręce na piersiach. Nadal mu nie ufała, nadal nie była go pewna. W tym momencie zrozumiał, że ją kocha. Stało się to dla niego jasne jak słońce na niebie.

– Biedna Delphine – powiedział po tym, jak wymienili długie spojrzenie. Hannah skinęła głową. – W żadnym ze scenariuszy, w żadnej z historii, które sobie wyobrażałem, stojąc przed jej portretem, nie przewidziałem, że musiała sobie radzić z takim bólem.

– Tak.

– I mimo to uważasz, że lepiej, że nie znała prawdy o ojcu i nie wiedziała, że żyje?

– Nie wiem. Tego nie wie nikt. Ale może to... pomogło jej zapomnieć. Żyć dalej. Może lepiej wspominać cudownego ojca, który umarł, niż spędzić całe życie z załamanym człowiekiem.

– Ale ona nie zapomniała. Jak mogłaby zapomnieć? I zachowała ten list do końca życia.

– Tak. Widziałam, jak go czyta, od czasu do czasu. Kiedy byłam mała i cały dzień spędzaliśmy na świeżym powietrzu, a ona zostawała w domu. Wchodziłam do środka i zastawałam ją nad tym listem, samiuteńką. Próbowła przede mną ukryć, że płakała. – Hannah wytarła oczy i pokręciła głową. – Teraz rozumiesz? Rozumiesz, że tu nie chodzi tylko o prace słynnego artysty? To czyjeś życie. Czyjeś doświadczenia.

– Tak, rozumiem. Ale chcę ci powiedzieć, że... jeśli kiedyś, w przyszłości, może po tym, jak Dimity... odejdzie. Jeśli kiedykolwiek postanowisz wystawić te prace, to chcę ci w tym pomóc. Moglibyśmy nawet zorganizować wystawę tutaj – urządzić galerię w którejś stodole. I chcę to wszystko opisać. Chyba zacznę od razu, bo historia wydaje mi się zbyt ważna, żeby z tym czekać. Ale nic więcej nie zrobię bez twojej zgody. Obiecuję.

– Powiedz, czy myślisz, że ujawnienie tych wszystkich nowych prac nie obniży ich wartości? Zawsze sądziłam, że im mniej obrazów, tym wyżej się je wycenia.

– Teoretycznie tak. Ale w tym wypadku? Nie ma mowy. – Zach pokręcił głową. – Ich geneza, ich historia... Czegoś takiego jeszcze nie

było. Mogłabyś zarobić mnóstwo pieniędzy, gdybyś tylko chciała. Gdybyś chciała.

– Chcę zarabiać pieniądze, hodując owce, a nie wyprzedając swój spadek.

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi – przyznał Zach z uśmiechem.

– Co teraz zrobisz? – spytała Hannah.

– Zamknę galerię. To znaczy, zamknę ją oficjalnie. Ona już nie istnieje; po prostu... nie chciałem się do tego przyznać. Sprzedam wszystkie obrazy i moje portrety Celeste i Dimity. Powinno mi wystarczyć na spłatę zaliczki za książkę i utrzymanie przez jakiś czas. Ale *Delphine* nie sprzedam. Portret twojej babki zachowam na zawsze.

– Chciałabym go zobaczyć – powiedziała Hannah.

– Pewnie, że go zobaczysz. Przywiozę go tu.

– Tu? – zmarszczyła brwi.

– Widzisz... kiedy zlikwiduję galerię, będę bezdomny.

Wynajmowałem cały budynek, nie stać mnie na to mieszkanie, jeśli zamknę interes. Pomyślałem, że mógłbym... zatrzymać się w Blacknowle. Na jakiś czas.

– Zach... – Hannah pokręciła głową z zakłopotaną miną.

– Bez paniki. Nie pytam, czy mogę się do ciebie wprowadzić.

Ale... chcę się z tobą nadal spotykać. Chcę ci pomagać, w czym tylko potrafię. Może zatrudnisz mnie na farmie. – uśmiechnął się.

– Żebyś sobie zniszczył te cudowne, miękkie dłonie? Nie ma mowy.

– Hannah. Kiedy tu przyjechałem, wydawało mi się, że szukam Charlesa Aubreya. Wydawało mi się, że szukam... powodu, dla którego moje życie potoczyło się w taki, a nie inny sposób. Powodu, dla którego moje małżeństwo się rozpadło i nie szło mi w interesach. Myślałem, że szukam pieniędzy i odpowiedzi. Ale teraz wiem, że się myliłem. Myślę, że przyjechałem tu po to, żeby znaleźć ciebie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że się we mnie zakochałeś?

– Tak! Chyba tak. A przynajmniej mógłbym się w tobie zakochać, gdybyś dała mi na to choćby cień szansy. I wiem, że... po tym, jak straciłaś Toby'ego, możesz myśleć, że bezpieczniej radzić sobie

w pojedynkę i nie mieć nic do stracenia. Ale wiem też, że jesteś zbyt odważna, żeby tak żyć.

– Zach... – wyciągnęła przed siebie dłoń z rozsuniętymi palcami.

– Nie, daj mi dokończyć. Nie wiem, co będzie dalej. Znajdę jakąś pracę, a w weekendy będę rysował dla mojej córki. Ale chcę... chcę to robić tutaj. Z tobą. To chciałem powiedzieć. Jedyne, na czym mi teraz zależy, to być przy tobie, Hannah.

Wciąż przyglądała mu się ze spokojem. Nagły podmuch wiatru rzucił jej na policzki kilka brązowych kosmyków; zmrużyła powieki na słońcu. Wydawała mu się równie nieodgadniona jak zawsze i miał ochotę ująć jej twarz w dłonie i trzymać ją przed sobą nieruchomo, dopóki nie odczyta, co się w niej kryje. Po długiej chwili milczenia zrozumiał, że mu nie odpowie. Że najwyraźniej nie umie mu odpowiedzieć, nie przy pomocy słów. Postanowił się nie poddawać. Podszedł bliżej i pochylił się, żeby ją pocałować. Jej ciepłe wargi i skóra smakowały solą. Stała nieruchomo, wyprężona jak struna, ale nie cofnęła się. A potem wypuścił ją z ramion i czekał. Patrzył na grę światła i cienia na jej twarzy i marzył, żeby ją narysować.

– Właśnie... – urwała, żeby odchrząknąć. – Właśnie miałam iść popływać. Może masz ochotę. – Zach spojrział na siebie z uśmiechem.

– Ale... moje ubrania...

– Wielkie mi mecyje – odparła i uśmiechnęła się. – Wyschną, mieszczechu.

– Nadal jestem mieszczechem? Czy już zawsze będziesz mi to wypominać?

– Bardzo możliwe – rzuciła beztrąsko.

– No dobrze. W ubraniach i w ogóle. – Hannah wzięła go za rękę, a z uścisku jej dłoni biła pewność, kiedy mocno splotła palce z jego palcami. Takiego chwytu nie rozerwałby żaden prąd ani odpływ. Ruszyli do przodu, wyczuli stopami skraj skalnej półki i skoczyli do wody.

Dimity obserwowała ich ze szczytu klifu. Byli tak pochłonięci sobą nawzajem, tak zapatrzeni, że nie zauważyli jej tam, na górze. Czuła się zmęczona, ale chciała wyjść na klif i popatrzeć na morze. Popatrzeć na miejsce, w którym był jej Charles. W grzebieniach fal widziała biel jego kości; w piasku – odcień jego skóry. Morze przyjęło go, uczyniło częścią

siebie. Zobaczyła, jak Zach i Hannah nurkują razem, i ogarnęła ją zazdrość. Też chciała w nim pływać. Poczuć jego widmowy dotyk; dłoń w talii utrzymującą ją na wodzie. Zamiast tego jej skórę musnął delikatny, obojętny powiew wiatru. Zapiekły ją oczy, a plaża rozmyła się, więc zamrugła gwałtownie, żeby znów ją zobaczyć. Dostrzegła na niej jakieś postaci; wiedziała, kim są, jeszcze zanim zdążyła im się przyjrzeć. Wiedziała, a następny oddech zakłuł odłamkami szkła.

Na piasku bawiły się Delphine i Élodie. Delphine stała w żółtym sweterku zapiętym pod szyją, z włosami zaplecionymi w warkocze, schludna i rozsądna, dyrygując siostrą w dzikim tańcu. Élodie podskakiwała i wirowała wesoło, a ślady jej stóp tworzyły krąg w piasku wokół Delphine; w dłoniach trzymała długie pasma krasnorostów, którymi kręciła jak wstęgami. Wiatr zerwał się znad brzegu i przywiał do niej ich głosy. Wysoki, radosny śmiech Élodie; cierpliwe, łagodne polecenia Delphine. Pozwalała siostrze się bawić, zachowywać się jak dziecko. „Pozostała dzieckiem na zawsze”. Głos rozległ się tuż przy jej uchu, więc Dimity odwróciła się i zobaczyła obok siebie Celeste. Marokanka spoglądała na córki z góry z uśmiechem pełnym dumy i miłości. Ta Celeste miała piękne oczy, a jej uroda przyćmiewała wszystko wokół; jej ciałem nie wstrząsały drgawki, a twarzy nie trawiła żaloba. Krasnorosty powiewały w dłoniach Élodie, łopocząc jak chorągiewki. Dimity z trudem łapała powietrze. Kłuło ją w boku, w sercu; ból był nie do zniesienia. Dyszała jak ryba wyrzucona na brzeg, przyciskając prawą dłoń do żeber po lewej stronie, do zionącej rany, którą tam czuła; wyrwy, przez którą wpadał zimny wiatr. Chciała zostać z Élodie i Delphine. Chciała zobaczyć ich twarze rozjaśnione uśmiechem jak twarze dzieci, które są kochane, zdrowe i beztrudnie szczęśliwe. Chciała zobaczyć czarne włosy Élodie, unoszone przez wiatr. Ale rozplynęły się w powietrzu. Fala zmyła ich ślady. „Delphine!”, zawołała, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Celeste nie spuszczała z niej poważnego spojrzenia, kiedy Dimity odwróciła się i ruszyła wolnym, chwiejnym krokiem do Strażnicy.

W domu panował tłok – potworny tłok, bo poszły tam za nią. Élodie leżała na kanapie, machając nogami, a obok niej siedziała Delphine. Teraz wyglądały inaczej. Te cienie nie były już szczęśliwe.

Czekały na coś. Celeste krążyła wokół domu, szukając drogi do środka, a Valentina śledziła każdy jej ruch przez zmrużone powieki. W ich oczach były oskarżenia; echa tajemnic tak wielkich, że Dimity z trudem je sobie przypominała. Tak wielkich, że kazała je sobie zapomnieć. Ale nie zapomniały ich Aubreyówny ani Celeste, ani jej własna matka. Dimity przeszukała cały dom, lecz Charlesa nie było. Jego jednego chciała zobaczyć, za nim jednym tęskniła. Ale on zniknął bezpowrotnie. Podeszła do schodów niepewnym krokiem i zaczęła się na nie wspinać.

Jego pokój rozświetlało popołudniowe słońce, drzwi były otwarte na oścież. Taka niedbałość, taka bezmyślność. Odkąd do niej wrócił, nigdy nie stały otwarte. Wolał je zamykać; to mu dawało poczucie bezpieczeństwa. Czasem kiedy wchodziła, podnosił gwałtownie wzrok, by sprawdzić, czy to ona. Serce ścisnęło jej się z żalu za każdym razem, gdy widziała przeblysk strachu w jego oczach, zanim ją rozpoznał. Ale czasem w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

Teraz podeszła do jego łóżka, łóżka, które w dzieciństwie należało do niej, i spojrzała na nie, jakby wciąż mógł w nim leżeć. Zadrżały jej palce. Niemal czuła pod nimi jedwab jego włosów, twardość jego żeber. „Stara panna”, wyszeptała jej złośliwie do ucha Valentina. I miała rację. Charles nie mógł znieść jej bliskości. Miała wrażenie, że jej dotyk niemal go rani. Kiedy próbowała się obok niego położyć, patrzył na nią zdezorientowany, bliski paniki, więc szybko się odsuwała. Czasem kradła mu pocałunki, kiedy spał; dotykała jego warg najdelikatniej, jak potrafiła, żeby go nie obudzić. Wstydziała się za siebie, ale nie umiała się powstrzymać, bo w tych chwilach znów była młodą dziewczyną i znów stali razem w tamtej alejce w Fezie, na której objął ją ramionami i pocałował głęboko, a cały świat stał się jasny, pełny i oszałamiająco cudowny.

To był pokój Charlesa, jedyne miejsce, w którym wciąż mogła go odnaleźć. Położyła dłoń na jego poduszce, dokładnie w tym miejscu, w którym kładł głowę, i poczuła, jak jej serce zwalnia rytm, reagując na niego, rozpoznając go. Nie stała przy jego łóżku od nocy, kiedy go wyniosły, a teraz znów poczuła się tak jak wtedy. Sześć lat, które upłynęły od tamtej chwili, było jak straszny, niespokojny sen. Teraz przyszedł czas się obudzić. Pójść za nim. Od razu powinna była to

zrobić. Położyła się na jego łóżku, ostrożnie, żeby niczego nie przesunąć. Chciała, żeby wszystko zostało tak jak wtedy, kiedy był tu po raz ostatni. Chciała, żeby jej ciało dotykało wszystkiego, czego dotykało jego ciało. Ułożyła głowę w zagłębieniu poduszki i skrzyżowała ręce w talii tak samo jak on. Leżała w ostatnim miejscu, w którym leżał Charles, i marzyła, żeby poczuć jego obecność. „Wróć do mnie, kochany. Wróć i tym razem zabierz mnie ze sobą”. Oddychała najwolniej, najciszej, jak potrafiła, i czekała. Czekala, aż weźmie ją za rękę i wskaże jej drogę.

I wkrótce się zjawił, niemal niezauważenie. Dech zamarł jej w piersiach, kiedy to poczuła. Byli sami, tylko we dwoje, w tym małym pokoiku, w którym spędził ponad sześćdziesiąt lat, gdy ona kochała go i żyła tylko dla niego. Inne cienie wymknęły się przez ściany – czuła, jak odchodzą. Élodie, Delphine, Celeste, Valentina. Wreszcie wszystkie dały jej spokój. Zostawiły ją samą z Charlesem, a tylko tego zawsze pragnęła. Puls miała wolny, strudzony; czuła się tak zziębnięta i ociężała, że nie sądziła, żeby zdołała kiedykolwiek podnieść się z tego łóżka. I wcale tego nie chciała. A wtedy pojawił się on. Usłyszała go wyraźnie i przeszło ją ostre, słodkie ukłucie radości. „Mitzy, nie ruszaj się”. I nie poruszyła się. Nawet żeby wziąć oddech.

Podziękowania

Jestem niezmiernie wdzięczna całemu zespołowi wydawnictwa Orion za ich wspaniałą pracę, a przede wszystkim mojej redaktorce Sarze O’Keeffe za wszystkie jej rady, pomysły oraz wsparcie. Dziękuję też mojej cudownej agentce, Nicoli Barr, za pomoc, słowa zachęty i profesjonalizm.

Pragnę podziękować Jane Kallaway z Langley Chase Farm za to, że spotkała się ze mną i pokazała mi swoje stado; oraz Richardowi Heatonowi, kawalerowi Krzyża Towarzyskiego Orderu Łażni, za informacje na temat funkcjonowania świata sztuki. Odpowiedzialność za wszelkie nieścisłości w każdej z tych dziedzin – sztuki lub naturalnej hodowli owiec – spoczywa wyłącznie na mnie.

Wreszcie, wyrazy miłości i wdzięczności dla mojej mamy, taty, Charliego, Luke’a i wszystkich przyjaciół, którzy jak zawsze zapewnili mi gorące wsparcie, gdy pracowałam nad książką.

O autorce



Katherine Webb urodziła się w 1977 roku w Hampshire. Studiowała historię na Durham University. Mieszkała w Londynie i Wenecji, by w końcu osiąść na stałe w pobliżu Bath. Zanim została pełnoetatową pisarką, podejmowała się różnych zajęć: pracowała jako kelnerka, pomoc domowa, sekretarka, introliigatorka, bibliotekarka i ekspedientka w sklepie z kostiumami wróżek. *Echa pamięci* to jej druga opublikowana w Polsce powieść, po wydanym w 2012 roku bestsellerowym *Dziedzictwie*.

Dowiedz się więcej o powieści *Echa pamięci* oraz jej autorce
www.insignis.pl/echapamieci